PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BOG JEGO" *Ps. 143.*

ROK L. Tom 198.

KWIECIEN — MAJ — CZERWIEC

1933

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Kodeks karny z 1932 r.

Ogłoszenie nowego, jednolitego kodeksu karnego dla całego Państwa Polskiego, najmłodszego kodeksu karnego świata, jest faktem o niezmiernej doniosłości, nietylko, powiedziećby można, mikrokosmicznie, o ile chodzi o wewnętrzne interesy państwa, ale i makrokosmicznie, a to dlatego, że wprowadzając nowe prawo karne, Polska stanęła w rzędzie tych nielicznych państw, które uwzględniły nową ideologję kryminologiczną, stępiając jednak zbyt daleko idący radykalizm, nie liczący się z rzeczywistością społeczną.

Ktokolwiek zetknął się kiedykolwiek z nauką prawa karnego, temu znany jest kilkadziesiąt lat liczący spór między t. zw. kierunkiem „klasycznym" a kierunkiem „modernistycznym", który łączy się z rewelacyjnemi tezami Lombrosa, Ferriego i t. d., czyli twórców t. zw. „szkoły pozytywistycznej", dla której przestępca jest degeneratem, atawistycznym dzikusem, epileptykiem, człowiekiem moralnie obłąkanym, mówiąc krótko (Ferri), człowiekiem „nienormalnym", zjawiskiem nietyle „złem", ile „patologicznem". Opierając się na takich założeniach, kierunek ten wystąpił ostro przeciwko odpowiedzialności „moralnej" przestępcy, zastępując ją odpowiedzialnością „legalną", wynikającą z faktu społecznego współżycia, przeciwko „winie", jako związanej z odpowiedzialnością moralną, wstawiając w jej miejsce ujawniony w przestępstwie potencjonalny „stan niebezpieczeństwa" czyli „prawdopodobieństwo dalszego wyładowywania energji kryminalnej", przeciwko „karom", jako odpłatom za zawinione czyny, zastępując je po-przestępczemi „środkami prewencji (profilaktyki) społecznej" (sankcje, środki obrony społecznej, zabezpieczające). Hasła te otrzy-

mały formę prawniczą w znanym projekcie kodeksu karnego włoskiego z 1921 r., ułożonego przez Ferriego, a w formie zniekształconej przez ideologję bolszewicką zrealizowane zostały w kodeksie karnym R. S. F. S. R. z 1926 r., obowiązującym od 1927 r.

Przez długie lata walczył „idealizm" klasycyzmu z „materjalizmem" pozytywizmu, co spowodowało w efekcie, że tradycyjny, skostniały klasycyzm musiał w wielu zasadniczych punktach ustąpić, stępiając jednocześnie ostrze rewolucyjnego pozytywizmu. Rezultatem tych zmagań były narodziny kierunków kompromisowych, eklektycznych, które odznaczają się dwutorowością reakcji społecznej: w formie kary w stosunku do zawinionego bezprawia i środka zabezpieczającego w stosunku do niebezpiecznego przestępcy, przyczem środek zabezpieczający wchodzi w grę bądź to wtedy, gdy kara jest niemożliwa, z powodu braku podstaw winy, bądź też wtedy, gdy kara nie jest w stanie zabezpieczyć społeczeństwa przed przestępcą. Z jednej więc strony alternatywność kar czy środków zabezpieczających, z drugiej strony kumulatywność kar i środków zabezpieczających, mają być gwarancjami porządku społecznego, zbyt słabo bronionego przez czysty klasycyzm. Po tej linji poszły od czasów Stoossa, słynnego twórcy projektów kodeksu karnego szwajcarskiego, nowoczesne projekty i kodyfikacje (w szczególności nowy kod. kar. włoski z 1930 r.), w tym też duchu ułożony jest nowy kod. kar. polski.

Nie tu miejsce podkreślać słabe strony teorji klasycznej, której praktyczne wykonanie nie jest w stanie zabezpieczyć społeczeństwa przed zalewającą je falą przestępczości, i nie tu miejsce krytykować zbyt śmiałe tezy kierunku modernistycznego, który przez swoje materjalistyczno-filozoficzne założenia, przez swoje twierdzenie bezwzględnej endogenicznej (i eksogenicznej) konieczności zjawisk przestępczych, a co się z tem łączy, niemożności oparcia się na zasadzie wolności woli, koliduje z dualistycznym światopoglądem, reprezentowanym w najczystszej formie przez światopogląd chrześcijański. Nie przecząc bynajmniej zasługom tej nowej szkoły w wyświetleniu tych ujemnych zjawisk społecznych, w programie ich zwalczania, chodzi jedynie o pewne

zasadnicze zastrzeżenia, co się tyczy samych założeń, o umiar w generalizowaniu zjawisk, jak długo podkład doświadczalny nie jest dość szeroki, o zachowanie granic, poza któremi decyduje już pewna spekulacja filozoficzna, a nie pozytywne badanie bio-socjologiczne. Stanowisko filozofji chrześcijańskiej (neotomistycznej) w stosunku do doktryny pozytywistycznej precyzuje biolog i kryminolog Ojciec Gemelli, Rektor Uniwersytetu katolickiego w Medjolanie, który stara się sharmonizować wyniki doświadczeń biologicznych z postulatami nauki Kościoła.

Tych kilka wstępnych uwag musi wystarczyć dla charakterystyki nowego kod. kar., którego ocenić można tylko na tle epoki, kompromisu różnych tendencyj.

Główny referent sekcji prawa karnego Kom. Kod. R. P. Prof. Makarewicz podkreśla, że nowożytny kodeks karny odznaczać się musi trzema cechami charakterystycznemi: pogłębieniem odpowiedzialności w kierunku subjektywizmu i indywidualizmu, umiejętnem operowaniem środkami karnemi oraz należytem zabezpieczeniem społeczeństwa przed niebezpiecznymi przestępcami. W tym samym kierunku idą też wynurzenia współredaktora kodeksu Prof. Makowskiego, który silnie podkreśla ideę zabezpieczenia społecznego przeciwko przestępcy, przy pełnem uwzględnieniu subjektywnych podstaw odpowiedzialności oraz celowej indywidualizacji.

Subjektywizm kodeksu przejawia się na każdem miejscu, zniknęły więc resztki dawnej przedmiotowej odpowiedzialności, w formie odpowiedzialności za dalsze skutki działania, choć nie były one spowodowane ani umyślnie ani nieumyślnie, zagwarantowano należyte uwzględnienie całej psychiki sprawcy przez właściwe ujęcie problemu niepoczytalności i umniejszonej poczytalności, uwzględniono momenty psychicznie mniej lub więcej usprawiedliwiające (silne wzruszenie przy przekroczeniu granic obrony koniecznej lub wyższej konieczności, prowokacja) oraz obciążające (niskie pobudki, chęć zysku). Obostrzono represję za przestępstwa popełnione w stanie pijaństwa przez przepis, że umniejszona poczytalność, wywołana zawinionem zatruciem alkoholowem, nie uzasadnia złagodzenia kary ze względu na stan psychiczny sprawcy. Zwrot

ku subjektywizmowi zaznacza się w całem ujęciu usiłowania, które nie przedstawia się już jak w kod. niemieckim lub rosyjskim (za wzorem kod. francuskiego) jako „początek wykonania" przestępstwa, ale, sięgając bardziej wstecz, obejmuje czynności skierowane bezpośrednio ku urzeczywistnieniu zamiaru, które więc jeszcze nie są zapoczątkowaniem akcji dokonania przestępstwa. W zupełnie krańcowej formie przeprowadzono subjektywizm w problemie nieudolnego usiłowania, normując, że karze podlega i ten, kto nie wiedział, że dokonanie jest niemożliwe ze względu na brak przedmiotu, nadającego się do dokonania na nim zamierzonego przestępstwa, lub ze względu na użycie środka, nie nadającego się do wywołania zamierzonego skutku; strzał do trupa, wziętego za człowieka śpiącego, podanie komuś nieszkodliwego środka, wziętego mylnie za truciznę, uzasadnia więc odpowiedzialność za usiłowane zabójstwo, chociaż zachowanie się przestępcy jest zupełnie nieszkodliwe, a tylko sam sprawca przedstawia się jako człowiek niebezpieczny. Wyjątek stanowią tylko te usiłowania nieudolne, których podstawą jest zabobon i ciemnota (rzucanie uroków i t. p.), a które należy oddzielić od wypadków nieumyślnego dokonania przestępstwa na zasadzie zabobonu czy ciemnoty. Kto sądzi, że strzelając do fotografji swego wroga, spowoduje jego śmierć, nie ulega karze z tytułu usiłowanego zabójstwa, kto wierząc w skuteczność rozgrzanego pieca chlebowego przeciwko różnego rodzaju chorobom, zastosuje ten srodek do swego dziecka i spowoduje jego śmierć, nie może nigdy odpowiadać za przestępstwo umyślnego zabicia, ale ew. za nieumyślne zabójstwo.

Bezwzględne przeprowadzenie zasady indywidualizacji przejawia się w swoistem rozwiązaniu problemu podżegania i pomocnictwa do przestępstwa. Kodeks polski zerwał tu z zasadą, że podżegacz i pomocnik odpowiadają za „udział w cudzem przestępstwie", popełnionem przez sprawcę, i stanowi, że podżeganie i pomocnictwo jest tylko techniczną formą dokonania przestępstwa (odrębną od sprawstwa), co znaczy, że i podżegacz i pomocnik popełniają tylko w inny od sprawstwa sposób samoistne przestępstwa, tak że nie wchodzi w grę jedno przestępstwo, popełnione przez sprawcę,

a z drugiej strony udziały w tem jednem przestępstwie, ale tyle przestępstw, ile osób działało. Ma to tę dodatnią stronę, że odpowiedzialność podżegacza i pomocnika nie zależy od odpowiedzialności sprawcy, co jest konsekwencją udziału w cudzem przestępstwie (podżegacz i pomocnik dzieli losy sprawcy), ale pozwala każdego współdziałającego w ten lub inny sposób traktować indywidualnie w granicach jego zamiaru, niezależnie od odpowiedzialności osoby, która zamierzonego czynu dokonała lub dokonać miała. Kodeks polski przejął tu częściowo konstrukcję Getza (twórcy kod. kar. norweskiego), wprowadzając pewne dodatnie modyfikacje, które pozwoliły zatrzymać podżeganie i pomocnictwo jako zasadniczą postać przestępstwa, w oderwaniu od poszczególnych przepisów tego lub innego konkretnego przestępstwa.

Co się tyczy poprzestępczej represji (w przeciwieństwie do przedprzestępczej profilaktyki kryminalnej, która wchodzi w obręb zagadnień administracyjnego ustawodawstwa społecznego), to podkreślić należy, że kod. kar. przewiduje następujące kategorje sankcyj: kary zasadnicze i dodatkowe oraz środki zabezpieczające w stosunku do osób dorosłych, quasi-karę (ściśle pedagogiczną karę) oraz środki wychowawcze w stosunku do nieletnich; ostatnie odpowiadają środkom zabezpieczającym w stosunku do osób dorosłych. Jak już zaznaczono, podział sankcyj na kary i środki zabezpieczające wiąże się ściśle z kompromisem między czystym klasycyzmem, znającym tylko kary, a krańcowym pozytywizmem, znającym tylko środki obrony społecznej (zabezpieczające). Podkreślić należy, że u podstaw tych sankcyj nie wszystko jest w zupełności wyjaśnione. Moderniści, opierając się słusznie na fatalnych rezultatach kary, o charakterze czysto odwetowym (kara jako odpłata) stwierdzają w sposób zupełnie jasny, że nowoczesna kara winna być wolna od wszelkich elementów odpłaty i wstawiają się silnie i skutecznie za karą wychowawczą (pedagogika więzienna), która naturalnie musi się łączyć z zbadaniem indywidualności sprawcy (z punktu widzenia bio-socjologicznego), z odpowiednią segregacją więźniów, stosownie do ich ustroju psycho-fizycznego, stopnia społecznego niebezpieczeństwa i t. d. Uznając w całej pełni trafność nowoczesnej ideologji

kryminalnej, która może da lepsze rezultaty niż dotychczasowa, bezplanowa kara odwetowa, ograniczająca się do wymierzenia pewnej dolegliwości *quia peccatum est* bez wewnętrznej skruchy i bez przeświadczenia o konieczności ekspiacji, którą chciano wymusić, należałoby jednak podnieść pewne zastrzeżenia natury czysto logicznej, której wszak i w praktycznych dążeniach pominąć nie wolno. Jeśli nowoczesna kara nie ma być karą „odwetową", ale wyłącznie karą „celową" (społeczna poprawa przestępcy), to nasuwa się jedno poważne pytanie, jaka różnica zachodzi między karą celową a środkiem zabezpieczającym, będącym wszak *par excellence* instytucją celową, skoro dolegliwość, związana z jego przymusowem wykonaniem, nie jest bynajmniej zamierzona, ale złem koniecznem, nie dającem się wyeliminować. Przeciwstawienie kary odwetowej karze celowej doprowadza do konkluzji, że istota kary leży poza przymiotnikami „odwetowy" i „celowy", i przez te czynniki zostaje w specyficzny sposób zabarwiona. Tymczasem nikt nie jest w stanie określić istoty kary, która może być albo karą odwetową, albo karą celową, z tego prostego powodu, że integralnym momentem pojęcia kary jest właśnie „odwet", „odpłata". Wobec tego zaś określenie „kara odwetowa" jest zwykłym pleonazmem, zaś termin „nieodwetowa kara celowa" kryje w sobie wewnętrzną sprzeczność, gdyż nieodwetowa kara nie istnieje, czyli nieodwetowa kara celowa jest niczem innem jak społeczno-wychowawczym środkiem zabezpieczającym (sankcją), zaprzeczeniem samej kary. Jeśli więc zwolennicy nowych prądów penitencjarnych odrzucają karę jako odwet, zastępując ją sankcjami zabezpieczającemi, to są konsekwentni, jeśli natomiast przyjmując *nolens volens* dwutorowość represji w formie kar i środków zabezpieczających, karę ogałacają z elementu odpłaty, będącego jej pojęciowym składnikiem, to całe odróżnienie kar i środków zabezpieczających redukują do różnicy w samej li tylko nazwie. Jak dalece ten element odwetu nie da się wyeliminować z pojęcia kary, tego dowodem może być twierdzenie M a k o w s k i e g o, który, odrzucając pojęcie kary odwetowej, przyznaje, że represja karząca jest konsekwencją przestępstwa, jego odpowiednikiem w porządku prawnym, jego „potępieniem spo-

łecznem". Środek zabezpieczający nie jest wyrazem potępienia społecznego, i właśnie dlatego nie jest karą, ale kara nieodwetowa, która byłaby mimo to wyrazem potępienia społecznego jest nie do pomyślenia, gdyż zwrot „potępienie społeczne" jest tylko innem określeniem pojęcia odwetu. Albo więc odrzucić należy samą karę, co niekoniecznie musi się łączyć z przyjęciem zasady nieodpowiedzialności sprawcy z punktu widzenia moralnego, z brakiem winy i t. d., a wtedy można mówić o sankcji społeczno-wychowawczej, o instytucji czysto celowej, o tem co miał na myśli Liepmann, gdy przeciwstawiając się represyjnej karze wychowawczej, propagował karę (?) pozytywno-ewolucyjną, albo przyjmując karę obok środków zabezpieczających musi się tę karę ująć jako (odwetowo-, represyjno-) wychowawczą, co może z punktu widzenia pedagogicznego jest do zakwestjonowania, ale w każdym razie wynika logicznie z samych założeń.

Jeśli już określenie nieodwetowej kary wychowawczej nastręcza pewne trudności i wątpliwości, to sprawa komplikuje się jeszcze bardziej przy „*quasi*-karze", jaką jest zakład poprawczy, stosowany wobec nieletnich, którzy w wieku między 13 a 17 rokiem życia popełnili czyn zabroniony pod groźbą kary, i to z rozeznaniem, to znaczy osiągnąwszy ten stopień rozwoju umysłowego i moralnego, że mogli rozpoznać znaczenie czynu i pokierować swem postępowaniem (co musi być w każdym konkretnym wypadku stwierdzone). Z jednej bowiem strony nie chce się karać nieletniego, nawet w formie stosowania do niego tej „nieodwetowej kary celowej" (jaką stosuje się do osób dorosłych), z drugiej strony niemożność stosowania zakładu poprawczego określa się jako „nieuleganie karze", z trzeciej wreszcie strony zakładowi poprawczemu przeciwstawia się zakład wychowawczy (czy wogóle środki wychowawcze), które są rodzajem środków zabezpieczających. Jak więc z tego widać, zakład poprawczy nie jest nawet nieodwetową karą celową, ale nie jest i czystą sankcją wychowawczą, jest instytucją *par excellence* poprawczą, ale nie jest instytucją *par excellence* wychowawczą. Przy takim stanie rzeczy trudno ten zakład poprawczy scharakteryzować inaczej jak przez niezmiernie

mało mówiący termin „*quasi*-kara, skomplikowany jeszcze przez samo ujęcie kary (o czem była mowa poprzednio).

Jako kary zasadnicze wchodzą w grę: kara śmierci (w 5 wypadkach z pominięciem postępowania doraźnego), która występuje jednak zawsze alternatywnie obok kary dożywotniego więzienia i kary czasowego więzienia powyżej 10 lat, tak że sędzia ma szeroką swobodę w wyborze właściwego środka karnego i kary śmierci stosować nie musi, — kara pozbawienia wolności w więzieniu na okres od 6 miesięcy do 15 lat lub dożywotnio, — kara pozbawienia wolności w areszcie od 1 tygodnia do 5 lat, — kara grzywny od 5 do 200.000 zł. Kara więzienia łączy się z pracą według wskazań zarządu, kara aresztu z pracą według własnego wyboru (tylko ewentualnie wchodzi w grę praca wyznaczona przez zarząd). Za przestępstwo popełnione z niskich pobudek może być w zasadzie orzeczona tylko kara więzienia (bliższe szczegóły muszą tu być pominięte); jeśli przestępstwo popełnione zostało z chęci zysku, sędzia obok kary pozbawienia wolności, przepisanej w ustawie, wymierza grzywnę, chyba że skazanie na grzywnę nie byłoby celowe. Zapłata grzywny może być odroczona lub rozłożona na raty, w razie nieściągalności zamienia się ją na pracę na rachunek grzywny, a dopiero, gdy ta zamiana jest niemożliwa, wstępuje w miejsce grzywny kara pozbawienia wolności, przez co kara grzywny traci swój charakter kary klasowej (dla sfer posiadających).

Jako kary dodatkowe wchodzą w grę: utrata praw publicznych, obywatelskich praw honorowych, prawa wykonywania zawodu, praw rodzicielskich i opiekuńczych, przepadek przedmiotów majątkowych i narzędzi, ogłoszenie wyroku w pismach. Utrata wspomnianych praw jest trwała lub czasowa, w ostatnim wypadku możliwa jest wcześniejsza rehabilitacja ze strony sądu.

Co się tyczy wymiaru kary, to podkreślić należy, że kodeks karny silnie uwypukla moment dostosowania kary do subjektywnej strony przestępstwa, do całej indywidualności przestępcy, aby tą drogą należycie zabezpieczyć społeczeństwo. I tutaj jednak nasuwają się zastrzeżenia, związane z dualizmem środków represyjnych. Kodeks operujący

tylko środkami zabezpieczającemi musi się ograniczyć do stosowania tych środków wedle wskazań stanu niebezpieczeństwa, czyli stopnia niebezpieczeństwa, grożącego ze strony sprawcy. Kodeks operujący tylko karami *sensu stricto* musi wymiar kary stosować do stopnia „zawinienia". Kodeks dwutorowy musi zastosowanie środków zabezpieczających uzależnić od stopnia niebezpieczeństwa, zaś wymiar kary od stopnia winy, natomiast nie może wymiaru kary uzależnić wyłącznie od stopnia społecznego niebezpieczeństwa, gdyż kara niedostosowana do winy jest ze względu na tkwiący w niej element odpłaty karą niesprawiedliwą, chyba że kara nie jest właśnie karą, ale zakapturzonym środkiem zabezpieczającym. Że przy wymiarze kary nie uwzględniono momentu „winy" jest aż nazbyt wymowną ilustracją twierdzenia, że kara jest karą nieodwetową, czyli właśnie nie karą.

Poza zwyczajnym wymiarem kary przewidziany jest również nadzwyczajny wymiar kary i to w kierunku łagodzącym, w całym szeregu wypadków, określonych wyraźnie w ustawie (a to znów w szczególności ze względów subjektywnych), oraz w kierunku obostrzającym (powrót do przestępstwa, zawodowe i nałogowe popełnienie przestępstw). Jeśli się zważy, że w tych ostatnich wypadkach możliwa jest 50 % podwyżka kary, a w razie trzechkrotnej recydywy, zawodowego i nałogowego popełnienia przestępstw możliwe jest oddanie do zakładu dla niepoprawnych po odbyciu kary, i to na czas nieograniczony (a więc i dożywotnio), to przyznać trzeba, że kod. kar. w sposób zgodny z wymogami zabezpieczenia społeczeństwa załatwił się z największą plagą ludzkości, jaką stanowią najgroźniejsze elementy zbrodnicze.

Nowoczesne tendencje kryminalno-polityczne znalazły swój pełny wyraz w szeroko stosowanej instytucji warunkowego zawieszenia wykonania kary (do dwóch lat pozbawienia wolności) wtedy, gdy przypuszczać należy, że mimo niewykonania kary przestępca nie popełni nowego przestępstwa, a to pod grozą miecza Damoklesa, zawieszonego nad nim w formie wykonania kary w razie popełnienia nowego przestępstwa z tych samych pobudek lub tego samego rodzaju, względnie złego prowadzenia się (pojęcie dość szerokie) lub

niewykonania nałożonych na niego obowiązków. Dodać jeszcze należy, że z krajów anglosaskich przejęto możliwość oddania osoby, znajdującej się warunkowo na wolności, pod dozór ochronny (probacja) osób lub instytucyj, zasługujących na zaufanie, a więc nie policji (dozór policyjny), skoro dozór ze strony władz administracyjnych z zrozumiałych powodów wydał w praktyce jaknajgorsze rezultaty pod kątem widzenia resocjalizacji przestępcy. Z punktu widzenia nowoczesnej polityki penitencjarnej tłumaczy się też warunkowe zwolnienie osoby, odbywającej karę pozbawienia wolności, skoro takie warunkowe zwolnienie jest wszak ostatnim etapem progresyjnego wykonywania kary pozbawienia wolności według idei etapowego uspołecznienia przestępcy. Cofnięcie tego przywileju uregulowane jest identycznie jak cofnięcie warunkowego zawieszenia, identycznie unormowana jest również kwestja dozoru ochronnego. Z warunkowem zawieszeniem oraz zwolnieniem spotykamy się również o ile chodzi o zakład poprawczy dla nieletnich, odchylenia w szczegółach tłumaczą się odrębnem traktowaniem nieletnich. Najdalej idącym przywilejem, który udzielić może sędzia jest „sędziowskie darowanie kary", możliwe w wypadkach szczególnie wymienionych w ustawie, a zasługujących w całej pełni na to, aby ograniczyć się do stwierdzenia przestępstwa, sprawcę zaś w całej pełni usprawiedliwić. Co do nieletnich ekwiwalentem sędziowskiego darowania kary jest możliwość nieoddania młodocianego przestępcy do zakładu poprawczego i zadowolenia się zastosowaniem środków wychowawczych. Wychowawczy cel kary ujawnia się również w instytucji rehabilitacji ze strony sądu, zarówno o ile chodzi o wcześniejsze przywrócenie skazanemu praw publicznych, honorowych i t. d., jak i o ile chodzi o zatarcie kondemnaty, które oczyszcza skazanego z wszelkich śladów represji karnej. Dodać tylko należy, że niecofnięcie warunkowego zawieszenia wykonania kary powoduje zupełną rehabilitację (zatarcie skazania) odnośnie do osób dorosłych i nieletnich; co do tych ostatnich ten sam skutek wywołuje zastosowane z powodzeniem warunkowe zwolnienie z zakładu poprawczego (warunkowe zwolnienie dorosłego nie wywołuje tego skutku).

Najdalej idącą nowością w kod. kar. są środki zabezpieczające, nie będące karami, a służące jedynie społecznemu zabezpieczeniu. Zastosowanie tych środków, które łączy się z stwierdzeniem potencjonalnej energji kryminalnej (stan niebezpieczeństwa) wchodzi w grę w następujących wypadkach:

a) Jeżeli sprawca jest nieodpowiedzialny z powodu niedorozwoju umysłowego, choroby psychicznej lub innego zakłócenia czynności psychicznej, jeśli więc ukaranie jest niemożliwe; w tych wypadkach sąd zarządza umieszczenie w zakładzie dla psychicznie chorych albo w innym zakładzie leczniczym;

b) Jeżeli u sprawcy zachodzi umniejszona poczytalność, sąd może zarządzić umieszczenie go w zakładzie dla psychicznie chorych. O ile taki sprawca, jako tylko w niższym stopniu „poczytalny", został ukarany (łagodniej), to o tem, czy kara ma być wykonana, decyduje sąd po zwolnieniu z zakładu. Środek zabezpieczający może więc tu zastąpić karę, bądź też się z nią skumulować.

ad a) i *b)* Czas pobytu w zakładzie nie zostaje zgóry określony *(indeterminate sentence),* zależny więc jest od stanu zdrowotnego internowanego.

c) Jeżeli czyn pozostaje w związku z nadużywaniem napojów wyskokowych lub innych narkotyków, sąd może orzec, by po ew. odbyciu kary (o ile sprawca był poczytalny w chwili dokonania czynu) umieszczono go w odpowiednim zakładzie leczniczym na przeciąg (maksymalnie) dwóch lat.

d) Jeżeli czyn pozostaje w związku ze wstrętem do pracy, sąd może zarządzić, by po odbyciu kary umieszczono przestępcę w domu pracy przymusowej na przeciąg (maksymalnie) pięciu lat.

e) O zakładzie dla niepoprawnych była już mowa powyżej.

f) Kary dodatkowe, jak utrata prawa wykonywania zawodu, praw rodzicielskich, przepadek narzędzi i przedmiotów majątkowych mogą być stosowane w charakterze środka zabezpieczającego, jeżeli sprawcę czynu zabronionego pod groźbą kary uznano za nieodpowiedzialnego.

O ile chodzi o nieletnich, to odpowiednikiem środków zabezpieczających są środki wychowawcze jak: upomnienie, oddanie pod dozór odpowiedzialny rodzicom, dotychczasowym opiekunom lub specjalnemu kuratorowi albo umieszczenie w zakładzie wychowawczym. Środki te stosuje się wtedy, gdy nieletni jest nieodpowiedzialny (brak rozeznania), bądź też, mimo że jest odpowiedzialny, nie zostaje oddany do zakładu poprawczego, względnie zostaje z takiego zakładu zwolniony.

Co się tyczy wykonania tych zupełnie nowocześnie pomyślanych przepisów, to nie można pominąć faktu, że część tych norm znajduje się jeszcze w zawieszeniu, a to wobec tego, że niema jeszcze odpowiednich zakładów (dla narkomanów, dla wykazujących wstręt do pracy, dla niepoprawnych). Również w całej pełni niewykonalne są narazie przepisy o zakładach poprawczych, a i sam ustrój penitencjarny w więzieniach wymaga jeszcze daleko idącej reformy, począwszy od budowy nowoczesnych zakładów karnych, i to w większej ilości, z uwzględnieniem postulatów nowoczesnej polityki penitencjarnej, a skończywszy na zorganizowaniu odpowiednio wyszkolonego personelu więziennego (od najwyższego do najniższego). Dopiero z chwilą przeprowadzenia tych reform, wymagających wielkiego nakładu pieniężnego, z konieczności chwilowo tylko papierowy postęp zmieni się w rzeczywiste wkroczenie na nowe drogi.

Po skrótowem scharakteryzowaniu przepisów natury ogólnej należałoby przejść do omówienia części szczególnej, której ilustracja musi być jednak ze względu na ramy tego artykułu ograniczona do minimum. Część szczególna obejmuje: zbrodnie stanu, przestępstwa przeciw interesom zewnętrznym Państwa i stosunkom międzynarodowym, przeciwko zrzeszeniom prawa publicznego, przeciwko głosowaniu w sprawach publicznych, przeciwko władzom i urzędom, przestępstwa fałszywego zeznania, przestępstwa przeciwko wymiarowi sprawiedliwości, przestępstwa uwolnienia pozbawionego wolności, przestępstwa przeciwko porządkowi publicznemu, przeciw uczuciom religijnym, przestępstwa fałszowania pieniędzy, papierów wartościowych, znaków urzędowych i narzędzi mierniczych, przestępstwa przeciwko do-

kumentom, przeciwko stanowi cywilnemu i dowodom tożsamości, przeciwko małżeństwu, przeciwko opiece i nadzorowi, przestępstwa nierządu, sprowadzenia powszechnego niebezpieczeństwa, przestępstwa przeciwko urządzeniom użyteczności publicznej, przeciwko życiu i zdrowiu, przeciwko wolności, przestępstwa naruszenia tajemnicy, zniewagi, przestępstwa przeciwko mieniu, na szkodę wierzycieli, oraz przestępstwa urzędnicze.

Nie mogąc omówić wszystkich poszczególnych ustawowych stanów faktycznych, niech wolno będzie dotknąć kilku kwestyj t. zw. „drażliwych", które obracają się około stosunku kod. kar. do kwestyj religijnych.

Wpierw przedstawić należy przepisy o ochronie uczuć religijnych i wolności religijnej, w szczególności podkład, na którym je zbudowano, a to wobec tego, że nasuwa się pytanie, czy ich konstrukcja pozostaje w zgodzie z art. 114 Konstytucji. Wedle tego artykułu wyznanie rzymsko-katolickie, będące religią przeważającej większości narodu, zajmuje naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań; kod. kar. w art. 173 i 174, dotyczących ochrony uczuć religijnych (i wolności religijnej), mówi jedynie o prawnie uznanych wyznaniach i związkach religijnych, nie wyróżniając w żadnym kierunku religji katolickiej. Pomijając w zupełności kwestję prestiżową (której możnaby zadośćuczynić przez wymienienie na pierwszem miejscu religji katolickiej i następnie dodanie innych prawnie uznanych wyznań oraz związków religijnych, nie zmieniając przez to nic w samym sensie), należałoby może zwrócić uwagę na następujące momenty, które przypuszczalnie zdecydowały o takiem ujęciu sprawy. W myśl art. 114 Konstytucji wszystkie wyznania są równouprawnione, jednakowoż Kościołowi rzymsko-katolickiemu przysługuje stanowisko naczelne *(primus inter pares)*. Z takiem postawieniem kwestji ustawodawca musi się liczyć, czyli musi uwzględniać i moment równouprawnienia i moment dominującego stanowiska pewnej religji. Aby zadośćuczynić tym dwom postulatom odróżnia on dwie grupy norm prawnych. Pierwsza grupa ma charakter „pozytywny", dotyczy więc dodatniego podkreślenia momentów religijnych; tu manifestuje się pewna łączność państwa z religją. W tej

grupie norm prawo musi szanować równouprawnienie wyznań, jednak równocześnie musi manifestować szczególną łączność z (dominującą) religją rzymsko-katolicką. Druga grupa norm ma charakter raczej negatywny, nie chodzi tu o pozytywne popieranie, ale o ochronę przed akcją negatywną, czyli szkodzeniem. W tej drugiej grupie ustawodawca liczy się tylko z równouprawnieniem, a nie ze stanowiskiem naczelnem jednej religji dlatego, ponieważ zasada równouprawnienia wymaga, by wszystkie wyznania były w równy sposób chronione, tak, by w ramach tej zagwarantowanej wolności mogły się rozwijać dane wyznania, ew. w sposób dominujący. Skoro przepisy karne o wolności religji i ochronie uczuć religijnych nie mają charakteru pozytywnego popierania religji przez państwo, ale dotyczą jedynie ochrony przed ewentualną negacją, przeto ustawodawca uważał, że nie może manifestować tutaj szczególnej łączności z religją katolicką bez nadwyrężenia zasady równouprawnienia wyznań. Przy takiem stanowisku ustawodawcy szczególna ochrona Kościoła rzymsko-katolickiego nie dała się przeprowadzić.

Należałoby jeszcze zwrócić uwagę na następującą kwestję. Często wysuwa się ten argument, że taka deklaracja, nie tyle bezwyznaniowości ile międzywyznaniowości państwa jest szkodliwa z punktu widzenia interesów Kościoła, a to wobec tego, że tłumaczoną być może jako stwierdzenie zasady, że wszystkie wyznania mają identyczny walor. Niewątpliwie w szczególności religja katolicka musi się ostro przeciwstawiać takiemu ujęciu, skoro stoi ona na stanowisku bezwzględnej wyłączności jedynie prawdziwej religji. Niewątpliwie należyte popieranie interesów Kościoła przez Państwo, a *eo ipso* interesów Państwa przez Kościół, daje najwięcej korzyści obu stronom, jednakowoż cały ten problem znów występuje w sferze forsowania momentów pozytywnych, ale nie w obrębie zwalczania zjawisk negatywnych, gdzie raz przyjęta zasada równouprawnienia wszystkich wyznań nie pozwoliła ustawodawcy na deklarowanie się za jakiemś wyznaniem. Wreszcie należałoby zaznaczyć, że wspomniane przepisy ujęte zostały przez kodyfikatorów jako normy chroniące „uczucia religijne", ze względu na potrzeby po-

rządku społecznego. Przedmiotem ochrony nie są ani „Bóg" ani „boskie instytucje", które wszak żadnej ochrony ze strony ludzkiego prawa nie potrzebują, a których obraza traktowana być może li tylko z punktu widzenia religijnego, ale porządek publiczny oraz indywidualne uczucia religijne. Przy takim zaś kącie patrzenia, który bynajmniej nie ubliża boskości religji, ustawodawca uważał, że nie może szczególnie wyróżniać Kościoła katolickiego, gdyż każde uczucie religijne zasługuje na identyczny szacunek (znów naturalnie o ile chodzi o stronę negatywną).

W związku z tem chciałbym zwrócić uwagę na inne przestępstwo, które może nasunąć pewne wątpliwości. Wedle kod. kar. przestępstwem jest zeznanie przed sądem lub inną władzą nieprawdy lub zatajenie prawdy. Warunkiem odpowiedzialności jest: uprzedzenie zeznającego o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, bądź odebranie od niego przysięgi albo zapewnienia, zastępującego przysięgę. Nad tem ujęciem warto się nieco zastanowić i to właśnie z punktu widzenia religijnego. Kodeks stawia narówni: uprzedzenie o odpowiedzialności za fałszywe zeznania, odebranie przysięgi i zapewnienie, zastępujące przysięgę. To zapewnienie dotyczy osób bezwyznaniowych (nie *de facto*, ale *de iure*), oraz członków tych wyznań, którym nie wolno składać przysięgi, przyczem państwo respektuje ten zakaz religijny. Wedle naszych ustaw procesowych członkowie wyznań religijnych mogą być zmuszeni do składania przysięgi, przyczem ta przysięga łączy się z powołaniem się na Najwyższą Istotę, na Boga. Powołanie się na Boga jest więc istotnym momentem przysięgi. Warto wspomnieć, że w Niemczech o tyle zlaicyzowano przysięgę, że narówni z przysięgą religijną (powołaniem się na Boga) postawiono samą formułę „przysięgam" bez powołania się na Boga; takie ujęcie sprawy, aż nazbyt tendencyjnie zdradzające zapędy laicyzmu, jest co najmniej dziwne, i to z punktu widzenia logicznego. Wszak jest rzeczą zupełnie jasną, że „przysięga" bez powołania się na „Boga" nie jest żadną przysięgą, ale tylko uroczystem zapewnieniem, przyrzeczeniem; nazwanie zaś takiego przyrzeczenia „przysięgą" ze względu na „słowo" „przysięgam", z wyłączeniem właściwej treści, jest czystem zachowaniem

pozorów przez sekularyzację instytucji, która poza ramami religijnemi wprost istnieć nie może. W Polsce z przysięgą łączy się w sposób istotny powołanie się na Boga; zapewnienie bez powołania się na Boga nie jest przysięgą, ale zapewnieniem, zastępującem przysięgę, a takie stanowisko jest logicznie trafne. Państwo, chcąc wydobyć od członka wyznania religijnego prawdę, nie cofa się przed przymusowem wykorzystaniem jego wierzeń, przez to że „zmusza" go do złożenia zeznań z powołaniem się na Boga, wiedząc o tem dobrze, że prawdziwie wierzący człowiek cofnie się przed krzywoprzysięstwem właśnie ze względów „religijnych". Niewątpliwie w tym przymusie do złożenia przysięgi niema przymusu do udziału w czynnościach i obrzędach religijnych, który to przymus jest zakazany po myśli art. 112 Konst., bo wszak złożenie przysięgi nie jest aktem *par excellence* religijnym, ale tylko posługiwaniem się wierzeniem, i to z pominięciem wszelkich różnic religijnych (motywy mówią tu dość nieściśle o akcie „międzywyznaniowym", a nie religijnym, by uzasadnić możliwość przymusu, podczas kiedy w rzeczywistości niedostosowanie przysięgi do wszystkich wyznań decyduje o możliwości wywarcia przymusu, ale tylko ten moment, że cały akt przysięgi jest jedynie oparciem się na wierzeniach, ale nie jakimś aktem religijnym). W każdym razie przymusowemu wykorzystaniu wierzeń religijnych przy operowaniu obowiązkową przysięgą zaprzeczyć nie można. Jeżeli więc Państwo zużytkowuje dla swych celów wierzenia czyli przekracza ramy bezwzględnego laicyzmu, to wydawałoby się, że powinno z tego wyciągnąć konsekwencje i fałszywą przysięgę traktować inaczej niż zwyczajne złożenie fałszywych zeznań. Tymczasem tak właśnie nie jest, skoro kod. karny nie zmusza sędziego do surowszej oceny krzywoprzysięstwa. Wydaje się, że z punktu widzenia i to jakiejkolwiek religji takie ujęcie nie jest trafne. Państwo powinno albo zrezygnować z przymusowej „przysięgi" albo powinno krzywoprzysięstwo karać przykładniej, nie naturalnie dlatego, że obrażono Boga, ale z tego prostego powodu, że zużytkowuje się wierzenia dla celów państwowych, wobec tego obraza tych wierzeń powinna być szczególnie uwzględniana. Przy przestępstwach przeciwko

uczuciom religijnym szczególnym przedmiotem ochrony są właśnie te uczucia i swoboda wykonywania praktyk ze względu na porządek publiczny. Jeśli Państwo chroni takie dobro, licząc się z rzeczywistością społeczną, choć w zasadzie nikogo nie zmusza do przynależności do związku religijnego czy też do posiadania uczuć religijnych, to powinno się również liczyć z potrzebą ochrony tych dóbr przez szczególną kwalifikację przestępstwa tam, gdzie obok bezwyznaniowej instytucji posługuje się i przymusowem wykorzystywaniem uczuć religijnych.

Szczególnie drażliwa jest kwestja spędzenia płodu, a to wobec przepisu art. 233, który w ostatniej redakcji projektu doprowadzał do zupełnej bezkarności spędzenia płodu, obecnie ogranicza brak przestępności czynu do wypadku zabiegu, dokonanego przez lekarza, a to bądź wobec konieczności ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, bądź wobec tego, że ciąża jest wynikiem przestępstw z art. 203 (nierząd z osobą poniżej lat 15 lub osobą niepoczytalną, bądź nie w całej pełni poczytalną), art. 204 (zgwałcenie), art. 205 (nierząd przy nadużyciu stosunku zależności lub przy wyzyskaniu krytycznego położenia), art. 206 (kazirodztwo).

Z punktu widzenia prawnego odróżnić należy wypadek pierwszy od następnych. Pierwszy przedstawia się w zasadzie jako przejaw tak zw. „wyższej konieczności", znanej kod. kar. na podstawie art. 22, o ile naturalnie podciągnie się tu (zgodnie z intencją ustawodawcy) te zresztą w każdym razie wyjątkowe wypadki, w których ciąża połączona jest z niebezpieczeństwem dla życia czy (naturalnie w poważnym stopniu, o czem zresztą poniżej) zdrowia matki. Sytuację tę charakteryzuje kolizja dwóch interesów, z których tylko jeden może być uratowany kosztem drugiego. Mając do wyboru poświęcenie albo życia czy zdrowia matki, albo życia płodu, prawo zezwala na postępowanie zgodne z instynktem samozachowawczym (matki), względnie ocenia wyżej z punktu widzenia społecznego życie i zdrowie matki od życia płodu. Nie znaczy to bynajmniej, by prawo „pochwalało" tego rodzaju postępowanie, by wogóle działanie w wyższej konieczności, ratowanie własnego życia i zdrowia kosztem życia

drugiej osoby (płodu) miało być czynem „etycznym", prawo nie widzi tylko podstaw do obłożenia takich działań sankcjami karnemi, wychodząc z założenia, że działanie w takiej kolizji nie może stanowić podstawy prawnego zarzutu, względnie nawet nie sprzeciwia się interesowi prawa, o ile tylko interes bardziej wartościowy (życie czy zdrowie matki) ratowany zostaje kosztem interesu mniej wartościowego (jeszcze niesamodzielne życie płodu).

Kod. kar. mówi o konieczności zabiegu ze względu na zdrowie matki. Takie sformułowanie nie jest dość ścisłe i pewne. Dlatego też przepisy o prawie wykonywania praktyki lekarskiej uzupełniły tę normę w tym kierunku, że konieczność spędzenia musi być stwierdzona przez dwóch lekarzy. Należy już naturalnie do obrębu etyki lekarskiej, aby ta indykacja była wykonywana w sposób zgodny z intencją ustawodawcy. Pozatem należało chyba silniej podkreślić, że chodzi tu o niebezpieczeństwo śmierci oraz bardzo poważnej choroby, czyli o takie niebezpieczeństwo, które w znacznej mierze przekracza niebezpieczeństwo połączone z porodem wogóle. W każdym razie jest rzeczą niedopuszczalną, aby pod osłoną tego przepisu dokonywano zabiegów w myśl bardzo liberalnych poglądów na tę tak ważną kwestję.

Na innej karcie zapisać należy drugą grupę zwolnień od karalności. Tutaj nie może być mowy o wyższej konieczności, ale w grę wchodzą innego rodzaju momenty, jak ciąża spowodowana bezprawnym stosunkiem cielesnym (w zasadzie wbrew woli kobiety), a o ile chodzi o kazirodztwo (w tych wyjątkowych wypadkach, w których nie łączy się ono z nadużyciem stosunków zależności) także i momenty eugeniczne, przyczem jednak pierwszy moment niewątpliwie przeważa. Wedle uzupełniających przepisów prawa o wykonywaniu praktyki lekarskiej dokonanie zabiegu musi wyprzedzić stwierdzenie prokuratora, że zachodzi uzasadnione podejrzenie, iż ciąża jest wynikiem jednego z cytowanych przestępstw. W przeciwieństwie do spędzenia na tle zdrowia matki druga grupa obejmuje wypadki sporadyczne, stanowiące znikomy procent w całym problemie spędzenia. Prawo poświęca tu życie płodu, nie poczuwając się do obowiązku

zmuszania kobiety do donoszenia go zapomocą kar, jeśli ciąża jest wynikiem przestępstwa. Znowu naturalnie nie chodzi tu o momenty moralne i religijne, o etyczną pochwałę takiego czynu, ale jedynie o podstawy do stosowania reakcji w formie kary. Prawo wymaga jedynie minimum uczciwości, potrzebnej ze względu na współżycie z innymi; wszak moralność postępowania nie da się osiągnąć sankcjami karnemi. Tak jak kodeks karny nie jest kodeksem etycznego postępowania, a człowiek nie popełniający żadnego przestępstwa nie musi być człowiekiem etycznym, może być nawet osobnikiem w najwyższym stopniu nieetycznym, tak i uznanie pewnych czynów jako prawnie nie niedozwolonych nie zmienia kwalifikacji tych czynów z punktu widzenia moralnego czy religijnego. Stanowisko Kościoła w tej sprawie jest znane i pod każdym względem konsekwentne, zmiana jego poglądu jest niemożliwa. Z punktu widzenia religijnego płód w łonie matki jest czemś więcej niż częścią jej ciała, jego życie, choć fizycznie niesamodzielne, jest jednak życiem nieurodzonego jeszcze człowieka, a tem samem łączy się z problemem dualizmu duszy i ciała. Normy etyczno-religijne wymagają znacznie więcej niż normy prawne, nie kapitulują przed ludzką ułomnością, skoro nie są nastawione na życie doczesne. Normy religijne wymagają i heroizmu, a do chwiejności i względności życia wprowadzają element bezwględny, niezmienny, którego wyrazem jest absolutna etyka chrześcijańska. Tem się tłumaczy zgoła odrębny punkt widzenia i trudności w sharmonizowaniu obu poglądów. To posuwanie się po dwóch różnych torach nie jest wolne od niebezpieczeństw. Nie można zaprzeczyć temu, że legalizowanie pewnych czynów może wywołać zgoła błędne przekonanie, iż czyn taki jest pod każdym względem nienaganny. Temu należy się przeciwstawić, i to z całą powagą. I tu otwiera się szerokie pole dla działalności etyczno-wychowawczej, zmierzającej w kierunku umacniania przekonań etycznych i godzenia się z ciężkiemi obowiązkami i ofiarami, jakie życie doczesne nakłada.

W każdym razie w całym problemie spędzenia płodu nie chodzi o konflikt między normami Kościoła a normami prawa państwowego w tym sensie, by prawo wymagało

czegoś, co Kościół potępia (prawo nie nakazuje spędzenia, sprzecznego z przepisami religji i etyki), ale tylko o niepopieranie zakazów, uzasadnionych z punktu widzenia Kościoła autorytetem państwowych sankcyj karnych, a to nie wobec odmiennej oceny tych czynów w tym sensie, że prawo czyn z punktu widzenia etycznego i religijnego godny potępienia uznaje za czyn dodatni, ale tylko w tym, że takiego czynu nie traktuje jako zasługujący na sankcję karną. Rozbieżność odnosi się więc jedynie do kwestji udzielenia ochrony prawnej pewnej zasadzie religijno-moralnej. Brak tej ochrony musi ze strony Kościoła spowodować wzmożoną działalność w kierunku etycznego i religijnego wyrównania tej luki.

Na zakończenie tej krótkiej charakterystyki kod. kar. należałoby dodać jeszcze pewne uwagi natury całkiem ogólnej. Przepisy prawne z ery liberalistycznego państwa prawnego odznaczały się jaknajwiększem skrępowaniem sędziego, który w imię zagwarantowanej wolności indywidualnej miał być pewnego rodzaju automatem, wymierzającym sprawiedliwość przez podciągnięcie danej sytuacji pod wyraźny przepis ustawy. Jak dalece odbiegliśmy od tych czasów, tego najlepszym przejawem na gruncie kod. kar. jest niezwykle daleko posunięta „swoboda“ sędziego. Sędzia bowiem przestał być *par excellence* automatem sprawiedliwości, jak państwo przestało być li tylko gwarantem wolności obywatelskiej. Sędzia spełnia funkcję społeczną, nawet w granicach wymiaru sprawiedliwości spełnia funkcję „administracyjną“, dba o „pomyślność“ społeczeństwa, tem samem zaś musi mieć swobodę, jaka cechuje działalność administracyjną (swobodne uznanie). Tem samem jednak powstaje nowy bardzo ważny problem: im większa jest sfera wolności sędziego, tem większa musi być gwarancja należytego wykonywania urzędu tylko pod kątem widzenia społecznej pomyślności, tem większe musi być zaufanie społeczeństwa do sędziego. Zadania, jakie spełniać musi obecny sędzia karny, wysuwają jako postulat nieodzowny żądanie, by wymiar karząco-zabezpieczającej sprawiedliwości znalazł się w ręku sił pod każdym względem pierwszorzędnych, wybieranych nie pod kątem widzenia, czy są gorszymi prawnikami, nienadającymi

się do prawniczo bardziej zawiłych zagadnień prawa cywilnego, ale pod kątem widzenia zdatności do tak ważnej funkcji społecznej, jaką jest salutystyczny wymiar sprawiedliwości, zdatności pod względem rozumu i serca, wykształcenia i zamiłowania. Tylko specyficzna elita sędziowska, rozumiejąca w całej pełni doniosłość danej funkcji społecznej, moralnie i materjalnie niezależna, stanowić musi jedynie wystarczającą gwarancję należytego spełniania tego tak ważnego zadania.

Prof. Dr. Władysław Wolter.

Powstanie państwa Mandżou-go.

Sądzę, że nie popełnię przesady twierdząc, że niema obecnie na świecie ani jednego człowieka, przynajmniej z pośród tych, którzy chociażby kilkanaście razy do roku biorą do rąk prasę codzienną, któryby nie słyszał o sprawie mandżurskiej i nie zdążył wyrobić sobie o niej mniej lub więcej ustalonego zdania. Jest to zupełnie zrozumiałe, bo oto już drugi rok wszystkie pisma stale podają alarmujące wieści z Mandżurji i z wieści tych czasem w formie mglistej, czasem coraz wyraźniej, ale niezmiennie i uporczywie wyłania się groźba nowej wielkiej wojny, która może zaciężyć na losach świata. W związku z tem daleka i mało nam znana Mandżurja staje się dla nas bliższą i wszystko, co się tam dzieje obecnie, zasługuje na naszą największą uwagę.

Bezpowrotnie minęły te czasy, kiedy każde państwo prowadziło swoją indywidualną politykę, zazwyczaj opartą na sile i kiedy wojny stanowiły rodzaj pojedynków między dwoma współzawodnikami w milczącej asystencji sekundantów i świadków. Wielka wojna światowa wprowadziła na arenę walki nowy czynnik decydujący — opinję międzynarodową i właśnie ta opinja, jednocząc większość świata w obozie antyniemieckim, spowodowała katastrofę Hohenzollernów i Habsburgów i załamanie się ich planów zaborczych. Interesy zaś polityczne i ekonomiczne świata powojennego tak się poprzeplatały ze sobą, że żadne państwo obecnie nietylko nie może uczynić ważniejszego posunięcia w polityce zewnętrznej bez uzgodnienia go z szeregiem państw innych, ale często i w swojej polityce wewnętrznej

zmuszone jest do pewnego stopnia liczyć się ze zdaniem sąsiadów, których interesy mogą na tem ucierpieć i którzy rozporządzają rozmaitemi sposobami odwetu. Aczkolwiek więc wojna i do dziś dnia pozostaje niestety jedynem ostatecznem rozwiązaniem sporów pomiędzy państwami, a instytucje w rodzaju Ligi Narodów dotąd nie mają siły do skutecznego jej zapobiegnięcia, opinja międzynarodowa odgrywa coraz to poważniejszą rolę w rozwiązaniu konfliktów i o nią przedewszystkiem dbają przeciwnicy, jeżeli nawet decydują się na krok ostateczny, jakim jest wojna.

Wystąpienie Japonji na terenie mandżurskim tak jaskrawo różni się od obecnych sposobów rozwiązywania konfliktów, że opinja międzynarodowa ma w tej sprawie więcej do powiedzenia, aniżeli w każdej innej. Mamy tu bowiem do czynienia z faktem otwartej agresji zbrojnej na terenie obcym, z faktem oderwania od Chin kraju, którego przynależności do nich nikt nigdy nie kwestjonował i z proklamowaniem na jego terytorjum niepodległego państwa, którego zarówno prawa, jak i możliwości do samodzielnej egzystencji nie wydają się dostatecznie stwierdzone. Jeżeli zaś dodamy do tego, że w akcji japońskiej znajduje się dosyć materjału wybuchowego do wywołania wojny, mogącej objąć tereny daleko wykraczające poza granice Mandżurji i zagrozić równowadze politycznej i ekonomicznej całego świata, to rola opinji międzynarodowej w tej sprawie nabierze szczególnego znaczenia i wagi.

Społeczeństwo polskie niejednokrotnie już miało sposobność przekonać się, ile szkody może przynieść opinja międzynarodowa, oparta na informacjach fałszywych lub powierzchownych. Byłoby więc niezmiernie pożądanem, aby opinja polska w tej tak drażliwej i skomplikowanej sprawie opierała się nie na sympatjach czy antypatjach politycznych i nie na prostem zestawieniu faktów zewnętrznych, a na gruntownem zbadaniu samej istoty rozgrywającego się konfliktu. Droga zaś do tego prowadzi przez historję samej Mandżurji w związku ze stosunkami na jej terenie pomiędzy Chinami a Japonją i innemi wielkiemi mocarstwami, zainteresowanemi w rozwiązaniu problemu Pacyfiku.

Kwestja mandżurska, jeden z poważnych szczegółów

walki o Ocean Spokojny, właściwie skrystalizowała się dopiero po wstąpieniu Japonji do szeregów państw cywilizowanych, a zatem zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Omawianie jej jednak tylko na tle wydarzeń końca XIX i początków XX wieków nie dałoby ogólnego pojęcia o jej całokształcie. Dlatego też, zanim przejdziemy do zbadania istotnych elementów problemu mandżurskiego, rzućmy okiem na dzieje tego kraju od czasu, kiedy pierwsze wiadomości o nim ukazują się w historycznych kronikach chińskich.

Obszerna połać ziemi, zawierająca obecnie Mandżurję, Mongolję i Koreę, była w zaraniu historji Chin zamieszkała przez barbarzyńskie plemiona nomadów, które stale zagrażały północnym granicom państwa chińskiego. Chińczycy w różnych okresach nazywali ich różnemi imionami i wogóle interesowali się niemi tylko w związku z ich agresją w stosunku do swoich posiadłości północnych. Pomijając luźne wzmianki znajdujące się w kronikach chińskich od czasów najdawniejszych, zatrzymujemy się na wieku X po N. Ch., kiedy Kidanie, plemię pochodzenia mongolskiego, opanowało Mandżurję i Mongolję, założyło swoją dynastję Lao i po szeregu klęsk zadanych wojskom chińskim zawładnęło częścią Chin Północnych.

Chińczycy zawsze byli lepszymi dyplomatami, niż wojownikami i długie lata ciągłego zmagania się z nomadami z Północy powołały do życia specjalną politykę, polegającą na tem, że cesarze chińscy starali się podtrzymywać niezgodę pomiędzy poszczególnemi plemionami, okazując pomoc słabszym przeciwko silniejszym. Tym razem takim sojusznikiem Chin okazało się plemię Dżurdżeni, podbite przez Kidani. Podczas gdy Kidanie posuwali się ku południowi, zajmując ziemie chińskie, Dżurdżenie pozostali w Mandżurji i zdołali tam stworzyć siłę, którą cesarze chińscy postanowili wyzyskać. Rachuby te nie zawiodły i w roku 1114 upadła dynastja Lao i miejsce jej zajęło cesarstwo mandżurskie pod nazwą Dziń. Chiny jednak nie osiągnęły z tego żadnej korzyści, gdyż Mandżurowie okazali się daleko niebezpieczniejszymi od Kidani i stopniowo zawojowali nietylko Chiny Północne, ale i Środkowe do rzeki Jan-dzy, tak że dynastji chińskiej pozostało tylko Po-

łudnie. Cesarz chiński zobowiązał się do płacenia Mandżurom daniny i przyjął upokarzający tytuł „bratanka cesarza Dziń". Według wszelkiego prawdopodobieństwa skończyłoby się na zupełnem podbiciu Chin przez Dżurdżeni, ale stepy północne przygotowały nową niespodziankę, która zgubiła i Chiny i Dżurdżeniów. Było to nowe państwo mongolskie, utworzone przez Czyngis Chana. Dynastja Dziń rozpaczliwie broniła swoich pozycyj, ale w roku 1234 uległa, cesarz zadał sobie śmierć w płonącym pałacu, a resztki Dżurdżeni wróciły do Mandżurji już jako lennicy nowych władców. W kilkanaście lat potem upadła i dynastja chińska i całe Chiny dostały się pod władzę mongolskiej dynastji Juasi.

W drugiej połowie XIV wieku dynastja ta ustąpiła miejsca chińskiej dynastji Min, przy której Chiny doszły do kulminacyjnego punktu swojego rozwoju zarówno terytorjalnego, jak i ekonomicznego i kulturalnego. Mandżurja wraz z Mongolją wchodziła do składu Chin i korzystała nawet z pewnej autonomji wewnętrznej, ale celowy podział jej pomiędzy drobne plemiona, starannie podtrzymywany przez Chińczyków, pozbawił ją wszelkiego znaczenia. Stan ten jednak trwał tylko do czasu póki dynastja Min była silna, póki w jej łonie nie zaczęły rozwijać się bakcyle degeneracji i rozkładu. Pierwsze objawy słabości wewnętrznej odwróciły uwagę Minów od Mandżurji, gdzie niezwłocznie odpowiedni moment dziejowy wysunął odpowiedniego człowieka.

Był nim książę Nurchaci, któremu przypadło w udziale wskrzeszenie państwa Dziń. Rok 1618 zastaje go cesarzem Mandżurji, której daje ustrój odpowiadający bitnemu usposobieniu jej mieszkańców. Mianowicie dzieli on ją na ośm okręgów wojskowych, różniących się kolorem sztandarów i rządzi nią jak armją. Kilka wielkich bitew stoczonych przezeń z Chińczykami podobno uważane są za arcydzieła strategji ówczesnej. Przedwczesna śmierć przerywa jego dzieło odrodzenia kraju, ale następcy idą w jego ślady i w roku 1644 małoletni wnuk Nurchaci Fu-lin wstępuje na tron chiński pod imieniem Szi-dzu Dżan-chuan-di i kładzie początek dynastji Cin, rozpoczynając panowanie pod nazwą ery Szuń-dżi.

Jest to, jak widzimy, druga już dynastja mandżurska

w Chinach i w dodatku szczęśliwsza od swojej poprzedniczki, gdyż panowanie jej trwa od r. 1644 aż do r. 1911, czyli dwieście kilkadziesiąt lat. Obala ją już za naszej pamięci rewolucja chińska, która proklamuje w kraju Republikę, trwającą do dziś dnia.

Krótki ten zarys historyczny niezbicie stwierdza, że Mandżurja była przez cały czas swojego istnienia krajem odrębnym od Chin, że kilkakrotnie stanowiła państwo samodzielne, a jeżeli przez czas jakiś wchodziła do składu państwa chińskiego, jak to było za panowania dynastji Min, to zato również przez dłuższy przeciąg czasu mogła uważać Chiny za swoją własność terytorjalną. Z chwilą więc upadku mandżurskiej dynastji w Chinach, Mandżurja miała wszelkie prawa do samodzielnej egzystencji, czy to pod berłem swoich cesarzy, czy w innej zastosowanej do nowych warunków formie.

Tak się jednak nie stało, a to z powodów następujących: Pierwsi cesarze dynastji Cin zazdrośnie przestrzegali odrębności Mandżurji, zachowali jej historyczny ustrój wojenny i surowo wzbronili imigrację chińską na jej terytorjum. Równocześnie jednak zadanie opanowania olbrzymiego kraju i rządzenia nim wymagało coraz to większej ilości ludzi, cała więc ludność męska Mandżurji stopniowo była ściągana do Chin. Kraj przeżywał jedyny w swoim rodzaju historyczny proces dyffuzji krwi do olbrzymiego obcego organizmu i odpływ jej zaczął przeważać nad przypływem, powodując anemję Mandżurji. Równocześnie zarówno dynastja, jak i garnizony mandżurskie przebywające w Chinach coraz bardziej ulegały wpływom potężnej kultury chińskiej i zatracały swoją odrębność narodową. Formalnie istniał urzędowy język mandżurski i urzędowy podział ludności na zwycięzców i zwyciężonych, ale lata upływały, młodzi Mandżurowie w Chinach rodzili się Chińczykami i język mandżurski coraz więcej przypominał łacinę w średniowieczu europejskiem. Następnie schińszczona dynastja zaczęła wchodzić w okres degeneracji, sprężyste rządy autokratyczne ustąpiły miejsca intrygom pałacowym i w aparacie państwowym utworzyły się szpary, które wciąż się zwiększały. Słabość wewnętrzna wywołała szereg krwawych powstań, z któ-

rych powstanie Tajpingów omało nie przyprawiło Mandżurów o utratę korony, słabość zewnętrzna znalazła wyraz we wzroście wpływów cudzoziemskich, boleśnie zadrażniających ambicję Chińczyków. Zbliżał się zmierzch dynastji.

Słabość jej w stosunku do Mandżurji wyraziła się przedewszystkiem w zaniedbaniu zarządzeń imigracyjnych i Chińczycy zaczęli przenikać do tego kraju, zajmując puste przestrzenie, asymilując się z ludnością i podbijając ją kulturalnie. Kiedy więc rewolucja chińska w r. 1911 proklamowała republikę, nie było już ani w Chinach, ani w Mandżurji rzeczywistych Mandżurów, którzy mogliby wystąpić w obronie swojej odrębności państwowej i narodowej i Mandżurja przez usta swojej chińskiej i schińszczonej ludności nietylko bez sprzeciwu, ale i bez wahania opowiedziała się po stronie nowego ustroju, uważającego ją za część terytorjalną państwa chińskiego.

Mówiąc więc o problemie mandżurskim musimy kategorycznie zastrzec się, że chodzi tu nie o zagadnienie narodowościowe, a wyłącznie o terytorjalne. Powstało ono jeszcze przed upadkiem dynastji mandżurskiej i powodem jego stała się konjunktura polityczna wytworzona na Dalekim Wschodzie w drugiej połowie XIX wieku. Złożyły się na nią z jednej strony słabość Chin, z drugiej szybki wzrost Japonji, która w siedmiomilowych butach odbyła właśnie swoją triumfalną podróż po drodze cywilizacji zachodniej. Chiny nękane powstaniami i osłabione szeregiem krwawych starć z państwami cudzoziemskiemi coraz bardziej stawały się areną wyzysku międzynarodowego i oczywiście mogły tylko lawirować pomiędzy ścierającemi się na ich terytorjum wpływami mocarstw obcych, aby zachować choć pozory niepodległości i jako tako bronić swoich granic. Japonja zaś z pierwszych swoich kroków na arenie międzynarodowej przekonała się, że istnienie jej i rozwój mocarstwowy w pierwszym rzędzie zależy od zdobycia trwałej bazy operacyjnej na lądzie stałym. Przy takich warunkach starcie zbrojne pomiędzy nią a Chinami było nieuniknione i rzeczywiście nastąpiło w roku 1894. Powodem do walki stało się państwo koreańskie, które w programie japońskim figurowało jako pierwszy etap penetracji na ląd stały. Państwo

to było słabe i szarpane niezgodą wewnętrzną i oddawna, obawiając się agresji Japonji, uznawało nieszkodliwą fikcję protektoratu Chin nad sobą. Drobny incydent japońsko-koreański wywołał zadrażnienie stosunków między Chinami i Japonją i doprowadził do wojny, która skończyła się porażką wojsk chińskich w Korei i zniszczeniem nielicznej zresztą floty Chin. Pokój w Simonoseki w roku 1895 dał Japonji wyspy Formozę i Peskadory, półwysep Lao-dun z portem Artura i dwieście miljonów lanów [1]) kontrybucji. Pozatem Chiny uznawały niepodległość Korei, co znaczyło, że pozostawiają Japonji wolną rękę w tym kraju.

Doniosłe te rezultaty tylko w części zostały przez Japonję zrealizowane. Był to bowiem okres, kiedy imperjalistyczna polityka mocarstw w Chinach dochodziła do swojego punktu kulminacyjnego. Prym w tej polityce dzierżyła Rosja, opanowana ideą hegemonji na Dalekim Wschodzie. Zdobycze japońskie wchodziły w kolizję z jej własnemi planami, a że powstanie mocarstwa japońskiego nie uśmiechało się i innym państwom zainteresowanym, utworzyła ona porozumienie z Francją i Niemcami i wszystkie trzy mocarstwa uczyniły presję na Japonję, żądając wyrzeczenia się przez nią za dodatkowe wynagrodzenie półwyspu Lao-dun. Japonja ustąpiła, nie czując się na siłach do walki z trzema przeciwnikami, ale oczywiście planów swoich nie wyrzekła się, odkładając ich realizację na później. Najbliższe wypadki całkowicie uprawniły jej dążenia do rewanżu. Presja bowiem mocarstw miała rzekomo na celu dobro Chin, tymczasem okazało się, że pośrednicy w nagrodę nietylko sami zabrali uratowane ziemie chińskie, ale policzyli sobie procenty w postaci nowych zdobyczy terytorjalnych. Tak Rosja otrzymała w dzierżawę na 25 lat południowy skrawek tegoż półwyspu Lao-dun z portem Artura, Niemcy — zatokę Dziao-dżen z miastem Cin-dao na 99 lat, Francja — port Guań-dżen-wań na południu na 99 lat i Anglja — port Wej-chaj-wej na 25 lat. Pozatem w roku następnym Rosja uzyskała od Chin koncesję na budowę kolei przez Man-

[1]) Lan — waga srebra, warta w przybliżeniu $1^1/_2$ srebrnego dolara chińskiego.

dżurję, a w Korei zaczęła politykę wyraźnie antyjapońską, posyłając instruktorów wojennych i finansując rozwój stosunków handlowych. Poseł rosyjski zupełnie niedwuznacznie zachęcał cesarza koreańskiego do przeciwdziałania Japonji, a zawiązane przy udziale kilku wpływowych dygnitarzy rosyjskich towarzystwo eksploatacji lasów na rzece Jalu nosiło wyraźne cechy politycznej awantury.

Oczywiście dalsze rozwinięcie tych planów oznaczało dla Japonji nietylko stratę Korei, ale i wyrzeczenie się zasadniczej myśli — przedostania się na ląd stały wogóle, musiało więc wywołać z jej strony ostre protesty oraz gorączkowe przygotowania do poparcia swoich postulatów siłą zbrojną. Dojrzewa więc druga wojna na Dalekim Wschodzie, która ze względu na niebezpieczeństwo zmierzenia się z przeciwnikiem tak potężnym jak Rosja wymaga dłuższych przygotowań i wybucha dopiero po latach dziesięciu. Przez ten czas mocarstwa, prowadzące imperjalistyczną politykę w Chinach, dokonały podziału sfery swoich wpływów w tem państwie i Mandżurja została uznana za znajdującą się w sferze niepodzielnych zainteresowań Rosji, podczas gdy Francja otrzymała wolną rękę na południu Chin, Anglja na wybrzeżach rzeki Jan-dzy, a Niemcy w prowincji Szanduńskiej. W związku z tem Rosja zbudowała kolei Chińsko-Wschodnią przez Mandżurję, z bocznicą do portu Artura, założyła miasto Charbin na rzece Sungari, miasto Dalnyj w Lao-dunie i zmieniła port Artura w pierwszorzędną fortecę.

Wszystko to zostało zrobione z zupełnem pominięciem Japonji, która trzykrotnie proponowała Rosji rozgraniczenie sfery działania w Korei i Mandżurji, ale niezmiennie spotykała się z odmową. Rosja przeżywała wówczas okres upojenia własną potęgą i snuła nić wielkich planów niezupełnie odpowiadających możliwościom państwa z biedną i ciemną ludnością oraz słabym rozwojem środków technicznych i komunikacyjnych. Mianowany namiestnikiem na Dalekim Wschodzie admirał Aleksiejew prowadził własną, wielce nieudolną i zadrażniającą w stosunku do Japonji politykę, nie gardząc nawet popieraniem zupełnie wątpliwych spekulacyj politycznych w rodzaju koncesji leśnej Abazy i Bezobrazowa

w Korei, ministrowie skarbu, spraw wojskowych i spraw zagranicznych działali rozbieżnie, każdy na własną rękę, a pojedyncze głosy, wskazujące na gorączkowe przygotowania wojenne Japonji oraz na niebezpieczeństwo zagrażające Rosji w razie wybuchu wojny, posłuchu nie znajdowały. Owszem, przeważała opinja, że wojna ta, niewątpliwie pomyślna dla Rosji, ostatecznie rozwiąże jej ręce na Dalekim Wschodzie, a więc należy raczej dążyć do niej.

Jak wiadomo najbliższa przyszłość wykazała całą bezpodstawność tych nadziei. Rosja wojnę przegrała, straciła prawie całą swoją flotę wojenną, zrzekła się na rzecz Japonji dzierżawy Lao-dunu, ustąpiła jej południowy odcinek nowozbudowanej kolei z Dalnym i portem Artura oraz południową część wyspy Sachalin i uznała specjalne interesy Japonji w Korei. W ten sposób agresywna akcja Rosji na Dalekim Wschodzie została wstrzymana i opróżnione przez nią miejsce zajęła Japonja, uzyskując bazę do działania nietylko w Korei, ale i w samej Mandżurji. W układzie, zawartym pomiędzy dwoma przeciwnikami, Chiny grały rolę biernego świadka i automatycznie go przyjęły.

Pomimo jednak przegranej wojny i rewolucji 1905 roku Rosja nie zrezygnowała ze swoich planów na Dalekim Wschodzie, tylko je odpowiednio zmieniła. Wyrzekając się Korei i Mandżurji Południowej zajęła się ona Mandżurją Północną oraz Mongolją zewnętrzną, w której budził się ruch niepodległościowy. Ten podział wpływów został usankcjonowany przez ugodę między Japonją i Rosją w r. 1908 i trwał aż do wielkiej wojny europejskiej. W wyniku zawartej umowy Japonja w r. 1910 dokonała aneksji Korei, a Rosja w roku 1911, po wybuchu rewolucji chińskiej, stworzyła niepodległą Mongolję z wysokim dostojnikiem buddyjskim Chutuchtą Dżebdzundamba na czele i ogłosiła ten kraj terenem swoich specjalnych zainteresowań. Od tejże daty rozpoczyna się przedwstępna wywiadowcza działalność Japonji na terenach Mongolji wewnętrznej, pozostających pod władzą Chin.

Młoda republika chińska nie posiadała realnych sposobów do walki z groźną penetracją rosyjsko-japońską do Mandżurji. Szczególnie groźnie przedstawiała się agresja

rosyjska prowadzona w sposób bezwzględny, cechujący wogóle Rosję carską. Pas wywłaszczenia kolei Chińsko-Wschodniej zaczynał przypominać gubernję rosyjską. Naczelnik kolei był zarazem administratorem całego obwodu z prawami większemi od gubernatora, wojska ochronne tworzyły cały korpus, o tyle tylko różniący się od innych sił zbrojnych Rosji, że podlegał władzy ministra skarbu, funcjonował rosyjski sąd okręgowy, rosyjska poczta, a w miastach samorządy bez udziału ludności chińskiej. Wojska rosyjskie prowadziły pomiary topograficzne po całym kraju, a wojska chińskie nie miały prawa zbliżać się do terenu kolejowego i za każdym razem musiały prosić o pozwolenie, aby go w razie potrzeby przekroczyć. Tak samo, chociaż nieco subtelniej, działała na swoim terenie Japonja i dzięki temu Mandżurja, aczkolwiek formalnie wchodząca do składu republiki chińskiej, stanowiła jednostkę odrębną, w której działalność chińska doznawała szeregu dotkliwych ograniczeń.

Chiny volens nolens godzą się na niepodległość Mongolji pod fikcją swojego protektoratu nad nią, ale w sprawie mandżurskiej uciekają się do pewnego rodzaju kontrakcji, rozpoczynając usilną kolonizację pustych przestrzeni przez emigrantów chińskich. Akcja ta trwa przez szereg lat aż do czasów ostatnich, a wojna domowa w Chinach, niszcząca dobytek spokojnej ludności i powodująca głód, zmienia ją w żywiołowy ruch samej ludności, szukającej w Mandżurji spokojnego schronienia.

Wielka wojna światowa przynosi pewne odprężenie stosunków w Mandżurji Północnej, ale zato wzmaga nacisk Japonji na południu. W roku 1915 rząd japoński występuje ze swojemi osławionemi 21 żądaniami, których całkowite przyjęcie oddałoby nietylko Mandżurję, ale i całe Chiny pod wpływ japoński. Chiny przyjęły tylko ich część, która dała Japonji poważne i daleko idące przywileje w dziedzinie budownictwa kolejowego i życia ekonomicznego w Mandżurji Południowej. Wykonanie tej umowy staje się źródłem ciągłych zadrażnień między Japonją a Chinami i miejscową władzą mandżurską i jest jednym z powodów, które wywołały stan obecny.

Rewolucja rosyjska 1917 roku zasadniczo zmieniła układ sił w Mandżurji. Rosja, jako czynnik państwowy, na lat kilka znika z areny Dalekiego Wschodu, a miejsce jej zajmują Chiny, dokonując na terenie kolei Chińsko-Wschodniej restytucji swoich praw suwerennych. Na tle zaś ich nieprzygotowania do nowej roli oraz walki między białymi i czerwonymi Rosjanami wzrastają wpływy wielkich mocarstw i w sprawie dalszych losów kolei zaczynają zabierać głos nietylko Japonja, ale Anglja, Francja i Stany Zjednoczone.

Chiny oczywiście skłonne były do zupełnego zagarnięcia terenu kolejowego, do czego je zresztą uprawniała znana deklaracja Karachana, który w roku 1920 w imieniu władzy sowieckiej zrzekł się wszelkich praw do kolei, jako do zdobyczy imperjalistycznej Rosji carskiej, ale plan ten nie znalazł aprobaty ze strony mocarstw zainteresowanych i pod ich presją w dalszym ciągu utrzymała się zasada wspólnej własności kolei. Ponieważ zaś drugi właściciel, Rosja, był nieobecny, stworzono fikcyjnego zastępcę w osobie Banku Rosyjsko-Azjatyckiego, jako że w swoim czasie finansował on budowę kolei. Fikcja polegała na tem, że bank finansował budowę nie z własnych środków, a z rządowych rosyjskich, a więc właściwie prawa zastępowania właściciela nie posiadał, ale wyboru nie było i fikcję przyjęto. Chiny były zmuszone uznać tę kombinację, ale sztuczność jej nie ulegała żadnej wątpliwości, a konieczność podziału praw z grupą ludzi prywatnych, podtrzymywanych przez państwa nie mające żadnej podstawy prawnej do decydowania o losach kolei, stale i ostro drażniła rząd chiński, który w dodatku obawiał się, czy stan ten nie jest wstępem do wprowadzenia na terenie administracji międzynarodowej.

Właściwie centralny rząd chiński miał coraz mniej do powiedzenia w tej sprawie, ponieważ wojna domowa pozbawiła go resztek siły, ale natomiast w samej Mandżurji wyrosła w międzyczasie dyktatura generała Dżan Dzo-lina, który władzę swoją rozszerzył na cały kraj i poróżniwszy się z wpływowymi generałami Chin Północnych, ogłosił jego niepodległość. Mniej więcej około roku 1920 Mandżurja zaczyna decydować sama o sobie i głos rządu centralnego rozlega się w jej sprawach tylko wyjątkowo i ma znaczenie

raczej teoretyczne. Dżan Dzo-lin był niewątpliwie człowiekiem Japonji, narzędziem wybranem przez nią dla przeprowadzenia swoich planów. Okoliczność ta tłumaczy nam i stały wzrost jego siły i wpływów w Mandżurji i bezkarność wszystkich jego późniejszych wystąpień na arenie Chin właściwych. Ówczesny kurs polityczny Japonji wymagał stworzenia silnej Mandżurji, niezależnej od Chin de facto i działającej w myśl postulatów i wskazań japońskich. Gdyby więc zbytnia ambicja Dżan-Dzo-lina, sięgającego po najwyższą władzę w Chinach, nie pokrzyżowała tych planów, możeby nie doszło do nowej próby, której przebieg widzimy obecnie.

Narazie jednak polityka Dżan Dzo-lina szła po jednej drodze z polityką japońską i energiczna jego natura znajdowała szerokie pole do działania w strefie kolei Chińsko-Wschodniej, w walce z fikcyjnym jej współwłaścicielem popieranym przez państwa obce. Beznadziejność tej walki w związku z widmem kontroli międzynarodowej skłoniły Dżan Dzo-lina do kroku, który był niespodzianką dla wszystkich oprócz Japonji i który znów sprowadził zmiany w układzie sił na Dalekim Wschodzie. Mianowicie już od r. 1921 Rosja sowiecka wszczęła pertraktacje z rządem chińskim celem nawiązania normalnych stosunków dyplomatycznych i ekonomicznych oraz odzyskania utraconych praw na kolei. Wrogie narazie stanowisko rządu chińskiego, obawiającego się propagandy komunistycznej i w skrytości dążącego do całkowitego opanowania kolei, pod wpływem niebezpieczeństwa, grożącego ze strony wielkich mocarstw, uległo gwałtownej zmianie i w roku 1924, niezwłocznie po uznaniu Rosji przez rząd Centralny, Dżan Dzo-lin, jako faktyczny władca Mandżurji, zawarł z rządem sowieckim umowę w Mukdenie, dotyczącą wspólnej własności kolei. Władze mandżurskie niewątpliwie liczyły na to, że łatwiej dadzą sobie radę ze słabym rządem sowieckim, sprowadzając jego rolę do zera, a i dla Japonji zamiana poważnych wpływów wielkich mocarstw przez samotny i narażony na opór ze strony chińskiej wpływ sowiecki wydawała się faktem raczej dodatnim. Umowa mukdeńska nadzieje te jakgdyby zrealizowała. Władze sowieckie wyrzekły się wszelkich praw, do-

tyczących administracji terenu i rola strony sowieckiej ograniczała się do współpracy w dziedzinie technicznego i gospodarczego kierownictwa przedsiębiorstwa kolejowego.

Najbliższa jednak przyszłość w znacznym stopniu rozwiała piękne marzenia chińskie o słabości i ustępliwości Rosji sowieckiej i wspólna gospodarka kolejowa odrazu wywołała poważne tarcia między obu stronami. Chińczycy dzięki brakom własnej administracji nie potrafili stworzyć systematycznego planu działania i w sposób ostry występowali przeciwko szczegółom współpracy na kolei, a strona sowiecka, o ileby nawet zamiary jej ograniczenia się do ram pracy technicznej i gospodarczej były szczere, odrazu znalazła się przed tak bogatym terenem dla propagandy, że ścisłe wykonywanie przyjętych zobowiązań pozostało tylko na papierze. Uciążliwa ta dla obu stron sytuacja trwała bez większych zmian w ciągu kilku lat, podczas których Dżan Dzo-lin poważnie zaangażował się w walce domowej w Chinach i coraz bardziej zbliżał się do upragnionego celu — objęcia stanowiska głowy państwa.

W ciągu tego czasu Japonja oddaje się konstrukcyjnej twórczej pracy na zajętych terenach, rozbudowuje koncesję w Mukdenie, wkłada ogromne kapitały w budowę bocznic kolei Południowo-Mandżurskiej oraz innych linij kolejowych, mających służyć za jej uzupełnienie, dokonuje stałej penetracji do Mongolji wewnętrznej, a kolonje japońskich rzemieślników i drobnych handlowców tworzą się we wszystkich większych punktach Mandżurji Północnej. Władze mandżurskie, ośmielone częściowem powodzeniem na kolei Chińsko-Wschodniej, stają się coraz mniej ustępliwe i w stosunku do Japonji, ale Dżan Dzo-lin wciąż jeszcze pozostaje człowiekiem japońskim, a zresztą zajęty walką w Chinach i realizacją umowy mukdeńskiej woli nie wywoływać zatargu z silnym przeciwnikiem, którego kwitnąca koncesja znajduje się tuż obok, w jego własnej stolicy, Mukdenie.

W roku 1927 wojska mukdeńskie opanowały Pekin i koalicja generałów północnych obrała Dżan Dzo-lina naczelnikiem państwa z tytułem Da Juań-Sznaj (czyli wielki pierwszy wódz naczelny). Triumf ten był już jednak zarazem i końcem jego długiej i bogatej karjery życiowej.

Równocześnie bowiem całe Południe zjednoczyło się pod sztandarami Go-min-danu, partji rewolucyjno-narodowej, założonej przez wodza rewolucjonistów chińskich dra Sun Jat-sena i wojska południowe z generałem Dzian Kai-szi na czele zaatakowały koalicję północną. Akcja południowa, posiadająca wszelkie dane do zjednoczenia kraju po szeregu lat wojny domowej, została entuzjastycznie przyjęta przez cały naród i szanse Dżan Dzo-lina, człowieka obcego w Chinach, malały z każdym dniem. Wkońcu więc, w niespełna rok po objęciu władzy w Pekinie, widzimy go w pociągu odjeżdżającym do Mukdenu, a wojska jego w odwrocie ku granicom Mandżurji. Była to ostatnia podróż generała, gdyż koło samego Mukdenu, pod mostem kolejowym, w miejscu skrzyżowania kolei Pekińsko-Mukdeńskiej i Południowej Mandżurskiej, wagon jego został wysadzony w powietrze dzięki bombie, założonej na torze, czy na moście, czy wreszcie w samym wagonie. Dżan Dzo-lin zginął, a śledztwo nie ujawniło ani tych szczegółów, ani sprawców zamachu, chociaż opinja ogólna przypisywała go nieodpowiedzialnym czynnikom japońskim, które Dżan Dzo-lin zaczął zbyt krępować swoją nienasyconą ambicją.

Rok 1928 stał się poniekąd epokowym w najnowszej historji Chin, które po kilkunastoletniej przerwie okazały się znów zjednoczone. Wielkie zmiany przyniósł on i Mandżurji. Miejsce Dżan Dzo-lina zajął syn jego Dżan Sine-lan, człowiek młody, obcy dla Japonji i zdradzający wielkie sympatje do ruchu narodowego młodych Chin, reprezentowanego przez rząd nankiński. Rząd ten z dziecinną pewnością siebie rzucił wyzwanie mocarstwom, domagając się anulowania nierównych umów, zwrotu koncesyj, zniesienia eksterytorjalnych praw cudzoziemców, a równocześnie zaapelował do Dżan Sine-lana, ażeby ten uwieńczył dzieło zjednoczenia kraju przyłączeniem doń Mandżurji. Nie wiemy przebiegu zakulisowych pertraktacyj, które toczyły się pomiędzy Dżan Sine-lanem a rządem nankińskim z jednej strony, a tymże generałem a rządem japońskim z drugiej, ale wynik był taki, że Mandżurja uznała rząd nankiński i wyrzekła się niepodległości, wymawiając sobie najdalej idącą autonomję wewnętrzną.

Było to wielkim ciosem dla Japonji, tembardziej że stosunki jej z Chinami już od dłuższego czasu pozostawiały wiele do życzenia. Wojna domowa i wystąpienia różnych generałów wyrządzały poważne i ciągłe szkody licznym koncesjom i kolonjom japońskim w Chinach, a kilkakrotny bojkot towarów japońskich, znajdujący szeroki posłuch wśród mas chińskich, przyprawił ją o znaczne straty materjalne. Stosunki zaś Japonji z rządem nankińskim odrazu ułożyły się jaknajgorzej i zarówno w prowincji Szań-dun, jak i na rzece Jan-dzy doszło do ostrych konfliktów, w których z obu stron wzięły udział wojska. Prawda, że konflikty kończyły się zwycięstwem Japonji, a śmiałe żądania Nankinu rozbiły się o niewzruszony opór wszystkich państw eksterytorjalnych, ale sam charakter rządu nankińskiego nie dawał żadnej gwarancji, że dawna polityka zaborcza cudzoziemców w Chinach nadal będzie tolerowana. Przypuszczać więc należy, że już wówczas powstał w Japonji konkretny plan przecięcia mieczem gordyjskiego węzła sprawy mandżurskiej i tylko czekano z jego wykonaniem na chwilę bardziej odpowiednią.

W Mandżurji aspiracje wyzwoleńcze proklamowane przez Gomińdau zwróciły się przedewszystkiem w kierunku kwestyj lokalnych i władze chińskie rozpoczęły prawdziwą krucjatę przeciwko sowieckiej administracji kolejowej. Rozpoczęła się zażarta walka z licznemi organizacjami na terenie kolei, które dotąd kwitły i rozwijały się z błogosławieństwa wrażliwej na łapówki policji chińskiej. Następnie odebrano kolei prawo handlowej żeglugi po Sungari, chociaż przynosiło to wyraźną stratę licznym kolonistom chińskim, osiadłym wzdłuż wybrzeży tej rzeki, zamknięto wydział oświatowy, oddając szkoły pod kierownictwo instytucji chińskiej, zabrano wreszcie stację telefonów automatycznych, której uruchomienie kosztowało kolej wielkie sumy. Na wszystkie te wystąpienia administracja kolejowa zakładała protesty, pozostające bez odpowiedzi i wogóle zachowywała się biernie, co coraz bardziej ośmielało Chińczyków. Następuje żądanie wprowadzenia na kolei parytetu, czyli równej ilości urzędników obu państw, z czem strona sowiecka w zasadzie się zgadzała, gdyż było to przewidzianem w umo-

wie mukdeńskiej, ale wymaganie chińskie idzie dalej, gdyż domaga się oddania w ręce strony chińskiej wydziału buchalterji kolejowej wraz z główną kasą. Byłoby to równoznaczne z wyrzeczeniem się wszelkich praw do kolei, toteż administracja sowiecka odmówiła. W odpowiedzi na to władze chińskie zajęły telegraf kolejowy, aresztowały jego naczelnika pod zarzutem szpiegostwa i wreszcie przeprowadziły rewizję w konsulacie generalnym sowieckim pod pozorem, że odbywają się tam zebrania o charakterze antypaństwowym. Rewizja spowodowała areszt kilkunastu osób, które tam się okazały, ale nie odkryła niczego kompromitującego. Wypadki jednak szły już swoim torem, konsul generalny i wyższa administracja kolejowa opuścili Mandżurję i rozpoczął się tak zwany konflikt chińsko-sowiecki 1929 r.

Chińczycy przy pomocy licznych białych emigrantów obsadzili kolej, zamknęli do obozów koncentracyjnych i do więzień pozostałych sympatyków i pomniejszych działaczy sowieckich, skoncentrowali na granicy zachodniej około 30000 wojska, trochę mniej na granicy wschodniej i flotę kanonierek rzecznych przy ujściu rzeki Sungari, na północy. Konflikt trwał około sześciu miesięcy i nie licząc pogromu floty kanonierek skończył się ofenzywą sowiecką od strony stacji Mandżurja. Wojska chińskie poniosły zupełną klęskę i część ich wraz z dowódcą dostała się do niewoli, a zawarta w Chabarowsku umowa przywróciła na kolei *status quo ante* i stosunki w Mandżurji wróciły do stanu dawnego, czyli do drobnych utarczek pomiędzy Chinami a Sowietami na tle współpracy i interpretacji umowy mukdeńskiej.

Rosja Sowiecka niewątpliwie w czasie konfliktu działała w porozumieniu z Japonją, na co wskazuje zarówno niewykorzystanie przez nią zwycięstwa, jak i zupełne milczenie Japonji w czasie działań wojennych, kiedy inne państwa poczyniły kroki celem pogodzenia przeciwników. Albowiem w interesie Japonji była porażka nacjonalistów chińskich i doprowadzenie ich do stanu zrozumienia specjalnych warunków politycznego życia Mandżurji. Cel ten nie został osiągnięty, gdyż pomimo porażki polityka zarówno Mukdenu, jak i stojącego za nim Nankinu do okupantów Mandżurji,

zmianom nie uległa. W stosunku do Japonji wyraziła się ona w budowie sieci kolejowej obniżającej znaczenie kolei Południowo-Mandżurskiej, a zatem w akcji niezgodnej z przyjętemi w roku 1915 żądaniami Japonji. Pozatem w dalszym ciągu odbywała się żywiołowa kolonizacja pustych obszarów kraju przez Chińczyków, a natomiast kolonizacja koreańska napotykała na coraz poważniejsze przeszkody ze strony władz miejscowych. Niejednokrotnie dochodziło do starć pomiędzy kolonistami chińskimi a koreańskimi i w całym kraju panował nastrój antyjapoński widocznie faworyzowany przez władze.

Były więc wszelkie powody do ostrego wystąpienia Japonji i do powstania konfliktu analogicznego z konfliktem chińsko-sowieckim. Połowiczne wyniki tego ostatniego nie mogły Japonji zadowolnić, uciekła się więc ona do sposobu, który miał radykalnie zmienić sytuację w Mandżurji. Tu właśnie zaczyna się zasadnicza różnica zdań pomiędzy Japonją, a większością państw zainteresowanych. Opinja bowiem międzynarodowa dotąd twierdzi, iż Japonja posiadała szereg sposobów, ażeby obronić swoje prawa bez naruszenia suwerennych praw Chin, Japonja zaś starała się przekonać świat, że droga przez nią obrana była jedyną możliwą dla niej i skuteczną.

Tak czy inaczej konjunktura polityczna sprzyjała wystąpieniu Japonji. Mocarstwa cudzoziemskie borykały się z wciąż rosnącym kryzysem ekonomicznym, siła rządu nankińskiego załamała się w walce z nową falą wojny domowej i rozterek partyjnych, a równocześnie Mandżurja znów wypłynęła na arenę walki w Chinach. Wkrótce bowiem po konflikcie chińsko-sowieckim Dzian Dzie-szi, nie mogąc sobie dać rady z generałami Chin Północnych, zawarł sojusz z Dżan Sine-lanem, szukającym nowych laurów wzamian straconych w walce z Rosją i wojska nankińskie wraz z mandżurskiemi złamały opór koalicji północnej. Zwycięstwo to znów oddało władzę nad Chinami w ręce dwuch ludzi, Dzian Kai-szi i Dżan Sine-lana. Ten ostatni w charakterze zastępcy naczelnego wodza chińskich sił zbrojnych zostaje wielkorządcą nietylko Mandżurji, ale i części Chin Północnych z Pekinem. Wojna domowa nie jest skończona, prze-

ciwnicy pobici, ale nie rozbici doszczętnie, ugrupowania kantońskie nie słuchają Nankinu, oddalone prowincje żyją życiem samodzielnem, a obok Nankinu oto już kilka lat pomimo ekspedycyj karnych egzystuje niewielka republika komunistyczna. Największa jednak siła koncentruje się w ręku Dzian Dzie-szi i Dżan Sine-lana, obu wrogich Japonji. Gdyby więc sojusz tych dwuch generałów doprowadził do zjednoczenia Chin, Japonja stanęłaby przed zwartym wrogim frontem i zdobycze jej w Mandżurji okazałyby się w wielkiem niebezpieczeństwie. Pozostaje więc uprzedzić rozwój wypadków i nadać im inny kierunek.

Czy więc długoletnia podziemna robota wulkanu sama znalazła sobie wyjście na powierzchnię, czy jakieś czynniki w rodzaju japońskiej partji wojennej wybuch ten przyśpieszyły, nie stanowi to różnicy i wulkan w końcu 1931 roku zaczyna działać i każdym razie nie śmierć z ręki chunchuzów biednego kapitana Nakamury w Mongolji Wewnętrznej i nie wysadzenie mostu kolejowego pod Mukdenem były tego powodem. Powodów było mnóstwo, a raczej jeden wielki, złożony z całego szeregu ogniw i o nim właśnie mówiłem, opisując wszystkie wypadki w Mandżurji od czasu wojny chińsko-japońskiej 1894—5 roku.

Fakt wystąpienia Japonji w tem oświetleniu staje się zupełnie zrozumiałym i tylko forma jego wydaje się jednak jakgdyby niedość dobrze obmyślana, co ze względu na ważność sprawy i dłuższy okres przygotowań nie może nie wywołać zdumienia. Japończycy są narodem rycerskim, który pomimo postępów zrobionych w dziedzinie cywilizacji zachodniej w dalszym ciągu żyje swoją tradycją historyczną, niezupełnie odpowiadającą warunkom współczesnego życia międzynarodowego. Wystąpienie więc japońskie spóźniło się o dobrych kilkadziesiąt lat i o ile w swoim czasie byłoby zupełnie normalnem, wydaje się dziś anachronizmem, pomimo dużej dozy słuszności. Również anachronizmem trąci koncepja wysunięcia na czoło nowego państwa mandżurskiego b. cesarza Chin, osobistości zupełnie nieznanej i zupełnie niepopularnej w Chinach, po pierwsze dlatego, że miał on trzy lata, kiedy stracił tron, a po drugie, że należy do dynastji mandżurskiej, co nie może nie drażnić

dumy narodowej Chin, w których budzi się coraz to silniejszy nacjonalizm. Pozatem nie posiada on żadnej siły realnej poza pomocą japońską i byłoby dziwnem, gdyby trzydziestomiljonowa ludność chińska Mandżurji cieszyła się z powodu objęcia władzy przez cesarza, którego jedynem oparciem są bagnety państwa obcego. Przypomnijmy sobie jak powitano w Hiszpanji Józefa Bonapartego lub w Meksyku Maksymiljana Habsburga, a będziemy mieli pojęcie o nastrojach Chińczyków mandżurskich. A gdy dodamy jeszcze, że czasy wówczas były inne i bardziej sprzyjały tego rodzaju eksperymentom, będziemy mieli wszelkie dane do najdalej idącego sceptycyzmu.

Rzeczywiście rezultaty tego posunięcia ukazały się odrazu. Niema kraju, w którym tak łatwo byłoby dostać ludzi dla wszelkiej imprezy, jak w Chinach. Tembardziej więc znamiennym okazał się żywiołowy i powszechny opór ludności w stosunku do nowej władzy. Ogromna większość wojsk chińskich odrazu zajęła wrogie stanowisko wobec państwa mandżurskiego, a i te części, które narazie uległy, na przestrzeni kilku miesięcy jedna po drugiej przechodziły do obozu przeciwników, korzystając z każdej nadarzającej się sposobności. Z ludności cywilnej szara brać urzędnicza w pewnej części pozostała bierną ze względu na niemożliwość okazania oporu pod bezpośrednią presją japońską, ale naprz. dygnitarzy, którzy poszli na służbę do nowego rządu, dotąd można policzyć na palcach i należą oni albo do świadomych zdrajców, albo do osób zupełnie niezdolnych do pracy państwowej, jak np. obecny naczelnik terenu kolejowego generał Dżan Dziń-kuj, stary narkoman, schorowany i bezwolny. Trzecią kategorję stanowią awanturnicy bez ojczyzny i przekonań politycznych, których wydały lata wojny domowej i którzy w wypadkach obecnych widzą sposobność do zrobienia karjery.

Oczywiście więc całe ogromne zadanie uspokojenia kraju, wytępienia wojsk partyzanckich i zaprowadzenia jakiegokolwiek ładu i porządku w administracji, pozbawionej swoich najlepszych sił, całkowicicie i wyłącznie spadła na Japonję, podczas gdy rząd mandżurski stanowi tylko, nikogo zresztą nie łudzący, szyld nowej formacji państwowej. Woj-

ska mandżurskie biorą wraz z wojskami japońskiemi udział w wyprawach przeciwko partyzantom przeważnie poto, aby przy pierwszej sposobności pójść w rozsypkę, lub połączyć się z nimi, a w każdym urzędzie od największych do najmniejszych, roi się od Japończyków, na których barkach spoczywa cały ciężar pracy twórczej, kontroli i nauczania.

Wydaje się więc zupełnie nieprawdopodobnem, aby cały ten szalony wysiłek, ogromne koszty wkładane w odrodzenie i uspokojenie kraju oraz poważne straty w ludziach były czynione przez Japonję tylko celem stworzenia niepodległego, chociażby nawet ściśle związanego z Japonją państwa. Wszystkie bowiem dane, zarówno historyczne jak i obserwowane obecnie, świadczą o tem, że państwo to sztucznie stworzone zawsze będzie ciężyło ku ziemi-macierzy i może być tylko wrogiem Japonji. Widocznie więc, pomimo zapewnień japońskich, mamy do czynienia z nową Koreą i niepodległość Mandżurji jest posunięciem politycznem, mającem osłabić niechęć międzynarodową a może i uśpić podejrzenia pewnego odłamu Chińczyków mandżurskich.

Japonji do rozwoju mocarstwowego na lądzie stałym potrzebna jest Mandżurja, ale jako teren, a nie jako państwo niepodległe, które mogłoby znaleźć własne drogi rozwoju niezupełnie może zgodne z japońskiemi, które mogłoby ulegać wpływom postronnym, a przedewszystkiem chińskim, państwowym. Dlatego też trwa zacięta walka z niepodległościowym elementem chińskim, ochrzczonym nazwą ruchu partyzancko-bandyckiego i starannie wyplenia się z użycia nawet słowo „chiński" z zamianą go przez „mandżurski".

Zadanie przekształcenia orjentacji politycznej i świadomości narodowej trzydziestu zgórą miljonów Chińczyków, jeżeli nie świadomie, to podświadomie poczuwających się do jedności z Chinami, wydaje się wprost przechodzącem siły ludzkie, a w każdym razie wymagającem całych wieków usilnej pracy, ale Japonja zbyt wiele postawiła na kartę, aby to ją mogło powstrzymać. Stoimy więc przed jednem z najciekawszych zagadnień polityki międzynarodowej i ze względu na jego skomplikowany charakter mało mamy danych do tworzenia wiarogodnych hipotez co do jego roz-

wiązania. Natomiast jednak dobrze widzimy układ sił grupujących się dookoła tego zagadnienia, jak również splot najrozmaitszych wpływów i zainteresowań, misterną siecią pokrywających Chiny i Mandżurję, łączący te kraje nietylko z Japonją, ale i z Europą i Ameryką i koncentrujący na Pacyfiku i jego wybrzeżach zarodki możliwej przyszłej wojny światowej. O tem więc godzi się powiedzieć słów kilka.

Ogromne Chiny, pławiące się obecnie we krwi anarchji wewnętrznej, nie posiadają sił dostatecznych do obrony swojej ziemi i swoich ludzi w Mandżurji. Ale państwo tego rodzaju co Chiny nie może zniknąć z areny międzynarodowej i nurtujące je prądy są tak zagadkowe, a siły żywotne tak wielkie, że żaden badacz, żaden wytrawny polityk nie może ręczyć, czy w bliższym lub dalszym czasie nie nastąpi jego odrodzenie i czy za przykładem Japonji nie wyruszy ono po drodze cywilizacji w tych samych siedmiomilowych butach z bajki. A wtedy pola mandżurskie będą areną najstraszliwszej walki w dziejach świata. Zanim to nastąpi, pozostaje bierny opór, bojkot ekonomiczny, dorzucanie paliwa do płonącej Mandżurji i stały zwarty front anty-japoński. To od południa.

Od północy zaś i zachodu zalegają olbrzymie przestrzenie, zamieszkałe przez ludzi poddanych niesłychanej próbie wychowawczej. Zanim kierownicy tej fanatycznej sekty, zwanej komunizmem, mającej przynieść nowe formy współżycia ludzkości, dowiodą na sobie samych zbawienności swojej doktryny, sączą oni dookoła truciznę rozkładową, która znajduje bogaty materjał właśnie w chorych organizmach państwowych. Przecież w środku Chin, o paręset kilometrów od Nankinu, pomiędzy prowincjami, rządzonemi przez posiadających ogromne armje satrapów chińskich, od kilku lat egzystuje mała republika komunistyczna, której nie mogą zniszczyć ekspedycje karne i która dowodzi jak głębokim jest w Chinach kryzys władzy i jak silnem zmęczenie mas. Komunizm ma wszelkie dane do rozwoju w maltretowanej i wynaradawianej Mandżurji, gdyż pierwszem jego obliczem w krajach wschodnich jest oblicze obrońcy narodów uciemiężonych. Pozatem imperjalizm rosyjski zmienił tylko kolor i z białego stał się czerwonym, pęd zaś jego

w kierunku wschodnim pozostał bez zmiany i z miejsca swojego na Pacyfiku rezygnować nie ma on zamiaru. Pierwsze zetknięcie się imperjalizmu żółtego z czerwonym nastąpi w Mongolji, przemocą podzielonej pomiędzy dwoma wrogiemi obozami; dalsze przewidzieć trudno, ale okazyj do nich nie zabraknie, zaczynając od ciągłych drobnych zatargów na kolei Chińsko-Wschodniej, a kończąc na całokształcie zagadnień obu państw na Dalekim Wschodzie. Odmowa Japonji podpisania paktu o nieagresji z Rosją oraz ponowne nawiązanie po kilku latach przerwy przez Rosję stosunków z rządem nankińskim nie są ani drobnostką, ani przypadkiem, bo tego nie bywa w polityce międzynarodowej.

Od strony wschodniej poprzez fale Oceanu Spokojnego niespokojne oczy wielkiej republiki amerykańskiej bacznie śledzą każdy ruch Japonji. Rozwój jej potęgi lądowej, to koniec politycznej równowagi na Pacyfiku, to groźba dla Filipinów, to katastrofa dla handlu z Chinami, to triumf doktryny „Azja dla Azjatów", przeciwstawionej doktrynie Monroego.

Chiny nie mogą walczyć z Japonją, ale nie mogą i zgodzić się na oderwanie Mandżurji. Jesteśmy więc świadkami ofensywy japońskiej w Sang-haj-guaniu i w prowincji Że-che, jak niedawno byliśmy świadkami takiejże ofensywy na Szanghaj. Jak wówczas, tak i obecnie słyszymy protesty nietylko Ameryki, ale i państw europejskich i Ligi Narodów. Rynek chiński, to Eldorado dla Europy i na niszczenie go nie mogą pozwolić mocarstwa.

Widzimy więc Japonję w tej historycznej dla niej chwili w zupełnej izolacji i pozostawioną tylko własnym siłom.

Sama ona oczywiście dokładnie zdaje sobie sprawę z sytuacji i stąd pochodzi nerwowe zachowanie się dyplomatów japońskich na posiedzeniach Ligi Narodów i przejrzyste groźby usunięcia się z Ligi z powodu zajęcia przez nią nieprzychylnego stanowiska w sprawie mandżurskiej. Jest to bowiem sprawa, której drogą dyplomatyczną obronić nie można i zupełnie słuszne twierdzenie, że Mandżurja jest niezbędną dla dalszej egzystencji i rozwoju Japonji spotyka się z równie słuszną odpowiedzią, że niemniej niezbędną jest ona i dla Chin. W czasach dzisiejszych, kiedy prawie

niema państwa, któreby nie miało mniej lub więcej uzasadnionych pretensyj w sprawie granic i możliwości rozwoju, kiedy niektóre z nich własnych, dawniej zagarniętych ziem odebrać nie mogą, jakież współczucie, czy zrozumienie może wywołać zamach na posiadłość bezwzględnie cudzą, chociażby był on uzasadniony największą koniecznością? Pozostaje więc siła, jako ultima ratio, ale jest ona, teraz bardziej niż kiedykolwiek, rzeczą względną i zależną od całego szeregu okoliczności.

Delegowana w swoim czasie przez Ligę Narodów Komisja lorda Lyttona, która dokładnie zbadała sytuację w Mandżurji, przyszła do wniosku, że stan rzeczy zarówno w tym kraju, jak i w całych Chinach, rzeczywiście nie może być w dalszym ciągu tolerowany, ale zupełnie słusznie zaopinjowała, że tylko kontrola międzynarodowa mogłaby skutecznie przyczynić się do naprawy stosunków i poskromienia niesfornych generałów. Krzywdy i straty, na które uskarża się Japonja, o ile wogóle można mówić o krzywdach państwa zaborczego na obcym terenie, działającego na podstawie wymuszonych traktatów, mogłyby tą drogą być załagodzone i Mandżurja uzyskałaby możność dalszego normalnego rozwoju jako część Chin, lub jako jednostka autonomiczna pod protektoratem międzynarodowym.

Sprawa więc teoretycznie przedstawia się zupełnie prosto i przejrzyście i rozwiązanie jej przez jakiś posiadający egzekutywę trybunał międzynarodowy nie przedstawiałoby żadnych trudności. Niestety jednak trybunału takiego niema, a Liga Narodów, reprezentująca międzynarodową sprawiedliwość i międzynarodowe sumienie, posiada bardzo mało sposobów wpływania na państwa znajdujące się w stanie konfliktu, tembardziej jeżeli jedno z nich należy do mocarstw światowych, świadomych swoich celów i potęgi. Prawdopodobnie więc celem uratowania prestiżu Ligi z jednej strony, a nieobrażenia Japonji z drugiej, sprawa mandżurska byłaby stale odkładana, a tymczasem wypadki szłyby swoim torem, gdyby nie ofensywa podjęta przez Japonję w Żeche. Jest to prowincja na pograniczu Chin właściwych, która kilka lat temu została przyłączona do Mandżurji. Obecnie więc nowa władza mandżurska za pośrednictwem

wojsk japońskich domaga się jej przyłączenia do nowej republiki i celem zagwarantowania jej bezpieczeństwa wojska japońskie przekroczyły granicę Chin i zajęty Dżehol, co nie może być interpretowane inaczej, jak rozszerzenie konfliktu poza granice Mandżurji. Akcja ta zagraża całym Chinom Północnym, które gorączkowo przygotowują się do odporu, a opinja międzynarodowa słusznie ocenia ją, jako szkodliwą dla wszystkich państw, mających zainteresowania w Chinach.

Na zakończenie przejdźmy do rozpatrzenia całego szeregu praktycznych posunięć Japonji na terenie mandżurskim.

Przedewszystkiem wojska japońskie prowadzą planową i wytężoną walkę z ruchem partyzanckim w całym kraju. Walka ta, aczkolwiek daleka jeszcze od zakończenia, dała w ostatnich czasach poważne wyniki dodatnie. Do niedawna bowiem nietylko dalsze obszary kraju były w ręku oddziałów partyzanckich i współdziałających z nimi band chunchuzów, ale i większa część terytorjum kolei zarówno na odcinku wschodnim, jak i zachodnim była zajęta przez wojska antymandżurskie. Tak na odcinku wschodnim od samego prawie początku konfliktu rządziły wojska staro-giryńskie, pod wodzą generała Din Czao oraz kilka większych i mniejszych luźnych oddziałów partyzanckich. Na odcinku zachodnim w połowie września r. u. zbuntowały się brygady wojsk ochronnych pod dowództwem generała Sun Bin-wenia i zajęły linję kolei na przestrzeni kilkuset kilometrów do granicy rosyjskiej. Na północy od Cicikaru operowały również zbuntowane wojska generała Pu Bin-szań, na południu od linji kolejowej działały wojska Li Chaj-cina i innych, opierające się na bazę w Mongolji Wewnętrznej, a na wybrzeżu morskiem, koło Mukdenu i w rejonie kolei Południowo-Mandżurskiej grasowały mniejsze, ale liczne oddziały poszczególnych partyzantów. Do jakiego stopnia położenie było krytyczne ilustruje fakt, że stacja i osada Ańda, znajdująca się w odległości 80 klm. od Charbina trzykrotnie była zajmowana przez partyzantów. Sam Charbin był stale pod groźbą ich ataku, a chunchuzi, przebrani za robotników chińskich, napływali doń zewsząd, grasując w mieście i szerząc panikę. W tym ostatnim wypadku Japończycy zastoso-

wali ciekawy sposób walki. Mianowicie otoczyli miasto drutem kolczastym, przez który puścili prąd elektryczny i tylko w kilku miejscach zostawili otwory pilnowane przez silne oddziały wojska.

W ostatnich czasach rozpoczęła się akcja przeciwko partyzantom, prowadzona na większą skalę i w jej wyniku kolej została zupełnie oczyszczona od ich oddziałów i komunikacja wznowiona. Rozbite wojska Sun Bin-wenia wraz z nim samym schroniły się na terytorjum sowieckie. To samo zmuszeni byli uczynić chińscy generałowie na odcinku wschodnim. Większe skupienia partyzantów w głębi kraju również zostały rozproszone i opuściły zdobyte poprzednio większe miasta. Nie oznacza to oczywiście końca wojny domowej, ale przenosi ją do pustych przestrzeni w głąb kraju, gdzie ulegnie ona przerwie przynajmniej na okres zimowy.

Równocześnie gorączkowo prowadzone są reformy wewnętrzne. Kraj, zamiast jak dotychczas na cztery prowincje, ma być podzielony na dziesięć i koncepcja państwa mandżurskiego stopniowo ustępuje miejsce koncepcji państwa mandżursko-mongolskiego. W tym celu ziemie mongolskie, zajmujące przestrzeń od miasta Chajłarva do granicy sowieckiej, wydzielone są w osobną prowincję chingańską (Sin-ań), w której Mongołowie będą korzystali z zupełnej autonomji kulturalnej i administracyjnej pod rządami swoich książąt. Poza tem popierany jest ruch mniejszości narodowych i szeroką autonomję kulturalną mają otrzymać emigranci rosyjscy, gruzińscy, ormiańscy i muzułmanie wszelkich narodowości. Te ostatnie reformy ostro przeciwstawiają się interesom sowieckim, gdyż zagrażają sowieckiej Mongolji zewnętrznej i tworzą w Mandżurji mocne kadry emigrantów, którzy skutecznie mogą walczyć z propagandą komunistyczną.

Coraz wyraźniej również wyłania się koncepcja restytucji monarchji mandżursko-mongolskiej pod berłem cesarza Pu-I. Zarysowuje się plan stworzenia mocnego państwa, opartego na dawnych podstawach historycznych i przeciwstawiającego się komunizmowi. Jak się to da pogodzić z niewolniczym jego stosunkiem do Japonji, pozostaje zagadką. Banki japońskie udzieliły pożyczki 30000000 jenów celem ustabilizowania waluty, reformuje się wojsko, sądy, szkol-

nictwo, administracja, a zwłaszcza policja. Reformy te są niesłychanie doniosłe, ale też i niezmiernie trudne ze względu na zupełny brak odpowiednich ludzi, o których mówiłem. Dlatego też państwo mandżurskie szeroko proklamuje dostęp cudzoziemców do urzędów w charakterze instruktorów. Tak naprz. w policji bierze udział coraz to większa ilość emigrantów rosyjskich i wogóle emigracja gra dużą rolę w Charbinie, a urzędnicy chińscy, którzy nie wykazują dostatecznego zrozumienia przewodniej myśli japońskiej, są usuwani pod zarzutem sympatyj do Gomindanu. Daje się zauważyć powrót do władzy resztek arystokracji mandżurskiej, różnych bliższych i dalszych krewnych b. cesarza i nie będzie żadną niespodzianką, jeżeli usłyszymy o wprowadzeniu języka mandżurskiego, przynajmniej do korespondencji urzędowej.

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się działalność Japonji na terenie nowego państwa. Ma ona swoje znaczenie, ale oczywiście punkt ciężkości leży w rozwiązaniu sprawy mandżurskiej na terenie międzynarodowym, a w tej dziedzinie horyzont nietylko się nie rozjaśnia, a odwrotnie zachmurza się coraz więcej i niema powodu do różowych nadziei na przyszłość. Rozwiązanie kwestji Pacyfiku zrodzi się widocznie w ciężkich bolach, a kiedy to nastąpi, żaden lekarz międzynarodowy przewidzieć nie jest w stanie.

Dlatego też, pomimo szczerej sympatji do rycerskiego i przyjaznego nam narodu, analizując całokształt kwestji mandżurskiej, nie mogę powstrzymać się od poważnych wątpliwości i nie poruszając już nawet moralnej strony sprawy, grającej niestety w dotychczasowej polityce międzynarodowej rolę dosyć podrzędną, streszczam je w prostem pytaniu: czy jednak cała ta gra warta świec?

Konstanty Symonolewicz.

Próba syntezy nowej nauki o literaturze.

I.

Nauka o literaturze, jako nauka badająca przedmioty świata humanistycznego, znajduje się od dłuższego czasu w stanie głębokiego przełomu. Nic w tem dziwnego, skoro i językoznawstwo odsunęło się już oddawna od metod na przyrodoznawstwie opartych. Porzucono w niem nawet psychologizm, stanowiący podstawę nauk humanistycznych, zapytując się, w duchu fenomenologizmu, o istotę każdego a więc i językowego zjawiska.

Uznając, że w życiu duchowem są wartości, mające byt samoistny, wprowadzono pojęcie czynności intuicyjnej, z której wynika ekspresja czyli duchowa synteza estetyczna. Więc i język jest sztuką, skoro estetyka, jako podstawa nauki o literaturze i językoznawstwo są jednem, a czystem językoznawstwem jest właściwie stylistyka. W niej zaś ewolucja wzięła górę nad statyką, co nastąpiło oczywiście i w poetyce. Indywidualna i zbiorowa twórczość doznały też uwzględnienia.

Nawet Dilthey nie wystarczał już, skoro, od czasów Husserla, wyróżniono podmiot jako pośrednika w podawaniu zdań, zdanie zawierające objektywny sens, wreszcie sens jeden, trwały, niezmienny, choć akty jego rozumienia są różne. Ten sens zaliczono do świata idealnego, bo nietylko sądy logiczne należą do innego świata, ale i treści, mogące być w zdaniach formułowane. Przedmiot artystyczny ma oczywiście swój sens nieznikający bez reszty w różnoodnych subjektywnych aktualizacjach estetycznych przeżyć.

I to jest właśnie ów świat *objektywny, nadindywidualny, niepsychiczny a aktualizowany — w aktach rozumienia*. Duch nasz zmierza ku objektywizacji, a każdy moment jego rozwoju, to fazy jego samopoznania w aktach, jak mówi *Spranger*, zasadniczych prawdy, piękna, pożytku, miłości, wolności i świętości. Przedmiot artystyczny jest zaś naładowaną duchem formą, w której odnajduje się coraz nowy sens. W metodzie jego badania musi się uwzględnić spontaniczność, oryginalność, immanentność struktury. Więc raczej opisywać go należy, gdyż jest on całością niepowstającą tylko drogą sumowania skutków. Człowiek, artysta, dzieło, to jedności strukturalne, których rdzeń, jak mówi *Scheler*, jest niewyjaśnialny.

W nauce o literaturze, której podporządkowano ostatecznie historję literatury, szuka się odtąd sensu i istoty historji, jej statyki i dynamiki, treści sensownej historycznej jednostki i zbiorowości. Względy formalno-estetyczne i ideowo-treściowe biorą górę a, za wzorem *Wölflina*, bada się też i styl nie jako przejaw indywidualności artysty, ale — *fenomenologiczny i ponadindywidualny objaw zjawiskowej formy absolutnego ducha*. Szuka się też idei postaci twórczej jednostki zamiast, jak w dawnej biografistyce, zewnętrznych faktów, poczytując tę jednostkę za prafenomen a jej przeżycia za odmienne od zwykłych przeżyć. W ten sposób, pod piórem *Gundolfa*, powstał rodzaj metafizyki Goethego.

Jak wyjaśnił *Walzel*, przeżycie jest poniekąd przetworzeniem, którego wyraz stanowi dzieło. Wyrosła stąd nowa podstawa nauki, która stroni od relatywizmu przeszłości, pozwalając sobie nawet na zakazane dawniej wartościowanie. Rozróżnia się w niej zawartość od kształtu, za kształt poczytując tylko to, co działa na zmysł wewnętrzny i zewnętrzny, a za styl tylko wewnętrzne skupienie elementów. Estetyzm przeważa w tej podstawie wogóle i wszędzie utwierdza się świadomość, że chodzi dziś głównie o *zagadnienie wartości i o treści duchowe o nadczasowej zasadzie istnienia, o ukształtowanie idealnej fenomenologji*, gdzie z zewnętrznej formy dzieła przez pogląd twórcy uwarunkowanego wszystkie czę-

ści wewnętrznej formy i wewnętrznego wyrazu idei mają być odtworzone, dalej o oznaczenie literatury jako funkcji życia społecznego, a zwłaszcza o sposoby, dzięki którym uzewnętrzniają się duchowe wartości poza czasem w ludzkiej duszy istniejące.

Jest w tem i odwrót od historyczności, skoro docieka się, za pośrednictwem dzieła, istotnych ludzkich wartości. A jednak Dilthey był filozofem i historykiem w jednej osobie, gdy stawiał jednostkę na tle porządku ogólnego i śledził, jak duch filozoficzny przyjmuje wszędzie formy metafizyki. Ogarniał on wszędzie ducha ludzkiego i jego wytwory, uważając epokę za pewną jedność czasową opanowaną przez te same tendencje. Widział, jak jednostka przetwarza w sobie najrozmaitsze elementy kultury, jak wola, przeżywanie, przedstawianie, są różnemi stronami jednolitego procesu życia, jak nauki humanistyczne stanowią związek poznawczy, którego tendencją jest objektywne poznanie zespołu ludzkich przeżyć w ludzkim świecie historyczno-społecznym.

Odwracając się od psychologji doświadczalnej, jako nauki bez duszy, uznano, od jego czasów, że ona wszystko sprowadza do pewnej ograniczonej liczby znalezionych analitycznie elementów. Tymczasem dziś wypada uważać raczej rozwinięte życie psychiczne a nie elementy, raczej charakter, kompleks i związek. Życie duszy, to związek funkcyj, to jedność w strukturze o charakterze teleologicznym. Ze struktury zaś wynika rozwój tem większy, im większą jest jednostka, wynika widzenie analityczne naukowca a konkretne artysty. W naukach przyrodniczych jest przedmiot wywnioskowany z danych zmysłowych. W humanistycznych jest on dany w wewnętrznem doświadczeniu, czyli tam poznany, a tu rozumiany. Rozumienie opiera się znów na przeżyciach, zawartych w znakach i objektywacjach.

Zrozumieć te znaki, wykryć najwyższe prawa, oto cel humanistyki mającej swe odrębne rozumienia. Objektywacja życia przez sztukę nie da się zaś rozłożyć na sumę funkcyj psychicznych, skoro duchowa rzeczywistość nie da się rozłożyć i wznosi się ponad jednostkę, jako postać jednostkowa wśród ogólnej treści ducha. Zakresem humanistyki jest

wszystko, w czem się uprzedmiotawia duch, a więc życie indywidualne, system kultury, związek kulturalny, społeczność, epoka realizująca pewne wartości. Cały świat historyczny jest jakby związkiem działań różniącym się od przyczynowego w naturze tem, że wytwarza wartości i realizuje tendencje tkwiące w strukturze, ciągle nowe wartości i nowe tendencje jako formy nadindywidualne, powstające z trwałych stosunków między indywiduami.

Nawet pogląd na świat jest projekcją kultury duszy w jej wewnętrznej jedności woli, uczucia, przedstawienia. Metafizyka, religja, sztuka są zaś formami tego poglądu, który szuka sensu życia. Tylko sztuka, a więc i literatura, nie poznaje rzeczywistości, ale podkreśla znaczenie zdarzeń, ludzi, rzeczy w formie symbolów. Nauka o sztuce, a więc i o literaturze, nie jest tedy częścią historji, skoro w sztuce jest więcej wolności, niż w innych formach. Metafizyka, religja, sztuka objaśniają się zaś wzajemnie, bo wszystkie uwydatniają postawę ludzkości wobec świata.

Poznanie zjawisk o współczynniku humanistycznym ma do czynienia z zagadnieniem znaku czyli z rozumieniem znaczenia wyrazu. Jeżeli już historja literatury wydobywała typy, to badanie typologiczne, jako badanie oparte o strukturalizm, przenika wszędzie. Właśnie fenomenologja, poznając istotę pewnych operacyj świadomości i idealnych konieczności, które wiążą się z pojmowaniem, z wyobraźnią, z aktami oznaczenia i sądzenia, mniema, że źródło poznania jest w poznaniu ejdetycznem i zgodnem z istotnością. Istnieje bowiem nauka o faktach i nauka o istotności, jak czysta logika lub matematyka.

Fenomenologja ma zaś dążność do wnikania w odrębność struktur, popierając postawę idjograficzną czyli dążącą do opisu swoistości osób i tworów. Ona też zapytuje, czem jest piękno w swej istocie, gdy estetyka psychologiczna zajmowała się tylko, za dni Lippsa, pojęciem wczucia się, oznaczeniem zasad estetyczno-formalnych i możliwości ich zastosowania, ustalaniem właściwości sądu estetycznego jako sądów wartości. Jeżeli wczucie się stanowiło do niedawna punkt wyjścia estetyki, bo w niem, jako środku uestetyczniania przedmiotów kulminowało zadanie

psychologicznej estetyki, nie zaniedbuje się dziś wcale i analizy formy z punktu, który można nazwać więcej niż technicznym.

Tu zaważyła nauka o języku Crocego, także i Utitza, który wyróżnił osobną ogólną naukę o sztuce, nie rozważając dzieł tylko jako znaków, gdzie uzewnętrznia się życie wewnętrzne, ale badając i elementy formalne oraz podkreślając ich zależność od celu, od materjału, od techniki. Ale i on nie zlekceważył wczucia się i woli. Indywidualność, swoistość, wyjątkowość doznały też poparcia ze strony jego charakterologji, a świadomość, że piękno jest prawdą uczuciową, że uczucie jest niezależnem od świata i zmierza do istoty rzeczy, otworzyła drogę widocznemu już i u Diltheya irracjonalizmowi.

Utrwaliło się przekonanie, że świat ludzkich tendencyj jest realny, że nauka o literaturze zamierza wskazywać sposoby, wedle których on się kształuje, w czem oczywiście muszą pomóc inaczej pojęte poetyka i stylistyka. Zrozumiano, że prawdziwi artyści stwarzają swój świat własnemi środkami. Zbadano nawet skrupulatnie, co oni przedstawili i jak przedstawili. Rozróżniając metodę genetyczną, historyczną, fenomenologiczną, poczęto zdawać sprawę z dzieł wedle pewnych kategoryj, biorąc za punkt wyjścia to jak, co wyszło na korzyść u nas Kochanowskiemu, Zimorowiczowi, Malczewskiemu, Goszczyńskiemu, Żeromskiemu.

Ustalono wogóle, że nauka o literaturze stanowi część nauki o sztuce, a historja literatury jest częścią historji sztuki. Poetyka, jako teorja literacka, jest zaś częścią teorji sztuki; inne nauki są tylko naukami pomocniczemi. Jako córka filologji, uległa nauka o literaturze różnym wpływom, usiłując dziś nawiązywać styczność z estetyką i poetyką fenomenologiczną, której dano też nazwę czystej. Niewątpliwie filologja dokonała wiele dla poznania życia duchowego, choć już romantyzm porównywał filologa z arstystą i filozofem.

Ale związek filologji z przyrodniczym punktem widzenia zaszkodził jej więcej, niż pomógł. Dokonał się jakby rozłam między nią a estetyzującą nauką o literaturze, choć od tamtej przejęto pomoc we wskazaniach o ustalaniu i objaśnianiu tekstu. Zmysł dla duchowego charakteru języka,

zmysł dla natury słowa i poezji jako sztuki słowa zatracił się przecież aż do wystąpień Vosslera. Wrócono teraz do stanowiska romantyków, uznając, że język i poezja są z sobą najintymniej związane a nauka o literaturze wiąże się z nauką o języku.

Poczęto pojmować literaturę jako jednolity organizm a historję literatury poczęto rozważać na sposób Diltheya. A i badania porównawcze zaważyły wiele w takiej koncepcji, choć podobieństwa, analogje, paralelizmy nie stanowią jeszcze systemu. Filologiczna metoda pozostała jedynie w ustalaniu i objaśnianiu tekstu, co ma jednak mniejsze znaczenie w czasach nowszych. Nowej chodzi głównie bowiem o to, co sam twórca wykonał. Tak zwana geneza nie może być przecenianą. Idąc jej drogą, nie można wykryć świadomego artystycznego tworzenia.

Również mylił się i psychologizm, gdy z dzieła wydobywał osobistość twórcy. Normalna psychologja niewiele też twórcę objaśniała, choć już Roetteken domagał się, na początku wieku, zbadania twórczego procesu artystycznego, a Simmel ironizował tych, co ze wzoru chcą zrozumieć dzieło. Poszukano znaczenia dzieła w rozwoju twórcy i inaczej też pojęto przeżycie i wzór. Przekroczono w każdym razie granicę filologji, pogłębiając też zagadnienie generacyj w literaturze, narodowości i ludzkości w tworzeniu a, mimo indywidualizacji, także i uniwersalizm. Niewątpliwie przecież postęp nauki o literaturze wymaga pewnego kompromisu między genetycznym a systematycznym sposobem badania.

II.

Skoro jest mowa o rozłamie między estetyzującą nauką o literaturze a filologją, nie można nie podnieść tego, co dzieli oba kierunki. Zgodzono się, że dawny cechowały analityzm i genetyzm, co oparły się o czysto przyrodnicze podkreślanie elementów w zjawiskach i nomotetyczność. Estetyzm bada przeciwnie związek zawartości i kształtu, unikając analizowania i racjonalizowania tego, co znamionuje swoista logika uczuć i obrazów. Nastawienie dawniejsze oddala od zrozumienia całości, której struktura musi być opisaną,

jako żywy i niepowtarzalny związek zawartości i kształtu.

Tu spieszy w pomoc estetyka, jako nauka o psychologji przeżyć estetycznych, o twórczości artystycznej, o teorji poszczególnych sztuk. W literaturze rozważa ona słowo jako przedmiot literackiej ekspresji. Zatem teorja rozumienia dzieła stanowi, na tle poetyki, jakby ośrodek nauki o literaturze, co jasno zdaje sobie sprawę, że ma w niem do czynienia jakby z inną rzeczywistością, gdzie nieświadomość dostarcza świadomości gotowych zespołów na podstawie tego, co Bergson nazwał schematem, a więc jakby formą życiowego — uświadamiającego się w sposobie tworzenia — popędu. Jest on możliwością, której uporządkowania, selekcji, materjalizowania podejmuje się świadomość.

Zawartość estetyczna dzieła wyprowadza się z duchowej postawy twórcy, którą Spoerri ujął w trzy wymiary statyzmu, dynamizmu, normatyzmu, czyli spokoju, ruchu i kierunku odkrywających tajny świat znaczeń. Rozumienie jest więc jakby wykładem rozwiniętego przez twórcę porządku, który da się odgadnąć z kształtu i jest innym u klasyków, u romantyków, u realistów. W takim wykładzie rozróżnia się zatem zawartość jako odpowiednik postawy, przedmiot, który jest formą zewnętrzną, kształt mający raczej charakter wewnętrzny czyli obrazowy, ruchowy, dźwiękowy, językowy. Wszystko, co składa się na kształt stanowiący jakby rodzaj polifonji, oświetla wymiar i musi być opisane także w stosunku do zawartości, z którą łączy się w spójną całość jako ujęcie świata w pełnym sensu i znaczenia wycinku.

Uchwycenie koncepcji, ujęcia, intencji, swoistego i osobliwego ukształtowania przeżycia, oto cel wykładu, co nie ceni zbytnio przedmiotowych, życiowych, zwykłych wartości, bo nie stanowią one intelektualnego, etycznego, religijnego życia ducha. To życie ujmuje tylko sztuka w artystycznej, jak powiedziałby Petsch, dwujedności, w symbolicznem ustosunkowaniu znaczeń, w nowej rzeczywistości, gdzie nielogiczny przebieg, ale intencjonalne przedstawienie rozstrzyga. Wykład syntetyczny zastąpił zatem poniekąd analityczny, by odsłonić wewnętrzną

strukturę dzieła. Łączy się to niezaprzeczenie z ogólną postawą myśli współczesnej, co pyta o istotę.

Jeżeli fenomenologizm zaznacza, że przedmiot jest świadomy tylko w akcie, jeżeli nawet uczucia uważa za akty, przez które duch pojmuje przedmiot, więc i dzieło musi się poczytywać za akt intuicyjny, stojący poniekąd poza przestrzenią i czasem, istotny w swej strukturze i niepowtarzalności. Oczywiście estetyka spieszy tu w pomoc w swej postaci psychologicznej i fenomenologicznej, jako właściwa estetyka i ogólna nauka o sztuce, ze swemi zagadnieniami wrażenia estetycznego i tworzenia artystycznego, materji i rozwoju sztuki, wreszcie kultury estetycznej.

Uwydatniło się teraz wyraźniej przeciwieństwo estetyki, które jest raczej psychologją sztuki i ogólnej nauki o sztuce, co studjuje różne i złożone zawartości sztuki i nie zwraca uwagi na czysty element estetyczny. Pierwsza określiła istotę sztuki przez możliwość ustalania przeżycia w formie przedmiotowej, podnosząc niezależność dzieła, którego tworzenie jest nader złożonym procesem, a więc rodzajem aktu pozbawionego celowości, gdy wrażenie jest raczej czemś elementarnem. Punkt ciężkości jest w formie, co nie jest czysto estetyczną, skoro opiera się o pracę techniczną. Celowość tkwi raczej w tem, na co składają się momenty zawartości i kształtu, by tylko wywołać wrażenie życia. Sztuka nie daje się zaś wyczerpać przez estetykę, gdyż twórca zajmuje różne podstawy, co stosuje się też do jej odbiorcy i stwarza sferę zainteresowań pozaestetycznych.

Sens przedstawienia w sztuce udziela się nam w doświadczeniu uczuciowem zapomocą obrazów, kompozycji, rytmu, by dać pełną rozmaitość indywidualności i sposobów artystycznych nie w ich uwarunkowaniu ale w istocie. Chodzi tu o wartość przedstawienia i oto, co nauka nazwała planem istnienia czyli podstawą idealną twórcy i dzieła, która bywa nawet niezależną od uczucia, i o to, co nauka mianowała sympatją wewnętrzną, ujmującą rys istotny i indywidualny rzeczy. I technika nie jest obojętną, bo sztuka jest porządkiem, co panuje nad chaosem i ma swą wartość historyczną i samą w sobie.

A jednak jest ona protestem przeciw postawie racjonalnej, wiążąc to, co ludzkie, ponad tem, co narodowe i czasowe. Szuka się zatem objawów ducha wogóle, choć nie pomija i ducha epoki, bo on stanowi o jej stylu. Takim duchem w jego objawach są wielkie prądy, co przez twórców wcielają swoiste prawa sztuki, przyczem oni mają poniekąd rolę kierowniczą. A poznajemy ich głównie uczuciowo, instynktowo, intuicyjnie, gdyż moment estetyczny stanowi ośrodek wszelkiej nauki o sztuce.

Jeżeli zaś psychologja sztuki może oddać wielkie usługi, to jednak i teorja sztuki a więc i teorja poezji, jaka nauka o zobjektywizowanych przeżyciach twórców, wysuwa się na plan pierwszy. Estetyka psychologiczna zapytuje, co stanowi przedmiot estetycznych doznań, gdy fenomenologiczna opisuje estetyczne przedmioty ze względu na różne ich strony i bez wyjaśnienia przyczyn ich bytu. Rozumie ona, że przy całym charakterze indywidualnym, mają one znaczenie nadindywidualne, więc fenomenologiczne analizy estetycznego przedmiotu mogą być i podstawą fenomenologicznej poetyki.

Poetyki nie wyczerpuje bowiem ani psychologja twórczości ani estetycznych doznań. Kształtuje się jakby metoda opisowa, która zbliża przedmiot w adekwatnym oglądzie jego stron i gruntuje na tem opis jego istoty. Odsuwa się podmiotowo-psychiczne ujęcie poetyki psychologicznej, której ostatnim wyrazem jest Müller-Freienfels, i przyjmuje stanowisko Geigera, który wyróżnia przedmiot jako coś stałego a podmiot jako zmienność. Odsuwa on podmiotowe wczucie się, chcąc z estetycznego używania wykluczyć wszelkie podobanie się i sądy. Żąda koncentracji wewnętrznej i apollińskiego a nie dionizyjskiego używania. Chodzi o to, co dzieło w sferze ducha oznacza. Sens wszystkich zjawisk artystycznych oznacza, że mają one związek z istotą rzeczy, że twórcy porządkują się wedle znaczenia, jakie ma dla nich istota nieskończoności, że piękno, to metafizyka, co przybrała formę zjawiskową.

Estetyka musi tedy mieć swą autonomję, bo w niej rozstrzyga tylko moment estetyczny. I nie o realne przed-

mioty tu chodzi, ale o takie, co są dane jako fenomena, co są dane jako przedstawienia oglądającemu. Ma się na względzie istotę obrazu, symfonji, dzieła w ich ogólnej strukturze a nie w poszczególnym przedmiocie. To, co znajduje się u wszystkich tragików, stanowi naprzykład istotę tragiczności. Estetyka fenomenologiczna bada zatem fenomeny nie w przypadkowych i indywidualnych warunkach ale w momentach istotnych, co wymaga ogromnej historycznej podstawy. Ma się zaś na celu ustalenie pewnych zasad wartościowych, co stanowi jakby filozoficzną estetykę.

Doczekała się ona dziś właśnie pewnego ustalenia w związku z poetyką a jej rozważanie istoty jest skierowane na pewną określoną istotność i kształtowanie tej istotności w sztuce. Poznanie sztuki, to tedy poznanie w urzeczywistniających ją istotnościach, co stanowi poniekąd przeniesienie logicznych terminów husserlowskich w dziedzinę estetyki. Albowiem sztuka może być oglądaną sama w sobie w swym pełnym sensie, skoro jej wartości nie są niczem rzeczywistem a dzieło stanowi jakby organizm w jednolicie związanym przedmiotowym obrazie.

Estetyka fenomenologiczna ma zatem swoisty sposób poznania, daleki od indukcji i dedukcji, a nawet nie tak związany z intuicją, jak dawniej sądzono, a raczej zdążający ku rzeczowości. Skoro zatem ma się do czynienia z przedmiotem w jego odrębności, należy ustalić przez analizę jego strukturę i wartościową określoność w tem, co mają one istotnego i co pozwala im złożyć się na jednościową całość fenomenu. Psychologizm w estetyce prawi bowiem ciągle o jakiejś rzeczywistości, co działa niby na podmiot, także o odczuwaniu dzieła, w czem ma za sobą autorytet dawniej Lippsa, dziś Ziehena, Müllera-Freienfelsa i innych.

Zatem postawie zajętej wobec fenomenu może odpowiadać, jako metoda poznania, tylko opis. Stosuje się jakby fenomenalną psychologję, która szuka czegoś stałego czyli substancjalnego. Ono jest tem, co dziś nazywa się duchowodusznem. Nowa estetyka ma za cel objęcie sensownego pogłębienia estetycznej świadomości wartości i fenomenalnych właściwości estetycz-

nych przedmiotów. Czy w organicznej grupie fenomenów nie da się bowiem dokonać zbadania tego, co jest w nich istotne i co stanowi ich właściwą przedmiotowość? Całkiem nowe to nie jest, bo już kiedyś nazywano to ideą przedmiotu, choć teraz stosuje się szeroko moment porównawczy i oczywiście kieruje się wzrok na formy, sensy, istotności przedmiotu.

Podstawą jest tu przecież zawsze estetycznie przeżywający człowiek, co stoi przed formacją złożoną i mającą swe własne znaczenie. A i artyście takie pojęcie istoty się przyda, by oddzielił istotne od warunkowego. Odwołujemy się tu zresztą do pojęcia smaku jako przedmiotowo-organicznej funkcji, rozróżniającą smak życiowy i duchowy. Używanie dzieła dokonywa się jakby w zupełnej izolacji; przeżycie wznosi się nad wszelkie naturalne kombinacje, nie zachowując żadnej postawy wobec przedmiotu. Jest to jakby kontemplacja, jakby używanie rozważeniowe, jakby zapomnienie o indywidualnej osobistości. Czuwa zatem to tylko, co istotne i ludzkie, skoro chodzi o opis, co odbudowuje przedmiot używania do stopnia pełności a za estetyczne uważa nie jakość, ale modalność czyli sposób. Odsuwa się podmiotowe a poszukuje się sensu świata przeżyć czystych fenomenów. Te fenomeny właśnie, w przeciwieństwie do rzeczywistego bytu, będąc tylko pozorem, nie są czemś przypadkowem i mają swój własny sposób istnienia, który nie podpada pod zmysły i stanowi niepodlegający wcale prawu przyczynowości charakter zjawiskowy. Jeżeli logiczne jest sensem rzeczywistości, to jest i logika nierzeczywistości.

Prawdziwy świat jest zaś światem czystej rzeczowości, gdzie i człowiek czuje się rzeczą. Ale ująć można świat i w innem znaczeniu. A to pozwala charakter jego przedmiotowości przesunąć w kierunku od logiczno-rzeczowego do ludzko-istotnego. I to ostatnie właśnie iści się w fakcie świata estetycznego. Estetycznie można wartościować i rzeczy realne, można jednak i wznieść się nad podmiotowo-uczuciowe przeżycie, o którem rozstrzygała tylko osobowość.

Czysty fenomen, mówi Ziegenfuss, dla poznania rzeczywistości małego znaczenia, jest estetycznie pełnowartościowy i nader ważny. Mamy przecież do czynienia z przedmiotem dla estetycznych rozważań raczej fikcyjnym. Fenomena stają się zatem znaczące przy pomocy specjalnego sposobu patrzenia a człowiek estetyczny staje się wolny, czego nie można uzyskać przy psychologicznym lub socjologicznym sposobie patrzenia. Istota człowieka nie jest tu zaś całkiem nierealna, bo jest on zawsze jednym jako fenomen. Można tak usunąć różnicę między przedmiotem a podmiotem. Człowiek jest sam istotą tego, co estetyczne, bo z niego wypływa sens, wartość, swoistość tego, co jest fenomenem.

Romantyzm jest, naprzykład, estetycznem przeżyciem, gdyż odnosi się do rzeczywistości ironicznie w imię wyższego prawa, pojmuje świat jako mit, mówi o wszystkiem w uczuciowo-obrazowym oglądzie. To wszystko ma sens tylko w świecie ludzkim. Także erotyk jest fenomenem estetycznej osobowości a obraz jest fenomenem świadomości. Sens piękna odczuwano zawsze, choć je mieszano z tem, co przejściowe i nie uświadomiono sobie, że należy nierzeczywistość określać jako bezwarunkowo wartościową pozaświatowość.

Co się tyczy charakterologji, to ona ma tylko ten związek z estetyką, że na istotę osobowości jako na kształtotwórczy czynnik wskazuje. Dopiero od charakterologicznego fenomenu wiedzie droga do istoty. A przecież dzieło nie jest tylko wyrazem jaźni, ale pozapodmiotowego świata, stanowiąc ogólnoobrazowy związek. A przecież styl nie jest tylko wyrazem indywidualności, bo przedstawia typowe z całej grupy realnych kształtów wydobyte. To typowe tkwi w pewnej określonej warstwie ogólności, choć tylko małym twórcom odpowiada ogólna maniera. Im głębiej zaś sięga się w istotność, tem mniej daje się zauważyć charakterystyczne i indywidualne. Badanie indywidualnego porządku jest więc raczej kategorją charakterologiczną.

Co jest więc istotą estetycznego? Jak już wiadomo, nie chodzi w niej o jakość, ani o piękność, ale o modalność zjawiska w przeżyciu. Jest to więc jakby wewnętrzne

pojęcie wszystkiej bezpośrednio pełnosensownie przeżytej i pełnowartościowej przedmiotowości. Takie określenie przypomina wogóle postawę samego twórcy. Istnieje ich zresztą cztery inne, jak u realistów, filozofów, sentymentalistów, wreszcie wczuwających się. Istnieją i inne, jak pierwotna, świadoma, filologiczna, twórcza, co właśnie jest istotną.

Jedno jest pewnem, że w sztuce mamy przed sobą artystyczny przedmiot, który jest idealnym przedmiotem. Wypełniamy go poniekąd naszem życiem. Ono mówi do nas całych, by nam mistrzować w swej intencjonalnej jedności pewnej struktury, czyli w określonym kierunku wszystkich elementów, w intencjonalnej gęstości bez przenośni, w intencjonalnej dali, co cały świat z właściwego wartościowego stanowiska przenika. To jest właśnie artystyczna przedmiotowość i wartość sama w sobie.

Intencjonalna jedność, gęstość i dal są też w dziełach techniki, choć tkwią one nie w nierealnej płaszczyźnie estetycznego przeżycia, ale w rzeczywistości. Sztuka absolutna jest w pełni estetyczna i niszczy w pełni świadomie to, co może w jej obrazach oznaczać rzeczywistość. Taką sztuką jest ekspresjonizm, jako zerwanie z estetycznem skierowaniem do rzeczywistości i uważaniem przedmiotu tylko jako punktu wyjścia, co odtwarza jedynie intuicyjny akt wniknięcia i rekonstruuje go jako byt sam w sobie. Jemu wystarcza przeżywanie rzeczywistości w zupełnem oderwaniu od przedmiotu. Jako sztukę absolutną poczytuje on muzykę, bo jest najmniej realną a stoi najbliżej człowieka.

I słusznie głosi taka estetyka, że inaczej sztuka swej wolności wobec rzeczywistości nie obroni. Zatem i norma jest śmiercią artyzmu, bo dzieło musi samo wystarczyć, bo jego znaczenie jest poza ludzką subjektywnością. Moralista, nie może, naprzykład, obejrzeć tego, co irrealnie estetyczne. Artysta jest zaś tragicznym, bo nie może ogarnąć zakresu estetyka i moralisty. Sztuka nietragiczna tkwi w ograniczeniu do czysto estetycznego w sztuce absolutnej. Jest statyczną, szukającą harmonji, bezsilną wobec istotnego życia. Tragizmem sztuki jest, że ona wiecznie nowa, jak i życie, o ludzką rzeczywistość walczy.

Więc w tragedji występuje ludzki byt, co sam jest miarą wartościowania. Klasycyzmowi chodziło właśnie o wieczne i o ludzkie, także i późniejszym. Tragedja może być zatem w irrealnej przestrzeni życiowej, skoro wszędzie widzimy w niej momenty nierealne. Sami artyści głoszą nawet, że wszystkie rzeczywistości życia są złudzeniami, że każdy wytwór fantazji musi mieć swój dramat, że nie aktor osobę, ale osoba aktora ma stwarzać. Sztuka rzeczowa, a raczej nierzeczowa, może utrwalić światopogląd, który rzeczywistość nie w sensie rzeczywistości, ale istotnego ujmuje.

I tu przypomina się znów Bergson tem, że zalicza on wprawdzie życie do rzeczywistego porządku, ale je w rzeczowo przedmiotowem poznaniu ogarnia. Że poznanie intelektualne ma granice, sztuka daje rzeczowe przedstawienie i pozytywne spełnienie. Nie może dokonać się zwycięstwo rzeczywistości nad głębią, bo sztuka jest walką z wiedzą, co jest pod władzą rzeczywistości. Sztuka daje istotę człowieka dla wyrównania z rzeczywistością, przenosząc głębsze, wewnętrzne, istotne znaczenie nad byt. Tajemnicą, którą uznał i fenomenolog Ingarden, jest zaś kształt, zwany dawniej formą.

Na podstawach tak pojętej estetyki może zaś wznieść się poetyka, co związków między warunkiem a przeżyciem wcale nie rozpatruje a ujmuje jedynie dla opisu związek elementów dzieła w jego sensie nadindywidualnym. Ma zatem charakter ejdologiczny i zajmuje się dziełem jako tworem trwałym, wewnętrznym, psychofizycznym. Jako nauka ejdologiczna, bada wewnętrzną strukturę tworów jako takich, niezależnie od przypadkowych aktów tworzenia, rodzaje i sposoby wyrazu w poezji, stając się raz ogólną teorją znaków, raz nauką o rozumieniu znaków czyli wyrazów.

Uświadamiając sobie, że środkiem wyrazu w literaturze jest język, co stanowi jednocześnie materjał twórczej czynności, zwraca ona uwagę na funkcje wyrażania, gdyż są one inne od funkcyj życiowych i naukowych. A więc, jak mówi Łempicki, zagadnieniem poetyki fenomenologicznej będzie wyraz artystyczny, dzięki któremu pozostają owe twory o swoistej strukturze. Toruje ona zatem drogę do wniknię-

cia w istotę poezji, unikając dociekań psychologiczno-genetycznych i rozważań złączonych z poetyką psychologiczną. Ustala pojęcia, co czynią przedmiotowo możliwym związek estetyczny, przyczem rozstrzygającemi są tu zasadnicze pojęcia pierwotnych form związków.

Te związki wyłaniają się bowiem z kształtów pierwotnych w kierunku nieskończonej rozmaitości i opierają się o kategorje przedstawienia, jak naprzykład przedmiot lub zawartość, o kategorje formalne, jak jedność, symetrja, proporcja. Nie obojętne są w tak pojętej poetyce i prawa, które mają podstawę w tych kategorjalnych pojęciach, czyli aprioryczne i nieprzekraczalne normy przedstawienia. Te normy muszą odnosić się do całego nieprzebranego materjału empirycznego poezji. Przez nie ludzka jednokształtność wiąże się z historyczną zmiennością zjawisk.

III.

Wypada teraz zapytać, jak przedstawia się poetyka psychologiczna, co mówi o psychologicznych podstawach tworzenia i oddziaływania tworzenia. Daleko za nami jest już klasycyzująca poetyka, co dawała podstawę i klasycyzującej krytyce literackiej, kiedy to rozprawiano nietylko o technice, ale i o różnicy poezji od innych sztuk, o gatunkach i środkach literackich. Wtedy panowała w niej normatywność, wyrosła na gruncie wartościowania antyku i kulminująca w zasadzie harmonijnej piękności, opartej o cichą wielkość i szlachetną prostotę z pominięciem charakterystyczności.

Tę normatywność podkopała poznana historyczna rozmaitość czasów nowszych. Szukano tego, co czasowe, a nie istotne, tonąc nadto w spekulatywności, którą odsunęły dopiero empiryzm i historyzm. Psychologizm wziął teraz górę nie bez udziału filologów, co lubili inwentaryzować i systematyzować. Normatywność nie wróciła już przecież, gdyż poetyka wzięła sobie za zadanie ujęcie żywych sił i oparcie się o reguły, płynące z natury człowieka i z doświadczenia wieków. Chciała być nauką psychologiczną a zarazem jakby

formalną, czyli wyjaśniającą historycznie rodzaje, formy i obrazy.

Wejrzała też w wewnętrzne życie twórców i w istotę ich twórczych sił. Odróżniła koncepcję i wykonanie, choć, jak słusznie zaznaczył Tomaszewskij, zawiele wykładała o psychologicznych warunkach powstania i rozwoju dzieł, a nie dawała klucza do stylistycznej ich analizy. A dzieło ma przecież coś przedmiotowego i posiada też zewnętrzną prawidłowość, co odpowiada jakby funkcjom życia. Występuje tu ciągle owo jak, któremu chodzi nietylko o psychologiczny proces tworzenia, ale i o estetyczne rozumienie świata i praw świata poety, gdzie niema granicy między możliwością a niemożliwością.

Zrozumiawszy, że poezja jest sztuką słowa, uznano w niem znak budujący inny świat od plastyki, znak o wartości obrazowej i muzykalnej, znak o wewnętrznej sile uczuciowego przeżycia. Budzi on nastrój, co zmusza do uwierzenia temu, co przedstawia, wywołując wrażenia optyczne, dźwiękowe, ruchowe. Odkryto też jakby prawa rodzajów, jak jedność, rozwój i czynność. Stopniowanie i zakończenie uznano także za prawo ogólne wszystkich rodzajów. Poetykę, dla której wiele zrobił w formalnym kierunku Meyer, oparto o psychologję różniczkową i o personalistyczną teorję poznania, gdzie zaważyła kategorja indywidualności jako całości, mającej samozachowawczość, rozwój, przeżycie siebie.

Personalizm, badający różnice typowe i indywidualne, ma zaś niezaprzeczony związek z inicjatywą Diltheya, co życie psychiczne pojmował jako całość a nie zbiór elementów. Usunięto doświadczalną psychofizykę na korzyść psychologji strukturalnej, nie ignorując żywej całości i jej stosunku do czynników nadindywidualnych, jak duch każdorazowej historycznej rzeczywistości i duch norm i praw etycznych czyli przedmiotowy i normatywny. Na tle tego ducha każda żywa całość ma swój sens o charakterze teleologicznym, bo stwarza wartości o wadze nadindywidualnej. W obrębie każdej całości są trwałe skłonności charakterologiczne, co stwierdzają identyczność jej duchowej struktury.

W aktach tej całości zawierają się intencjonalnie kierunki wartościowania, bo w każdej jest psychiczne nastawienie, bo w każdej jest sensowne odnoszenie się do rzeczywistości, co da się stwierdzić przy pomocy sprangerowskich metod izolacji, idealizacji, totalizacji, indywidualizacji. Jeżeli każdemu z typów odpowiada sfera ducha przedmiotowego, to każdej żywej całości odpowiada odpowiedni wyraz o utajonej racjonalności i dynamice struktury. Można tedy ustalić sens nadindywidualny każdego aktu i każdej indywidualności.

Czy istotę duchowej struktury nie stanowi normatywna prawidłowość? Duch normatywny w indywidualnej perspektywie jest normatywnem sumieniem osobowości a twórczość ducha indywidualnego jest istotą rozwoju kultury. Rozumienie humanistyczne jest zatem sposobem tłumaczenia indywidualnych i ponadindywidualnych struktur duchowych, gdzie nie o elementy chodzi, ale o sensowne całości czyli o zespoły wartościowe. I tu napotykamy niewątpliwie postawę irracjonalną, której i w psychologji religji hołduje się również. Konkretna forma indywidualna nie da się bowiem ująć w schemacie rozumienia bez reszty, bo dynamika ducha jest niewyjaśnialną. Zatem wrócono do romantycznej tezy o duchu podmiotowym, przedmiotowym czyli historycznym, wreszcie absolutnym, który wchłania tamte.

Poetyka współczesna oparła się niewątpliwie o pogląd struktualistów, odsuwając oczywiście wszelką normatywność i uznając w estetycznej sferze życia jakby wyrównanie praktycznej. Poczytawszy poezję za sztukę znaczeń, co środkami językowemi stwarza wartości same w sobie, zwróciła ona zarówno uwagę i na środki stylowe, jak i na warunki psychologiczne. Zainteresowała się typem, który opiera się o przeważającą skłonność w danej grupie twórców, nie zaniedbała tego, co nazwano wyrazem językowym, gdzie nie obraz, dźwięk, ruch tylko chodzi, ale i o znaczenie, skoro symbolika jest najgłębszą treścią każdej twórczości.

Rozróżniła nawet teorję wyrazu i teorję kształtu, stosownie do udziału momentu podmiotowego twórcy, w którym uwzględniła irracjonalizm struktury, wyjątkowość aktu

twórczego, współdziałanie wszystkich władz, opartych, jakby powiedział Segond, o niezależną świadomą istność. Szeroko uwzględniła typologję, która poczęła interesować od czasów Ribota w odniesieniu do twórców i do epok z ich swoistą kulturą. Niemniej szeroko potraktowała i tematy, co pozostają też w związku z rozwojem kulturalnym i społecznym, nawet cechami narodu i rasy.

Podnosząc niejednolitość każdej epoki, wskazała na różnorodność tematów, z których tragicznemi zajęli się szczegółowiej Volkelt i Scheler, znajdując tragizm wszędzie, określając istotę tragizmu, charakteryzując rodzaje tragiczności, opierając jej podstawę na wartościach i ich stosunkach i przeciwstawiając się ostro determinizmowi, jako uniemożliwiającemu tragiczność. Zainteresowali się oni przebiegiem tragizmu, rolą przeznaczenia, wreszcie tragikomizmem i komizmem, który zajmował niegdyś Bergsona i Lippsa ze stanowiska psychologicznego i estetycznego. Na tle rozwoju komizmu dała się też lepiej zrozumieć ewolucja typów komicznych w kierunku ich indywidualizacji.

(Dokończenie nastąpi.)

Prof. Tadeusz Grabowski.

Walter Scott.

(1771—1832)

Walter Scott, którego śmierci stuletnia rocznica przypadła w dniu 21 września 1832, był tak popularną w Polsce postacią, autorem tak powszechnie czytywanym, że nazwisko jego dało podstawę do jedynego, zdaje się, w tym rodzaju dziwoląga w nowożytnym polskim języku: imię połączono z nazwiskiem, nie odmieniając wcale pierwszej części; od tak skonstruowanego „Walterskota" utworzono nawet przymiotnik „walterskotowski", związany na zawsze z typem powieści historycznej, przez niego zainicjowanym i wykształconym.

Popularność Scotta w Polsce była rzeczą zupełnie zrozumiałą. Historja stawała się dla naszych pradziadów i dziadów po r. 1830 już nietylko *magistra vitae,* ale i *alma mater vitae.* Z historji jedynie mogła czerpać swoje soki żywotne idea narodu, który nie miał możności odżywiania się doświadczeniami samoistnego bytu, stanowiącemi naturalny pokarm każdego narodowego skupienia. A pokarmu potrzebował naród tem więcej, że nietylko odcięto go od życiodajnych podstaw własnego bytu państwowego, ale starano się wprost zniszczyć. Lecz nikt nie może odebrać historji ani poszczególnemu człowiekowi ani poszczególnemu narodowi. Przeszłość jest to jedynie rzecz realna, albo przynajmniej jedyna realna własność człowieka. Ale też nikt nie może się swojej przeszłości pozbyć. Scott przez swoją powieść historyczną przypomniał, unaocznił to wielkie prawo moralne, na którem buduje się nauka o charakterze, o obowiązku, o poświęceniu.

Szkocka historja zawierała pewne analogje do polskiej. Szkocja, naród o długich latach samodzielnego bytu, kiedy to nawet dała na tron potężnej swej sąsiadce, Anglji, swoją starą dynastję Stuartów, straciła tę samodzielność w początku XVIII w. przez unję z r. 1707, a potem po r. 1745 uległa nawet doświadczeniu kraju okupowanego; po klęsce ks. Karola Edwarda, ostatniego pretendenta Stuarta do korony angielskiej, który zbrojną ręką o nią się starał, wojsko angielskie przeprowadzało ekspedycje karne po dolinach i górach szkockich, na bramach twierdz sterczały głowy ściętych szkockich patrjotów, niszczono ustrój klanowy, zakazywano noszenia narodowego stroju, śpiewania piosenek, wspominających ks. Karola. Nie może być naturalnie porównania między stanem prześladowania w Polsce w okresie zaborów, a stanem uszczuplenia normalnego funkcjonowania organizmu narodowego szkockiego, ale zasadnicza analogja istniała — i świadomość, że Szkocja wyszła szczęśliwie z nietkniętem, a raczej wzmożonem poczuciem narodowem z klęski 1745 r., musiała wpłynąć krzepiąco na czytelników polskich, uspokajała co do przyszłości narodu, pozbawionego chwilowo politycznego bytu. Chodziło o to tylko, aby być wiernym swej historji.

Tego właśnie uczyła powieść historyczna Scotta. Wszakże pierwszy jej etap *Waverley* z r. 1814 nosi podtytuł *Było to 60 lat temu,* a mówi właśnie o ostatnim niejako akcie politycznym Szkocji, o powstaniu z r. 1745. Dwa pokolenia minęły od chwili klęski, od ciężkich jej skutków — konfiskat i egzekucyj, a Szkocja żyje, — co więcej wydała cały szereg znakomitych historyków, filozofów, poetów, malarzy, poruszyła cały świat narodowem, jak się wtedy zdawało, epos Ossiana, wzbudziła powszechny niepokój nastrojem ballad szkockich, wskazujących bardzo dalekie perspektywy w mroczne podziemia narodowego charakteru, a teraz przystąpiła nawet śmiało do zagadnienia klęski narodowej i powstanie z r. 1745 uczyniła tłem opowieści, świadoma, że nie może to już osłabić jej narodowego poczucia. Dwa pokolenia — lat siedmdziesiąt — ten czasokres życia, przyznany człowiekowi przez Pismo św., jest w stosunku do przeszłości najdalszą granicą, do której człowiek dociera

w swojem bezpośredniem rozumieniu przeszłości, stąd staje się ten czasokres w projekcji na przyszłość symbolem wieczności. Nie troszczymy się, czy coś przetrwa dłużej niż lat siedmdziesiąt — wszystko, co leży poza tą linją jest takie mgliste, tak nieskończone, że to, co wytrwa okres dwóch pokoleń, wydaje się wiecznem. Przykład Szkocji, która przetrwała w poczuciu narodowem przez dwa pokolenia i odzywała się potężnym głosem nowego gatunku twórczości, uprawniał polską czytającą publiczność do przekonania, że idea narodowa jest niezmożona, że jest wieczna, co więcej, upewniał, że jest coś, co się zwie narodem, co nie jest ani państwem ani społeczeństwem, ani klasą ani grupą, jest jakąś metafizyczną całością, wiecznie twórczą, której tworem właśnie jest narodowa historja.

Ale jeżeli Polska tak się rozczytała w „Walter Skocie", to w ówczesnych warunkach kulturalnych mogła ta dobroczynna lektura przyjść do niej jedynie za pośrednictwem Francji. Zbliżenia z Anglją prawie nie było, znajomość języka była minimalna, możnaby niemal na palcach policzyć ludzi, którzy umieli czytać po angielsku. Poznano Scotta w przekładzie francuskim, a zatem jako uznaną sławę światową. I ten szybki sukces Scotta na międzynarodowej arenie ówczesnej każe nam zastanowić się nad warunkami powstania zjawiska literackiego, jakiem była powieść historyczna. Wnioskiem bezpośrednim jest to, iż ten nowy gatunek literacki był koniecznością, możliwością i potrzebą. Te pojęcia tylko pozornie są tautologją. Konieczność odnosi się do psychiki twórczej autora i mówi o warunkach przeszłości, które zmusiły Scotta do pisania powieści historycznej. Możliwość odnosi się do warunków zewnętrznych ogólnych, wśród których ten gatunek powstawał. Potrzeba odnosi się do przyszłości, jako dążenie do uzyskania wskazań społecznych w nowych zmienionych społecznych warunkach. Tylko wspólne istnienie tych trzech grup warunków mogło zapewnić tak wielki sukces romansowi historycznemu Scotta.

A więc najpierw sam autor. Kiedy *Waverley* ukazał się w r. 1814, Scott liczył już lat 43. Przedtem znany był jako poeta, nietylko znany, ale bardzo ceniony, a nawet do dziś jeszcze traktowany jest jako jeden z wybitniejszych poetów.

Nie należy jednak przeceniać jego wartości. Jeżeli jakiś autor obejmuje w swojej twórczości dwa różne gatunki w dwóch różnych okresach, to niezawodnie ten drugi gatunek dostarcza dzieł większych, bo jest formą wypowiadania się człowieka dojrzałego, formą, do której dochodził kołując, napół świadomie przez ten pierwszy gatunek. To samo da się zupełnie dobrze wykazać w rozwoju twórczości Scotta. Ów podtytuł *Waverleya,* o którym wspomniałem: *Było to 60 lat temu,* nie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, bo odnosząc się do r. 1745, daje w przeliczeniu rok 1805, a nie 1814. Jest jednak umyślnie zachowaną przez powieściopisarza pamiątką daty pierwszej koncepcji utworu. Jeżeli do czego, to właśnie do *Waverleya* stosuje się literalnie horacjuszowska reguła: *nonum prematur in annum.* Właśnie w r. 1805 zaczął Scott pisać swoją powieść i wydał ją w 9 lat potem. Okoliczności powstania *Waverleya* są charakterystyczne. W 1805 wydał Scott swoją pierwszą powieść poetycką *Pieśń Ostatniego Minstrela,* uzyskując odrazu wielki poklask i czołowe stanowisko w poezji angielskiej. Ale spostrzegł odrazu, że poezja nie jest jego żywiołem. Scott pragnął epiki, epickiego wypowiedzenia swego doświadczenia. Przecież w roku 1805 liczył już 34 lat życia, był w okresie, w którym każdy pragnie zdać sobie sprawę z tego, jakie jest jego nastawienie do życia. Patrząc retrospektywnie widział romantyzm swej młodości, nieuporządkowaną lekturę rycerskich ballad Szekspira, Spensera, Ariosta i Tassa, niby przedzieranie się przez gąszcz niezwykłych przygód, widział przebywanie przez długie okresy na wsi w dzieciństwie w otoczeniu ludzi pamiętających jeszcze bezpośrednio wypadki popowstaniowe z r. 1745, w sąsiedztwie ruin zamków obronnych, z któremi łączyły się szczegóły zasłyszanych opowiadań. Potem widział swoją karjerę praktyczną urzędnika administracyjnego i sędziego w nadgranicznem hrabstwie Selkirk, która zapoznała go bliżej z ludem szkockim; do ostatecznej zaś głębokiej znajomości duszy ludu szkockiego doprowadziło go zbieranie ballad, prawdziwego wyrazu zbiorowej duszy ludu. W tym celu zwiedzał rozmaite zakamarki swego górzystego powiatu, a wycieczki te były romantycznym czynem wobec trudności

dróg i noclegów, jakie czekały pierwszego, zdaje się, gościa tych stron, który nie w sprawach urzędowych, ale kulturalnych usiłował się dostać w te nieznane nikomu strony. Miał też za sobą i wysoki czyn kulturalny, wydanie owych ballad; czterdzieści przeszło utworów on właśnie zachował dla pamięci potomnych. Miał za sobą lata spędzone w zawodzie wysokiego urzędnika sądowego, którego obowiązkiem było wygotowywanie motywów wyroków; ileż to tragedyj ludzkich, ile materjału powieściowego przeszło przez jego ręce, ułożonego już w pełny przebieg winy i kary. Miał za sobą przeżycie marzeń o jakimś wybitniejszym udziale w wojnie, ale też i zrozumienie, że działalność swoją musi ograniczyć do pracy piórem.

Zastanawiał się nad tem, czem ma być ta praca, jakiego obowiązku ma być wyrazem i spełnieniem. Wiedział dobrze, że ma wielki dar opowiadania, epickość talentu zobowiązywała go do epickiego traktowania tematów, gdyż w ten sposób nie marnował nic ze swego zasobu energji duchowej, nie doznając przeszkód w formach kompozycyjnych. Do epickiego traktowania tematów parło go też jego własne usposobienie, owo zrozumienie, które z subtelną ironją wypowiada o przyszłości swego bohatera Waverleya w zakończeniu rozdziału 52: burzliwość życia istnieje tylko w marzeniu, w rzeczywistości zaś pragnie poeta spokoju. Ta świadomość kazała mu też szukać tematów w przeszłości, w historji. O rzeczach, które już przeminęły, tak że nie odczuwa się bezpośrednio ich skutków, można mówić spokojnie, ale pod warunkiem, że się o nich opowiada w sposób epicki. Próba przybrania tematów historycznych w formę poezji, którą przeszedł w *Pieśni Ostatniego Minstrela*, pouczyła go, że nietylko zatraca się epicki spokój w utworze, który działa również lirycznemi nastrojami, ale że w takiej formie kompozycyjnej ginie największa wartość perspektywy historycznej, moralna wartość doświadczenia historycznego. *Marmion*, wydany w trzy lata później (1808), wykazał mu jeszcze dobitniej, że bohater utworu nie czysto epickiego może być pociągający, choć jest jako charakter nędznikiem. W rozedrganej atmosferze liryki odpowiedzialność postaci zaciera się wobec nieuchwytności konturów, przedewszyst-

kiem zatem może się tam znaleźć legenda, której istotą jest przesunięcie charakterystyki danej postaci na samą granicę nadnaturalności, wobec czego niema miejsca na odpowiedzialność, cechę człowieka normalnego. A dla Scotta kamieniem węgielnym moralności społecznej była odpowiedzialność za własne czyny. Głęboka znajomość życia — historji, zapisanej w pamiętnikach i prywatnych dokumentach, nakazywała mu przekazać nabyte tam doświadczenia moralne o odpowiedzialności w formie objektywnej opowieści, która w twórczości Scotta nie jest nigdy specjalnie ustawionym paradygmatem na jakąś tezę moralną, ale poucza przez sam układ stosunków, który stworzyła historja, nauczycielka życia.

Dalej jeszcze w tych rozważaniach nad swojem zadaniem, co do których nie zachowały się żadne zapiski, ale które możemy pośrednio wywnioskować z *Waverleya* i późniejszych not z dziennika z ostatnich lat życia, przesunęła się przed nim myśl, że kończy się niepowrotnie okres obyczajowy Szkocji, który wydał rok 1745. Z dwóch pokoleń, żyjących między powstaniem ks. Karola a r. 1805, pierwsze należało jeszcze do starej Szkocji, drugie jednak pokolenie, pokolenie poety, było już Szkocją nową. Uświadomił sobie, że obowiązkiem jego jest utrwalić tę zanikającą przeszłość, której nikt tak nie rozumiał jak on, utrwalić wszystko, co było w niej dobrego i dodatniego, a utrwalić w sposób, który jedynie nadaje życie rzeczom przeszłym, to jest utrwalić z humorem. Na humor zaś nie było miejsca w poezji. Próby w tym kierunku w *Pieśni Ostatniego Minstrela* wypadły słabo, są wyraźnemi wtrętami, a przecież Scott rozporządzał i wtedy tą samą dozą humoru, jaka stanowi ten cudowny koloryt pierwszych rozdziałów *Waverleya,* będących w treści opisem dzieciństwa i młodości Waverleya, w rzeczywistości wspaniałą syntetyczną autobiografją Scotta.

Fakt, że pierwsze rozdziały nowego gatunku literackiego wypełnia autobiografja pisarza, wskazująca drogi jego wychowania na powieściopisarza, jest chyba niezbitym dowodem, że wypowiedzenie się autora w postaci epickiej powieści historycznej było koniecznością wewnętrzną, skoro

tak nierozerwalnie związał swój pierwszy akt twórczy z obrazem swego przygotowawczego studjum, skoro powieść wyrosła organicznie z autobiografji autora. Wszystko razem: znajomość historji i ocena jej wartości pedagogicznych, jako zasobu przejść wzniosłych i tragicznych, pragnienie spokoju w pracy, świadomość swych epickich zdolności i humor, wszystko to razem kazało Scottowi porzucić poezję, a pójść w kierunku swobodnej epickiej prozy. Inna rzecz, że narazie cofnął się z drogi. Przyjaciel jego, Erskine, któremu Scott odczytał pierwsze rozdziały, nie zrozumiał nowej idei. Ten pierwszy etap wydał mu się zbyt osobistym, niedyskrecją niemal i Scott rękopis odłożył. Ale niezawodnie budowała się w nim natura powieściopisarska. Pisze *Marmiona,* pisze *Panią Jeziora,* ale to nie zadowala go. Powraca znowu do rękopisu, pisze dalsze dwa rozdziały. Ale i drugi przyjaciel, bystrzejszy od Erskine'a, wydawca Ballantyne i teraz jeszcze w r. 1809 nie poznaje się na wartości zamierzonego dzieła. Potem rękopis w przeprowadzce do Abbotsford przepada. Scott pisze jeszcze *Rokeby,* ale tutaj już nietylko niemożność wprowadzenia elementu humoru, już nietylko brak sprawdzianiu moralności w liryce, ale jeszcze i nadmiar materjału epickiego, którym Scott rozporządza, a który rozsadza ramy poematu, ostrzega Scotta, że zły wybrał dla siebie ośrodek pracy.

Dopiero na jesieni 1813 odnajduje Scott przypadkiem rękopis w szufladzie biurka. Przeczytane rozdziały są dla niego jakby wyrzutem, że nie spełnił swego zadania — i Scott nie pyta już przyjaciół i nie zwleka dłużej. Do stycznia ma już gotowy pierwszy tom, trzecią część powieści. A potem po koniecznej przerwie, wywołanej poprzednio przyjętemi zobowiązaniami wydawniczemi, zasiadłszy w dniu 4 czerwca 1814 r. do roboty, pisze po dwa rozdziały dziennie i już dnia 7 lipca, w pięć tygodni zatem, wypuszcza w świat gotowego *Waverleya.* Ten pośpiech, który drobne tylko zostawił ślady na nieznacznych niekonsekwencjach fabuły, jest świadectwem, iż w ciągu tych dziewięciu lat od pierwszej koncepcji dorastała i dojrzewała nieświadomie w poecie forma powieści historycznej. Scott nie potrzebował już nic obmyślać, kiedy zasiadł do kończenia *Waverleya,* nic prócz

fabuły. Wszystkie inne elementy powieści historycznej: udział historji politycznej w życiu jednostek, obyczaje, etyka, folklor, przyroda, stosunki kulturalne historyczne, typy dawne i typy wieczne, tylko w coraz to innych kostjumach, wszystko to już nałożyło sobie było wzajemne ustosunkowanie się, swój procentowy udział w opowiadaniu, swoje następstwo w toku, jak np. skupienie opisów przyrody i folkloru w pierwszej części, działań historycznych w drugiej części powieści. *Waverley* mimo iż został napisany niemal w ciągu miesiąca, jest skończonym pełnym wzorem romansu historycznego. W stosunku do Scotta był on koniecznością i jako taka uzyskał swoją pełną formę.

Waverley był też pełnym sukcesem literackim. Po upływie pół roku, w grudniu, już trzeba było wobec popytu wydać nowe wydanie. A to, razem z nieustającem powodzeniem dalszych powieści, jest świadectwem, że warunki zewnętrzne stwarzały doskonałe podłoże dla romansu historycznego. Składały się na to różne czynniki. Na pierwszem miejscu postawiłbym zmęczenie wojną. Jakiś dobry duch czuwał nad *Waverleyem,* odsuwając jego wykończenie i ukazanie się na lato r. 1814, kiedy już definitywnem wydawało się zakończenie długotrwałych wojen napoleońskich. Epizod 100 dni nastrój zmęczenia tylko wzmocnił. Gdyby *Waverley* ukazał się w r. 1805 nie byłby w zgiełku wojny wywołał wrażenia. Po wojnach jednak zostaje zawsze przykry osad niezgody, niesmaku. W czasie wojny ludzie angażują się ze swojemi przekonaniami do ostatecznych granic — cofnięcie się z tego stanowiska, zrozumienie potrzeby kompromisów z przekonaniami drugich wymaga dłuższego czasu. Powieść nie może pominąć okresu wojny, musi wydać swój sąd o tych wypadkach, skoro ma mówić o stosunkach, bezpośrednio z wojną związanych. Publiczność zaś niechętnie o tem słucha, bo musi reagować uczuciowo na owe sądy i zdania o wypadkach wojennych, a chce o nich w swojej rozdrażnionej ambicji zapomnieć. Stąd chętnie przenosi się w czasy odleglejsze, byleby nie mieć do czynienia ze wspomnieniami wojny (o ile naturalnie nie chodzi o specyficzną propagandę, jak np. komunistyczną po naszej wojnie). Taka sama publiczność, jak ta, co dzisiaj, przyjęła z entuzjazmem

Krystynę, córkę Lawransa, przyjmowała dla podobnych powodów serję powieści Scotta.

Drugim czynnikiem było innego rodzaju zmęczenie, zmęczenie ideą rewolucyjną i jej wykładnikiem w literaturze, ówczesną młodą poezją. To ostatnie odnosi się więcej do Anglji i krajów germańskich, podczas gdy do Francji przemawiał ów pierwszy wzgląd. Publiczność pragnęła spokojnego toku opowiadania, szerokiego epickiego oddechu. Wybuchy Byrona przez ostatnie trzy lata przed ukazaniem się *Waverleya* wyczerpały już jej zdolność reagowania na wstrząsy nerwowe, i tak zajęła się i zachwyciła romansem historycznym, że pozwoliła przejść niespostrzeżenie dwóm ze swoich najpotężniejszych poetów, Shelleyowi i Keatsowi. I Byron poddał się urokowi epiki i zastosował ją w swój przyrodzony sposób kaprysu w ironicznej epopei *Don Juana;* ale powodzenie *Don Juana* było już ostatnim na szereg lat sukcesem na terenie poezji romantycznej i to był tylko *succès de scandal.*

Trzeci czynnik był może ważniejszy od tamtych. Było to zrozumienie splotu stosunków politycznych z losami jednostki, wywołane przez rewolucję i ruchy wolnościowe. Anglja sama miała w tym względzie mało doświadczeń, ale widziała doświadczenie przedewszystkiem Francji, gdzie tysiące jednostek zostało pozbawionych mienia, stanowiska, rodziny i zostało zmuszonych do tułaczki z powodów politycznych. Żona Scotta pochodziła właśnie z takiej rodziny zubożałych emigrantów. Przedtem zdarzały się prześladowania polityczne, ale obejmowały one nieliczne jednostki, teraz masowe doświadczenie czyto właśnie francuskich emigrantów, czy rodzin, których członkowie brali udział w długoletnich wojnach, uprzytomniło wszystkim, że w tej nowej fazie historji ludzkości wypadki polityczne wywrzeć mogą decydujący wpływ na życie jednostki bez jej woli nawet. Razem z niejasną świadomością stawania się historji na oczach, to zrozumienie, że jest się cząstką życia ogólnego narodu umożliwiło przyjęcie powieści historycznej, której przecież punktem wyjścia są właśnie dzieje jednostki, podlegające kształtującym wpływom zewnętrznej politycznej historji.

Z tym ostatnim punktem wiąże się i trzeci wspomniany przeze mnie aspekt romansu historycznego, iż był on potrzebą. Społeczeństwa po wypadkach Rewolucji francuskiej były zdezorjentowane. Zdawano sobie sprawę, że nie można już dalej utrzymywać równowagi społecznej na przywilejach klas, że miejsce racji stanu państwa zajmują ideały narodowe, że wskutek tego musi się zmienić etyka społeczna. Ale nie wiedziano jasno, jaką drogą zmierzać do tej nowej etyki. Z jednej strony obawiano się ludu, który odsłonił swoje groźne oblicze w rewolucji i cofano się możliwie najgłębiej w niezmieniony układ stosunków dawnych; z drugiej sądzono, że najłatwiej jest zbudować nową etykę, jeżeli wszystko, co dawne, zostanie usunięte; wtedy to właśnie w Anglji powstaje wyraz *radical* — „wyrwanie z korzeniem" dotychczasowego ustroju. Na to niespokojne szukanie wskazań przyszedł romans Scotta, jako wielka nauka nowej etyki społecznej. Budował ją Scott na fundamencie stwierdzenia, że mimo zewnętrznych przemian istnieje nieprzerwana tradycja narodowa, którą należy poznać i być jej wiernym, a wtedy odnajdzie się bez trudu ścieżkę w nowych warunkach. Scott nietylko nie zaprzeczał, ale nawet podkreślał, że skończyła się pewna epoka, ale mimo to nietylko nie odmawiał tej przeszłości prawa regulowania nowych stosunków, ale właśnie wskazywał, że ta przeszłość powinna być nauczycielką przyszłości, bo w niej wykazał się już doświadczeniem charakter narodowy. Wskazywał przytem, że przenośnikiem tradycji jest lud, że z niego pochodzi coraz to nowy budulec historji narodowej, że lud jest źródłem żywych sił narodu, nie jego groźbą, jakby się zdawać mogło z doświadczenia Rewolucji, ale błogosławieństwem, centrum skondensowanej narodowej energji. Scott z przekonań politycznych był konserwatystą, ale rozumiał znaczenie ludu, który kochał i cenił. Wszędzie jest ten lud u niego otoczony sympatją i poważaniem, a *The Heart of Midlothian,* może największa z jego powieści, jest apoteozą prawości, energji i religijności chłopa szkockiego. Naród, mający takie podstawy, może liczyć na wieczne trwanie. Scott likwidował w ten sposób grozę ludu rewolucyjnego i kierował społeczną myśl europejską w łożysko prawdzi-

wego demokratyzmu, opartego na zdrowej podstawie poczucia narodowego, ambitnego dążenia do tworzenia wspólnie narodowej chwały.

Obok tego momentu pedagogicznego przynosiła powieść Scotta jeszcze drugi moment, moment ważniejszy, zawarty bez wyjątku we wszystkich powieściach. Była nim nauka o lojalności. Nauczał jej zarówno tych, którzy dotychczas rządzili społeczeństwami i chcieli nadal niemi rządzić, jak i tych, co rządów tych pożądali, ludzi przychodzących z warstw, dotychczas od władzy odsuniętych. Nauczał lojalności wszystkie warstwy, które się miały teraz przemieszać, wskazując, że jest to jedyna atmosfera, gdzie wszyscy mogą swobodnie oddychać. Lojalność władcy wobec poddanych, obywatela wobec współobywateli, przyjaciela wobec druhów, lojalność żołnierza wobec wodza, lojalność w stosunku do swego zawodu, swej klasy społecznej, wobec przyjętego na siebie zobowiązania, wobec skutków spełnionego czynu: oto zawsze i wszędzie w najróżnorodniejszych odmianach pojawiająca się zasada układu życia społecznego, której Scott nietylko dał wyraz w powieści, ale i w życiu. Uderzającym jest fakt, że cały tłum monografij o Scocie nie zajmuje się tyle powieściami Scotta, ile nim samym, jako wzorem obywatela i człowieka; te monografje są to przedewszystkiem biografje. Od powieści przepojonej prawdą charakteru Scotta, publiczność, przeczuwając piękno tego charakteru, zwraca się do jego żywota, jako do bezpośredniego źródła nauki moralności i znajdując ją, cieszy się tem odkryciem, toteż powtarza to doświadczenie wciąż i wciąż, co kilka lat dając nowy zarys biograficzny Scotta, z tą samą, zawsze starą a zawsze miłą mozaiką anegdot z jego życia. Jest to słuszna nagroda za ten piękny charakter Scotta, który poeta kształcił w sobie od młodu. Nie bez znaczenia jest bowiem to, że wśród opowiadań, które oddziaływały tak silnie na młodociany umysł Edwarda Waverleya umieścił on prześliczną opowieść o lojalności, gotowej do ostatecznego poświęcenia. Oto ta powiastka:

„Niemniej go wzruszało, gdy ciotka jego Rachela opowiadała o cierpieniach i męstwie Lady Alicji Waverley, podczas wielkiej Wojny Domowej. Łagodna twarz czcigodnej

staruszki pałała dostojnym wyrazem, gdy opowiadała, jak to po bitwie pod Worcester król Karol na dzień jeden znalazł przytułek w Waverley-Honour i jak, gdy oddział kawalerji nadchodził, aby przeszukiwać zamek, Lady Alicja wysłała swego najmłodszego syna z garstką domowników, polecając, by życie dali za godzinę zwłoki tak, aby król miał czas uciekać. „I, Bóg jej zapłać — mówiła dalej panna Rachela, podnosząc oczy ku portretowi bohaterki — drogo ona opłaciła ocalenie swego pana, bo życiem swego ukochanego dziecka. Wnieśli go tutaj, jeńca, śmiertelnie rannego; możesz rozpoznać krople krwi jego od drzwi wielkiego hallu wzdłuż małej galerji i aż do salonu, gdzie go złożyli u nóg matki, by tam umarł. Ale doznali jeszcze pociechy nawzajem, gdyż wyczytał on z oczu matki, że cel jego rozpaczliwej obrony został osiągnięty. Ach! pamiętam — mówiła dalej, dobrze pamiętam, jak widziałam kogoś, kto znał go i kochał. Panna Łucja St. Aubin żyła i umarła panną dla niego, chociaż to była najpiękniejsza i najbogatsza panna w okolicy; cały świat się o nią ubiegał, ale ona przez całe życie nosiła wdowie szaty po biednym Williamie, gdyż byli oni zaręczeni, choć jeszcze nie poślubieni; i w tej też żałobie umarła w roku... nie mogę sobie przypomnieć daty; ale pamiętam, że w listopadzie tego samego roku, gdy poczuła, że opada na siłach, zapragnęła, by ją raz jeszcze przywieziono do Waverley-Honour i odwiedziła wszystkie miejsca, gdzie przebywała z moim stryjecznym dziadem; i prosiła, by zdjęto dywany tak, aby mogła widzieć ślady krwi jego; a gdyby łzy mogły je zmyć, nie byłoby już teraz tych plam, bo w całym domu nie było suchego oka. Pomyślałbyś Edwardzie, że drzewa nawet litowały się nad nią, gdyż liście z nich sypały się dokoła niej bez najlżejszego wiatru, ale też wyglądała jak ktoś, kto już ich zieleni nigdy więcej nie zobaczy".

Ta powiastka jest jak ziarno, z której wyrosło potężne drzewo twórczości powieściopisarskiej Scotta; jest też ona symbolem treści moralnej jego historycznego romansu. Jako symbol ma zasięg znacznie szerszy jeszcze. Odbierzmy tej powiastce jej szczegóły czasowo-lokalne, zapomnijmy, że to jest rok 1651, że to jest król angielski, o którego obronę

chodzi, że to angielska lady wysyła swego syna na pewny skon, a angielska kochanka wierna jest w żałobnej szacie po swą późną śmierć pamięci bohatera, poświęcając mu swe osobiste szczęście, weźmy pod uwagę tylko stosunek matki do syna i do sprawy, stosunek wiernej kochanki do czynu poświęcenia, dokonanego przez ukochanego, czyż nie nasunie się nam odrazu wizja grottgerowskich rysunków, czyż nie odnajdziemy bez najmniejszego trudu naszych matek i narzeczonych z dni styczniowych i postyczniowych lat? Czy nie była to nauka Scotta, która te akty poświęceń wywoływała? Zapewne, w tych szczytowych momentach poświęceń było znacznie więcej, niż samo działanie literatury, ale to działanie niezawodnie rozbudzało i kształtowało pierwiastek szlachetnej lojalności, tkwiący w czytelnikach jego powieści. A jeżeli nawet nie było nauki wprost, to to wydobywanie przez Scotta przykładów poświęcenia, owo wskazywanie, do czego zdolne jest poczucie honoru w duszy człowieka, stwarzało czystą atmosferę moralną, którą zmęczone uciskiem piersi mogły oddychać, żywiąc się nadzieją lepszej przyszłości. Ta atmosfera czyniła przeszłość przejrzystą i pełną światła, czyniła z niej niepokalaną żadnym brudem mistrzynię życia narodowego. Wszak to pełnym odblaskiem Scotta brzmi pragnienie Wajdeloty, aby ziomkowie „kiedy ich piosnka ojczysta poruszy, poczuli w sobie dawne serca bicie, poczuli w sobie dawną wielkość duszy i jedną chwilę tak górnie przeżyli, jak ich przodkowie niegdyś całe życie!“ Ten potężny łuk paradoksu, obejmujący chwałą „całe“ życie przeszłości, był jednak rzeczywiście bramą, która wiodła narody do chwały ich własnego państwowego bytu, i jest do dzisiaj łukiem triumfalnym, rozpiętym wysoko i wspaniale nad twórczością Scotta, łukiem triumfalnym, jednym z najbardziej w historji zasłużonych.

Prof. Andrzej Tretiak.

John Galsworthy.

1.

Sądząc, według podobizn, był to poważny, siwowłosy gentleman. Właśnie g e n t l e m a n. To słowo wybornie charakteryzuje Galsworthy'ego, jako pisarza. Jest on bowiem wykwintny, powściągliwy, błękitnokrwisty. Ani w stylu, ani w ujęciu przedmiotu nie wpada w skrajności. Unika barw krzyczących. Mówi o sprawach i rzeczach bardzo oględnie. Czasem — z uśmiechem, który ma coś z uśmiechu Karola Dickensa, aby tu przypomnieć, biedaczynę Bicketa, ulicznego sprzedawcę kolorowych baloników z *Komedji nowoczesnej*.

John Galsworthy pochodził z dobrej i zamożnej rodziny. Otrzymał staranne wychowanie. Był z zawodu prawnikiem, a z urodzenia artystą. Jego zawód o tyle zaciężył na jego powieściach, że Galsworthy chętnie, wyczerpująco i ze znawstwem opisuje procesy sądowe. Tak naprzykład w *Komedji nowoczesnej* wiele kartek zajął proces rudowłosej lwicy, Marjorie Ferar z Soamesem Forsytem i Fleur Mont. Kruczki prawne, chytre podstępy i wybiegi starego lisa adwokata są tu przedstawione ze świetnym realizmem. Jako artysta, Galsworthy lubował się w malarstwie. Podobno był zamiłowanym zbieraczem obrazów. I ten rys osobisty przekazał naczelnej bodajże postaci *Sagi rodu Forsytów*, Soamesowi, ponoszącemu śmierć w czasie pożaru ulubionej galerji.

Galsworthy jest pisarzem, który całą niemal energję twórczą włożył w główne dzieło swego życia, w *Sagę rodu Forsytów*. Dzieło to zmusza do podziwu zarówno rozmiarami, stanowi bowiem potężny cykl powieści, jakoteż zakresem przemyślanej i przeżytej rzeczywistości, przedstawia bowiem poglądy i obyczaje kilku pokoleń. Jest w niem rozmach iście Balzakowski, a nagłówek

drugiego cyklu powieści: *Komedja nowoczesna,* każe myśleć o *Komedji ludzkiej.* Galsworthy, podobnie jak Balzac, ma w swem spojrzeniu na społeczeństwo coś z przyrodnika, który nie ocenia a opisuje i to opisuje możliwie bezstronnie. Zasadnicza różnica między obu pisarzami tkwi, zdaje się w tem, że dzieło Galsworthy'ego ujawnia słabsze napięcie społeczne. Balzac wprawiał w ruch najrozmaitsze warstwy, stwarzał tarcie między różnemi środowiskami, tymczasem Galsworthy ograniczył się do szerokiego odmalowania t. zw. warstwy średniej, czyli zbogaconych mieszczuchów, podwaliny Imperjum Brytyjskiego w okresie Wiktorjańskim. Ciekawie jest widzieć, jak powoli z ojców na synów przechodzi brzemię cech dziedzicznych, cech, powiedzmy rodowych, tworzących osobny typ powiedzmy „posiadacza". Galsworthy pokazał nam również, jak te cechy, wskutek domieszki obcych pierwiastków i obcej krwi (np. Fleur: ojciec Anglik, matka Francuska) wietrzeją, tracą swoją pierwotną czystość. Typ posiadacza wyrodnieje.

Te przemiany zachodzą na bardzo rozległem tle obyczajowem. *Saga rodu Forsytów* — to wielkie zbiorowisko ludzi, umieszczone w wielkim zbiorniku czasu. Czas przeobraża wszystko: od kroju surduta do zasad moralnych. Starzy Forsyci wymierają, a młodzi są już całkiem inni. *Saga rodu Forsytów,* jako epopea kilku pokoleń, zbliża się olbrzymiemi wymiarami swej architektoniki do *Wojny i pokoju* Tołstoja tudzież do *Lalki* Bolesława Prusa, ale w ogólnych zarysach posiada więcej umiaru, więcej klasycyzmu. Natomiast ustępuje im pod względem pogłębienia moralnego i myślowego. Tołstoj i Prus wydobywają z pozorów bytu jądro metafizyczne. Życie materjalne głęboko zapuszcza u nich korzenie w byt nadzmysłowy. Uwidocznia się to w doświadczeniach poszczególnych jednostek. Książę Bołkoński lub Wokulski odczuwają często naddatek mistyczny, działanie podniet niezrozumiałych. Znajdują się pod wysokiem ciśnieniem metafizycznego ładu świata. Bohaterowie *Sagi rodu Forsytów* uprawiają wyłącznie ziemską krzątaninę. Istne mrówki w olbrzymiem mrowisku istnienia. Śmierć nie pobudza ich do głębszych zamyśleń. Raczej napawa strachem i smutkiem, że trzeba porzucić własny dobytek, zmienić stan posiadania pewny na bardzo wątpliwy. Tak mniemają Swithin, James, Soames, najczystsi Forsyci. Jedna z kobiet czyni spostrzeżenie, że im kto

jest bardziej harmonijny cieleśnie, tem mniej troszczy się o duszę. Forsytami włada trzeźwość doczesna.

Dzieło swoje poświęcił Galsworthy żonie, gdyby bowiem nie jej „współczucie, zachęta i krytycyzm, nie byłbym nigdy został takim nawet pisarzem, jakim jestem". W tych słowach uwydatniły się dwa cenne przymioty: szlachetność człowieka i skromność pisarza.

2.

Tło dziejowe *Sagi rodu Forsytów* stanowią czasy Wiktorjańskie i dwa pierwsze dziesiątki bieżącego stulecia. Płynące bez przerwy lata żłobią niezatarte ślady w stosunkach państwowych, społecznych i w całem domowem pożyciu Anglików. Praszczur rodu Forsytów, prawie mityczny, Jolyon, rolnik z Hays, zmarł w pamiętnym 1812 r. Przedsiębiorczy syn jego Jolyon „drugi" „superior Dorset" zajmował się ciesielką, murarką tudzież ciułaniem grosiwa, a miał podobno tę szlachetną właściwość, że lubił ciągnąć maderę, co później w oczach potomków uchodziło za dostojne, godne nawet herbowego szlachcica, przyzwyczajenie. On to wydał na świat Annę, Jolyona, Jamesa, Swithina, Mikołaja, Tymoteusza, Julję, od których zaczyna się właściwa „saga Forsytów". Ci liczni potomkowie „superiora Dorset" podorabiali się dużych majątków na herbacie, na obrotach giełdowych, na kupnie domów i t. d. A więc Forsyci — to zbogacone mieszczuchy, czcigodni posiadacze kamienic, przedsiębiorstw, książek czekowych, ładnych mieszkań, zabytków sztuki, zrównoważonych zasad moralnych i umiarkowanej religijności.

Ale pług czasu przeorał nawet tę krzemienną warstwę posiadaczy: w 1837-ym, kiedy królowa wstąpiła na tron, „Wielki Dorset" wciąż jeszcze budował domy i oszpecał Londyn; a James, młodzieniec dwudziestosześcioletni, zakładał dopiero fundamenty swej praktyki adwokackiej. Omnibusy wciąż kursowały, mężczyźni nosili pończochy, golili górną wargę, jedli ostrygi z baryłek; lokaje jeździli uczepieni za kabrjoletami; kobiety mówiły „Ach!" i nie miały nic swojego; były dobre obyczaje w kraju, a chlewy dla biedaków; biedni nieszczęśnicy dyndali na szubienicach za niewielkie przewinienia, i Dickens dopiero zaczynał pisać. Ledwie dwa pokolenia przemknęło parowców, kolei, tele-

grafów, rowerów, światła elektrycznego, telefonów i teraz tych automobili — takiego nagromadzenia bogactw, że osiem procent spadło do trzech — i Forsytów liczyć można było na tysiące. Etyka się zmieniła, obyczaje się zmieniły, ludzie stali się małpami z zamierzchłej przeszłości, Bóg stał się Mammonem. ...Sześćdziesiąt cztery lata faworyzowało właścicieli i stworzyło burżuazję, górną warstwę klasy średniej; umocniło ją, wycezelowało, wypolerowało, aż manierami, etyką, mową, wyglądem, zwyczajami stała się łudząco podobna do szlachty. Była to epoka, która osypała darami indywidualną własność do tego stopnia, że jeśli człowiek miał pieniądze, był wolny zarówno prawnie, jak faktycznie, a jeśli nie miał pieniędzy wolny był prawnie ale nie faktycznie.

3.

Różnice upodobań między starem, a najmłodszem pokoleleniem są rzeczywiście przepastne. Wystarczy porównać salon ciotki Anny, pełen ciężkich i okazałych sprzętów z salonem zachwycającej Fleur Mont, ustylizowanym po chińsku, wystarczy posłuchać rozmów, jakie prowadzi się w jednym i w drugim, żeby wywnioskować, iż owa przepaścistość naprawdę nie ma dna.

Galsworthy zatem miał zadanie urozmaicone. Albowiem jako główny cel artystyczny postawił sobie zobrazowanie „Forsytyzmu" we wszystkich jego swoistych odłamach, krańcowościach i przeistoczeniach: Podobnie, jak starożytni Egipcjanie, mówi w *Przedmowie,* kładli obok swoich mumij przedmioty potrzebne im w przyszłem ich życiu, usiłowałem i ja umieścić obok postaci ciotki Anny, Juli, Hester, Tyma, Swithina, starego Jolyona, Jamesa: trochę balsamu, który dopomoże im do trwałego utrzymania się w gorączkowo zapędzonem królestwie rozkładowego czynnika Postępu... Jeśli wyższa warstwa średnia wraz z innemi klasami społecznemi skazana być ma na przejście w stan amorfizmu, macie ją tutaj przechowaną pod szkłem na tych stronnicach, aby mogli oglądać ją wszyscy, wałęsający się po rozległem bezdrożu muzeum Literatury. Spoczywa ona tutaj zakonserwowana we własnej swojej treści: Poczuciu własności.

Nasuwa się tedy pytanie: czem jest ów doskonały Forsytyzm, umyślnie zamumifikowany przez Galsworthy'ego, jako zasługujący na wieczną pamięć dziwotwór pewnych czasów, pewnych okoliczności i pewnych cech plemiennych?

4.

Doskonały Forsytyzm — to pewien system życia. Nadmieńmy: system zwycięski, wygodny i na wielu polach niezastąpiony. Panuje w nim dodatnia, jeśli chodzi o dobre urządzanie się w świecie, nadwyżka względów osobistych nad powszechnemi, pieniężnych nad bezinteresownemi, cielesnych nad duchowemi, rozumowych nad uczuciowemi. Rzetelny Forsyt nie cierpi przesady, niespokojnych dążeń, zwikłanych uczuć, gwałtownych popędów i wogóle wszelkich stanów, które mącą równowagę posiadania. Kocha natomiast ład, ograniczoność myśli, dosyt oraz pieniądz, dobroczynne bóstwo tej kultury zamożnego bezpieczeństwa: „Dałem czterysta funtów, powiada Swithin. Oczywiście, że to prawdziwe dzieło sztuki" (I 79). Siła nabywcza pieniądza sięga według Forsytów aż w dziedzinę piękna, etyki, religji i miłości. Oni są gotowi wszystko mierzyć po kupiecku. Człowiek sam w sobie, człowiek bez mienia — to dla nich coś przykrego, to jakiś zadatek niszczycielskich skłonności koczowniczych. Ubogi architekt Bosinney mimowiednie wywołuje wśród nich popłoch. Złości ich „wyraz żądnego podniecenia, z którym nie mogło się pogodzić... poczucie spokojnego zadowolenia, jakie winno cechować prawdziwego gentlemana" (I 190).

Sami Forsyci okazują zawsze najwyższą roztropność, trzeźwość i pewność siebie: „Wszystkim Forsytom powiodło się tak świetnie, że wszyscy, jak to się mówi, byli ludźmi na stanowiskach i jak dotychczas, z wyjątkiem Tymoteusza, nie lokowali kapitałów w rencie państwowej, bowiem niczego w życiu nie obawiali się bardziej, aniżeli wyciągania tylko trzech procent ze swoich pieniędzy". Ich zajęcia łączyły piękne z pożytecznem: „kolekcjonowali obrazy i podtrzymywali takie instytucje dobroczynne, które mogły przynosić pożytek ich domownikom na wypadek starości czy choroby". Żenili się przeważnie szczęśliwie, biorąc kobiety posażne, gospodarne, z przyzwyczajenia cnotliwe i włożone do pozostawania w ramach męskich praw własności. Miłość? Dla Forsytów — to jedna z odmian rozkoszy fortunnego posiadacza. Soames, który mocno i bodajże odrobinę niezasłużenie, sparzył się małżeństwie, zgoła nie jest zdolny pojąć cyganerji uczuć miłosnych, chciałby je wziąć „na łańcuch" zasad i męskich

praw do kobiety zaślubionej: Soames doświadczał też jedynie uczucia gniewu, dochodzącego w napięciu swojem do bólu, że nie posiada pięknej tej kobiety w tym stopniu, w jakim ma prawo do posiadania jej, że nie może, wyciągnąwszy rękę po tę różę, zerwać jej i wywąchać z niej najgłębszych tajemnic. Poślubił tę kobietę, zdobył, uczynił z niej swoją własność, wydawało się mu też zaprzeczeniem najbardziej zasadniczego ze wszystkich praw, prawa własności, że posiadł ciało jej jedynie i nic więcej. Religja Forsytów często mija się z chrześcijaństwem, a w wielu razach spada wprost do poziomu bałwochwalstwa. Łatwo się domyślić, jaki to bożek odbiera hołdy? Forsyci służą Mammonie, a ponieważ o takiej służbie ewangelja orzeka, iż wyłącza prawdziwego Boga, więc religja Forsytów jest istotnie „giełdą bez Boga". Pozatem religja ta składa się raczej z bezmyślnych nałogów, niż ze świadomych przeżyć: W zaczątkach swoich najprawdopodobniej członkowie jednej z pierwotnych sekt stali się teraz naturalnym biegiem rzeczy wyznawcami Kościoła anglikańskiego i wymagali od żon swoich i dzieci możliwie regularnego uczęszczania do najwytworniejszych świątyń stolicy. Gdyby ktoś poważył się poddać w wątpliwość ich chrystjanizm, zadziwiłby ich i dotknął boleśnie.

Oto jest wizerunek doskonałego Forsytyzmu.

5.

Świat, urządzony według dopiero co wyłuszczonych zasad, byłby światem błogiej pewności, a gdyby jeszcze usunąć wstrząsy giełdowe, poprostu — rajem. Niestety! W głębiach społecznych, gdzieś u spodu, a także gdzieś na wyżynach, powstają energje niszczycielskie. Ludzie, nie posiadający ładnych kamienic, ludzie, których o świcie budzi gwizd fabryczny, powodują niemiłe tarcia społeczne, co niejednokrotnie źle wpływa na obroty pieniężne i zmniejsza dochodność przedsiębiorstw. A z drugiej strony jakieś narwane głodomory, jacyś zbyt uduchowieni szaleńcy ośmielają się Piękno i Miłość stawić ponad własnością, rozumianą, jako krzepiące przeżuwanie nabytych dostatków. To wszystko rozcieńcza uroki świata. Zamiast stuletniego tokaja Forsyci spijają winko kwaskowate. Rozstrój gospodarczy, strajki, zniżka papierów wartościowych, spadek funta, wreszcie kłopoty z Miłością i Pięknem! Na tych drożdżach

nic dobrego nie urośnie. Są powody do rozgoryczenia. A jednak przekonywają nas codziennie, słowa Galsworthy'ego z *Przedmowy*, cyfry, podawane przez Towarzystwa Ubezpieczeń, a także wyroki sędziów, że nasz raj ziemski, do którego wkradają się dzicy tacy najeźdźcy, jak Piękno i Miłość, porywający nam z przed nosa poczucie bezpieczeństwa, kryje w sobie jeszcze bogate skarby. Tak samo niewątpliwie jak pies odpowie szczekaniem na brzęk łańcucha, na który próbujemy go związać, tak samo odpowiednio przeciwstawi się, tkwiący w naturze ludzkiej, prawdziwy Soames sile rozkładowej, czyhającej dokoła granic jego posiadania. Soames ożenił się z kobietą piękną, lecz najzupełniej obcą mu duchem. Irena, córka profesora Herona, nie miała posagu i wyraźnie gardziła swym wielbicielem, którego opanował ślepy popęd samczy, żądny zaspokojenia bez względu na dalsze przykre skutki. Rzetelny Forsyt, Soames, liczył, że kupi sobie na własność tę czarującą kobietę. Zresztą kochał ją po swojemu. Kochał, nie budząc miłości. Postępowanie Ireny w pewnych wypadkach styka się z okrucieństwem. Zakochana w Bosinneyu, odtrąca męża, który wije się z bólu, doznając przytem, nieznośnego dla Forsyta, uczucia rozbitej pełni posiadania. Jego tragizm życiowy jest najzwyklejszą, niezależną od woli ofiary, tragedją osobnika, nie wzbudzającego miłości, zarazem jednak niedość gruboskórnego, aby nie miał zdawać sobie dokładnie sprawy z tego faktu *(Przedmowa)*. Miłość wymaga choćby szczypty szaleństwa i niepoczytalnych uczynków. Wymaga ciągłej różnicy napięć, inaczej prąd jej ustaje. Forsytyzm wszystkie napięcia zrównał pieniądzem. Jest dla miłości martwy.

Dlatego stary Jolyon, miłośnik piękna, dziecięco rozkochany w Irenie szarofijołkowym duchu z ciemnemi oczami i grzywą bursztynowych włosów, ów stary Jolyon, wzruszony, jak artysta, przeczystą sielanką swoich ostatnich dni, dopuszcza się już właściwie zdrady Forsytyzmu, i za tę cenę zyskuje tkliwość Ireny. Zdaje się, że on jeden z pośród wiekowych Forsytów zrozumiał wewnętrzną treść piękna i miłości *(Babie lato ostatniego Forsyta)*. Zdobył nawet ich przychylność, gdy wyzuł się z kupieckich nawyknień swojej warstwy i zaczął postępować „nierozsądnie".

Próchnienie Forsytyzmu w młodszych pokoleniach odbywa się właśnie pod działaniem nieobliczalnych potęg miłości i piękna. Jolyon młodszy poświęca się sztuce. Fleur, córka Soamesa i Anny

Lamotte kpi ze zdrowego rozsądku i kocha się całkiem niedorzecznie w Jonie, synu Ireny i Jolyona-malarza. Surowy Forsytyzm mięknie. Miłość Jona i Fleur jest, niby kwitnącą gałąź jaśminu, bezcelowo piękna i wiosenna. A ciotka Juna, dobrodziejka „kulawych kacząt" czyli bezdomnych i gołych malarzy, ewangelicznie zapomina o własnych pożytkach dla tych „genjalnych" bliźnich. Widoczna odwilż Forsytyzmu! Galsworthy zaznacza w *Przedmowie*, że jego dzieło wcale nie zawiera pierwiastków bohaterskich. Istotnie! Gdzieżby się tu mogło zagnieździć bohaterstwo wśród ludzi tak wyrachowanych! Cokolwiek heroizmu, płynącego z tęgich mięśni i z żelaznej wytrwałości dostrzegamy w mitycznym założycielu rodu „superiorze Dorset", cieśli i murarzu, który mozolnym dorobkiem, wydobył Forsytów z nicestwa. Później heroizm wypełza co do nitki, mimo że nie zanika energja charakterów. James, Tymoteusz, Swithin, Jolyon, Mikołaj, Anna, Soames, Juna — to jednostki wyraziste, nawet dzielne, lecz po mieszczańsku prozaiczne. *Saga rodu Forsytów* jest tedy przeciwieństwem dzieł Józefa Conrada, z których promieniuje odurzająca poezja heroizmu.

6.

W *Komedji nowoczesnej*, tworzącej drugi ogromny złom *Sagi...*, Galsworthy poddaje współczesność nieco ironicznej stylizacji. Najpierw życie umysłowe. Skrzętna Fleur, która po dramatycznem zerwaniu z Jonem Forsytem poślubiła baroneta Michała Monta, gromadzi koło siebie przeróżne okazy poetów, krytyków i wogóle artystów. Bawi ją pstrocizna zapatrywań, cięty dowcip, giętkość myślowa tudzież wszelkie inne bardzo nowoczesne zalety tego grona błyskotliwych znakomitości. Słowa i określenia latają tu w powietrzu, jak piłki odbijane w tenisie. Chińska bawialnia Fleur z miedzianą posadzką, z lekkiemi sprzętami, wybornie podkreśla stylowość osób i rozmów: „Kółko to było wesołe, urocze, swobodne, a według Michała: To snoby, kochanie, estetycznie i intelektualnie, ale oni tego nie rozumieją. Uważają się za koronę stworzenia; ruchliwi, zdrowi, nowocześni, dobrze wychowani, inteligentni, nie mogą sobie poprostu wyobrazić, aby im ktoś dorównał. Ale widzisz, brak im wyobraźni. Ich dzieła prawdziwie twórcze dadzą się policzyć na palcach. Zobacz tylko ich książki, zawsze muszą pisać

o czemś, o filozofji, o spirytyźmie, o poezji, o rybołóstwie, o sobie samych; nawet zdolność pisania sonetów zamiera u nich przed skończeniem dwudziestu pięciu lat. Znają wszystko, prócz ludzi poza swoją sferą towarzyską. Pracują, wszędzie ich pełno, i tak być powinno, gdyż nikt nie posiada tyle inteligencji, energji i gustu. Ale kręcą się ciągle we własnem zaklętem kole. To jest dla nich cały świat, coprawda mogłoby być gorzej. Opatentowali swój własny złoty wiek; ale od czasu wojny jest on już trochę popstrzony przez muchy" *(Biała małpa)*.

Taki stan rzeczy nie jest bynajmniej pocieszający. Stylizacja posunęła się w kierunku ujemnym. Nie lepiej dzieje się w polityce gospodarczej i społecznej. Tutaj ucieczką staje się mało prawdopodobna utopja, wynalazek sir Jamesa Foggarta, dziwaka, który od kilku lat siedzi w swoim dworku wiejskim, jak ślimak w muszli. Jego pomysły znajdują zwolenników, a między innymi — gorliwego apostoła w osobie Michała Monta. Foggartyzm głosi hasło powrotu do życia na wsi, a wstrzymania rozwoju miast, ognisk nędzy, zepsucia i zwyrodnienia rasy, przyczem chce nadmiar ludności przesiedlać do Australji. Słowem sir Foggart James — to nowoczesny Rousseau, zniechęcony cywilizacją wielkomiejską i pragnący zahamować jej zgubny bieg ku przepaści. Jego łojenia oszałamiają nadzieją szczęścia wyobraźnię biednego poczciwca, Bicketa, który marzy o błękitnych australijskich motylach i o słońcu upalnem dla ukochanej, młodej żony, wielce słabowitej. Jakoż wyjechali. I cóż? List, napisany przez nich z Australji do Michała Monta, rozwiewa wszelkie majaki. Utopja nie dała szczęścia.

Stylizacja współczesności wypadła w kolorach dość posępnych. „Mali ludzie w małych kapeluszach" — orzeka jeden z najkulturalniejszych bohaterów *Sagi*... stary baronet Mont, ojciec Michała. W tem powiedzeniu przewija się zapewne smutny uśmiech Galsworthy'ego.

7.

Jako artysta, Galsworthy celuje umiarkowaniem i estetyczną powściągliwością, Jest bardzo rzeczowy i zawsze trzyma na wodzy osobiste niechęci lub upodobania. Jego styl odznacza się wytworną prostotą.

Saga rodu Forsytów zdumiewa bezmiarem typów. Kręci się tu mnóstwo ludzi. Przyczem każdy mężczyzna i każda kobieta, biorący udział w zdarzeniach utworu, posiadają szczególne, swoiste znamiona. Galsworthy należy do niezwykle drobiazgowych realistów. Nigdy jednak realistyki nie wyjaskrawia. Raczej nadaje jej odcień matowy. Pod względem wykończenia takie postacie, jak stary Jolyon, Soames, Fleur, są bezwarunkowo arcydziełami.

Przyroda w ujęciu Galsworthy'ego zachwyca wdziękiem i świeżą poezją. Krajobrazy angielskie wychodzą czasem jakby z pod pędzla zadumanych mistrzów wczesno-romantycznych, a czasem pławią się w słońcu, jak złociste zjawy *plein air'u*. Wartości malarskie zawsze przeważają nad innemi.

Humor Galsworthy'ego ma posmak głębokiego współczucia z cierpieniem ludzkiem. Błyska on jasnemi promieniami w opisie doli i niedoli Bicketa, w młodzieńczej sielance Fleur i Jona, lub w chłopięcych wybrykach Michała Monta. Naogół jednak nie przezwycięża pesymizmu. Wprawdzie Galsworthy zawiesza bezpośrednią ocenę życia, nie dopowiada jej do końca, ani tem bardziej nie narzuca jej nikomu, bądź co bądź tchnienie pesymistyczne dość uchwytnie owiewa karty *Sagi rodu Forsytów*: „Zwracając się okiem wstecz ku stuleciu Wiktorjańskiemu, którego rozkwit, zmierzch i upadek odzwierciadlony jest w pewnej mierze w *Sadze rodu Forsytów*, widzimy, że wpadliśmy bodaj z deszczu pod rynnę. Trudno byłoby uzasadnić twierdzenie, jakoby stan rzeczy lepszym miał być w Anglji w 1913, aniżeli 1886, w dobie zgromadzenia się Forsytów u starego Jolyona z racji zaręczyn Juny z Filipem Bosinneyem. A w roku 1920, kiedy rodzina zgromadziła się ponownie celem asystowania przy obrządku zaślubin Fleur z Michałem Montem, jest Anglja napewno tak samo nad miarę spróchniała i zbankrutowana, jak była nadmiernie zaskorupiała i dająca zbyt niskie odsetki w dziewiątym dziesiątku ubiegłego stulecia *(Przedmowa)*.

Ten pogląd nie nastraja wesoło, ani optymistycznie.

Galsworthy dziwnym zbiegiem okoliczności zmarł wkrótce po otrzymaniu *Nagrody Nobla* (1932/33). Świat utracił wielkiego pisarza i szlachetną istotę ludzką.

Zygmunt Falkowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Nowe powieści.

Michał Choromański: Zazdrość i medycyna (Gebethner). — Kazimierz Wierzyński: Granice świata (Gebethner). — Józef Wittlin: Etapy (Rój). — Jarosław Iwaszkiewicz: Panny z Wilka (Gebethner). — Jan Parandowski: Dysk Olimpijski (Gebethner). — Gustaw Morcinek: Chleb na kamieniu (Księgarnia „Dziedzictwo św. Jana Sarkandra" w Cieszynie). — Artur Prędski: Bełtowski zredukowany (Polski instytut wydawniczy „Sfinks"). — Tadeusz Kudliński: Wygnańcy Ewy (Bibljoteka „Gazety literackiej"). — Andrzej Strug: Ostatni film Ewy Evard (Gebethner). — Jerzy Marlicz: Łowcy przygód (Księgarnia św. Wojciecha). — Zofja Rodowicz-Iwanicka: Zgaszony błękit (Katol. tow. wydawnicze „Kronika Rodzinna").

Największą sensacją zimowego sezonu literackiego jest stanowczo „Zazdrość i medycyna" Michała Choromańskiego i jest nią słusznie, bo już dawno nie pojawiła się książka, któraby wnosiła tak dużo nowych elementów w trochę już skostniałą i oklepaną formę powieści.

Naprzód uderza w niej bardzo dziwna, a jednak znakomita konstrukcja, konstrukcja przywodząca na myśl idealnie okrągłe i w sobie zamknięte koło. Powieść zaczyna się od opisu pewnego piątkowego wieczoru, gdy pożerany zazdrością Widmar czeka niecierpliwie na nadejście krawca Golda. Gold miał podpatrzeć schadzkę żony Widmara, Rebeki, z chirurgiem Tamtenem i dać znać mężowi, aby ten mógł przekonać się naocznie o niewierności żony, o którą dawno ją posądza, nie mogąc jednak zdobyć pewności. Począwszy od owego pełnego napięcia wieczoru, gdy zgasły światła w całem mieście a halny wiatr szaleje nad światem, akcja rozwija się wstecz. Ukazuje nam pożycie państwa Widmarów, ukazuje życie Rebeki przed ślubem, ukazuje wszystkie męki trawionego zazdrością męża, początek znajomości Rebeki i Tamtena, tajemniczą operację Rebeki, narady Widmara z Goldem. Rzeczywistość życia tych wszystkich ludzi odsłania się przed czytelnikiem powoli, fragmentarycznie. Każdy fragment rzuca nieco światła na rozwijającą się akcję, ale nie rozwiewa atmo-

sfery tajemniczości i niedomówień. Każdy niemal epizod powieści powtórzony jest kilkakrotnie, tak, jak go widzą i ujmują kolejno bohaterzy książki. Wskutek tego widzimy z niego kolejno tę stronę, którą widział i pojmował dany człowiek, a choć tak obchodzimy każdy wypadek dookoła, czujemy doskonale, że do jego istotnego znaczenia, do jego istotnej prawdy nie docieramy. Choromański odmówił nam w rozpoznawaniu prawdy pomocy tak zwykle w powieściach obszernej wszechwiedzy autorskiej; musimy sami życie z jego dostrzeżonych fragmentów budować i wedle nich je komentować. Ta sama dyskrecja autora dotyczy ludzi: widzimy ich oczyma ich powieściowych bliźnich, ale także czujemy, że poza tem, co widzą w nich drudzy, jest cała głębia ich wewnętrznej prawdy, do której klucza nie mamy. To ciągłe przyglądanie się ludziom i wypadkom z niemożnością przebicia się poprzez pozory, ta niemożność ustalenia prawdy faktów, bo każdy widział je trochę inaczej, wywołuje nastrój dziwnej tajemniczości i lęku, daje wrażenie, że brodzimy w trwożących mrokach. W tych mozolnych poszukiwaniach za prawdą faktów i ludzi, cofamy się w przeszłość powoli, jakby z nawrotami, jakby linją krzywą — i powoli zbliżamy się znów do owego rozpoczynającego książkę piątkowego wieczoru. Autor powtarza dosłownie opis czekającego wśród poświstu wichru Widmara, ale Gold, który podpatrzył rzeczywiście schadzkę Rebeki i Tamtena nie przyjdzie nigdy: zaplątawszy się w zerwane przez wiatr druty, umrze rażony prądem. A Widmar nie dowie się nigdy o zdradzie żony, nie dowie się i Tamten o tem, że i on jest zdradzany. Wiejący przez całą książkę wiatr halny opadnie, a z jego umilknięciem zapadnie kurtyna na tem pełnem grozy i niedomówień opowiadaniu.

Drugim bardzo nowym motywem w książce Choromańskiego jest dziwne połączenie realizmu z symbolizmem. Autor w opisie zdarzeń i scen posługuje się metodą ściśle realistyczną. Widzimy (zawsze kolejno przez oczy wszystkie „dramatis personas"), ich najdrobniejsze, najbardziej plastyczne szczegóły. Nie cofa się autor przed żadną brutalnością, nie wstrzymują go żadne względy w zrywaniu zasłon z realności życia, często w ich najintymniejszych, często w najbardziej rażących szczegółach. Genjalny opis operacji Rebeki jest chyba jednym z najwyższych osiągnięć sztuki realistycznej. Przy tym skrajnie realistycznem spojrzeniu na świat, dziwnie odbijają sami ludzie, których analizą psychologiczną autor nie zdaje się zajmować. Jedynie psychologicznie zarysowanym człowiekiem jest chirurg Tamten, oscylujący między dwoma biegunami swego życia: miłością i pracą zawodową. Opis pracy zawodowej lekarza, życia w szpitalu, całego szeregu operacyj jest jedną z najciekawszych stron tej dziwnej książki. Rebeka i Widmar zdają się żyć i poruszać w jakimś rodzaju somnambulizmu, popychani do czynów tajemniczemi siłami swych instynktów i na-

miętności. Wskutek tego robią raczej wrażenie symbolów i szematów jak ludzi. Widmar jest personifikacją zazdrości, raczej jak zazdrosnym człowiekiem. Choromański nie zajmuje się jego psychologicznemi możliwościami. Ale przedewszystkiem tak symbolicznie ujęta jest Rebeka, o której nie wiemy nic, nie wiemy nawet, czy jest brzydka czy piękna, a koło której czarniawej, bizantyńskiej postaci kręci się cała akcja, jak koło jakiegoś niewidocznego a magnetycznego bieguna. Rebeka jest niejako personifikacją najpierwotniejszych i najzupełniej amoralnych sił przyrody. Jest jakby wcieleniem zupełnie pierwotnych, niemal zwierzęcych i żywiołowych instynktów erotycznych, istotą, nie mającą wogóle pojęcia o jakichkolwiek etycznych a choćby najprymitywniejszych hamulcach wewnętrznych. Cały splot wypadków i los przyznają jej właściwie rację i biorą ją w obronę, i choćby już pominąć niezwykłą drastyczność i brutalność tej książki (można ostatecznie dyskutować do jakich granic może się posuwać pisarz w swobodnem przedstawianiu faktów życia) na tem właśnie ideologicznem zwycięstwie pierwiastka zła i amoralności nad najprymitywniejszemi wymogami etyki, polega właściwie niemoralność tej literacko tak ciekawej, choć może zbytnio nużącej swą jednostajnością książki.

Obok Choromańskiego powszechne zainteresowanie wzbudziły „Granice świata", tom nowel, wydany przez poetę laureata olimpjady Kazimierza Wierzyńskiego. Wartość Wierzyńskiego, jako poety, jest już dawno uznana, ciekawem było jakim ukaże się jego talent jako prozaika. Z tej nowej próby swojej twórczości wyszedł Wierzyński zwycięsko, nowele jego z punktu widzenia literackiego są dobre. Są to przeważnie opowiadania t. zw. wojenne. W silnych męskich słowach, w plastycznych i pełnych realizmu obrazach, przedstawiają te nowele szereg scen z groźnego życia wojny. Obrazy te są wstrząsające swoją okropnością. Przedstawiają kolejno to głupią tępotę tych, w których rzemiosło wojny zgłuszyło wszystkie ludzkie uczucia („Patrol"), to historję trzech dezerterów, którzy wzajemnie godzą na swoje życie, tak jakby świat był za mały, aby tym trzem ludzkim wyrzutkom dać schronienie i pożywienie („Granice świata"), to opisują rozpacz matki, która straciła na wojnie jedynego syna („Porządek rzeczy ludzkich"), to sadystyczną wymyślność morderstwa, to znowu w upiornej „Mszy na Uharówce" przedstawiają zwarjowanego starca, który zawsze koło jedenastej wieczór nastawia gramofon, aby zgłuszyć echa salw, które zwykle o tej godzinie oznajmiały rozstrzeliwanie podejrzanych o szpiegostwo osobników. Te wstrząsające, często ohydne obrazy, kreślone są z wielkim talentem epickim i z jakąś przekonywującą prawdą. Ale i tak od tych nowel wojennych, pełnych ruchu i czynu, ciekawsze są może nowele inne: „Napoleon", opowiadający historję starego manjaka,

który z zapamiętaniem niszczy szyb naftowy, a zwłaszcza nowela ostatnia „Tarnina", przedstawiająca stany psychologiczne, a raczej patologiczne, młodej, zrozpaczonej po śmierci męża kobiety, która nazajutrz po śmierci męża nawiązuje romans z jego przyjacielem. Oscylacja jej między żalem i wspomnieniami a pędem do życia i miłości jest psychologicznie a raczej patologicznie bardzo ciekawa. Wogóle Wierzyński w swych nowelach, jak zresztą często powieściopisarze początkujący, zajmuje się prawie wyłącznie wypadkami bardzo szczególnymi, a raczej ludźmi psychologicznie nienormalnymi. Opisuje typy patologiczne, dziwaczne, zwyrodniałe, sadystyczne, u których kwestja odpowiedzialności moralnej, czy jakichkolwiek względów etycznych jest ipso facto wykluczona. Na skutek obieranych przez autora tematów i bardzo realistycznego ich traktowania, dobrze te pisane nowele są w czytaniu bardzo przykre i do szerszego rozpowszechniania się nie nadają.

Z prozą drugiego poety Józefa Wittlina spotykaliśmy się już częściej, Że jest mistrzem we władaniu językiem polskim, dowiodły już choćby jego językowo znakomite tłumaczenia z powieści pisarza niemieckiego Rotha. Toteż śliczny, barwny i prosty styl jego książki „Etapy" nie jest żadną niespodzianką. Rozkoszujemy się nim poprzez cały tom tych wspomnień z podróży do Francji, Włoch i Jugosławji. Wspomnienia te nie mają w sobie nic „bedekerowskiego", nic z jakiegoś systematycznego opisu zwiedzanych krajów. Są to raczej krótkie utwory liryczne, impresje poety, refleksje, rozmyślania, wrażenia. Przez ten właśnie brak jakiejkolwiek pedanterji, książka Wittlina jest pełna wdzięku, świeżości i uroku, a przez to, że autor pisał tylko wówczas, gdy jakiś obraz czy motyw pobudził jego poetycką wrażliwość, książka jego nie może być zaliczoną do książek podróżniczych, ale wyłącznie do t. zw. literatury pięknej. A ta językowo, obrazowo i poetycznie śliczna książka najciekawsza jest tem, co nam mówi o samym autorze. Wittlin jest człowiekiem dyskretnym, nie narzuca się nam ze zwierzeniami swoich wewnętrznych przeżyć, ale indywidualność poety przebija się w każdem zdaniu. Patrząc na szare nurty Sekwany, na gotyckie rozety w Chartres, na pogodne wybrzeża Dalmacji — patrzymy właściwie ciągle w głąb smutnej i zadumanej duszy Wittlina. W jej szlachetnych głębiach widzimy odbicie świata zewnętrznego, udzielają nam się jego religijne tęsknoty i niepokoje, odczuwamy jego prawdziwy, chrześcijański pacyfizm. Wspomnienie wojny jest jakby zmorą życia Wittlina, jest ciągle krwawiącą i niezagojoną raną jego wielkiej duszy, toteż niezmierną litość dla człowieka cierpiącego, błądzącego i grzesznego można wyczytać między linjami każdej jego książki. To pełne dobroci i współczucia nachylenie się nad ludzkim bólem i niedolą przebija i tu, wśród opisu dzieł sztuki i słonecznej wspaniałości świata. Ta jakaś rzewna i głęboko liryczna

nuta, przewijająca się dyskretnie poprzez wszystkie etapy, stanowi główny urok tej przemiłej i kulturalnej książki, w której, możnaby mieć zastrzeżenie jedynie do kilku luźnych, religijnie trochę mętnych i z punktu katolickiego nie całkiem ortodoksyjnych zdań.

Z ostatnio wydanych dzieł prozą trzech poetów (Wierzyńskiego, Wittlina i Iwaszkiewicza) najbardziej może poetyczne są dwa opowiadania Iwaszkiewicza „Panny z Wilka" i „Brzezina", wydane pod wspólnym tytułem „Panny z Wilka". Proza Iwaszkiewicza jest zawsze śliczna, pełna jakiejś zadumy, jakby tęsknego wahania i melancholji, a Iwąszkiewicza nazwaćby można poetą lata. Już głównym urokiem jego dawnej powieści „Księżyc wschodzi" była niezrównana atmosfera gorącego upalnego lata wiejskiego, teraz w Pannach z Wilka wraca ten sam motyw — wraca, ale nie powtarza się; to lato na radomskich równinach jest całkiem inne od tamtego lata kresowego. Zdumiewającem jest w jakie bogactwo obrazów i nastrojów rozwija Iwaszkiewicz swój ulubiony leitmotiv lata. Ile w nim gatunków upałów i dusznych i prażących i parnych, ile straszących niesamowitym żarem martwych godzin południa, ile zmęczenia i omdlałości, ile upojnych zapachów, ile głosów rozedrganych w bezszelestnych nocach. W tych pełnych chwały i blasku, a zarazem smutku przemijania obrazach, w powolnym rytmie wznoszącego się i opadającego lata, rozgrywa się także pełna smutku ale i pełna zmysłowego żaru historja ludzi: Wiktor Ruben wraca po 15 latach do Wilka, gdzie spędził dwa upalne lata swej pierwszej młodości. Oba tamte lata pachnące młodością i to smutniejsze już lato południa życia przeplatają się misternie w opowiadaniu Iwaszkiewicza. Wówczas w Wilku żyło 6 sióstr. Starsze były już dorosłemi, ślicznemi pannami, młodsze jeszcze dziećmi. Teraz, gdy Wiktor wraca, zastaje ówczesne dzieci dorosłemi pannami, ówczesne panny dojrzałemi mężatkami i matkami, a najpiękniejszą Felę odwiedza już tylko na cmentarzu. Umarła tak dawno, że wszyscy mieszkańcy Wilka już o niej zapomnieli. Lato w Wilku takie same, ale poprzez te same a jednak inne obrazy, poprzez te same, a jakżeż bardzo inne osoby, szuka Wiktor swej przebrzmiałej młodości. W perspektywie lat zaczyna rozumieć tamte lata młodości. Wtedy otaczała go tu miłość: piękne panny kochały się w młodym studencie, ale on tego wówczas nie widział i nie rozumiał. Miłość „przeciekła mu przez palce", wtedy brał tylko jej surogat w postaci rzeczywiście bardzo daleko posuniętych flirtów. Teraz piękne panie także otaczają względami swego gościa. Z tych uczuć, które już dzisiaj nie są miłością, znowu bierze tylko najpospolitszy jej surogat. A może znowu w tej atmosferze rozkołysanej zmysłowości, miłości nie dostrzeże, może znowu przejdzie koło niego czysta i niedostrzeżona?

Drugie opowiadanie „Brzezina" jest symfonją deszczu. Znowu jest lato, ciepłe, duszne i wilgotne. Deszcz pada rzęsisty i drobny i ożywczy i burzowy. Szeleści na szpilkach sosen, dzwoni o szyby, śpiewa w rynnach. Wśród tego rozpłakanego deszczem świata w dalekiej leśniczówce umiera młody suchotnik. Ale przed śmiercią chce poznać miłość. Nawiązuje romans z piękną Maliną. Od tej miłości zapalają się niejako zmysły wszystkich nielicznych mieszkańców zapadłej leśniczówki. I młody suchotnik umiera wśród gorąca parującej wilgocią ziemi i wśród dusznej atmosfery rozbudzonych zmysłów.

W obu tych literacko bardzo pięknych opowiadaniach, stanowiących jakby apoteozę płonącego nad ziemią lata, apoteozę dojrzałej bujności życia, panuje wszystko przenikająca atmosfera zmysłowości, a choć oddana jest stosunkowo dyskretnie, jest jednak zbyt wyraźna, aby móc tę książkę polecić naprz. młodzieży.

Nie wiem dlaczego „Dysk Olimpijski" Jana Parandowskiego uchodzi powszechnie za powieść, choć w podtytule książki słowo to nie jest użyte. Może pojęcie to utarło się dlatego, że wychodził on w odcinkach „Tygodnika Ilustrowanego", może pisma i firmy wydawnicze anonsują go jako powieść dla tem większej poczytności. Jakkolwiek jest, pojęcie to książce Parandowskiego szkodzi. Czytelnik biorący do ręki powieść, jest mimowoli nastawiony na pełną emocji fabułę i tej przedewszystkiem w książce szuka. W Dysku Olimpijskim szuka jej napróżno. Coprawda autor rzucił w swe studja o greckiej starożytności nikły wątek opowiadania, chciał uwagę czytelnika zatrzymać na kilku postaciach młodych, greckich zapaśników i dokoła ich postaci i ich rywalizacji osnuć obrazy igrzysk olimpijskich. Ale to właśnie jest błędem tej książki, bo fabuła jest nad wyraz nikła, pozbawiona fantazji, nie przekonywująca i nie biorąca, a książce szkodzi przez to, że zgóry między nią a czytelnikiem wywołuje nieporozumienie.

Nieporozumienie to ustaje coprawda po wczytaniu się trochę głębsze w karty tej pięknej książki. Naprzód bierze czytelnika niezrównany język i styl Parandowskiego. Ten język nie jest niespodzianką dla tych, którzy czytali „Dwie wiosny" i „Króla życia", ale tak jak wschód słońca, choć jest znany i przewidziany, olśniewa za każdym razem co go się widzi, tak i język Parandowskiego musi za każdym razem na nowo olśnić, zdumiewać i zachwycać. Jest w nim jakiś blask, jakaś pełność dźwięku, jakaś przedziwna ostrość doskonałego kształtu. Gdy czytam Parandowskiego mam zawsze wrażenie, że patrzę na wielkiego rzeźbiarza, na jakiegoś Fidjasza, czy Michała Anioła, który pewnem a potężnem dłutem bije w blok marmuru; z marmuru sypią się ogniste skry, a równocześnie wyłania się z bloku kształt cudow-

nej piękności, prawdy i nieśmiertelnej trwałości. Tak coś nieprzemijająco pięknego i spiżowego a zarazem olśniewającego jest w stylu Parandowskiego. Ale Parandowski jest nietylko jednym z największych władców języka polskiego, jest także jednym z największych w Polsce znawców starożytności. Jest znanym filologiem-uczonym i jest co ważniejsze uczonym-artystą. Nietylko ze strzaskanych kolumn i zapylonych rękopisów umie odczytywać grecką starożytność, ale umie przedewszystkiem odtwarzać ją nieomylną intuicją artysty. Toteż ten człowiek, który w jasnowidzeniu twórczem świat antyczny oglądał (tego jesteśmy pewni) i który tę swoją wizję może wcielać w życie najdoskonalszym instrumentem słowa, daje nam obrazy Grecji, które mają ścisłość rozprawy naukowej, a zarazem sugestywne życie dzieła sztuki. W opisie igrzysk Olimpijskich mamy cały skrót życia greckiego, greckiego patrjotyzmu, religji, obyczaju, sztuki, zamiłowania do piękna. Gdy przez oczy Parandowskiego widzieliśmy na Olimpijskim stadjonie rzucanie dyskiem i włócznią, gdy widzieliśmy chłopca wyjmującego cierń ze zranionej nogi, gdy widzieliśmy rozbiegane na hippodromie konie, widzieliśmy duszę greckiej sztuki, widzieliśmy w krwi i ciele te kształty, które zakrzepły potem w marmurze, i wykwitły na fryzach Partenonu i na wypukłościach pękatych dzbanów. Zobaczyliśmy źródło, z którego wykwitła grecka sztuka, zrozumieliśmy greckie zamiłowanie w piękności żywego kształtu, grecką cześć dla piękności życia i piękności sprężonego w ruchu ciała.

W szczegółowym opisie tej 76 Olimpjady mamy nietylko obraz ówczesnego życia Grecji, nietylko utrwalenie danego dziejowego momentu. Dzięki tylko wielkim artystom znanemu sekretowi, patrząc na pewną chwilę dziejową, widzimy w niej dojrzewającą przeszłość, widzimy w niej rodzącą się przyszłość; patrząc się w pewną teraźniejszość, widzimy w niej mijanie i przekształcanie się. Z opisu tego jednego igrzyska idzie ku nam jakaś pełna bohaterskich wspomnień legenda wielkiej przeszłości, jakiś pełny liryzmu smutek kończących się i przemijających epok. Widzimy jak wedle odwiecznych i do dziś niezmienionych praw, sztuka wytryska swobodnie i samorzutnie z najgłębszej za nią ludzkiej tęsknoty i widzimy jak potem powoli doskonali się i wyrabia, ale zarazem i kostnieje, ujmowana w karby reguł i praw. Chwytamy na gorącym uczynku tworzenie się i upadanie kultur i ich wieczny niczem niewstrzymany pochód, i czujemy, że i my dziś jeszcze kołyszemy się na tej samej fali, która unosiła kolejno zachwytem i smutkiem dusze olimpijskich widzów i zapaśników. Czy ta dziś nas niosąca fala nabrzmiewa czy opada nie nam sądzić, może tak jak podczas 76 Olimpjady są w niej równocześnie zarodki i życia i śmierci...

Do tak szerokich zadumań pobudza książka Parandowskiego, stawiając nam przed oczy historycznie zmarły ale kulturalnie

jakżeż żywy świat grecki. Toteż każdemu, kto interesuje się kwestjami kultury i sztuki, można tę wyjątkowo piękną książkę polecić, a myślę, że zwłaszcza dla młodzieży będzie ona nieocenionym przyczynkiem do poznania greckiej starożytności.

Dużo czytaliśmy w ostatnich czasach o życiu górników. Znamy się już z tajemniczym Pustakiem i z innemi duchami kopalni, rozumiemy czarną trwogę węglowych podziemi, umiemy uchwycić uchem groźny szept mającego się zawalić stropu. Toteż w świeżo wydanych nowelach Morcinka „Chleb na kamieniu" odnajdujemy motywy już znane i słyszane, znane trwogi i nastroje, znane odruchy nienawiści i zemsty, które ludzie z powierzchni świata w mroczne podziemia przynoszą, a które tu, wobec wszystko zaciemniającej powagi śmierci, załamują się i nikną. Może najwięcej wiemy o poetycznem w swej grozie życiu kopalni właśnie od Morcinka, toteż trochę mamy wrażenie, że autor eksploatuje dalej dość już przez siebie wyeksploatowaną żyłę kruszcu. Mimo tej już zbyt dobrze znanej nuty wracającej w nowelach Morcinka, trzeba przyznać, że nowele te są dobre i ładne, są dobrze zbudowane, zajmujące, często wstrząsające. Morcinek życie kopalni zna nietylko zewnętrznie i technicznie, zna je od wewnątrz, uczuciowo i niejako mistycznie. Obrazy swoje kreśli tak przekonywująco, że zgodzimy się chętnie, nie gonić za zbyt nowemi tematami, byle autor uważał, aby na przyszłość nie wpadać w pewną manierę, której lekka zapowiedź daje się w tym tomie wyczuć i trochę nas niepokoi. Nowym świeżym motywem u Morcinka jest nowela „Burmistrzanka Gryzelda", nowela historyczna z epoki renesansu, a poczęści także „Ondraszkowe ostatki", wydobywające motyw zbójnicki. Te dwa udatne opowiadania świadczą szczęśliwie o rozszerzaniu się możliwości artystycznych autora „Wyrąbanego chodnika". Ufamy, że możliwości te wyzyska, bo wielka jego łatwość pisania, żywość ludzkich sylwetek i plastyczność obrazów, jednem słowem jego niewątpliwy talent, każą się spodziewać, że nie poprzestanie na zdobytej już sławie pisarza regjonalnego, ale pokusi się o napewno mu dostępne, a bardziej wszechstronne laury. Pewne zacieśnienie się tematyczne jest dla twórczości literackiej zawsze niebezpieczne.

Zastanawiam się czy niezbyt dużo wynajduję „ale" w tej ładnej książce, ale zdaje mi się, że do Morcinka ustosunkowuję się zawsze surowiej, jak do innych pisarzy, bo czuję w nim duże możliwości i dużo się po jego rzetelnym talencie epickim spodziewam.

Na podstawie dwóch powieści, zupełnie zresztą niepodobnych i różnych pod względem wartości i poziomu, Prędskiego „Bełtowski zredukowany" i Kudlińskiego „Wygnańcy Ewy"

możnaby napisać cały traktat o powieściowej twórczości, ideologji, a nawet moralności. Wspólną platformą obu książek, nasuwającą właśnie te myśli porównawcze, jest to, że obaj autorzy czerpią temat do swej twórczości z t. zw. polskiej rzeczywistości, opisują współczesnych ludzi i współczesne zdarzenia. Sposób, w jaki to robią, wykazuje jaskrawo czem dla powieści jest temat, a czem jego ujęcie.

Prędskiego Bełtowski to ów słynny Blachowski, który zabił dyrektora zakładów żyrardowskich Köhlera. Tragiczne to zdarzenie opisane jest z dziennikarską dokładnością, tak, że czasem wydaje się nietyle pisane, ile przepisane z I. K. C. lub innego dziennika, nawet nazwiska są zaledwie zmienione (Köhler — Kobler, Blachowski — Bełtowski). Czytając tę zresztą gładko i żywo pisaną opowieść, zapytujemy z coraz rosnącem zdumieniem, poco właściwie napisaną została? Coraz nerwowiej szukamy „pointy". Może znajdziemy jakieś szerzej podmalowane tło stosunków w polskim przemyśle, choćby w Żyrardowie, może jakieś wytłumaczenie psychologji Blachowskiego - Bełtowskiego, może jakieś podniesienie tej postaci do znaczenia pewnego symbolu nędzy bezrobocia, może jakieś bolesne pytanie postawione systemowi kapitalistycznemu? ale nie! oprócz opisu tragicznego faktu nic, absolutnie nic. To co wiedzieliśmy z gazet. Zdaje się, że jedynym motywem, dodanym przez autora, są dość zresztą brudne opisy przeżyć erotycznych Bełtowskiego. Fakt opisywania najintymniejszych przeżyć erotycznych ludzi wymienionych prawie że po nazwisku nie wymaga chyba komentarzy. Rozpatrzeniem strony moralnej tej książki zajmiemy się później.

Zupełna artystyczna bezcelowość tej książki o polskiej współczesności występuje jeszcze jaskrawiej, gdy bezpośrednio po niej weźmiemy do ręki Wygnańców Ewy Kudlińskiego. Kudliński pisze także o współczesnem życiu polskiem. Książka jego jest nawet t. zw. „roman a cléf", to znaczy, że jej postacie są podobno żywcem wzorowane z ludzi istniejących. Mówię podobno, bo za mało znam krakowskie stosunki, aby móc te postacie zidentyfikować, ale nie to nas w tej książce interesuje. Kudliński, opisując i wplątując w powieściową fabułę cały szereg postaci, opisuje nietylko pana X, lub Y, nietylko taką lub inną psychologję danego człowieka: każda jego postać jest — a w każdym razie chce być — wyrazem, typem, przedstawicielem pewnego kierunku myślowego, pewnej warstwy społecznej, pewnego światopoglądu; każda będąc może panem tym lub owym, jest zarazem rodzajem symbolu. Takie dążenie do przedstawienia epoki czy społeczeństwa w ich charakterystycznych typach ma swoje niebezpieczeństwa, rzadko jest osiągalne w 100%, ale przyznajmy, że to jest właśnie najwyższem zamierzeniem powieściowem, to jest godnym tej nazwy wysiłkiem twórczym. Wszystkie wielkie postacie powieściowe i Baryka i Lewin i pani Bovary i tyle, tyle innych są właśnie

w ten sposób pojętemi symbolami pewnych ideologij, przedstawicielami pewnych ludzkich typów, epok, środowisk, mentalności; a jeśli autorzy (co się zdarzało) przerysowywali swe postacie z życia, jeśli brali za motyw współczesne fakty czy wypadki, to robili to dlatego, że właśnie w tym lub owym człowieku, w tem lub owem zdarzeniu, widzieli charakterystyczne objawy swej epoki, więc używali ich jako skrótów, jako symboli. Otóż wracając do obranego za punkt wyjścia porównania, tragiczny wypadek Blachowskiego bardzo nas przejął, gdyśmy o nim czytali w gazetach, ale jako motyw powieściowy nie interesuje nas zupełnie, a to dlatego, że Prędski nie dał mu żadnego szerszego znaczenia, żadnej nadbudowy ideologicznej, poprostu do przepisanej z gazet anegdoty nie dołączył absolutnie żadnego pierwiastka twórczego. Kudliński natomiast odniósł się wręcz przeciwnie do swego tematu: zachowując dużą oryginalność poszedł za najwyższemi wzorami pisarzy powieściowych: przerysowując otaczającą go rzeczywistość, dąży z całą artystyczną świadomością do dźwignięcia swych postaci do godności symbolów-typów, typów wyrażających kolejno różne światopoglądy, różne typy współczesnego życia, i dlatego to właśnie rzetelnego wysiłku twórczego, dlatego co ma nam do powiedzenia poprzez swych bohaterów, dlatego, że życie współczesne, nie tak jak Prędski, w jednym przypadkowym objawie fotografuje, ale że stara się je w jego momentach najistotniejszych sportretować, że je komentuje, sądzi i syntetyzuje — musimy książkę jego uznać, jeśli nie za doskonałą, to w każdym razie za bardzo ciekawą i prawdziwie twórczą.

Faktura tej książki jest nowa i kunsztowna, ale udana, jasna i do czytania przyjemna. Cała książka podzielona jest na 9 części, wedle części Ojczenaszu (wstęp, 7 próśb i końcowe Amen). Każda część zaczyna się krótkim wstępem ogólnikowym, nawiązującym (trzeba przyznać niezawsze zrozumiale a i niezawsze bardzo przyjemnie) do jednej z tych próśb. Potem przychodzą ustępy o poszczególnych a licznych i równorzędnie traktowanych bohaterach książki, opowiadające jakiś epizod z ich życia. W każdej z 9 części jest ustęp, poświęcony każdemu z bohaterów. Z początku zdaje się, że każda z tych osób będzie miała swoją osobną i od innych niezależną historję. Ma się wrażenie, że autor trzyma w ręku pęk równolegle biegnących nici. Potem, powoli, nici te krzyżują się, zaczepiają o siebie, plączą i wytwarzają misternie utkaną kanwę. Poszczególne farby układają się w obraz, w obraz współczesnego społeczeństwa. Niesposób w krótkiej recenzji przechodzić wszystkich postaci, opisywanych przez Kudlińskiego i analizować krytycznie, względnie polemizować, z wszystkiemi światopoglądami jakie przedstawiają. Wymagałoby to całego studjum. Ogólną myślą tej książki jest, że światem rządzą dwie siły: chciwość i zmysłowość; one są *spiritus movens* wszystkich ludzkich czynów. One zawsze zwyciężają i są boży-

szczami współczesnego świata. Wśród różnych światopoglądów, przedstawionych w książce Kudlińskiego, dużą rolę gra problem religijny, ale w przedstawieniu autora, myśl religijna jest jakby za słaba, za nikła, aby opanować i wogóle przeciwstawić się potężnym namiętnościom, rządzącym Wygnańcami Ewy. Oficjalny jej reprezentant X. Staromieyski nie zajmuje się nią wogóle. Jest to esteta, sybaryta, człowiek dobry, porządny i prawy, ale hołdujący wraz ze swem otoczeniem kultowi pieniądza. Ignacy Świerszcz, fanatyczny żebrak - apostoł, organizuje tłum w rodzaju bractwa biczowników. Opisy jego histerycznych wizyj, a zwłaszcza jego stygmatów są mocno niesmaczne. Prawdziwie i z przekonania religijnym jest jedynie Jaś Naftulski, chłopiec dobry i sympatyczny. Jaś zaakceptowawszy religijny światopogląd nie widzi już możności życia w świecie i chroni się do klasztoru. W religji, w której widzi prawdę, nie widzi niejako elementów żywotnych, ani siły, którą mógłby przeciwstawić materjalizmowi Grzybienia i otaczającej go w najbliższej rodzinie rozpuście.

Przejdźmy zkolei do omówienia strony etycznej obu porównywanych książek. Żadna z nich nie nadaje się do rozpowszechniania. Książka Kudlińskiego jest o wiele brutalniejsza, miejscami tak brutalna, że aż przykra do czytania. Mimo to książka Prędskiego trąci pornografją, a książka Kudlińskiego nie. Różnica polega na tem, że Prędski wsadził w swą opowieść kilka scen wyrafinowanie zmysłowych, niejako bez żadnej potrzeby, ma się zupełnie wrażenie, że jedynie „dla ozdoby", na przynętę dla lubiącej takie rzeczy publiczności i to właśnie ozdabianie książek scenami erotycznemi ma w sobie coś wstrętnego, coś co się łączy z istotą pornografji. W książce Kudlińskiego jest o wiele więcej pierwiastka erotycznego, sceny są o wiele dramatyczniejsze, czasami mamy wrażenie, że tkwimy w jakiemś moralnem bagnie, ale mimo to nigdy nie mamy wrażenia, żeby autor opisywał te sceny tak jak Prędski „z amatorstwa", jedynie dlatego, żeby w książkę włożyć coś „pikantnego". Kudliński chciał dać obraz świata rządzonego namiętnością zmysłową i używał farb silnych (przyznajmy o wiele za silnych), żeby cel swój osiągnąć. Choć więc w rezultacie żadnych z tych książek polecać nie można, musi być jednak duża różnica w naszem odniesieniu się do postawy i poziomu etycznego obu autorów: książka Prędskiego nie jest lekturą dla nikogo, książka Kudlińskiego tylko dla ludzi bardzo wytrawnych i wyrobionych.

„Ostatni film Ewy Evard" Andrzeja Struga jest trzecią częścią trylogji „Żółty krzyż". Dwa pierwsze jej tomy „Złoto Renu" i „Bogowie Germanji" omawialiśmy szerzej w styczniowym zeszycie. Zbytecznem byłoby więc wracać do szczegółowej analizy zalet stylowych tego dzieła i do podkreślania specyficznej a powszechnie znanej skrajnej ideologji autora. Tom trzeci bowiem nie

różni się zasadniczo od dwóch poprzednich ani wartością literacką, ani moralną, ani założeniami ideologicznemi. Może jedynie trochę słabnie w nim napięcie powieściowe, tematy są już znane, nie przedstawiają uroku nowości ani niespodzianki; może dlatego tom ten wydaje nam się trochę przydługi i mniej interesujący jak poprzednie. Ale to jest częstem niebezpieczeństwem powieści cyklicznych.

„Łowcy przygód" Jerzego Marlicza przypominają mocno powieści Curwooda, a nawet, jak pisze S. Jeleński w przedmowie, są nawiązane do trylogji tego pisarza, której dwie pierwsze części ukazały się p. t. „Łowcy wilków" i „Łowcy złota", a której części trzeciej już Curwood napisać nie zdążył. Jest to książka pisana łatwo i żywo, pełna niezwykłych i romantycznych przygód, rozgrywających się na tle niezgłębionych lasów Kanady. Pełno w niej ciekawych i ładnych opisów z życia egzotycznej fauny i flory, pełno emocjonujących momentów grozy, dużo świeżości i barwności, toteż liczni młodzi i starzy miłośnicy powieści egzotycznych przeczytają ją na pewno z zainteresowaniem.

Pani Zofja Radowicz-Iwanicka przedstawia nam w „Zgaszonym błękicie" tragiczną historję rodziny, rozbitej przez rozwód. Dzieci tracą potrzebne im do życia ciepło domowego ogniska, marnują się, cierpiąc nad powtórnemi, kalwińskiemi małżeństwami rodziców. Zwłaszcza szesnastoletnia Wanda, głęboko religijna, nie może przeżyć zejścia ukochanych rodziców z drogi cnoty i wewnętrzną swą rozterkę opłaca życiem. Książka napisana jest w duchu zasad katolickich.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Michał Corvin: Tajemna Walka. Wyd. „Rój", Warszawa.
J. T. Trebitsch Lincoln: Największy awanturnik XX w. Wydawnictwo Polskie, R. Wagner. Poznań.

Ukazały się jednocześnie dwie książki, poruszające sprawę szpiegostwa politycznego, zwanego teraz eufemistycznie *intelligence-service,* informacja, wywiad. Wielu przypuszcza, że wojna europejska wisi znowu w powietrzu. Należałoby więc teraz bardziej niż kiedykolwiek zrewidować te podstawy etyczne, na których opierała się wojna i czynności z nią związane.

Najstraszliwszą stroną życia narodów jest osnucie wzajemnych stosunków na kłamstwie i wzajemnem oszukiwaniu. Kulturalna walka w rękawiczkach dyplomatów tylko formą różni się od walki na śmierć i życie w dzikim ostępie i prowadzi za sobą potworne rzezie, mękę ciał zatrutych gazami, umierających wśród nieludzkich ran i okaleczeń, zwisających na własnych trzewiach na drutach. Inne są zasady życia prywatnego, a inne państwowego i międzynarodowego. Na ten rozdźwięk zwracał w *Ojcze*

nasz uwagę polski filozof, August Cieszkowski, domagając się schrześcijanienia polityki. Fatalny wpływ Renesansu i Macchiavelli'ego zwalczył w życiu narodów powoli rzeźbiące się w niem prawdy Chrystusa.

Dawniej „szpieg" było wyrazem wprost obelżywym, teraz „wywiadowca" jest wyrazem patrjotyczno-ofiarnym. Wszak cele wywiadowcze i wyćwiczenie wywiadowcze, umiejętność tropicielska jest jednem z zadań harcerstwa, która ma również w programie dążenie do rozwoju etycznego. Tutaj instynkt całych narodów jakby został odrętwiony nakłuciem potwornego owadu. Sprzyjała temu atmosfera materjalizmu i niewiary i rozwój powieściopisarstwa rozrywkowo-sensacyjnego. Kłamstwo, podstęp, udawanie, to nieodzowne przy wywiadzie, przy śledzeniu i podchodzeniu wroga, nie wypaczają tak charakterów w polowaniu na ludzi na świeżem powietrzu, w polu, jak przy wydobywaniu cudzych tajemnic. Wytrych, aparat fotograficzny, kradzież, wkraczanie w cudze życie, nieszanowanie cudzej osobowości, kłamstwo, maskowanie się — wszystkie etapy tej gry niebezpiecznej, jaką jest wywiad polityczny, wstrząsają najważniejszemi podstawami życia społecznemi, wykrzywiają linję duchową człowieka. Naprożno imperjalista Kipling w *Kimie* przedstawił w świetle najsympatyczniejszem pracę *inteligence-service* w Indjach. Mimowoli czujemy odrazę do tej pracy. Pociągająca osobistość w rodzaju Kima zdarza się rzadko. Częściej wywiadowcy, pracujący wśród niebezpieczeństw „w terenie", demoralizują się. Grozi im upadek duchowy, stają się cyniczni, wykolejają się. Wielu wywiadowców pracuje na dwa fronty, biorąc pieniądze od dwóch stron. Pierwej czy później grozi im zasypanie się i zguba.

Jeżeli nawet wycofają się ze swej niebezpiecznej roboty, nie będą to nigdy już ci sami ludzie. Nie wrócą do równowagi moralnej. Nie naprożno otarli się o zbrodnię, depcząc zasady, na których opiera się *modus vivendi* ludzi, dzięki którym w społeczeństwie istnieje zaufanie wzajemne. Kto przełamał w sobie nawyknienia do honoru i poszanowania cudzej osobowości, ten już nigdy nie wróci na drogę prostą i zwyczajną.

Opisał to wszystko z wielką wnikliwością M. Corvin. Młoda, zdolna dziennikarka, pozbawiona uczuć rodzinnych, zasad religijnych, wyznająca nowoczesne pojęcia o miłości dostaje się w ręce ludzi bezwzględnych. Wyzyskują jej zdolności i ambicję, by nakłonić ją do szpiegostwa polityczno-ekonomicznego. Wkrótce wikła się w matnię bez wyjścia. Sentyment starego człowieka, jak *deus ex machina,* rozplątuje węzeł i przynosi ratunek. Inaczej miss Raleigh tak samo, jak wielu innym, groziłaby zguba. Albo byłaby zaaresztowana i skazana za szpiegostwo przez rząd, dla którego niedawno pracowała, albo inna organizacja wywiadowcza sprzątnęłaby ją cicho i bez śladu, wpadłaby, jak kamień w wodę na zawsze.

Niemało materjału do refleksji daje książka Corvina, ale nie jest to książka o całkiem etycznem i pożytecznem nastawieniu. Perypetje dziennikarki - szpiega stąd pochodzą, że jest panną nowoczesną, nie mającą zasad rodzinnych i chrześcijańskich. Winna tu głupia matka i brat, traktujący siostrę zgóry, a gdy jej się powiodło, wyzyskujący ją. Ale bądź co bądź dziewczyna o dobrem sercu i uczciwych instynktach nie odrywałaby się tak łatwo od rodziny i nie prowadziłaby romansu, w którym obu partnerom nie przychodzi nawet do głowy, że instytucja ślubów istnieje na świecie. Coprawda, jednym z nich jest nadzwyczaj sympatycznie przedstawiony ajent bolszewicki, Zagainow.

I ten sympatyczny Zagainow odsłania sobą zamierzenia autora: chodzi tu nie tyle o ujawnienie całej demoralizującej strony akcji spiegowskiej, ile o zdemaskowanie podłych procederów kapitalizmu europejskiego. Takiż sam kontrwywiad Zagainowa nie jest tak surowo potraktowany.

Nam chodzi o istotę rozkładową służby wywiadowczej zawsze i wszędzie. Pouczającą jest druga książka - rewelacja Trebitscha Lincolna, dla zrozumienia, jakim materjałem ludzkim posługuje się wywiad. On Trebitsch, Żyd węgierski, pokolei zmienia narodowość i wiarę. Nawraca się na protestantyzm, prowadzi nawet pracę misyjną, dzięki zdolnościom krasomówczym, potem z powodu urażonej ambicji zrzuca suknię duchowną. Podczas wojny sympatyzuje widocznie z Niemcami, pracuje jednak dla wywiadu angielskiego, a gdy ten poznał się na farbowanych lisach, ten niedawny lojalny obywatel angielski wieje do Ameryki i zaczyna w niebywały sposób szkodzić Anglji. Poza jego wyjaśnieniami nietrudno wyczytać, jak sprawa naprawdę się miała i że angielski *intelligence - service* miał podstawy do ścigania ex - Żyda, ex - Węgra.

Dalszą jego kameleonową przemianą jest udział w puczu Kappa w Niemczech, gdzie dawni jego towarzysze z puczu chcą go zamordować. Widocznie musiał i tu być Judaszem. Warto byłoby posłuchać tamtej strony. Udział Trebitscha w buncie v. Kappa jest dowodem, jak niewybrednie dobierany był zespół monarchistów niemieckich.

Książkę tę, niewątpliwie interesującą, warto było dla orjentacji Polaków przetłumaczyć. Ale jeżeli są to fakty autentyczne, mogące zainteresować polityków, aż sama się prosi przedmowa wyjaśniająca, którą wydawca zapewnie opatrzy książkę w następnem wydaniu.

Po przeczytaniu odkłada się takie książki z niesmakiem. Są to sprawy brudne, nawet, jeżeli robią je ludzie ideowi, gorący patrjoci. I dawno należałoby rozpocząć walkę z różnemi defensywami, siguranzami, intelligence - office'ami, gdyby sprawa ta nie przedstawiała się tak samo, jak pacyfizm. Tę wspaniałą ideę, tak zgodną z duchem chrześcijaństwa, wzięły w swe ręce czynniki

anonimowe, starając się ubezwładnić i rozbroić moralnie czynniki chrześcijańskie. Jest też i tak, że propagandę pacyfistyczną się uprawia, ale... na terenie wrogiego kraju, by go ubezwładnić. Nikt obecnie szczerze nie uprawia pacyfizmu, a komunizm rozwinął militaryzm, prześcigający wszystkie inne kraje, jednocześnie przez swych agitatorów starając się szerzyć pacyfizm... w armjach krajów zachodnich.

Taksamo działalność defensywna i wywiadowcza mogłaby być zniesiona, gdyby ustała ofensywa przeciwników. Jeżeli jeszcze nie może ustać walka, warto byłoby zmienić jej metody. Działalności szpiegowskiej i konspiracyjnej trzeba przeciwstawić agitację etyczną, pracę nad prawdziwem zbrataniem narodów, którąby nie była chloroformem usypiającym z ręki bandyty przed zamordowaniem. Wywiad i prowokacja pochłaniają ogromne sumy. Gdyby je obrócono we wszystkich krajach na propagandę, na wyciąganie obałamuconych ofiar ze szponów komunistów i obcego wywiadu, na urządzenia i organizacje społeczne, pracujące w słońcu...

Szef pewnej siguranzy powiedział: Wolę wydać 10.000 zł na kupienie jednego członka komitetu centralnego komunistów, niż na propagandę wśród bezrobotnych. Taki punkt widzenia powinni gorąco zwalczać katolicy. Nie demoralizować, a nawracać. Takie jest przykazanie miłości. I na tę stronę życia publicznego powinien zwrócić uwagę świat katolicki, walcząc już nietylko o uświęcenie jednostek, lecz o schrześcijanienie całego życia państw i narodów.

Anna Zahorska.

S w i a t i Ż y c i e. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury. Wydawnictwo „Książnicy - Atlas" pod redakcją prof. dra Z. Łempickiego. Lwów, zeszyty 1 i 2.

Na śmiałe i oryginalne wydawnictwo odważyła się „Książnica - Atlas". Encyklopedja dla młodzieży szkolnej! Zadanie bardzo trudne do przeprowadzenia i ryzykowne pod względem finansowym; młodzież nasza jest bardzo uboga, a zapewne niewielka znajdzie się liczba rodziców, którzy dorastającym pociechom swoim będą mogli sprawić tak wspaniały dar, jakim będzie po czterech latach „Świat i życie". Skoro jednak instytucja wydawnicza, zdając sobie oczywiście sprawę z sytuacji dzisiejszej, odważa się na takie wydawnictwo, to widocznie wierzy w jego powodzenie i jest świadoma jego wartości. Z uznaniem i zadowoleniem stwierdzamy, iż świadomość ta jest w pełni usprawiedliwiona. Bliższe rozpatrzenie treści dwu pierwszych zeszytów będzie najlepszą recenzją a zarazem i zaleceniem omawianego wydawnictwa.

Zostało ono podzielone na dwie nierówne co do objętości części. Pierwsza obejmie cztery tomy i zawierać będzie w porządku alfabetycznym artykuły ze wszystkich dziedzin wiedzy

i życia współczesnego, tom zaś piąty stanowić będzie uzupełnienie, w formie drobnych encyklopedycznych wiadomości (polski Larousse). Poszczególne artykuły opracowane są przez specjalistów gruntownie, z uwzględnieniem najnowszych wyników badań, rzeczowo i bezstronnie, ale — co jest rzeczą najważniejszą — bez naukowego balastu, przystępnie, lekko. Pierwsze zeszyty obejmują następujące zagadnienia: abecadło, absolutyzm, adwokat, afekt, Afryka, akademja, akcent, akcja, akcyjna spółka, aktor, akwarjum, akwedukty, alchemja, Aleksander W., alkoholizm, Alpy, ambasador, ambicja, Ameryka, analfabetyzm, analiza, anarchizm, anktartyda, antropogeografja, antropologja, apostołowie, antyki, apteka, Arabowie. Zupełnie rozmyślnie podaliśmy tytuły wszystkich artykułów, bo już z tego zestawienia wyłania się program wydawnictwa. Redakcja zerwała z systemem tradycyjnych encyklopedyj; z pośród tysięcy rzeczy, nazwisk i zagadnień wybiera niektóre tylko, najważniejsze, ujmuje je całostkowo, w formie zamkniętych w sobie rozprawek, i przez to stwarza zupełnie nowy, nigdzie dotąd niepraktykowany typ encyklopedji. Przyznać musimy, że poszczególne artykuły są nieraz mistrzowsko ujęte i przeprowadzone. Weźmy kilka przykładów. Prof. St. Pawłowski, jeden z najwybitniejszych naszych geografów, tak zaczyna artykuł: „Antropogeografja": „Wznieśmy się samolotem ponad powierzchnię ziemi. Cóż zobaczymy? Oto mijamy w szybkim przelocie pasma gór i łańcuchy pagórków, to znowu płaskie, niskoległe równiny. Nikną za nami jedna po drugiej lśniące od słońca tarcze jezior i smugi rzek i potoków. Czarnemi plamami rzucają się w oczy rozproszone bez porządku lasy, wreszcie błyska ciemne bezmiarem morze..." W dalszym ciągu autor dziełom przyrody przeciwstawia dzieła człowieka, by w ten sposób doprowadzić młodego czytelnika do pojęcia antropogeografji, jej znaczenia i zadań. Inny przykład: „W sali sądowej pusto, nikogo nie interesuje ten zniszczony, stary człowiek na ławie oskarżonych, który tępym wzrokiem patrzy na sędziego i dwu asesorów, co na wzniesieniu zajęli fotele sędziowskie. Właśnie wstał prokurator - oskarżyciel państwowy..." Tak znowu inny współpracownik wydawnictwa zaczyna artykuł o adwokacie. Podobnie jest ujęty świetny artykuł: „Apteka", łączący lekkość i barwność opowiadania ze ścisłością informacyj rzeczowych a nawet praktycznych o samym zawodzie aptekarskim, pouczających młodzież o studjach do tego zawodu koniecznych. Z zagadnień religijnych pierwsze zeszyty przynoszą dotąd tylko jeden artykuł: „Apostołowie" ks. Rosłańca. Treść wszystkich artykułów pod względem filozoficznym i religijnym nie budzi żadnych zastrzeżeń; przeciwnie z uznaniem podnosimy drobny, ale ważny szczegół: oto w art. „Antropologja" prof. Czekanowski z naciskiem podkreśla problematyczność teorji ewolucji w odniesieniu do człowieka. Poszczególne artykuły ilustrowane są kreskowemi drobnemi rycinami w tekście, rotograwiurowemi

jednobarwnemi tablicami, w liczbie 16, dodawanemi do każdego zeszytu i wreszcie wielobarwnemi tablicami, których oczywiście będzie znacznie mniej. Jednobarwne ilustracje rotograwiurowe pozostawiają niestety wiele do życzenia, są ciemne, brudne i niewyraźne! Wydawcy winni stanowczo w interesie wydawnictwa poprawić stronę techniczną ilustracyj. Wszystko razem tworzy całość o pierwszorzędnej wartości, zewszechmiar godną polecenia. Niech nam będzie wolno wyrazić nakoniec jedno życzenie, aby religja katolicka i dzieje Kościoła zarówno dla ich wewnętrznej wartości jak i dla zasług i roli w życiu kulturalnem były reprezentowane wspaniałomyślnie! Wszak ogromną większość nabywców będzie miał „Świat i Życie" w społeczeństwie katolickiem.

Ks. St. Bednarski.

Kultura pedagogiczna. Rocznik I, zeszyt 1. Kraków 1933.

Kryzys ekonomiczny dotknął, abstrahując oczywiście od niedoli bezrobotnych, może najboleśniej naukę, a zwłaszcza wydawnictwa naukowe. Dziwna jednak rzecz, uderzyło nas to bardzo silnie, najmniej ucierpiało piśmiennictwo pedagogiczne. Owszem, co więcej, nietylko nie przypominamy sobie, by któreś z czasopism pedagogicznych zostało zawieszone, ale przeciwnie powstały nowe. Fakt ten nie trudno wytłumaczyć. Część czasopism pedagogicznych wydają wielkie związki nauczycielskie: utrzymanie własnych wydawnictw leży w interesie licznych członków tych związków, a dla ich zarządów jest sprawą ambicji i prestige'u. Z drugiej zaś strony zupełna przebudowa ustroju naszego szkolnictwa zaktualizowała zagadnienia szkolne i wychowawcze, wzbudziła dla nich ogólne zainteresowanie, a równocześnie zmusiła Ministerstwo W. R. i O. P. do popierania pewnych już istniejących wydawnictw lub zakładania nowych.

Objawem wzmożonej aktywności na polu teorji i praktyki wychowawczej jest również nowy dwumiesięcznik, wymieniony w tytule. Powstanie swoje zawdzięcza inicjatywie prywatnej; założycielem i redaktorem jest prof. Uniw. Jagiell. Z. Mysłakowski. Muszę wyznać, że wstęp redaktora w dość mglistych rysach tylko szkicuje program nowego pisma. Ale może właśnie tak jest lepiej. Nieraz bardzo szumnym, bogatym i szczegółowym programom przeczy uboga rzeczywistość. Z uznaniem należy podnieść, że redaktor, jako jeden z podstawowych czynników kultury wogóle, a kultury pedagogicznej w szczególności, uznaje tradycję, a tem samem wyklucza modny dziś w pedagogice pościg za nowością i płytkie, a zarozumiałe przekonanie, że prawdziwe wychowanie i nauczanie zaczyna się dopiero od tego czy owego roku, w którym ten czy ów, nieraz zupełnie bezkrytycznie adorowany, autor-reformator wydał swoją książkę lub założył swoją doświadczalną szkołę. Kultura pedagogiczna ma służyć, wedle zapowiedzi redakcji, „popieraniu własnej twórczości, dawaniu wyrazu własnym prze-

myśleniom cudzych osiągnięć, transponowaniu współczesnej myśli pedagogicznej na polską rzeczywistość".

Temu programowi doskonale odpowiada i spełnia go długi, zadługi może jak na czasopismo (60 str.), ale bardzo interesujący, oparty na doświadczeniu artykuł J. Kruszewskiego: „Na marginesie planu daltońskiego". Autor, gorący zwolennik tego planu, przecież odnosi się do tej niezmiernie ciekawej i bez przesady rewolucyjnej metody nauczania rzeczowo. Podnosi z naciskiem, że system ten, będący właściwie uorganizowanem uczeniem się pod kierunkiem, w którem miejsce dzisiejszych klas, zajmują laboratorja i pracownie, że system ten musi przejść okres prób i przemian, okres koniecznego dostosowania do warunków danego narodu, że dalej jest systemem bardzo kosztownym, mogącym znaleźć pełne zastosowanie tylko u narodów bogatych, w okresach dobrej ekonomicznej konjunktury i w bardzo ograniczonych gronach uczniów (około 30). Konsekwentnie przez cztery lata przeprowadzono ten system u nas w Polsce w jednym dopiero zakładzie, w seminarjum nauczycielskiem w Chełmnie. Wyniki osiągnięte są podobno wybitnie wyższe, niż z okresu poprzedzającego wprowadzenie systemu Daltona.

Charakter bardziej ogólny, o podłożu filozoficznem, mają dwa inne artykuły: redaktora prof. Mysłakowskiego p. t.: „Czynniki nauczania a konstrukcja podręcznika" i I. Kena: „Problem nieświadomości a wychowanie". Filozoficzne i etyczne poglądy autorów nie budzą ze stanowiska katolickiego żadnych zastrzeżeń, z uznaniem podnosimy krytyczne odnoszenie się do teoryj Freuda, i przeciwstawienie się materjalizmowi filozoficznemu. Mamy jednak pewną obawę, czy bardzo wysoki poziom filozoficzny artykułów, suponujących wielkie oczytanie, nie będzie przeszkodą w rozszerzaniu się nowego czasopisma, któremu życzymy wspaniałego rozwoju. O ile się orjentujemy w sytuacji, to większość naszego nauczycielstwa nawet szkół średnich nie jest należycie przygotowana do korzystania z tego rodzaju artykułów. Należałoby mniej suponować, więcej wyjaśniać i bardziej unikać terminów filozoficznych, zwłaszcza obcych, tam przedewszystkiem, gdzie mamy własne, dobre, ogólnie przyjęte i łatwo zrozumiałe.

Ks. St. Bednarski.

Bibljoteka Szkoły Powszechnej. Lwów, Nakładem Państwowego Wydawnictwa Książek Szkolnych.

Zadaniem nowego wydawnictwa, rozpoczętego w r. 1933 jest, jak zaznaczają wydawcy: „dostarczyć młodzieży szkół powszechnych wszystkich stopni, oraz młodzieży pozaszkolnej pożytecznej i zajmującej lektury, która pierwszym uzupełni i pogłębi nauczanie szkolne, drugim rozszerzy widnokręgi umysłowe, pobudzi zainteresowanie i wolę czynu, ułatwi samokształcenie, zachęci do twórczości indywidualnej i zbiorowej". W wydanych już i zapo-

wiedzianych tomikach, z których każdy obejmuje dwa arkusze druku i podzielony jest na krótkie rozdziały, widać, że redakcja odznacza się dużą pomysłowością i wszechstronnością. Zbiór ma objąć szereg cyklów o zachęcających tytułach, jak „Co wiesz o Polsce?", „Znakomici Polacy", „Wojsko poskie", „Nasi sąsiedzi", „Nasi sojusznicy", „Polacy na obczyźnie", „Miasta polskie", „Co daliśmy ludzkości", „Uroda polskiej wsi", „Muzycy polscy", „Malarze polscy", „Pisarze polscy", „Polscy święci", „Przedstawiciele ludzkości", „Przedmioty mówią" i szereg innych. W doborze współpracowników starano się widocznie, z jednej strony o znawców danych dziedzin, z drugiej wybitnych beletrystów, a wreszcie o wypróbowanych autorów ludowych. Przyszłość okaże, która grupa najlepiej wywiąże się z zadania.

Dotychczas wydane 10 tomików przedstawia się niemal bez wyjątku bardzo dobrze. Wszystkie są pisane w sposób równie zajmujący i przystępny, a niektóre cechuje prawdziwy artyzm. Do tych należą w pierwszym rzędzie utwory znanych pisarzy, jak Wacława Sieroszewskiego opowiadanie o Józefie Piłsudskim, nie wolne jednak od tendencji, jak Zygmunta Nowakowskiego „Cuda teatru", jak Marji Czeskiej-Mączyńskiej „Opowieść o św. Kindze", uwzględniająca zresztą może zbyt silnie element legendowy. Bardzo trafnie ujęte są tomy o charakterze wybitnie propagandowo-popularyzacyjnym, jak Brunony Bruchnalskiej „Na własnej ziemi. Opowiadania o oszczędności dla młodzieży wiejskiej", Kazimierza Piekarczyka „Czego się Kuba od harcerzy nauczył", a zwłaszcza Józefa Rączkowskiego „Polska w rodzinie narodów" (pomijając drobne zastrzeżenia w szczegółach informacyjnych). Charakter powiastkowy mają też Jana Kuglina „Jak powstaje książka", ujęte w formę rozmowy książek starych i nowych, i Julji Jaworskiej „Rok 1863". Kazimierza Czachowskiego „O Henryku Sienkiewiczu" przewiduje poziom umysłowy czytelnika wyższy, niż poprzednie tomiki, miejscami nawet operuje stylem stanowczo zbyt trudnym, gdy w przeciwieństwie do tego tomu są „Imieniny maku" Heleny Loremsowej zbiorem bardzo prostych powiastek dla małych dzieci.

Jak widać więc poziom i zakres poszczególnych tomików jest bardzo różny i przeznaczony dla młodzieży różnego wieku i różnego typu szkół. Byłoby bardzo pożądanem, żeby redakcja znalazła sposób zaznaczania na poszczególnych tomach, czy w dołączanych prospektach, co przeznaczone jest dla kogo. Trzeba również przypuszczać, że w obrębie poszczególnych działów ilość zapowiedzianych tomików rozszerzy się szybko, pozwalając na ich wszechstronniejsze rozbudowanie. Naodwrót niektóre inne działy, jak „Przyroda", „Praktyczne zastosowanie nauk" już obecnie wymagałyby może dalszych poddziałów.

Dr. Z. C.

Ks. Paweł Styger: Katakumby Rzymskie, Warszawa, Wyd. SS. Loretanek. Str. 47 z ilustr.

Prawdziwa relikwja, jaką dla każdego katolika są katakumby rzymskie, stanowić będzie zawsze przedmiot szczególnego pietyzmu wszystkich wiernych, a zarazem niewyczerpane źródło badań dla ludzi nauki. Broszura powyższa, napisana przez ks. dra P. Stygera, prof. archeologji i sztuki kościelnej na uniw. warszawskim, łączy oba powyższe momenty i na niewielu stronach daje gruntowny opis, którego zrozumienie ułatwiają liczne, starannie wykonane plany i ilustracje. Zastajemy tu historję cmentarzy pierwszych chrześcijan, ich liturgji i kultu męczenników, oraz szczegółowszy opis: krypt Lucyny, cmentarza Kaliksta, katakumb Domicylli, Pryscylli i Pretekstata. Zarówno dla interesujących się tym przedmiotem, jak dla wybierających się do Rzymu będzie ta rzeczowa i estetycznie wydana broszura cenną pomocą.

W.

Dawne wiersze ruskie. Przełożył Tadeusz Łopalewski. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego, Skład główny: Księgarnia św. Wojciecha, Wilno, str. 143.

Literatura rosyjska, albo jak kto woli — ruska — bo to dotyczy okresu z przed zróżniczkowania się tych dwóch narodów słowiańskich, szczyci się słusznie z posiadania eposu, odnalezionego dopiero w początkach 19 stulecia w ustach ludowych opowiadaczy „skazitielów". Liczne rapsody tego eposu znane są teraz pod nazwą „bylin" — opowiadań o rzeczach minionych. Istnieją one w kilku wydaniach, wykazując niemałe warjanty. Z tych rapsodów T. Łopalewski niektóre wybrane przełożył na język polski, wiersze brał oryginału, stroiąc w rymy, asonanse nowoczesne i równiejszą rytmikę. Niektóre wiersze wyszły zbyt zmodernizowane i zbyt spolszczone. Ale naogół wyczuwa się dobrze swoiste piękno oryginału i jego ducha. Starsze pokolenia polskie z b. zaboru rosyjskiego zaznajamiało się — przymusowo w szkole rosyjskiej — z temi „bylinami" i odczuwało je jako rzeczy obce, narzucane. Obecne pokolenie winnoby z własnej woli poznawać twórczość pobratymczych plemion, których część stanowi współobywateli Rzeczypospolitej. Poznawanie to ułatwią takie przekłady, jak Łopalewskiego.

J. B.

Władysław Berkan: Ks. Patron Wawrzyniak w moich wspomnieniach. Z przedmową X. J. Prądzyńskiego. Nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań, str. 149.

Na monografję o wielkim poznańskim kapłanie - społeczniku, jakim był ks. Wawrzyniak, jeszcze czekamy. Tymczasem otrzymujemy pewien „przyczynek" z pod pióra Wł. Berkana, jako jego wspomnienia. Autor, niegdyś krawiec w Berlinie, gorliwy katolik,

patrjota i działacz wśród tamtejszej kolonji polskiej, cieszył się przyjaźnią ks. Wawrzyniaka, stąd dużo szczegółów i anegdot mógł zanotować. Nie wszystkie one są jednakowo ważne dla biografa, w całości jednak dużo dostarczają materjału do charakterystyki „Króla czynu". Książka jest ciekawa i mile się ją czyta. Przedmowa ks. prałata Prądzyńskiego, która mogłaby zdobić poważną monografję, dodaje książce wartości.

Ks. J. U.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Tihamér Tóth: Dekalog II. Kazania. Z węgierskiego tłum. R. Oleár. Kraków 1933, nakł. ks. dr. Ferd. Machaya. Str. 296.

Herman Muckermann: Vererbung und Auslese, (Kind und Volk, I). 16 Aufl. Freiburg i. Breisg. 1933, Herder & Co. Str. XVI+300 z ilustr.

Peter Lippert S. I.: Vom guten Menschen. 2 Aufl. Freiburg i Bresg., Herder & Co. Str. VI+358.

Wacław Bitner: Pewniki prawa. Studjum o koniecznych zasadach prawa i państwa. Warszawa 1932, księg. F. Hoesicka. Str. 152.

Leopold Lewin: Kora pisana. Warszawa 1933, ks. F. Hoesicka. Str. 43.

Jan Nikodem Jaroń: Wojsko św. Jadwigi. Pięć obrazków scenicznych. Katowice, nakł. Śląskiego Związku Akadem. 1931, str. 96.

Tenże: Z pamiętnika Górnoślązaka oraz inne wiersze liryczne. Nakł. Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku. Katowice 1932, str. 255.

Wacław Berent: Pisma, tom I (Fachowiec, W puszczy). Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 288.

Bolesław Miciński: Chleb z Gietsemane. Wiersze. Bibljoteka „Zet", Warszawa 1933, str. 24.

Zofja Kossak-Szczucka: Z dziejów Śląska. Bibljoteka „Dziennika Poznańskiego", Poznań 1933, str. 157.

Ewa Szelburg-Zarębina: Sygnały. Skład główny Gebethner i Wolff, Warszawa, str. 119.

Jan Czar: Rwijmy, rwijmy śliczne róże. Poezje. Nakł. Księgarni Katolickiej w Katowicach 1932, str. 219.

Dr. Zofja Ciechanowska: Polska literatura v letech 1929—1931 (po czesku), Praha 1933, str. 48.

Taż: Die Anfänge der Goethe-Kenntnis in Polen. Sonderabdruck „Germano-slavica".

Taż: Das Goethe-Jahr in Polen. Sonderabdruck „Germanoslavica".

P. J.-B. Gosselin S. I.: Sujets d'oraison pour tous les jours de l'année. Apostolat de la Prière, Toulouse 1933. Dwa tomy, str. VI+351+279.

Dr. Witold Doroszewski: Pisownia polska w ostatnich wydaniach. Nakładem Tow. Wydawców Książek, Warszawa 1933, str. 38.

Aleksander Jełowicki: Moje wspomnienia. Z objaśnieniami ks. biskupa Adolfa Jełowickiego. Lwów, Zakład im. Ossolińskich 1933. Str. 411.

Ks. Dr. Antoni Wiskont: Konkordat litewski. W zestawieniu z konstytucją państwową litewską i konkordatem polskim. Wilno 1933, str. 63.

Ks. Dr. Adolf Tymczak: Nauka św. św. Augustyna o Wierze. Przemyśl 1933, str. XX+244.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jugosławja. — Pasterski list Episkopatu. — Projekt ustawy o wypędzeniu Jezuitów. — Podmuch „Kulturkampfu".

W ciągu trzech ostatnich miesięcy pojawiały się w europejskiej prasie alarmujące wiadomości, iż nad bałkańskim „kotłem" gromadzą się znów ołowiane chmury. Spodziewano się gwałtownej burzy, gdyż rozległy się nawet pierwsze groźne grzmoty. Wandalski czyn zniszczenia pięknych lwów weneckich, zdobiących ratusz minjaturowego miasteczka Trogir (Trau), stał się sygnałem do gwałtownej kampanji całej prasy włoskiej. Czynu barbarzyńskiego dokonało w początkach grudnia sześciu młodych fanatyków, ale naród włoski w akcie tym dopatrzył się zamachu na prawa włoskiej kultury w Dalmacji a ognisty *Duce,* zainterpelowany w tej sprawie przez senatora Ricci, wygłosił bojową mowę, która potężnem echem odbiła się o mury Białogrodu.

Jugosłowiański minister spraw zagr. p. Jefticz wyraził swe ubolewanie z powodu żakowskiego wybryku, ale delikatnie zwrócił uwagę, iż przez ten czyn, za który trudno obarczać odpowiedzialnością rząd belgradzki, narodowe i materjalne interesy Włoch nie poniosły żadnego uszczerbku, więc gwałtowna interwencja dyplomatyczna była co najmniej nieuzasadnioną. „Rząd jugosłowiański nie może zrozumieć, dlaczego, wskutek tak drobnego zajścia, zorganizowano we Włoszech gwałtowne wzburzenie przeciw Jugosławji; nie może pojąć, jak można było wygłaszać we włoskim senacie mowy tak twarde oraz tak mało roztropne. Jugosławja pragnie w dalszym ciągu uprawiać politykę pokoju, ale trzeba wyraźnie zaznaczyć, iż nie może to być polityka pochylonej głowy i złożonych rąk".

Włosi podkreślili swe zapatrywania tem głośniejszą wrzawą; faszystowscy centurjoni wygłosili bojowe mowy w szeregu większych miast a częściowa, próbna mobilizacja milicji miała być niedwuznacznem ostrzeżeniem, iż z poza ognistych słów wyglądają stalowe liktorskie rózgi.

Incydent przycichł, skończyło się narazie na słowach, ale nastroje antywłoskie zyskały w Jugosławji na temperaturze. Jugosławja nie wyrzeka się swych pretensyj do Dalmacji i jej słowiańskiej ludności, nie chce również zapomnieć o sześciuset tysiącach Słoweńców i Chorwatów, pozostających w Istrji i w basenie Isonzy pod panowaniem Włoch. Italji przypisuje się niedwuznaczne dążenia do hegemonji w Dalmacji; ją obwinia się za wichrzenie i podtrzymywanie pretensyj madziarskich oraz bułgarskich; w niej widzi się ukrytego agenta, który swą sprytną intrygą szerzy wewnętrzną waśń, rozdziera partjami jugosłowiański naród, który piętnaście lat temu zespolił się w zjednoczonem królestwie.

Na tem tle i w tej atmosferze łatwiej zrozumieć antykatolickie zaburzenia, których terenem jest od paru miesięcy Jugosławja.

Sygnałem do gwałtownego ataku serbskiego nacjonalizmu na Kościół stał się zbiorowy list katolickiego Episkopatu, potępiający popularną organizację „Sokoła".

Jak wiadomo, dwie gimnastyczne organizacje *Sokol* i *Orel (Orao)* rywalizują z sobą od szeregu lat na jugosłowiańskich ziemiach. Już przed wojną *Sokol* posiadał hegemonję w Serbji, a zwycięskie zapuszczał zagony w Chorwacji i Słowenji. Wśród Słoweńców nie taił swych antykatolickich nastrojów, podczas gdy w Chorwacji stroił się raczej w barwne hasła narodowej wolności. Ideologję Sokoła zwalczał katolicki *Orel,* specjalnie popularny wśród Słoweńców, a w ciągu ostatnich lat rosnący w siły także wśród Chorwatów. Ustawodawstwo królestwa Jugosławji uznawało wolność wszelkich organizacyj, to też ideowa walka dwu rywalizujących z sobą, sportowych stowarzyszeń toczyła się w ramach legalnego współzawodnictwa; sportowe: *fair play.*

Taki mniej więcej stan rzeczy utrzymał się do 6 stycznia 1929 r., daty narodzin serbskiej dyktatury. Otóż wnet ku zdumieniu wszystkich katolików, zniósł rząd organizację Orła i pozbawił ją legalnego bytu. Dekret ten iście dyktatorski motywował rząd swą troską o państwowe wychowanie narodu, zwłaszcza zaś młodzieży, której duch i nastroje nie mogą być obojętne dla przyszłości państwa. Rząd dusz młodzieży miał odtąd niepodzielnie należeć do ministra wojny, który w ramach organizacji Sokoła zamierzał przeprowadzić program państwowego wychowania. W ślad za dekretem zjawił się przymus; rząd mianowicie wywierał

presję na wszystkich urzędników, w pierwszym zaś rzędzie na nauczycieli i nauczycielki szkół powszechnych i średnich, by nietylko sami wstępowali do organizacji Sokoła, ale nadto, by ideologję sokolską szerzyli intensywnie na terenie szkolnym. Wszyscy inspektorzy szkolni otrzymali polecenie, aby w swych sprawozdaniach notowali wyraźnie, czy i w jakim stopniu każdy nauczyciel przyczynia się do rozwoju organizacji Sokoła i do urzeczywistnienia związanego z nim programu państwowego wychowania.

Łatwo zrozumieć, iż dzięki tak wybitnemu poparciu rządowych czynników, Sokół poczynił ogromne postępy. W miarę jednak tych postępów rosło również rozgoryczenie wśród sfer katolickich: słoweńskich oraz chorwackich. A chodziło katolikom nietylko o gwałtowną niwelację odrębnych narodowych tradycyj, których miejsce miał zająć kult państwowości, oburzał ich nietylko teror stosowany wobec katolickiej organizacji Orła, ale niepokoić ich musiała sama ideologja serbskiego sokolstwa. Wszak jugosłowiański Sokół *(Sokol Kraljevine Jugoslavije,* w skróceniu S. K. J.) przeszczepiał żywcem na bałkańską ziemię poglądy Tyrsza, twórcy i propagatora Sokoła czeskiego. Tymczasem Tyrsz, mimo swej metrykalnej przynależności do katolickiego Kościoła, był — jak wiadomo — wyznawcą materjalistycznego naturalizmu i w tym właśnie duchu pojmował całe dzieło wychowawcze. Ideologja Tyrsza, jakkolwiek teoretycznie była tylko areligijną, w praktyce jednak zajęła stanowisko antykatolickie. Tyrsz był ateuszem i materjalistą, a humanitaryzm stawiał za najwyższy cel życia człowieka. Ku temu też celowi pragnął zorjentować wychowanie młodzieży, środkiem zaś do urzeczywistnienia tych planów miała się stać właśnie organizacja Sokoła. Czeski Sokół wytrwał wiernie w ciągu swego wiekowego istnienia w pogańskiej ideologji Tyrsa, a jego przewódcy w swej programowej odezwie z r. 1920 wyznali otwarcie: „Sokół nie może być zwolennikiem Rzymu, my jesteśmy i musimy być przeciw katolicyzmowi".

Otóż Sokół serbski, w przeciwieństwie do Sokoła polskiego, przejął żywcem naukę i zasady Tyrsza za podstawę swojej działalności. „Sokolstwo — czytamy w serbskim statucie — jest ruchem w sensie ideologji Tyrsza". Jak tę ideologję należy rozumieć wyjaśnił bez ogródek pewien jugosokół w czasopiśmie: „Nowy Ród" z 1 marca 1920 roku: „Jest rzeczą jasną, iż żaden sokół nie może być wyznawcą rzymskim, niewolnikiem duchowym. Sokolstwo i katolicyzm wykluczają się wzajemnie i nieszczerym byłby ten, ktoby chociaż na chwilę od tego odstąpił. Raz na zawsze powiadamiamy wszystkich sokołów, iż walczymy przeciw papieżowi, kardynałom, oraz wszystkim anacjonalnym księżom".

Przyznać trzeba, iż wprawdzie w statucie jugosłowiańskiego Sokoła („Cele i drogi", str. 21) znajdują się słowa, które mimo wszystko mogły uśpić całkowicie czujność katolików: „Sokolstwo — czytamy — szanuje każde przekonanie i uczucie religijne, ponieważ uważa, iż wiara jest najświętszą częścią życia wewnętrznego każdej jednostki. Wskutek tego sokolstwo powinno również szanować zewnętrzne objawy każdego przekonania i uczucia religijnego. Każdy zwolennik organizacji sokolskiej może swobodnie wypełniać nakazy i przepisy swej wiary oraz kościoła". — Niestety piękne te słowa okazywały się w praktyce pustym frazesem a hasło *odcerkvenjenja* („odkościelnienia") stawało się coraz wyraźniej praktyczną dewizą działania. Mnożyły się setki dowodów, iż Sokół nietylko ignoruje religję, ale nawet, jeśli chodzi o katolicyzm, odnosi się do niego wrogo. Nie można było dłużej wątpić, iż kierownictwo sokolstwa spoczywa w rękach zdecydowanych masonów, dla których laicyzacja społeczeństw jest suwerennym nakazem. Tymczasem właśnie Sokół stał się organizacją nawpół rządową, która miała urzeczywistnić ideał państwowego wychowania.

Milczeć w sytuacji tak groźnej dla katolicyzmu, patrzeć jak dusze młodzieży oddalają się stopniowo od religijnych praktyk oraz wierzeń, byłoby zbrodnią. Toteż Episkopat katolicki zwracał się kilkakrotnie do rządu z usilnemi naleganiami, by organizacja sokolska nie podkopywała wiary wśród katolickiej młodzieży. Rząd obiecywał i zapewniał, a tymczasem podwładne czynniki przeprowadzały swobodnie swą laicyzującą działalność.

I oto nagle 8 stycznia b. r. odczytano we wszystkich katolickich kościołach pasterski list Episkopatu, skierowany do wiernych z stanowczem wezwaniem, by chronili wiarę młodzieży przed niegodziwą ideologją sokolstwa. W obszernym tym liście wykazali biskupi dowodnie antykatolickie nastawienie ideowe Sokoła, zobrazowali na podstawie ściśle nakreślonych faktów antykatolicką, także i demoralizującą działalność całego szeregu oddziałów sokolskich, kończąc swe orędzie twierdzeniem, iż wychowanie według zasad Tyrsza jest bezwarunkowo szkodliwe dla religijnego i moralnego życia młodzieży, dla Kościoła katolickiego, a według ich najgłębszego przekonania, szkodliwem jest także i dla państwa.

Pasterski list Episkopatu wywołał w całej Jugosławji niesłychaną wrzawę; w prorządowej prasie pojawiły się ostre ataki na biskupów, których orędzie uznano za polityczny manifest, rozpoczynający otwartą walkę katolicyzmu z dyktatorskim rządem. Sokolska masonerja nie zawahała się przed najbrutalniejszą napaścią, podszczuwając rząd do

represyj wobec buntowników, którzy odważyli się program państwowego wychowania, realizowanego w ramach Sokoła, nazwać szkodliwym dla państwa, co więcej wezwali katolików do otwartego bojkotu tej uznanej i popieranej przez rząd organizacji.

Prawie równocześnie z ogłoszeniem pasterskiego listu pojawiły się deklaracje *(punktacije)* politycznych grup opozycyjnych, słoweńskiej z drem Koroszecem i chorwackiej z dr. Maczekiem na czele. Deklaracje te domagały się szerokiej autonomji narodowej w obrębie zjednoczonego królestwa. Również w tym samym okresie, jak zaznaczyliśmy we wstępie, Włochy rozbrzmiewały od gwałtownych pogróżek, skierowanych przeciw Jugosławji. Ten właśnie zbieg okoliczności wyzyskali zwolennicy dyktatury i Sokoła, by ukuć i rozgłosić perfidne oskarżenie, iż list katolickich biskupów został ogłoszony pod presją Rzymu, a więc ostatecznie na życzenie Mussoliniego. Watykan — jak pisano — od czasu układu lateraneńskiego uprawia politykę Kwirynału, wrogiego dla Jugosławji. Biskupi zatem są narzędziem polityki włoskiej, zdrajcami własnego państwa.

Prawdziwie bizantyński pomysł; ale konsekwencje tej agitacji mogły się stać groźne dla istnienia zjednoczonego królestwa. Oskarżenie biskupów o zdradę stanu mogło się łatwo zmienić w zarzewie wojny domowej, gdyż katolicka Chorwacja i Słowenja nie pozwolą lżyć bezkarnie swoich duchowych pasterzy; przywiązanie do katolicyzmu jest w tych krajach bezwzględnie silniejsze niż sympatje do dzierżących hegemonję, prawosławnych Serbów. Toteż masonerja serbska znalazła wnet daleko wygodniejsze wyjście, ogłosiła poprostu, iż właściwymi autorami pasterskiego listu są nie biskupi, ale Jezuici, oddani naślepo Rzymowi. Sensacyjne to odkrycie wywołało natychmiast brutalną nagonkę na Jezuitów a w prasie zaroiło się od artykułów, domagających się wypędzenia tego zakonu z granic jugosłowiańskiego królestwa.

Wówczas to zabrał głos J. E. Arcybiskup Zagrzebia Dr. A. Bauer, przewodniczący konferencji biskupów, i dnia 25 stycznia ogłosił w *Katol. Listu* swą deklarację. Z głębokim bólem stwierdza Arcypasterz, że list pasterski wywołał tak straszną burzę przeciw Episkopatowi oraz Kościołowi. Krzywdy i obelgi, których stał się przedmiotem, przebacza w myśl zasad Chrystusa oraz za jego przykładem; treści jednak orędzia Episkopatu w niczem nie cofa, ani nie umniejsza. Z całą natomiast energją odpiera fałszywe zarzuty, oświadczając publicznie, iż list Episkopatu nie miał najmniejszej łączności z deklaracją *(punktacije)* tych czy innych polityków. List został ułożony w czasie posiedzenia

biskupów dnia 17 listopada roku 1932, zapowiedziany zaś był już w roku 1931 i to po licznych a bezskutecznych interwencjach u rządu. List pasterski nie został ogłoszony w listopadzie jedynie dlatego, gdyż Arcybiskup Bauer otrzymał formalne przyrzeczenie od miarodajnych czynników, iż sprawę sokolstwa rozpatrzą i w myśl katolickich żądań zreformują. Już jednak w czasie listopadowej konferencji zdecydowano, iż o ileby rząd zwlekał z załatwieniem sprawy, list zostanie ogłoszony dnia 8 stycznia roku 1933. Otóż każdy przyznać musi, iż w listopadzie roku 1932 nie było mowy o politycznych „punktacijach", nikt też nie przewidywał incydentu w Trogir. Okólnik zatem biskupów nie ma nic wspólnego z polityką, treść jego i charakter ustalono wyłącznie we funkcji religijnej troski oraz pasterskiej odpowiedzialności.

Niemniej stanowczo odpiera Arcybiskup perfidną insynuację, jakoby Jezuici mieli jakikolwiek udział w inkryminowanem orędziu; stwierdza kategorycznie iż wszelkie szerzone na ten temat pogłoski są źle zamaskowanym atakiem na zakon, którego wypędzenie planuje się już od dłuższego czasu. Wreszcie oświadcza Arcybiskup z naciskiem, że dopatrywanie się w liście Episkopatu jakichkolwiek wpływów Mussoliniego jest przewrotnym wymysłem, podyktowanym przez djabelską nienawiść; fałszywem jest również twierdzenie, iż list ten został ogłoszonym z rozporządzenia Stolicy św. „Najwyraźniej oświadczam — pisał Arcybiskup Bauer — iż Stolica św. ani nie wiedziała o naszym okólniku, ani nie miała żadnego wpływu na jego ogłoszenie. Cała odpowiedzialność za ten okólnik spada tylko na nas, katolickich biskupów Jugosławji; ogłosiliśmy go z religijnych wyłącznie pobudek, pełni przekonania, iż wyjdzie na dobro katolickiego Kościoła, chrześcijańskiej wiary, a jednocześnie przyniesie prawdziwą korzyść królestwu Jugosławji".

Zaimponować muszą te pełne godności słowa, ta nieustraszona odwaga, płynąca z katolickiego poczucia odpowiedzialności. Opinja całego katolickiego świata stoi po stronie Episkopatu Jugosławji i docenia wartość tego apostolskiego przykładu.

Serbska jednak masonerja nie dała się bynajmniej przekonać. Wobec zdecydowanej postawy katolickiej, sześcio miljonowej rzeszy, zwróciła tem zjadliwsze ataki na Jezuitów. Kilkudziesięciu posłów, z drem Ottonem Gavranczicem na czele, wniosło 17 lutego b. r. do narodowej Skupszczyny formalny projekt prawa o wypędzeniu Jezuitów oraz pokrewnych im duchem zakonnych zgromadzeń. W myśl tego projektu, ujętego w siedm paragrafów, nie wolno Jezuitom czyto jako zakonowi czy jako jednostkom przebywać w ja-

kiejkolwiek miejscowości królestwa Jugosławji. Jezuitom, obywatelom jugosłowiańskim, wyznacza się na miejsce pobytu wyspę Vis (Lissa), o ile nie zechcą wyjechać zagranicę. Emigranci tracą na zawsze prawo powrotu do kraju. Jezuici obcokrajowcy mają opuścić granice królestwa. Wysiedlonym na wyspę Vis nie wolno mieszkać wspólnie, nie wolno też posiadać żadnego nieruchomego majątku ni prawnie nim rozporządzać. Jeśliby w 48 godzin po ogłoszeniu projektowanej ustawy znalazł się jakiś Jezuita w granicach państwa, poza terytorjum wyspy Vis, będzie karany aresztem do 30 dni, a po odcierpieniu tej kary wysiedlony na wyspę lub poza granice państwa. Jeśliby jakiś Jezuita w 48 godzin po ogłoszeniu ustawy znalazł się na terytorjum państwa i dokonał jako członek zakonu jakiejkolwiek czynności kościelnej lub cywilnej to tem samem dopuści się przestępstwa karnego, za które czeka go kara więzienia do pięciu lat. Natychmiast po wejściu w życie ustawy odnośne władze mają dokonać rejestracji całego majątku zakonu. Majątek ten będzie sprzedany na licytacji publicznej a uzyskaną kwotę umieści się w państwowym hipotecznym banku; dochody będą obrócone na wychowanie katolickich księży w duchu narodowym...

Streszczony powyżej projekt ustawy świadczy wymownie o barbarzyństwie duchowem jego twórców. Bizantynizm, zaprawiony masońskim sektaryzmem, prześcignął wszystkie dotychczas znane w tym kierunku wzory. Równie drakońskiej ustawy nie wymyślili przedtem żadni prześladowcy Towarzystwa Jezusowego.

Nic więc dziwnego, iż zaledwie dzienniki ogłosiły tekst projektu, wniesionego do Skupszczyny, w całym kraju podniosły się głosy zdecydowanego protestu. Zaprotestował przedewszystkiem Episkopat katolicki i po konferencji, odbytej w dniach od 25—27 lutego ogłosił deklarację, piętnującą ostro projekt ustawy, w myśl której Jezuici, Lazaryści, Stowarzyszenie Serca Jezusowego i wszelkie zakony tak męskie jak żeńskie, pozostające w bezpośrednim związku z Towarzystwem Jezusowem, mają być wydalone z granic Jugosławji a majątek ich ma ulec konfiskacie. Projekt ten — twierdzą w swej deklaracji biskupi — sprzeciwia się prawom Bożym; występuje przeciw istotnym zadaniom, które wypełnić ma Kościół katolicki; gwałci elementarne prawa, jakie ma każdy człowiek do udoskonalenia duchowego, a równocześnie godzi w tolerancję obywatelską. Projekt ów usprawiedliwia, duchem swym i metodą, brutalną przemoc i otwiera bramę do wszelkich przewrotów i rewolucyj. Jest on krańcowo niesprawiedliwym, gdyż bez sądu i dowodów zbrodni wyznacza najsurowsze kary i wypędza z kraju in-

stytucję, która nigdy nie przestąpiła żadnej ustawy państwowej, przeciwnie od swego przybycia na ziemię jugosłowiańską do dnia dzisiejszego zasłużyła się w wysokim stopniu dla życia religijnego i dla kultury narodu.

Podobny w swej treści protest ogłosiła Kapituła katedralna w Zagrzebiu, wszyscy proboszczowie tego miasta i całego szeregu innych miast z Raguzą na czele. Do redakcyj katolickich pism napłynęło mnóstwo telegramów od osób świeckich z wyrazami szczerej sympatji dla zagrożonego zakonu. Niestety cenzura rządowa nie pozwoliła na ogłoszenie tych „buntowniczych" wystąpień. W Zagrzebiu przygotowano na dzień 26 lutego, jako trzydziestoletnią rocznicę przybycia Jezuitów do tego miasta, wielką manifestację, tylko że program jej został udaremniony przez interwencję policji. Dzienniki katolickie zamieściły jednak artykuły zasadnicze na temat barbarzyńskiego projektu ustawy i przewidują czynne rozruchy ludowe w całej Chorwacji i Słowenji na wypadek, gdyby projekt został przyjęty przez narodową Skupszczynę.

Ta zdecydowana postawa Episkopatu, duchowieństwa i wiernego ludu zgotowała niemiłą niespodziankę dla serbskiej masonerji. Jezuitom nie można zarzucić żadnego przestępstwa, więc krzyczy się w liberalnych dziennikach, iż zakon ten, dzięki swej międzynarodowej organizacji, nie może stać na gruncie narodowej ideologji. Zarzuca się, iż Jezuici przez swój ślub bezwzględnego posłuszeństwa Papieżowi, który jest obcym suwerenem, mogą być zobowiązani do czynności wrogiej dla własnego państwa. Ponieważ zaś Watykan uprawia w chwili obecnej jakoby politykę włoską, przeto państwo ma prawo zabezpieczyć się przeciw ewentualnym niebezpieczeństwom.

Na fakt, iż owe „ewentualne" niebezpieczeństwa są czczym wymysłem, iż nie stoją w żadnej proporcji z drakońskiemi represjami, przewidzianemi w ustawie — zwolennicy projektu nie zwracają najmniejszej uwagi. Nie zdają sobie również sprawy, iż wprost na śmieszność zakrawa twierdzenie, że 70 Jezuitów (kapłanów) stanowi groźne niebezpieczeństwo dla całego państwa!

W jakim kierunku rozwinie się dalszy bieg wypadków trudno dziś przewidzieć. Uwięzienie przewódcy słoweńskich katolików, rewizja w pałacu Arcybiskupa dra Bauera, obelgi prorządowej prasy pod adresem Episkopatu, represje policyjne i prasowe, wreszcie projekt ustawy o Jezuitach... świadczą o pierwszych podmuchach serbskiego „Kulturkampfu". Mimo wszystko jesteśmy mocno przekonani, iż podmuchy te załamią się wobec zdecydowanej postawy Epi-

skopatu i wiernego ludu. W każdym razie nie wątpimy ani na chwilę, iż tylko takie rozwiązanie bolesnego incydentu leży naprawdę w interesie królestwa Jugosławji.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Kronika gospodarcza.

Międzynarodowa konferencja gospodarcza. Poprawa konjunktury. Programy gospodarcze. Nowe ustawy. Nowa taryfa celna. Przesilenie bankowe w Stanach Z. A. P.

We wszystkich państwach prowadzone są gorączkowe przygotowania do zamierzonej wielkiej międzynarodowej konferencji gospodarczej. Jak narazie, z jednej strony przywiązuje się wielkie znaczenie do wyników tej konferencji, a z drugiej równocześnie podkreśla małe prawdopodobieństwo osiągnięcia wybitniejszych praktycznych rezultatów. Różnice bowiem między mocarstwami gospodarczemi odnośnie do programu i celu konferencji są zbyt wielkie. Przedewszystkiem Anglja stanowczo nie zgadza się na rychły powrót funta szterlinga do parytetu złota. Naodwrót zaś państwa inne, pozostające nadal przy walucie złotej (głównie Francja), kategorycznie stwierdzają, że sprawne działanie gospodarstwa światowego możliwe jest tylko na podkładzie powszechnej waluty złotej. Tak więc zawieszenie tej waluty przyczynia się do utrudnień w obrotach międzynarodowych.

Równocześnie konferencja miałaby się zastanowić — i to właściwie ma być jej głównem zadaniem — nad ułatwieniem międzynarodowego obrotu towarowego drogą zniesienia lub co najmniej ograniczenia zakazów przywozu oraz obniżenia względnie przynajmniej nie podnoszenia murów celnych. Oczywiście niemożliwem jest oderwanie zagadnień celno-przywozowych od poprzednio poruszonych walutowych, i od międzynarodowego obrotu kapitałów. Ostatnie wypadki pokazują nam, że ograniczenia handlu zagranicznego obecnie stosowane są daleko skuteczniej na polu walutowem aniżeli celnem. Szereg państw nie wprowadza zakazów przywozu, nie podwyższa ceł, a jedynie odnośny bank emisyjny nie udziela dewiz na wyrównanie należności za import. Tak więc właściwie w odniesieniu do państw, które wprowadziły ograniczenia dewizowe, ograniczenia te posiadają dla handlu zagranicznego daleko większe znaczenie aniżeli cła i zakazy przywozu. Niewątpliwie projektowana międzynarodowa konferencja gospodarcza w Londynie będzie musiała się zająć tem doniosłem a niezwykle trudnem zagadnieniem.

Powaga i długotrwałość przygotowań do konferencji świadczą, że zainteresowane państwa pragną, aby nie zakończyła się ona niepowodzeniem. Ewentualne bowiem istotne jej fiasko byłoby dalszem zrywaniem więzów gospodarczych między poszcze-

gólnemi państwami i tak już objętemi ponad miarę hasłem autarkji. Zrozumiałą jest rzeczą, że Polska ze szczególnem zainteresowaniem oczekuje wyników prac konferencji londyńskiej. Zależnie od nich bowiem i od całego losu tej konferencji nastąpić może szereg niezwykle ważnych pociągnięć polskiej polityki gospodarczej w stosunkach wewnętrznych a zwłaszcza zagranicznych.

Nadzieje wiązane z międzynarodową konferencją w Londynie łączyły się w ubiegłym kwartale ściśle z bardzo powszechnie rozpatrywanem zapytaniem, czy będzie lepiej. Jak zwykle początek roku dał asumpt do bilansowania wydarzeń gospodarczych za rok 1932, oraz do wysnuwania przypuszczeń na rok bieżący. Bardzo ożywioną była polemika na łamach prasy fachowej a nawet codziennej, dotycząca poprawy konjunktury. Wiele głosów położyć trzeba na karb „optymizmu stosowanego", mającego spełnić rolę zastrzyków w najcięższych miesiącach zimowych, celem niedopuszczenia ludności do zupełnego zwątpienia i podtrzymania jej przynajmniej do okresu wiosny, a więc normalnej sezonowej poprawy.

Pewna część głosów optymistycznych wychodziła ze słusznych założeń, iż okazują się pewne oznaki poprawy, jak np. zwyżki cen na surowce, wzrost zamówień w niektórych działach wytwórczości, większe upłynnienie rynku kapitałowego i t. p. Naogół też potwierdza się raz jeszcze zdanie, że istnieją wszelkie gospodarcze warunki istotnej chociaż bardzo wolnej poprawy, a na przeszkodzie stoją jedynie momenty natury politycznej, odgrywające wszakże rozstrzygającą rolę. Niesłusznie tedy pyta się normalnie z wyrzutem ekonomistów, czy i kiedy będzie lepiej i dlaczego jest źle. Pytania te należałoby raczej skierowywać pod adresem polityków.

Jesteśmy już u progu wiosny. Miała ona przynieść poprawę. Niestety z powyżej podanych powodów nie można się łudzić co do tego. W celu dalszego przetrzymania kryzysu wysuwane są coraz to nowe programy. Część z nich nie ogranicza się nawet do podania wskazań, jak dostosować się do przesilenia, lecz próbuje dróg ku poprawie. Jednym z pierwszych był program przedłożony rządowi przez grupę ekonomistów krakowskich. Główną jego ideę przedstawił prof. Dr. Adam Krzyżanowski na łamach *Przeglądu Współczesnego* w artykułach, omówionych przez nas w poprzedniej kronice gospodarczej (patrz *Przegląd Powszechny*, styczeń 1933).

Za tym programem poszły kolejno liczne inne. Do ważniejszych należy ogłoszony ostatnio program gospodarczy Centralnego Związku Przemysłu Polskiego (t. zw. popularnie Lewiatana). Opiera się on założeniu utrzymania w całości waluty, równowagi budżetu oraz rozwoju kapitalizacji. Program dąży do naturalnej likwidacji jednostek gospodarczych niezdolnych do życia, oraz do stworzenia warunków odrodzenia warsztatów pracy chwilowo tylko ubez-

władnionych nadmiernemi ciężarami. Dlatego domaga się ich odciążenia drogą ulg kredytowych, podatkowych i socjalnych. W dziedzinie dostosowania się cen (porównaj w poprzedniej kronice gospodarczej ustęp o sztywnych cenach) program domaga się podniesienia zbyt niskich cen artykułów rolnych oraz przemysłów niezwiązanych, a zgadza się na obniżenie cen wysokich, a więc monopolowych i kartelowych, pod warunkiem obniżenia poszczególnych składników produkcji.

Wkrótce po programie gospodarczym C. Z. P. P. wystąpił z własnym odrębnym programem Związek Izb Przemysłowo-Handlowych R. P. W zasadniczych linjach program izbowy nie różni się wiele od tamtego. Jest on tylko więcej programem „przetrzymania", obliczonym na krótszą metę, a mniej programem „odrodzenia", jak naogół zwykło się nazywać program Lewiatana.

Rząd swój program gospodarczy określił ustami p. Premjera w Senacie, jako program przystosowania się, polegający przedewszystkiem na obniżeniu stopy procentowej oraz cen szeregu artykułów przemysłowych, ażeby nie dopuścić do odstąpienia od waluty złotej przy równoczesnem niezachwianiu budżetu państwowego. I należy stwierdzić, że po tej linji rząd postępuje konsekwentnie. Pośrednio lub nawet bezpośrednio spowodował obniżkę cen szeregu artykułów kartelowych i monopolowych (ostatnio np. miała miejsce generalna obniżka cen papieru), przyczynił się do zniżenia stopy dyskontowej, kredytowej oraz wkładowej, poczynił szereg pociągnięć celem w miarę możności ulżenia wytwórcom, a także dla zapewnienia sobie nowych źródeł dochodu, niezbędnego do pokrycia deficytu budżetowego. Oczywiście dwa te ostatnie cele stoją ze sobą w sprzeczności i muszą być odpowiednio harmonizowane.

W celu stworzenia szerokich i trwalszych podstaw pod pociągnięcia wyżej przedstawione wniósł Rząd do Sejmu szereg projektów i ustaw gospodarczych. Sejm i Senat obraduje właśnie nad niemi. I tak należą tutaj: ustawa kartelowa, ustawa o ubezpieczeniu społecznem, ustawa o funduszu pracy, ustawa o ulgach w zakresie oprocentowania i terminów spłaty wierzytelności hipotecznych, o ułatwieniach dla instytucyj kredytowych, przyznających dłużnikom ulgi w zakresie wierzytelności rolniczych, o utworzeniu urzędów rozjemczych do spraw majątkowych posiadaczy gospodarstw ziemskich, o wysokości odsetek od wkładów i innych lokat pieniężnych w Komunalnych Kasach Oszczędności i Spółdzielniach, ustawa o podatku majątkowym i inne.

Narazie znane są te projekty w przedłożeniu rządowem z pewnemi poprawkami uczynionemi przez parlament.

I tak projekt ustawy kartelowej uważa za kartel wszelkie umowy przedsiębiorców tych samych lub pokrewnych działów górnictwa, przemysłu i handlu, mające na celu regulowanie wytwórczości, zbytu, cen i warunków wymiany. Projekt nakazuje

rejestrację umów kartelowych w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, które będzie miało daleko idące uprawnienia w odniesieniu do karteli (np. zawieszenie uchwał, unieważnienie lub nawet rozwiązanie umowy, badanie uchwał ksiąg handlowych i wszelkich dokumentów dotyczących działalności kartelu i t. p.). Projekt przewiduje powołanie do życia Sądu kartelowego, złożonego z sędziów zawodowych oraz z ławników z pośród osób posiadających teoretyczną i praktyczną znajomość życia gospodarczego, a także Radę kartelową z przedstawicieli Izb Przemysłowo-Handlowych i organizacyj, wyznaczonych przez Ministra Przemysłu i Handlu.

Ustawa o ubezpieczeniu społecznem w brzmieniu przyjętem przez Sejm w trzeciem czytaniu dnia 17 lutego br., dotyczy ubezpieczenia na wypadek choroby i macierzyństwa, na wypadek niezdolności do zarobkowania lub śmierci osoby ubezpieczonej wskutek wypadku w zatrudnieniu lub choroby zawodowej albo wskutek wszelkich przyczyn.

Jest to t. zw. ustawa scaleniowa, wprowadzająca jednolite ubezpieczenie dla wszystkich działów z wyjątkiem ubezpieczenia pracowników umysłowych oraz ubezpieczenia na wypadek bezrobocia. Projekt przewiduje pewne oszczędności w formie zniżenia wkładek w już istniejących ubezpieczeniach, a wzamian zato wprowadza ubezpieczenie emerytalne robotników przemysłowych, którego dotychczas nie było w całej Polsce z wyjątkiem b. zaboru pruskiego. Ubezpieczenie to Sejm rozciągnął również na robotników rolnych. Jako rekompensatę dla przemysłowców za wprowadzenie nowego obciążenia Rząd projektuje przedłużenie czasu pracy do 48 godzin tygodniowo, zmniejszenie urlopu naogół do połowy oraz obniżenie również przeważnie do połowy wynagrodzeń dodatkowych za pracę pozagodzinową.

Dalszym projektem ustawowym jest ustawa o funduszu pracy. Została ona wniesiona do Sejmu nie jako projekt rządowy (chociaż wiadomem jest, że niektórzy członkowie rządu przyznają się do jej współautorstwa), lecz jako wniosek części posłów B. B. W. R. Projekt ma za zadanie rozpoczęcie robót publicznych na większą skalę celem dania zatrudnienia bezrobotnym. Fundusz pracy bowiem ma zastąpić dotychczasowy fundusz pomocy bezrobotnym. Z funduszu pracy mianoby budować nowe linje kolejowe, drogi i mosty, przeprowadzać regulacje rzek i meljoracje i t. p.

Fundusz pracy miałby czerpać dochody przedewszystkiem z opodatkowania pracy i to podwójnie: raz pracobiorców, a drugi raz pracodawców. Obie strony miałyby płacić 1% od otrzymanych zarobków (pracobiorcy), względnie 1% od wypłaconych uposażeń (pracodawcy). Tak samo 1% dochodu miałyby płacić wolne zawody. Ponadto do funduszu pracy mają wpływać opłaty od widowisk, od cukru, piwa, żarówek elektrycznych, gum, schowków bankowych, od czynszów (prócz mieszkań jedno- i dwuizbowych), od przebywania w lokalach gastronomicznych po północy.

Wreszcie na cele funduszu pracy mają składać związki komunalne miejskie 1% od swoich budżetów zwyczajnych, a związki komunalne powiatowe 5%.

Fundusz pracy zatem obciąży przedewszystkiem dochody płynące z pracy. Skutkiem tego wątpliwem jest, czy przyniesie on istotną ulgę w zwalczaniu bezrobocia, a nawet obawiać się można, iż przeciwnie spowoduje on dalszy wzrost bezrobocia. Ponieważ opłaty pracodawców płynąć będą zależnie od ilości zatrudnionych robotników, względnie od wysokości wypłacanych uposażeń, przeto fundusz pracy jest niejako karą dla tych przedsiębiorców, którzy zatrudniają największą liczbę pracowników, a zatem najsilniej przyczyniają się do zwalczania bezrobocia. Naodwrót przedsiębiorca, dążący drogą zmechanizowania wytwórczości do zmniejszenia swojej załogi robotniczej, a więc pomnażający kadry bezrobotnych, otrzyma pewnego rodzaju premję przez zwolnienie od opłat na rzecz funduszu pracy.

Podstawowa przeto koncepcja funduszu pracy wydaje się niesłuszną i wręcz przeciwną celowi tej instytucji.

Według obliczeń Ministerstwa Skarbu rolnictwo w Polsce zadłużone jest na kwotę 4.6 miljardów złotych. Samo obciążenie procentami od tej kwoty ma wynosić pół miljarda zł. rocznie. Oczywistem jest, że wobec katastrofalnego spadku cen na wszystkie płody rolnicze, rolnictwo nie jest w stanie wywiązać się ze swoich płatności kapitałowych, a nawet z trudnością przychodzi mu opłata wysokich odsetek. Dlatego rząd jeszcze w grudniu 1932 r. wydał ustawę o konwersji długoterminowego kredytu obligacyjnego. Obecnie zaś konwersje te mają być rozciągnięte na kredyty krótkoterminowe.

I tak projekt ustawy o ulgach w zakresie oprocentowania i terminów spłaty wierzytelności hipotecznych obniża odsetki od dnia 1 kwietnia br. do 6% rocznie, odraczając równocześnie spłatę kapitału do dnia 1 października 1934 r. Postanowienia te nie dotyczą wierzytelności instytucyj kredytowych zarówno krajowych jak i zagranicznych oraz wierzytelności powstałych po 1 stycznia 1932 r.

Projekt drugiej ustawy przewiduje ułatwienia dla tych instytucyj kredytowych, które przyznają ulgi dłużnikom rolniczym. Projekt upoważnia ministra Skarbu do udzielania tym instytucjom pomocy w wysokości łącznej 75 mil. zł. Celem upłynnienia wierzytelności minister Skarbu może założyć osobną instytucję kredytową „Bank Akceptacyjny", za którego zobowiązania państwo przyjmuje porękę w wysokości 30%.

Dalszy projekt przewiduje utworzenie urzędów rozjemczych do spraw majątkowych posiadaczy gospodarstw ziemskich, rozszerzając tym sposobem istniejącą już instytucję urzędów rozjemczych dla spraw kredytowych drobnej własności na pozostałe warstwy rolne, a zarazem powiększając zakres działalności tych

urzędów. Urzędy rozjemcze mogą termin spłaty długu rozłożyć na raty w przeciągu 7 lat oraz ograniczyć wysokość pobieranych odsetek do 4.5% rocznie. Dotyczyć to może tylko wierzytelności powstałych przed 1 grudnia 1931 r. Niewiadomo, dlaczego prawie przyjęto termin spłat siedmioletni i dlaczego obejmować on ma wierzytelności prawie po dzień 1 grudnia 1931 r. Termin ten odnosi się do wierzytelności z tytułu dostaw towarowych. Natomiast wierzytelności z nowych operacyj kredytowych objęte są po dzień 1 lipca 1932 r. Również i tu niewiadomo, dlaczego wybrano ten termin. Wreszcie wyłączone są z pod kompetencji urzędu rozjemczego wierzytelności hipoteczne, wymienione w powyżej omówionym projekcie ustawy o ulgach w zakresie oprocentowania i terminów spłaty wierzytelności hipotecznych.

Ostatni projekt ustawy z dziedziny konwersyj kredytowych daje ministrowi Skarbu upoważnienie do ustalania najwyższej granicy odsetek od wkładów i innych lokat pieniężnych w komunalnych kasach oszczędności i w spółdzielniach.

Ogółem przewiduje się, że ulgi, jakie uzyska rolnictwo skutkiem wprowadzenia w życie powyższych projektów ustawowych, wyniosą prawie ćwierć miljarda zł. rocznie. Będzie to zatem niewątpiiwe odciążenie kredytowe rolnictwa. Chociaż równocześnie nie można zataić faktu, iż projekty te, przynosząc pomoc rolnictwu, są zarazem obciążeniem innych działów życia gospodarczego, a głównie handlu i przemysłu.

Celem dostarczenia państwu nowych źródeł dochodu, koniecznych dla zrównoważenia budżetu, minister Skarbu wniósł do Sejmu projekt ustawy o stałym podatku majątkowym. Podatek ten miałby zastąpić do dzisiaj nieściągnięty podatek majątkowy z 1923 r. Pozostałość niezapłacona tego podatku z przed 10-ciu lat, wynosi jeszcze około 400 miljonów zł. Projekt rządowy przewidywał obciążenie majątku w wysokości 2 promille od wartości szacunkowej. Pod wpływem bardzo gwałtownego sprzeciwu tzw. sfer gospodarczych, rząd odstąpił od swojego projektu stałego podatku majątkowego, tłumacząc się między innemi trudnościami szacowania, niedoskonałością aparatu wymiarowego, kosztami szacunku i t. p.

Dlatego minister Skarbu zgodził się na projekt wysunięty przez Sejm, ażeby stały podatek majątkowy zastąpić daniną płatną w ciągu pięciu lat, a opartą nie na szacunku wartości majątku, lecz na płaconych podatkach. I tak, ma być przyjęty za podstawę wymiaru podatek: gruntowy dla rolnictwa, obrotowy dla przemysłu i handlu, od nieruchomości dla nieruchomości miejskich. Rząd przewiduje, iż w ciągu pięciu lat istnienia tego podatku, majątkowe w nowej formie stosunki gospodarcze tak się ułożą i wyjaśnią, iż będzie można przystąpić do głębokiej reformy naszego systemu podatkowego.

Naszym kołom gospodarczym wydaje się, iż zmiana stałego lecz stosunkowo nie wielkiego i liberalnie stosowanego podatku majątkowego na „daninę", płatną aż przez pięć lat, jest dla nich sukcesem. W rzeczywistości obawiamy się, że będzie naodwrót. Obecne bowiem stosunki gospodarcze każą myśleć raczej o bieżących sprawach, odkładając troskę o wydarzenia za 6 lat do wcale dalekiej przyszłości.

Oto kilka tylko projektów nowych ustaw. W rzeczywistości parlament nasz obradował nad wieloma jeszcze ustawami gospodarczemi, które trudnoby było nawet tylko wyliczyć tutaj. Ponadto istnieje jeszcze ogromna moc projektów ustawodawczych, jużto nieprzeprowadzonych przez Sejm i Senat, jużto nie wniesionych jeszcze do ciał ustawodawczych. Niewątpliwie okres najbliższy, w którym Pan Prezydent Rzeczypospolitej otrzyma bardzo daleko idące pełnomocnictwo, przyniesie nam bardzo wydatną ilość rozporządzeń prezydenckich z mocą ustawy (tzw. dekrety).

Rok obecny jest dla Polski wyjątkowym w odniesieniu do naszej polityki handlu zagranicznego. Skutkiem mającej wejść w życie w ciągu października br. nowej taryfy celnej, musimy zrewidować dotychczasowe nasze traktaty handlowe z całą zagranicą do dnia wejścia w życie naszej taryfy celnej. Taryfa celna bowiem zawiera dwie kolumny stawek. Jedne dotyczą towarów pochodzących z państw, z któremi mamy zawarte umowy handlowe, druga zaś odnosi się do państw innych. Oczywiście ta druga jest bezporównania wyższa.

Dotychczas zawarliśmy układ dopiero z Austrją. Jest to układ preferencyjny. Przedstawia on dla Polski szczególne znaczenie właśnie jako pierwsza umowa oparta o nową taryfę celną, a równocześnie jako układ preferencyjny, mający oprócz celów gospodarczych na oku także interesy międzynarodowe (pomoc dla Austrji w celu umożliwienia jej utrzymania odrębnego bytu państwowego). Polska uzyskała od Austrji wywóz węgla i trzody, a z drugiej strony przyznała kontyngenty na import austrjackich skór, maszyn elektrycznych, stali szlachetnej, papieru i wyrobów z niego i t. p. Towary te będą korzystać w polskiej taryfie celnej ze specjalnie niskich stawek celnych, niestosowanych do żadnego innego państwa. Oczywiście muszą się na to zgodzić inne państwa, mające zastrzeżone z Polską prawo największego uprzywilejowania.

W toku są nasze pertraktacje handlowe z szeregiem państw innych. Tak więc prowadzimy już narady względnie daleko posunięte są przygotowania do nich w stosunku do Włoch, Anglji, Belgji, Węgier i Czechosłowacji. Z wielu stron podnoszony jest zarzut, nie pozbawiony dużej słuszności, iż obecny stan ciągłych wojen celnych poszczególnych państw ze sobą, objawiający się w bardzo częstych podwyżkach celnych, ograniczaniach przywozu i t. p., jest okresem nieodpowiednim do poczynania po-

ciągnięć natury ogólno-politycznej i międzynarodowej. Istotnie bowiem czas obecny nie sprzyja zawieraniom szeregu umów handlowych, któreby miały mieć moc obowiązującą na dłuższy przeciąg czasu.

Cały świat żył ostatnio pod niezwykle silnem wrażeniem moratorjum bankowego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej oraz zawieszalności tamże wymiany banknotów dolarowych na złoto, co łącznie z zakazem gromadzenia złota przez prywatnych posiadaczy i wywożenia go zagranicę, spowodowało poważne zachwianie się kursu dolara na wszystkich giełdach świata, a nawet zawieszenie przez pewien czas notowań giełdowych.

Okazało się jednak, że była to raczej panika, aniżeli istotne głębokie przesilenie. Stany Zjednoczone posiadają bardzo wielką ilość drobnych prowincjonalnych banków. Zawieszenie wypłat względnie trudności płatnicze niektórych z tych banczków mogą w chwilach szczególnego napięcia i niepokoju wywołać powszechny run. Tak też się stało ostatnio. W związku z obejmowaniem władzy przez nowego Prezydenta S. Z. A. P. społeczeństwo było silnie zdenerwowane i szczególnie łatwo płochliwe.

Istotna ciężka sytuacja szeregu banków spowodowała ich niewypłacalność. Wielka część bowiem tych banków ulokowała sumy im powierzone w formie hipotek względnie w zakupno obligacyj i akcyj zarówno prywatnych jak i rządowych. Potęgujący się kryzys w Ameryce spowodował małą płynność banków. Wielkie kwoty umieszczone na hipotekach okazały się kredytami zupełnie zamrożonemi. Równocześnie silny spadek papierów wartościowych i mały popyt na nie spowodował brak środków obiegowych w bankach. Wreszcie grozę sytuacji powiększyła inflacja kredytowa, przejawiająca się w udzielaniu nadmiernie wysokich kredytów bankowych poszczególnym przedsiębiorcom. Toteż w obiegu krążyły czeki, opiewające na kwotę kilkakrotnie wyższą od obiegu banknotów. Przeważnie bowiem zadawalano się obrotem bezgotówkowym.

Z chwilą wybuchu paniki publiczność rzuciła się do okienek kasowych w bankach, żądając honorowania czeków z jednej strony, a zwrotu wkładów oszczędnościowych z drugiej. Oczywiście banki i tak już bardzo mało płynne, nie mogły zadość uczynić tym żądaniom. Okazała się konieczność ogłoszenia moratorjum bankowego, co też istotnie nastąpiło. Zwolna jednak społeczeństwo amerykańskie uspokoiło się i dolar powrócił do parytetu.

W Polsce na szczęście panika dolarowa nie wywołała większego wrażenia. Raz jeszcze społeczeństwo mogło przekonać się o silnych podstawach naszej waluty i o dobrej polityce zarówno Rządu polskiego jak i naszej instytucji emisyjnej t. j. Banku Polskiego. Mimo istnienia w Polsce dolara jako drugiej waluty

i mimo chęci wywołania popłochu jużto ze względów spekulacyjnych, jużto politycznych, wyszliśmy z ostatniego krachu bankowego w Ameryce tylko wzmocnieni i zasobni w większą ilość zaufania do siebie samych oraz w wiarę w przyszłość.

Dr M. J. Ziomek.

Już 60 lat dobiega, jak ks. Michał Nowodworski, późniejszy biskup płocki, rozpoczął wydawanie wielkiej ENCYKLOPEDJI KOŚCIELNEJ. Dzieło to prowadzone później przez profesorów Seminarjum płockiego nie zostało ukończone, utykając na literze Z i tomie XXXII-ym Wydawnictwa. Obecnie Włocławskie Seminarjum Duchowne, zaszczycone propozycją J. E. Ks. Arcybiskupa Antoniego Nowowiejskiego, przystępuje, za zezwoleniem i przy łaskawem poparciu J. E. Ks. Biskupa Karola Radońskiego, do ukończenia Encyklopedji.

Utworzony specjalnie Komitet Redakcyjny zdaje sobie dokładnie sprawę, że z wielu względów podejmuje się zadania niezwykle trudnego. Jeżeli mimo wszystko do wydawnictwa przystępuje, to liczy na życzliwe jego przyjęcie ze strony ogółu duchowieństwa polskiego.

Tym czynem Komitet Redakcyjny pragnie zarazem oddać hołd ludziom, co dziełu ENCYKLOPEDJI KOŚCIELNEJ dali początek, a potem, nie szczędząc olbrzymich wysiłków, prowadzili je dalej:

ś. p. Ks. Biskupowi Michałowi Nowodworskiemu,

ś. p. Ks. Aleksandrowi Zarembie,

ś. p. Ks. Adamowi Pęskiemu,

oraz Dostojnemu Pasterzowi diecezji płockiej J. Em. Ks. Arcybiskupowi Antoniemu Nowowiejskiemu.

Będzie wydany zatem tom XXXIII i zarazem ostatni, mieszczący artykuły: Załęski — Żywoty Świętych.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 marca 1933.

Wyżyny poezji Norwida.

1.

22 maja 1933 r. mija pięćdziesiąt lat od śmierci Cyprjana Kamila Norwida.

Mija pół wieku, gdy z przytułku św. Kazimierza w Paryżu wyniesiono ubogą trumnę, aby ją złożyć w osobnym grobie na cmentarzu w Ivry. Grób był zakupiony z pieniędzy, użebranych przez Michała Zaleskiego między krewnymi i rodakami, bo po nieboszczyku nic nie zostało. Za pogrzebem, który się odbył w piątek 25 maja, szła garść najwierniejszych przyjaciół. W tej liczbie powinowaci: Dybowski i Kleczkowski. Ogółem, ponad trzydzieści osób. Najbliższym druhem, co po zgonie zamknął Norwidowi oczy, był, raz już wspomniany, Michał Zaleski, uczestnik walk powstańczych 1830 r. Gdyby nie jego starania, zwłoki artysty-tułacza spoczęłyby we wspólnej mogile, gdzie zarząd przytułku grzebał wszystkich weteranów. I tak grób Norwida był wydzierżawiony tylko na pięć lat. Po upływie tego czasu słudzy cmentarni mogli całkiem bezkarnie znieważyć prochy, odmawiając im kawałka ziemi na spoczynek wieczny. Toteż 28 listopada 1888 r. nastąpiły przenosiny. Znowu dźwignięto trumnę na wóz żałobny i powieziono na Montmoreney. Tym razem przyjął ją grób wspólny, gdzie po skończonej doczesnej wędrówce znajdowała schronienie polska biedota wychodźcza. W obrzędzie przenosin uczestniczyli Anna i Aleksander Dybowscy. Nikt więcej! „Z zaproszonych nikt a nikt nie był", pisała Anna Dybowska do E. Genjusza w Port-Saidzie dn. 22 lutego 1889 r. [1])

[1]) *Chimera* VIII (w notatach do życiorysu).

Zapadło głuche milczenie. Jeszcze tu i ówdzie na wychodźtwie krążyły gawędy o niesamowitych wybrykach „pana Cyprjana". Jeszcze ten i ów, kto go znał, wspominał z żalem „jenjalnego dziwaka", jak się wspomina, długo wędrując po świecie, omszałe zwaliska, zabytki chlubnej przeszłości.

Pisma Norwida, częściowo tylko ogłoszone, a przeważnie tułające się jako rękopisy po różnych domach mieszczańskich i dworach wiejskich, leżały w grubym pyle zapomnienia. Czas szedł i szedł!

Ginęła z oczu całych pokoleń ta postać dumna, samotna i zagadkowa. Dla umysłów, które wykoleiła niewola, było w niej zadużo chłodnej miary Fidjaszowej. Oto zjawił się ktoś bez kontusza, bez karabeli, bez złotego pasa, ktoś, kto nie rozciągał konfederatki na wszystkie szerokości geograficzne i nie zażegnywał się od Europy czamarą, jak Żydzi obrzezaniem. Jakże go pojąć i ocenić? A dla umysłów, prześwietlonych nawylot pozytywizmem, był Norwid bolesnym, mistycznym, nieczytelnym hieroglifem, jednym z grzechów polskiego romantyzmu, dziwolągiem wydętej a próżnej metafizyki, która pleniąc się bujnie wśród ruin i cmentarzysk doli polskiej, zachwaściła sobą wszelki zdrowy sąd o rzeczy, wszelką myśl tęgą, swobodną, zdobywczą, iście męską. Wreszcie za grabarza posłużyła Norwidowi jego szorstka, kolczasta samorodność. Wiersz, naładowany myślą, jak nabój prochem, wiersz sędziwy mądrością tylu doświadczeń, przeżyć i odludnych dumań — zrażał, zniechęcał, odstraszał. Błąkała się wieść o ciemnym, niezrozumiałym poecie, „mistycznej piramidzie", zbzikowanym fortepianiście, który zatkawszy sobie uszy, tłucze po klawiszach łokciami i piętami, mniemając, że gra mistrzowsko. Tuż po zgonie ukazało się trochę wspominków, gdzie wytrząśnięto ciekawsze wiadomości potoczne, nie troszcząc się zgoła o istotę artyzmu Norwidowego, o rolę twórcy *Promethidiona* w dziejach kultury narodowej. Był tedy Norwid skazany na powtórną śmierć. Kilkoma zdawkowemi napomknieniami, często nieświadomie, zabijano twórcę, co w skrajnej biedzie i opuszczeniu nie przerywał uciążliwej pracy nad przysparzaniem nowych wartości rodzinnej sztuce i wogóle cywilizacji.

Jakiż to przeskok od gawęd Pola do „przypowieści Norwidowych, lub od niezdarnych płodów dramatycznych uprzykrzonego bractwa pogrobowców do *Kleopatry!* I znowu, jako przedział od wszystkich dróg, utorowanych przebojem romantycznych genjuszów, do prawie samotnych gościńców Norwida. Jaka harda niepodległość! Choć zarazem jaka zbożna cześć dla dziedzictwa przeszłości, jakie umiejętne korzystanie z dorobków wielkich poprzedników: „... o r y g i n a l n o ś ć j e s t t o s u m i e n n o ś ć w o b l i c z u ź r ó d e ł. Tylko oryginalność dobrze pojęta, tylko twórczość prawdziwa może utrafić i postawić się czynną w planach Bożych — to jest zwyciężyć —, bo jedyny Pan, Mistrz nasz i nauczyciel jest twórczy wiecznie". [1])

Gdy myśl powszechna utknęła na mieliźnie, gdy sławą i wzięciem cieszyły się płytkie, byleby kontuszowe samochwalstwa, gdy ciągle od nowa przeżuwano tę samą treść: Norwid pisze nowele, dramaty i poezje, jakich u nas dotąd jeszcze nie widziano. Jego mózg wre mozołem co najmniej za jedno spóźnione w rozwoju estetycznym pokolenie. Zjawiają się pojęcia, wyprzedzające ówczesny stan rzeczy o kilka dziesiątków lat. I ten wysiłek myśli najbardziej olśniewa, czyniąc z pism Norwida ciągłą niespodziankę.

Tylko... tylko, że tych pism właściwie nie było. Wiodły żywot duszy, pokutującej zdala od powłoki... drukarskiej. Wydanie F. A. Brockhaus'a: *Poezje Cyprjana Norwida pierwsze wydanie zbiorowe,* Lipsk 1863 r., poniewierało się bez użytku. Inne, obejmujące poszczególne utwory, również. A rękopisy wędrowały z rąk do rąk. Co czytano najpewniej — to nekrologi: były przystępne, zrozumiałe i krztyną politowania zaprawne. Ukazywał się w nich osobnik wielce samoswój, całą gębą sobiepan. Plotka i wścibska pogwarka mogły żerować dowoli. Rychło i one wygasły. Nastał mrok zupełny. I Norwid, jedna z przedziwności naszej kultury, zaległ w czarnej niewiedzy, jak kości dziwotworów przedpotopowych zalegają w głębinnych pokładach ziemi. Zresztą już za życia prześladowała go głucha obojętność, trapiło nadęte mędrkowanie, czułe na wady i ułomności, a ślepe wo-

[1]) *O Juljuszu Słowackim.*

bec oczywistych zasług. Nikt zgoła, nawet Krasiński, nie dotrzymał Norwidowi kroku na jego Don-Kichotowych uroczyskach, jarach i rozdrożach *(Epos nasza)*.

W *Przeglądzie Poznańskim* 1847 r. tak pisano: „Nie wiemy, gdzie, w jakiej kategorji postawić Norwida. Beletrysta, krytyk, poeta, rzeźbiarz, rysownik, malarz daje on codzień dowody nieprzebranej obfitości i twórczości. Rozproszenie podobne nie może istnieć bez uszczerbku dla wewnętrznej siły i co w takim razie zyskuje się na rozciągłości, to się na głębi tracić musi. Lecz u niego przeciwnie. Zdaje się, że jedno drugie wzmacnia, rozpłomienia i tworząc równowagę, pewną nienaruszalną jedność stanowi. Dziś Norwid zajmuje się najwięcej malarstwem. Widzieliśmy w jego pracowni karton wielkiej piękności, przedstawiający Chrystusa, dającego błogosławieństwo z krzyża. Pomysł i rysunek arcyśmiały. O bogactwie szkiców, ilustracyj, ozdób do różnych poematów, to do modlitw i psalmów tyle wszyscy pochlebnego słyszeli, że już dobrze zrobiłby autor gdyby je w sztychu wydał na widok publiczny".[1]) A w cztery lata później Konstanty Gaszyński w liście do Lucjana Siemieńskiego orzekał: „Co do Norwida, jestem Twego zdania, i żal mnie bierze nad tą inteligencją zwichniętą. Jest to fortepianista, któremu brak palców i dlatego, chcąc objawić harmonijne tony, które ma w piersiach, tłucze po klawiszach łokciami i piętami, a miłość własna zatyka mu uszy, więc fałszywe tony tylko publiczność słyszy. Pochwały warszawskich salonów zepsuły go. Damy naszego wielkiego świata, udając, że dobrze rozumieją po polsku, unosiły się nad miarę nad utworami młodego wieszcza, a jeden z jego towarzyszów młodości wypalił do niego odę, zaczynającą się od słów: Orle, Norwidzie! Już wiek twój idzie etc. W takowej atmosferze kadzideł zamglił się umysł początkującego i zarozumiałość niesłychana wyrosła na olbrzymie kształty. Czytałem z przyjemnością legendę o wąsach króla Jana, rysunek i koloryt bardzo dobry, a dla polskich czytelników pokarm zdrowy i użyteczny; daj Boże więcej takich gawęd, więcej one mówią one do duszy, niż pretensjonalne *Promethidiony*,

[1]) *Przegląd Poznański* 1847 r.

Zwolony i inne tym podobne Norwidiony". [1]) I odtąd w ciągu długich lat prześladowało Norwida całkowite niezrozumienie. Nawet przyjaźń (Krasiński, Cieszkowski, Zaleski, Trembicka) skazywała go na samotność, bo przyjaciele w najlepszej chęci dawali mu rady, jak towarzysze Hjoba, zebrani przy barłogu nędzarza, ciężko dotkniętego opuszczeniem Bożem: pisz jasno, nie dziwacz, sam zawiniłeś i oto kara. Nakoniec w r. 1866 z piersi, trapionego zawiścią i życzliwością, twórcy wyrywał się jęk, co jeszcze dzisiaj brzmi mocno poprzez sześć dziesiątków lat: „Czy czytałeś piękną rzecz Ampère'a o starożytnym Rzymie w bieżącem *Revue des Deux Mondes?* Czytając te piękne i wierne karty zadziwiony byłem obrazem Romy, kobiet, ludzi, towarzystwa... (wiek Adrjana był renesansem wieku Augusta i modelował się, jak dziś na Napoleonie I) zdawało mi się, że na grobie własnym siadłszy, przewracam karty mojego *Quidam* i pytam, czy się gdzie nie omyliłem? Zobacz Ampère'a, ale ja to troszkę dawniej i głębiej określiłem w *Quidam* — i jeden głos ojczysty nie zrozumiał, nie pojął i nie ocenił. O!.. Zato w książce podręcznej dla młodzieży, uczącej się literatury, zaleca przyszłym pokoleniom profesor poznański, Wielmożny Nehring, te słowa: „do tych, co z mniejszym lub większym talentem drukują poezje, należy policzyć Cyprjana Norwida, którego utwory pełne są myśli zagadkowych i uniesień niezrozumiałych". [2])

2.

Twórczość Norwida płynie głównie dwoma łożyskami: łożyskiem potężnych zagadnień cywilizacyjnych, tudzież łożyskiem zagadnień, związanych ze sztuką powszechną i narodową. Powstają kolejno dzieła, malujące wschody i zachody różnych cywilizacyj *(Wanda, Quidam, Kleopatra),* dzieła, w których poeta usiłuje wniknąć w budowę kultury współczesnej (proza ze zbioru *Czarne i białe kwiaty*), oraz apostolskie nawoływania do przeistoczenia sztuki w „chorągiew na prac ludzkich wieży". Oczywiście nie wszystkie myśli Norwida są całkiem świeże i nowe. Nie-

[1]) Cyt. wdług. *Pism Zebranych* t. A. cz. II, str. 813.
[2]) *Ibid.* str. 1074—75.

raz bardzo mocno zrastają się one z romantyzmem. Ale uderza wielka energja duchowa, z jaką zostały wypowiedziane. Pozatem sposób wypowiedzenia był nadzwyczaj osobliwy, wprost nieoczekiwany.

Styl Norwida, jako poety stanowi wytwór najcelniejszej kultury umysłowej. Aby go należycie ocenić, trzeba się w nim rozsmakować. Można to porównać ze szlachetnym trunkiem, który nie odrazu przypada do smaku i dopiero po jakimś czasie odurza swą tęgością. W *Białych kwiatach* Norwid powiada, że styl pisarski wtenczas osiąga doskonałość, gdy zaczynają w nim mówić słowa nic nie znaczące, białe, bezkolorowe, nijakie. A kiedyindziej zwie słowo „czynu testamentem" *(Prometidion)*. O tem tylko należy pisać, czego się nie udało wykonać. Tacytowska zwięzłość nigdy nie wietrzeje. Obecnie jednak zbyt często uważa się skąpość zużytego atramentu za skąpość myśli *(Milczenie)*. Owładnął światem „panteizm druku" (*Klaskaniem* mając...). Norwid pragnąłby zapewne cofnąć się do okresu, gdy nad księgą pracowano lata całe, gdy ona powoli dojrzewała z najgłębszych przemyśleń, oblekając się w najdostojniejszy wyraz. I rzeczywiście w wysławianiu się Norwida, w doborze określeń i zwrotów jest pewne archaiczne zabarwienie. Króluje tam nad wszelką ozdobą surowa powaga treści. Dziwność Norwidowskiego stylu wypływa przedewszystkiem z zespolenia dwóch wartości, które da się określić, jako barok myśli zamkniętej w dorycko uszczuplonem słowie. Z tego niedomiaru wyłoniła się pełna uroku, Sfinksowa poezja, niepokojąca skrótami myślowemi i głębią swych zagadek.

Mały rzut porównawczy. Jednym z ukochanych mędrców Norwida był Pitagoras, który oczyszczał sobie duszę długoletniem milczeniem i wstrzemięźliwością. Poprostu nie chciał trwonić skarbów wnętrza w rozrzutności zewnętrznej. Wzór tego mędrca bezustannie przyświecał poezji Norwidowskiej, która poświęciła słowo dla myśli. Ona również nie chciała trwonić skarbów wnętrza w rozrzutności zewnętrznej.

A wyżyny tej poezji są bądź co bądź wyżynami naszej kultury.

3.

Promethidion jest utworem, w którym najznamienniej i najenergiczniej wyraził się pogląd Norwida na sztukę.

Po powrocie z Rzymu Norwid osiadł w Paryżu. Od dłuższego czasu nurtował poetę niepokój twórczy. Pobyt we Włoszech, oglądane tam skarby sztuki, rozmyślania nad Szopenem — wszystko to zwracało jego uwagę na zagadnienia estetyczne, chwilowo zaniedbane wskutek przejęcia się sprawami politycznemi w Rzymie 1848 r.

Obecnie, zamknięty w samotni paryskiej, oddaje się w całej pełni dumaniom o drogach narodowej i powszechnej sztuki. Budzi się w nim tęsknota za takim stanem rzeczy, w którymby piękno przepajało wszystkie dziedziny rzeczywistości. Boleje, iż, jak dotąd, nigdzie czegoś podobnego nie spotkał: „Bo to widzisz, najszanowniejszy Bohdanie, to we wszystkiem mnie pruje, od miłości kobiety (co, rzec muszę, nie była w stanie pojąć mię) do miłości nadobnej formy świecznika bronzowego, przy którym piszę. Wszędzie tu rozgrom, rozpacz, którą ja już we wszystkiem tu spostrzegam, jako szram przez całoprofil przedwiecznego Piękna".[1])

Aby się wywnętrzyć, aby się wyspowiadać z przeżytych obaw, doświadczeń, klęsk i zwycięstw, Norwid szuka mozolnie najwłaściwszego sposobu wypowiedzenia się na piśmie, szuka równoważnika w słowie dla dramatu, który rozegrał się w duszy. I znajduje go w dialogach Platońskich: „Forma greckiego dialogu zdała mi się być najkorzystniejsza do zaszczepienia głównych pojęć o powadze sztuki, bez czego niepodobna do rozwinięcia dalszego w prozie historycznej, w prozie technicznej przystąpić".[2]) Platonizm, owładnąwszy formą, przedostał się również do treści, rozpalając w niej trzy wielkie idee Piękna, Dobra i Prawdy, wzniesione ponad zmienność i dowolność ludzką, a w swej rdzennej istocie stałe i wieczyste. *Promethidion* dość krótko czekał na miłosierdzie księgarza. Za walnem, czyli wprost

---

[1]) Krechowiecki A. *O Cyprjanie Kamilu Norwidzie*, Lwów 1909, t. I str. 148.

[2]) *Pism. Zebr.* t. A. cz. I 133.

pieniężnem wsparciem zacnej generałowej Dziekońskiej, którą Norwid znał jeszcze z czasów warszawskich, prorocza ewangelja sztuki narodowej wyszła z tłoczni w ciągu miesiąca opatrzona tego rodzaju nagłówkiem: *Promethidion.* Rzecz w dwóch dialogach z epilogiem. Przez autora Pieśni społecznej czterech stron. Nakładem autora, Paryż, w drukarni L. Martinet przy ulicy Mignon 2, 1851. Cienie dwóch zmarłych ścielą się na karty *Promethidiona*: cień Łubieńskiego i cień Szopena. Najczystsza przyjaźń i najwyższa sztuka. Norwid jednej i drugiej wiele zawdzięczał. Z obu czerpał natchnienie, obie przyzywały go z jałowej pustyni życia codziennego na swe zielone wybrzeża. Jakoż przybił tam po długiej włóczędze i kornym hymnem powitał tę, co jest tęczą wiecznej Jeruzalem i łukiem przymierza po dziejowych potopach, i bohaterstwa bezwiednym rumieńcem. Wrócił do sztuki, jak zbłąkane dziecię wraca do matki. *Promethidion* nie wyłonił się odrazu w pełnej zbroi, niby Minerwa z głowy Jowisza. Przeciwnie, rozwijał się stopniowo. Narastał warstwami. Aby uzyskać rzeczywistą kolejność chronologiczną, trzeba odwrócić kolejność dialogów, zmienić ich następstwo. *Wiesław* pochodzi gdzieś z końca 1848 r. lub początku 1849. *Bogumił* z 1849—1850.[1]) Proza zaś wyrosła z potrzeby dopowiedzenia myśli, przedstawionych w samym poemacie z niesłychaną zwartością. Jest więc dodatkiem najpóźniejszym. A układ treści? „W dialogu pierwszym, słowa Norwida, idzie o formę, to jest o Piękno. W drugim — o treść, to jest Dobro i o światłość obu — Prawdę".[2]) W prozaicznym *Epilogu*, ważnym niesłychanie, Norwid bądźto przesiewa raz jeszcze zawartość dialogów (praca i sztuka, panteistyczna obecność Piękna we wszelkich wyrobach ludzkich), bądźto posuwa naprzód sprawę, dawniej wszczętą (uwagi o Szopenie), bądź to nakoniec odsłania nowe pomysły (rozłam na słowo ludowe i słowo uczone). *Promethidion* jest polem Homeryckich zaiste bojów o doskonałą pełnię sztuki we względzie idealnym i we względzie praktycznym. Męstwo, z jakiem ta walka została podjęta, oraz niezwykła

[1]) *Pism. Zebr.* str. 801.
[2]) *Ibid* 133.

tężyzna pracy myślowej — sprawiają, że utwór ten zawsze nęci swoją młodością, jakby w nim krążył magiczny elixir, który Mefistofeles kazał pić Faustowi. Niezwalczonym powabem *Promethidiona* jest kryształowo przejrzysty idealizm filozoficzny, z którego wyrasta cały Norwidowski pogląd na sztukę. Aby pojąć znaczenie sztuki oraz jej związek z różnemi dziedzinami bytu, musimy odtrącić pokusę względności mniemań i chęci ludzkich, a wyrazić szczerą zgodę na to, że istnieje bezwzględne piękno, bezwzględne dobro i bezwzględna prawda. To znaczy: nie takie piękno, dobro i prawda, jakich sobie ktoś życzy, ale jakie wypływają nieuchronnie z metafizycznego ustroju świata. Te trzy idee są ściśle ze sobą zbratane. Prawda rozlać się musi na piękno i dobro, inaczej bowiem zagraża im spaczenie, zagraża błąd, przeciwnik doskonałości. Bez udziału prawdy piękno zatęchnie w „samolubstwie czasu lub koterji", — dobro „zsamolubnieje i na wygodno koniecznie zdrobnieje". A zatem ogień prawdy oczyszcza z przywar doczesności. Płonie wszędzie jako znak, który ciemnym bytom ziemskim wieści byty świetliste. Prawda — to życiodajna macierz wszechrzeczy:

Prawdy powietrze
Póki jest czyste wszystko się rozwija,
Weselsze kwiaty, liście w sobie letsze,
Jaśniejszy lilji dzban, smuklejsza szyja,
Wolniejszy człeka ruch i myśli człeka...
To zbrudź, to zamąć — liść, kwiat, człowiek czeka!

Świętym żarem prawdy goreją prorocy i wieszczowie. Prorocy [1]) „mają tylko dwa warunki, pierwszy, że jeden ojców Bóg, a wtóry, żeby walczyli Prawdą i dla Prawdy". Wieszczowie „zaczynają piękności podziwem", lecz skoro piękno nieodzownie wchodzi w dalsze związki z metafizyczną treścią świata, to wieszcz na ostatnim szczeblu tej iście Jakóbowej drabiny stworzenia, tak samo, jak prorok, zetknie się z Bogiem. Tych wyżyn dosięga „człowiek wieczny", próżen zazdrości, niepokoju i rozterki. Sztukę rzetelną on właśnie tworzy, zdobywając dla niej w pocie czoła pełnię idealną, czyli zestrój piękna, dobra i prawdy. Tu Norwid zasklepia kopułę swej estetyki pojęciem Boga:

[1]) *Pism. Zebr.* — *Promethidion.*

Kształtem miłości Piękno jest i tyle,
Ile ją człowiek oglądał na świecie,
W ogromnym Bogu, albo w sobie pyle,
Na tego Boga wystrojonym dziecię.
Tyle o pięknem człowiek wie i głosi,
Choć każdy w sobie cień pięknego nosi
I każdy, każdy z nas tym piękna pyłem [1])

Ale w człowieku ziemskim wszystko rozłamuje się na dwoje: z wiecznością graniczy doczesność, idea przyobleka się w ciało, prawdzie towarzyszy kłamstwo. Co dźwiga artystę z barłogu niskich, nieodłącznych od gliny cielesnej sprzeczności, co mu każe mozolić się nad dziełem, co go żalem osmuca, że dokoła panuje rozgrom i rozpacz, że chaty stoją krzywo, a szlachcic, chociaż widział Skopasową Milońską Wenerę, nie umie w domu postawić komina, co rodzi zadumę nad pieśnią gminną, w której drzemie zapowiedź artyzmu wszechludzkiego? Tą siłą sprawczą jest miłość tworząca. Każdy odłam greckich arcydzieł, każdy liść akantu, oplatający głowice kolumn starożytnych, każda głoska rzymskiego prawodawstwa — mówią po wszystkie czasy, że sztuka należy do dzieł miłości i pracy. Jeśli ją odszczepić od pracy, uschnie, skarleje, a zamknięta w cieplarni estetycznego wykwintu będzie zbytkowną igraszką. Jeśli ją wyzuć z miłości, skrzepnie w martwą czynność zawodową. Będzie wyrobem maszynowym. Dopiero sztuka, owładnięta miłością, idąca po stopniach prac ludzkich ku prawdzie, dobru i pięknu, urzeczywistnia surowe wymagania estetyki Norwida. Miłość i praca oto dwa niezbędne współczynniki pełni praktycznej, którą sztuka osiągnąć musi obok pełni idealnej:

Pieśń a praktyczność — jedno, zaręczone
Jak mąż i dziewka w obliczu wieczności,
Zepsułeś sztukę, to zepsułeś żonę,
I narobiłeś intryg tej ludzkości,
I narobiłeś romansów... a Adam
Prometej: z pracy bez ciebie upadam,
O! przyjaciółko, woła... jako w pieśni,
Co nad pieśniami pieśń, próżno się wcześni [2])

W rozlewnym nurcie myśli Norwidowej prześlizgują się gdzieniegdzie odbłyski Platona. Wiadomo, że i Słowacki

[1]) *Pism. Zebr.* — *Promethidion.* [2]) *Ibid.*

zgłębiał go ochotnie, zostawiając pamiątkę tych zgłębiań w *Horsztyńskim (Fajdros)* i w *Królu-Duchu (Fedon, Rzeczpospolita)*. Wogóle po 1840 r. na mnogie umysły padł urok tego mędrca i artysty zarazem, który założył podstawy filozoficznego idealizmu, ujawniając przytem królewską wspaniałość swej osobowości. Jeden z poczytnych myślicieli francuskich, Cousin, szerzył rozgłos Platona przez swe wykłady dostatecznie jasne, a częstokroć i dostatecznie płytkie, aby mogły zadowolnić smak rozległych warstw czytelniczych. Norwid w listownych zwierzeniach, spowiedziach, rozmyślaniach nieraz wzmiankuje o Platonie, zawsze z podziwem i ze czcią, należną genjuszowi. Toteż *Promethidionowa* architektonika myśli rozświetla się od góry idealizmem Platońskim, który zwolna przecieka w najbłahszy odruzg materji. Platon, a za nim Norwid, korzy się przed dostojeństwem prawdy, gdyż ona wiedzie ku pięknu i dobru, gdyż bez niej drogi cnoty są ciemne i błędne (*Fajdros*: „A że boski umysł rozumem się karmi i najczystszą wiedzą, a podobnie umysł każdej duszy, która chce przyjmować to, co jej odpowiada, przeto każda się radością napełnia, kiedy byt od czasu do czasu zobaczy, widokiem prawdy się karmi i rozradowuje". [1]) I Platon sławi miłość, tworzącą, jako wszechwładną potęgę, źródło radosnej tężyzny, pierwiastek dobroczynny, który orzeźwia trud poznawania i doskonalenia się etycznego (Sokratejska pochwała Erosa w *Uczcie*, t. zw. „pieśń przebłagalna" ku czci syna boskiej Afrodyty w *Fajdrosie*. *Uczta*: „Miłość jest na imię temu popędowi i dążeniu do uzupełnienia siebie, do całości". [2]) I Platon mniema, że piękno, dobro i prawda rzeczywiście bytują w świecie, a nie li tylko w przekonaniach ludzkich. (*Fedon*: „Nic też dla mnie nie jest bardziej widoczne, nad to, że dobro i piękno i wszystkie inne podobne substancje, o których tylko co wspominałeś, istnieją rzeczywiście". [3]) Tak mówi Symiasz do Sokratesa). I Platon twierdzi, że piękno trzeba zanurzyć w prawdzie, żeby zajaśniało blaskami wieczności (*Fajdros*: „Więc naprzód czy nie potrzeba, jeśli mowa

[1]) *Fajdros* przekł. Wł. Witwickiego. Lwów 1922, str. 62.
[2]) *Uczta*, str. 81.
[3]) *Fedon* przekł. Stefana Okołów str. 49.

ma być dobra i piękna, zapytuje Sokrates Fajdrosa, żeby umysł autora znał prawdę o tem, o czem autor zamierza mówić?“ [1]) Tak tedy Norwid szedł śladem mistrza, tylko, że greckie liście akantu zmieniły mu się w stokrotki i niezabudki, a Wenus Milońska — w świątki przydrożne, a Peryklejska Hellada w Polskę „złotopszczołą przemienionych Kołodziejów“. Miarą helleńską polskość udostojnić oto najdziwniejsza, pełna stylu tęsknota *Promethidiona*.

Dlatego wiadomość z okolic Krakowa przysłana, że chcą tam mieć idealne chaty polskie, napełnia Norwida weselem, hojnie wynagradzającem znój apostolstwa: „wskutek *Promethidiona* mam polecenie dać plany na chałupy i karczmy, i domy dla leśników do Krakowskiego. Piękne i trudne zadanie, przyznam ci się, że nadspodziewane, zwłaszcza, iż doskonale zrozumiano, bo nie chcą żadnych domków angielskich, ani włoskich, tylko życzą sobie, ażebym ze zwykłej chałupy polskiej i karczmy żydowskiej wyprowadził coś idealngo. Tem zajęty teraz jestem“. [2]) Wszelką atoli nadzieję, wszelką otuchę, truły złośliwe napaści, jadowite drwiny, a tych Norwidowi wcale nie szczędzono, karbując dokładnie w pamięci bylejaki niedostatek, byle dziwactwo, a zalety i myśli istotnie cenne lekceważąc, czy też tyle się na nich rozumiejąc, co ewangeliczne wieprze na perłach. Im bardziej Norwid tężeje jako myśliciel i twórca, tem więcej krzywdy gromadzi się między nim a społeczeństwem, aż go ona wreszcie całkiem zasypie, niby mogiła, gdzie wskutek tragicznej pomyłki zakopano żywego człowieka. Nie zawsze działała tu zła wola, częściej tępota, częściej butne lenistwo myślenia, a najczęściej, zakorzenione przez ówczesny stan pojęć i odczuwań, nałogi. *Czas* krakowski 1851 r. w Nr. 191 taką wypisał ocenę *Promethidiona*, ocenę przezornie bezimienną: „Pan Norwid gwałtem chce być mistycznym, ale jak dowcipnym, tak i mistycznym nie każdy może być... to ubieganie się za ciemnością przypomina nam sposób pisania J. N. Kamińskiego, kiedy wierzył w wyrazy kabalistyczne i w demoniczne litery... dlatego

---

[1]) *Fajdros*, str. 84.

[2]) Krechowiecki l. c. I. 159

niezmiernie trudno zdać sobie sprawę z onych wierszy, powiązać loicznie myśli autora i powiedzieć czego chce. Dość przeczytać pierwszy lepszy ustęp, aby ręce opuścić i powiedzieć sobie: „Na te hieroglify myśli chyba drugi jaki Champolion się urodzi, jeśli rodzić się warto dla tak małej rzeczy". [1]) Był to śmiech liczebnej przewagi nad samotną podówczas w Polsce myślą o wielkiej sztuce narodowej, co z wielorakich prac ludzkich wykwita i rozprzestrzenia się nad całą rzeczywistością: od chałupy wiejskiej, od pieśni gminnej, jak skowronek wystrzelajacej z brózdy, którą pług wyorał, aż po okazałe siedziby wielkopańskie i niedościgłe muzyczne cudotwory Szopena.

4.

Niewygodne położenie w świecie: troska o jutro, duchowe sieroctwo, powszechna obojętność, słabnące zdrowie, bynajmniej nie nadszczerbiały potęgi twórczej. Wypierana z mielizny spraw powszednich uszła w głębiny, ku samemu dnu wszechrzeczy. Norwid zgodnie ze swym najistotniejszym popędem kieruje wysiłek myśli ku zagadnieniu budowy historji i etycznych podstaw współczesnej cywilizacji. To właśnie zagadnienie przesyca jego ostatnie utwory, kreślone prozą: *Milczenie, Ad leones, Tajemnica lorda Singelworth, Ostatnia z bajek* i *Stygmat*. Norwid objawia tutaj pierwszorzędny realizm, zaprawny bardzo swoistym dowcipem, i przenikliwe iście Pythagorejskie zamyślenie: sute w pojęcia, skąpe w słowa. Istnieje znaczny przedział między tem, co dostrzega w otaczającej go cywilizacji szary człowiek, a co myśliciel. Szary, przeciętny człowiek idzie wydeptanemi drogami, nie troszcząc się, kto je wydeptał, szary człowiek krąży w zakolu praw i obyczajów, nie pytając kiedy je ustanowiono. Szary, domowity człowiek miewa nałogi cywilizacyjne, przeżyć cywilizacyjnych nie miewa. Natomiast myśliciel przeżywa bieg cywilizacji od początku, od jej mgławicowych, płynnych zalążków do późniejszych stężałych kształtów. To, co na pierwsze wejrzenie jest proste, w jego ujęciu

[1]) *Pisma Zebr.* t. A. cz. II. 810/811.

różniczkuje się, albowiem prostota nie dowodzi pierwotności, naodwrót: czasem wypływa z długich i zawiłych przebiegów rozwojowych. Myśliciel czuje grząskość i chłonność najpospolitszych zjawisk życia. Przy każdem śmielszem stąpnięciu obsuwają się one w bezdeń, ku złożom prahistorycznym. Z mocno ubitych warstw potocznej obyczajowości wzrok myśliciela odgaduje dzieje wygasłych pokoleń, z drobiazgu przenosi się na ogromy. Niektórzy płoną wstydliwym rumieńcem, gdy im zadać pytanie wprost: czem jest człowiek lub czy dusza jest nieśmiertelna? Sądzą, że umiejętność ścisła wyłącza tak ogólne przedmioty, że barbarzyńska obcesowość niszczy zasady nauki. Ci sami, zagadnięci o jakiś poufny szczegół, o ból, rozpacz, szaleństwo, zagładę lub chwilową niedolę bliźniego, twierdzą, że i o takich rzeczach nauka milczy. Rozpowija się tedy szerokie milczenie, niby zasłona, której nie śmią uchylać bojaźliwi mędrkowie, czyli umiejętni badacze, czyli bakałarze i pedanci. Norwid darzy ich wzgardą: „Zacny Dyogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki, w której, skoro w księgozbiorze akademji widząc zapracowanych starców pytał, ktoby to byli? Ci, co prawdy szukają — odrzeczono. Ach! a kiedyż oni będą mieli czas ją praktykować?“ [1]) Molom książkowym przeciwstawia Norwid mędrców heroicznych, już nie ślęczycieli, a zdobywców prawdy. Żyzna ziemia starożytnej Hellady wydała ich sporo. Owi zuchwalcy rozstrzygali mnogie, bardzo nieporęczne wątpliwości na rynku, między gawiedzią, nie bojąc się, że krzepki dowcip jakiegoś włóczęgi rozbije w perzynę ich rozumowania. Umieli wybornie oświecać ciemnych, łaknących wiedzy prostaków i w kozi róg zapędzać pyszałków. Dopiero później t. zw. nauka uciekła do zacisznych, grubemi murami okolonych pomieszczeń, gdzie setki uczeńców żują papierową strawę i na gromkie wołanie społeczeństwa, cierpiącego ucisk wielkiej tajemnicy, powiadają: „że wiedza (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności specjalne) ma zadanie inne... a jakie zadanie?... tego się także nie mówi“.[2])

Dzieląc cywilizację grecką na heroiczną i poheroiczną, umiarkowaną, trzeźwą, jakby mieszczańską, Norwid poprze-

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 213.

[2]) *Ibid* 214.

dził myśl Fryderyka Nietzschego, rozwiniętą w *Narodzinach tragedji*. Obaj myśliciele kładą nacisk na dramatyczność pierwszej i oschłą trzeźwość drugiej epoki. Ale Norwid dramatyzuje postać Sokratesa, gdy Nietzsche robi z niej wcielenie ironicznej, obalającej wszelką złudę samowiedzy. U twórcy polskiego Sokrates, mędrzec i bohater, staje w promieniach wzniosłej tragiki, jako nieulękły zwiastun i szerzyciel prawdy, jako człowiek zupełny, jednoczący „dwa wielkie klejnoty umysłowe, czyli: rozwagę umiejętności i nierozwagę instynktu przyrodzonego“;[1]) w dziele niemieckiego myśliciela zjawia się on jako złośliwy przewrotowiec, pogromca Dyonizosa, jako początkodawca nowej kultury, wzniesionej na zgliszczach doby heroicznej, jako doskonały wzór takiej życiowej postawy, w której główny czynnik tworzą: wiedza i pojmowanie. I Norwid i Nietzsche cichaczem głoszą chwalbę cywilizacji heroicznej, bo nie uchodziło zbyt głośno zalecać swych upodobań, jeśli rodzaj pracy i sposób rozwiązywania podjętych zadań domagały się chociaż szczypty bezstronności. Ale z określeń Norwida, któremi żegna zachód genjuszu Ajschylosa, poety nawskróś dyonizyjskiego, przebija wyraźny żal, że to już koniec, że za chwilę rozlegnie się chór tragedji Sofoklesowej, zaklętej w pieszczoną miarę apollińską, tak zdrobniałą wobec tytanicznej miary posępnych widowisk Ajschylesowskich: „Na mędrcu tym (t. zn. Dyogenesie, przypis Z. F.) zamyka się ta filozofja, którą ja h e r o i c z n ą nazywam. Według tegoż uważania mojego filozofja ta nie zaczyna się wcale od Thalesa, lecz od Ajschylosa dramatycznych przedstawień, gdzie wykładało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało się idee postaciami, zaś zamyka się i kończy niemniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest zamyka się d i a l o g a m i p l a t o ń s k i e m i, tak, iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie podziwia i ceni, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodu i rozwoju myśli greckiej, lecz dla dziejów sztuki zostawa. Gdy tymczasem Platoński dialog ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty śród doczesnych

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, 217.

i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linji ostateczną jakoby rzeczywistością onych dialogów Olimpijskich, Ajschylowskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze niema, gdzie święte i mądre fata człowiekiem dla idei pogardziły". [1])

Cywilizacje próchnieją i rozsypują się. Jednakowoż w ludzkości, owianej tchnieniem Bożem, trwa niewzruszona idea cywilizacji, z której plemiona i narody wyrastają niby konary z pnia. I tak ustawiczny postęp odbywa się przez ciągłość prac cywilizacyjnych, przekazywanych z wieku na wiek, z epoki na epokę. Nie zawsze dany okres cywilizacyjny kończy się wynikiem dodatnim. „Doskonalenie się" w roli współczynnika postępu, różne przybiera wielkości. Czasem maleje tak wydatnie, iż nie zdoła przeważyć ujemnych znamion rozwoju. Postęp więc: to rozwój nierówny, chwiejny, zygzakowaty, a jednak obliczalny. Prawa, jakie duch odsłania, są prawami bytu. Zgodność rzeczywistości z myśleniem — oto mocna podstawa wszelkiej rachuby dziejowej. Między punktami, wytyczonemi przez myśl badawczą, łatwo jest przeprowadzić linje rozwoju, które wzięte, jako całość, utworzą siatkę historjozoficzną. Norwid ogromną wagę przywiązuje do paraboli. Parabola stwierdza bez użycia słów, za pośrednictwem milczących ruchów i dokonań — równoległość dwóch rzeczywistości: duchowej i materjalnej. Podczas wrzaskliwych obrad gminu ateńskiego nad wojną przeciw Syrakuzom i Sycylji, gdy sporne zdania krew burzyły, jeden tylko Meton, astronom i matematyk „nie zabierał głosu wśród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ująwszy pochodnię rozgorzałą, własny dom podpalił". [2]) Oto przykład dosadnej paraboli: „Pochopnie lubo nienajrozważniej, mówi się, że ‚parabola nie dowodzi niczego'. Jużci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest dowieść, ale uoczywistnić, jedna zatem parabola oczywistni, lecz wszystkie razem uważane parabole nietylko że dowodzą, ale dowodzą tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tem! Dowodzą one albowiem analogicznego stosunku pomiędzy

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, 215. [2]) *Ibid* 229.

prawami rozwoju rzeczy świata tego, a prawami rozwoju ducha".[1]) Ze światłem takowej, z tajemnic bytu wypowitej wiedzy, snadnie przedrzeć się można w mrok dziejów i ujrzeć ich przemienne, oceaniczne falowanie, ich dopływy i odpływy, powodowane wzajemnem ciążeniem rozmaitych mas i energij. Dzieje są przeźroczyste dla oczu mędrca: „I oto, jeżeli nasza prawda milczenia nie jest błędem, tedy umysłowego tok rozwoju dawa następujące perjody: legendę, epopeję, historję, anegdotę, rewolucję. Tego ostatniego wyrazu nie należy brać z żadną wyłącznością. Tem bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów".[2]) Norwid odświeżył nowym pomysłem Hegeljańską, myślowo prorokującą filozofję dziejów. Odpadły pamiętne u nas dialektyczne trójce, przelane do poezji w dźwięcznych wierszach Krasińskiego, lecz zwycięsko oparła się naciskowi czasu wiara, że z praw ducha wysnuwają się prawa rzeczywistości dziejowej. Jeżeli weźmie się pod uwagę, iż od 1864 r. obiegało polski rynek księgarski dzieło Tomasza Buckle'a: *Historja cywilizacji w Anglji*, będące całkowitem zaprzeczeniem Hegeljanizmu, iż czytywano je łapczywie, nieraz ukradkiem pod ławą szkolną, iż pozytywizm, rozczyniony w umysłach przez okoliczności dziejowe i wpływy zagraniczne, rósł prędko i bujnie: to w blasku tych uświadomień Hegeljanizm Norwida błyśnie szlachetną patyną dawności. Tyle ze stanowiska nastrojów chwili. Ze stanowiska ogólniejszego: Norwid, jego myśl, jego duch, jego poezja, niby wino, z przybytkiem lat nabierają tężyzny.

W spadku po licznych spopielałych cywilizacjach otrzymaliśmy cywilizację współczesną. Norwid z jakimś smutnym uporem rozgrzebywał popioły zburzyszcz cywilizacyjnych. Szukał własnego dziedzictwa. Znalazł je w nabytkach izraelskich, rzymskich, greckich. Zadumał się nad pracowitą, cierpliwą, jak wół, mądrością Egiptu. Potem minęło wieków ośmnaście od narodzenia Chrystusa. Kula ziemska tętni energją kilku olbrzymich środowisk miejskich, które jak tłoki, wypompowują powietrze na bezmiernej oko-

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, 227/228. [2]) *Ibid* 238.

licznej przestrzeni. I co w jednym punkcie brzęknie od nadmiaru, w mnóstwie innych zaklęsa w próżnię. Upajający gwar przeludnionych stolic śpiewa w ucho przechodnia: „Takich to, jak ja pięć, sześć na świecie dziś... to cała cywilizacja jego i wartość i siła".[1]) W huczącej nawałnicy popędów, namiętności, żądz cielesnych i umysłowych wysileń hulają dwa żywioły: jeden wszystko porywa ku sobie — to personalizm, drugi wszystko równa i upodabnia — to asymilacja. Pierwszy nie wychodzi nigdy ze swego punktu wyjścia, przeto „jest zawsze na miejscu"; drugi nie miał nigdy swego punktu wyjścia, przeto zawsze wypryskuje gdzieniebądź, zależnie od podmuchów opinji czy mody: „I oto są dwie postawy wielkie cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, — wyrażające".[1]) Cywilizacja współczesna odurza mózgi przyśpieszeniem mechanicznem, chemicznem, elektrycznem. Jest drażniąca, pełna oślepiających niespodzianek, jak powietrze, w którem prześlizgują się błyskawice. Tragizm jej polega na tem, że wzrostowi zdumiewających wynalazków nie towarzyszy równomierny wzrost duchowy i moralny. W jednym z listów do Augusta Cieszkowskiego Norwid ubolewa, że etyka chrześcijańska nie posunęła się na krok od czasów Zbawiciela, owszem ugrzęzła na mieliznach odczłowieczonej, zmechanizowanej kultury.

Człowiek współczesny znajduje się pod wysokiem ciśnieniem tysiącleci. Człowiek, ludy i cywilizacje. Przeszłość nie da się samowolnie zrzucić z pleców, jak zbędny ciężar, krępujący swobodę wędrowca. Jej brzemię dźwigamy wewnątrz naszej jaźni, pozbyć się go nie sposób, jak nie sposób pozbyć się wagi swego ciała. Dla Norwida bezważkość dziejowa równa się zupełnemu urojeniu. Był z krwi i kości zachowawcą, gniewnym na postępową hajdamaczyznę za jej trzaskanie obcasami w zbutwiałe rzekomo przesądy, oraz plucie na całą przeszłość. Zresztą gonitwa za jakąś bezdziejową samobytnością przypomina gonitwę psa za własnym ogonem. Jest tak samo bezcelowa i śmieszna. Albowiem przeszłość niezatarcie „stygmatyzuje" ludy, jed-

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, 230. [2]) *Ibid* 232.

nostki i cywilizacje. W opowieści *Stygmat* Norwid przeprowadza ten pogląd od ledwie dostrzegalnych zjawisk codziennych do porażających swym rozmiarem — burz, zamętów i przewrotów dziejowych. Dwoje młodych ludzi rozeszło się i wzajemnie unieszczęśliwiło dla bardzo dziwnej przyczyny. Oto panna, mająca w czasie wieczerzy udzielić stanowczej odpowiedzi swemu wielbicielowi, dopełniła tego tak głośno, że wielbiciel przyjął jej zachowanie się za obelgę, a przyjazne rozstrzygnięcie skierował do trzeciej osoby. Skąd te zawikłania? Panna chowała się w dzieciństwie przy starym ojcu, byłym wojaku, który ogłuchł od huku dział: „Głos dzieweczki ani się rozwinął, ani podniósł, ani nastroił według gamy własnych jej uczuć... lecz według cudzego kalectwa". [1]) Przywykła tedy mówić donośnie. Natomiast jej wybraniec był ongiś mężem przedwcześnie zmarłej, uwielbianej osoby „przy której łożu lub fotelu noce całe i dnie przepędzał. Osoba ta były to same prawie nerwy, rodzaj rozdrażnionej somnabuli. To dlatego tak on stąpa, wchodzi, wychodzi... tak odgaduje naprzód wrażenia podniesionych rozmów... jest ciągle ochroną czegoś, czego niema". [2]) I dlatego gromkie słowa odpowiedzi spadły nań, jak piorun. Właściwie to nie oni rozdarli sobie wzajem serca kochające, lecz „wypieczętowane przez zmarłych znamię na nich". „A gdyby czas i bardziej wydoskonalone środki obserwacyjne dozwalały na takie zastanowienia, okazałoby się może, że tak samo wszyscy bywamy lub jesteśmy. I ludy, i pokolenia, i nawet osobistości pojedyńcze podobno, że arcymało, jako oni i one same, weszli dotąd w dramat życia i w historję". [3]) Mongołowie, niszczyciele i koczownicy, ewangelizowali r e l i g j ę s t e p u. Teutoni l a s przenieśli do dziejów, stawiać gotycki las z kamienia i rozsłaniając przed światem umysł zawile obfity, jak las dziewiczy. Normandowie weszli na ląd pod znakiem m o r z a, szerząc wśród podbitych szczepów twardą rządność okrętową. Neron wziął stygmat p r z e m y s ł u i s z t u k i, a Kaligula — o b o z u. Próżno tedy kąsać i targać przeszłość! Daleko zaszliśmy: z przytulnego saloniku Generałowej wdowy*** aż na przestwory wieków

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, 100. [2]) *Ibid* 100. [3]) *Ibid* 100.

i epok całych. Ta umiejętność wywijania coraz dłuższej przędzy z błahych zdarzeń potocznych dowodzi bystrej wyobraźni i to owej szczególnej wyobraźni, co sprawia, że uczony z wirujących pyłów wnioskuje o wirujących światach. Norwid posiadał jakiś osobliwy zmysł poetyckiej ścisłości. Zabiegał, żeby liczba słów i obrazów nie przewyższała liczby pojęć i przedmiotów. A jednocześnie umiał z iście naukową skrzętnością uogólniać małe spostrzeżenia, całkować je w zasady.

Człowiek współczesny jest wypaczony przez błędną kulturę. Stracił czerstwe poczucie moralne, bo nakazy etyczne do tego stopnia rozluźniono w dzisiejszych społeczeństwach, iż może się panoszyć najgrubsza samowola. Mało kto dba o dobre postępki, byleby były dobrze widziane. Etyka uczyniła się wypadkową różnych kątów widzenia. Ludzie mierzą się nawzajem pozorami. Udatne pozory są namiastką rzeczywistej etyki. Stosownie do łechtliwości podniebień przyprawia się właściwy smak moralny, mniej więcej, jak kucharze przyprawiają sosy. Względność zachcianek bierze się za względność piękna i dobra. Białe, niepokalane śniegi leżą tylko na wyżynach, bezwzględna czystość „zależy na podniesieniu się stosownem". [1]) Dlatego lord Singelworth, czciciel bezwzględnej czystości, wzbija się codzień balonem ponad niską, płaską, brudną oczywistość — do „sfer, z których cokolwiek się odepchnie, musi się doharmonizować do porządku ogólnego wśród włókien, kryształów, kropli, ruchu, pary i pędu... Co ci się podoba stamtąd rzuć, a potem o szafirowej nocy letniej patrz na spadający aerolit... Jakże on jest pięknym". [2]) Czystość winna oczyszczać. I nie godzi się jej umieszczać obok nieczystości,, by tym sposobem ustalać się w zaprzeczających rozróżnieniach, co rzekomo dużo ciemnych zagadek wyjaśniają: „Szlachetni panowie i cała spółczesność, powiada lord Singelworth, pojmujecie czystość, jako zaprzeczenie nieczystości. Odpowiednia doza perfum, gdy staje w przeciwieństwie względem dozy odpowiedniej rozkładowego fetoru, jest dla nas czystym oddechem, bo taki już macie nerwów ustrój... Ludzie nie są jeszcze czyści... są dopiero perfumowani". [3])

---

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 75. [2]) *Ibid* 75. [3]) *Ibid* 73/75.

Tem, co gubi współczesną cywilizację, jest żarłoczny kapitalizm. Utuczony pieniądzem, wszystko przetrawia na pieniądz: religję, etykę, sztukę... Za tyle lub tyle srebrników nabywa się obraz, rzeźbę, miłość, uczciwość, wziętość. Wszędzie słychać brzęk odliczanych monet. Wszędzie! Norwid prowadzi nas do pracowni rudobrodego rzeźbiarza, który słynie pośród znajomych z potężnych zamysłów twórczych. Rzeźbiarz odlepia wilgotne płachty od wielkiej glinianej bryły, gdzie mistrzowskiemi pociągnięciami rylca zaznaczony jest kształt mężczyzny i kobiety, dwojga wyznawców dla wyznania lwom rzuconych. Grono osób: redaktor, guwerner, turysta — robią spostrzeżenia nad charakterem ogólnym i znamionami szczególnemi owej rzeźby. Każdy radby coś przeinaczył! Artysta usiłuje sprostać rozbieżnym mniemaniom. Raz w raz podbiega ku zwałom rzeźbiarskiej gliny i błyskawicznemi zacięciami dłuta to lub owo przeistacza. Ma dziwnie gibki, usłużny talent. Nakoniec redaktor oznajmia, iż znamienite dzieło, które tak zgodny rozpaliło podziw, może wkrótce przynieść zysk niemały swemu twórcy, albowiem zaciekawił się niem pewien bogaty Amerykanin „korespondent wielkiego monitora Stanów Zjednoczonych". Jakoż wkrótce przybywa ów jegomość, osypany drogiemi kamieniami, niby wystawa jubilerska, przysadzisty, świeży, pulchny, buńczuczny. I ten orzeka, iż dzieło przedstawia kapitalizację, a to tak wybornie, że on natychmiast zamówić je raczy i osobną, zobopólną, pisemną ugodą prawo własności zastrzeże: „Tak to więc wszystko, na tym słusznie przeklętym świecie, wszystko, co się poczyna z dziewiczego natchnienia myśli, musi tu być sprzedanem za 6 dolarów (trzydzieści srebrników!!). Jak to jednak daleko od wyznawców i dla wyznania lwom rzuconych do kapitalizacji".[1])

Zarówno w *Stygmacie,* jak w *Ad leones* Norwid odmalował sadzami wizerunek redaktora. Redaktor — to rajfur, stręczący sztukę dla kapitalistycznego nierządu, to zbeszcześciciel słowa, co węszy tylko za dochodami, naginając własne i cudze sumienie do okoliczności, do myśli, uczuć i czynów sowicie płatnych. Jeśli wzrok jego padnie

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 54/55.

na list z pieczęciami hiszpańskiemi, rozwodzi się o zamieszkach w Hiszpanji, jeśli na kontramarkę z teatru — o komedji, czy dramacie, jeśli na kalendarz — o czyichś tam imieninach. „Człowiek ten nic mi nie powiedział, nic! — wydawało mi się, że jest w powietrzu swąd i że, jeżeli się wolno tak wyrazić, czuć jakiś rozkład chemiczny jakiegoś okolicznościowego słowa, nie żywego, lecz upowodowanego zdarzeniami". [1]) Norwid wymierzył dziennikarstwu ostre batogi. Pomścił krzywdę słowa, które dzięki gazeciarskim łowcom dochodnych nowinek, tak łatwo, tak nieuczciwie zostało przemienione z dźwigni człowieczeństwa w czerpaczkę pomyj.

Wskutek mylnych świateł zbłąkanej cywilizacji ludzkość zabrnęła w matnię. Pomieszano wartości. Rozpasał się kapitalizm, siła dobroczynna, o ile celom wyższym poddana, zgubna o ile puszczona samopas bez kiełzna i uździenicy. Zmącono ład moralny niekłopotliwem dogadzaniem popędom i skłonnościom. W *Listach do Marji Trembickiej,* a zwłaszcza w jednym liście do Konstancji Górskiej, swej szczerej przyjaciółki, Norwid odzywa się zgryźliwie o cywilizacji zdziczałej wskutek przerostu. Zanadto przecywilizowana cywilizacja staje się barbarzyństwem. W pośpiechu ulepszeń technicznych i prac zyskownych człowiek znikczemniał do roli bydlęcia pociągowego. Kroczą w jednym rzędzie pycha i nędza. Pycha z t. zw. szumnie postępu, a nędza... wprost nędza, jaka i Norwidowi zaglądała w oczy. Dzisiejszemu człowiekowi sporo leczebnej treści, sporo uzdrowieńczej mocy wlałaby bajka Aizopa o kmiotku i ośle, który taszczył na grzbiecie posążek bóstwa: „Kmieć, przewożąc bóstwo, utwierdził je na grzbiecie osła; temu, gdy kadzą i kłaniają się, osieł spyszniał i wierzgać począł. Alić obitym zostaje on przez kmiecia, aby wyjaśnionem okazało się stanowisko bóstwa, człowieka i zwierzęcia". [2])

5.

Z olimpijskim spokojem wypowiada Norwid swoje dziwne przypowieści na złomach chrześcijańskiej i moralnej kultury

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 107. [2]) *Ibid* 199/200.

obecnego świata. Zachowuje się, jak mędrzec, który zeszedł z wyniosłych gór na niziny i który w samotności zdobył wiedzę rzeczy przyszłych. Dobrodusznie i pogodnie tłumaczy prostakom wtórne, przenośne znaczenie życia. Jakieś zwyczajne, szare, powszednie uczynki rozciąga w bezkres, aż słuchacz raptem uczuje podmuch wieczności. Równie przeźroczystego wykładu prawd oderwanych za pośrednictwem rzeczowych obrazów należałoby szukać chyba w ewangelji.

Przytem Norwid bywa realistą czystej wody tak w poglądzie na zakres przedmiotów, zdatnych do użytku literackiego, jak w sposobie przedstawienia osób i zjawisk. Nie uszczupla treści dla jakichś względów postronnych. Raczej zuchwalstwo, niż strach przed czemkolwiek, raczej szorstka rubaszność, niż dworne nadskakiwanie, raczej bluźnierstwo, niż kadzenie bożyszczom chwili bieżącej: „zdaje się nam, że artysta, który musi odrzucać treść rubaszną, albo treść, mogącą powalać białość papieru i sklepową jego zniweczyć świeżość i wonność, zaiste, że niewiadomo od czego jest artystą? albo pisarzem? Dopiero umiejąc wszystko wypowiedzieć jest się wolnym, a bez tej wolności sztuka nie może mieć istotnego ruchu i życia, stawając się powtarzaniem tylko i stosowaniem zdobytych pierw lokucyj". [1]) Realistyczne zacięcie Norwida, jako artyzm, w tem się głównie objawia, że spotykamy mnóstwo szczegółowych, przenikliwie odszukanych rysów, któremi osoby i rzeczy wybornie się charakteryzują w swej odrębności niepowtarzalnej, jednokrotnej, nieprzywiedlnej. Tak tedy rzeźbiarz z *Ad leones* jest rudobrody i chadza z kirgiską charcicą, bogacz Amerykanin zjawia się w „niskim kapeluszu szarym i w szarym ubiorze bardzo świeżym, w białej, arcystarannej chustce i kamizelce, z pod której gruby złoty łańcuch rzucał na brzuch kluczyki i pieczątki z drogich kamieni". Lord Singelworth „z wielką powolnością ruchu dobył chustki z kieszeni, potem przetarł oba kąty warg" lub „począł z nieprzyśpieszonym, acz nieco namiętnym ruchem przecierać różowe kąty oka lewego". Oskar ze *Stygmatu* nie rozma-

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 68.

wiał a zapobiegał zdaniom i uczuciom, był ochroną czegoś, co nie istniało i dopiero „po pewnej chwili grania stawał się już w sobie samym... Coś olimpijskiego prostowało nagle linję całej jego postaci, głowa się podnosiła hardo, włosów wicher nawiewał się na czoło i ustępował tylko silnemu w takt stąpieniu". A teraz ze świata martwej natury: „Wy, lubo słusznie, odwracacie oczy wasze od śmietników, głosi improwizator Toni di Bona Grazia, mnie zdarzało się w głębokiem zadumaniu nad niemi stawać i odczytywać dzieje godzin ubiegłych z tych okrytych kurzem palimpsetów! Tu były atłasowy trzewik konwulsyjnie skręcony, opierający się na stłuczonej butelce, tam guzik munduru wojskowego, przeświecający z pod szczątków miotły, ówdzie siódemka czerwienna, as treflowy i wizytowa karta — połamane, dalej fiołków bukiet, który oto błędna i niedowierzająca kotka wącha... w pobliżu kałamarz pusty i nadużyte pióro, nieudolnie siląc się podrywać z powianiem wiatru" *(Tajemnica lorda Singelworth)*. Ten swoisty realizm nie tyle pochodzi ze ścisłego dodawania i mnożenia cech typowych, ile z nadzwyczajnej wrażliwości na cechy osobnicze. Jest to, powiedzmy, realizm różniczkowy, a nie całkowy.

Dziejowo można zrozumieć Norwida jedynie na tle romantyzmu, z którego wziął bardzo wiele. Za przykładem ówczesnych estetyków (np. Schellinga, Nowalisa) wznosił tedy na wyżynę ubóstwienia artystę i sztukę, przyczem niemal wszystko jest dla niego sztuką: i geometrja, i astronomja, i nawet prozaiczna inżynierja *(O sztuce dla Polaków)*, podobnie, jak dla Zoli oraz jego zwolenników wszystko będzie nauką, a powieść tylko dalszym ciągiem fizjologji. Przesada romantyczna wywołała przesadę naturalistyczną. Norwid iście po romantycznemu patrzył także na własne posłannictwo. Bynajmniej nie zrzekał się tragicznego patosu wieszcza i pomazańca, gdy klasyk był tylko rzemieślnikiem, rymotwórcą, a realista — badaczem naturalnych dziejów społeczeństwa i człowieka. Już Balzac w *Przedmowie do Komedji Ludzkiej* (1842 r.) żądał od powieściopisarza trzeźwej bezstronności i stawiał go obok przyrodnika, rozpraszając mistyczne opary, jakiemi romantyzm celowo spowił artystę. U Norwida łatwo dostrzec pozostałości tych

oparów. Bezwarunkowo jednak wytrawił on z siebie żużel romantyczny i płomieniem genjuszu oczyścił kruszec swej poezji, nadając jej szlachetność i trwałość niezrównaną. W jego rodowodzie artystycznym romantyzm jest członem nieodzownym. Lecz między innemi dlatego Norwida tak późno zrozumiano, że tkwiły w jego twórczości pierwiastki wprost niemożliwe do wykrycia i ocenienia przez współczesnych. Brakowało im odpowiednich narzędzi i metod. Norwid leżał poza polem widzenia paru co najmniej pokoleń. Nie mógł o sobie orzec, jak Stendhal, że zaczną go sławić po 1880 r. Godzina Norwida wybiła znacznie później. Dopiero w początku nowego stulecia.

Jeżeli dane dzieło sztuki, a czasem wprost dany przedmiot (krzyż, trójkąt, półksiężyc, orzeł) wyraża treść, która sama w sobie nie posiada już tej poglądowości, wtenczas rodzi się symbol. Powstaje symbolizm. W czystym symbolizmie realizm jednoczy się z czemś szerszem, niż realizm. Dla symbolisty świat ma podwójne dno. W utworach Norwida owo drugie dno przy coraz gorliwszem czytaniu osuwa się coraz głębiej. W miarę postępującej znajomości twórcy rozszerza się jego pojemność. Zarazem to, co stanowi zmysłową powłokę dzieł: zdarzenia, osoby, styl — czynią się ciągle przejrzystsze, nakoniec pozwalają widzieć magiczny kryształ wnętrza, soczewkę wieczności. Rozpierzchłe promienie łączą się w jednem ognisku. Wyjaśnia się zagadka ich pozornej gmatwaniny. Pojmujemy dziwactwa lorda Singelworth, lękliwość Oskara, etyczną miękkość kręgosłupa u rudobrodego rzeźbiarza, przygody wędrowców, płynących na *Cywilizacji* i t.d. Pojmujemy to wszystko, jako wyznaczniki zjawisk ogólniejszych, nie tak już podatnych do zmysłowego ujęcia: Oczywiście Norwid był symbolistą.

Jego proza, cokolwiek archaizowana, szeroka, fałdzista, jak staropolska delja, składnią i obrotem wyrażeń nasz złoty wiek nawodząca, znakomicie przystawała do wielkich symbolów dziejowych i cywilizacyjnych. Niektóre opisy Norwida w kilku zdaniach stawią przed oczy wizerunek kilku epok, tak są zagęszczone w słowach i określeniach, tak myślą brzemienne. Obraz Wenecji, w *Tajemnicy lorda Singelworth* arcydzielnie wymalowany, nie pozostawia czytelnikowi cienia

wątpliwości co do Norwidowskiego mistrzowstwa w tej dziedzinie. Królowa Adrjatyku, rusałka błękitów i szafirów morskich, nigdy ujarzmioną być nie mogła i chociaż ją deptały wraże kupy żołdactwa austrjackiego, zawsze pozostawała tem samem dziwnem miastem: „kramarzących z fenicka przedsiębiorców, związanych nareszcie w Republikę, bynajmniej Spartańską, ale owszem noszącą bisior szeroki, który leniwo wlókł się za złotym jej sandałem nieco na azjacki lub wschodni sposób szpiczastym i w górę podkrzywionym; miastem, które zaiste, że przeżyło idyllę, dramę, nadużyło tragedji i komedji i które, jako znudzona już wszystkiem wielka dama, pozostało piękne i czarowne: pochylając się co noc ku lagunom, gdzie przepadają kręgami złotemi gwiazdy drżące, jak dożów ślubne pierścienie". [1])

Pod koniec życia Norwid zadumał się nad pasieczną, rybną, jeziorną Słowiańszczyzną. Hen od Nowogrodu biegną przestrone gościńce. Kupcy ciągną w kolaskach. Prasoły stepem nurkują. Słowianin siedzi w chacie i starym bogom żertwy niesie. Nic mu do tej cywilizacji, którą cudzoziemce rają. On jeszcze nie doszedł siebie samego. Może li tylko naśladować. Jest cichy, czekający i smętny. Ostatni wiersz Norwida ma nagłówek: *Słowianin* i pewnie zwiastował jakąś dalszą wędrówkę niestrudzonego pątnika kultur: może gdzieś pod złotogłową, białokamienną Moskwę:

Jak Słowianin, gdy brak mu naśladować kogo,
Duma w szerokiem polu, czekając na siebie,
Gdy zdala jadą kupcy gdzieś żelazną drogą,
Drżą telegramy w drutach i balon na niebie;
Jak Słowianin, co chadzał już wszystkiemu w tropy,
Oczekiwa na siebie samego bez wiedzy:
Tak bywa smętnem życie ...wieszczowie! koledzy,
Zacni szlachcice, żydy, przekupnie i chłopy. [2])

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 65.
[2]) *Kultura* Nr. 5. 1932.

Zygmunt Falkowski.

Klasyczny laur Norwida.

Znana charakterystyka literatury polskiej po śmierci wielkich wieszczów, ujęta przez Norwida w dwa przysłówki: laurowo i ciemno, da się, w zmienionym sensie, zastosować i do jego własnej twórczości. „Ciemność" jego tekstów ma źródło nietylko w odstępowaniu od bieżącego znaczenia wyrazów na rzecz ich domniemanej siły etymologicznej; [1]) nietylko w traktowaniu narówni ze słowem — milczenia, przestanku, elipsy (obie te właściwości łączą się, jak się zdaje, z programem stylistycznym, jakże bliskim pindaryckiemu „obskuryzmowi" Gongory czy Mallarmé'ego): ale także w pewnej organizacji psycho-fizjologicznej, którą Gaszyński (do L. Siemieńskiego z r. 1851) wyraził w takiej — karykaturze: „Jest to fortepjanista, któremu brak palców, i dlatego, chcąc objawić harmonijne tony, które ma w piersiach, tłucze po klawiszach łokciami i piętami, a miłość własna zatyka mu uszy, więc fałszywe owe tony tylko publiczność słyszy". Wystarczy przypomnieć „Fortepjan Chopina", by unicestwić tę gaszyńskiadę. A jednak do rozprószenia „ciemności jego mowy", na którą skarżyli się współcześni, nie wystarcza (w myśl rady poety, danej w wierszyku p. t. „Ciemność"), zapalenie od niej własnej „świecy" i podsycanie jej płomienia aż do końca lektury, ale potrzeba też komentarzy „sług pokojowych", znawców bogatej garderoby Norwida, jego — erudycji.

Erudycja ta jest może największa w zakresie starożytności klasycznej. Nie wyświetlono dotąd członkowstwa Norwida w Paryskiej *Société de Philologie*, której w latach

[1]) Ign. Fik, *Uwagi nad językiem C. Norwida*, Kraków 1930.

1873—1878 przedłożył szereg rozprawek i memorjałów [1]), ale wydane dotąd utwory wystarczają do stwierdzenia, że z trzech składników naszej cywilizacji: greckiego, rzymskiego i żydowsko-chrześcijańskiego, pierwszy wykwita wciąż na powierzchni twórczości tego najbardziej katolickiego współcześnika naszych mesjanistów i wywołuje wrażenie owej „laurowości", wspomnianej na początku. „Opracowanie" jej w czasie intensywnego zajęcia się Norwidem wydaje się tem bardziej wskazane, że dotychczas zaledwie dwa jej momenty doczekało się jakiego-takiego oświetlenia. [2]) Niniejszy komentarz filologiczny wyjdzie od *Tyrteja*, jako najcharakterystyczniejszego dla stosunku Norwida do antyku, zajmie się wierszami drobnemi na tematy greckie i rzymskie i skończy analizą *Quidam'a*, jako zamierzonej syntezy trzech wspomnianych składników naszej cywilizacji.

I.

Tragedja *Tyrtej, lakoński wódz* („Pism zebranych" przez Z. Przesmyckiego t. C) urodziła się z trosk i rozmyślań Norwida, wywołanych warszawskiemi wypadkami z r. 1861, a więc w tej samej atmosferze, co *Tyrteusz* Anczyca. Ale gdy autor późniejszych (z r. 1863) *Pieśni zbudzonych* ukrył się przed cenzurą pod maską nawoływacza do boju, Norwid, jak to już zauważył p. Przesmycki, zwrócił uwagę raczej na *Eunomia* (Praworządność, Państwo) elegika greckiego, z której zachowało się kilkanaście fragmentów [3]) (w papierach Norwida istnieje ich przekład jego pióra), by przedstawić Tyrteusza jako „wielkiego ludów przeobraziciela i budziciela z wewnętrznej martwoty". Tragedja antyczna dała się włączyć do późniejszej (z lat 1862—1866) „fantazji" p. t.: *Za*

---

[1]) Wiadomości o nich kryją się w niewydanych listach H. de Charencey'a, prezesa czy założyciela owego Towarzystwa, w posiadaniu spadkobierców W. Gasztowta, *Chimera* VIII 448.

[2]) Wł. Dobrowolski, *Norwidowa opowieść o wiecznym Rzymie i wiecznym człowieku, Quidamie, Pam. Liter.* 1927; Z. Szmydtowa, *Norwid jako tłumacz Homera, Prace Kom. hist. liter. i oświaty* Tow. Nauk. Warszaw. III 1929, por. Norwida przekład ody Horacego ad Pompeium, *Pam. Liter.* 1923.

[3]) Dziś fr. 2 i n. — w wyd. Diehla, Anthol. lyr. Graeca I 1925.

kulisami (w. t. C. Przesm.), osnutej na tle przeżyć poety z Marją Kalergis, dlatego, że i w niej stosunek Tyrteja do ukochanej Eginei był transpozycją dawniejszych uczuć poety do tej samej osoby.

Włączenie tragedji greckiej we współczesną maskaradę przygotowane jest rozmową masek, przechadzających się podczas antraktu w „międzysionku" sali balowej i teatru. Trzeba przyjąć, że w teatrze grano właśnie jakiegoś *Tyrteja,* skoro Maska - Feuilleton żali się na ciężar nowinek, „począwszy od dramatu nowego *Tyrtej,* wyświstanego właśnie obok". Potem w toku rozmowy z autorem dramatu, Omegittem, Maska - Diogenes zapytuje go: „A wyświstany *Tyrtej,* gdyby po tysiącach lat znalazł się tu, cóż oglądałby lub zagaił na maskaradzie żywota?" Pytanie to powtarza w formie: „cóż przeniósłby nad wszystko?" i dostaje odpowiedź: „mówiłby zapewne prawdę, wierząc w moc jej", która „pochodzi z jej Całości, a przeto stąd, że prawda jest Ideą, powodującą nieustannie równe sobie świadectwo". Jeśli tuż po odejściu Omegitta wychodzi z drugiej strony na scenę chór ateński, jako parodos tragedji antycznej, to poprzedzająca owo odejście scena Parthenianów należy do tragedji — wyświstanej. W *Tyrteju* znajdzie się tylko wzmianka, że Spartanie przez wyskok sił zatracą narodowy język, „jak stracili już jedno pokolenie samowolną banicją Parthenianów", ale wspomniany w niej fakt nie wchodzi w ramy tragedji.

Scena Parthenianów sama przez się jest dosyć niejasna. Falanga młodych wojowników, wyruszając ze Sparty na wygnanie, płazuje powietrze i wypomina, że żaden z nich „matki nie miał i nie miał ojca i żaden... nie miał ojczyzny". Wyjaśnienie tego paradoksu przynosi dalsza wzmianka, że kiedy spartańskie falangi wyszczerbiły się pod messeńskiemi kosami, wodzowie odstawili żołdaków do owdowiałych łożnic w ojczyźnie ich... i porywała się ta i owa niewiasta, lecąc do bram na spotkanie posła z pola bitwy". Z tych związków urodzeni bastardzi, dorósłszy, idą na wygnanie, by „odepchnąć ramieniem zmorę wspomnień", bo zahartowano ich od niemowlęctwa tak, że potrafią znieść wszystko, prócz tej ojczyzny...

Ci „synowie dziewic" (po grecku *partheniai*), to zdobywcy italskiego Tarentu, wspominani przez wielu autorów starożytnych. Z nich tylko jeden opowiada o nich obszernie bezpośrednio przed przytoczeniem najbogatszej legendy o Tyrteuszu. Ponieważ i Norwid umieszcza scenę Partheniánów jako przygrywkę do *Tyrteja,* musimy w tym właśnie autorze uznać jego źródło. Jest to Justyn, którego *Epitoma historiarum Philippicarum* z Pompejusza Trogusa (z końca I w. przed Chr.) była jeszcze za gimnazjalnych czasów Norwida szkolnym podręcznikiem — historji starożytnej. Opowiada on (Epit. III 4), że po 9-letnich krwawych bojach, podczas których Messeńczycy, jako walczący u siebie, wyrównywali swe straty naturalnym przyrostem ludności, a Spartanie, przebywający wciąż za domem, pozbawieni byli potomstwa, Lacedemończycy odesłali do domu ostatni rocznik, przykazując zostawionym w domu kobietom związki — poliandryczne. Synowie otrzymali nazwę *Partheniae* „dla hańby matek". Gdy doszli do trzydziestu lat, a nie mogli nic dziedziczyć po nieznanych ojcach, z obawy przed biedą wywędrowali ze Sparty pod wodzą Falantusa (autora rady populacyjnej), „nie pożegnawszy się z matkami, których cudzołóstwo odczuwali jako hańbę..." Dopiero w świetle opowieści Justynowej rozumiemy słowa Norwidowych Partheniánów, a zarazem widzimy, że przeniesienie hańby z matek na — ojczyznę musi mieć jakiś cel. Mógł nim być tylko zamiar przedstawienia pod maską Partheniánów młodzieży — polskiej, która po r. 1831 poszła na dobrowolne wygnanie, bo nie mogła znieść hańby matki-ojczyzny — w niewoli. Umieszczenie Partheniánów wśród masek *Za kulisami* uwydatnia ich znaczenie — alegoryczne.

Wobec tego, że dalsze (Epit. III 5) opowiadanie Justyna było głównem źródłem tragedji Norwida, przytaczamy jego treść: Wojna z powstańcami messeńskimi kosztowała Spartan wiele krwi. Zapytana o wynik wojny wyrocznia delficka kazała im prosić Ateńczyków o wodza. Ci „dla okazania Spartanom pogardy" posłali im kulawego poetę Tyrteusza, który poradził zrozpaczonym trzema klęskami, by powołali dla wypełnienia szeregów niewolników i obiecali im wdowy poległych za żony. — Królowie odrzucili tę radę

i zamierzali wrócić z wojskiem do domu, by nie narażać państwa na większe wyludnienie, i byliby wykonali swój zamiar, gdyby ich Tyrteusz nie był od tego powstrzymał zapomocą wygłoszonych przed wojskiem pieśni, „w których umieścił zachętę do męstwa, pociechę po stratach, rady wojenne". Rozpoczęła się walka zaciętsza niż przedtem i dała Spartanom ostateczne zwycięstwo. Tyrteusz (jak wspomina już Platon) otrzymał w nagrodę obywatelstwo spartańskie.

Z tego opowiadania uwzględnił Norwid tylko pierwszą radę Tyrteusza i wyprowadził z niej następstwa, inne niż te, które podaje tradycja starożytna. Jak zaś pozostawał pod sugestją tekstu Justyna, widać i z tego, że wstępne jego zdanie (Epit. III 1.) o podzieleniu się całej Grecji na dwa obozy, spartański i ateński, zatrzymuje jako podstawę fikcji z początku tragedji: tu Ateny graniczą bezpośrednio ze Spartą.

Tragedję otwiera na wzór grecki wejście chóru: parodos. Zatrzymany też jest podział chóru na dwa półchóry. prawy i lewy, z których jeden wypowiada strofę, drugi antistrofę, oba razem epod. Ten chór ateński (złożony, jak wynika z treści, ze starców) przedstawia się jako wyraziciel ciągłości prawdy, której harmonijny ton przejął z harmonji wszechświata. Odtąd nie unosi się ani nie śmieje, błogosławi światłu, a nie złorzeczy cieniowi... Myśli te łączą się z przytoczoną uwagą Omegitta o prawdzie-idei, powodującej nieustannie równe sobie zjawisko, a zarazem wyrażają (tu, jak częściej potem) pogląd Norwida na rolę chóru tragicznego, jako bezstronnego obserwatora sprzeczności, które on w swych śpiewach harmonizuje. W większej zgodzie z tradycją starożytną używa chóru jako zapowiadacza osób, mających wejść na scenę.

Oto zbliża się „mąż Ateńczyk", który „poziera dokoła niespokojnie, jakoby na tym kraju ziemi Rzeczypospolitej, tam i sam wzdłuż stąpając, w dwie zarazem poglądać przyszedł ojczyzny". Od tego niespokojnego pozierania dokoła i od roli wywiadowcy, którą wnet poznamy, nazwał go Norwid nieznanem Grekom imieniem: L a o n, niby od czasownika *lao*, użytego w niejasnem znaczeniu w *Odyssei* (19, 229), a w znaczeniu „spozieram, szukam wzrokiem"

w homeryckim hymnie do Merkurego (w. 300). Nie można zaś jego imienia łączyć z *laos* (lud), skoro nadchodzący, mimo gestu, postawy i ubioru obywatela ateńskiego, był Fenicjaninem, który, służąc za młodu na galerze, uratował tonącego areopagitę ateńskiego (Kleokarpa) i przez to pozyskał w nim „ojca, obywatelstwo i ojczyznę", technicznie mówiąc: opiekuna obcych *(prostates)*. Jeśli dodaje: „metek nie jestem i podobno więcej niż isotel, a prostatem mym i t. d.", to bałamuci trochę w tej wiedzy antykwarycznej, bo *isoteles* był czemś więcej niż *metoikos*, gdyż nie potrzebował, jak ten, prostatesa, mógł nabywać grunta i korzystał z wszystkich praw obywatelskich z wyjątkiem prawa głosowania na zgromadzeniu i wyboru na urzędnika. Laon przedstawia się jako zaufany domownik Kleokarpa. Pierścień areopagity, błyszczący na jego palcu, jest, zdaje się, znakiem pełnomocnictwa przy „dośledzaniu" córki Kleokarpa, Eginei (niby Eginetki, *Aiginaia*), która od pewnego czasu „znika z domostwa" i „jak powiadają języki niewstrzymane,... chadza według poszeptów Tyrteusza, odkąd tego poetę wielka wyrocznia podała głosowi ludu ateńskiego, a Ateny go stawią (t. j. mają stawić) na czele zastępów lacedemońskich".

Jakby z tą informacją kończył się prolog, zabiera głos chór (niby w stasimon I) i przytacza zdanie — mędrców wschodnich, że „na krańcach przestrzeni (t. j. kosmosu) nieustannie wrzące jest ogromne koło wichrów i ciał i duchów... nieustannie parte i okręcane światów pochodem" (a więc podobnie, jak w kosmicznym micie Platońskiego Polityka, 268 D—278 E). Tak samo na krańcach tego świata nagromadzają się mroki, przez które niejeden duch przechodził bohaterski (jak Odys w drodze na zachód do Hadesu). Te szerokie kręgi ścieśnia chór do „widnokręgu myśli człowieka", zaokrąglonego milczeniem i melancholją. Odnosi się to, prawdopodobnie, do Laona, którego chór, tytułując obywatelem ateńskim, zapytuje, kogo przychodzi szukać i jaka go trapi niespokojność, — jakby zapytany już w prologu nie był wytłumaczył, że nie jest obywatelem ateńskim i nie wskazał wyraźnie, że szuka Eginei, chodzącej rzekomo na schadzki z Tyrteuszem. Mamy tu więc niewątpliwie — dublet prologu, niewykończoną drugą redakcję, w której

poeta już nie odpowiedział na zapytania chóru, jako załatwione w pierwszej redakcji, niestety niewciągniętej w drugi rzut i niedokończonej. Ten pewny ślad niewykończenia tragedji każe i dalsze partje traktować jako bruljon.

Przy całym podziwie dla demokratycznej swobody ludu ateńskiego chór, jakby w odpowiedzi na wieści o schadzkach Eginei z Tyrteuszem, ostrzega przed lekkomyślnością „głosu ogólnego" i wyraża „w rzeczach treści boskiej" większe zaufanie dla urzędującego w nocy areopagu, którym — Solon umiarkował „samodzierżstwo ludowego głosu". (Jest to oczywisty anachronizm, bo archontat Solona przypada na r. 594, a druga wojna messeńska i Tyrteusz prawie o wiek wcześniej, a nadto reforma Solona nie dała jeszcze zgromadzeniu ludowemu „samodzierżstwa".) „Rzeczy o treści boskiej" odnosi Laon do wieści ze Sparty, które, jego zdaniem, łatwiej otrzymać z pierwszej ręki, niż odgadnąć lub powtórzyć wyrocznię delficką („od środka ziemi", bo tym był *omphalos*, „pępek" ziemi). Myśl o środku ziemi w Delfach rozprowadza chór znaną legendą o dwóch orłach, puszczonych przez Jowisza na zachód i wschód i spotykających się „nad okopami Delf". Tak samo słowa prawdy nadlatują stąd i owąd do chóru; on jest więc ośrodkiem prawdy wśród jednostronnych zdań z prawa i lewa. Stosunek prawdy do „stugębnej" wieści określa też Laon, nazywając ją okradaczką bogów z prawd, ludzi z serca i otuchy i szkodnicą wobec nienarodzonej jeszcze przyszłości. Jak klauzula: w ten sposób fenicki Moloch okradał we snach Laona — jest niezrozumiała, choć ją wygłasza Fenicjanin, tak potępienie wieści nie bardzo przystoi wywiadowcy, opierającemu się narazie na pogłoskach. Ale cała ta dyskusja o stosunku wieści do prawdy jest tembardziej zbyteczna, że już na końcu prologu słyszeliśmy o treści wyroczni delfickiej i wyznaczonej przez nią roli Tyrteja.

Statyczny charakter tragedji zaznacza się i w zapowiedzi zbliżania się gońca lacedemońskiego i w uwagach o zmianie tempa biegacza przy celu. Wezwany przez Laona do meldunku goniec, nazwany *Daim* (imię *Daimos* nie istnieje w grece; czyżby Norwid myślał o *Lajmos* z szeroką, głęboką gardzielą i tak nazwał „połykacza słów"? A może

w rękopisie jest rzeczywiście — *Laim*? A może to *Deimos*, postrach, wymawiany — z niemiecka?), odpowiada hasłem: „zwyciężyć lub zginąć", pytaniem: „gdzie wódz?" i „przypowieścią likaońską" (zamiast „lakońską", boć od króla arkadyjskiego, Lykaona, likaoński może znaczyć tylko — arkadyjski; z Lykaonją w Azji Mn. nie ma to nic wspólnego) o pogotowiu bojowem i oczekiwaniu wodza. Chór krytykuje lakonizm zwiastuna, żądając jaśniejszych informacyj, ale Daim sądzi, że obowiązkiem niewolnika jest milczenie. Laon przeciwstawia mu niewolnika ateńskiego, powolnego „swojemu jedynie panu" (jest to więc niewolnik prywatny, a nie państwowy, jak spartański helota), a poza domem równego każdej osobie, i rozkazuje mu mówić, co wie. Chór pochwala użycie prawa przez Laona i powtarza jego rozkaz. Ale Daim zdobywa się tylko na zmianę porządku wyrazów w pierwszem haśle. Teraz chór już uznaje „chrobrą w prostocie swojej lakońskiego języka siłę i treść", ale nie uważa jej za jedyną: „Rozliczniejsze są daleko obyczaje ludów na świecie i wygłosy i powiedzenia im właściwe". Ta trywjalna prawda zdąża do pochwały dialektu attyckiego: „Dlatego ateńczyk wszystkie piękna każdego narzecza woli objąć (albowiem świątyni nikt nie stawia z jednej kolumny)". — Jest to echo osobliwego świadectwa Pseudo-Ksenofontowej (za czasów Norwida uchodziła powszechnie za Ksenofontową) „Polityki Aten" (*Athenajon Politeia* 2, 8): „Ateńczycy, słysząc u siebie wszelkie mowy, wybrali to z jednej, to z drugiej. Inni Hellenowie posługują się raczej własną mową, sposobem życia i ubiorem, a Ateńczycy mieszaniną pierwiastków, wziętych od wszystkich Hellenów i barbarzyńców".

Te rozważania mają charakteryzować Spartan i Ateńczyków od strony językowej i przygotowują późniejsze objaśnienie lakonizmu jako wyrazu martwoty. Narazie Laon domyśla się, że „w całej Lakonji... takiego niema męża, któryby tymczasowo ponieść umiał trudy H a r m o s t a", więc nie wodza, ale pojednawcy (od *harmotto*, stąd: *harmonia*). Ale „Hieroplit dzielny trwa", zaznacza z dumą Daim, oznaczając hoplitę nieużywaną w greczyźnie nazwą hier-oplita, niby świętego rycerza. Budzi ona zdumienie Laona i powo-

duje wyjaśnienie Daima, że jest to nazwisko każdego młodzieńca, wychowanego w spartańskiej dyscyplinie, a więc: ćwiczonego rózgami, zmuszanego do żywienia się kradzieżą, pasącego kozy nad granicą i uwodzącego Messenki, nawet jeżdżącego na Kretę po mądrość (jak Likurg): „Hieroplit kto zakrzyknął, kupę powiedział", kończy swój — nic nie mówiący meldunek Daim, a chór teraz dopiero odpowiada na jego pytanie: gdzie wódz? Wprawdzie nikt jeszcze nie zna „słowa wyraźnego wyroczni", ale to pewna, że „Ateny podejmią imię jego z kolan bogów" (według formuły że losy czyjeś leżą na kolanach bogów) i „w dni niewiele naznaczony przez bogów harmost do Lacedemony zdąży". Nie wiadomo jeszcze, lądem czy morzem, ale tego wiedzieć się nie godzi „w wigilję wojny". W czasie tych wyjaśnień Daim, jako niewolnik „trwa i milczy", a Laon poleca mu „umiejętnie czuwać w roztropności", jak przystoi synowi ojczyzny, przygotowanej do walki.

Na tem kończy się akt pierwszy, któryby mógł mieć tytuł: „Gdzie wódz?" Eksponuje on położenie w Sparcie i Atenach i charakteryzuje oba narody ze względu na język i niewolników, ale faktycznych przesłanek do dalszej akcji przynosi niewiele. Konfliktu publicznego nie zapowiada żadnego, bo Ateńczycy gotowi są posłać harmostę, gdy zrozumieją wyrocznię. Tylko śledzenie córki areopagity przez Laona wskazuje jakiś konflikt prywatny między ojcem, który nakazał owo śledzenie, a Tyrteuszem, jako jej domniemanym kochankiem. Wskazówka to jednak zawodna, bo do takiego konfliktu nie przyjdzie. Motyw śledzenia, wprowadzony bez późniejszego wyzyskania, jest nowym dowodem niewykończenia tragedji.

Akt drugi rozgrywa się przed letniem domostwem (więc podmiejską willą) areopagity o wieczornej porze. Córki jego, Dorilla (łacińskie zdrobnienie greckiej Doris) i Eginea oczekują przy krosnach, ustawionych przed domem, powrotu ojca, rozmawiają o nowych hymnach, próbowanych przez córy ateńskie z udziałem Eginei, jako „koryfei", i o jakimś jej śnie, ale nim go zdołała opowiedzieć, nadchodzi zapowiadany przez trzy niewolnice Kleokarp (Grecy znali tylko Poly-karpa) i spostrzegłszy córki przy

krosnach, zauważa (jakby już czytał był Herodota II): „Zaiste, że nie egypskiego to przysionek domu, gdzie mężowie w zaściankach niewieściemi zajęci są sprawami, a ruchawość i język kobiet rozlegają się naokoło". Gdy ojciec wszedł do domu, Dorilla daje wyraz jakiejś zazdrości o postępowanie siostry i oddala się przygotować ojcu łoże, a Eginea rozważa, czy „więcej i bliżej bogom służy powolne i proste serce niewiastki cichej, krzątającej się w obrębie ścian domowych" (jak Dorilla), czy „kto całą swą postacią w naznaczone z góry wyroki wchodzi i wchodząc... i wejść mając... i usiłując wejść... i cofnąć się mogąc... i cofnąć się targając... drży". W ten sposób określa swój stosunek do Tyrteja, naznaczonego przez bogów na wodza, jako jego zamierzona pomocnica. Z poprzedniem napomknieniem Dorilli o nowych hymnach, przez poetów pisanych nowych, łączy się wyznanie Eginei, że dziś służyła „Jupiterowym córkom, które zaręczają natchnienia dla poetów" (a więc Muzom), a oba te zdania podkreślają jej łączność z poetą, z którym ma wejść w wyroki boskie, w losy, zapowiedziane przez wyrocznię.

Nim Eginea rozstrzygnęła głośno dylemat biblijnej Marty i Marji, upadł przed nią z głębi ogrodu kamyk, owinięty w kwiat granatu, umówiony znak przybycia na schadzkę Tyrteja. Ale dziewica oddala go narazie i poleca wrócić „o pierwszej gwieździe", może dlatego, że już zauważyła nadchodzącego Laona. Pokazuje on jej swój kwiat granatu, i pyta, skąd wzięła swój, ale zamiast odpowiedzi dostaje radę, by wplótł ów kwiat we włosy Dorilli. — Tę scenę z kwiatem przerywa zjawienie się Kleokarpa, wobec którego Laon tłumaczy swą nieobecność zajęciem w porcie przy spuszczaniu na morze nowej galery. To daje areopagicie sposobność do pochwalenia pędu Ateńczyków do morza: „Nienapróżno... Jowiszówna wielka, glaukiemi na Ateńczyków poglądając oczyma, przypomina im błękitne obszary mórz". To zatrzymanie greckiego brzmienia epitetu oczu Ateny trąci trochę snobizmem, gdyż równie dobrze błękitne oczy asocjują się z błękitem morza. Dość też dziwnie sformułowane jest zdanie o posługiwaniu się siłami natury w miarę dojrzałości cywilizacji (zdanie, głoszone przez Sofoklesa w sławnej pieśni

Antygony): Ufność w sile ramion i szybkości nóg przystoi narodom — wyrostkom (niby jak Spartanie); obywatel dojrzały (jak Ateńczyk) wyręcza dziką siłę elementem (wodą)...

Dla zaznaczenia, że ten pęd do morza Ateńczycy zawdzięczali swej krwi i tradycji — jońskiej, powołuje się Kleokarp na Talesa, jako na przewodniczącego „gwiaździarskiej umiejętności" (Diogenes Laertios wspomina o jego dziełach astronomicznych; sławna była zresztą jego przepowiednia zaćmienia słońca na 28 maja 585). Niektórzy zarzucają astronomji — płoność. O tych uwłaczycielach Talesa mówi Eginea, że są „we wszystkiem niżsi... od służebnej kucharki mędrca". Jest to aluzja do anegdoty (u Diogen. Laert. I 8, 34) o staruszce, która widząc, że astronom, patrzący podczas spaceru w gwiazdy, wpadł do rowu, zawołała: „Jakże ty, Talesie, chcesz rozumieć to, co jest na niebie, gdy nie możesz dojrzeć tego, co masz przed nogami". — Po tej erudycyjnej, a obojętnej nawet dla charakterystyki Ateńczyków dygresji, Kleokarp ciągnie dalej, że „jeżeli nauczony w niebieskich rzeczach człowiek powraca wejrzenia swe ku ziemi, tedy wraz obejmuje nad elementy rząd". Przesłanką żeglugi jest astronomja. Piękne porównanie Eginei, nazywającej gwiazdy „kwiatem wysokości świata tego", zamyka rozmowę morsko-gwiezdną, nawiązaną do pędu Ateńczyków ku morzu.

Pośpiech, z jakim zjawia się Gość, syn Chariklesa (imię częste w Atenach), porównany z szybkością *Koreba,* przywodzi na pamięć pierwszego zwycięzcę olimpijskiego Korojbosa, od którego liczono olimpjady (Strabo 8, 355; Paus. 5, 8, 6). Gość przynosi potwierdzenie wieści o delfickiej misji Tyrteja, niedawno nieledwie wyświstanego w konkursie poetów na „małych Bachanaljach" (t. j. Dionizjach wiejskich), a teraz oczekiwanego przez przybyłych właśnie stu jeźdźców spartańskich. Odznaczenie przez Apollona odrazu zmieniło opinję o Tyrteju i każe teraz szukać wdzięków nawet w jego chromym chodzie i przyćmieniu lewego oka. Po odejściu Gościa Kleokarp filozofuje na temat niestałości mniemań ludu, jego niesprawiedliwości i zawiści, a o zawiść posądza i Laona, który niespodziewanie oświadcza się o córkę patrona, lecz nie mówi, o którą.

Areopagita nic mu nie odpowiada, ale nie dlatego, jakoby oniemiał, usłyszawszy propozycję wydania córki arystokraty ateńskiego za naturalizowanego — Fenicjanina, skoro nadchodząca z siostrą Eginea rai mu — Dorillę. Sama oczekuje niecierpliwie śpiewu słowika, a więc nocy, w której według zapowiedzi w scenie z kamykami i kwiatem, ma się spotkać z Tyrtejem.

Od tego spotkania zaczyna się akt trzeci długą a zawiłą dyskusją kochanków o owym kamyku. Przerywa ją zapytanie Eginei, co Tyrtej robił przez dzień? „Dawałem życie, by wziąć żywot", odpowiada poeta, skarży się na zawiść jednych (Laona), nietrwałość przychylności u drugich (Eginei) i wybucha pieśnią na temat „łomliwości" lutni poetów, ginących nie od lwów, lecz od bydła. Narzekania przechodzą w słowa, wypowiedziane „z rodzajem obłędu":

Cedr nie ogrody, lecz pustynie rodzą,
próżnia — kołyską olbrzyma...
Eginej! wielcy poeci przychodzą,
Gdy poetów wielkich niema.

Wielcy poeci, to „wieszcze". Co oni powiedzieli do ucha, to „bywa z dachów (przez wróble) poetom głoszone". — W tej pieśni, potem przerobionej przez Norwida (warjanty u Mirjama I str. 441 n.) brzmi osobista skarga autora na osamotnienie, połączona z dumną samowiedzą. Niemniej osobisty ton ma dalsza rozmowa Tyrteja z Egineą, która mu odczepiła od głowy gałązki lauru, gdy się w nie uwikłał w ogrodzie. Nie tego on „upragniał od kobiety". A przecież czuje, że bez Eginei nic nie zdziała. Czekają go zaś rzeczy wielkie: Oto przybyło po niego stu mężów lacedemońskich. Z zetknięcia się z nimi pojął, że słowo Spartan jest „przestankiem mowy człowieczej" (czyli milczeniem), a przestanek jest ostatecznem wysłowieniem całego tonu mowy. Ten ton „nie może być wzajemnie podawanym sobie i zamienianym". Uświadomiwszy sobie tę tajemnicę lakonizmu, Tyrtej „odgadł nieledwie całość posłannictwa własnego" i „ozwał się w sobie głosem ducha ku wyrokom delfickim". Gdy zaś w poczuciu owego posłannictwa dotknął piersi stu niemych mężów, przekonał się, że w nich „człowiecze nie bijało serce". Spartanie, wyczerpawszy treść

testamentu Likurga, „zżeleźnieli", zmartwieli. Bóg w nich „nic nie tworzy więcej". W dziejach Spartan zapanował przestanek, jak w ich języku. Ze związku Likurga ze stworzoną przez niego ideą (organizacji państwowej) powstał lud kamiennych gladjatorów, których koniec zapowiedziała wyrocznia: „Dopóty Sparta trwać będzie, pókąd się Likurga prawa nie wyczerpną", t. j. póki się nie okażą niedostosowane do nowych warunków życia. A jakże dostosować do nowego życia kamienie „abrysu" Likurgowego?

Inaczej (ciągnie dalej Tyrtej) rozwijała się historja Aten. Ostatni ich król, Kodrus, przebrany w sukmankę kmiecą, z „umyślnie łomliwą kosą w ręku", ginąc pod dzidami doryckiemi, zawołał: „koniec królestwu ateńskiemu", a ta śmierć i ten okrzyk stały się kamieniem węgielnym przeobrażenia ludu: „Głęboka Aten żałoba rozrzewniła się po nim w republikę". Jak jego królestwo było obywatelstwem, tak późniejsze obywatelstwo stało się królestwem (t. j. dostojnem jak królestwo).

W legendzie o śmierci Kodrusa pominął Norwid wyrocznię o przegranej najeźdźców spartańskich na Attykę, jeżeli zabiją króla ateńskiego, zakaz spartański atakowania króla i podstęp Kodrusa, polegający na tem, że przebrawszy się za wieśniaka, wyszedł z kopaczką w pole, wszczął spór z żołnierzami nieprzyjacielskimi, włóczącymi się po okolicy, i sprowokował ich do zabicia; podkreślił natomiast (za Cyceronem) szczegół o przebraniu się w „sukmankę kmiecą", zastąpił kopaczkę „łomliwą kosą", a upadającemu włożył w usta słowa o końcu królestwa ateńskiego. Przez te opuszczenia i zmiany upodobnił los Kodrusa do losu Kościuszki pod Maciejowicami, upadającego z (rzekomem) westchnieniem: *finis Poloniae*. Pisząc bowiem o roli poety wobec zmartwiałych w tradycyjnym szablonie oligarchiczno-wojskowym Spartan, myślał o rzeczach bliższych, o Polsce szlacheckiej, którą w myśl testamentu Kościuszki chciał przetworzyć na demokratyczną, by ją uzdolnić do zwycięstwa. W r. 1861 szło mu o wciągnięcie do powstania chłopów. Polska szlachecka, to Sparta Likurga, który założył moc państwa nie w boskiej sile przetwarzania, lecz w wierności własnemu zarysowi. Spartanie zwyciężają, „dopóki

kamienie zwyciężać mogą ludzi", ale po swoich zwycięstwach nie pozostawiają kamienia na kamieniu w gmachu swego państwa.

Aby te kamienie przetworzyć na żywych ludzi, potrzebuje Tyrtej miłości Eginei. Ten warunek powodzenia reformatora politycznego wydaje się dość osobliwy, a wprowadzenie go można objaśnić, jeśli nie względem na urozmaicenie fabuły, to chyba jakiemiś osobistemi przeżyciami autora, który sądził, że wzajemność byłaby mu dodała sił do czynu, do twórczości. — Tyrtej sądzi, że jeśli Eginea go nie pojmie, to „ani Aten nie będzie, iż nie było w nich jednej kobiety". Na to Eginea, rzucając mu się w ramiona, zapewnia go, że „syn żaden wielkiej Rzeczypospolitej zupełniejszą nie był miłością ukochany". Wierzy ona w jego misję delficką, ale tej nocy z nim nie pojedzie. Zostanie w mieście z ludźmi i końmi, przez niego zostawionymi, natchniona jego myślą i mocą, i w odpowiedniej chwili przedstawi ojcu co czuje, a jeśli ani on ani nikt inny jej nie pojmie (i nie wyprawi na pomoc Sparcie posiłków ateńskich?) to ona z jego ludźmi podąży po zwycięstwo. Oczywiście nad Messeńczykami. Ale dotąd autor ani słowem nie wspomniał o tych wrogach Sparty. Słyszeliśmy tylko o martwocie Spartan, nie o ich klęsce.

Dopiero po wyznaniu swej miłości i swych zamiarów czuje się Eginea równą Tyrtejowi. Sny ich obojga spełnione. Taka miłość, to zdaniem Tyrteja, „Grecja cała, to wolność, to prawda i to świętość". Eginea będzie z nim przy wjeździe do nieznanej Sparty, kiedy dziewic chóry słać mu będą przed koniem pomost wawrzynów; i będzie z nim podczas prowadzenia wojowników i podczas łamania się wewnętrznego i po przegranej bitwie, gdy jako tułacz pić będzie z kałuży przydrożnej...

Te zapewnienia, zamykające kulminacyjny akt trzeci, mieszczą zapowiedź katastrofy: Tyrtej nie zapewni Sparcie zwycięstwa i po przegranej pójdzie na wygnanie, nie z obcej Sparty, ale z ojczystych Aten. Nie uda mu się więc przetworzyć skamieniałych w rutynie Spartan na żywych ludzi. Środkiem do ożywienia ich ustroju mogła być chyba tylko (Justynowa) rada wciągnięcia w szeregi niewolników i uoby-

watelnienia zwycięzców, a więc rada — kościuszkowska. Dlaczego jej nie przyjęto w Sparcie, dowiadujemy się z aktu czwartego, który rozgrywa się po świeżej klęsce, przypisywanej — Tyrtejowi. Chór chłopców spartańskich donosi starcowi, oślepłemu na wojnie messeńskiej, o zbliżaniu się Daima, za którym spieszą piesi i konni — rozbitkowie. Na zapytanie o wieści z placu boju, zapewnia Daim, że syn starca żyje, a zgromiony za ten egoizm, opowiada o wodzu, który wśród szyków „śpiewnym nastrojem zapowiadał przegraną", a jest kulawy i wydaje się jednookim. „Barathra", do przepaści z nim!, wołają chłopcy pod adresem „poety, krasomówcy". „Głos ludu", komentuje ich okrzyki Tyrtej, który w stroju kapłańskim przybył za Daimem, podpierając się jak ranny, i ukrył się w pobliskich krzakach. Okrzyk: zginąć? albo zwyciężyć? wydaje mu się godnym pachołków bójek, nie bohaterów wojen.

Ale co powie chór Równych, nadchodzący po odprawieniu chłopców przez „cenzora?" Radzi on zastanowić się nad wypadkami „dnia niefortunnego" i wydać wyrok (oczywiście na sprawców klęski). Na to wezwanie Chór kapłański stwierdza, że spełnił swą powinność: Czynności kultowe na rozpoczęcie boju były już spełnione, gdy zatrzymano „grom w polocie". Nie pieśń zwycięża, nie słowa rozwlekłe, dodaje Chór „polemarków", a kapłani, przechodząc już teraz do wyraźnego oskarżenia, zarzucają wodzowi, że po przybyciu do namiotu, obficie jadł, pił ze złotego rogu i pośpiewywał fragmenty starego hymnu Argonautów (czy z zachowanych Argonautyków orficznych?). To wystarcza Równym do wypowiedzenia zdania: „Takiego-to obywatela-wodza ateński lud nasyła Sparcie bohaterskiej w chwili stanowczej", a Chórowi kapłańskiemu do wezwania przedstawicieli władzy, by „czuli, jak rośnie trawa po stopami" (mieli się na baczności przed zdradą). Uchodzący Tyrtej sumuje to wszystko, jako „głos władzy" i sądzi, że pozostaje mu jeszcze wysłuchać dwa głosy: Boga i piersi swojej.

Wobec nadchodzącego Senatu (geruzji) z królami i eforami polemarki i kapłani powtarzają zarzuty i oskarżenia, które Senat, jako sprawiedliwy sędzia, przyjmuje do wiadomości, ale mniema, że „godzina, w której mąż wyroków do

Lacedemony przybył, odnosi się do ludu ateńskiego, nie zaś do osoby Tyrtejowej, wysłannikiem będącej". Owa „godzina", to chyba moment klęski, spowodowanej spóźnieniem się wodza, z winy wysyłających nie wysłanego. I królowie narazie nie obwiniają Terteja, przyznając, że nie zapowiadał nic nowego (t. j. niezgodnego z ustrojem i prawami Sparty), ale owszem głosił uległość władzom i cześć umarłym królom.

W tej fazie sądu woźny oznajmia przybycie ateńskiego obywatela i przez nieomylnego Loxiasa (t. j. Apollina) męża wyroków, Tyrteja wodza. Wobec niego zabierają głos Eforowie. Pierwszy, podejmując zarzut niewczesności przemówienia wodza przed bitwą, podniesiony przez polemarchów, głosi, że „niewczesność jest to nieobecność, a kogo nieobecność uniewinnia, niech szerokie da pole przystępującemu wziąć koronę, lubo w niefortunnem starciu zdobytą". Idzie o nagrodę męstwa dla hieroplity, który wcześnie znalazł się w boju na swojem miejscu. Jemu to „daje pole", to jest ustępuje Tyrtej ze swoim pocztem. Wręczeniu wieńca hieroplicie nie towarzyszą zwykłe pieśni, bo to dzień klęski...

Na tem miejscu urywa się rękopis. Dzień klęski Spartan był także dniem klęski Tyrteja, skoro jego pieśni, śpiewane tuż przed bitwą, uznano za „niewczesne". Propagowaniu przez niego jakichkolwiek innowacyj zaprzeczyli królowie. W myśl zapowiedzi Tyrteja w rozmowie z Egineą, musiał on teraz wystąpić z radą ożywienia martwoty spartańskiej przez wciągnięcie do wojska helotów (i przyrzeczenie zwycięzcom praw obywatelskich) i spotkać się z jej odrzuceniem. Niefortunny doradca nie miał nic więcej do roboty w Sparcie.

Akt piąty przedstawiałby go po powrocie do Aten w rozprawie z Kleokarpem, Laonem i synem Chariklesa. Przekonałby się o utracie popularności, naprzód już zapowiadanej, i doczekałby się wyroku wygnania, na któreby mu towarzyszyła kochająca Eginea. A może i ona opuści niesławnego bohatera? Przecież nie spełniła przyrzeczenia i nie podążyła za ukochanym do Sparty. Wygnaniec został więc sam: z Bogiem i własnem sumieniem.

Takiej rekonstrukcji aktu czwartego i całego piątego wymagają zapowiedzi aktów poprzednich, na które w od-

powiednich miejscach zwracaliśmy uwagę. Nie trafne było więc przypuszczenie p. Przesmyckiego, że „zaginęła co najmniej połowa rękopisu", a to co się zachowało, jest tylko wspaniałą ekspozycją. Mamy przecież cztery i pół aktu, a uzupełnienie treści brakującej reszty, jest, jak widzieliśmy, dość pewne: Próba ożywienia Sparty przez jej zdemokratyzowanie nie udała się Tyrtejowi, a ta próba była główną osią tragedji, całkiem udanej tylko w akcie trzecim. Podnosiliśmy przy analizie puste dłużyzny refleksyjne prologu i dwu początkowych aktów, czasem charakteryzujące Spartę i Ateny, ale nieraz bezcelowe, czysto erudycyjne. Utonęła w nich wątła akcja, w której Tyrtej upewnił się przed wyruszeniem do Sparty o miłości Eginei, a po powrocie z pola walki do Lacedemonu usłyszał swe potępienie przez głos ludu i władzy. Projekt zmiany ustroju oligarchicznego na demokratyczny, wypieszczony w rozmowie z ukochaną, musiał wpaść w próżnię. Po tym zawodzie politycznym, publicznym przyszedł w akcie piątym zawód prywatny. Pod piórem autora, równie jak Tyrtej, zawiedzionego w akcji reformatorskiej, sławie i miłości, ten ostatni akt musiał ociekać krwią serdeczną. Tem bardziej żałujemy jego zaginięcia.

II.

Problem lakonizmu czy lakoniczności, operującej przestankiem - milczeniem, i jego łączność z przystankiem w rozwoju duchowym, wszedł w „Tyrteja" jako przedmiot walki z martwotą zapomocą pieśni demokratycznej, zapomocą wolnego słowa. Tem się tłumaczy, że swą historjozoficzną Rzecz o wolności słowa (z r. 1869) nazwał autor (w wierszu 1247) swą messeńską, swą tyrtejską pieśnią i boleścią. Z przydawek nie można łączyć „messeńskiej" z „boleścią", a tylko „tyrtejskiej" z pieśnią, lecz obie należy odnieść do tej samej pieśni i boleści, pieśni, wyśpiewanej przez Tyrteja podczas wojny messeńskiej, i boleści, przeżytej wtedy z powodu niepowodzenia pieśni. Norwid wziął na siebie maskę Tyrteusza z własnej tragedji i próbował porwać rodaków nie do walki orężnej, lecz do przetworzenia się duchowego, do zdemokratyzowania się, jako warunku przyszłego zwycięstwa.

Z motywów greckich najważniejszy jest w tym poemacie motyw ironji, łączonej ze starożytnym — cynizmem (w. 794 i n.):

> Zaś cynizm ma poważną przeszłość i ma szkołę
> starą: — jak to, że dziecię w świat przychodzi gołe,
> ani zapomnieć słuszna, iż wykwintne owe
> myślenia, co korony nosiły laurowe
> i stopy miały złotym promienne koturnem,
> musiały się gdzieś spotkać z czemś prostszem, mniej górnem,
> i że cynizm w Ateńskiej wiedzy Panteonie
> był Herkulesem...

Norwid pamiętał z żywotów Antystenesa, Diogenesa Psa, Kratesa (u Diogenesa Laertiosa), że cynicy ogłosili za swego patrona Herkulesa, jako przedstawiciela trudu, pracy, dającej człowiekowi wewnętrzną wolność, ale równocześnie chciał podnieść (przesadnie) znaczenie cynizmu w filozofji greckiej, jako oczyściciela niby stajni Augjasza z przesądów i konwenansów. W związku z tym poglądem w przypowieści *Quidam* jedyny filozof grecki będzie nazwany cynikiem, choć bez bliższego określenia jego zasad.

Drugi motyw helleński Rzeczy o wolności słowa łączy sią z odróżnieniem „autora" („słowo greckie! ciemne i magiczne") od „wulgaryzatora" („rzymskie, jasne i uliczne"). Norwid sądzi, „że to są dwie struny" i że muzyk umny — „nie naciąga dwóch w jedną, tylko człowiek dziki, — brzękający jak Marsjas lub pijane z Frygji". Wymieniając pijanych Frygów miał poeta w myśli tak zwaną frygijską tonację muzyki greckiej, przeciwstawianą doryckiej i lidyjskiej. Główną cechą owej tonacji, zwanej przez Horacego (Epod. 9, 5), barbarzyńską, była denerwująca namiętność i zniewieściałość. Norwid używa jej za synonim — romantycznej w tych wierszach utworu, pisanego ok. r. 1872 p. t.: *A Dorio ad Phrygium* (w „Wyborze" Cywińskiego str. 240 i n.):

> Tak nietylko w romanckich płodach późniejszych
> z Doryjskiego na Frygijskie schodzi
> rzecz poety, snując się na pozór
> w barbarzyński i dziwaczny sposób.

„Romanckie" płody późniejsze, to nietylko średniowieczne *chansons*, ale i utwory romansowe i romantyczne. Przeciwieństwo ich z utworami klasycznemi i doryckiemi uświado-

miło się poecie, gdy jechał przez las: Szeregi drzew za nim i przed nim „jak chór grecki zbierały się w epod", ale skrzyp kół, trzaskanie z bicza, wiatr szumiący w gałęziach, brzęk bąka, skrzek żab „zagajały tysiąc podrzędnych tonów, podchwytujących główny pieśni ustrój". Ta mieszanina tonów, to właśnie tonacja frygijska.

Odnajduje ją poeta i w starożytnej tragedji. Lud (ateński), umartwiony długim patosem, miał wołać: „Dlaczego nic niema — w tych tragedjach gwoli Bachusowi?" Tak tłumaczy Norwid przysłowiony okrzyk: *Uden pros ton Dionyson*, zapominając, że według tradycji starożytnej było to pytanie, zwrócone do Frynicha i Eschyla, gdy ci zamiast cierpień Dionizosa wprowadzili do tragedji inne mity bohaterskie. Lud dopominał się więc o przywrócenie dawnego stanu, pytając, dlaczego teraz niema nic odnoszącego się do Dionizosa. Tymczasem on tak rzecz przedstawia, jakoby lud domagał się urozmaicenia patosu sprawami dionizyjskiemi i za to urozmaicenie uważa — chór, niby dionizyjski. Chór ten „tok przerywał zrzędny — oratorstwem grożący na scenie". A więc Norwid wyobrażał sobie (wbrew tradycji o rozwinięciu się tragedji z pieśni dytyrambicznej, chóralnej), że najpierw był tylko dialog, patetyczny i coraz bardziej retoryzujący, a potem dopiero na żądanie ludu, wprowadzono do tragedji chór dionizyjski... Za Nerona (dodaje na podstawie Suet. Nero 20 extr.) nawet oklaski ujęto przepisami prawa.[1]) i wtedy już wszystko było „metrycznie i sfornie". Ale to ujęcie w karby chóru i oklasków sprawiło, zdaniem poety, że w teatrze za cesarstwa „arcy-miernie było, nie było nic".

Przejście od kolumn leśnych do muzyki leśnej i od dialogu do chóru poprzedzone jest inwokacją do Apollona, ale nie klasycznego, który był „rumieńcem dogmatu młodego ludu" i „energji harmonją", lecz nowoczesnego, to jest przedstawianego w sztuce nowożytnej, jako „mąż co szaty zwlekł", jako nagi poczciwiec spracowany, w otoczeniu dzie-

[1]) Neque eo segnius adulescentulos equestris ordinis et quinque amplius milia e plebe robustissimae iuventutis undique elegit, qui divisi in factiones, plausuum genera condiscerent (bombos et imbrices et testas vocabant)...

więciu holenderskich dziewek; przy nich pasie się Pegaz, koń biały i tłusty. Tego Apollona prosi „na wszczęciu Odyssei", by mu zesłał jaką Muzę, „rękopisów praczkę". Praczki biją kijankami mokrą bieliznę nad rzeką; czy ta praczka rękopisów będzie wybijać rytmy na papierze? Bo chyba to nie ma być korektorka, niby czyścicielka rękopisów. Tę Muzę nowożytną odróżnia poeta od Muzy Hellenów, dostojnej panny, „rozmyślnej w pewnej rzeczy", to jest biegłej w jednej specjalności, „która śród dziewięciu zalotności, — jednej swoją przyznaje podnietę — czyni ją poważną". Wiemy przecież, że każda Muza Hellenów specjalizowała się do jednej sztuki czy nauki, a jedna do jednego gatunku literackiego, jak Melpomena do tragedji, Terpsychora do komedji. Wchodzimy znów na szlak czystej tonacji doryckiej i mieszanej frygijskiej. Muza współczesna, to ta, którą malują na kurtynach teatralnych, wachlarzach i pudełkach perfum. Ją wzywa, bo (jak bohater Odyssei) poznaje strony różne, rozliczny obyczaj, a więc potrzebuje tonu „nie jednotężnego" (tak tłumaczy *monotonos,* monotonny), lecz złożonego, od cygańskiej drumli aż do organów, słowem tonu frygijskiego.

Utwór, w którym wiersze nierymowane, tylko rytmiczne przeplatają się z partjami rymowanemi, a treść pierwszych odpowiada pojęciom o „klasycznej" tonacji doryckiej, drugich o tonacji frygijskiej, barbarzyńskiej, romantycznej, nie od czego innego, tylko od tej zmiany tonacji ma muzyczny tytuł *A Dorio ad Phrygium,* jakże niezrozumiany przez komentatora w *Bibljotece Narodowej* (I nr. 64), który pisze: „Myśl autora tłumaczy już dokładnie sam tytuł. Doryjczycy, jak wiadomo, było to plemię wojownicze, surowe i dzielne, niepozbawione jednak swoistej, żywotnej kultury; Frygijczycy zaś w Azji Mniejszej — to naród rolniczy, spokojny o kulturze umarłej, nietwórczej. Czyli... *a Dorio... ad Phrygium* znaczy tyleż co: od wielkości do upadku"... Zaiste, upadek znajomości antyku jest u komentatorów Norwida zatrważający, a bez tej znajomości nie można go przecież objaśniać...

Norwid nie wstydził się bynajmniej swej „frygijskości", w której widział styl, odpowiadający różnorodności i skom-

plikowaniu współczesnego życia. Niemniej tęsknił do klasycznej prostoty i naturalności, a najpiękniej to wyraził w przedmowie (z r. 1870) do swego przekładu Odyssei (*Chimera* VIII, 257): „Homer jest naturalnym... oto i wszystko". Naturalności nie można się nauczyć. Tajemnica jej (i wielkości stylu) polega na tem, „że Homer nie znał parafiańszczyzny, a przeto trywialności, i że znać ich nie mógł dla tego powodu, iż wszelkiego człowieka uznaje boskim! I dlatego-to boski Homer jest naturalnym". — Prócz naturalności przyznawał greckiej sztuce patrjotyzm. To też, rozwodząc się na temat patrjotyzmu w sztuce w *Promethidionie* (z r. 1851), tak mówi o sztuce greckiej w przeciwstawieniu do polskiej:

O Grecjo, ciebie że kochano, widzę
dziś jeszcze w każdej marmuru kruszynie,
w naśladownictwie, którego się wstydzę
za wiek mój, w kolumn karbowanych trzcinie,
opłakiwanej od wierzchu akantem,
w łamanych wierszach na łkanie zapału
i w sokratejskiej sowie z ócz brylantem
i w całej Filos twojej, aż do szału..

Prócz sowy Sokratycznej (symbolu filozofji ateńskiej) wymieniona tu jest cała filozofja (Filos), jako Platońskie pragnienie (*eros*) mądrości, która według Fedrosa jest rodzajem szału (*mania*). Jak w ostatnim z przytoczonych wierszy dziwaczność skrótu (filozofji na Filos), tak w wierszu trzecim z początku uderza wstyd naśladownictwa. Poeta wstydzi się go za swój wiek, a więc wstydzi się tego, że współcześni mu, wogóle nowocześni artyści, naśladowali rzeźbę grecką. A Grecy czy nie naśladowali? Tak, ale tylko swą naturę, bo „kto kocha, widzieć chce choć cień postaci". Dlatego poeta żałuje, że w sztuce polskiej niema rzeźbionych paproci, listków koniczyny, stokroci, słowem ornamentów „z naturą rzeczy polskiej w pokrewieństwie — nierozplątanem będących"; są natomiast greckie palmety i akanty — i takiego naśladownictwa wstydzi się poeta.

Tajemnicę wieczno-trwałości i wieczno-wzorowości sztuki greckiej dojrzał Norwid (w rozprawie O sztuce) w tem, że „była ona najwięcej ludzką ze wszech sztuk, a w Grecji miejsce tylko miała, i wcale nie to drugie ponad

innych ludów sztukę wyniosło ją". Nad tą tajemnicą (w zastosowaniu do rozkwitu literatury rzymskiej za Augusta) duma akademik, przechadzając się „przez cichy laurów bujnych szpaler" i nie może znaleźć przyczyn owego rozkwitu na gruncie wyłączności narodowej, nie słyszącej współczesnych głosów, które płynęły z Judei. Poeta objaśnia ową niewrażliwość na wszystko, co obce, nietylko dumą „zatyłych" uszu, ale i nieumiejętnością kochania Ludzkości (*Tajemnica*, Poezje wybrane str. 273). Wreszcie w „bajce" p. t. *Narcyz* (P. W. str. 268) Narcyz, patrzący przyjemnie w siebie, zapytuje obcego człowieka: „cóż nad Grecję" i słyszy odpowiedź Eola, że piękne widoki natury „niekoniecznie z Grecji się biorą":

Twoja postać, zważ, ile drżąca,
lubo pozierasz w wody czyste — —
Zwierciadlaność pochodzi z słońca
i jedynie dno ma — ojczyste.

Słońce to idea w sztuce, idea platońska. Wiadomo, że z jej stanowiska Plato lekceważył (teoretycznie) sztukę, jako odbicie odbicia, cień cienia, którym są przedmioty przedstawione przez artystów. Ale i z innego powodu każe mu Norwid obawiać się o przyszłość sztuki w *Epilogu* [1]) rapsodu „Niewola", wydanego wraz z „Fulminantem" z r. 1864. Plato rozmawia tu ze swym przyjacielem tarentyjskim, Pitagorejczykiem Architasem. Ten patrząc, jak prości robotnicy, nieznający geometrji, dopasowują do siebie kamienie bruku, uczuł żal z powodu „bezwiedności gminu" i postanowił takie i tym podobne roboty i rzemiosła oprzeć na zasadach geometrji. Spodziewał się, że to przyczyni się do rozkwitu rzemiosł. Plato, nie dopuszczając go do wypowiedzenia tej nadziei (oto ładny przykład „elipsy" Norwidowskiej!), przypuszcza, że Architas „boskie zmysłowiąc obrysy... koturn rzuci za kulisy, — języka lotność niebieskiego zgubi, — więc filozofję, Grecję może zgubi". Ciemne te słowa objaśnia Norwid uwagą: „Idealność Platona była przeciwną rodzącej się właśnie mechanice, uważając ją (w pierwotnym jej ekstremie) jako zdegradowanie kontemplacji". Ma on tu przed oczyma

[1]) Plato i Architа, Poezje wybr., str. 157 Przesm.

starożytną anegdotę [1]) o tak zwanym problemie delijskim: Delijczycy otrzymali od wyroczni rozkaz podwojenia sześciennego ołtarza, zwrócili się więc do Akademji, gdzie geometrzy: Architas, Eudoksos i jego uczeń Menajchmos zebrali się zaraz do rozwiązania problemu i sporządzili odpowiednie modele. Plato zganił ich robotę, twierdząc, że ściągają matematykę do materji i przez to obniżają jej wartość kształcącą... W tej anegdocie widzi Wilamowitz (*Platon* I 503) świetne określenie stosunku starego Platona do matematyki, jako nauki czysto teoretycznej, której nie należy poniżać i deprawować przez zastosowania praktyczne. Otóż uznanie tego szczegółu za charakterystyczny dla Platona już przez Norwida, przynosi zaszczyt jego intuicji. Ponieważ filozofja starego Platona opierała się na matematyce (choć tradycja o napisie na Akademji: „Kto nie zna geometrji, niechaj tu nie wchodzi" — jest bardzo późna), wolno było poecie kazać mu mówić o zgrubieniu przez mechanikę lotności języka niebieskiego, operującego dotąd pojęciami abstrakcyjnemi, i o niebezpieczeństwie, grożącem stąd filozofji. Tę samą myśl wyraża „zmysłowienie" boskich obrysów, t. j. idei, których ilustrowanie figurami zmysłowemi, konkretnemi pozbawi wykład poetycznej wzniosłości, będzie wyrzuceniem za kulisy do rupieci koturnu, koturnowego, podniosłego stylu. Przypominamy, jak Norwid nie lubił wulgaryzacji.

Architas uznaje wzniosłość platońskiego absolutu („bezkońca" = nieskończoności prawdy), którego słoneczne promienie (a słońce było symbolem najwyższej idei platońskiej) widzi nieraz w wyrazie myśli, jakby ciosanym z drzewa (o ile „myśli z drzewa ciosąc" nie odnosi się do sporządzania drewnianych modeli maszyn), i niedokładnie oddającym ideę. Ale właśnie dlatego, że i w mechanice jest idea, nie zaprzestanie „liczebnych równań w sił z a m i e n i a ć dźwignie", by z pomocą machin (wojennych) jego ojczyzna mogła się obronić (jak jej bronił potem geometra Archimedes przed Rzymianami). — Nowy dopisek autora odnosi to do przy-

[1]) H e i b e r g, *Naturwiss., Mathematik... im Klass. Alt., Aus Natur u. Geisteswelt* nr. 370, str. 25.

szłości mechaniki, „której Archimed na rzecz ojczyzny użył". Ta perspektywa zwycięstwa ojczyzny z pomocą mechaniki, a więc stosowanej matematyki, napełnia Platona otuchą i co do przyszłości sztuki: „Przyjdzie i tobie dzień zwycięstwa — sztuko". Zwycięża więc punkt widzenia Architasowy, a zarazem Norwidowy. Cała jego dążność do uszlachetnienia rzemiosła zapomocą sztuki jest przecież po myśli Architasa, a raczej Architas broni jej jako przedstawiciel Norwida. Z tego powodu *Epilog* zasługuje na specjalne wyróżnienie wśród pism estetycznych Norwida. Jest to bowiem wyraz jego łamania się z arystokratycznym platonizmem.

Jak Plato w przyszłość sztuki greckiej, tak Norwid wierzył w przyszłość sztuki polskiej, a wiarę tę wyraził w *Promethidionie* obrazem z materjału antycznego:

> Statuę grecką weź, zrąb jej ramiona,
> nos, głowę, nogi opięte w koturny,
> i ledwo torsu grubą zostaw bryłę:
> jeszcze za żywych stu uduchowniona,
> jeszcze to nie głaz ślepy. Jedną żyłę
> pozostaw, wskrzesi *); i tę zrąb, zostanie
> materji tyle prawie co... gadanie!
>
> *) raczej „wskrześnie".

Najsławniejszym od czasów Winckelmanna torsem antycznym był tors Herkulesa belwederskiego i jego tu poeta bierze za przykład mocy „uduchowienia" materji w każdej cząstce dzieła sztuki. Sławionego przez tegoż historyka sztuki Apollona belwederskiego wspomina w w. 230 obok „skopasowej milejskiej Wenery" (t. j. Afrodyty z Milo) w Luwrze, jako najpiękniejsze zabytki rzeźby greckiej, które oglądał niejeden szlachcic polski, „a wyprowadzić nie umie komina, — w ogrodzie krzywo zakreśla kwaterę, — budując spichlerz, często zapomina, — że użyteczne nigdy nie jest samo, — że piękno wchodzi, nie pytając, bramą". To identyfikowanie piękna z pożytecznem jest, jak wiadomo, dogmatem naiwnej estetyki Sokratesa z „Memorabiljów" (Ksenofonta), a choć Norwid dogmat ten pogłębił w kierunku wskazań swego Architasa, to jednak w zapale uszlachetniania rzemiosła, wogóle pracy ręcznej, nie uniknął pewnego symplizmu. Może wpłynęła na to i żywa sympatja dla sa-

mego Sokratesa, wielekroć wspomnianego w listach, prozie literackiej i wierszach, nigdy piękniej, jak w znanej apostrofie:

Coś ty Atenom zrobił Sokratesie,
że ci ze złota statuę lud niesie
otruwszy pierwej?

Do tego dopisek (z Diog. Laert. II 23): „Sokratesowi w kilka czasów po śmierci jego, Ateńczycy statuę ze złota postawili".

(Dalszy ciąg nastąpi).

Tadeusz Sinko.

U schyłku prohibicji w Ameryce.

„We wtorek 8 listopada 1932 r., od godz. 6 rano do 6 wieczór, tak jak to przewiduje Konstytucja Stanów Zjednoczonych Am. Pn., naród amerykański wybierał prezydenta, wiceprezydenta, 34 senatorów, 435 deputowanych... Około północy reklamy świetlne dzienników i doniosłe głośniki radjowe oznajmiły mu, że obalił partję republikańską i pożegnał M. Hoovera. Zadowolony położył się spać". [1])

Tak streszcza korespondent z Chicago, Bernard Fay, ów historyczny dzień Stanów Zjedn., w którym złamana została społeczna i gospodarcza dyktatura partji Republikańskiej, trwająca oficjalnie od r. 1920, a ukrycie od r. 1895. O rozmiarach klęski świadczy fakt, że kiedy w r. 1928 Hoover pobił na głowę swego kontrkandydata Smith'a — cyfrą 22 miljonów głosów na 16 miljonów — to w r. 1932 Franklin Roosevelt wziął nad Hooverem górę o 7 miljonów głosów.

Co było przyczyną porażki b. prezydenta i partji Republikańskiej? — Była nią osoba Hoovera, był przedewszystkiem głęboki kryzys gospodarczy (11 miljon. bezrobotnych), jaki dotknął kraj zamiast zapowiadanej *prosperity*, ale była nią, niemniej może, prohibicja.

Ustawa prohibicyjna zakazywała przecież pod surowemi karami wyrobu i sprzedaży wszelkich napojów alkoholowych w obrębie państwa, jakiegokolwiek importu z zewnątrz lub eksportu z kraju. Jednem słowem, od stycznia 1920 r. każdy

---

[1]) Bernard Fay: „Aux Etats-Unis. Les Démocrates et leur victoire". *Le Correspondant*, Paris, z dn. 10 grudnia 1932 r., str. 641.

obywatel amerykański musiał uprawiać przymusowo bezwzględną wstrzemięźliwość nawet od lekkich win i piwa, musiał być całkowicie „suchy".

Że tak surowy *regime* abstynencki, o ile nie jest podjęty dobrowolnie przez ogół, nie da się utrzymać na dalszą metę, było zgóry do przewidzenia. Dlaczego jednak czynna reakcja przeciw niemu i przeciwstawienie się partji Republikańskiej, forsującej prohibicję,[1]) wystąpiło dopiero w 12 lat później, przy zeszłorocznym wyborze prezydenta?

Prohibicja dokuczyła wprawdzie wszystkim, wyjaśnia B. Fay, lecz „jak długo kieszenie i żołądki były pełne, nie skarżono się zbytnio. Ostatecznie zawsze znalazł się jakiś sposób zdobycia potajemnie alkoholu. Lecz kiedy wszystkiego poczęło brakować (z powodu kryzysu), chleba, pracy i dolarów, koniecznych do nabycia za wysoką cenę lichej *whisky* prohibicyjnej, gniew obywateli zaczął wzrastać. Odrobina alkoholu pozwala przynajmniej zapomnieć o biedzie; bieda sprawia nadto, że brak alkoholu staje się nie do wytrzymania, a hipokryzja znienawidzoną". Hoover nazwał prohibicję „szlachetnym eksperymentem", a tymczasem publiczność wiedziała doskonale, że deputowani, którzy głosowali za nią, pili na umor, co chcieli, w samym Washingtonie. Wiedziała również, że najprostszym sposobem zdobycia flaszki *whisky* jest zwrócić się do funkcjonarjusza, pilnującego przestrzegania prohibicji. Stwierdzała, że zakaz alkoholu stał się poprostu pretekstem dla zdzierania okupu z bogatych i dla eksploatowania słabych, dla zawierania sojuszu między policją a bandytami w celu zgodnego wyzyskiwania ustawy na koszt społeczeństwa. Toteż publiczność nie chciała już ani słyszeć o prohibicji. Hoover jednak nie chciał również słyszeć o jej zniesieniu. Skończyło się na tem, że Hoovera pożegnano.

Nietylko jednak palone pragnieniem, a nie mogące zagasić go, gardła Yankesów zaważyły na szali przy obalaniu *régime'u* prohibicyjnego. Cały kraj, jego finanse, prawo-

---

[1]) Polityczną kwestją — popieraną przez partję Republikańską — stała się prohibicja dopiero później. Faktycznie bowiem w obu zwalczających się partjach miała prohibicja zwolenników i przeciwników.

rządność i honor ucierpiały tyle z powodu prohibicji, że zdumiewać się tylko należy, iż tak długo ją tolerowano.

Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły kampanji za wprowadzeniem prohibicji, gdyż pisaliśmy o tem obszerniej już dawniej.[1]) Przypominamy tylko najważniejsze daty i postanowienia. Stany Zjedn. wmieszały się w wojnę światową w kwietniu 1917 r. i z tej okazji wydano różne prawne ograniczenia sprzedaży napojów alkoholowych. Ten stan rzeczy, który naturalnym biegiem rzeczy powinien był ustać z chwilą zakończenia wojny i demobilizacji, postanowiła wykorzystać *Anti-Saloon-League*,[2]) by utrzymać ją na stałe, owszem obostrzyć przez zaprowadzenie w całem państwie obowiązkowej i powszechnej abstynencji od jakichkolwiek napojów alkoholowych.

Dzięki niesłychanej agitacji, prowadzonej przez niektóre sekty, które tym sposobem chciały pomnożyć malejącą liczbę swych członków, oraz przez sufrażystki amerykańskie, a popartej finansowo przez miljardera J. D. Rockefeller'a, udało się rzeczywiście wykonać ten plan, zwłaszcza że ułatwiało go istnienie prohibicji lokalnej w niektórych Stanach. Dn. 18 grudnia 1917 r. ustawa prohibicyjna przeszła w Izbie posłów i w senacie większością $^2/_3$ głosów.[3]) Ratyfikowana następnie przez wymaganą liczbę (przeszło) $^3/_4$ poszczególnych Stanów, została dn. 29 stycznia 1919 r. wcielona jako „18-a poprawka" do Konstytucji Stanów Zjedn. i weszła w życie na całem ich terytorjum dn. 16 stycznia 1920 r. w następującem brzmieniu:

Art. 1. „Po roku od ratyfikacji tego artykułu zostaje zakazany wyrób, sprzedaż albo wywóz napojów upajających w obrębie państwa, import ich do niego, lub wywóz ich ze Stanów

[1]) St. Podoleński: „Losy prohibicji w Stanach Zjedn." *Przegląd Powszechny,* wrzesień 1923 r., str. 215.

[2]) Liga przeciw *saloon*'om, t. j. szynkom, dawniej gęsto rozsianym po kraju i nawiedzanym szczególnie przez ludność robotniczą.

[3]) W Stanach Zjedn. Am. Pn. istnieją dwa główne ciała prawodawcze: 1) najwyższem i ogólnopaństwowem (federalnem) jest Kongres Stanów Zjedn., składający się z dwóch części: Senatu i Izby posłów; załatwia on sprawy, dotyczące całego kraju oraz międzynarodowe. 2) Legislatura Stanowa, osobna dla każdego Stanu i zajmująca się tylko jego sprawami, składa się również z Senatu i Izby posłów.

Zjednoczonych i wszystkich terytorjów, podległych ich jurysdykcji, w celu użycia ich jako napojów.

Art. 2 i 3 mówią o tem, że pierwszy artykuł może być obostrzony przez dalsze prawa, oraz o terminie obowiązywania ustawy.

Słowa powyższe nie mówiły jeszcze nic bliższego o konkretnem przeprowadzeniu ustawy w praktyce. Zależało ono od określenia, co należy rozumieć przez „napoje upajające". Określeniem tem zajął się słynny *Volstead Act*, uchwalony dn. 28 października 1919 r., podług którego za upający, *intoxicating liquor*, należy uważać każdy napój, zawierający więcej niż $^1/_2\%$ alkoholu.

Tak rozpoczął się pierwszy, największy na świecie eksperyment, z którym w porównanie mogą iść tylko późniejsze, społeczne i gospodarcze eksperymenty bolszewickie. Blisko 120 miljonów ludzi — przyzwyczajonych do zużywania rocznie około 2.000,000.000 gallonów (gallon zawiera mniej więcej $4^1/_2$ litra) napojów alkoholowych — miało odtąd zachować przymusową całkowitą abstynencję, nawet od piwa, a ogólnopaństwowe władze miały czuwać nad ścisłem spełnianiem tego obowiązku na terytorjum blisko 8 miljon. km^2. Podejmowano więc zadanie wprost gigantyczne. Nastrój jednak panował optymistyczny. Ustawa prohibicyjna była przecież odruchem „większości" społeczeństwa amerykańskiego, miała zapobiec rozpajaniu szerokich warstw, zwłaszcza robotniczych, zmniejszyć przestępczość, wzmóc wydajność pracy i oszczędności obywateli.

I rzeczywiście z początku wszystko szło pomyślnie. Zwolennicy prohibicji pozostali jeszcze pod radosnem wrażeniem zwycięstwa, przeciwnicy byli poprostu ogłuszeni. Lecz powoli ci ostatni poczęli przychodzić do siebie, a ciężar życia w nowych warunkach zaczął im się okazywać ponad siły. Jakoś trudno było im zadowolić się bombonami, wodą sodową i lemoniadą. Zczasem nietylko wśród nich, ale także wśród wielu zwolenników abstynencji poczęły się odzywać głosy krytyki i protestu. Co innego przecież, mówiono, jest umiarkowane używanie napojów, a co innego ich nadużycie. Jeśli to ostatnie chciano usunąć, należało zamknąć *saloon*'y; ale zakazywanie picia ogółowi obywateli

jest niczem nieusprawiedliwionym gwałtem. A już czystą przesadą jest uważanie napoju za upajający, kiedy ma choć trochę więcej niż ½% alkoholu. Zaczęto coraz krytyczniej oceniać wprowadzenie prohibicji, mówić o pewnych ukrytych jej sprężynach, o nieprzestrzeganiu ustawy przez wielu oficjalnych jej obrońców. Liczba niezadowolonych rosła; posypały się skargi, protesty, rozpoczął się czynny opór przeciw ustawie.

Amerykanie są jednak narodem praktycznym. Skoro „pragnienie" rosło, należało pomyśleć o zaspokojeniu go. Przemawiały zresztą za tem i inne racje. Zwijając olbrzymią gałąź produkcji i handlu napojami alkoholowemi, wyrzucano na bruk masy ludzi, którzy teraz musieli szukać nowego źródła utrzymania. Część znalazła je w nowo otwierającym się przemyśle bezalkoholowym, pozostałym trudno jednak było rozstać się z dotychczasowem zajęciem. Toteż zorjentowawszy się, że alkohol zaczyna być najbardziej poszukiwanym towarem, rzucili się do tajnej jego fabrykacji, przemytnictwa i sprzedaży. Wobec surowych ustaw było to wprawdzie przedsięwzięcie ryzykowne, ale zato otwierało perspektywy złotych dochodów. Toteż ochotników znalazło się dość; w ostatnich latach liczbę pracowników w tej gałęzi oceniano na parę set tysięcy.

Przed Rządem federalnym (ogólnopaństwowym), a w tych Stanach, które uznały prohibicję, także przed władzami miejscowemi, stanęło teraz trudne zadanie przeciwstawienia się tej akcji i dopilnowania wykonania ustawy. W tym celu stworzono w sierpniu 1925 r. specjalny centralny urząd, któremu w 22 okręgach, na jakie podzielono całe państwo, podlegała gęsta sieć placówek i władz wykonawczych.

Ponieważ ogromne transporty napojów przemycano drogą lądową (zwłaszcza z Kanady), a przedewszystkiem morską, przeto zaostrzono czujność na obu tych odcinkach. Początkową linję demarkacyjną, 3 mil od brzegu, której nie wolno było przekraczać okrętom, posiadającym ładunek napojów alkoholowych, rozciągnięto później na 12 mil; owszem z początkiem 1925 r., mimo protestu obcych państw, pozwolono konfiskować transporty napojów nawet poza tą gra-

nicą, jeśli zachodziło podejrzenie, iż były przeznaczone dla Stanów Zjedn.

Nad wykonaniem straży na morzu czuwała „flota niebieska". W r. 1925 powiększono ją znacznie. Wyekwipowano 300 niewielkich statków w małe armaty i w karabiny maszynowe, dodano trochę wybrakowanych mniejszych okrętów wojennych i uzupełniono pewną liczbą eskadr samolotów. Na lądzie zaś zorganizowano całą armję strażników i specjalny aparat szpiegowski, obiecując każdemu, kto doniesie handlarza alkoholem, 25% z nałożonej temuż kary i czwartą część sumy ze sprzedaży jego łodzi, aut i przyborów. Kary na przekraczających ustawę prohibicyjną wyznaczono wysokie, od 100 do 1.000 dolarów, względnie 1 miesiąc do roku więzienia, albo obie kary łącznie; w razie powtórnego złapania na gorącym uczynku nakładano podwójną karę, niekiedy nawet do 5 lat więzienia. Do tych zaś kar, naznaczonych przez władze federalne, dołączano jeszcze w niektórych Stanach kary miejscowe.

Takie wzmocnienie „wykonania prohibicji" było oczywiście kosztownem. Sam tylko budżet ogólnopaństwowej akcji wynosił początkowo około 20, a od r. 1925 blisko 30 miljonów dolarów rocznie. Do tego dodać trzeba budżety tych Stanów, które na swoją rękę pilnowały przestrzegania prohibicji, i budżet *Anti-Saloon-League*, który od stycznia 1920 r. do końca 1925 r. wyniósł prawie 3·5 miljona dolarów. Jeśli zaś do tych wydatków, obejmujących tylko aparat strażniczy i propagandowy, dodamy straty, poniesione przy tej okazji — tysiące zabitych i jeszcze więcej rannych, niszczenie warsztatów i towarów, wypadki i katastrofy, szkody na zdrowiu i t. d. — nie zdziwimy się, że niektórzy obliczają straty poniesione w okresie tych 12 lat, na miljardy dolarów.

Czy jednak te niesłychane wkłady materjalne i wysiłek moralny społeczeństwa amerykańskiego wrócił się przynajmniej inną drogą, lub wróci w przyszłości dzięki osiągnięciu celu, zamierzonego przez prohibicję? — Trudno tu odpowiedzieć twierdząco, skoro w „suchej" Ameryce łatwiej można dostać o każdej porze dnia napoje, niż np. w „mokrym" Londynie w godzinach ograniczenia sprzedaży.

Gdzieniegdzie prohibicja osiągnęła wprawdzie w sporej mierze swój cel. Robotnik, który przepijał dawniej swój zarobek w *saloon'*ach, musiał zrezygnować z tej przyjemności, a na przemycane napoje nie mógł sobie w większej ilości pozwolić, gdyż były zbyt drogie. Toteż wydajność pracy, a z nią dobrobyt i oszczędności robotnika wzrosły gdzieniegdzie rzeczywiście.

Lecz tych dodatnich rezultatów prohibicji nie trzeba przeceniać. Dotyczą one więcej wsi niż miast, które skupiają przecież w sobie większość ludności robotniczej. Powtóre, i na wsi rozmaicie bywa. Żony robotników i mniejszych gospodarzy, chcąc zapobiec wydawaniu zarobków na drogie, pokątnie sprzedawane fabrykaty alkoholowe, zaczęły same wyrabiać w domu rozmaite napoje, fermentowane i dystylowane, mniej lub więcej udane. Kogo stać było na to, zakładał sobie małą dystylarnię, gdyż wyrób potrzebnych do tego przyrządów wzmógł się niesłychanie w Stanach Zjedn. Jak dalece rozszerzył się ten przemysł domowy w całym kraju, świadczy fakt, że już w r. 1925 wykryto i skonfiskowano około 172.000 tajnych gorzelni, dystylarni, a znawcy stosunków obliczają, że nie stanowiło to ani $^1/_{10}$ ogółu istniejących.

Mieszkańcy miast prowadzili również domowe fabryczki, o ile jednak posiadali dolary, woleli korzystać z dogodniejszych urządzeń. Toteż w niedługim czasie miasta pokryły się gęstą siecią tajnych lokali, *speak-easy,* od ciemnych i brudnych do najwykwintniejszych, gdzie, za słoną naturalnie zapłatą, można otrzymać napoje wszelkiego rodzaju i w dowolnej ilości. W samem mieście New York istnieje podobno około 34.000 takich lokali.

Towaru nie braknie nigdy. Dba o to zarówno przemysł krajowy, jak zagranica. Na miejscu wyrabia się piwo, wina i wódki. Resztę sprowadza się z zewnątrz, lądem i drogą powietrzną z Meksyku i zwłaszcza z Kanady, morzem z różnych stron, najwięcej z Anglji i z Francji. Osobna gałąź handlarzy-przemytników t. zw. *bootlegger'*ów, podejmuje się tego zadania, a niebezpieczeństwa i trudności z niem związane, zmusiły ich do stworzenia sprężystej, olbrzymiej organizacji, obejmującej swą siecią całe teryto-

rjum Stanów Zjedn., rozporządzającej znakomitym aparatem administracyjnym, bogatym taborem przewozowym i zastępami dobrze uzbrojonych *gangster'ów*, czyli bojówkarzy, których zadaniem jest czynna ochrona handlu i zwalczanie konkurencji.

Ktoś, nieznający stosunków amerykańskich, mógłby wprawdzie zapytać: jak to jest możliwe wobec opisanej poprzednio energicznej akcji władz państwowych i lokalnych w obronie prohibicji? — Lecz odpowiedź na to brzmi krótko, że cały ten nielegalny przemysł i handel alkoholem odbywa się z świadomością i często pod ochroną policji i agentów prohibicyjnych. Teror ze strony organizacyj nielegalnego handlu, rosnąca tęsknota ludności za „wilgocią", swoiste stanowisko tamtejszej policji i wreszcie ponętna okazja udziału w zyskach i towarze, dawno zrobiły swoje. Przedstawiciele władz, pilnujących przestrzegania prohibicji, sami czuwają nad bezpieczeństwem *speakeasy* i przemytnictwa; w ręce ich wpadają winowajcy dopiero wtedy, gdy nie uiszczą umówionego haraczu.

W takich warunkach zachowanie ustawy prohibicyjnej było czystą niemożliwością. Niektórzy twierdzą też, że w porównaniu z dawnym stanem nic istotnego w Ameryce się nie zmieniło, nastąpiły tylko pewne przesunięcia. Zmniejszyła się zapewne ogólna konsumcja alkoholu, ale wzrosło zapotrzebowanie innych szkodliwszych narkotyków (morfina, kokaina, heroina i t. p.). Dawniej robotnik zapijał się w *saloon'ach*, dziś pije w domu, mniej się może sam upija, ale zato próbują z nim także żona i dzieci i inni domownicy. Zamknięto restauracje i bary, ale istnieją *speakeasy*. Dawniej napoje alkoholowe nabywano w przeznaczonych do tego lokalach, dziś kupuje się je w aptekach, fryzjerniach, sklepach z wodą sodową i lodami, w magazynach cukierków i towarów spożywczych. Przedtem noszono wódkę we flaszkach, obecnie używa się do tego flakoników i sprzęcików pozornie dekoracyjnych, a do większej ilości blaszanych płaskich manierek, szczelnie przystosowanych do budowy danego osobnika.

Zmieniła się więc reżyserja, ale rzecz pozostała ta sama. Zmienili się również częściowo aktorzy, choć tylko na

szkodę społeczeństwa. Część robotników i ludzi niezamożnych wyleczyła się rzeczywiście z nałogu pijaństwa, lecz ich miejsce zajęli inni, którzy dawniej nie pili, a zajęli dlatego, że picie stało się dziś sportem, sport zaś w Ameryce zawsze jest modny. Co najgorsze, picie alkoholu przeniosło się do szkół. Pije dziś i upija się nieraz młodzież, męska i żeńska, bo zakazany owoc zawsze jej lepiej smakuje. „Zastajemy tu rzeczy wprost nie do uwierzenia", wyraził się o tej sprawie jeden z członków komisji Wickersham'a, o której piszemy poniżej.

Picie i pijaństwo pozostały więc nadal, mimo prohibicji, a na zdrowiu mieszkańców Ameryki odbijają się dotkliwiej może, niż w innych krajach, ponieważ produkty, nawet podawane w wytwornych lokalach, są często lichej wartości, niekiedy trujące.[1]) Alkohol, wyprodukowany w domowych dystylarniach, bywa zazwyczaj zanieczyszczony i zawiera sporo szkodliwych składników. Napoje importowane fałszuje się często dla zysku. Stwierdzono również, że znaczną ich ilość wyrabia się z denaturatu. Bliższe badanie jakości sprzedawanych napojów jest zbyt utrudnione, a wniesienie skargi o oszustwo niemożliwe, gdyż podług ustawy winnym będzie nietylko sprzedawca, ale i kupujący.

Inną niepowetowaną szkodą, jaką prohibicja amerykańska wyrządziła krajowi, jest głębokie zdemoralizowanie społeczeństwa. Ustawa prohibicyjna stanowi przecież część Konstytucji Stanów Zjedn., a tymczasem jest ona nieustannym przedmiotem dowcipów i drwin, a łamią ją — przy czynnem poparciu samych stróżów praworządności — zarówno szary koniec jak czołowi przedstawiciele społeczeństwa, nie wyjmując ministerstw i Kapitolu. Jak zgubnie wpływać musi taki stan rzeczy na ogół obywateli i zwłaszcza na młode pokolenie, które uczy się lekceważyć i poniewierać prawo, nie trzeba chyba tłumaczyć.

Żywiołowa siła ruchu antyprohibicyjnego uderza tem bardziej, że z przeciwnej strony nie zaniedbano niczego

---

[1]) Tak naprz. w New York, podług zestawienia departamentu zdrowia, zmarło z powodu zatrucia alkoholem: w r. 1921 — 119, w r. 1925 — 682, w r. 1926 — 758 osób.

w celu zgniecenia go. Zarówno *Anti-Saloon-League,* jak partja Republikańska (oficjalnie przynajmniej) i władze naczelne robiły wszystko, żeby wykonanie ustawy przeprowadzić w całej pełni, a na próby wyłamania się odpowiadały zdwojonemi represjami. Wspominaliśmy już o zreorganizowaniu służby prohibicyjnej w r. 1925. W dwa lata później nastąpiło nowe zaostrzenie kursu, a za prezydentury Hoovera, który był bezwzględnym wrogiem wódki, wina i piwa, a prohibicję nazywał stale *noble experiment,* o złagodzeniu tego kursu nie było mowy.

A jednak wszelkie wysiłki pozostawały bezskuteczne. Bankructwo systemu prohibicyjnego stawało się coraz oczywistszem i społeczeństwo amerykańskie poczęło przecierać oczy.

I spostrzegało coraz więcej. Obiecywano mu np., że nieszczęśliwe wypadki komunikacyjne, których główną przyczyną miało być używanie alkoholu, znikną lub przynajmniej zmaleją znacznie z jego usunięciem. Tymczasem rzeczywistość nie potwierdziła tych oczekiwań. Liczba wypadków automobilowych, spowodowanych nietrzeźwością szoferów, pozostała nadal wysoka.

Zapowiadano mu również, że z chwilą zniesienia używania alkoholu przestępczość w kraju zmniejszy się bardzo. Tymczasem nie sprawdziło się to. Walki konkurencyjnych organizacyj handlarzy alkoholem z policją i jeszcze częściej pomiędzy sobą, pomnażają liczbę zabójstw, bandyckich napadów, rabunków i kradzieży. Owszem ustawa prohibicyjna stworzyła sama nowy rodzaj przestępstwa, surowo karanego, mianowicie wyrób, sprzedaż czy kupno napojów alkoholowych. Jak bardzo zaś wzrosły te nowe „przestępstwa", świadczy fakt, że w r. 1930, a więc po 10 latach istnienia prohibicji, liczba dochodzeń sądowych w tej sprawie, w samych tylko sądach federalnych, była 8 razy większa od liczby takich wypadków w r. 1914.

Wytężona akcja nad tępieniem wykroczeń przeciw prohibicji miała jednak inny jeszcze, pośredni i nieoczekiwany skutek. Ułatwiała mianowicie szerzenie się i bezkarność prawdziwych zbrodni, ponieważ — jak w r. 1928 w amerykańskiem czasop. *Spectator* pisał statystyk, Fr. L. Hoff-

mann — „większa część naszej olbrzymiej policji i sądownictwa jest zajęta sprawami pogwałcenia prohibicji", zamiast poszukiwać prawdziwych zbrodniarzy. A wśród tych zbrodniarzy, rzecz może najboleśniejsza, coraz liczniej zjawia się młodzież. Pod tytułem „Wiek dziecka" czytaliśmy niedawno w czasop. *Archiv f. Kriminologie* (Berlin 1932, nr. 5—6, str. 261), że podług statystyki kryminalnej z Filadelfji „liczba młodocianych przestępców wzmogła się. Dorośli i starsi wiekiem przestępcy znikają powoli z ław oskarżonych, a ich miejsce zajmują winowajcy, którzy są niemal chłopcami"; a chodzi tu nie o drobne tylko kradzieże, lecz o ciężkie napady bandyckie.

Zorganizowane szajki bandytów, powstałe głównie z okazji prohibicji, są i będą zapewne nawet po jej zniesieniu przez długi czas plagą Stanów Zjedn. Wiemy przecież z dzienników, że potrafiły steroryzować miljonowe miasto Chicago, a władze bezpieczeństwa okazały się wobec nich bezradne. W porównaniu z takim Al Capone czy Jack Diamond'em nasz warszawski „Tasiemka" jest tylko mizernym karzełkiem. Stąd inny Amerykanin przestrzegał już przed paru laty, że „jeśli prohibicja potrwa jeszcze 10 lat, to rządy nad naszym krajem przejdą w ręce szajki zbrodniarzy".

Innym momentem, na który amerykański *business'man* zawsze był czuły, a który przy dzisiejszym kryzysie przemawia do przekonania wszystkich, są olbrzymie straty finansowe, spowodowane pośrednio przez prohibicję. Dawniej społeczeństwo piło, ale ogromne dochody, płynące z tego źródła do skarbu, spłacały przynajmniej częściowo szkody, wynikłe z nadużyć. Dziś Amerykanie piją również, ale skarb państwa nie ma z tego żadnego dochodu, owszem dodaje jeszcze grube miljony dolarów na bezskuteczne podtrzymywanie ustawy prohibicyjnej. Dochód zaś cały i to wysoki, idzie do kieszeni przemytników i handlarzy, którzy nie płacą z tego tytułu żadnego podatku. Tej rzeczy obywatel Stanów Zjedn. nie może już darować!

Toteż nie trzeba się dziwić, że popularność prohibicji spadała stale coraz silniej. I jeśli w ciągu pierwszych lat *régime'u* prohibicyjnego trudno było polegać na sądach, wydawanych przez zwolenników czy przeciwników prohi-

bicji, gdyż jedne i drugie były stronnicze, to z biegiem czasu te ostatnie spotykały się z coraz większem zrozumieniem. Na ich korzyść przemawiały też poważne ankiety i badania. Wyniki dochodzeń amerykańskiego stowarzyszenia *Association against the prohibition Amendment,* [1]) ogłoszone w 10-lecie prohibicji, dały „obraz moralnej i politycznej korupcji", przez nią spowodowanej. W ankiecie, zorganizowanej z wiosną 1932 r. przez Redakcję *Literary Digest,* wypowiedziało się przeciw prohibicji około 40.000 prawników, 60.000 lekarzy i 77.860 bankierów, które to cyfry stanowią okrągło 76, 75 i 66% członków wymienionych zawodów.

Najważniejszym jednak dokumentem w tej mierze jest, ogłoszone w styczniu 1931 r. sprawozdanie Komisji *Wickersham Commission.* Komisja ta, tak nazwana od nazwiska jej przewodniczącego, posiada szczególniejszą wagę, gdyż została wyznaczona przez b. prezydenta Hoovera w celu gruntownego zbadania, jak przedstawia się konkretnie zagadnienie prohibicji w kraju. Obszerny, rzeczowy jej *Report* można streścić krótko w następujących paru punktach: 1) stwierdza się, że ustawa prohibicyjna zawiodła, ponieważ coraz bardziej staje się niezdolną do zapobieżenia używaniu napojów alkoholowych i wiara w możliwość jej przeprowadzenia niemal znikła; 2) posiada ona wprawdzie pewne dodatnie strony, ale ujemne jej następstwa są jeszcze większe; 3) opinja publiczna coraz mniej popiera ustawę prohibicyjną.

Wyrok powyższy był niemal druzgocący, zwłaszcza że nikomu nie było tajnem, że obok pewnej liczby sekciarzy i *fanatics,* popierają szczerze ustawę prohibicyjną przedewszystkiem *bootlegger'zy* i inni wyzyskiwacze. Toteż zwolennicy ustawy coraz częściej przyznawali się do pomyłki, a niektórzy tak się wstydzili, że mogli podtrzymywać „tak absurdalną ustawę", że dla usprawiedliwienia uciekali się niekiedy do dziecinnych wprost wymówek.

Prohibicja amerykańska nie zdała więc egzaminu. Większość społeczeństwa ma jej już dość i dała temu wyraz przy ostatnich wyborach prezydenta i ciał ustawodaw-

[1]) Oprócz tego stowarzyszenia, działającego na terenie Stanów Zjedn., istnieje także międzynarodowa Liga antyprohibicyjna, *Ligue Internationale des adversaires de la Prohibition,* z siedzibą w Paryżu.

czych. *The folly of prohibition* mija. Od piwa zaczyna się stopniowa jej likwidacja. Jak daleko posunie się ten proces, trudno narazie powiedzieć. Nie łatwo bowiem usunąć samą ustawę. Gdy raz wcielono ją do Konstytucji, potrzeba do zniesienia jej znowu $^2/_3$ głosów Kongresu (sejmu i senatu) oraz zgody $^3/_4$ ogólnej liczby Stanów (36 na 48). Toteż przeciwnicy prohibicji łączyli zazwyczaj swe nadzieje z modyfikacją *Volstead Act*, przez podniesienie procentu alkoholu, jaki zawierać musi napój, aby go można nazwać „upajającym", a tem samem zakazanym przez ustawę. Inni sądzą, że najskuteczniejszym środkiem obalenia samej ustawy będzie odmówienie poparcia w wykonywaniu jej przez poszczególne Stany, co w praktyce byłoby równoznaczne z jej likwidacją.

Jakikolwiek jednak będzie los ustawy, stanie się tylko wyjściem z trudnego obecnego położenia, ale nie będzie jeszcze rozwiązaniem właściwego zagadnienia prohibicji. Motywy, jakiemi kieruje się dziś większość opinji amerykańskiej, jakkolwiek przekonywujące, są raczej praktycznej natury. A tymczasem problem prohibicji, w której pęta zakuto na tyle lat 120 miljonów ludności, wymaga głębszego, zasadniczego rozważenia. Na taki krok zdobyli się wszakże, jeśli chodzi o szersze warstwy tamtejszego społeczeństwa, tylko katolicy i tem się chlubią obecnie. Stanowisko nasze — powtarzał niejednokrotnie katolicki tygodnik *America* (New York) — było od początku zdecydowane i nie potrzebujemy go zmieniać dopiero po obecnych smutnych doświadczeniach.

Była wprawdzie niemała liczba katolików, którzy oświadczyli się za prohibicją, ale ci kierowali się tylko samą ideą uzdrowienia i podniesienia społeczeństwa, a nie wglądnęli bliżej, czy piękny ten cel może uświęcić obrane do niego środki. Pozostali zajęli jednak od początku stanowisko negatywne, reprezentowane dziś przez ogół uświadomionych katolików, także poza granicami Ameryki, a oparte na gruntownej analizie samego zagadnienia.

Zwolennicy prohibicji szukali dobra kraju, chcieli przeciwdziałać rozpanoszonemu pijaństwu — to prawda, ale przesadzili przy tem, nie cofając się przed gwałceniem wolności osobistej i sprawiedliwości. Co innego jest bowiem używanie napojów alkoholowych, a co innego naduży-

cie. Tylko to ostatnie jest złem, a niema żadnej racji, by ludziom, którzy umiarkowanie z tej możności korzystają, zabraniać tego bezwzględnie i pod karą. Takie postępowanie jest więc gwałtem, zadanym wolności osobistej, — *an invasion on rightful liberty* (*America*, 3. XII 1932, str. 208) — a zastosowane do ogółu społeczeństwa staje się tem samem poważnem naruszeniem sprawiedliwości, *gravely injurious*.

Dlatego też, jak pisze naczelny redaktor poważnego katolickiego miesięcznika angielskiego, *The Month* (Londyn, r. 1932, t. II, str. 245), katolicy nie potępiają prohibicji amerykańskiej dlatego, że zawiodła w swem wykonaniu: „choćby nawet została uwieńczona najzupełniejszem powodzeniem, pozostałaby tak samo niesprawiedliwą, chyba że to jej powodzenie byłoby wynikiem (jednomyślnego) uznania jej przez ogół obywateli". Tymczasem kto zna dzieje wprowadzenia ustawy prohibicyjnej w Stanach Zjedn., wie dobrze, że takiej jednomyślności nigdy nie było, a ustawę dlatego właśnie włączono do Konstytucji, by zmusić obywateli do jej zachowania, choćby nawet nie mieli do tego chęci. Dlatego też ustawa amerykańska jest „w samej istocie swej niesprawiedliwą".

Bezwątpienia całkowita wstrzemięźliwość od alkoholu może być i jest w warunkach konkretnych czemś cennem, lecz musi płynąć z własnej woli i przekonania, ponieważ jest tylko r a d ą, a nie p r z y k a z a n i e m. Uważanie wszelkich napojów za coś z istoty swej złego, nie znajduje uzasadnienia ani w racjach rozumowych, ani w Objawieniu, lecz jest manicheizmem, wietrzącym tylko wszędzie zło. W tem znaczeniu kard. O'Connel, arcb. Bostonu, potępił „prohibicję przymusową jako wyraźnie sprzeczną z Pismem św. i katolicką tradycją".[1])

Absolutny zakaz i pozbawienie możności picia są wskazane u dzieci, a u dorosłych jeśli chodzi o jednostki chore lub też nałogowo, ze znaczną własną i cudzą szkodą nadużywające alkoholu. Zakaz ten ma wówczas charakter raczej leczniczy względnie profilaktyczny i może mieć za-

[1]) Fanatyzm niektórych sekciarzy amerykańskich posunął się tak daleko, że wydawali Pismo św. „oczyszczone" z tych wszystkich miejsc, które mogły przemawiać na korzyść używania wina.

stosowanie u pewnych jednostek, ale nigdy w odniesieniu do całego społeczeństwa.

Ustawa prohibicyjna wyrządziła też ciężką krzywdę całemu społeczeństwu amerykańskiemu, które potraktowała jak dzieci lub nałogowców, ludzi bez woli i charakteru. Jakto — szydzono z Amerykanów w Anglji — „więc mamy powiedzieć, że ogromna większość 120-miljonowego narodu jest moralnie tak słaba, że nie można jej pozwolić na używanie napojów z obawy przed nadużyciem? Przecież w każdym kraju istnieje ten sam problem, a jednak dla zapobieżenia złemu wystarczą pewne przepisy ograniczające.[1]) Czyż więc społeczeństwo amerykańskie byłoby unikatem w świecie cywilizowanym, któremu nie można zaufać? Czyż byłoby jedynym narodem, który nie potrafi korzystać umiarkowanie z darów Bożych i który trzeba dlatego pozbawić wszelkiej możności ich używania, jakby to był jakiś dziki naród lub same dzieci?"

Zwolennicy prohibicji bronią się oczywiście przed takim zarzutem i tłumaczą, że w interesie dobra społecznego starają się to usunąć, co jest źródłem moralnej degradacji i materjalnych strat. — Lecz na to strona przeciwna odpowiada, że gdyby racja powyższa była wystarczająca, trzebaby podobnie przymusowo zamknąć i inne źródła możliwego złego, jak palenie tytoniu, kino, teatr, niektóre przedmioty zbytku. Zasada taka, konsekwentnie przeprowadzona, doprowadziłaby do absurdów, wykonanie jej byłoby wogóle niemożliwe.

W dwóch tylko supozycjach byłaby ustawowa całkowita prohibicja dopuszczalna: 1) gdyby ogół społeczeństwa jednomyślnie jej żądał; zauważyć wszakże należy, że wówczas ustawa taka nie byłaby potrzebna, a tem mniej sankcje karne. 2) Jeśliby zachodził wypadek, że „jakiś naród byłby jako całość zagrożony upadkiem z powodu picia, a nie

[1]) Próby wprowadzenia prohibicji robiono i w innych krajach — w Irlandji, Finlandji, Norwegji — lecz nigdzie nie posunięto się do tak niedorzecznego określenia napojów „upajających", jak *Volstead Act*. Próby te zresztą zlikwidowano wszędzie z powodu niepowodzenia podobnego jak w Ameryce, oraz ze względu na finanse kraju i handel z innemi państwami.

możnaby znaleźć żadnego innego środka zaradczego, jak tylko absolutną i powszechną prohibicję — dopiero oba te warunki łącznie wzięte mogłyby stanowić moralne uzasadnienie dla zamachu, jakim jest prohibicja dla wolności osobistej".

Przypuszczenia powyższe są jednak nierealne i dlatego — streszczamy tu głosy katolickiej poważnej prasy anglosaskiej — prohibicja zupełna w rodzaju amerykańskiej pozostanie zawsze „sprzeczna z rozumem i z prawem natury... W każdym razie ogólna zasada, że okazyjne nadużycie rzeczy, które mogą być także dobrze użyte, usprawiedliwia całkowity ich zakaz, jest zupełnie niezgodna z moralnością. Nadużycie rzeczy, która sama w sobie nie jest zła, jeśli tylko nadużycie to nie jest powszechne i nie dochodzi do ostatecznych granic, może i powinno być usunięte przez ustawowe ograniczenia i kontrolę, a nie przez bezwzględną prohibicję". Nadużycia *saloon'ów* można było poskromić zapomocą odpowiednich przepisów, jak to uczyniono w innych krajach; a jeśli „purytańska Ameryka" nie znalazła innej drogi do tego celu, jak tylko absolutną prohibicję, jest to ekstremizm niechrześcijański, świadczący właśnie o zaniku wpływów chrześcijaństwa w ewangelickich kościołach tamtejszych. Dlatego ustawa prohibicyjna musiała zawieść w praktyce i „wyrządziła niewypowiedziane szkody" moralne i materjalne, ponieważ jest sama w sobie nieetyczna, niechrześcijańska, niekatolicka, jest „złym środkiem do dobrego celu". Katolicy muszą się dziś cieszyć, że ten „źle obmyślany i zgubny eksperyment zbliża się do końca".

Ten, ze stanowiska moralnego i religijnego ujemny charakter prohibicji sprawił, że i przedstawiciele episkopatu amerykańskiego zabrali głos w jej sprawie. Poczynając od r. 1926 potępili ją w różnej formie i przy różnych okazjach: kard. Hayes, arcb. New Yorku, kard. O'Connell, arcb. Bostonu, kard. Mundelein, arcb. Chicago, arcb. Messmer z Milwaukee, arcb. Curley z Baltimore i i. W r. 1929 arcb. Mc Nichols z Cincinnati potępił w Liście pasterskim prohibicję i wezwał katolików do głosowania „przeciw despotyzmowi suchych fanatyków". Także episkopat Australji i Nowej Zelandji, z Delegatem Apostolskim na czele, wydał

w październiku 1928 r. oświadczenie, potępiające prohibicję bezwzględną jako środek zaradczy przeciw nadużyciu alkoholu.

Z doświadczeń i rozważań dotychczasowych wyłania się więc dostatecznie jasno stanowisko, jakie w kwestji ustawowej i absolutnej prohibicji powinien zająć katolik. Spoglądając na olbrzymie szkody, wyrządzane przez alkoholizm, czyli nadużycie alkoholu, cieszyłby się, gdyby mógł usunąć go doszczętnie z powierzchni ziemi. Wie jednak, że to utopja i dlatego idzie drogą pośrednią, jedynie realną, a unika obu skrajności: potępia pijaństwo, ale potępia również przymusową prohibicję bezwzględną.

Popiera natomiast całą duszą abstynencję zupełną, ale d o b r o w o l n ą. Pamięta bowiem, że jest ona tylko „radą" a nie „przykazaniem" i dlatego nie może być narzucona gwałtem; że jest pewnego rodzaju ideałem i stąd musi być wypływem wolnej decyzji osobistej, gdyż przymusowe robienie kogoś cnotliwym nigdy nie prowadzi do celu. Dlatego nawet lokalną prohibicję, którą można uznać na niewielkich obszarach (naprz. w gminach), należy uważać za obowiązującą tylko o tyle i tak długo, o ile ogół tego sobie życzy. Przymus w tej rzeczy można stosować tylko do dzieci, a poza tem w wypadkach odosobnionych, gdy chodzi o poważną chorobę lub zgubny w następstwach nałóg.

Z takiego postawienia rzeczy nie wynika jednak bynajmniej, jakoby obywatelom należało pozostawić w tej dziedzinie nieograniczoną swobodę. Wprost przeciwnie. Państwo, jako obowiązane do troski o dobro ogółu, nie może patrzeć obojętnie na te czynniki, które mogą zagrażać temuż. A do takich czynników należy alkohol, gdyż użyty w większej ilości zmniejsza świadomość i odpowiedzialność człowieka, prowadzi łatwo do nadużyć, nieposzanowania prawa, nieszczęśliwych wypadków, gwałtów i zbrodni. Państwo ma więc prawo i obowiązek wkroczyć w tę dziedzinę, lecz nie przez bezwzględny zakaz używania napojów, tylko przez utrzymanie tego użycia we właściwych granicach.

Ta pożądana ingerencja państwa odbywa się przedewszystkiem drogą stosownych przepisów ustawodawczych, mających na celu k o n t r o l ę nad produkcją i sprzedażą

napojów alkoholowych, które stara się utrzymać w granicach umiarkowania przez różnego rodzaju utrudnienia, jak: ograniczenie czasu i miejsca sprzedaży, naprz. zakaz sprzedawania alkoholu w sąsiedztwie szkół, koszar, miejsc zebrań, w okresie poborów, w pewnych godzinach dnia i nocy. Do tego samego celu służy obciążenie napojów alkoholowych wysokiemi podatkami (monopol), które utrudniają nabywanie towaru w większej ilości, zwłaszcza sferom robotniczym. Tu należy wreszcie ograniczenie koncesyj dla miejsc sprzedaży. Cała zaś ta, w tej czy innej formie wykonana, kontrola będzie tem skuteczniejsza, im więcej zostanie dostosowana do warunków miejscowych i jeśli będzie miała za sobą opinję społeczeństwa; w przeciwnym razie sprzeniewierzenia się będą częste.

Innym cennym środkiem jest uświadamianie społeczeństwa o szkodliwych następstwach alkoholu, a w szczególności jego nadużycia. Odbywa się ono przez pouczanie, wychowanie, zwłaszcza młodzieży, przez szerzenie innych sposobów rozrywek i przyjemności, przez sport, troskę o zdrowe i miłe mieszkanie, szerzenie używania napojów bezalkoholowych i t. d.

Niezmiernie ważną, owszem konieczną jest wreszcie akcja na rzecz abstynencji, powściągliwości od napojów alkoholowych, która może być dwojaka (nie należy o tem zapominać!): całkowita lub częściowa. A ponieważ liczne i dobrze prowadzone koła abstynenckie wywierają silny dodatni wpływ na otaczające je środowisko, przeto moralne i materjalne popieranie organizacyj abstynenckich jest zarazem doniosłym czynem wychowawczym i obywatelskim.

Prohibicja amerykańska, jak widzieliśmy, zamknęła właśnie przed sobą wszystkie właściwe drogi do ratowania i uszlachetnienia społeczeństwa. I dlatego musiała zbankrutować. Obecna jej agonja nie powinna w nikim budzić żalu. Jest ona tylko — że użyjemy słów z jednego znanego filmu — *an glory end of an unglory life.*

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Próba syntezy nowej nauki o literaturze.

(Dokończenie).

Poetyka psychologiczna nie zarzuciła też dawnego podziału normatystów poezji na epikę, lirykę i dramat, szukając w nim raczej podstaw praktycznych a nie estetycznych, gdyż we wnętrzu każdego dzieła forma ulega niejednokrotnie odmianie. Za Wundtem uznała pierwotną jedność, z której wyłoniły się poszukujące własnych środków i stylu rodzaje. W epopei wskazała na resztki dawnych wątków powiastkowych, odróżniając ją od liryki, ze względu na przedmiotowość, bezosobistość, plastykę, jasność symboliki, dalej zwięzłość, umiar tonu i wolność tempa, wreszcie specjalną syntezę. Zdaniem jej, epikiem kieruje odrębna artystyczna wola, dominująca w dążności do oglądowości, szerokości, określoności.

A romans poczytuje ona nie za identyczny z epopeją, bo sposób przedstawienia jest inny. Odpadły w nim jakby koncentracja i wzgląd na kształt, bo temat przeważał, bo zbyt poważne i głębokie motywy były tu raczej szkodliwe, bo studjum środowiska było ważniejszem, niż bohatera. Epopeja była wyrazem harmonijnej, niezróżniczkowanej, społecznej postawy raczej typów niż indywiduów. W romansie naiwność wiary i więzi społecznej uległy zatraceniu, ustępując zróżniczkowaniu, wyosobnieniu, wykazywaniu stosunku indywiduum do otoczenia i jego rozwoju. Nowe typy romansu, a także noweli doprowadzają dziś do nowych teoryj. Nowela stoi nawet bliżej dramatu ze względu na zwięzłość, tempo, drastykę słów przez nowelistę użytych.

Za lirykę uważa się znów uprzedmiotowienie wewnętrznego stanu twórcy. Twór liryczny ma swą

własną rację bytu a jego estetyczna wartość nie potrzebuje oparcia o dokumenty psychologiczne i biograficzne. Niema liryki bez symboliki, która istniała zawsze, choć tematowa zawartość jest raczej obojętną, a za temat można uważać rytmicznie działające słowo, za którem kryje się przeżycie ogarniające pełnię zagadnień indywidualnych i ponadindywidualnych. Liryczna konstrukcja jest bezwzględną koniecznością podyktowanym aktem ducha, który można rozpatrywać poza wszelką przypadkowością. Istota liryki, jak i epiki, góruje w wymiarze i w kompleksach o wartościach przedmiotowych i bez związku z chwilą.

Im mocniejszym jest twórca, tem wyraźniej występuje u niego wola artystycznego kształtu. Swoiste jego właściwości wynikają ze struktury twórcy. Rozróżniając w liryce zawartość i kształt, nie można tego ostatniego utożsamiać z pojęciem gatunku lub formy metrycznej. Miarą wartościowania jest tu raczej jedność rytmiczna o wyraźnej barwie dźwiękowej, gdzie wartości tkwią poniekąd w nastroju, co wszystko prześwietla. Każdy twór liryczny płynie we własnym rytmie, by symbolikę podnosić do pełnego tonu. Normy metryczne kształtują jedynie takt, chwytając rytmiczną falę, co jest zresztą ogólnem życiowem zjawiskiem.

A więc ani temat ani metrum nie grają roli w liryce, choć wprowadzenie ich ustaliło tabele typów wedle cech raczej zewnętrznych. Chodzi przecież o istotę wyrazu, co jest raczej w związku ze strukturą twórców, czyli o to, co już Dilthey siłą twórczą mianował i gdzie, słowo służące jako środek, jest też dane jako sens, jako obraz, jako dźwięk. Jeżeli epika lubi ekstensywność, lirykę znamionują nastawienie koncentryczne, jedność ujmującego świat uczucia, prostota i zwięzłość. Opiera się ona o wewnętrzny obraz, mający swe elementy w przedstawieniach działających na myśl i wolę jako podmioty, gdy przedstawienia są raczej przedmiotem. Nad myślą i wolą panuje uczucie, którego kręgu one nie pokrywają. W tem tkwi też wielkość twórcy, że on tajemne związki, jakie członki światowego związku wiąże, intuicyjnie — poznaje i odkrywa.

Zwyczajnie, skoro chodzi o zjednoczenie zawartości i kształtu dzieli się lirykę na postaciową i bezpostaciową.

Inną jest ta postaciowość w każdej epoce, choć w każdej zmysłowo działającym przedmiotom odpowiadają przedstawienia, jako korelaty. Ze współistnienia i następstwa uczuć powstają różne harmonje i kontrasty. A to, co nazwano wewnętrznym obrazem, ma swój swoisty byt w oderwaniu od empirycznego związku. Ten obraz staje się jakby wewnętrznym przedmiotem, jakby antycypacją świata, by wystąpić kiedyś przy pomocy środków uprzedmiotowienia, twórczego nastroju, sposobów stawania się wewnętrznego.

Jeżeli wogóle rozważamy metrum jako zewnętrzną formę, to wewnętrzną będzie już związek słów, z których każde zosobna stanowi tylko oderwane pojęcie, związek dyktowany właśnie nastrojem. Za sposoby uważać zaś wypada wyrazy stojące w związku z oględnością, rytmiką, dźwiękowością. A tu zwłaszcza symbolizm osiągnął wyniki takie, że zawartość, dźwięk słowa zupełnie się pokryły. Dowodzi to czegoś związanego z istotą twórcy, co objawia się też i w prozie, gdzie występują także rytmiczność, stroficzność i inne elementy poezji. Liryka bywa zaś wogóle wrażeniem we wspomnieniu później odczutego podniecenia, a nie czemś opartem o odczucie i może wyrażać najwyższą prawdę, ale ani śladu rzeczywistości.

Przedmiotowe momenty wewnętrznego obrazu nie są równowartościowe. Ponieważ jednak, jak i w epice, występuje w nim istotność, więc liryka żąda oglądowego wyrazu, co nie jest jednoznaczny z opisem. Rozstrzyga tu, jak i w dramacie, pewna kombinacja, pewien wybór, pewne uporządkowanie. Kształt artystyczny a stan empiryczny, to są dwie różne rzeczy, z których zdaje sobie sprawę raczej poetyka zbliżona do fenomenologicznej. Od stanu lirycznego do wewnętrznego obrazu, od pierwotnej formy do ostatecznego ujęcia wiedzie długa droga stawania się. Oglądowo-dźwiękowy kompleks, jaki przedstawia utwór, żąda tematyki i konstrukcji lirycznej. Rozumie to nawet lepiej poetyka rosyjskich formalistów, gdy rozważa je na podstawie historycznej i formalnej i kładzie nacisk zwłaszcza na tak zwany paralelizm tematowy, syntaktyczny, leksykologiczny, stroficzny, intonacyjny.

Jak epika i liryka, tak i dramat wynikł z pierwotnej jedności rodzajów, by kształtować zmienną grę charakterów, wypadków i stanów ludzkich w ostrem ich przeciwieństwie i wzajemnem na siebie działaniu. Czasowa koncentracja jest w nim działającą formą, nie licząc bezpośredniego przedstawienia wewnętrznej i zewnętrznej akcji. Jeżeli tam słowo, to tu także jest zewnętrzność do oglądu, co czyni dramat poetyckiem ukształtowaniem organicznej czynności albo szeregu czynności. W jakimkolwiek typie dramatu istota jego kryje się w napiętej polarności akcji i reakcji. Musi być w nim jakiś związek przyczynowy, choć teorja ulegała różnym ewolucjom na temat celu, źródeł, tematu, formy, istoty dramatu.

Podłożem jego jest niewątpliwie zagadnienie etyczne, skoro człowiek walczy w nim zawsze o siebie i w związku ze światem. Publiczność dramaturga jest też inną od kół epika i liryka, gdyż musi on z niej uczynić na chwilę jedność, starać się o wewnętrzną dynamikę w rozwoju akcji, o natężenie zasadniczych sił w duszach bohaterów. Obojętnym jest tu właśnie typ dramatu, w którym również słowo musi odpowiadać antytetycznej strukturze całości, podobnież jak i związek słów. A wszystko to jest właściwie zewnętrzną formą, co odkrywa wewnętrzną, gdzie tai się właśnie dynamika dzieła czyli duchowa postawa, motywacja, symbolika.

Motywację nazwano uczuciem życiowem a symbolikę siłą popędową. W pierwszem, jak mówi Ermatinger, góruje uczucie lub intelekt jako czynniki kształtujące życie w sposób daleko wyrazistszy w świecie nowożytnym, niż to było za antyku. Że waga etyki dziś słabnie, więc i patos dramatu zanika. W motywacji obowiązuje prawo obce rzeczywistości, obowiązuje idea, od której uzależnia się cała organizacja tematu. Istota dramatu wymaga zaś pełnej harmonji idei i tematu, skoro napięcie polarności osiąga się wtedy, gdy wszystkie możliwości akcji są wyczerpane. Musi w twórcy być pewien etyczny porządek a idei nie można utożsamiać z tendencją.

Co do symboliki, to jest ona jakby objawieniem czegoś widzianego w sposób duchowy, czy chodzi o naiwną, czy o racjonalistyczną, czy o idealną, czy o charakterystyczną,

jak to widzimy w micie, w alegorji, w pokazywaniu całości przez część u romantyków, w odtwarzaniu rzekomej rzeczywistości u realistów. Ma też dramat swą rozległą historję od czasów, gdy był związany z religją za antyku lub średniowiecza, gdy chodziło o uzmysłowienie w nim zwalczających się sił albo o uzmysłowienie historyj świętych i zbudowanie, gdy wzmagały się realizm i indywidualizm w miejsce dotychczasowej stylizacji i typizacji, gdy nastąpiło odniesienie się do ogółu a nie do pewnej warstwy.

Niemałą rolę będą grały w tej ewolucji idee mające kształt w charakterach. Dramat wchodzi nawet w styczność z romansem, co nie wychodziło pierwszemu na korzyść, także z liryką, w towarzystwie efektów raczej malarskich. Wzmogła się symbolika w wyrażaniu tego, co wieczne i ludzkie. Wróciły znów uproszczone typy, wyraziła się wola życia wbrew intelektowi. W języku, zwłaszcza u ekspresjonistów, użyto skrótów i odsunięto się, w przeciwieństwie do realistów, jak najdalej od rzeczywistości. Pogłębiła się też teorja dramatu w porównaniu z arystotelesową, podkreślając główną część akcji, istotę głównych charakterów, zabarwienie całości i znaczenie idei, konieczność stopniowania i zamknięcia.

Pojęto też lepiej związek dramatu z teatrem, gdzie modernizm pragnął spotęgować środki wyrazu i uczynić z dramatu zespół sztuk jakby w myśl dążeń romantyków. Nie wychodziło to zawsze na korzyść istoty dramatu o nader często trudnej do rozwiązania symbolice. Obrazy i nastroje przesłoniły ideę tak, że trudno ją rozpoznać, choć jednocześnie dokonał się jakby nawrót do prymitywu, co kazało obejść stare formy kompozycyjne. Reżyserji, inwencji, fantazji nie brakło modernistom a muzyka stała się u nich ważnym elementem dramatycznej dynamiki. Ale i w nich istota dramatu, tkwiąca w polarności idei, pozostała oczywiście.

Uznawszy, że poezja jest sztuką słowa, poetyka psychologiczna zastanawia się również i nad językiem w jego formach stylowych. Mniemając, że tylko ten obraz językowy jest poetyckim, który zwraca się do poczucia estetycznego, wyróżniła ona w języku momenty uczu-

ciowe, intelektualne, dźwiękowe, znaczeniowe. Na ten ostatni zwróciła uwagę semazjologja jako nauka o znaczeniu wyrazów, wreszcie nowsza lingwistyka, która od generalizacji przeszła do metody indywidualizującej, a ta poszukuje specyficznych cech języka epok, grup i jednostek, tkwiących w pewnych określonych warunkach. Nadewszystko wyróżniła moment praktyczny od estetycznego, w czem tkwiło i uznanie dla samoistności języka jako odpowiednika danej psychicznej struktury.

Szczególnie Croce poczytał za istotę języka ekspresję ujętą intuicyjnie. Uznał w języku fakt estetyczny a w historji języka historję duchowych form wyrazowych. Kazał patrzeć na język jako na dzieło sztuki, nie rozróżniając historji języka od literatury. Również i Vossler, odsuwając się od psychologizmu i socjologizmu, zwrócił uwagę na niezmierzone bogactwo indywidualnych znaczeń językowych, ujmując lepiej, niż dawniej, różnicę między poezją a prozą zwłaszcza w charakterystyce językowego wyrazu, co uwydatnia się w innej składni, w innych wartościach słów, w innej roli dźwiękowości.

I stylistyka, jako część poetyki, nabrała innego charakteru. Była ona niegdyś normatywną, teraz stała się raczej nauką o środkach uczuciowej ekspresji czyli badającą jednorazowe, odrębne ugrupowanie na podłożu jakiejś indywidualności. Nie analizowała elementów, nie poszukiwała psychicznych przyczyn, ale uwydatniała znaczenie i rolę jednostkowej ekspresji na tle ogólnem. Taka estetyzująca stylistyka może być systematyczną, gdy bada wogóle estetyczne środki językowe, może być i różnicową, gdy szuka swoistej językowej fizjonomji danego twórcy. Systematyczna mówi oczywiście najpierw o słowie w znaczeniu formalnem i treściowem, potem o zdaniu w takiem samem znaczeniu, wreszcie o perjodzie i rodzajach prozy.

Zatem stylistyka zmieniła się z normatywnej w opisową, nie wykluczając stosowanej, która wiąże się raczej z gramatyką. W badaniach nad stylem zapanował w niej estetyczny punkt widzenia. Różnicowa rozumie zaś przez styl zespół sposobów wyrażania charakterystycznych dla danego twórcy.

Analizuje w jego stylu nie wszystkie figury stylistyczne, o których mówi systematyczna, ale te, co pozwalają wniknąć w artystyczny charakter dzieła i w psychiczną strukturę twórcy. Stoi zatem na stanowisku opisowem, uwzględniając pracę genetyków o tyle, o ile one dają materjał do oceny, jak to idący za swemi artystycznemi intencjami twórca wzory przetwarzał.

Bada zatem synonimikę, budowę zdania, porównania i przenośnie, epitety i wiersz, by w świetle zanalizowanych cech formalnych, określić artystyczną wyobraźnię i cechy jego refleksyjności i uczuciowości. Tak wygląda dziś opis stylu, któremu patronują, poza Crocem i Vosslerem, tacy estetycy, jak Müller-Freienfels i Ermatinger. Co się tyczy wiersza, to ci sami estetycy psychologowie traktują go też jako język związany kiedyś z muzyką i celujący rytmem, rozczłonkowaniem, rymem, czyli tem, co nazywają oni wogóle melosem w przeciwieństwie do etosu czyli znaczeniowości.

Rozróżniwszy w tym języku środki wewnętrzne i zewnętrzne, wskazują oni na pierwsze, co stanowią właściwy melos czyli ton, kierunek i zmiany tonu, interwały. Odsuwając przenoszenie antycznych pojęć do nowożytnej twórczości i podkreślając melos także w prozie, dążą do uczynienia z metryki nauki słuchowej a nie wzrokowej, bo chodzi przecież o wiersz mówiony a nie czytany. Fizyczne reakcje odgrywają wogóle dziś rolę u teoretyków wiersza jak Sievers, Rutz i Saran. Zbadali oni lepiej dźwiękową formę wiersza, o ile ma ona charakter estetyczny, by ją opisać i wartościować. Tę formę dźwiękową związano z zawartością, która odpowiada znów psychicznej strukturze twórcy.

Ze względu na to, że każda akcja duchowa zbiega się z fizyczną, zwrócono uwagę i na reakcje motoryczne, określając formę dźwiękową jako kompleks właściwości akustycznych, rytm jako układ zgłosek i pauz, melodję jako ruch toniczny i wysokość tonu. Rytm pojęto inaczej niż dawniej, bo w związku z czasem i przestrzenią, gdzie członki tego, co mianowano przebiegiem, muszą na siebie zachodzić i wzajemnie się sobie podporządkowywać. Rytm jest więc systemem stosunków w całości i nie zależy od zgłosek i to-

nów, by wywołać wrażenie przyjemne ze względu na określoną jedność złożenia członków.

Rytm jest więc częścią estetyczną przeżycia, gdy metrum służy tylko do klasyfikacji pewnych rytmów. Rozstrzyga o nim zawartość, więc inny jest rytm orkiestralny, meliczny, językowy. Melodja językowa polega na muzykalnych właściwościach wiersza lub prozy, która nie łączy się jednak z określonemi wysokościami tonu a ma tylko pewne stałe punkty jako czynniki melodyjnego wrażenia. Stumpf zauważył tu, że śpiew i mowa nie różnią się akustycznie a, gdy mowa użytkuje zmiany tonu, śpiew stopnie tonu. Saran rozróżnił zaś wewnątrz rytmicznego szeregu melodję łukową i girlandową, wyróżniając, prócz ruchu tonicznego, także położenie tonu.

Nazwę metryki poczytano teraz za ciasną, gdyż nie ogarnia ona istoty rzeczy, rozdzielając estetykę wiersza od historji wiersza. Rozdzieliwszy sposoby traktowania języka w wierszu na akcentujący, iloczasujący, alternujący, wreszcie liczący zgłoski, zwrócono uwagę na akcentujący, jako zgodny z tem, co nazwano szczytem słów. Za elementy wiersza poczytano rytm, dźwięk językowy, dźwiękowe położenie, barwę dźwiękową, sposób mówienia, wreszcie assonancę, aliterację i rym, jako ozdoby wiersza, co nie wyklucza też uwzględnienia stosunku między mową znaczeniową i dźwiękową oraz muzyki i jej historji.

Tak pojęta metryka zajęła miejsce między stylistyką a tematyką przynajmniej w poetyce rosyjskiej, która zwróciła i uwagę na to, co nazwała intonacyjną melodją w poezji, gdzie myśl i wyraz stosują się do linji rzeczy a słowa nizają się na nić tematu. Scharakteryzowawszy wymienione już sposoby traktowania języka w wierszu i różne sposoby wierszowania w wielkich literaturach europejskich, podkreśliła ta metryka ważność wiersza akcentującego, gdzie akcent jest znakiem rytmicznej jedności. Okazało się, że prawie każdy naród miał swój system albo przyjmował system sąsiadów.

W polskiem wierszowaniu poczucie rytmu wzmaga się przez wieki, pogłębiając się za renesansu, za oświecenia, za romantyzmu, gdy nowości zawartości musiał odpowiadać

kształt. Muzykalność wiersza Słowackiego przypominała muzykę Chopina, gdy Norwid wprowadził wiersz wolny i wyprzedzający modernistów subtelną rytmiką nastrojową, gdzie struktura opierała się na akcentach z miejsca na miejsce swobodnie przenoszonych. Jak u Wagnera rdzeń muzycznej osnowy wychodził z dramatycznego rdzenia akcji, tak u Norwida poetyckiemu słowu towarzyszył rytm jako muzyczna ekspresja języka. Nieregularność rytmu cechuje Kasprowicza, choć i ona wytwarza harmonję.

Rytm reguluje wogóle uczucie i daje rozkosz estetyczną. Ciąg rytmiczny zgłosek przedstawia jakby prozę muzyczną, którą rym uzupełnia echem o tym samym dźwięku. Romantyzm i modernizm kojarzyły zmienność rytmu z nowością obrazów, choć, mimo zmienności, panuje w wierszu zawsze regularność a rozczłonkowanie akcentacyjne zlewa się z rytmicznem. Więcej ruchu jest w wierszu romantycznym i modernistycznym, czy chodzi o rytm, czy o rozczłonkowanie akcentacyjne jako wyraz stosunku mówiącego do znaczenia słów. Oczywiście melodja zależy od rozczłonkowania akcentacyjnego i podkreśla wartości dźwiękowe zawarte w samem słowie. Ona też pozwala na ujęcie melosu w formie zbliżonej do śpiewu, choć recytator wiersza nie używa muzycznie dających się odmierzyć interwałów.

Nierymowość wierszy ma zaś też czar, bo rytmika, melodja, dźwięczność uwydatniają się w nich silniej. Z odmianą idej dokonywa się i rewolucja w wierszowaniu a dla poetów dźwięki mają barwy, smak i zapach czyli tak zwane synestezje. I proza ma swój rytm i melodję, choć poezja i proza działają nietylko dźwiękiem, ale i znaczeniem słów, co w miejsce racjonalnego dają uczuciowe. Wszakże myślimy w podnieceniu kompleksami i symbolami, co znaczy, że słowa znaczą tu coś więcej. Artysta, jak człowiek pierwotny, bierze wszystko za identyczne a formy znaczeniowe polegają na myśleniu kompleksami.

Wogóle język poetycki odbija o g l ą d o w o i d ź w i ę k o w o m o c n o o d j ę z y k a l o g i z o w a n e g o. Więc jest on bliższy muzyce, która, jak poezja, jest dla wszystkich i na tych samych zasadach polega, czy chodzi o melodję ludową czy o fugę lub symfonję. Obie wypływają

z tego samego pędu twórczego, operując zmianami wysokości tonu, w których tkwi właśnie istota melodji. Zmiany te nie są zaś tylko ilościowemi ale i jakościowemi, a im wyższy ton, tem większe życie. Że zaś najwyższe przybierają na szybkości przy ciągle opadającej wielkości ruchu, gdy przy najniższych ma się odwrotnie, więc ze współdziałania tych czynników wynikają różnice estetyczne wartości wysokich i niskich tonów, które można nazwać barwą tonu.

Każde wrażenie toniczne jest zawsze przeżyciem duchowem a skoro tylko muzyka, jak i poezja, objektywizuje, staje się czemś pozaestetycznem. Jest ona bowiem, jak liryka, raczej bezprzedmiotową i bez związku z rzeczywistością, by działać jedynie formą czyli muzycznym wyrazem. Stylizując, stopniując, rytmizując, musi muzyk, jak i poeta, stosować pewne prawa, jak rozczłonkowanie czasu, stopniowa zmiana tonu, system toniczny w przyjęciu jako punktu wyjścia pewnej harmonji, symetrja. Przypomina to prawa literackich rodzajów, bo przecież symetryczne ukształtowania są podstawami muzycznej tematyki. Najstarsze melodje poruszały się w równomiernych prostych rytmach, przekształcając się potem w pełnię stopniowych stosunków aż do granic polifonji, za jaką ma i dzieło literackie Ingarden.

Harmonja i rytm, jako odpowiedniki zawartości dzieła, są objawieniem prawidłowości, co jest w każdej melodji jednogłosu lub polifonji. Istnieje i trzeci wymiar, który nie jest ani wznoszeniem się i opadaniem, ani pójściem naprzód i wtył, ale jakby ruchem poprzecznym, co odpowiada znanym wymiarom poezji statyzmu, dynamizmu, normatyzmu. Istotnym środkiem działania jest też siła tonu i szybkości zmiany jego wysokości, by budzić asocjacje, bo i w muzyce jest subjektywizacja i objektywizacja. Ale najwyższą muzyką jest, jak w liryce, chyba ta, gdzie subjektywizacja dała objektywizację. Jej rodzaje, jak w rodzajach literackich, przynoszą też określony rytm. Oczywiście pierwotne uzewnętrznienia słowne były punktem wyjścia dla muzyki i poezji.

Potem słowo i muzyka poszły osobno, bo pierwsze stało się konwencjonalnem, tracąc toniczność czyli wokaliczność i rytmiczność czyli wagę zgłosek. Pozostała jednak

sztuce słowa zdolność wyzyskania tych pierwotnych środków, skoro poezja i dziś nie może być bez tonu. Muzyk zwraca zatem słowu jego znaczenie, co odnosi się szczególnie do zgłosek potrzebujących sensownych akcentów. Muzyczne wyjaśnienie sensu słowa może być zaś różnem.

I tu miejsce na wyjaśnienie tego, co nazwano rosyjskim formalizmem. Opiera się on o Wölfflina, Vosslera, Meyera, Sieversa, by odrzucać poza tem idealizm zachodu. Zdaje sobie przecież sprawę, że ma do czynienia z materjałem, którego nie pojęli realiści. Formalizm starł się zaś z marksizmem, co w badaniu literatury liczy się tylko z materjałem rzeczywistości i ze społeczną ważnością. Formalista Żyrmunskij, pomijając pogląd filozoficzny i metody psychologistów, odrzucił tezę Walzla o dwoistem obliczu dzieła, gdyż, jego zdaniem, niema zawartości bez kształtu i odwrotnie. Rozdzielenie ich podaje zawartość prawom świata empirycznego. Zawartość może być zatem jako temat, jako motyw, jako obraz, bo fakty zawartości są jedynie zjawiskami kształtu. Poetyka formalistyczna, przyjmując podział na materjał i ujęcie, uznaje w muzyce za materjał dźwięk, w malarstwie linje i barwy, w poezji nie obrazy, myśli, emocje, ale słowa. Poeta dokonywa tylko ich wyboru dla estetycznej struktury. Zatem elementy językowe są u niego tak zorganizowane, że mają pewien sens. Istnieje tedy poetycka fonetyka, leksykologja, syntaksa, poza semazjologją, co rozpatruje znaczenie wyrazów w dziele.

One to składają się na naukę o poetyckim języku, która nie mieści się w stylistyce, jak i traktująca o wyborze tematu tematyka i o budowie dzieła poetyckiego kompozycja. W niej traktuje się o rodzajach poetyckich oczywiście osobno. Na pojęcie stylu składają się te elementy językowe, co są w pewnym do siebie stosunku i tworzą całość. Zadaniem poetyki jest więc opisanie poetyckiego ujęcia i wskazanie jego głównych stylowych funkcyj w typologicznie najwięcej istotnych grupach poetyckich dzieł. Drogą porównawczą można wydzielić właściwości stylu poety, epoki lub szkoły, które odpowiadają i duchowej jedności.

Poezja, zdaniem formalistów, nie mówi językiem pojęć. Dźwięki w dziele nie są dodatkiem, ale przybierają jakby samodzielne znaczenie. Nadto element melodyjny nie jest wcale przypadkowy, skoro już Sievers wyrzekł, że Schiller, nim siadł do pisania, miał już ten element dzieła w duszy. Zadanie melodyjności urzeczywistnia się wyborem słów, przyczem melodję czyli intonację wypada odróżnić od melodji muzykalnej, skoro w pieśni melodje nie są zależne od tekstu a w dziele literackiem jest ona w funkcjonalnej zależności od wyrazu i frazy. Innym jest głos w śpiewie, inną intonacja utworu mówionego.

Forma rytmiczna pomaga zaś w urzeczywistnieniu melodyjnego zadania. Zdania pytające mają własną intonację. Normalny typ strofy jest zaś taki, że metrycznemu podziałowi odpowiada podział syntaktyczny. Czynniki syntaktyczne rozstrzygają znów o intonacji. Różnice polegają, zwłaszcza w liryce, na rozwiniętym składniowym systemie intonacyjnym, z czem łączy się znaczenie wyrazów, zabarwienie znaczeniowe, emocjonalny ton utworu. Formy rytmiczne ułatwiają zaś zrealizowanie utworu śpiewnego, który można odróżnić od mówionego i deklamacyjnego.

Marksizm zwalcza wprost wszelki idealizm, poczytując zjawisko ideologiczne za zmaterjalizowaną zbiorową świadomość, choć nie zaprzecza literaturze specyficznej struktury. Jej tematykę uzależnia od klasowej przynależności twórcy, mając dużo uznania dla Utitza, mniej dla psychologistów Lippsa i Volkelta. Literaturolog musi, zdaniem Miedwiediowa, przebiegać po tej samej drodze, co badacz innych społecznych tworów i iść za poetyką socjologiczną, choć wolno mu wyjaśniać, co to jest dzieło, jaką jego struktura, jakie są elementy, funkcje struktury, rodzaj, styl, przedmiot, motyw, bohater, metrum, melodyka. Nie odrzuca tedy marksizm poetyki teoretycznej, jako perspektywy dla socjologicznej.

Zwalcza marksizm formalistów, gdyż głoszą oni aspołeczność artystycznych struktur, nie wiążąc twórczości z żywem współdziałaniem i konkretną jednością socjalnego historycznego życia. Wyobrażają oni prąd raczej artystyczny, odpowiadający na zachodzie temu, co mówił Wölfflin i inni

na temat konstruktywnych zadań sztuki i środków przedstawienia. Przeprowadzono wtedy granicę między techniką a twórczością, doceniając każdy element artystycznej konstrukcji. Na zachodzie przyjął tę metodę idealizm, bo w formie widział pogląd na świat, gdy formalizm, jako obcy idealizmowi, nie uznał jego postawy. Jeżeli konstruktywizm w nauce o sztuce nie dowiódł do poniżenia ideologicznego znaczenia dzieła, formaliści nie poszli za Walzlem a wyzyskali tylko jednostronnie Sieversa i Sarana.

Widać to zwłaszcza w porównaniu z tem, co stwarza niemiecka nauka o literaturze, gdy zespala materjalną konkretność z pełnością idealnego sensu. Formaliści idą tymczasem za zwracającym uwagę na poetyckie słowo futuryzmem, szukając nie ducha muzyki ale oceny dźwięku, odrywając dzieło od życia, upraszczając znaczenie konstruktywności i odrzucając czynnik społeczny. Mniej konstrukcja ich interesuje a więcej poetycki język jako przedmiot badania. Nie odróżniają elementów lingwistycznych od konstruktywnych, rozumując abstrakcyjnie i dogmatycznie, jeżeli chodzi o system poetyckiego języka i uważając każdy historyczno-literacki fakt za negację poprzedniego, co stanowi rodzaj dialektyki i nie liczy się z wpływem życia.

Ale i marksizm uznaje, że formaliści pogłębili wyjaśnienie dźwiękowej organizacji dzieła, gdzie w jedności konstrukcji dźwięk staje się poetyckim sensem. Nie pojęli jedynie, że dźwiękowość dzieła rozwija się w realnym czasie i stosunku, co stanowi socjalność i liczenie się z współuczestniczącymi ludźmi. I temat rozwija się także w realnym czasie, którego nie wypada lekceważyć, jak i materjału. Gdy zaś, jak mówią formaliści, celem ujęcia jest dać nastrój zapomocą złudzenia, to w konstrukcji nie osiągnąłby ten cel, znaczeniowości. Za materjał można uważać język, ale nie ideę, bohatera, fabułę, motywację. Zdaniem marksistów, elementem łączącym materjalną swoistość słowa z jego sensem jest ocena społeczna, bo słowo jest tylko prostym umówionym znakiem, a każde jego konkretne stosowanie jest aktem społecznym i jako kompleks dźwiękowy, oglądowy, akcentowy, częścią socjalnej rzeczywistości historycznej.

Ale sens nie jest w niem jeszcze zindywidualizowany. Pojąć go, to znaczy pojąć w kontraście jego i naszej współczesności. Bez takiego pojęcia sam sens jest martwy. Słowo, nie pochodząc ze słownika ale z życia, staje się materjałem wypowiedzi jako wyraziciel socjalnego określenia wartości i uzależnia od siebie poetycką konstrukcję. Poeta wybiera nie lingwistyczne formy, ale tkwiące w nich wartości. Im zaś on jest bogatszym, tem istotniejsze i znaczące są dzieła. Ustalanie się języka dokonywa się w granicach poglądu wartościowego a nauka poezji nie może się opierać o lingwistykę, która ma zadanie praktyczne i teoretyczne. Ujęcie jest zaś działaniem socjalnem a socjalna ocena zawiera się już w samej wypowiedzi.

IV.

Nie ulega wreszcie wątpliwości, że estetyka krzyżuje się coraz bardziej z filozofją. A było ich dotąd wiele, by wymienić wczuwającą się Lippsa, asocjacyjną Külpego, psychologizującą Witaska, sensualistyczną Müllera-Freienfelsa, estetyzującą Dessoira lub Langego, personalizującą Kainza. Coraz więcej wchodzi ona jakby w dziedzinę metafizyki, ujmując ducha jako twórcę i nieuwarunkowaną przyczynę, w czem odsuwa się od psychologji, co go jako uwarunkowaną istotę określa. Oddala się w ten sposób od psychologizmu, co widać nawet u bliskiego metafizyce Volkelta, bo wartości nie są u niego jednoznaczne z normami.

Coraz bardziej też przedmiot estetyczny wydaje się czemś stałem a estetyczne używanie oddziela się od wszelkiego podobania się i sądu, by ujmować, jak mówi Geiger, fenomen w formach i w wartościach w duchu apollińskim. Już Simmel zaś porządkował jednostki twórcze wedle znaczenia, jakie ma dla nich coś nieskończonego, wedle metafizyki, co przybrała u nich zjawiskowość, skoro dzieło sztuki tkwi korzeniem w zaświatowej głębi bytu. Że zaś każde dzieło stanowi uformowany organizm, co odpowiada związanej z duchem woli wyrazu, że momenty formalne są wyrazem wnętrza, które szuka symbolów, że należy raczej szukać historji problemów, co znalazły artystyczne ukształ-

towanie w różnych stylach, i w historji wyrazu, co na znaczeniową wartość stylowego ujęcia zwraca uwagę, zgodzili się badacze plastyki, jak Worringer, muzyki, jak Mersmann. Pogłębia się, w zakresie estetyki, reakcja przeciw Meyerowi, który broniąc rozważania dzieł sztuki ze stanowiska życia, nietylko psychologizuje ale i normatyzuje, choć istotę przeżycia ujmuje jako wynik wiedzy o sensie i znaczeniu życia.

Niemniej, i dzięki temu, ustala się przeświadczenie, że o stylu czasu rozstrzyga nietylko to, co nazwano czuciem światowem, ale i rozwój widzenia, co coraz bogatsze kompleksy w jednolitym oglądzie ujmuje. Co dawniej odkryto w zakresie optycznym, dziś stosuje się i do świata akustyki, by odgadywać etos czasu i jednostki. Ale Meyer nie rozumie używania dzieła bez używania osobowości twórcy, bo tylko w dziele natury tkwi piękno w przedmiocie. Taką jego postawę nazwano niefilozoficznym typem estetyki, gdyż życie duchowe jest wyższem niż życie i należy od duszy do rzeczy podążać. Świat ejdosu wyklucza rzeczywistość faktu i trwa przy fenomenie czyli przy istocie. Estetyka nie jest zaś filozoficzną, jak za dni Hegla, ani psychologiczną, jak na przełomie dwóch ostatnich wieków, ale autonomiczną, skoro jej wartości nie odnoszą się do realnych przedmiotów ale do danych jako fenomena.

Nie pyta ona, jak coś działa, ale czem jest coś, gdyż choćby momenty tragiczności są w przedmiocie a nie w psychologicznem działaniu. Nie chce mieć tedy nic wspólnego ze stosowanym zakresem psychologji, bo obchodzą ją tylko istota obrazu, symfonji, dzieła literackiego, ogólna struktura a nie poszczególny przedmiot, powszechne prawa estetycznych wartości, co konkretyzują się, jak naprzykład istota tragiczności, w różnych dziełach od Ajschylosa do Pirandella. Pewną ilość zasad wartościowych ma ona na celu, gdy rozważa estetyczny świat, estetyczne przedmioty, estetyczne wartości.

Taką postawę wyprowadzono z poglądu Rickerta, co odróżnił sferę wartości od sfery rzeczywistości i tę wartość w jej duchowej swoistości dał zrozumieć. Istotę dzieła literackiego spróbował ująć zaś Ingarden, by widzieć w niem obraz złożony z warstw różnych materjałem i rolą w jedno-

litej, organicznej, polifonicznej całości. Każda z tych warstw ma swe właściwości i estetyczne wartości. Więc dzieło stanowi warstwa brzmień słownych, z któremi wiążą się obrazy dźwiękowe, warstwa znaczeń, warstwa przedstawionych przedmiotów i ich losów, warstwa uschematyzowanych aspektów, które razem łączy moment strukturalny.

O ile chodzi o pierwszą, to obrazy dźwiękowe są typowe, by zmieniać się zczasem pod wpływem znaczeniowości. Zmienność ich znaczeń zależy i od zajmowanego w tekście miejsca. Znaczenie warstwy dźwiękowej jest zaś wielkie, bo rozstrzyga ona o innych warstwach. Warstwa znaczeń jest zaś też wielką, bo znaczeniem jest to, co stanowi brzmienie wyraźne. W znaczeniu można zaś wyróżnić intencjonalny czynnik kierunku, treść materjalną i formalną, moment charakterystyki egzystencjonalnej i położenia egzystencjonalnego. Słowa zawierają zaś nietylko element znaczeniowy, ale i spełniają jakąś funkcję w miarę zmiany czynnika kierunku. Słowa, zdania, wreszcie związki zdań są tu w grze, przyczem zdania wyglądają inaczej w dziele literackiem, bo niema w niem mowy o identyfikacji z rzeczywistością. Czysto intencjonalne przedmioty są tylko nazwane rzeczywistemi, ale nie stapiają się z rzeczywistością.

Warstwę przedmiotową ująć najłatwiej każdemu, przytem intencjonalny występuje jako rzeczywisty, by ukryć go w sposób możliwy. W miarę stopnia analogij mówi się przy nim o prawdzie. Natomiast schematyzowane aspekty, to zwrócenie uwagi na życie i pewien skomplikowany stan rzeczy. Każdy czytelnik wypełnia schematy inną treścią. Nie jest dzieło literackie sztuką czasową i jak w muzyce, gdyż jego części istnieją równocześnie a budowa zasadza się na porządku. Dzieło czytane a przedstawione w teatrze, to dwie różne rzeczy. Nie istnieje wogóle adekwatna konkretyzacja dzieła, gdyż zależy ona od nastawienia czytelnika. Ono samo jest niby polifoniczną harmonją, gdzie objawiają się wartości metafizyczne.

Do ostatnich podstaw sięga się dziś zresztą wszędzie w nauce a etyczne postulaty poczytuje się za absolutne. Im więcej zaś bada się fenomeny, tem więcej zostawiają one, po

badaniu, problematycznej reszty. Jak w świecie etosu, poszukuje się i w estetyce wartości, a za piękno poczytuje się zjawę idealnego w realnem, znajdując zresztą wszędzie moment irracjonalny i wszędzie zaczepiając o ontologję. Sfera sensu jest zaś ściśle związana z wartością. Oznacza to wogóle powrót do kantyzmu.

Na tem tle fenomenologizm usiłuje pokazać, jak estetyka ma opanować swój przedmiot, usuwając momenty indywidualne i historyczne. Sztuka sama w sobie nie jest żadną realnością, ale, przez swe swoiste poznawcze zadanie, jakby abstrakcją. Jeżeli zatem przedmiot estetyki jest nią także, metoda badania musi być inną od empirycznego rozważania sztuki. Mamy w tej metodzie do czynienia jakby z logiką, co strukturę nauki podnosi na wyżyny naukowej świadomości. Że zaś niema filozofji bez wartości, więc i w niej jest wartość przedmiotem teoretyczno-wartościowego badania.

Autonomja estetyki stała się następstwem zautonomizowania humanistyki. Pojęto immanentny rozwój sztuki i sensowna zawartość estetyczna usunęła się z powodu swego ahistorycznego charakteru z historycznego związku. Za istotną właściwość estetycznego uznano odległość od historycznego życia. Historję sztuki uznano ze stanowiska estetycznej wartości za historję środków technicznych i możliwości estetycznych, co urzeczywistniają wartość. Dochodzi się w ten sposób do ujęcia typowo historycznych i nadhistorycznych wartości. Historja w sensie estetycznym jest czemś więcej, niż historja technicznego urzeczywistnienia wartości.

Każde dzieło sztuki poczytuje się dziś za całość zamkniętą w zjawie, niezależnie od tego, czy należy ono, mówiąc słowami Wölflina, do zamkniętej lub otwartej formy stylowej. Jakościowe właściwości estetycznego kształtu różnią się zasadniczo od empirycznego charakteru stylu. Niemniej historja stała się historją formalnych problemów stylistycznych. Stało się to mimo rickertowskiej inicjatywy w ujęciu tego, co indywidualne i nomotetyczne, mimo antypsychologistycznego nastawienia, co nie ujmuje przedmiotów estetycznych, jak przyrodoznawstwo, przedmioty natury i nie atomizuje życia duchowego.

Jeżeli jednak ta właśnie inicjatywa Rickerta ujęła humanizm jako świat zjawisk, gdzie dominuje wola i stosunek do wartości, to i w nauce o literaturze musiała zapanować świadomość, że norma nie jest prawem a pojęcie wartości jest tylko ideą. Neokantyzm szuka jednak w woli jakby prawa, co obowiązuje w świecie humanistyki. A diltheizm, który posłużył jako punkt wyjścia dla nauki o literaturze, szuka zbiorowego i indywidualnego związku strukturalnego, konsekwentnego immanentyzmu, wreszcie woli, co zapewnia duchowi stanowisko wobec natury.

Metoda sprangerowska pogłębiła tylko ten kierunek, choć i dla niej indywidualność jest zagadką, jak dzieło dla Ingardena. W rozumieniu widzi ona wniknięcie w specjalną konstelację wartości duchowego związku. W świecie sztuki odróżnia ona własne prawo, co różni się od naturalnego i etycznego. Sztuka ma bowiem swą własną objektywność, której byt nie w konkretnem tkwi, ale w stosunkach. Więc zagadnienie istoty poezji, jako sztuki słowa, jest częścią wielkiego kompleksu nauk o duchu.

Jeżeli zaś dla badania dzieła znaleziono wiele dróg, to na czoło ich wysuwa się dziś wartości przeżyciowe, sposoby kształtowania, zawartościowy przedmiot, egzystencję formalną, wagę idei. W języku szuka się nietylko techniki, ale irracjonalnej formy, duchowej konieczności, życia duchowego, bo język racjonalny życia nie posiada. U każdego twórcy wynika to wszystko ze struktury duchowej; w nim jest prawo kierunku i kształtowania. Każda ludzka historja jest całością a w twórczym przebiegu musi być sensowna jedność. Język artystyczny jest zaś zindywidualizowaną techniką mowy.

Można też powiedzieć, że idea jest wolą formy, co wiedzie do objektywizacji indywidualnie przeżytego. Zawartość jest zaś tematem, co ze stanowiska kształtu jest widziany, przeżywany i wartościowany. Przemiana tematowego w zawartościowe dokonywa się jako indywidualizacja. Język formułowany w granicach zawartości jest prawdziwym językiem poezji. Każde twórcze przeżycie jest wreszcie wolą kształtu, co jest sensem tworzenia i zawiera ontologiczną jedność, skoro idea jest właśnie życiem irracjonalnem,

ruchem absolutnym, cudem indywidualnym, choć ten cud opiera się o współudział i o udzielanie się innym.

Nie można zaś wątpić, że współczesna nauka o literaturze rozwinęła się na tle współczesnej wiedzy o człowieku, by uznać w osobowości skomplikowany system stosunków, jedyności, irracjonalności. Rozróżniono w niej indywidualność i nadindywidualność, jaźń empiryczną i nadempiryczną, wreszcie porządek, jedność i sens. Wartości znaleziono w tem, co nadindywidualne, więc i w zmyśle estetycznym jako samowartości, co wiedzie człowieka w kierunku istotności, gdzie panuje boskość czyli praduch, czyli pra-dobro, pra-prawda i pra-piękno.

Jeżeli tak odniesiono się do człowieka, nieinaczej potraktowano sztukę, by szukać w niej immanentnej prawidłowości nietylko ze stanowiska optycznego lub akustycznego, ale i twórczej, nadhistorycznej, nadindywidualnej postawy. Każdy jej fenomen, a więc i dzieło literackie, poczytano za skomplikowany zespół form, który poznaje się przy pomocy analizy, by ustanowić strukturę przedmiotu. Należy literaturologowi pokazać, jak wypowiada się wyrazowa funkcja podmiotu w stylowej strukturze przedmiotu. Zawartość i kształt traktuje on jako korelaty, których wygrywać przeciw sobie nie można. Jak mówi Noack, kształt jest egzystencją zawartości a zawartość esencją kształtu.

Przy takiem postępowaniu wypada zdać sobie sprawę, co to jest prawo strukturalne kształtu, co to jest pojęcie i znaczenie stylu, jaką jest znaczeniowa struktura kształtu, jak się konstytuuje przedmiotowa struktura. Pierwsza zależy od typu ludzkiego, który zajmuje świadomą postawę duchową. Przy formowaniu stylu działają kształt jako istota, materja jako stan, zawartość jako sens, wyraz jako okoliczność, co składa się na szereg warstw znaczeniowych. Charakter strukturowy gruntuje się w kształtowaniu, w czem ma udział nasza istotna jaźń.

Sens nauki o literaturze zmienił się tedy zupełnie, gdyż określa się ją jako naukę o wyrazie a — zeszłą z dawnego piedestału historję literatury jako — historję stylu. Nie odłącza się w niej stylu od psychicznej

struktury, nie lekceważy się estetycznego fenomenu, gdzie przeżycie i wyraz mają tę samą strukturę. Dzieło wyrazowe, wedle Schultze-Jahdego, jest zmysłowo-jakościowo danym przedmiotem, jak każdy inny dany spostrzeżeniu przedmiot, choć dzieło sztuki, w przeciwieństwie do dzieła natury, powstaje z ludzkiego twórczego przebiegu. Racjonalizm szedł zawsze w kierunku asocjacyjno-znaczeniowym, idealizm w kierunku ekspresywnym. Postępowanie stylowe a technika są rzeczami całkiem odmiennemi, bo w drugiej niema duchowego przeżycia.

Czynność wyrazowa kształtuje widzenie świata, które ma legjon możliwości. Badanie ma za cel określenie sposobu, w jaki wyraz powstaje. Tego sposobu nie dawała gramatyczno-stylistyczna analiza filologów. Dziś ciężar badania tkwi w charakterystyce ekspresji i ekspresywnego kształtu. Zatem nauka o literaturze opiera się o estetykę czyli o psychologję estetycznego stanu i naukę o estetycznym przedmiocie. Dzieło może być przez nią traktowane historycznie lub systematycznie. Może to być uznane za nowy kierunek filologji, skoro stary nie wystarczał. Okazało się bowiem, że słowo jest bardzo skomplikowanym przedmiotem. Kontemplacja apollińska, jak nazwano fenomenologizm, może być zaś ujętą w zdanie Goethego, że należy zawsze obejmować całość, gdzie każdy szczegół się z nią wiąże.

V.

Gdyby teraz wypadło określić, w jakim kierunku podąża dziś nauka o literaturze, możnaby powiedzieć, że od czasów Diltheya przeważa w niej inicjatywa rickertowska. Wtedy właśnie zadano sobie pytanie, czy fenomen literacki służy przy badaniu jako źródło dla historji kultury albo czy stanowi samodzielny przedmiot badania, gdzie nie chodzi o co, ale o jak. Nie kładzie się dziś nacisku ani na funkcję tworzenia ani na wynik tworzenia, choć się ich nie lekceważy. Zatem nie genetyczny i historyczny punkt dziś przeważa, ale fenomenologiczny i ejdologiczny, a więc opisowy.

Nie o sumę czynników dziś chodzi ale o opis fenomenów, co zdąża, drogą systematycznie wypracowa-

nych kategoryj, do wniknięcia w ich istotę. Bada się indywidualność nie w tem, jak ona się stała, lub skąd przyszła, ale jaką ona i czem była. Istota człowieka tkwi bowiem poza jego historją. Fenomenologiczne badanie obiera za punkt wyjścia osobistość jako całość o swoistej strukturze, w czem Dilthey, potem Spranger, Utitz, Klages stają się twórcami metod badania tej struktury. Rozróżnia się tu, poza psychologją strukturalną, jeszcze rozważanie psychometafizyczne, gdy ma się na oku zasadnicze podstawy, jakąś twórczość kształtującą, jak u Simmla, nadto rozważania psychoestetyczne, gdy ma się na oku sens jakiejś osobistości w jej myśleniu, życiu i działaniu, jak u Gundolfa. Istota twórcy jest tu przedmiotem estetycznej oceny, a nie psychologicznego objaśniania, gdyż przedstawia ona wartość.

Ejdologiczne badanie zdąża też drogą opisu do istoty dzieła. Chodzi w niem o analizę treści, czyli o uwzględnienie najważniejszych momentów i motywów w ich powiązaniu i zazębieniu. Obok filologicznych zagadnień na temat ich pochodzenia występują tu i morfologiczne, do których rozwiązania trzeba pewnych kategoryj. Na pierwszy plan wysuwa się tu motyw, który należy odróżnić jako element siły od elementu tematu. Ustalono dziś nawet wewnętrzną prawidłowość treści z punktu morfologicznego. Analiza zawartości dotyczyła zawsze idej, choć już Dilthey wyjaśnił, że tu chodziło raczej o odblask związku całego duchowego życia nawet w melodji wiersza. Pojęcie stylu odniesiono w ten sposób nawet do sposobu myślenia. Wreszcie analiza formy uwzględnia też analizę stylistyczną, co nie wychodzi od twórcy, ale, przeciwnie, jego językowy artystyczny materjał — nie wedle schematów — ale wedle immanentnych praw jego wyrazowej zdolności bada. Pod wyrazem rozumie nietylko wyraz językowy ale i wyższe obrazy, które są w związku z osobistością i kulturą.

Do analizy formy zalicza się tu dalej analizę estetyczną, która zwraca uwagę na zdolność języka w budzeniu wewnętrznych obrazowych oglądów. Wiąże się ją z bezpośredniem przeżyciem uczuciowem twórcy i bada, przy tej sposobności, nietylko poetyckie działanie na odbiorcę, ale i psychiczną organizację samego twórcy. Tu wreszcie należy arty-

styczno-techniczne rozważanie, które charakteryzuje teoretyzujących plastyków. Ma się wtedy na uwadze indywidualny związek zdolnych do działania czynników, dzięki którym przy odpowiedniej operacji powstaje przedmiot estetyczny. Zajął się tem kiedyś szczególnie Dibelius, przyczem nauka o sztuce wejrzała bliżej w formę wewnętrzną, skoro już dawniej wyróżniła formę działania od formy istotnej. Walzel zastosował tu kategorje Wölflina, choć techniczne problemy dadzą się rozwiązać i na drodze immanentnej, niezależnie od historyczno-artystycznych kategoryj. Dziś przeważa pogląd, że nie należy przenosić z innych sztuk obcych literaturze kategoryj, ale wydobyć raczej jasne kategorje literackiego rozwoju form, skoro literackie badanie stylu jest badaniem języka.

Nic zatem dziwnego, że tak pojęta nauka o literaturze żąda uwzględnienia szeregu nauk pomocniczych. Jeżeli genetyczny i historyczny punkt widzenia brał w pomoc bibljografję, hermeneutykę i krytykę tekstu, nie lekceważąc psychologji twórczości i wskazań socjologicznych, to fenomenologiczny i opisowy wiąże się z psychologją różniczkową i charakterologją jako środkami ujęcia twórczej struktury. Wysuwa się przy tej sposobności i zagadnienie biografji. Typologowie dali tu pewne wskazówki, reszty dokonał Gundolf, który pokazał sposób rozwoju twórczej jednostki. Szło to po linji tak zwanej psychologji kształtu, co dążyła do całości, syntezy, ujęcia niepodzielnego życia.

Pojęcie osobistości zostało uchwycone jako coś całego i zamkniętego. Życie i dzieło ukazują się jako dwa atrybuty jednej i tej samej substancji. Można tak samo ująć i zagadnienie grupy, bo grupa jest też całością o swoistej prawidłowości i ma osobny kształt, na co zwrócił uwagę Cysarz, idący zresztą po jego linji wywodów Ermatinger. Nauka o literaturze spotyka się zaś na tej drodze w dążeniu do ujmowania organicznych związków i struktur z nauką o sztuce, gdzie również zwrócono uwagę na wewnętrzną zasadę organizacji grup, przyczem, przez kontrastujące przeciwstawienie sposobów rozwiązywania artystycznych zagadnień, ujęto lepiej stylistyczne struktury całości. Technika polarnych przeciwieństw i antytez doprowadzoną została do

ostatnich granic. Coraz więcej odczuwa się styl poszczególnych rodzajów literackich jako coś jednolitego, jako organiczne prawo strukturalne jednolitych poetyckich kształtów całości.

Szuka się praw strukturalnych rodzajów, co udało się zwłaszcza Ermatingerowi. Zmusza to i filologję do rewizji swych ujęć, oddziaływa na stylistykę i estetykę języka. Nawet najbardziej analityczna z pomocniczych nauk metryka dąży do ujęcia i oceny kompleksowych postaci całości, co widać w szkole Sieversa i Sarana. Nauka o literaturze jest zatem nauką filologiczną, skoro szuka logosu, a logosem dzieła jest prawo jego formy. Ona szuka też prawa rozwoju tego, który ten logos stworzył. Historję literatury ujmuje ona zgodnie ze swemi założeniami, które nie odrzucają wskazań socjologji. Ale dziś punkt ciężkości jej odsunął się od dróg, któremi postępowała niegdyś dominująca w nauce o literaturze — historja literatury.

Stało się to, może dlatego, że cały jej rozwój poszedł od filozofów, którzy chcieli, by materjał literatury był ujmowany z pewnego punktu. Skoro zrozumiano różnicę między naukami przyrodniczemi i duchowemi, musiano odstąpić od prawidłowości tamtych i przyjąć coś w rodzaju normy, typu, reguły. Odróżniono to, co jest w duchowej sferze podmiotu, od tego, co jest odczuwane jako wartość, ale stanowi świat pozapodmiotowy jako jego urzeczowienie lub hypostazowanie. Jeżeli przyrodnicze myślenie ujmuje prawo w jego bezwarunkowem i ogólnem znaczeniu jako czystą formę logicznego myślenia, należy zdać sobie sprawę z ujęcia prawa tam, gdzie się ma do czynienia z jednostkami ludzkiemi.

Nauka o literaturze, jako nauka o duchu, ma trzy główne zagadnienia, a więc społeczno-historyczne, personalistyczne, analityczne. Jak wszystkie nauki o duchu, określa ona przedmiot jako indywidualną jednorazowość w historji. Chodzi w niej o zrozumienie jednostki literackiej. Zatem musi ona ustalić jej istotę, co nie jest arytmetyczną sumą faktów, ale sensem, jako wynikiem jakościowego opracowania faktów przez własną duchowość poznającej jaźni. Z istoty ludzkiego ducha jako logicznie

myślącej postawy wobec zmysłowego świata oglądowego wynika drugie prawo nauki o literaturze. O to, nie o absolutne i logiczne jednoznaczne wielkości tu chodzi, ale o ustopniowane wartości. Abstrahująca czynność myślenia stwarza świat dynamiczny, którego twory mają czysto płynny charakter. Ustala się tu stosunek typu i jednostki.

W związku z prawem wymiany między typem i jednostką jest prawo polarności, które wyraża się w dążeniu do równowagi. Podstawą polarności jest jedność popędu twórczego. Z niej wypływa prawo stałości, co jest w łączności z prawem organicznego związku sensownego. Te cztery prawa trzeba stosować w traktowaniu zjawisk literackich. Każda nauka, która nie jest tylko techniką albo dyletantyzmem, musi myśleć o logicznej prawidłowości, bo w niej tkwi metoda. Ale i ona nie wyczerpuje jeszcze całego sensu i treści historyczno-literackiego przedstawienia. Jeżeli w tworzeniu dzieła sztuki obowiązuje prawidłowość, musi i nauka o literaturze swe stanowisko wobec twórczości podkreślić. Niemniej i literaturolog musi mieć pewne zalety, gdyż indywidualność rozwiązuje się przez indywidualność. Prawo polarności obowiązuje i w nauce o literaturze.

Prof. Tadeusz Grabowski.

Kongres w Nikolsburgu.

Kongres ten, który niemało zainteresowania wzbudził w ówczesnych czasach a do dziś dnia pozostaje osłonięty tajemnicą, odbył się dokładnie w dwudziestym roku wojny światowej, określanej przez historję jako wojna 30-letnia. Był to rok 1638, uświetniony znacznemi zwycięstwami Francuzów na froncie niemieckim. W październiku tego roku w małem miasteczku na Morawach, w Nikolsburgu, zjechał się główny aktor ówczesnej wojny Ferdynand III, cesarz austrjacki ze swym sprzymierzeńcem, neutralnym w tej wojnie, mimo sławy zwycięskiego wodza, Władysławem IV, królem polskim. Dwudziestegotrzeciego t. m. wobec lekkiej niedyspozycji króla przybył cesarz do jego apartamentów, poczem drzwi zamknęły się za niemi i obaj kierownicy polityki dwu pierwszych państw Europy środkowej, spędzili dwie godziny na poufnej wymianie zdań. O czem tam mówiono? Czy kuto w ukryciu jakąś ligę, lub plan wojenny? Czy omawiano sprawę pacyfikacji Europy? Pytania te i podobne, które zadawała sobie ówczesna publiczność, które zczasem zadać sobie musiał historyk, pozostały jak dotychczas nierozstrzygnięte. W to jedynie nikt nie watpił, że nie mówiono tam wyłącznie o skutkach wód badeńskich, których król w ubiegłym miesiącu zażywał. Rozwiązać ten problem, wyjaśnić genezę i skutki kongresu, określić jego znaczenie, to jest zadaniem niniejszego szkicu.

Na początku staje przed nami pierwsze pytanie. Kto był inicjatorem tego kongresu? Otóż nawet na podstawie znanych materjałów nie trudno ustalić, że inicjatywa wyszła tym razem ze strony polskiej, a nie austrjackiej. Przemawia za tem fakt, że w chwili przyjazdu króla do Wiednia, bawi cesarz w Litomierzycach w Czechach i dopiero w czasie powrotnej drogi króla zjeżdża

się z Władysławem. Przemawia za tem i to, że w archiwach obu państw niema śladu jakiegoś zaproszenia ze strony cesarza. Sam pomysł wreszcie załatwienia ważnego zagadnienia politycznego przy pomocy osobistej konferencji przemawia za autorstwem Władysława. Pomysły bowiem takie zjawiają się u niego dość często. Dość wspomnieć częste jego zamiary załatwienia zatargów europejskich przy pomocy osobistej interwencji, dwa jego zjazdy z elektorem brandenburskim w 1639 w Grodnie i Ortelsburgu, wreszcie nieudały coprawda, ale nie z jego winy plan kongresu z Chrystjanem duńskim w Oliwie w roku 1643. Skłonność tę Władysława do załatwiania ważnych spraw politycznych w ten sposób nie trudno wytłumaczyć. Wynik to w wielkiej części jego charakteru wojskowego, lubującego się w stanowczych rozstrzygnięciach. Gra tu pozatem pewną rolę i świadomość osobistego uroku, którym Władysław IV zyskiwał sobie ludzi nietylko z najbliższego otoczenia.

Jeśli jednak Władysław był inicjatorem tego zjazdu, to możemy go zrozumieć jedynie na tle wypadków ostatnich lat i w związku z ogólną linją polityki polskiej. Trzeba więc tu dla dokładności przypomnieć kilka faktów skądinąd znanych.

Najpierw więc rzecz najważniejsza.

Dokładnie niemal rok przed odbyciem kongresu, dokonało się przejście Władysława IV na stronę Austrji, przejście przypieczętowane małżeństwem z arcyksiężniczką Cecylją Renatą. Coprawda Władysław nietylko nie myślał nigdy poważnie o jakiejś akcji przeciw Austrji, ale od chwili swej elekcji dążył do nawiązania bliższej łączności z monarchją rakuską. Niemniej jego zręczna polityka, pomysły w rodzaju tych jak małżeństwo z pfalzgrafówną, sprawiły, że czas jakiś uchodził w oczach Europy za neutralnego w sporze ogólno-światowym, niemal za wroga Austrji. Taką politykę prowadził jednak Władysław tak długo, jak długo z jednej strony potrzebował poparcia Francji i Anglji w sporze ze Szwecją, a z drugiej były bliskie widoki odegrania roli pośrednika w ogólno-europejskich traktatach.

Skoro jednak we wrześniu 1635 r. zostały ostatecznie zamknięte traktaty z Szwecją, z końcem zaś następnego roku pokazało się, że państwa walczące, nawet Austrja, nie myślą serjo o przyjęciu pośrednictwa króla polskiego w sprawie rokowań pokojowych, Władysław nie zastanawiał się dłużej nad wyraźnem

przejściem na stronę Austrji. W tym samym jeszcze roku, otrzymawszy ważne obietnice w sprawie swych interesów dynastycznych, głównie w kwestji odzyskania Szwecji, zawarł z Austrją znany pakt familijny i nie wahał się zamanifestować swych sympatyj austrjackich wobec całej Europy przez małżeństwo z arcyksiężniczką Cecylją Renatą. Postępując w ten sposób, nie myślał jednak Władysław mimo wszystko o zerwaniu z Francją. Owszem wierzył nawet czas jakiś, że mimo tego, dzięki swej polityce zdoła utrzymać dobre stosunki z dworem wersalskim i dokładał starań, by przekonać dyplomację francuską, że małżeństwo jego nie naruszyło jego bezstronności w toczącym się sporze. Nadzieje te jednak okazały się całkiem złudne. Francja nie mogła, czy nie chciała w to uwierzyć i rychło miał się Władysław przekonać, że Richelieu obdarza równą nienawiścią Habsburgów jak i ich sprzymierzeńców.

Równocześnie z zawarciem paktu familijnego, przystąpił Władysław do starań mających na oku wzmocnienie stanowiska Polski na Bałtyku. Szło tu o narzucenie nowych ceł miastom pruskim i ufundowanie w oparciu o nie silnej floty. Że akcja ta, mająca zapewnić królowi silne stanowisko na Bałtyku, miała zczasem umożliwić podjęcie rozgrywki, jeśli już nie o Szwecję, to o stworzenie jakiegoś oparcia dla Wazów nad Bałtykiem, o tem nie potrzebujemy wątpić. Świadczy o tem wyraźnie punkt paktu familijnego, gdzie mowa o poparciu starań Władysława o Szwecję z portów niemieckich cesarza nad Bałtykiem.

Nie tu miejsce przedstawiać przebieg tej imprezy, w ogólnych zarysach skądinąd znanej. Dość przypomnieć, że skończyła się ona nietylko niepowodzeniem, ale i upokorzeniem króla. W dziedzinie dyplomacji mógł pozatem rząd polski z niej wyciągnąć dwie nauki. Pierwszą, że poparcie austrjackiego sprzymierzeńca staje się łatwo iluzorycznem, drugą, że Francja nie myśli puścić płazem doznanego rozczarowania i gotowa jest skutecznie przeciwdziałać ważniejszym poczynaniom Polski. Ku niemałej bowiem zgryzocie Władysława udzielał dwór francuski wyraźnie poparcia moralnego Gdańskowi, a zachowanie się posła francuskiego d'Avaugour w Warszawie było nietylko szkodliwe dla planów króla, ale i aroganckie.[1])

[1]) Szerzej o tem piszę w pracy przygotowanej p. t. *W przymierzu z Austrją* (1637—1645).

Skoro więc sejm w 1638 r. biorąc sprawę ceł w swe ręce, przypieczętował porażkę króla, musiał Władysław obejrzeć się za innemi planami, któreby pozwoliły Polsce odegrać jakąś rolę w koncercie europejskim.

Na teatrze zaś wojny europejskiej zachodziły w tym czasie ważne przesunięcia. Fortuna austrjacka, stojąca od śmierci Gustawa Adolfa, a potem pokoju praskiego, dość wysoko, poczęła w 1638 r. niespodziewanie upadać. Wojska koalicji habsburskiej, które jeszcze dwa lata temu stały na gruncie francuskim, wywołując popłoch w Paryżu, cofnęły się już dawno na terytorjum własne. Najdzielniejszy po śmierci Wallensteina wódz niemiecki, stojący w służbie francuskiej, Bernard Weimarski, przekroczył z początkiem 1638 r. Ren i wnet potem rozbił armję cesarską pod Reinfelden, biorąc do niewoli wodza cesarskiego dzielnego Wertha. Dwudziestego czwartego marca kapitulowało Reinfelden a kilka tygodni potem padł Fryburg. Bernard gotował się do oblężenia dalszych fortec cesarskich. Przymierze zawarte w pierwszych dniach marca tego roku z Szwecją umacniało związek franko-szwecki i budziło nadzieję żywszej akcji w stronie Pomorza.

Wiadomości o tych wypadkach przychodzące do Warszawy nie mogły tu przejść bez echa. Wszak klęska Austrji oznaczała zwycięstwo i sukces wrogiej Szwecji. Równocześnie jednak budziły one poważne nadzieje. Któż bowiem mógł wątpić, że wypadki te, podcinające tak poważnie zdolność Austrji do odporu, skłonią wreszcie to państwo do rokowań pokojowych i do przyjęcia pośrednictwa króla polskiego, odrzuconego tak dumnie dwa lata temu w czasie dobrej konjunktury? Nadzieja rychłych traktatów pokojowych nie opuszczała świata ówczesnego ani na chwilę. Ostatnio zainicjował je papież w roku 1636, a państwa poszczególne, między niemi i Polska, naznaczyły swych delegatów; rzecz cała rozbijała się jednak o trudności w związku z wystawieniem pełnomocnictw. Wobec zmienionej sytuacji na frontach wojennych i spodziewanej ustępliwości Austrji, nadarzała się dla rządu polskiego, zdawało się, świetna okazja wywdzięczenia się Francji za usługi przy traktatach stumdorfskich a królowi polskiemu zapewnienia sobie należytego stanowiska i korzyści w roli arbitra Europy. Władysław mógł się w dodatku tem większem prawem zająć tą sprawą, że mimo zajęcia się kwestją celną prowadził od

roku 1637 ubocznie akcję dyplomatyczną dotyczącą traktatów pokojowych.

W grudniu bowiem jeszcze 1637 r. został w tej sprawie wysłany do cesarza i Francji z ramienia Władysława IV-go baron Jan Wilhelm de Forbes. [1]) Po otrzymaniu jakichś bliżej nieznanych deklaracyj na dworze wiedeńskim, udał się Forbes do Paryża i stanął tam z końcem marca. [2]) Wnet po przybyciu uzyskał audjencje u króla w St. Germain a potem u kardynała Richelieugo. [3]) Na audjencjach i w wygotowanych dwu memorjałach przedstawiał starania króla polskiego w celu osiągnięcia pokoju, a podając projekt załatwienia trudności z pełnomocnictwami, wzywał rząd francuski do szczerego zajęcia się traktatami. [4])

Dwór francuski przyjął posła grzecznie, wiadomości jednak płynące z Niemiec nie zachęcały go zapewne do zbytniej ustępliwości na tem polu. Mimo to w odpowiedzi udzielonej posłowi 8 kwietnia, zapewniano o gotowości rządu francuskiego do podjęcia rokowań i wysłania delegatów do Kolonji, skoro tylko Hiszpanja da paszporty dla przedstawiciela Stanów Niderlandzkich, a Austrja dla księcia weimarskiego i landgrafa heskiego. [5]) Z taką odpowiedzią ruszył Forbes z końcem kwietnia w drogę powrotną na Wiedeń do Polski. [6])

Chłodna ta dość odpowiedź Francji była niewątpliwie zarówno wyrazem zmiany ustosunkowania się Francji do Władysława jako do austrofila, jak i wynikiem sukcesów francuskich na teatrze europejskim. Mimo to przez sam fakt, że Francja odpowiadała na przedłożenia Władysława, była ta rezolucja punktem zaczepienia, o który można było oprzeć dalszą działalność, zmierzającą do utrzymania roli pośrednika w sporze ogólno-europejskim. Droga do tego celu prowadziła naturalnie przez Austrję. Należało dopilnować z tej strony sytuacji, zbadać, o ile monarchja rakuska myśli pod wpływem klęsk o pokoju, i wykorzystać odpowiednio

[1]) Ferdynand III do Władysława IV. 24 I 1638. Arch. Wiedeńskie. *Polonica.*

[2]) Grotius ad Oxenstiernam 20 III 1638. *Oxenstiernas skrifter* II. 453-456

[3]) Rps. Bibl, Nation. w Paryżu 15.870.

[4]) Memoire de l'ambassadeur de Pologne 31 III 1638. Arch. Min. Spr. Zagr. Paryż Pologne. Tamże drugi memorjał bez daty,

[5]) Odpowiedź na memorjał przedstawiony królowi przez p. Forbais(!) Avenel VIII 327.

[6]) Grotius ad Oxenstiernam. 30 IV 1638. *Skrifter.* II 467.

ten moment. Wszystko to można było załatwić przez dobrego posła. Władysław przekonał się jednak uprzednio, że dwór austrjacki, jak mało który, umiał wyprowadzać w pole i zbywać niczem jego posłów. Musiał przytem rozumieć, że ostatnie wypadki w Polsce musiały obniżyć powagę Polski w Hofburgu. Skoro więc chciano rachować na powodzenie, trzeba było sprawę postawić z odpowiednim naciskiem, do tego zaś mógł służyć najlepiej osobisty zjazd.

Z drugiej strony odczuwał zapewne Władysław, że stosunek jego do cesarza nie wytrzymuje próby szczerości, że między Wiedniem a Warszawą istnieje ściana pewnej nieufności, podtrzymywana ze strony austrjackiej. Stosunki podobne uniemożliwiały nietylko porozumienie w sprawie pokoju, ale i w każdej innej sprawie, obracając wniwecz całą wartość przymierza polsko-austrjackiego, do którego Władysław przywiązywał wielkie znaczenie. Przełamać więc tę ścianę uprzedzeń, pozyskać w cesarzu prawdziwego sprzymierzeńca, uzyskać poparcie jego, jeśli już nie w sprawie pośrednictwa, to w celu jakiejś nowej akcji, któraby wyrwała Polskę z bierności politycznej, tego dokonać nie mogło nawet dobre poselstwo. Mógł to zdziałać zjazd osobisty.

Zachodziłoby jeszcze pytanie, czy nie odegrała tu roli chęć Władysława prowadzenia polityki poza plecami senatu. Zapewne mogło i to wpływać na króla, ale w małym stopniu, skoro król i tak poza oficjalną polityką uprawiał swoją własną, a sam projekt pośrednictwa w traktatach był przyjęty przez Rzplitę.

Pomysł zjazdu musiał się zrodzić dopiero po skończeniu sejmu i po otrzymaniu wiadomości tak z frontu wojennego, jak o wynikach misji Forbesa w Paryżu, a więc w drugiej połowie maja lub w czerwcu. Do publicznej wiadomości podano go dopiero w lipcu i to nie w formie otwartej, gdyż zakomunikowano senatorom jedynie, że król zamierza w celach zdrowotnych udać się do kąpiel do Baden.[1]) Chodziło tu naturalnie o zapobieżenie stanowczej opozycji, jakąby taka zapowiedź u śledzących nieufnie działalność polityczną króla senatorów wywołała. Istotny cel wyjazdu króla do Baden zakomunikowano zdaje się jedynie najbliższemu otoczeniu króla. Mimo to ogół senatorów bądźto

[1]) Jakób Sobieski: Droga do Węgier króla Władysława IV. *Przewodnik nauk liter.* 1873 str. 54. Memoriale St. A. Radziwiłła. Rp. Cz. 2356 str. 621.

domyślając się istotnego celu wyjazdu króla, bądź będąc wogóle przeciwnym podróży królewskiej, wystąpił przeciw tej podróży. Najwybitniejsi z nich, zapytani listownie, odradzali wyjazd, ze specjalnym naciskiem uczynił to hetman koronny Koniecpolski. [1]) Żadne jednak przestrogi nie zdołały odwieść króla od raz powziętego zamiaru. [2])

Nieugięta postawa króla pozwala nam jaśniej dojrzeć, jaką wagę przywiązywał Władysław do kongresu. Objektywnie rzecz biorąc dużo rzeczy przemawiało za odłożeniem wyjazdu. Tak więc finanse króla znajdowały się w stanie, który nie zachęcał do kosztownej, mimo spodziewanej gościny cesarskiej, podróży. [3]) Ze spraw publicznych zostawiał król niezałatwioną jeszcze kwestję groźnego buntu kozackiego na Ukrainie. Nie była wreszcie bez znaczenia poważna opozycja pierwszych w królestwie senatorów przeciw wyjazdowi. Musiał więc zmęczony ostatniemi przejściami król przywiązywać wielkie nadzieje do tego zjazdu, dużo sobie po nim obiecywać, skoro z lekkiem sercem przechodził nad tem do porządku dziennego i decydował się na podróż.

W trakcie ostatnich przygotowań do podróży spadła na króla jak grom wiadomość o uwięzieniu Jana Kazimierza przez Francję. [4]) Fakt ten musiał silnie dotknąć Władysława. Gdybyśmy nawet pominęli uczucia czysto braterskie, nie obce duszy Władysława, to wypadek ten będący nowem upokorzeniem króla i jednym dowodem więcej wrogości Francji, krępował poważnie na przyszłość posunięcia króla, zwłaszcza w razie traktatów pokojowych. Z drugiej jednak strony kongres nadawał się doskonale do omówienia tej sprawy z cesarzem. Nie słyszymy też nic, by wiadomość ta choć na chwilę opóźniła wyjazd króla.

Wyjazd ten nastąpił w pierwszych dniach sierpnia. Po drodze zatrzymano się kilka dni w Częstochowie, poczem ruszył król z dworem liczącym około 1300 ludzi ku granicy. [5]) W otoczeniu króla znajdował się kanclerz koronny Gembicki, podkan-

---

[1]) Hoverbeck do rajców pruskich. 6. VIII 1638 Arch. Królewieckie.

[2]) Memoriale, ibidem.

[3]) Kubala: *Jerzy Ossoliński,* nota na str. 411.

[4]) L. Kubala: *J. Kazimierz, Szkice historyczne,* I. 13.

[5]) Sobieski l. c. W dalszym ciągu pracy, gdzie brak odnośnika, znaczy to, że wiadomość jest zaczerpnięta od Sobieskiego. Tam też odsyłam czytelnika spragnionego dokładniejszych szczegółów.

clerzowie, koronny Jerzy Ossoliński i litewski Stefan Pac, podkomorzy koronny Kazanowski, kilku wybitniejszych senatorów, wkońcu rezydent elektora brandenburskiego Jan Hoverbeck. [1])

W połowie sierpnia przekroczono granicę Polski, poczem, jadąc powoli, dopiero trzydziestego sierpnia wjechano w granice właściwej Austrji. Następnego dnia, jakkolwiek cesarz bawił w Łużycach, przedstawił król senatorom zapytanie, zali ma starać się zobaczyć z cesarzem, czy też nie. Zapytani senatorowie oświadczali się w większości, ku niezadowoleniu króla, przeciw widzeniu się z cesarzem, wobec czego król postanowił nawet tym razem nie zajeżdżać do Wiednia. Skoro jednak tego samego dnia przyszło zaproszenie od cesarzowej Marji, a wieczorem przybył sam arcyksiążę Leopold, trzeba było zmienić pierwotną decyzję. Ostatecznie 1-go września stanął król w Wiedniu i był tu uroczyście przyjmowany na zamku cesarskim. Drugiego września odwiedził król z dworem cesarzową wdowę Eleonorę w Laksenburgu i jeszcze tego samego dnia, jadąc nocą, stanął w Badenie.

Zaczęła się teraz kuracja, w czasie której król przebywał cały czas w Badenie. Dyplomacja jednak mimo zajęcia się kąpielami nie spoczywała. Spodziewano się początkowo, że cesarz również odwiedzi króla w Badenie. Skoro jednak nadzieja ta okazała się złudną, wysłał król do cesarza ks. Gniewosza rzekomo jedynie z podziękowaniem za gościnę. [2]) Do elektora bawarskiego Maksymiljana pojechał Rafał Grochowski podkoniuszy koronny. W drugiej połowie września przybył tu dworzanin królewicza Jana Kazimierza Ernest Dönhoff. Ten potwierdził wieści o twardem traktowaniu królewicza przez Francję i prosił w jego imieniu o wysłanie kogoś do Paryża z zaręczeniem, że królewicz zrezygnuje z podróży do Hiszpanji. Ponieważ jednak żaden z obecnych senatorów nie chciał się podjąć tak ciężkiej misji, a król spodziewał się zapewne sprawę tę rozważyć razem z cesarzem, nie doszło do tego poselstwa. [3])

Z końcem września zaczęto wreszcie mówić o wyjeździe króla. Początkowo chciał król wyruszyć już 4-go października, ale ostatecznie wyjechał dopiero 9-go i przybył do Wiednia. Pobyt w stolicy naddunajskiej okazał się mimo nieobecności ce-

[1]) Hoverbeck do rajców pruskich 4. VIII 1638. Arch. Królewieckie.
[2]) Hoverbeck do rajców 11. IX 1638 tamże.
[3]) Hoverbeck do rajców 26. IX 1638 tamże.

sarza bardzo miłym i przeciągnął się dni kilka. Trzynastego t. m. przyszedł tymczasem list od cesarza, w którym tenże donosił o swym wyjeździe z Pragi i proponował zjazd.[1]) W dwa dni potem odbyła się w tej sprawie narada senatorów z królem. Pierwotna opozycja przeciw spotkaniu się z cesarzem zmalała widocznie. Sobieski coprawda, wda bełzki, upierał się nadal przy tem „aby unikać widzenia z cesarzem, ile to będzie mogło być". Ostatecznie przecież ustąpili wszyscy woli króla. „Jednak wszyscy życzyliśmy tego, — pisze Sobieski — żeby to przynajmniej nie w mieście Znaim było, bo z drogi, kędy król jechał, znaczyłoby, że on cesarza szuka, nie cesarz jego". Proponowano Brno, ale potem zgodzono się na Nikolsburg.

Następnego dnia, t. j. 16-go października, odbyła się konferencja między Sobieskim i Ossolińskim z polskiej, a Montecucolim, Frankenburgiem i arcyksięciem Leopoldem z austrjackiej strony, w sprawie ułożenia ceremonjału zjazdu. Szło tu o to, by król polski był traktowany przez cesarza, jak i jego poprzednicy, to znaczy, jak równorzędny monarcha, do czego zarozumiali ministrowie cesarza nie zdradzali ochoty. Ostatecznie mimo oporu dygnitarzy austrjackich ustalono, że obaj monarchowie staną na zamku. Co do pierwszeństwa, to cesarz miał w karecie odstąpić królowi prawą stronę, na zamku zaś, gdzie obaj monarchowie mieli być formalnie w gościnie u ks. Dietrichsteina, miał król użyczyć pierwszeństwa cesarzowi.

Po ułożeniu tych formalności, nastąpił dnia 17-go października wyjazd z Wiednia, przyczem król, ku niemałemu oburzeniu senatorów, rozdał znaczne upominki pomiędzy dworzan i ministrów cesarskich. Następne dni spędzono w gościnie u magnatów austrjackich w najbliższej okolicy Wiednia.

Dopiero 22-go udano się w podróż ku Nikolsburgowi. Przed Nikolsburgiem jakie pół mili spotkano orszak cesarza, który w towarzystwie arcyksięcia Leopolda i znacznego dworu wyjechał naprzeciw króla. Oba orszaki zatrzymały się, poczem cesarz z arcyksięciem i król z rodziną wysiedli z karet i ruszyli ku sobie. W polu, na zagonie nastąpiło spotkanie. Cesarz, powitawszy królestwo, wyraził po włosku swą radość, że po tak długiem niewidzeniu może króla witać zdrowego w swym kraju i za-

[1]) Memoriale. 621.

pewnił, że przybywa tu we własnej osobie dla okazania swej gotowości do usług. Król odparł na to po włosku coś, ale tak cicho, że nikt z otoczenia nie dosłyszał, co mówił. Ponieważ deszcz padał, nie przeciągano dalej powitania i cesarz poprosił króla do swej karety. Tu nastąpił wypadek, który zaskoczył i niemało poruszył króla i jego otoczenie. Cesarz mianowicie, który według umowy miał odstąpić pierwsze miejsce w karecie królowi, pobiegł niemal przez zagony ku karecie i zająwszy pierwsze miejsce, na drugie zaprosił króla. Nie lepiej było i w Nikolsburgu. „Skoro przyszło wysiąść z karety, cesarz naprzód wyszedł i wziął zaraz prawą rękę królowi na wschody idąc i tak ją potem wszędzie brał i w pokoju i u stołu".

Po przybyciu na zamek powitał cesarza w imieniu senatorów po łacinie kanclerz, co tenże wysłuchał, zdjąwszy czapkę, i krótko potem też po łacinie odpowiedział. Królestwo w międzyczasie udali się do kwater, które okazały się i niewygodne i położone od podwórza. Wieczorem odbyła się uczta, przy której siedział cesarz między królem i królową. Po scenach jednak przedpołudniowych brakowało humoru. „Grała i muzyka, ale jakoś kwaśno siedzieli — zauważa J. Sobieski. Senatorowie obrażeni tem, że ich do osobnej izby proszono, absentowali się".

„Król tej nocy z piątku na sobotę nie bardzo się dobrze miał na kamień, a podobno też na melancholję zarazem, że mu gościowi w swoim państwie brał prawą rękę cesarz i że tak ladajako stał nie po królewsku". Wobec takiej niedyspozycji króla zrezygnowano z publicznej uczty. Zato koło dziesiątej przybył do komnat królewskich cesarz. Król z królową wyszli naprzeciw niego aż do drugiej komnaty, poczem udali się samotrzeć do pokoju sypialnego króla „i tam mieli ze sobą prywatną rozmowę około 2 godzin".

O przebiegu tej rozmowy prowadzonej za zamkniętemi drzwiami wiemy niedużo, możemy jednak ustalić jej temat i wyniki. W pierwszym rzędzie poruszył więc król, za zgodą zresztą senatorów, sprawę traktatów pokojowych. Jest rzeczą prawie pewną że starał się w tej mierze nietylko wybadać poglądy cesarza, ale doprowadzić do przyjęcia swego pośrednictwa. Usiłowania jego jednak nie wydały żadnego rezultatu. Ferdynand nie był coprawda przeciwnikiem pokoju i nie rezygnował z nadziei bliskich traktatów, jako pośredniczkę jednak upatrzył sobie Danję

i nie myślał o przyjmowaniu ofert Władysława. Grała tu pewną rolę, z jednej strony, pewna nieufność do Władysława, z drugiej nadzieja na odrębny pokój z Szwecją, przy którym król polski mógł być jedynie zawadą. Oficjalna deklaracja cesarza, którą potem król przedstawił senatorom, zawierała tylko zarzuty pod adresem Szwecji i Francji, że te państwa udaremniają dojście do skutku traktatów. W języku ówczesnej dyplomacji oznaczało to nie więcej, jak chłodne wycofanie się z dyskusji nad tą sprawą.[1])

Nie uzyskał Władysław też żadnej pomocy w sprawie leżącej mu wtedy bardzo na sercu, mianowicie uwolnienia ks. Kazimierza. Cesarz począł królowi tłumaczyć, że powinien rozpocząć wojnę z Francją, bo w ten sposób pomści najlepiej swe upokorzenia, co wyglądało całkiem wyraźnie na próbę zbycia tej sprawy, wobec jawnej niemożliwości rozpoczęcia przez Polskę wojny z odległą Francją.

Na tem, jeśli pominiemy drobną kwestję komisji granicznej, wyczerpano najważniejsze tematy konferencji. Jak widzimy, kończyła się ona dla Władysława niepowodzeniem. Niepowodzenie jego w sprawie uzyskania pośrednictwa w rokowaniach pokojowych oznaczało nietylko nieudany krok polityczny. Rozpatrując to pod szerszym kątem, musimy przyznać, że oznaczało ono zawód w dziedzinie, do której Władysław może największą wagę przywiązywał, mianowicie w dążeniu do przełamania nieufności dworu cesarskiego. Odpowiedź cesarza w kwestji pierwszej, jak i w drugiej, była jednym dowodem więcej, że dwór cesarski nie myśli o zbliżeniu się do swego sprzymierzeńca, ani też spraw jego nie uważa za swoje.

Że taki wynik konferencji w przykry sposób przekreślał plany Władysława, jest rzeczą całkiem pewną. Przygnębienie też jego bezpośrednio po rozmowie z cesarzem nie uszło uwagi otoczenia. „Niebardzo zgoła król z tej rozmowy był kontent, bo kwaśno wyszedł, wyprowadzając cesarza — pisze w swym diarju-

[1]) Relacja o wyniku i temacie tej rozmowy znajduje się w diarjuszu podróży pisanym przez Hoverbecka (Arch. Królewieckie, Etats. Ministerium. 111. 1.) Biorąc pod uwagę bliskie stosunki łączące zwłaszcza wtedy elektora z królem a Hoverbecka a senatorami, nie mamy potrzeby podawać w wątpliwość jego wiadomości zaczerpniętych od senatorów. Niemniej mógł król jeszcze mówić o sprawach innych, których nie powierzał senatorom.

szu Sobieski. — „Nie jadł tego dnia z cesarzem, tylko królowa jadła z królewną, a król w pokoju jadł u siebie. Wymówił się cesarzowi, iż się niedobrze czuł na kamień".

Następnego dnia, w niedzielę przedpołudniem, gdy król jeszcze spoczywał w łożu, przybył do niego cesarz i rozmawiał z nim przez czas dłuższy. Wizyta ta cesarza wyglądała w pewnej mierze na próbę zatarcia niemiłego wrażenia poprzedniego dnia. O czem tam mówiono, nie wiemy z całkowitą pewnością. Najprawdopodobniej jednak poruszono tu sprawę, o której musiała być mowa na kongresie, mianowicie medjacji cesarza między Danją a Polską.[1]) Trudniej jest ustalić, z czyjej strony wyszedł projekt: od cesarza czy króla? Mógł z tym projektem wystąpić cesarz, by przez inicjatywę w tej sprawie wykazać swą dobrą wolę wobec sprzymierzeńca. Prawdopodobniejszem jednak jest, że sprawę tę poruszył Władysław. Przemawia za tem choćby ten fakt, że więcej mu mogło zależeć na medjacji tej, niż cesarzowi. Abstrahując bowiem od dalekich widoków walki z Szwecją, to pogodzenie się z Danją oznaczało w danym momencie pozbawienie Gdańska najważniejszej podpory. Pamiętać zaś trzeba, że jakkolwiek Rzpta wzięła w swe ręce sprawę ceł, Władysławowi zależało w danej chwili na ułożeniu tej sprawy, bo od wprowadzenia ceł w Gdańsku uzależniał wprowadzenie ceł w swych portach elektor brandenburski.

Jeśli tak było rzeczywiście, to Władysław osiągnął ten drobny sukces, że cesarz okazał swą ochotę do zajęcia się tem, ale decyzję ostateczną uzależnił, zdaje się, od zdania swych radców.

Tego samego dnia obaj monarchowie spożyli razem obiad, przyczem cesarz podarował królowi czarę jaspisową, a król cesarzowi czarę, jaką miał w podarunku od cara moskiewskiego. Po obiedzie nastąpiło wnet pożegnanie. Cesarz, żegnając się, oświadczył po niemiecku, że spotkanie to przyczyni się zacieśnienia węzłów wzajemnego porozumienia. Były to jednak puste słowa. Władysław wywoził z Nikolsburga raczej zawód, rozczarowanie niemal. Toteż dziwnie ponury — jak pisze Sobieski — udawał się

[1]) Żadna relacja nie wspomina o tem, jednak w Archiwum Wiedeńskim jest protokół obrad rady cesarskiej z 1 XI b. r. nad tą właśnie interpozycją. Biorąc pod uwagę krótki przeciąg czasu, jaki dzieli kongres od dnia tych obrad, możemy śmiało przypuścić, że kwestja została poruszona w Nikolsburgu.

w drogę powrotną. „Bezmała sam gdzieś w sobie żałował, że mu do tego kongresu przyszło". I nic dziwnego: wszak kongres ten zamiast stać się dźwignią służącą do wydobycia polityki polskiej na szersze światło, wykazywał fałszywość obranego kierunku. Ukazywał jasno błędność orjentacji austrjackiej. Gdyby nie więzy rodzinne, które w danej chwili kojarzyły Władysława z cesarzem, gdyby nie pewien nawyk chodzenia znaną drogą, kto wie czy nie stałby się punktem zwrotnym w polityce polskiej. Upłyną w każdym razie trzy lata, zanim Władysław raz jeszcze zresztą w całkiem zmienionych okolicznościach, pomyśli o akcji na spółkę z Austrją.

Pozostałoby jeszcze słów kilka powiedzieć o oddźwięku, z jakim się spotkał kongres w Europie i epilogu obrad kongresowych. Sam fakt odbycia kongresu zwrócił na siebie uwagę głównych dworów europejskich. W Szwecji na wiadomość o nim postanowiono dowiedzieć się bliżej o treści jego obrad.[1]) W Paryżu, jakkolwiek, zdaje się, nie żywiono specjalnych obaw, zwrócono nań uwagę i zaprzestano odtąd mówić o rychłem wydaniu królewicza Kazimierza.[2]) Nawet w Konstantynopolu nie przeszedł on bez echa, budząc obawy co do ewentualnej ligi antyturecckiej. Szybki jednak bieg wypadków na frontach walk odwrócił uwagę polityków europejskich w inną stronę.[3]) Nie trzeba dodawać, że najszerzej omawiano i komentowano ten zjazd w Polsce, ale i tu wypadki zaszłe w połowie 1639 r. odwróciły uwagę szlachty od tego kongresu.[4])

Epilog zjazdu był krótki. W myśl obietnicy uczynionej w Nikolsburgu podjął cesarz w kilka miesięcy potem próbę zapośredniczenia między Polską a Danją. Próba ta nie udała się zupełnie. Rozbiła się o złą wolę króla Danji, który uporczywie utrzymywał, że niema nieporozumienia między nim a królem Polski.[5]) I na tem więc polu nie uzyskał Władysław spodziewanych korzyści.

[1]) *Svenska Riksadets Protokoll.* VIII. 409.

[2]) L. Kubala: *Szkice historyczne* I 14.

[3]) Grotius ad Oxenstiernam. 12. II. 1639. *Skrifter.* II. 574.

[4]) Ceduła listu nominata gnieźń. do kaszt. krak. 27. XI. 1639. Teka Nar. 135. 585—587.

[5]) Szerzej o tych sprawach piszę w pracy przygotowanej p. t. W przymierzu z Austrją 1637—1645.

Dr. Władysław Czapliński.

Przegląd piśmiennictwa.

Cyprjana Norwida Poezje wybrane z całej odszukanej po dziś puścizny poety. Ułożył i przypisami opatrzył Mirjam „z dwoma wizerunkami i dwiema podobiznami autografów". Warszawa, Wydawnictwo J. Mortkowicza, MCMXXXIII, in 8⁰ str. 646.

Jest to nowa próba spopularyzowania Norwida. Oczywiście, gdy się mówi „spopularyzowanie" w odniesieniu do Norwida, to nie bierze się tego słowa w ścisłem znaczeniu. Chodzi nie o to, żeby pisma Norwida znalazły się w każdym domu, gdzie kupują książki i nie o to, żeby go czytały „wieśniaczki, kręcąc kołowrotki", lecz o to tylko, żeby zyskać poecie więcej niż dotychczas czytelników wśród „kasty wiednej i mającej serca czystą wolę". Norwid na zawsze pozostanie mistrzem mistrzów i poetą elity umysłowej. Zresztą sam on dla siebie za życia i po śmierci więcej niczego nie pragnął.

Elitę tę oczywiście nie stanowią wyłącznie fachowcy: historycy literatury i nauczyciele języka polskiego, dla których omawiany tu „Wybór Poezyj" bynajmniej nie zastąpi dalszych, niewydanych dotychczas (od roku 1914), tomów naukowego wydania „Pism zebranych" Norwida. Ten „Wybór Poezyj" przeznaczony jest dla tej elity naszych warstw inteligentnych, która, nie idąc z duchem czasu, nie chce bynajmniej zacieśnić swoich horyzontów myślowych do zainteresowań wyłącznie fachowych, a wierna tradycjom i sensowi samego słowa: „inteligencja", pragnie zdobyć wielostronny i głębszy pogląd na koleje myśli i pracy ludzkiej.

Wybór obejmuje dziewięć działów. Posegregowanie w pierwszych trzech nastąpiło z myślą o zwróceniu uwagi na momenty zasadnicze w życiu poety. Wiersze o najmocniejszem zabarwieniu lirycznem, których, bodajże programowo, wystrzegał się poeta, głoszący ideę „ubezosobistnienia się" ludzi, działających publicznie, zebrane zostały w pierwszym dziale, zatytułowanym „Imo a pectore". Dział drugi, zatytułowany „Ojczyzna, prawda, człowiek" wypadł bodajże najbardziej niezupełnie. Oczekiwałoby się tu możliwości do odtworzenia chociażby nawet tylko w przybli-

żeniu systemu filozoficznego poety, który jest podłożem całej jego twórczości artystycznej i przejawia się w wielkiej jednolitości jego poglądów, nie ujawniających prawie wcale wahań lub sprzeczności. Zamiast tego mamy jednak tylko sporadyczne poglądy na przeróżne rzeczy. Na podstawie tego, co daje niniejszy „Wybór", najuważniejszy nawet czytelnik nie potrafi urobić sobie należytego pojęcia o stosunku Norwida do Ojczyzny, Prawdy, Człowieka i o poglądach poety na nich. Kompletniejszy obraz daje dział następny „Sztuka". Możnaby go było uzupełnić już tylko urywkami prozy, które tu są z założenia pominięte.

Następne działy już tylko ubocznie traktują zasadę poselekcjonowania, jaką widzieliśmy w pierwszych trzech. Za podstawę podziału wziął tam autor rodzaje literackie, co do pewnego stopnia kwestjonuje celowość zasady poprzedniej. Zarówno „Apostrofy i Apoteozy", „Satyry i fraszki", „Poematy epickie", jak i wybór urywków do „Przekładów" (całkowitych przekładów u Norwida nie spotykamy, tłumaczył to, co się wiązało z jego przeżyciami lub poglądami) rzuca wiele światła zarówno na rozwój duchowy poety, zogniskowany w pierwszym dziale, jak i na jego poglądy, będące podstawą doboru w drugim i w trzecim dziale.

Przypisy wydawcy, jak zawsze, gdy Przesmycki pisze o Norwidzie, przynoszą wiele wartościowych uwag. Znaczna ich część znana już jest z Pism Zebranych (wydanych dotychczas tomów A, C i E), ale są i zupełnie nowe, np. o „Assuncie", o której odkrywca Norwida dotychczas nie miał okazji się wypowiedzieć. Brak miejsca zmusił komentatora do streszczania się. Czytamy tam jednak bardzo przekonywujące uwagi o tym poemacie, który dotychczas uchodził za wyłącznie miłosny. „Zwie ją Norwid poematem miłosnym. Czy istotnie miała być nim odrazu w pierwszem założeniu, wątpić raczej możnaby". Czemże tedy jest ten poemat z pozoru wyłącznie miłosny. „Miłosność" jego nie jest przez komentatora odrzucona, owszem jest ona osią i wiązadłem wszystkiej jego treści, ale „reminiscencje... poufne, intymne, człowiecze, budzące się niekiedy pod podnietą takich czy innych szczegółów lub akcentów"... „zlewały się niejednokrotnie w tych latach schyłkowych w jakieś syntetyczne wizje wszystkich umiłowań i pragnień, wszystkich walk i wstrętów, wszystkich westchnień pogodnych i westchnień bolesnych, jakie w ciągu wędrówki ziemskiej wypełniały duszę poety". Napomknął kiedyś St. Cywiński w swoim wyborze poezyj o symboliczności samej Assunty, teraz Przesmycki dorzuca do tego uwagę o „symbolem tchnącej powodzi, od czasu której zaniemiała Assunta". Wszystkie te uwagi ostatecznie obalają dotyczasowe mniemanie, wypowiedziane przez Krechowieckiego, że „Assunta" jest niedołężnym poematem miłosnym, a potwierdzają przypuszczenie, że w poemacie tym kryją się całe głębie skojarzeń filozoficznych i autobiograficznych, o czem już pisałem (*Prąd*, styczeń i luty 1933).

Oprócz tego Wybór ten przynosi szereg drobnych wierszy, dotychczas zupełnie nieopublikowanych (w liczbie 11) oraz kilkadziesiąt wierszy drukowanych po czasopismach, które obecnie trudniej jest czasem wyszukać, niż same rękopisy. Miejscami sprostowany jest tekst druków dawniejszych, sprawdzony na podstawie rękopisów. Przez to wszystko „Wybór" ten do czasu dokończenia „Pism Zebranych" zyskuje pewną wartość i dla norwidystów. Z tego stanowiska należałoby wyrazić ubolewanie, że Mirjam znowu nie uchylił nawet rąbka zasłony, okrywającej zapowiedziane w prospekcie, a dotychczas wcale nieujawnione większe utwory dramatyczne Norwida: „Aktor" i „Miłość czysta".

Wł. Arcimowicz.

Zofja Szmydtowa: O misterjach Cyprjana Norwida. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, Instytutu popierania nauki. Warszawa Pałac Staszica, 1932, in 8°, str. XII+194+2nl.

Jest to studjum o „Wandzie" i „Krakusie", utworach, z których pierwszy sam poeta nazwał „rzeczą w sześciu obrazach", a drugi „tragedją". Autorka, idąc za Z. Przesmyckim, woli je nazywać misterjami. Nasuwa się tu przedewszystkiem myśl, że temat został sformułowany nieco niejasno. Autorka omawia tylko dwa utwory, gdy tymczasem z tych samych, przez nią wyłożonych i przekonywujących powodów do misterjów zaliczyć można jeszcze i „Słodycz" i „Kleopatrę", choć je Norwid nazwał również tragedjami i „Zwolona", którego gatunek literacki poeta określił jako „monologję". W ten sposób wyjaśnia się, że autorka postawiła sobie bardziej ograniczone zadania, niż to opiewa tytuł pracy.

W tych zacieśnionych granicach studjum jest bardzo systematyczne, sumienne i przejrzyste. Jest to jedna z najlepszych rozpraw filologicznych o Norwidzie. Lwią część zajmuje rozbiór formy. Momenty treściowe są uwzględniane o tyle, o ile tłumaczą formę. Od analizy jej autorka dociera, lub też umożliwia innym dotarcie, do treści. Pomimo to na wstępie wyjaśnia autorka, że metoda tworzenia samego poety polegała na pracy we wprost przeciwnym kierunku. Od założeń treściowych, ściślej mówiąc ideowych, szedł Norwid do form artystycznych. Z tego to powodu, wielka mgławica skojarzeń treściowych, będących punktem wyjścia poety, nie została ani dostatecznie wyświetlona ani dostatecznie pogłębiona. Jeszcze tu jest sporo do zrobienia. Zato w zakresie analizy formalnej przyszłość już bardzo niewiele będzie miała do dorzucenia. Może tylko niektóre oświetlenia treściowe uzasadnią zagadkowe dla autorki momenty kompozycji utworów, np. nieuzasadnioną niczem chorobę Wandy, albo nagłą i nieoczekiwaną decyzję Rytygiera o marszu na Rzym (str. 19 i 45).

Nawet już przy obecnym stanie wiedzy o Norwidzie wytłumaczenie dwóch powyższych momentów kompozycyjnych w „Wandzie" nie nasuwa takich trudności, na jakie trafiła autorka. Stało

się tak dlatego, że za oś swoich rozważań i za punkt wyjścia wzięła ona, jak rzekłem, formę, gdy tymczasem należało zacząć od treści i formę uważać za wynik założeń ideowych. Już na wstępie (str. 3) autorka zdradza, iż weszła na drogę okólną i niezgodną z duchem i metodą tworzenia, jaką stosował Norwid. Autorka najpierw słusznie zaznacza, iż Norwid, powstając przeciwko krytyce formalistycznej, „uwydatnia pomocnicze działanie sztuki w postępie moralności i prawdy". Jednak tuż zaraz wyciąga fałszywy wniosek, iż „zastosowanie kryterjów pozaestetycznych jest tu skutkiem przejęcia się rolą obrzędową tragedji greckiej, wyrosłej z religijnego kultu, a także pietyzmu poety dla zaczątków dramatu chrześcijańskiego. Powyższego stanowiska poety nie można wyprowadzać z wpływów tradycyjnych form literackich, gdyż płynęło ono bezpośrednio z oryginalnego systemu estetyki narodowej, rozwijanej w ciągu całego życia w szeregu pism, począwszy od Wstępu do „Niewoli", a kończąc „Milczeniem". Misterja pod tym względem nie stanowiły bynajmniej wyjątku i dlatego zbieżność ich z tradycyjnemi formami nie wskazuje bynajmniej na genezę zjawiska. Gdy sam Norwid odwołuje się do tragedji greckiej i początków dramatu chrześcijańskiego, to czyni to, widząc tam, analogiczne do swego, stanowisko. Stanowisko to jasno zarysowuje się już w młodzieńczych warszawskich wierszach naszego poety z lat 1840—1842, gdy jeszcze nie dostrzegamy przejęcia się twórczością dramatyczną starożytnych Greków i pierwszych chrześcijan.

Powstając przeciwko krytyce formalistycznej i wiążąc sztukę z etyką, religią i filozofją, Norwid bynajmniej nie zamierzał wprowadzać kryterjów pozaestetycznych, tylko właśnie kryterja te uważał za estetyczne i to w pierwszym rzędzie estetyczne, poprzedzające wszelką krytykę formalistyczną.

> Jabym główniej myśl artysty badał,
> I czy dosłownie naród on spowiadał,
> Czy się nie wstydził prawdy i nie stłumił...
> *(Promethidion)*

Nie jest to postulat szukania w sztuce momentów moralizatorskich, czy w ścisłem tego słowa znaczeniu filozoficznych, to znaczy zbudowanych według praw dyskursywnego myślenia, lecz znaczy to zupełnie co innego. A mianowicie chodzi poecie o to, aby krytycy wpierw zbadali myśl artysty, założenia ideowe o treść utworu, a potem dopiero szli do krytyki formalistycznej, t. j. do rozważań: o ile forma odpowiada poznanej już treści. Jeżeli nawet to życzenie Norwida nie może być wszędzie, do wszystkich autorów zastosowane, to w odniesieniu do niego samego tego pomijać nie można. Ono wskazuje mu drogę, którą poeta sam dochodził w kompozycji i do innych momentów formalnych swoich utworów. W słowach epilogu „Promethidiona": „Lud myśli postaciami, a umiejętnie postacie do myśli swych dorabia" należy wi-

dzieć wyznanie własnych metod tworzenia. Bez takiego podejścia wszelka analiza estetyczna skazana jest zgóry na niecałkowite zrozumienie utworu, a co za tem idzie poprzestanie na poklasyfikowaniu form, na ustaleniu co najwyżej ich genetycznego związku z tradycjami literackiemi, na omówieniu filiacyj formalnych. Jednem słowem poprzestać wtedy trzeba na filologji, a zrzec się, tak niezbędnego przy pismach Norwida, komentarza i właściwej krytyki literackiej. Takich zaś komentarzy nie bez racji domagał się od krytyki Norwid (np. w liście do Kraszewskiego z r. 1859, *Tyg. Illustr.* 1912, nr. 30). One w tego rodzaju utworach, co Norwidowe, są pierwszym i niezbędnym krokiem do krytyki estetycznej.

Gdy chodzi o zagadkową niemoc „Wandy" i o wizyjne i nic wspólnego z realizmem nie mające „spłynięcie" do Wisły, to nastręcza ono kłopot, gdy się postać Wandy ujmuje wyłącznie ze stanowiska psychologicznego i historycznego. Niema z tem najmniejszego kłopotu, gdy zgodnie z duchem twórczości Norwidowej cały utwór potraktujemy jako alegorję („parabolę"), a samej postaci bohaterki przypiszemy znaczenie symboliczne. Nasunie się tu analogja do nieumotywowanego ze stanowiska medycyny zgonu Zofji z Knidos w „Quidamie" i Assunty w poemacie „miłosnym". Zarówno jedna, jak i druga postać jest uosobieniem sztuki, pieśni, zarówno jedna, jak i druga umiera, unikając w ten sposób wplątania w dzieje „praktyczności" niechrześcijańskiej. Toż samo mamy i w „Wandzie". Pomponjusowi, reprezentującemu bezmyślną i amoralną energję pogańską, odpowiada tu Rytygier, hipodromowi — koczowisko germańskie. W „Assuncie" Pomponjusowi i Rytygierowi odpowiada „przywódca górników", a hipodromowi i koczowisku — spalony spieką kraj górników, tropiących wszędzie zysk. Wszędzie we wszystkich niejako wiekach odradza się pieśń tęskniąca za upraktycznieniem i praktyczność pozbawiona związku należytego z pieśnią t. j. z twórczością bezinteresowną (nietylko w dziedzinie sztuk pięknych) po chrześcijańsku pojętą. W każdym wieku przyjmują one inne lokalne zabarwienie, ale zawsze do naszej epoki włącznie powtarza się tragiczne ich niepowiązanie. Tymczasem prawdziwy postęp ma polegać na „zaręczeniu" „pieśni z praktycznością", „jak męża i dziewki". Lapidarniej, ale wyraźniej mówiąc, chodzi wszędzie Norwidowi o to, że „ludzie chrześcijańscy są niepraktyczne osły, a ludzie praktyczni są szarlatany pogańskie" (List do Kraszewskiego, maj 1866. Biblj. Jagiell. Mnscr. Lit. N. Tom 63).

Przy takiej interpretacji i zawrócenie Rytygiera od stosu Wandy na Rzym jest zrozumiałe. Jego tęsknota za „pieśnią", jaką jest Wanda, doznała zawodu. Rzuca się tedy ta uosobiona praktyczność w stronę, gdzie jeszcze może być dopełniona przez pieśń, dopełniona nie istotnie, lecz tylko pozornie. Toć przecie sama autorka zwróciła uwagę (str. 108) na to, że według poematu, Rzymianie „rabują pieśniarza słowiańskiego z jego mocy ducho-

wej, moc tę wcielają w życie, a człowieka, który jej udziela, obrzucają pogardą i męczą". Wszelakoż w interpretacji autorki fakt ten niesłusznie został niezwiązany z wyprawą Rytygiera.

W dalszej konsekwencji taka idea przewodnia pierwszego misterjum ściśle wiąże je z następnem, z „Krakusem". Krakus i Rakuz to znowu chrześcijańska i pogańska praktyczność. Krakus, jak ów lud z młodzieńczych poezyj Norwida, jedną ręką zdrój myśli wydobywa z nieba a drugą szuka dla nas chleba, jest to praktyczność chrześcijańska. Rakuz zaś z natchnieniem nieziemskiem zerwał zupełnie. I pobudki czynów i ich cel ograniczają się u niego do ziemskiego padołu.

Tą drogą idąc, można oba misterja zrozumieć do głębi bez reszty, a i wszystkie formalne posunięcia poety znajdą wtedy uzasadnienie.

Z drobnych uchybień możnaby tu było jeszcze zaznaczyć, że poeta nie daje bynajmniej powodu i podstaw do tego, aby żyda w „Wandzie" uważać za przedstawiciela swego narodu (str. 105, a także 56—7). Jest to raczej przedstawiciel swej warstwy społecznej i zawodu. O narodzie żydowskim z epoki, w której się rozwija akcja „Wandy", Norwid był zgoła innego zdania, niż to, które mu przypisuje autorka (Por. epilog „Promethidiona", III). Wreszcie niepotrzebna jest (str. 97) mętna, a bodajże i fałszywa definicja symbolu i alegorji. W toku rozprawy autorka w pojęciach tych nie odbiega od pospolitego ich rozumienia. W tym stanie rzeczy definicja sprowadza niepotrzebne powikłanie.

Wł. Arcimowicz.

Zygmunt Falkowski: Rzecz o tragiźmie Kleopatry C. K. Norwida. Wilno 1932, Wydał St. Merło, in 8°, str. 119.

Jest to drugie, nieco rozszerzone, wydanie. (I-sze: Kraków 1928). Filolodzy mogą mieć do tej książki pretensje, z ich stanowiska słuszne, gdyż jest to właściwie książka poety o poecie. Intencją autora jest „przeprowadzić czytelnika na „tamtą stronę" dzieła i pokazać mu żywe zdumienie ducha poety wobec tragicznej fatalności dziejów oraz jednostek" (str. 7). Wobec tego na szarym końcu znajduje się tu sprawa filjacyj literackich, sprawa podciągnięcia elementów twórczości Norwida pod znane i zdefinjowane pojęcia, sprawa wyczerpania wszystkiego, co tylko ze stanowiska filologicznego omówić da się, t. j. wogóle sprawa wszelkiego poszufladkowania faktów i zjawisk literackich. Poznanie od zewnątrz i opisywanie czysto zewnętrzne jest obce autorowi, który organizacją swej umysłowości jest pokrewny Bergsonowi, na którego zresztą się powołuje, i Norwidowi. Tem się też tłumaczy i styl autora, który ponad oderwane pojęcia i odpowiadające im terminy filozoficzne przekłada plastyczne metafory, tłumaczące oderwane zjawiska przez analogję. Z tem wszystkiem książka nieco niesamowicie wygląda w szeregu rozpraw filolo-

gicznych, gdyż wywody dyskursywne mieszają się z powiedzeniami obrazowemi (parabolami, rzekłby Norwid), które wcale niczego nie dowodzą, mimo, że wiele rzeczy „oczywistnią" (znów termin Norwida). Ale to wszystko nie jest wcale „ale". Nietylko filolodzy mają prawo zabierać głos w sprawie poezji. Owszem tego rodzaju studja wnoszą świeży nurt życia w mrożoną przez filologów atmosferę historji literatury. Jest to, rzekłbym, nurt dobrze pojętej krytyki literackiej, usiłującej w pierwszym rzędzie przeniknąć intuicyjnie istotę dzieła i jego twórcy.

Falkowski istotnie nietylko obszedł Norwida dokoła, lecz dokonał swego, przeniknął jego twórczość, a raczej wchłonął ją, przepoił się nią i stara się czytelnikowi dać ją poznać od wewnątrz, od tej strony, od której ją sam Norwid znał. Książka jest narazie jedynym komentarzem do „Kleopatry". To co pisali dotychczas Nowodworska, Tarnawski i Szyjkowski było właśnie opisem strony zewnętrznej. Nie pozwalało to nawet podejrzewać istnienia tego olbrzymiego splotu skojarzeń, jakich na schyłku życia dostarczała Norwidowi kilkudziesięcioletnia „praca w pocie czoła" i dojrzałość duchowa, oparta na doświadczeniu, zdobytem w wytrwałem bojowaniu o prawdę. Ten splot znalazł swe odbicie w dziełach z najpóźniejszego okresu twórczości naszego alegorysty. „Kleopatra" powstała w tym właśnie czasie. Dzieła jego stały się przez to niejako wielostopniowemi, czy może dokładniej będzie, jeżeli powiem: wielopiętrowemi alegorjami. W związku z tem i tragizm ulubionej tragedji Norwida rozwidla się na wiele odnóg. W miarę coraz uważniejszego i dokładniejszego wczytywania się z pod symbolów, personifikacyj, alegoryj i uogólnień wyłaniają się coraz nowe skojarzenia i związane z nimi odmiany, raczej odnogi tragizmu.

Zasługą Falkowskiego jest, że to bogactwo treściowe i formalne utworu odsłonił, ale niedociągnięciem jest, że te odnogi głównego nurtu przedstawiają się u niego raczej jako liczne, obok siebie postawione, ale dość luźno i tylko zewnętrznie związane, odmiany. Ma się wrażenie, że Norwid obok siebie dał szereg wątków i kolizyj tragicznych, tu tragizm Cezara i Kleopatry, tam tragizm narodów, to znów tragizm człowieka wogóle i t. d., nie troszcząc się bynajmniej o więź wewnętrzną utworu, stwarzając przez to niejako, męczący czytelnika, natłok myśli i do pewnego stopnia chaos. Tymczasem, czytając „Kleopatrę", odnosimy raczej wrażenie monumentalnego spokoju i ładu, czyli wrażenie wprost przeciwne do tego, jakie uwydatnia Falkowski.

Jednak Falkowski się nie omylił. Wszystko to, o czem on mówi (jeżeli pominąć rzeczy drobne, które przyszli analitycy wyłowią, sprostują i uzupełnią), niewątpliwie zawiera się w utworze, ale zawiera się, jako odnogi jednego zasadniczego nurtu. Falkowski przeszedł cały labirynt, wielce skomplikowany, i o tyle się pomylił, że główny korytarz policzył między odnogi. Tymczasem

ten główny korytarz jest tym czynnikiem porządkującym i uwydatniającym ład i estetyczną budowę całego utworu. Tą osią założeń ideowych i kompozycji całego dzieła jest teorja „zwolenia", jest pogląd Norwida na udział Opatrzności w dziejach ludzkości. Tragicznem jest wszystko, co staje wpoprzek drogi planom Opatrzności, jest ono tragiczne beznadziejnie, skazane na całkowitą zagładę. Tragizm Cezara jest inny, gdyż idzie on po linji planów Opatrzności i złamany jest tem, co w nim lub poza nim idzie w kierunku przeciwnym lub przynajmniej innym, jest to tragizm samej Opatrzności, tragizm wyzwalający, tragizm, na którego dnie leży radość i nieśmiertelność idei.

Przy takiem postawieniu sprawy tragizm „Kleopatry" przedstawia się jako planowe i systematyczne rozwinięcie zasadniczej myśli, jako przystosowanie do różnych momentów życia jednostek, narodów i ludzkości, wspomnianej przed chwilą, teorji zwolenia.

Filologiczne dociekania wykryją pokrewieństwa i odchylenia w zestawieniu z typem tragedji klasycznej i szekspirowskiej, przytoczą ponadto wiele filjacyj, ale to wszystko nie zmieni rzeczy zasadniczych: bogactwa skojarzeń, połączenia w jednym utworze tragizmu wielostronnie pojętego zarówno jednostek, jak i narodów i ludzkości, a nawet prawd, które u Norwida zdają się żyć życiem organicznem, oraz estetycznego uporządkowania tego wszystkiego dokoła osi głównej, którą jest norwidowa teorja zwolenia.

Wł. Arcimowicz.

Rocznik Krakowski t. XXIV. Kraków 1933 str. 269.
St. Tomkowicz: Pałac biskupi w Krakowie. Bibljoteka Krakowska nr. 78, str. 40.
Wł. Terlecki: Zamek na Wawelu. Kraków. 1933 str. 150.

Kryzys ekonomiczny nie daje się jakoś odczuwać w ruchliwej działalności Towarzystwa Miłośników Historji i zabytków Krakowa. Świeżo wypuściło ono na rynek trzy książki, dwie pierwsze z wymienionych w ramach normalnego cyklu wydawnictw, trzecią nadprogramowo. Rocznik krakowski niezmiernie bogato ilustrowany (szczególnie piękne trzy kolorowe reprodukcje minjatur z kodeksu Bema) zawiera trzy większe rozprawy. Naprzód J. Szablowski przedstawia rozwój architektoniczny najważniejszych zabytków Kalwarji Zebrzydowskiej na tle ogólnych dziejów tego miejsca świętego. Szkoda że autor nie uwzględnił również arcydzieł malarstwa, bo mielibyśmy pełną monografję artystyczną, ale i bez tego studjum p. Szablowskiego, wydane również osobno jako odbitka, stanowi pierwsze, naprawdę naukowe opracowanie powyższej miejscowości, uświęconej tylowiekowym kultem cierpiącego Zbawiciela i Jego Najświętszej Matki. P. Jarosławiecka-Gąsiorowska omawia zabytki świeckiej architektury neoklasycznej w Krakowie, przechodzącej w ciągu jednego stulecia (1750—1850)

przez trzy fazy: stylu Ludwika XVI, Empiru i Biedermeieru, uwzględniając zarówno fasady pałaców i kamienic, jak i wnętrza tychże. Architektura neoklasyczna nie wydała w Krakowie tak monumentalnych gmachów, jak w Warszawie, niemniej pozostawiła po sobie szereg godnych uwagi pamiątek. W trzecim niezmiernie ciekawym artykule K. Estreicher bada omawiane wielokrotnie w literaturze minjatury słynnego kodeksu Baltazara Bema pod kątem widzenia obyczajowym i stara się objaśnić ich treść przy pomocy literatury mieszczańskiej polskiej i niemieckiej XVI i XVII w. Wkońcu mamy kronikę konserwatorską i ciekawe zestawienie literatury z ostatnich 15 lat, dotyczącej dziejów uniwersytetu Jagiellońskiego, zebrane przez dra Barycza.

Studjum czcigodnego Nestora polskich historyków sztuki, dra St. Tomkowicza o pałacu biskupim w Krakowie stanowi jego śpiew łabędzi, zostało bowiem napisane przy samym końcu tego długiego pracowitego i wielce zasłużonego żywota. Autor przechodzi poszczególne fazy powstawania pryncypalnej siedziby biskupów krakowskich, która postać dzisiejszą przybrała w ciągu XVII w. głównie dzięki nakładom biskupów Gembickiego (1642—1657) i Małachowskiego (1681—1699). Dłuższy ustęp poświęcono interesującej dekoracji malarskiej wnętrza, dokonanej przeważnie przez Michała Stachowicza na polecenie biskupa - patrjoty J. Woronicza (1815—1827). Dekoracja ta przepadła niemal w całości wskutek straszliwego pożaru w r. 1850, po którym pałac podniósł się z ruiny dopiero za rządów kardynała Dunajewskiego ale nie wrócił już do dawnej świetności.

Książka Wł. Terleckiego podaje obszernie przebieg prac konserwatorskich, zmierzających do przywrócenia królewskiemu zamkowi na Wawelu pierwotnego blasku i chwały. Autor poddaje dokonane prace rzeczowej krytyce i pomimo pewnych zastrzeżeń w szczegółach wydaje naogół korzystną opinję o przeprowadzonej dotąd restauracji i jej kierownictwie, spoczywającem od r. 1917 w wytrawnych rękach p. Szyszki - Bohusza. Książka bogato ilustrowana powinna zainteresować naszą polską elitę kulturalną, której nie obce są losy zamku wawelskiego, tego „narodowego pamiątek ołtarza".

M. N.

Czesław Lechicki: Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1932. Str. 426.

Krytyka książki Lechickiego nie jest łatwa, ponieważ wywołuje sprzeczną ocenę! Już sam temat budzi sympatję i zainteresowanie! Tak mało posiadamy prac monograficznych z dziejów naszej kultury, że każde nowe studjum wita się z radością i uznaniem. Autor zadanie swoje pojął szeroko, integralnie, ekspozycję i tło dla właściwego tematu nakreślił dokładnie, a zarazem barw-

nie, pisze lekko, przystępnie, jego styl ma duże wartości literackie, łączy razem sympatyczne, ciepłe odnoszenie się do tematu z troską o rzeczowość i krytycyzm w ujmowaniu i ocenie faktów! Jego sąd o Zygmuncie III, dworze, Jezuitach jest spokojny, życzliwie krytyczny, a jakże już daleki od jednostronnej niechęci, czasem wprost nienawiści starszych i niektórych współczesnych historyków! Te wszystkie zalety sprawiają, że studjum Lechickiego czyta się z wielkiem zainteresowaniem, że dzięki temu znajdzie ono, a przynajmniej powinno znaleźć czytelników w szerokich warstwach inteligencji i wśród młodzieży; zbliży przez to epokę pierwszego Wazy naszej świadomości historycznej! Dzięki tym zaletom książka Lechickiego będzie pracą pożyteczną i rzetelną przysługą w naszej literaturze historycznej.

W pełni uznania dla tych zasług nie możemy przemilczeć niektórych poważnych braków omawianego studjum. Pierwszym z nich jest nieproporcjonalne do całości rozrośnięcie się tła i ekspozycji! Obejmuje ona trzy rozdziały na pięć i 173 stron na 326. Te trzy rozdziały wstępne są w pracy Lechickiego absolutnie koniecznie, nie można bowiem przedstawić mecenasowskiej działalności panującego, bez dokładnego zapoznania czytelników z osobistością króla, jego wychowaniem, młodością, charakterem, a dalej bez zapoznania z jego rodziną, otoczeniem, z jego przyjaciółmi, doradcami i powiernikami, wreszcie z atmosferą i charakterem dworu królewskiego. Z tego względu nie sądzę, że cała część wstępna jest zbyt za długa; pewne, zresztą nieliczne, powtarzania dałoby się skreślić, pewne drobiazgi opuścić lub przenieść do przypisów; za krótka a przedewszystkiem nie pełna i nie wyczerpująca jest część druga książki, opowiadająca nam o mecenacie Zygmunta. Pewne szczegóły są zbyt drobiazgowo opracowane, inne zato ledwie naszkicowane lub tylko narzucone jako zagadnienie do rozwiązania (np. działalność na polu architektury, zamek warszawski, częściowa przebudowa Wawelu). Autor sam nieraz wyznaje, że to czy inne zagadnienie nie jest jeszcze zbadane. Co więcej, podaje nam nawet informacje o źródłach, któreby prawdopodobnie rozwiązanie to przyniosły (np. korespondencja Urszuli Mejerin, prywatne królewskie Archiwum Zygmunta III). Gdy czytamy te informacje, narzuca nam się wprost pytanie: dlaczego autor tych rękopiśmiennych, dotąd niezbadanych i nie ogłoszonych archiwaljów, sam nie zużytkował? Dlaczego wogóle archiwalja, nawet krajowe pominął, a opiera się wyłącznie na materjałach i literaturze przedmiotu drukowanej? Nie wiemy! Jest to bardzo poważny brak pracy Lechickiego! Z tego powodu temat nie został wyczerpany, ale właściwie dopiero postawiony; studjum omawiane zbiera pracowicie to wszystko, go zostało dotąd o mecenacie i kulturalnej działalności Zygmunta III powiedziane, ale zagadnienia tego wedle wymagań dzisiejszych nie rozwiązuje! Nie stawiałbym autorowi tego zarzutu, gdybym z doświadczenia nie

wiedział, jakie ogromne bogactwa kryją archiwa polskie i obce właśnie przedewszystkiem do dziejów kultury! Jako przykład wystarczy przytoczyć archiwalja watykańskie, korespondencje biskupów, rewindykcje z Rosji! Mojem zdaniem dla nauki jest bardziej pożytecznem wyczerpywanie zagadnień przez prace monograficzne w pełni dojrzałe.

Prócz tego ogólnego zarzutu, miałbym jeszcze sporo drobniejszych zastrzeżeń! Niektóre z nich poruszam. Autor nie rozumie istoty baroku i jego genezy! Dla niego barok, to synomim afektu, patosu i teatralnej pozy! W duchu przestarzałych, dziś już zarzuconych poglądów, łączy powstanie baroku z zakonem jezuickim (str. 53, 55, 175 i nast.). Takie określenie baroku prowadzi autora do sytuacyj paradoksalnych i komicznych wtedy, gdy mu przyjdzie mówić o typowo barokowym kościele św. Piotra w Krakowie lub o kaplicy Wazów. Zabytki te typowo barokowe, a więc wedle określenia kilka razy powtórzonego, niesharmonizowane, pełne teatralnej pozy, sztuczności, przecież są sharmonizowane, czyli nie są barokowe (str. 189). Na dowcip zakrawa taka charakterystyka: „dekoracje zupełnie barokowe (= niesharmonizowane), choć sharmonizowane". To nam jasno wskazuje, że autor baroku nie rozumie i nie odczuwa czaru takich budowli jak kościoły św. Piotra w Krakowie, Kazimierza w Wilnie i t. d. Nie można również mówić, że kościół św. Piotra w Krakowie jest zbudowany „centralnie", a kilka wierszy dalej pisać o zbudowaniu w kształcie łacińskiego Krzyża (bazylika).

Zbyt łatwo używa autor słowa fanatyzm nawet tam, gdzie mamy do czynienia z gorliwością religijną, a już grubo przesadza, gdy względnie sporadyczne polskie tumulty antyheretyckie określa jako „manifestację sadystycznych instynktów" ludu i studentów! Jakiegoż terminu użyjemy dla oceny nocy św. Bartłomieja, wojny chłopskiej, angielskich prześladowań etc.?

Krzywdzi autor Stefana Batorego, gdy jego religijność pomawia o brak bezinteresowności, gdy opiera ją na względach politycznych (str. 142), lub gdy wierzy w jego miłostki postronne (str. 67).

Krakowski jezuicki dom profesów nie był przy kościele św. Piotra, ale przy kościele św. Barbary, w r. 1597 nie można mówić o kolegjum jezuickiem w Warszawie (str. 103) do r. 1606 była tam tylko maleńka rezydencja; mylnie podaje autor nazwisko jednego z kapelanów królewskich Rabe, był to O. Justus Rab (str. 113). Sokołowski, kaznodzieja Batorego, poprzednik Laterny, nie był Jezuitą (str. 125). Sędziwój nie mógł uczyć się u Jezuitów w Krakowie około 1580, bo żadnych szkół tam wtedy nie mieli (str. 159), podobnie Treter nie mógł się uczyć u nich w Bydgoszczy, ponieważ tamtejsze kolegjum powstało w sam raz 7 lat po śmierci Tretera (str. 186).

Ogólna charakterystyka mecenatu Zygmunta nie budzi zasadniczych wątpliwości i zastrzeżeń, nie zgodziłbym się z autorem na jego rozłączenie (dysjunkcję), że wysiłki królewskie nie pomnażały dorobku ogólno-narodowego, ponieważ były „podejmowane na chwałę Bożą i chwałę dynastji, ale nie na chwałę Rzeczypospolitej". Czyżby autor sądził, że chwała Boża a chwała narodu to dwie sprzeczne rzeczy? Czy bazyliki św. Piotra w Krakowie, Kazimierza w Wilnie, kaplica tegoż Świętego w katedrze wileńskiej, pomyślny rozwój muzyki kościelnej za Zygmunta nie są pomnikami narodu i Rzeczypospolitej!?

Autor chętnie porównywa Zygmunta, jego mecenat i dwór z panującymi i ich dworami w Europie zachodniej, z porównania tego dwór naszego króla, zwłaszcza jeśli idzie o stronę moralną, wychodzi zwycięsko! Jabym takich dodatnich rysów podał więcej! Lechicki podkreśla na niekorzyść Zygmunta, że kosztem miljonów nie wzniósł Escorialu lub Wersalu polskiego. Uwaga zasadnicza słuszna, ale wyjdzie ona raczej na korzyść króla, gdy się zważy, że pałace tamte powstały dzięki strasznemu darciu skóry z poddanych, a nawet dzięki zaborczej, bandyckiej polityce Ludwika!

Pożądaną i miłą ozdobą studjum Lechickiego byłyby ilustracje, które dziś choć jeszcze nie są koniecznością prac z historji kultury, to w każdym razie należą do dobrego tonu!

Ks. St. Bednarski.

Ks. prof. Bernard Bartmann: S t w o r z e n i e. — Bóg, świat, człowiek. Z niem. oryginału przełożył ks. Wacław Zajączkowski T. J. Kraków 1933. Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów, str. 149.

Tenże: N a s z a w i a r a w O p a t r z n o ś ć. Z niem. oryginału przełożył Ks. arcybiskup Piotr Mańkowski. Wydawnictwo jak wyżej, Kraków 1932, str. 146.

Dotychczasowa bierność na polu teologicznych problematów u inteligencji polskiej zdaje się wyraźnie ustępować miejsca większemu zainteresowaniu. By zainteresowanie to nietylko utrzymać, ale wzmocnić i spotęgować, konieczna jest odpowiednia literatura teologiczna nie tyle ściśle naukowa i jednostkowa, rozwijająca do najmniejszych szczegółów poszczególne problemy, ani też podręcznikowa, lecz raczej ogólna, popularna. W dziedzinie teologicznej suponuje się dziś za wielkie wiadomości u ogółu. Tu raczej trzeba być pesymistami niż optymistami.

Charakteru ogólnego, naukowo-popularnego są właśnie książki prof. Bartmanna. Poruszają one zagadnienia, które jeśli kiedy, to właśnie dziś w czasach ciężkich doświadczeń gnębią i niepokoją umysły ludzkie. Od rozwinięcia ich zależy zewnętrzne i wewnętrzne życie każdego niemal człowieka.

Do problemów częstej dyskusji podlegających, należą w czasach obecnych następujące: Skąd się wziął świat? — Swiat jest najlepszy, twierdzą jedni; świat jest najgorszy, twierdzą drudzy.

Skąd ja pochodzę? — Autor w pierwszej książce w prosty a przekonywujący sposób stwierdza, że świat nie powstał drogą bezwzględnej ewolucji, lecz że został stworzony przez Boga; że świat nasz nie jest ani najlepszy ani najgorszy, lecz że jest dobry, choć mógł być lepszy, że jest takim, jakim miał być według dekretu Bożego. Nadto zastanawia się ks. B. nad szeregiem innych kwestyj, szczególnie zaś nad grzechem pierworodnym. W tej materji stwierdza, że „wszystkie grzechy wywodzą się z grzechu pierworodnego", podobnie jak wszyscy ludzie pochodzą od Adama; że skutkiem grzechu pierworodnego jest śmierć wszystkich ludzi.

Druga książka Bartmanna mówi o Opatrzności Bożej nad światem, nad ludźmi, nad poszczególnym człowiekiem, o stosunku Opatrzności do wolnej woli, do „fatum" i t. d. Poza tem rozwija autor trudne i zawiłe zagadnienie, które dziś dręczy umysły, mianowicie: Czem jest zło, na czem polega, kto jego twórcą? Złem jest każdy grzech, a grzech polega na dobrowolnem przekroczeniu przykazania Boskiego. „Zło leży wyłącznie w wolnej woli, ta zaś jest dobra lub zła, wedle tego jak sama, niczem nieprzymuszona, nastawi się do Boga. Jeśli stanie po stronie Boga, dobra będzie; jeśli się Bogu sprzeciwi, będzie zła". „Zło w początkach stworzenia nie istniało wcale". „Bóg zła nie uczynił. Bóg nie powołał do bytu stworzeń złych: ani złych aniołów, ani złych ludzi, ani też złej materji. Bóg i zło wykluczają się nawzajem, jak ogień i woda. Jeden jest tylko stosunek Boga do zła: On jest jego sędzią i mścicielem. Bóg karze zło; On go nigdy ścierpieć nie może, nigdy z niem wspólnie nie może przebywać. Jest ono i pozostanie wykluczone z jego wiekuistej siedziby".

Obie te książki zasługują na szerokie rozpowszechnienie. Winnyby dojść do rąk inteligencji polskiej i do duchowieństwa, które znajdzie w niej wiele materjału do pastoryzacji. Ze strony negatywnej, oczywista bez uszczerbku dla całości, zaznaczyć można brak podania literatury, z której autor korzystał, względnie z której mógłby czerpać czytelnik, chcący szerzej z odnośnemi zagadnieniami się zapoznać.

E. Deroski.

Ehrle, Kardinal Franz, S. I.: Die Scholastik und ihre Aufgaben in unserer Zeit. Grundsätzliche Bemerkungen zu ihrer Charakteristik. 2., vermehrte Auflage, besorgt von Franz Pelster S. I. 8° (X. u. 100 S.) Freiburg im Breisgau 1933, Herder, Geheftet 3·20 M.

Jest to ponowne wydanie znanej rozprawy Ks. Kardynała Ehrle, sędziwego już dziś badacza dawnej scholastyki, przerobione i uzupełnione przez młodego badacza tejże, cieszącego się dziś już światową sławą, O. Pelstera T. J. Charakterystyczne cechy scholastyki sprowadza Kard. Erhle do dwóch: przyjazne ustosunkowanie się spekulacji filozoficznej do chrześcijańskiego objawie-

nia i do nauki Arystotelesa. Jak te dwie cechy zasadnicze występują w różnych fazach rozwoju i upadku scholastyki, jakie są zadania neoscholastyki, jak powinien się ustosunkować do księcia scholastyki św. Tomasza z Akwinu według wskazówek Kościoła katolickiego każdy filozof i teolog katolicki, oto dalsze tematy tej prawdziwie zajmującej rozprawy. Sądzi Kard. Erhle, że powagę św. Tomasza należy stawiać bardzo wysoko, nie tak jednak, by zanadto krępować swobodę badania filozoficznego. Tylko ta *iusta libertas* wydała w ciągu wieków pożądane owoce zdrowego postępu i tę dobrze zrozumiałą swobodę pozostawiają badaczom na polu filozofji i teologji najnowsze dekrety papieskie. W tym sensie interpretuje Kard. Ehrle najnowsze zarządzenia Stolicy św., a wydawca O. Pelster zaznacza, że osobisty wpływ Ks. Kardynała na te zarządzenia był niemały (Vorwort, VI). Dokumenta zebrane w Dodatku mają potwierdzić, że punkt widzenia Autora jest jedynie słuszny.

Myśl swą zawarł dostojny Autor w wyrażeniach: „Freier Anschlus an den Aquinaten" (str. 33), „nicht die einschrenkende Auslegung" wskazówek papieskich (str. 71), „die Gefahr, dass mann die Schule höher als die Wahrheit schätze" (str. 34), „Vergraben wir uns nicht in die Enge unserer Haüslichkeit" (str. 76). „Mógł Bóg — powiada gdzieindziej (str. 16) — w obecnym planie zbawczym posłać Kościołowi swemu nauczycieli, których pisma cieszyłyby się nieomylnością, atoli uczy nas historja, że tego nie uczynił. Ani Augustyn, ani Bonawentura, ani Tomasz, ani żaden inny wielki nauczyciel nie zdołał się całkowicie uchronić od błędów. Nieomylność jest przywilejem jedynie Kościoła Chrystusowego i Jego Namiestnika, a nawet u nich jest ona zacieśniona do pewnych tylko wyroków, mianowicie tych, które są konieczne dla zachowania czystości Objawienia. Nie powinniśmy mądrości odziedziczonej po wielkich mistrzach przyjmować w siebie tylko biernie, lecz niejako na nowo ją nabywać przez samodzielne badanie i pracę... Spekulacja filozoficzna i teologiczna nie powinna się zamieniać na pozytywną naukę przekazaną przez poprzedników. Wielcy nauczyciele powinni być dla nas pochodniami i podporami, nie powinni jednak w żaden sposób zwalniać nas od badań samodzielnych, ale tylko torować nam drogę do dobrze zrozumianego postępu".

Ks. Fr. Kwiatkowski T. J.

Bolesław Skirmunt: W służbie Kościoła i Polski. Ks. Dr. Kazimierz Skirmunt. Wilno 1931. Skład główny Księg. św. Wojciecha w Wilnie. Str. 61.

Dopiero teraz nadesłano nam broszurę, która wyszła już półtora roku temu. A warto na nią zwrócić uwagę jako na poświęconą pamięci zmarłego przed dwoma laty w Rzymie kapłana, ks. prałata Skirmunta, który w historji naszych stosunków ko-

ścielnych ma piękną kartę. Był on przez długie lata cichym pośrednikiem między biskupami zaboru rosyjskiego a Stolicą św., z którą jawnie nie wolno im było się znosić. Przechodziły przez jego ręce delikatne sprawy, jak informacje o kandydatach na biskupów, o trudnościach Kościoła z rządem i odwrotnie on i jego brat, autor broszury, byli pośrednikami w dostarczaniu biskupom zleceń Stolicy św., których nie było można powierzać drodze dyplomatycznej. Pośredniczył także w dostarczaniu Stolicy św. wiadomości z Wielkopolski, naprz. w sprawach ucisku szkolnego. Za niepodległej Polski ks. Skirmunt był radcą kanonicznym ambasady naszej przy Watykanie. Broszura opowiada o działalności ks. Kazimierza tylko sumarycznie, oświetla jego znaczenie tylko jednostronnie, jak się przedstawiało autorowi. Do wszechstronnego omówienia udziału ks. Skirmunta w sprawach kościelnych należałoby przestudjować archiwa rzymskie, na co jeszcze zawcześnie. Ale i taka broszura jest miłym przyczynkiem do poznania niedawnych naszych dziejów.

J. U.

Rocznik Tatarski *(Tatar Yili)*. Tom I. Str. XX+364. Duża ósemka. Wydanie Rady Centralnej Związku kulturalno-oświatowego Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej. Wilno 1932. — Redaktor naczelny: *Leon Kryczyński.*

Przełomową datą w powojennych dziejach Tatarów polsko-litewskich pozostanie chyba na zawsze rok 1925, a to dzięki dwom faktom. Pierwszym był Wszechpolski Zjazd Delegatów Gmin Muzułmańskich i wybór muftiego, w osobie dra Szynkiewicza; drugim — to utworzenie „Związku kulturalno-oświatowego Tatarów Rzeczypospolitej Polskiej". Założycielami wspomnianego Związku byli Stefan Bazarewski, prof. U. S. B., A. Murza-Murzicz i gen. Al. Romanowicz. Związek w trzy lata później powołał do życia Radę Centralną, założył Muzeum i Archiwum Tatarskie w Wilnie, zorganizował szereg odczytów i rozpoczął cykl wydawnictw, których bodaj, czy nie najważniejszym jest, obok *Przeglądu Islamskiego*, omawiany przez nas *Rocznik Tatarski.*

Treściowo rozpada się na: Część ogólną, Rozprawy, Miscellanea i Materjały, Recenzje i Bibljografję, Kronikę i Część literacką. Całość zamyka dwuszpaltowy indeks osób, obejmujący stron 21. — Niektóre artykuły, jak np. O. Kryczyńskiego o roli Tatarów w współczesnym ruchu nacjonalistycznym, — przeczyta każdy inteligent z dużem zajęciem, choć jego zasadniczą tezę musi odrzucić. Islam — stwierdzamy w imię prawdy — nie jest syntezą mozaizmu i chrześcijaństwa i nie wierzymy, żeby sześciotysięczna garstka polskich Tatarów mogła odegrać rolę pomostu między Zachodem a Wschodem. Niech nam będzie również wolno wyrazić życzenie na przyszłość: abyśmy w następnym tomie *Rocznika* nie znachodzili wyrazu „kościół" z przymiotnikiem

„islamski". Wierzącego katolika taka terminologja co najmniej — dziwi.

Poza temi zastrzeżeniami uważamy *Rocznik Tatarski* za cenny i miły dorobek w dziedzinie historji i etnografji.

Ks. Józef Krzyszkowski.

Johannes Lindworsky S. I.: Erfolgreiche Erziehung. Psychologisch-ethische Begründung normal— und heilpädagogischer Massnahmen. Freiburg im Breisgau 1933, Herder. Str. XII+46.

Dla tych, którzy rozpoczynają działalność wychowawczą nad młodzieżą, w zakładach czy w rodzinie, oraz dla tych, co są z nią dobrze obeznani, ale znajdą się wobec wypadków trudnych, wymagających może nowej orjentacji lub rewizji dotychczasowych metod, przeznaczona jest ta książka. Nie chce ona jednak dawać konkretnych wskazówek praktycznych, lecz podstawowe zasady, które pozwoliłyby wychowawcy znaleźć w potrzebie samemu trafne zastosowanie. Autor, profesor psychologji na uniwersytecie w Kolonji, wyzyskał tu zarówno swą rozległą wiedzę teoretyczną, jak osobiste doświadczenie w konwikcie męskim i obserwacje w zakładzie wychowawczym żeńskim.

S.

Z wydawnictw Głównej Księgarni Wojskowej, Warszawa 1933.

Przed olimpjadą w Los Angeles rozpisało Ministerstwo W. R. i O. P. konkurs na najlepszą pracę literacką na temat sportu. Z pośród nadesłanych nagrodzono lub wyróżniono pięć prac, które z różnych stron rozpatrują wskazany temat, a wydaniem ich zajęła się Gł. Księgarnia Wojskowa, w cyklu p. t. „Pięciu na Olimpjadę". Gustownie wydane, z ilustracjami i w oryginalnych, barwnych oprawach kartonowych, stanowią niejako początek polskiej powieści sportowej (pierwszą był „Laur Olimpijski" Wierzyńskiego), która bezwątpienia znajdzie chętnych czytelników wśród młodzieży i dorosłych.

Do wspomnianego cyklu należą: Jalu Kurek: *Mount Everest* (str. 94); pełen życia i grozy opis wyprawy w r. 1924 na ten niebotyczny szczyt, zakończonej śmiercią dwóch młodych turystów Mallory'ego i Irvine'a. St. Zaleski: *Największe zwycięstwo* (str. 144); pięć nowel, dwie poświęcone pięściarstwu, a trzy sportowi wodnemu. Stanisław Szczawiński: *Wicher* (str. 40); sport jeździecki i znawstwo koni; Wicher to koń wyścigowiec. Władysław Burzyński: *Z Karpat* (str. 136); przygody zamiłowanego myśliwca, sporo wiadomości krajoznawczych. Hanna Malewska: *Wiosna grecka* (str. 96); sport w starożytnej Grecji, za czasów Platona.

Z pokrewnych wydawnictw poprzednich zasługuje jeszcze na wzmiankę książka: Kajetan Czarkowski-Golejewski: *SP-AEU* (litery te oznaczają polskie znaki lotnicze). W estetycz-

nie wydanej tej książce, w większym formacie, barwnej okładce, z licznemi, niektóremi znakomicie wykonanemi ilustracjami, opisuje autor swój 13 dniowy lot nad Azją: z Rzymu, przez Grecję, Małą Azję, Indje do Bangkok, gdzie wypadek i konieczność dłuższego leczenia zmusiły go do zaniechania narazie dalszych planów.

M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Dziełka Ks. Czesława Małysiaka, nakł. Wydawn. OO. Salwatorjanów, Trzebinia:

Dialogi rekolekcyjne. Wyd. 2, str. 142.
Trzy dni kursu instrukcyjnego dla rekolekcjonistów. Str. 312.
Droga krzyżowa. Str. 64.
Jak organizować kursy rekolekcyjne. Str. 28.
W domu bezbożnika. Obrazek sceniczny. Str. 68.
W sprawie małżeńskiej. Str. 48.
Rekolekcje zamknięte szkołą apostolstwa. Str. 32.
Skąd przyjdzie ratunek dla świata? Str. 20.

Nakładem Herdera, Freiburg i. Br.

Oscar Doering: Christliche Symbole. 1933, str. 147 i 69 ilustracyj w tekście.
Hans Frankenheim: Die Entwicklung des sittlichen Bewusstseins beim Kinde. Str. VIII+197.

Nakładem różnych.

Jerzy Schimmel: Miejska renta gruntowa. Studjum ekonomiczno-urbanistyczne. Poznańskie prace ekon. N. 19. Poznań 1933, str. 171.
Ks. Bolesław Makowski: Sztuka na Pomorzu, Jej dzieje i zabytki. Wydawn. Instytutu Bałtyckiego, Toruń 1932, str. XIV+250.
Dr. Wacław Sobieski: Der Kampf um die Ostsee. Wydawn. Instytutu Bałtyckiego. W komisie Buchhandlung Markett u. Petters, Leipzig 1933, stt. 268.
ózef Borowik: Pięć lat pracy Instytutu Bałtyckiego (1927—1932), Toruń 1932, nakł. tegoż Instytutu, str. 67,
P. Camillo Crivelli: Directorio protestante de la America latina. Isola del Liri, Soc. tip. A. Macioce et Pisani, 1933, str. 112+714.
Ks. Dr. Eug. Dąbrowski: Na szlakach działalności Chrystusa w Palestynie. Warszawa, Uniwersytet Theologicum, 1932 str. 201, 26 fotogr., 2 mapy.
Św. Grzegorz z Nazjanzu: Listy. Pisma Ojców Kościoła tom XV. Poznań 1933, Jan Jachowski Księgarnia Uniwersytecka, str. LIX+335.
Prof. Dr. Leopold Caro: Równość i wolność w wieku XX. Prawdziwe znaczenie wielkich haseł. Lwów 1933, odb. z księgi zbiorowej „Życie gospodarcze a ekonomika społeczna", str. 21.
Tenże: Poglądy gospodarcze Romana Rybarskiego. Odb. z „Przeglądu Ekonomicznego", Lwów 1933, str. 37.
Prof. Dr. A. Bolland i Dr. Stefan Schmidt: Program akcji dla podniesienia dochodu wsi drogą komercjalizacji. Kraków 1933, str. 21.
Bazylika wileńska. Wydawnictwo Komitetu ratowania Bazyliki wileńskiej. Str. 53, ilustr.

Maciej Szukiewicz: W sprawie nauczania języka macierzystego i jego gramatyki. Kraków, nakładem Fryderyka Eberta 1933, str. 37.

Marja Waśkowska-Kreinerowa: Na marginesie życiorysu Stan. Wyspiańskiego. Kraków 1933, str. 12.

Anna Zahorska: Żołnierze święci. Wydawn. Salezjańskie, Warszawa 1933, str. 44.

Ks. R. Tomanek i Ks. Fr. Trombala: Królewska droga krzyża. 12 nabożeństw Drogi Krzyżowej. Cieszyn, nakładem Dziedzictwa błog. J. Sarkandra, 1933, str. 187.

O. Mychajło Dorociкyj: Żyttia św. Świaszczenomuczenyka Josafata. Peremyszl 1932, str. 45. (po ukraińsku).

Emile Mersch S. J.: Le Corps mystique du Christ. Etudes de théologie historique. Louvain, Museum Lessianum. 2 tomy.

Ks. Kamil Kantak: Bernardyni polscy. Tom I (1453—1572). Lwów, nakł. OO. Bernardynów 1933, str. XXIII+324.

Ks. Ludwik Niedbał: Duszom zbolałym. Katowice, Księgarnia Katolicka 1933, str. 105.

Marcel Légaut: Prières d'un Croyant. Paris, Bernard Grasset. Str. 274.

Jerzy Ostrowski: Brazylja. Wyd. „Książnica-Atlas", Lwów-Warszawa, str. 112, ilustr.

Józef Mączka: Starym Szlakiem. Wiersze. Wyd. II. Warszawa, Główna Księgarnia Wojskowa, 1933, str. 143.

H. M. Szpyrkówna: Trzy przygody. Nowele. Bibljoteka „Dziennika Poznańskiego", 1933, str. 151.

Kaźmira Berkanówna: Co robić? Wezwanie do pracy społecznej. Poznań 1932, str. 109. Skład u autorki, Poznań, ul. Matejki 53.

Zygmunt Nowakowski: Książka zażaleń. Kraków, „Nasze Wydawnictwo", 1933, str. 238.

Wacław Berent: Pisma. Tomy IV i V. Ozimina. Wyd. Gebethnera i Wolffa, Warszawa, Str. 199 i 137.

Teresa Elster: Misterja i Mozaiki. Poezje. Warszawa, Skład główny w księg. Przeglądu katolickiego, 1933, str. 127.

Antoni Górny i Kazimierz Piwarski: Kraków w czasie II-o najazdu Szwedów na Polskę, 1702—1709. Kraków 1932 „Bibljoteka Krakowska". Str. 87 z ilustr.

Ferdynand Goetel: Podróż do Indyj. Warszawa, Gebethner i Wolff Str. 232 z 57 ilustr.

Roman Dmowski: Myśli nowoczesnego Polaka. Wyd. 4-e dopełnione. Warszawa 1933, „Gazeta Warszawska". Str. XLIV+296.

P. Ignatius Errandonea S. I.: Epitome grammaticae graeco-biblicae. Romae 1933, Pontif. Uniw. Greg. Str. 116.

Mieczysław Grzybowski: Program gospodarczy rzemiosła. Warszawa, Rada Izb Przem. R. P. Str. 32.

Dr. Kornel Paygert: Światła i cienie polityki agrarnej Polski w 1932 r. Lwów 1933. Str. 33.

Ks. Piotr Sosnowski: Nasza Królowa. Czytania majowe. Pelplin 1933. Str. 157.

Jerzy Braun: Tancerz otchłani. (1928—1932). Poznań 1933. Str. 38.

Zygmunt Mocarski: Kto jest autorem epigramów „Postny obiad albo zabaweczka" i intermedjów. Lwów 1933. Str. 16.

Mieczysław Piszczkowski: Moraliści staropolscy. Tom I. Lwów-Warszawa 1933, Książnica-Atlas. Str. 148.

Władysław Arcimowicz: „Assunta" C. Norwida. Poemat autobiograficzno-filozoficzny. Lublin 1933, T-stwo Wiedzy Chrześc. Str. 54.

Elżbieta Burger: Dziewczęta z bocznej ulicy. Z niem. tłum. J. Rogala. Katowice 1933, Księgarnia Katolicka. Str. 195.

Ks. Dr. Jan Bochenek: Chrystus w parafji. 32 czytania o życiu parafjalnem. Kraków, 1933. Str. 270, zł. 3.60; (Tarnów, ul. Focha 16, Związek Stow. Młodz. P.: 3 zł.).

René Philips: Le Catholicisme libéral. Bruxelles 1928. Ed. „Cité Chrétienne". Str. 55.

Czesław Lechicki: Prawda o Boyu-Żeleńskim. Głosy krytyczne, ze wstępem autora. Warszawa 1933, „Dom Książki Polskiej". Str. XCIV+185.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Od Weimaru do Potsdamu. — Katolicyzm w „Trzeciem Państwie". — Wejście w życie konkordatu w Badenji.

Z największem zainteresowaniem świat katolicki śledzi ostatnie przemiany polityczne w Niemczech. Chodzi nietylko o ewolucję ustroju wewnętrznego Rzeszy, która już sama przez się jest wielce ciekawą; chodzi także o sytuację, w jakiej po zwycięstwie hitleryzmu znalazł się katolicyzm niemiecki, o zrozumienie i ocenę tej sytuacji; chodzi wreszcie o przyszłość dość ciemną, w którą Kościół katolicki w Niemczech wkracza.

Aby lepiej sobie położenie katolicyzmu niemieckiego uprzytomnić, przebiegnijmy myślą rozwój politycznego tła w powojennych Niemczech — od Weimaru do Potsdamu.

Z przegranej wojny Niemcy wyszły w czerwonej, rewolucyjnej bluzie. Znaczenie głębokiego symbolu miał fakt przejścia władzy państwowej z rąk cesarskiego kanclerza, księcia Maksa Badeńskiego, do rąk robotnika - socjalisty Eberta. Że nie stało się gorzej, że Niemcy nie stały się członkiem Związku Sowieckich Republik (pominąwszy epizod komunistycznych rządów w Bawarji), to zawdzięczały w wielkiej mierze przytomnej polityce ówczesnego katolickiego Centrum. To stronnictwo, które w dniach ogólnego chaosu i rewolucyjnych wstrząsów potrafiło utrzymać swą wewnętrzną zwartość i nawet liczebnie niewiele stracić, predestynowane było na to, by wystąpić jako czynnik twórczy nowego ładu. Zajmując środkowe miejsce między konserwatywną prawicą a rewolucyjną lewicą, Centrum miało, teoretycznie rzecz biorąc, do wyboru — przyłączyć się do jednego lub drugiego skrzydła. Wybrało raczej zbliżenie się do lewicy. Konserwatywna prawica była zbyt osłabiona przez rewolucję, by nawet łącznie z Centrum móc rządzić pań-

stwem; ponadto, nasiąknięta protestancką nienawiścią do Kościoła, nie była skłonna do uznania całkowitej równości katolicyzmu, nie chcąc naprz. słyszeć o konkordacie ze Stolicą Świętą. Centrum wolało przeto zbliżyć się do grup szczerze republikańskich i do umiarkowanego skrzydła socjalizmu. Tem zbliżeniem odciągnęło Socjalną Demokrację od przejścia pod sztandar Moskwy, od wytworzenia „jednolitego proletarjackiego frontu", który w epoce triumfu rewolucji rosyjskiej nie mógł być innym, jak komunistycznym. Tak wytworzyła stę „koalicja wejmarska", w której najważniejszemi grupami byli katoliccy centrowcy i umiarkowany socjalizm. Komuniści, jakkolwiek potężni, zeszli do roli opozycji, niezdolnej nawet łącznie z opozycją z prawa do obalenia koalicji. Koalicja wejmarska nadała Rzeszy konstytucję bardzo demokratyczną i postępową, uczyniła Niemcy republiką, rządzoną przez prawdziwy parlament.

Centrum, popierając zgodnie ze swym programem wielkie reformy społeczne, pozbawiało socjalizm aureoli jedynego obrońcy interesów klas pracujących; przytem głoszoną przez lewicowe stronnictwa zasadę rozdziału Kościoła od państwa zdołało tak umiarkować, że wyznaniom religijnym bez różnicy, a zatem i katolickiej mniejszości, zapewniono w konstytucji wewnętrzną wolność i obroniono szkołę religijną. Na podstawie tej konstytucji poszczególne kraje Rzeszy mogły wejść w umowę konkordatową ze Stolicą św., co też rzeczywiście uczyniły najpierw Bawarja, potem Prusy, wreszcie Badenja. Zapewniwszy pokój religijny i demokratyczno-parlamentarne rządy, koalicja wyrobiła Niemcom nazewnątrz opinję praworządnego demokratycznego państwa, którą też dyplomacja Stresemanów i Curtiusów znakomicie wyzyskała do stopniowego podgryzania fundamentów traktatu wersalskiego, aż mogła jawnie podnieść hasło jego rewizji.

Od chwili uchwalenia konstytucji wejmarskiej aż do 2 czerwca 1932 r. Centrum nie wypuszczało ze swych rąk współudziału w rządach państwem. Ono przeważnie dostarczało kanclerzy Rzeszy. Po śmierci Eberta wystawiło nawet własnego kandydata, Marxa, na najwyższe stanowisko prezydenta Rzeszy i niewiele brakowało do tego, że gorliwy katolik objąłby ster państwa po socjaliście. Ale dla zbyt wielu Niemców była to rzecz nie do pojęcia i przeciw Marxowi wysunięto kandydaturę popularnego, chociaż od wojny trzymającego się na uboczu, feldmarszałka Hindenburga, który też odniósł zwycięstwo nad katolickim centrowcem. Centrum jednak i wtedy nie przestawało trzymać kanclerstwa.

Narastała tymczasem nowa polityczna siła w postaci zastępów Adolfa Hitlera. Ten, pochodzący z Austrji, pokojowy malarz rósł w popularność i znaczenie z roku na rok. Wywiesił hasła skrajnie nacjonalistyczne, zmieszał z niemi domagania się radykalnych reform ekonomicznych, głosząc jednocześnie walkę nieubłaganą marksizmowi, obiecywał zrzucenie oków wersalskich, gruntowne podniesienie i odrodzenie Niemiec. Z kilku dziesiątków zwolenników w r. 1918 doszedł „socjalizm narodowy" Hitlera w r. 1932 do takiej potęgi, że Hitler mógł wystawić swoją kandydaturę na prezydenta Rzeszy przeciwko Hindenburgowi, i zgromadzić na siebie 13 miljonów głosów. Jeżeli stary feldmarszałek zwyciężył na ten raz jeszcze, to dzięki temu, że po stronie jego stanęło zdecydowanie Centrum, widząc w Hitlerze politycznego demagoga i awanturnika. Cesarski generał pasowany został na ostatecznego obrońcę zagrożonych przez hitleryzm demokracji i parlamentaryzmu.

Hindenburg odpłacił się swym wyborcom w sposób nieoczekiwany. W niespełna w dwa miesiące po wyborach odwrócił się plecami do swych wyborców. Motywując swój krok wzrostem z jednej strony hitleryzmu, a z drugiej komunizmu, uznał system rządów wejmarskiej koalicji za niezdolny do stawienia czoła tym dwom siłom. Usunął w sposób nieparlamentarny gabinet Brüninga, a powołał gabinet „prezydjalny" von Papena, katolika, który opuścił Centrum. Ponieważ nowy rząd nie posiadał w Reichstagu prawie żadnego oparcia, zarządzono nowe wybory w lipcu 1932 r. Te jednak nie stworzyły rządowi prezydjalnemu podstawy parlamentarnej, przyniosły natomiast niesłychany wzrost hitlerowskich narodowych socjalistów. Stosunki liczbowe stronnictw tak się zmieniły, że bez hitlerowców rząd parlamentarny stał się niemożliwy. Hitler wszakże nie chciał wejść do żadnej koalicji, lecz żądał całej władzy dla siebie i dla swojej partji. Nie zmieniły wiele ani nowe wybory do Reichstagu w listopadzie 1932, ani zamiana rządu v. Papena gabinetem generała Schleichera, — Hitler, chociaż nieco osłabiony w wyborach listopadowych, wciąż był potęgą, z którą musiano się liczyć. Gabinety prezydjalne nie mogły liczyć przeciwko niemu nietylko na lewicę, której wojnę wydały, ale nawet na Centrum, które także zwalczało je z zasadniczych względów, stając w obronie konstytucji, demokracji i parlamentarnych rządów.

Hindenburg skapitulował wobec niedawnego swego rywala do prezydentury Rzeszy. Kapitulację poniekąd ułatwił staremu feldmarszałkowi sam Hitler, który obrobiony przez v. Papena i reprezentanta wielkiego przemysłu Hugenberga, zgodził się zostać kanclerzem z dopuszczeniem do współ-

udziału w rządach niemiecko-narodowej prawicy. 28 stycznia utworzony został rząd Hitlera, v. Papena i Hugenburga. Obeznanym z ideologjami, jakie reprezentowali ci trzej ludzie, rząd ten mógł się przedstawiać jako ów zaprząg z bajki, złożony z łabędzia, szczupaka i raka. Bo na jaki wspólny gospodarczy program mogli się zdobyć Hitler, chociaż „narodowy" ale bądź co bądź socjalista, i przedstawiciel kapitalizmu Hugenberg? Albo jaki wspólny język kulturalny mogli znaleźć twórca nowej ewangelji, ewangelji krwi i czystości rasy germańskiej, Hitler, i katolik z przekonania v. Papen? Niektórzy pocieszali się tem, że zawarta ugoda pozostawi kanclerzowi dziedzinę deklamacji, podczas gdy agendy rzeczowe uchwycą w swe ręce trzeźwiejsi jego partnerzy. Hitler wszakże okazał się czemś więcej niż demagogiem i retorem, uchwycił bowiem ster państwa rzeczywiście w swoje ręce, a partnerzy robią wrażenie figur, które spełniwszy pewne określone zadania w okresie przejściowym, zostaną odstawione na bok.

Hitler od pierwszej chwili swego kanclerstwa wystąpił w roli budowniczego nowych Niemiec, zapowiadanego przezeń „trzeciego państwa". Z „państwem drugiem", wejmarskiem, zupełnie zrywa. Z Centrum, które było jeszcze wtedy potrzebne do wytworzenia prawicowej większości, nie chciał się wcale układać na temat respektowania wejmarskiej konstytucji, żądając odeń tylko neutralności, t. j. nie przeszkadzania mu w rządach w przeciągu jednego roku. Kiedy Centrum ociągało się z decyzją na to uśmiercenie swego także dziecięcia, zrodzonego w Weimarze, rozwiązał parlament. Nowe wybory, 5 marca r. b., organizowane przecież pod jego rządami, przyniosły Hitlerowi nowe zwycięstwo: 44% wszystkich posłów, a łącznie z grupą sprzymierzonego Hugenberga 52%, czyli absolutną większość. Centrum wyszło z wyborów nieco osłabione, chociaż nie pobite. Kiedy w poprzednim Reichstagu razem z pokrewną bawarską partją ludową posiadało 15% mandatów, obecnie dostało ich 14%. Różnica niewielka, ale Centrum przestało być potrzebnem do zwykłej większości parlamentarnej i zwyczajnego parlamentarnego rządzenia państwem i straciło charakter języczka u wagi.

Zresztą Hitlerowi nie chodziło o Reichstag i parlamentarne rządy, które zgóry w jego systemie są skazane na zagładę. „Trzecie państwo" to państwo partji, dyktatury nacjonalistycznej, to niemiecki faszyzm. Już przed wyborami marcowemi dzieło Weimaru darte było na strzępy. Wydaną została wojna nietylko eksterminacyjna komunistom, którzy sami się stawiają poza nawias demokratycznego państwa, ale socjalistom, żydom, mniejszościom, które się ogłasza za

niezdolne do korzystania z praw obywatelskich. Rządy krajów związkowych zostały zastąpione przez komisarzy Rzeszy, potem prostych „namiestników" centralnego rządu. Kolory wejmarskie zostały usunięte, przywrócone natomiast barwy cesarskich Niemiec, powiewające obok hitlerowskiej swastyki. Pożar Reichstagu prawie w przeddzień wyborów marcowych bez względu na sprawcę podpalenia był doskonałą ilustracją do dokonywującej się przemiany Niemiec z demokratycznych i republikańskich na dyktatorskie. Potrzebny był ten pożar, aby otwarcie nowego „parlamentu" mogło się odbyć u grobu Fryderyka Wielkiego w Potsdamie.

W Potsdamie 21 marca rzeczywiście grzebano dzieło Weimaru. Pogrzeb odbył się dość uroczyście. Odprawiono dla posłów nabożeństwa w świątyniach protestanckich i katolickich, sesję otwarł uroczyście sam sędziwy marszałek-prezydent, ale nowi wybrańcy narodu w ogromnej większości gotowali się w ten sposób do politycznego samobójstwa. W dwa dni po otwarciu tej nowej legislatywy rząd zażądał od niej uchwalenia dla kanclerza pełnomocnictw tak szerokich, jakich dotąd ani konstytucja ani żadna uchwała nie dawały nawet prezydentowi Rzeszy. Zażądano dla rządu pełnej władzy ustawodawczej, której nie może krępować nawet veto prezydenta Rzeszy. Po posłusznem uchwaleniu tych pełnomocnictw — 441 głosami przeciw 94 — Reichstag został odroczony i Hitler począł dokonywać przebudowy Niemiec swemi dekretami. Przed jednym człowiekiem, niedawno prostym agitatorem, skłonił z rezygnacją głowę parlament, prezydent, naród niemiecki. 21 marca został uznany za dzień „obudzenia się Niemiec", tablice z tą datą zajmują miejsca postrącanych z postumentów popiersi twórców Niemiec republikańskich.

Co robiło w tych marcowych dniach katolickie Centrum? Głosowało za pełnomocnictwami dla Hitlera, który z niem niedawno rozmawiać nie chciał. Przez usta swego prezesa, prałata Kaasa, złożyło deklarację, że w całem poczuciu odpowiedzialności, w tej uroczystej godzinie, wobec stojącego przed państwem zadania przebudowy, wyciąga rękę do niedawnych przeciwników, aby zapewnić dokonanie dzieła ratowania narodu. Oświadczenie to zostało przyjęte burzliwemi oklaskami hitlerowców i samego Hitlera. Czy Centrum musiało tak uczynić? W katolickiej prasie zagranicznej, naprz. francuskiej, dały się słyszeć głosy ostrej krytyki tej kapitulacji Centrum. Prawda, że nie mogło ono zapobiec uchwaleniu pełnomocnictw dla Hitlera, bo i bez Centrum Hitler posiadał potrzebną kwalifikowaną większość dzięki przerzedzeniu przez aresztowania komunistycznej i socjalistycznej opozycji. Mogło jednak — mówią rze-

czeni krytycy — przynajmniej ratować swój honor demokratyczny i katolicki. My jednak nie ośmielilibyśmy się rzucić kamieniem potępienia na Centrum za jego głosowanie. Centrum stawiało sobie dotąd dwa zadania: po pierwsze obronę wejmarskiego ustroju państwowego, powtóre obronę interesów religji i Kościoła katolickiego. Lecz w zadaniu pierwszem już wcześniej partję przegrało, a przegrało ją nie naskutek własnych liczebnych strat, lecz naskutek wzrostu hitleryzmu kosztem partyj liberalnych, z któremi było w politycznej współpracy i kosztem komunizmu, którego osłabienia w żaden sposób żałować nie mogło. Los demokratyczno-republikańskiej konstytucji wejmarskiej w dniu ostatnich wyborów został przypieczętowany i nie było w mocy Centrum bronić jej. Lecz pozostaje drugie zadanie — obrona duchowych dóbr religji i Kościoła. Czy warto utrudniać sobie to zadanie rozbijaniem się — przytem bezsilnem — w obronie form ustrojowych, które ostatecznie ze stanowiska katolickiego nie posiadają absolutnej konieczności? Czy wolno było katolickiemu stronnictwu łączyć się w takiej bezsilnej opozycji przeciwko zwycięskiemu już reżymowi z jedynemi, jakie pozostały na placu, partjami opozycyjnemi, zdecydowanymi wrogami wszelkiej religji komunistami i zasadniczo niereligijną socjalną demokracją? Jeżeli pozostawała w tym wypadku jakaś trudność dla Centrum wobec ideologji hitleryzmu, zapowiadającej także walkę z katolicyzmem, to z trudności tej wyprowadził Centrum sam Hitler. Czy na tego niedawnego demagoga i kiepskiego teologa, przedzierżgniętego w męża stanu, spłynęła łaska tego stanu, czy zwyciężył w nim prosty rozsądek, dość, że w swojej programowej mowie 23 marca, w której żądał dla siebie pełnomocnictw, mowie naogół odbiegającej spokojniejszym tonem od poprzednich agitacyjnych występów, złożył ważne a uspokajające oświadczenie, odnośnie do swej polityki wyznaniowej. Oświadczył mianowicie, że rząd troszczyć się będzie o właściwe współżycie Kościoła i państwa, że w obydwóch wyznaniach chrześcijańskich widzi ważny czynnik utrzymania charakteru narodowego, że walka przeciwko materjalistycznemu światopoglądowi leży zarówno w interesach narodu, jak i wiary chrześcijańskiej, wreszcie, że rząd będzie szanował zawarte przez kraje umowy z władzami kościelnemi. Jak te zapewnienia odbiegają od owych butnych i mętnych wywodów „teologów" hitlerowskich o niemożności pogodzenia katolicyzmu z prawdziwą niemieckością, od groźnych zapowiedzi walki z „ultramontanizmem" narówni z walką z marksistami i żydostwem! Czy mogło katolickie stronnictwo nie przyjąć do wiadomości tych urzędowych zapewnień kanclerza i narazić się na zarzut, że stoi raczej

po stronie wyznawców światopoglądu materjalistycznego w ich walce przeciw rządowi? Dodać trzeba, że ten rząd, zapewne daleki od prawowierności katolickiej, wystąpił bądź co bądź bardzo energicznie przeciw akcji bezbożniczej, prowadzonej przez komunistów i znaczny odłam socjalistów, jako też przeciw rozpasaniu moralnemu w prasie, teatrze, spelunkach nocnych. Czy i w tym razie Centrum miało dawać pozór, że staje raczej w obronie religijnego i moralnego nihilizmu z poszanowania skrupułów wolnościowych? Zdaje się nam, że Centrum w tych warunkach mogło postąpić, jak postąpiło.

Na tęż drogę wszedł publicznie również katolicki episkopat w Niemczech. W kilka dni po oświadczeniu Hitlera w Reichstagu, biskupi pruscy, zebrani u grobu św. Bonifacego w Fuldzie, wydali odezwę do wiernych, w której zaznaczają swoje stanowisko nietylko do nowego rządu, ale i do stronnictwa narodowo-socjalistycznego. Mianowicie dotąd, wobec publikacyj hitlerowskich pisarzy, wrogich religji katolickiej, biskupi stanowczo wykluczali możliwość należenia do partji; obecnie, po oświadczeniach kanclerza, cofają swoje zakazy. Zastrzegli się wszakże biskupi, że to ich oświadczenie nie oznacza aprobaty błędów przeciwko religji, jakie zawierają się w pismach narodowych socjalistów. Przypominając katolikom obowiązek posłuszeństwa względem prawowitej władzy państwowej, nawołują biskupi wiernych do pracy nad utrwaleniem pokoju, sprowadzeniem dobrobytu ludu, zapewnieniem Kościołowi, szkole wyznaniowej i organizacjom katolickiej młodzieży wolności i rozwoju.

Przypieczętowaniem tego zbliżenia się katolicyzmu do nowego reżymu była wielkotygodniowa wizyta wice-kanclerza v. Papena i ministra a zarazem prezydenta Reichstagu Goeringa w Watykanie. Pierwszy, były centrowiec, praktykujący katolik i szambelan papieski, mógł być przyjęty przez Ojca św. jako pobożny pielgrzym w roku jubileuszowym, nie możnaby jednak powiedzieć tego o Goeringu, protestancie i wiernym uczniu Hitlera, zjawiającym się na pokojach papieskich w uniformie swojej partji. Pius XI przyjął obu jako reprezentantów nowego rządu, który jest w gruncie rzeczy rządem partji narodowo-socjalistycznej. Dał tem papież do poznania, że i z tym rządem mogą i powinni katolicy wejść w kontakt celem obrony najważniejszych interesów, bo interesów religji. Przypuszczenie, że krok Centrum, głosującego za pełnomocnictwami dla Hitlera, był inspirowany z Watykanu, spotkało się z zaprzeczeniem; po przyjęciu v. Papena i Goeringa przez papieża Centrum mogło uspokoić resztę skrupułów, ieśli jakie skrupuły co do swego postąpienia żywiło.

Czy wszystko to, co ze strony katolickiej uczyniono po dojściu Hitlera do władzy, głosowanie Centrum, deklaracja biskupów, przyjęcie w Watykanie, zapewni katolicyzmowi w Niemczech bezpieczną egzystencję i wolność? Jest to pytanie, na które trudno jeszcze dać odpowiedź. Centrum nie zdobyło sobie łask wszechpotężnego kanclerza i wciąż na niem ciąży zarzut współuczestnictwa z marksistowską lewicą w tworzeniu owego dziś dyskredytowanego „drugiego państwa". Nikt w obozie hitlerowskim nie chce rozumieć, że nazajutrz po wojnie na „państwo trzecie" nie było żadnego materjału. Bądź co bądź centrowcy nietylko nie zostali powołani do jakiegoś udziału w rządach, ale są usuwani z wielu nawet podrzędnych stanowisk rządowych, co wywołało nawet protest kardynała Bertrama, przyjęty przez rządzący obóz pomrukiem niezadowolenia. Prześladowanie i rugi katolików? Jako żywo, nie — odpowiadają rządzący — bo czyż może być mowa o jakimś ucisku katolicyzmu ze strony rządu, w którym znajduje się taki katolik, jak v. Papen, a nawet sam kanclerz, „także" katolik? Jeżeli zatem ktoś cierpi, to nie dlatego, że jest katolikiem, ale że jest zwolennikiem obalonego systemu, że jest opozycjonistą, lub że na nim ciąży wina za przeszłość. Względem Kościoła, jako organizacji, dotąd nie zostały wydane żadne wręcz wrogie akty. W literaturze partyjnej roi się od pomysłów „unarodowienia" obydwóch Kościołów, protestanckiego i katolickiego. Hasłem obecnego rządu niemieckiego jest „uzgadnianie", *Gleichschaltung*, wszystkiego z polityką rządową. Uzgodniono już kraje związkowe z rządem Rzeszy, uzgodniono prasę, teatr, z systemem politycznym „trzeciego państwa", uzgadnia się szkoły, sądownictwo, dlaczegóżby nie uzgodnić religji i Kościoła? Powstaje przeto w obozie protestanckim ruch pod nazwą *Deutsche Christen*, chcący pogodzić dogmaty chrześcijańskie z niemieckim szowinizmem rasowym; marzy się tu i ówdzie o wciągnięciu w orbitę tego ruchu nawet katolików. Narazie jest próba politycznego osłabienia Centrum przez stworzenie nowej, rzekomo bezpartyjnej organizacji, patronowanej przez Papena, pod nazwą „Krzyż i Orzeł". Może groźniejszą rzeczą dla katolicyzmu są skłonności rządu do unifikacji życia organizacyjnego, czego ofiarą mogłyby paść katolickie organizacje młodzieży i związki zawodowe. Katolicyzm byłby znów wpędzany do zakrystji, z której był wyszedł dla organizowania życia publicznego na chrześcijańskich podstawach. Gorzej jeszcze będzie, jeśli niepomny swych zapewnień złożonych w Reichstagu zechce Hitler „uzgadniać" Kościół katolicki, jak zaczął uzgadniać już kościoły protestanckie, nasyłając do ich zarządów komisarzy. W protestantyzmie — w myśl zasady: *cuius regio eius et religio* — hitle-

ryzm może się czuć jak u siebie w domu, ale jakąż walkę rozpęta, gdy swoje metody rządzenia, albo nawet swoje „dogmaty rasowe" zechce narzucić Kościołowi katolickiemu? Stoi więc katolicyzm niemiecki może u wrót nowej „walki kulturnej". Czy znajdzie w sobie dość mocy, by ją wygrać, jak wygrał walkę, wydaną mu niegdyś przez Bismarcka? Weźmy chociażby Centrum: w obecnym stanie nie reprezentuje ono nawet połowy ludności katolickiej, a zaledwie siódmą część ludności państwa. Czy przedstawia siłę, którąby zdolna była stawić czoło wrogom z dwóch stron: ateizmowi, który takie poczynił już spustoszenia w narodzie niemieckim, i hitlerowskiej herezji rasyzmu, coraz szersze zataczającej kręgi? Czy nie został zarażony tą apostazją od czystego ducha chrześcijańskiego wielki już odłam nominalnych katolików niemieckich, a ci niezdecydowani katolicy, w razie wydania Kościołowi wojny, po której stronie frontu bojowego się znajdą? Oto pytania, które zapewne zasępiają troską niejednego katolika niemieckiego. Też pytania winni sobie stawiać katolicy w innych krajach, pilnie przytem badając czy nie gromadzą się na ich niebie te same chmury, jakie mocno już zaciemniły niebo niemieckie.

Acta Apostolicae Sedis z dn. 7 kwietnia b. r. przynoszą tekst konkordatu, jaki zawarty został między Stolicą Świętą a „rzeczpospolitą badeńską". Ten, trzeci z rzędu w Rzeszy niemieckiej, konkordat, zawarty z jednym z mniejszych krajów, Badenją, podpisany został jeszcze 12 października 1932 r. w Konstancji w Szwajcarji. Jest on dziełem papieskiego Sekretarza Stanu, kardynała Pacellego, który sam prowadził rokowania z przedstawicielami rządu badeńskiego i sam umowę podpisał imieniem Stolicy Swiętej. Około tej umowy, która treścią swoją zbliża się do poprzednio zawartych konkordatów z Bawarją i Prusami, rozgorzała wielka walka w samym zainteresowanym kraju, w którym żywioły radykalne, przeważnie protestanckie, robiły, co mogły, by nie dopuścić do ratyfikacji zawartych układów. Ostatecznie ratyfikacja w Landtagu badeńskim została dokonana, ale większością tylko jednego głosu (58 za, 57 przeciw), a właściwie dzięki temu, że po stronie zwolenników ratyfikacji głosował prezes Landtagu, który przy podzieleniu się głosów na dwie równe połowy rzucił na szalę swój głos dodatkowy. Z tego powodu odzywały się domagania reasumpcji uchwały przez nowy sejm, jaki miał wyjść z bliskich wyborów i rzeczywiście przez jakiś czas zwlekano z wymianą dokumentów ratyfikacyjnych. Była obawa, że może konkordat nie doczeka się wejścia w życie.

Ostatecznie wymiana dokumentów ratyfikacyjnych nastąpiła i to w niezwykłych warunkach. Dokonano jej w sto-

licy kraju, Karlsruhe, 11 marca b. r., czyli w sześć dni po nowych wyborach do Reichstagu, w dniach, w których Hitler w najlepsze dokonywał reorganizacji rządów poszczególnych krajów Rzeszy. Wymiana dokumentów ratyfikacyjnych z nuncjuszem papieskim Orsenigo, przybyłym w tym celu z Berlina, była podobno ostatnim aktem starego rządu badeńskiego. Podczas obiadu, wydanego z tego powodu, w którym brał udział przedstawiciel Stolicy Św., pod drzwiami sali jadalnej czekał już oddział brązowych koszul, który wychodzącym członkom rządu oznajmiał o ich usunięciu przez nowy rząd berliński. Mimo to konkordat w tymże dniu, 11 marca 1933 r., wszedł w życie i został obecnie ogłoszony. Do niego także stosuje się oświadczenie Hitlera, dane 23 marca w Reichstagu, o zamiarze rządu uszanowania umów, zawartych z wyznaniami religijnemi.

Konkordat badeński, ujęty w 13 artykułów, określa stan prawny Kościoła katolickiego w kraju, zapewnia mu wolność; omawia sposób obsadzania jedynego w tym kraju arcybiskupstwa, mianowicie w Fryburgu w Bresgowji (będącego metropolją dla biskupstw mogunckiego i rotenburskiego, położonych już w innych krajach Rzeszy); ustala materjalne uposażenie biskupstwa, kapituły; zajmuje się prawami i organizacją studjów na wydziale teologji katolickiej na uniwersytecie w Fryburgu; zapewnia nauczaniu religji w szkołach charakter „zwyczajnego przedmiotu“ nauczania, zgodnie z konstytucją Rzeszy.

Trwałość tych umów zapewne zależeć będzie od ogólnej religijnej polityki hitlerowskich Niemiec.

Ks. Jan Urban T. J.

Z sodalicyjnej pracy wśród męskiej młodzieży polskich szkół średnich.

Bez przesady można powiedzieć, że w ogromnem, całego świata, sodalicyjnem dziele zaledwie znajdzie się coś tak pięknego, jak organizacja, której trzynaste doroczne sprawozdanie leży w tej chwili przed nami, t. j. Związek sodalicyj marjańskich uczniów szkół średnich w Polsce.

Żeby zacząć od samego tego sprawozdania, obejmującego okres od 16. VI 1931 do 15. VI 1932, na 32 stronnice drobnego i ściśniętego druku, składają się w niem same tylko fakta i cyfry, zestawione z największą zwięzłością i zdumiewającą precyzją. Od początku do końca ani jednego frazesu czy pustego słowa; od czasu do czasu proste skonstatowanie faktycznego stanu rzeczy przybiera charakter pochwały lub nagany albo też bodźca do większych na przyszłość wysiłków. Czy życzliwy czy nieżyczliwy weźmie to sprawozdanie do ręki, będzie musiał przyznać, że

ono jest ładem, ścisłością i sprężystością organizacyjną poprostu wzorowe.

Jak wygląda zewnętrzny najpierw rozwój samego dzieła — o tem niech poświadczy kilka cyfr, któremi obejmujemy okres dziesięcioletniego rozrostu.

	W r. 1922	W r. 1932
było sodalicyj związkowych	61	246
w diecezjach	13	22
liczono ogółem członków	3183	10931
wydawano miesięcznika sodalicyjn. egz. . . .	2400	9200
wysłano z prezydjum korespondencyj	2252	7816

Choć pomijamy tu całe mnóstwo innych cyfr niemniej interesujących, już z tych kilku jest widoczna, że Związek rozrósł się w ciągu tych 10 lat w potężne drzewo, które rozciągnęło już konary na całą Polskę. Jakkolwiek bowiem do tej chwili dopiero 54% ogólnej sumy szkół średnich męskich (gimnazjów, seminarjów nauczycielskich i szkół zawodowych) t. j. 246 na 460, Związek objąć zdołał, można powiedzieć, że dotarł już do każdego niemal zakątka naszej Ojczyzny i zaznaczył się w niej wprost zdumiewającym postępem.

A postęp ten idzie w parze z wspaniałą organizacyjną rozbudową. Na czele każdej diecezjalnej grupy sodalicyj stoi jeden diecezjalny moderator; cały ich zastęp składa się na związkową Radę Naczelną; pięciu moderatorów prowincjonalnych — za podstawę przyjęto tu prowincje kościelne — tworzy Wydział Wykonawczy; na czele całego zrzeszenia stoi niestrudzone, pełne energji i poświęcenia, Prezydjum. A wszystkie te stopnie organizacji mają swoje perjodyczne zjazdy i swoje, dobrze wypełnione, sfery oraz programy działania.

Z ogólnych dzieł Związku należy podnieść przedewszystkiem dwa. Pierwszem są rekolekcje zamknięte dla sodalisów maturzystów, drugiem sodalicyjna kolonja wakacyjna na górze Snieżnicy koło Mszany Dolnej.

Rekolekcje, których olbrzymiej wagi w tym momencie życia nie potrzebujemy podkreślać, odprawiło w tym roku 590 sodalisów maturzystów z 97 sodalicyj, w 16 grupach. Prezydjum uważa te cyfry za bardzo niedostateczne, bo reprezentują tylko 31% tej młodzieży, która tego roku połączyła z medalem sodalicyjnym dyplom egzaminu dojrzałości. Zważywszy jednak na ogromne trudności, które dziś zwłaszcza takiemu przedsięwzięciu towarzyszą, trzeba stwierdzić, że i to jest niemały sukces, który zapewne uda się jeszcze rozwinąć.

Kolonja wakacyjna na Śnieżnicy jest w pełnym rozkwicie. Spłacono już ostatnią ratę należącą się za własny kawał lasu; obok zabudowań przeznaczonych dla młodych letników dźwiga się już osobna willa dla kierownictwa kolonji; otwarta została i wzbogaca się kaplica z przechowywanym Najśw. Sakramentem; cywilizuje się i urządza całe otoczenie tej wakacyjnej, sodalicyj-

nej placówki. Tego roku korzystało tam z wybornego wypoczynku 20 sodalisów z tyluż sodalicyj przez cały lipiec, 10 ponadto przez dwa tygodnie sierpnia.

Owoce pracy poszczególnych sodalicyj przedstawiają się imponująco. Choć nie wszystkie sodalicje nadesłały cyfrowe zestawienia, widać, że w ogromnej większości życie rozwija się bardzo intensywnie. I tak w dziedzinie pracy religijnej odbyło się 1582 wspólnych nabożeństw z 1884 egzortami i 1723 wspólnemi Komunjami świętemi; 2461 ogólnych zebrań z 1893 referatami samych sodalisów, nie licząc 1429 referatów na zebraniach sekcyjnych. Sekcyj i kółek istniało w sodalicjach 339 — same sekcje misyjne zebrały na cele misyjne 3.195.90 zł. — bibljoteki swoje miało sodalicyj 200 o łącznej liczbie książek 31.162 i t. d. Bardzo ładne są owoce akcji społecznej i charytatywnej, tak na szkolnym, jak i pozaszkolnym terenie. Co zaś dla znawców sodalicyjnego życia jest szczególnie ważne i pocieszające to to, że frekwencja na zebraniach wogóle trzyma się około 80%, a tylko w znikomej liczbie sodalicyj spada do 60% i niżej.

Miesięcznik sodalicyjny, mimo zrozumiałych trudności chwili obecnej, utrzymał się na wysokim poziomie nakładu i trzyma się bardzo dobrze, owszem postępuje, co do wewnętrznej treści. Przy jego redakcji, pod okiem Prezydjum, funcjonuje małe Wydawnictwo sodalicyjnych druków i złączona z niem Składnica tak druków, jak potrzebnych sodalicjom przedmiotów. Bilans centralnej Kasy Związku zamknął się na kwocie 42.256.53 zł.

To wszystko jednak są dopiero zewnętrzne owoce i objawy żywotności. Wewnętrzne, o które w sodalicji przedewszystkiem chodzi, z konieczności usuwają się z pod wszelkiego sprawozdania. Przypatrując się jednak w różnych stronach kraju i tym duchownym owocom, o ile przebijają się w usposobieniach i postępowaniu sodalicyjnej młodzieży, dochodzimy i pod tym względem do bardzo pocieszających rezultatów. Dzięki Związkowi tysiące i tysiące młodych nasiąkają zdrowym idealizmem chrześcijańskim, umacniają się w świadomej wierze i konsekwentnem jej praktykowaniu, otrzymują potężną pomoc w trudnej walce o czystość życia, zaprawiają się do organizacyjnej karności, a przez to uzdalniają się do przyszłej pracy w Akcji Katolickiej. U bardzo wielkiej liczby staje się sodalicja podnietą i pomocą do doskonalszego życia, budząc lub zachowując powołanie do duchownego stanu. Łatwo pojąć jaki to jest zasiłek dla tworzących się w naszym kraju szeregów prawdziwie katolickiej inteligencji, gdy co roku blisko 2000 sodalisów opuszcza szkołę średnią, i to z mocnem przedsięwzięciem, by nadal pracować na odpowiedniej sobie sodalicyjnej niwie. Ta strona działalności Związku jest tem cenniejsza, że zasadniczo wolna od wszelkiego zabarwienia politycznego i wszelkich przynależności partyjnych.

Związek sodalicyj młodzieży męskiej szkół średnich jest więc doprawdy dziełem błogosławionem. Wśród pięknych robót katolickich, jakie u nas się dokonywują, musi on zająć miejsce, jeżeli nie pierwsze, to jedno z najpierwszych.

Ale też stąd wyrastają dla starszego społeczeństwa, dbałego o rozwój sprawy Bożej w naszej Ojczyźnie, pewne obowiązki. Nie trzeba się łudzić: przy ogromnych trudnościach ekonomicznych chwili obecnej, Związek potrafił utrzymać się przy swej intensywności życia tylko dzięki nadludzkim wysiłkom Zarządu i ofiarności tak Księży Moderatorów, jak pewnych kół pozasodalicyjnych, wśród których na pierwszem miejscu wymienić trzeba stałe, hojne subsidia J. E. Księcia Metropolity krakowskiego i świeżo zmarłego J. E. Księdza Biskupa przemyskiego o. ł. Jeżeli jednak życie Związku i jego dzieł ma się oprzeć naprawdę na silnej podstawie, to musi być tych ofiar ze strony starszego społeczeństwa znacznie więcej. Byłoby ogromnie wskazane, żeby starsze sodalicje powpisywały w swój budżet, choćby niewielkie, ale stałe subwencje dla Związku, a to samo można powiedzieć i o innych stowarzyszeniach katolickich. A jeśli chodzi o wskazanie celu ofiarności prywatnej, trudno chyba o lepszy czyn, jak wydatne wsparcie dzieła, które tak gruntownie a tak pocichu buduje same podstawy żywszego wśród naszej inteligencji, katolicyzmu. Powinno też wszystkim prawdziwym katolikom leżeć na sercu, by Związku usilnie bronić i usuwać trudności, które ostatniemi czasy tu ówdzie pojawiały się na jego drodze.

Kończąc tę notatkę, nie możemy nie wyrazić jaknajżywszego uznania czcigodnemu Prezesowi Związku, który z ogromnym talentem i umiejętnością, ale z większem jeszcze poświęceniem i umiłowaniem, całem tem wspaniałem dziełem kieruje. Ze skromnego mieszkanka na Łukaszówce w Zakopanem rozchodzą się wszystkie impulsy dobre do setek sodalicyj rozsypanych po całym kraju i tutaj jest dłoń, która z niezmordowaną pracowitością i systematycznością wszystkie nitki tej sprawy Bożej silnie trzyma.

Ks. Prof. J. Winkowski podejmuje ten ogromny trud dla Boga i dusz młodzieńczych, ale zbiera sobie zarazem tytuły do głębokiej wdzięczności całego polskiego, katolickiego społeczeństwa

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Bezrobocie w świecie i w Polsce w latach 1921—1931.

Bezrobocie stanowi najważniejszy chyba dziś problem gospodarczo - społeczny w świecie, ze względu na miljony ludzi, których usuwa od warsztatu pracy, skazuje wraz z rodzinami na nędzę, obciąża obowiązkiem utrzymania ich pozostałe również zubożałe społeczeństwo, przez co potęguje jeszcze kryzys ekonomiczny, rodzinny i moralny. Zagadnienie tem trudniejsze, że

wszystkie dotychczasowe, teoretyczne i praktyczne wysiłki nie doprowadziły wcale do zlikwidowania go, owszem nie zdołały nawet przeszkodzić dalszemu pogorszeniu.[1])

Jeżeli rozwiązanie problemu napotyka dziś na trudności nie do zwyciężenia, to niemniej trudnem jest samo ustalenie cyfry bezrobotnych. Przeszkody wszelkiego rodzaju piętrzą się na drodze do jej zdobycia, a stwierdzenie posiadanych już liczb staje się z różnych przyczyn wprost niepodobieństwem. Najodpowiedniejszą i jedyną może chwilą do obliczenia wszystkich aktualnie bezrobotnych w całym kraju byłby powszechny spis ludności. Lecz spisy takie odbywają się rzadko, co 5 lub 10 lat, a na obliczenia ich trzeba czekać dłuższy czas, wskutek czego są one spóźnione i mają jedynie wartość sprawdzianu dla zestawień bieżących z tego samego okresu. Powtóre, nie wszystkie spisy powszechne ludności (między niemi nasz z r. 1931) uwzględniają tę rubrykę, tam zaś, gdzie ona została włączona, niełatwą rzeczą jest stwierdzenie, czy dane osoby należą rzeczywiście do kategorji bezrobotnych, wiadomo bowiem, że i pod tym względem dzieją się różne nadużycia.

Toteż próby wykrycia rzeczywistych rozmiarów bezrobocia ponawiają się co pewien czas i z jedną z nich pragniemy właśnie zapoznać Czytelników. Dokonał jej, na przestrzeni 11-u lat, od r. 1921—1931, członek Urzędu Statystycznego Rzeszy Niemieckiej, Adolf Aghte w swej pracy *Die Arbeitslosigkeit der Gegenwart* (München u. Leipzig 1932), a wyniki jej podał Jan Derengowski w artykule „Przegląd międzynarodowy bezrobocia w latach 1921—1931", zamieszczonym w kwartalniku *Statystyka Pracy* (Warszawa, 1932, Gł. Urząd Statystyczny, nr. 4 str. 366).

Ustalenie liczby bezrobotnych na terenie międzynarodowym jest, zdaniem wspomnianych autorów, dlatego niezmiernie utrudnione, że niektóre kraje (Chiny, Indje) wogóle ich nie podają, w pozostałych zaś metody rejestrowania stanu bezrobocia są niejednolite, tak że osiągnięte stąd wyniki nie dają nigdy wiernego obrazu rzeczywistości i nie mogą być użyte do porównawczych zestawień międzynarodowych. Tak naprz.: 1) w Anglji, Francji, Belgji podaje się tylko bezrobotnych ubezpieczonych lub otrzymujących zasiłki na wypadek braku pracy; 2) w Polsce, Niemczech, Czechosłowacji, Włoszech, Austrji zestawia się bezrobotnych zarejestrowanych w urzędach pośrednictwa pracy (u nas P. U. P. P.); 3) wreszcie w Stanach Zjedn. Am. Pn., Kanadzie, Australji, Danji, Szwecji, Norwegji, Węgrzech stan bezrobocia notują jedynie związki zawodowe.

W ten sposób ani jedno państwo nie podaje w całości ogólnej liczby bezrobotnych, a t. zw. urzędowe statystyki odbiegają

[1]) O pomysłach rozwiązania bezrobocia w świecie p.: „Światowe zagadnienie bezrobocia". *Przegląd Powszechny*, czerwiec 1931 r., str. 381.

od niej stale w pewnym stopniu, zależnie od metody rejestrowania; w Anglji, podług A. Aghte, oficjalna statystyka podaje 80—95% rzeczywistej liczby bezrobotnych, we Włoszech mniej więcej 60%, w Czechosłowacji 50%, we Francji zaledwie do 15%.

Chcąc więc otrzymać wierniejszy obraz rzeczywistego stanu bezrobocia, trzeba obok urzędowych danych wykorzystać wszelkie inne dostępne źródła, jak wykazy związków zawodowych, powszechne spisy ludności (o ile uwzględniają bezrobocie), zestawienia Międz. Biura Pracy i t. d. Tej drogi chwycił się A. Aghte.

PAŃSTWA	R. 1921		R. 1931	
	przeciętna roczna w tysiącach	na 1.000 ludności	przeciętna roczna w tysiącach	na 1.000 ludności
Anglja	1.789	41	3.060	66
Austrja	14	2	303	45
Belgja	178	24	249	30
Czechosłowacja	136		546	37
Danja	146	45	139	39
Estonja	1		4	4
Finlandja	2	1	14	4
Francja	362	9	845	20
Gdańsk	2		25	
Holandja	35	5	138	15
Irlandja	77	25	76	26
Jugosławja	12		20	
Łotwa	7		11	6
Niemcy	354	6	4.559	71
Norwegja	95	35	101	36
Polska	131	5	400	13
Rumunja	25	2	72	4
Szwajcarja	58	15	24	6
Szwecja	263	44	178	29
Węgry	33	4	57	7
Włochy	591	16	1.091	26
Zagłębie Saary	1		21	
Z. S. S. R.	993		600	4
Razem 23 państw europ.	**5.305**			
Australja	142	26	413	63
Japonja	228	4	628	10
Kanada	268	31	358	35
Nowa Zelandja	13	11	42	29
Stany Zjedn.	5.124	47	7.854	63
Razem 28 państw	**11.080**		**21.828**	

który z ogromnym nakładem pracy zestawił przeciętne roczne cyfry bezrobotnych dla 23 państw europejskich i 5 pozaeuropejskich, w okresie od r. 1921—1931. Z obliczeń jego przytaczamy poniżej tylko dane dla pierwszego i ostatniego roku tego 11-lecia, przyczem przy każdym kraju podajemu naprzód ilość bezrobotnych wogóle, a następnie liczbę ich na 1.000 mieszkańców tegoż kraju.

Zestawienie to rzuca wiele światła na zagadnienie bezrobocia, w świecie i w poszczególnych państwach.

Jeżeli porównamy rok 1921 i 1931, to uderza nas przedewszystkiem znaczny wzrost liczby bezrobotnych. W wymienionych 28 krajach liczba ta podwoiła się, z 11 na 22 miljony. W pojedyńczych jednak państwach sytuacja przedstawia się rozmaicie. Tu i ówdzie bezrobocie spadło nawet (Irlandja, Danja, Szwajcarja, Szwecja, Z. S. S. R.). Gdzieindziej przyrost liczby bezrobotnych jest minimalny (Norwegja) lub nie dosięga nawet 100% (Anglja, Belgja, Jugosławja, Łotwa, Węgry, Kanada, Stany Zjedu.). Ale zato w innych krajach widzimy przyrost 7- (Finlandja), 13- (Niemcy) i 21-krotny (Austrja, Zagłębie Saary).

Jeśli chodzi o bezwzględną liczbę bezrobotnych, to najgroźniej przedstawia się ona w Stanach Zjedn., gdzie z końcem grudnia 1931 r. notowano już 9.365 tys. bezrobotnych, i w Niemczech (z końcem 1931 r. 5.668 tys.); jedynie w Anglji zaznaczył się pod koniec 1931 r. pewien spadek.

O ile wszakże chcemy poznać natężenie bezrobocia w danym kraju, a zwłaszcza jeśli pragniemy zdać sobie sprawę z niego w skali międzynarodowej, musimy sięgnąć do rubryki, podającej ilość bezrobotnych na 1.000 mieszkańców. Pokazuje ona nam, że w r. 1931 najwyższe natężenie bezrobocia panowało w Niemczech, Anglji, Stanach Zjedn. i Australji, najniższe zaś w Estonji, Finlandji, Rumunji i Z. S. S. R. Wogóle, zauważa, A. Aghte, najwyższe natężenie bezrobocia posiadają kraje o wysokim poziomie płac (wyjątek stanowi tu Szwajcarja), najniższe zaś kraje o niskich stosunkowo płacach (z wyjątkiem Austrji i Czechosłowacji).

Jak przedstawia się stan bezrobocia w Polsce? Co do ogólnej liczby bezrobotnych stoi ona w r. 1931 na 10-em miejscu po Stanach Zjedn., a pod względem natężenia bezrobocia na 17-em miejscu po Niemczech. Ten stosunkowo pomyślny stan tłumaczy się rolniczym naogół charakterem kraju (i niskiemi płacami?). Niemniej w okresie od r. 1921—1931 ogólna ilość bezrobotnych wzrosła trzykrotnie, a liczba ich na 1.000 mieszkańców wynosiła w tych latach kolejno: 5, 6, 4, 6, 9, 13, 8. 6, 6, 10, 13.

Wszystkie powyższe wnioski mają oczywiście o tyle realną wartość, o ile obliczenia podane przez Aghte-Derengowskiego, odpowiadają rzeczywistości. Czy jednak odpowiadają? Ośmielimy się o tem wątpić. Jeśli podane powyżej cyfry bezrobotnych z

1931 porównamy z obliczeniami Międz. Biura Pracy, [1]) oraz danemi naszego *Małego Rocznika Statystycznego*, [2]) to przekonamy się, że każde z tych trzech źródeł podaje inną ogólną liczbę bezrobotnych dla poszczególnych krajów, przyczem różnice te bywają niekiedy dość znaczne. Przykładem tego jest statystyka bezrobotnych w Polsce, która w r. 1931 wynosiła podług Aghte-Derengowskiego 400 tys., podług *Małego Rocznika Statyst.* 312 tys., podług P. U. P. P. wahała się pomiędzy 275—373 tys., według socjalistycznych zaś źródeł wynosiła z końcem 1932 roku 1.150.000 osób (*Robotnik*, Warszawa, 10 marca 1933 r.).

Rozbieżność tę obliczeń tłumaczą nam dostatecznie uwagi, zamieszczone na początku niniejszego sprawozdania. Nie żądajmy więc nigdy w tej materji cyfr bezwzględnie pewnych, bo te są nieosiągalne; zwłaszcza przy obliczeniach porównawczych na terenie międzynarodowym musimy poprzestać na sumiennych zestawieniach szacunkowych, sądzimy zaś że przytoczone powyżej można zaliczyć do tej kategorji.

Ks. St. Podoleński T. J.

Spisz katolicki.

Biskupstwo spiskie obejmuje: Spisz, Orawę i Liptowskie. Na terytorjum tem ludności jest 314.031, z czego katolików 237.531 w 151 parafjach, obsługiwanych przez 210 księży. Siedzibą biskupią jest Kapituła Spiska, wznosząca się po przeciwnej stronie miasta — Podegrodzia Spiskiego, — niż ruiny zamku.

Przed wojną światową Kapituła Spiska była cytadelą madziaryzmu, dziś jest źródłem narodowego słowackiego i katolickiego uczucia i przekonania. Pod słońcem już czechosłowackiej republiki berło diecezjalne otrzymał syn ludu słowackiego z Orawy biskup Jan Wojtaszak, który w działalności swej realizuje hasło wielkiego biskupa chorwackiego Strossmayera: *sve za vjeru i domovinu* — wszystko dla wiary i ojczyzny. Jego czyny: na murach starej budowli z XVIII wieku wzniósł nowe piętro seminarjum duchownego, piętro nowocześnie urządzone i równocześnie zmodernizował urządzenie wewnętrzne starej części gmachu. Rozszerzył tym sposobem mieszkanie dla alumnów tak, że każdy wychowanek już w czwartym roku studjów mieszka w osobnym pokoju. Stara i bogata bibljoteka diecezjalna (z której bardzo obficie korzystał prof. Semkowicz) oraz muzeum znalazły tu nareszcie godne i pewne umieszczenie. Ponieważ dla wyznaniowych szkół katolickich chce mieć nauczycielstwo w duchu katolickim ugruntowane i przysposobione, zbudował nowy gmach seminarjum nauczycielskiego połączony z internatem, w którym 250 młodzieńców mieszkać może. Internat ma własną kaplicę, uważaną za

[1]) *Praca i Opieka Społeczna*, kwartalnik, Warszawa, 1931, str. 387.
[2]) Warszawa, Gł. Urząd Statyst., 1932, str. 97.

„perłę nowoczesnej sztuki", a urządzenie jego całkiem wytworne.

W diecezji spiskiej jest i małe seminarjum, umieszczone w Lewoczy i kompleksie domów katolickich, obejmujących: żeńską szkołę nauczycielską, przedszkole, szkołę powszechną (ludową i wydziałową) dla 400 dziewcząt i szkołę gospodarstwa domowego. Pod opieką biskupa W. uczelnie te pielęgnują w duszach wychowanek i religijność katolicką i ducha narodowego słowackiego. On sprawił także, że w Rużomberku usadowił się zakon Jezuitów, ułatwił im nabycie klasztoru i zbudowanie nowicjatu. W Straziach na Spiszu umieścił Redemptorystów, wybudował im dwupiętrowy dom klasztorny i kościół odnowił. Letnią siedzibę biskupią w Sztiavnicy do cna odnowił i razem z parkiem wspaniałym oddał w używanie Misjonarzom. Własnym kosztem wystawił dwa nowe kościoły: w Kubachach i w Pavlianach. Półmiljonową pożyczką umożliwił organizacjom zakupienie pięknego gmachu dla Koła Katolickiego. Mniejsze pożyczki, zasiłki i dary na zbudowanie i ulepszenie szkół, kościołów i domów kulturalnych tworzą przy jego nazwisku długi poczet czynów kulturalnych i filantropijnych. Jako ozdobę społecznej działalności jego wymienić jeszcze należy: moralną i materjalną pomoc Centralnej Charitas Słowackiej w zakupieniu domu zdrowia w Tatrach (w Dolnym Smokowcu) i w zbudowaniu wielkiego socjalnego domu w Bratislavie.

Dobra i majątki kapitulnej „martwej ręki" wzorowo służą Bogu i ojczyźnie pod rozumnem szefostwem biskupa Wojtaszaka w pierwszem dziesięcioleciu jego pasterstwa diecezjalnego.

Za biskupim przykładem idą zwykli duchowni z prałatem Hlinką na czele, a za wzorami duchownych postępują i świeccy katolicy. Oto w dziesięcioleciu ostatniem zbudowano w spiskiej diecezji 13 nowych kościołów i 34 pięknych nowych szkół wyznaniowych katolickich — przeważnie na Orawie. Z ofiar powstają to organy, to dzwony, to malowidła w kościołach. Organizacje wyznaniowe już po paru latach istnienia budują sobie własne domy. Na takie społeczne dzieła złożyli katolicy spiskiego obszaru w 10 latach wspomnianych 28 miljonów i 226 tysięcy koron.

Współpraca duchowno - świecka w spiskiej diecezji dba i o gospodarczy rozwój obywatelstwa. „Ludova banka" rużomberska ma kwitnące oddziały w spiskiej Nowej Wsi, Starej Wsi, Podegrodziu i Popradzie, z łącznemi wkładami do 45 miljonów. Obok niej rozwija się dobrze „Spisko - sobocka katolicka banka". Z dochodów tych banki mogą też pomóc prasie katolickiej, do której na terytorjum omawianem zaliczają się miesięczniki *Sväta Rodina* i *Kralovna sv. Ružence*, czasopismo dla młodzieży szkół średnich *Rozvoj* i tygodniki polityczno - społeczne: *Spiszske noviny* i *Tatransky Slovak*.

Mimochodem dodajmy, że tu pod Tatrami powstał pierwszy katolicki dziennik słowacki, dziś w Bratislavie już mający i dom swój i drukarnię własną — *Slovák*, a także pierwsze pismo studenckie *Vatra* na obszarze spiskiej diecezji zapłonęło.

Słowackie czasopisma katolickie. W Słowacji świat katolicki i ewangelicki rozwijają swą kulturę wyznaniową odrębnie, a łączą się w dziełach kultury narodowej. Tak np. miesięcznik *Slovenske Pohlady* i kwartalnik muzeum narodowego są wydawnictwami wspólno-narodowemi, gdy np. trnawska *Kultura* jest wydawnictwem czysto katolickiem. „Matica Slovenska" jest forum pracy obu wyznaniowych części narodu, ale „Spolok sv. Vojtecha" jest warsztatem pracy tylko katolików. Większe oddzielenie się wyznaniowe widoczne jest w perjodykach popularnych.

Katoliccy Słowacy mają dla swych własnych kół czasopisma następujące:

Caritas — miesięcznik w Bratislavie, tłoczony w 2500 egz. jako organ Centralnej „Charitas".

Don Bosco — wydawnictwo Salezjanów bez określonych terminów wydawniczych — 8250 egz.

Hlasy z domova a z misii — mies. w Nitrze — 10.000 egz.

Katolicka jednota — miesięczny organ „Slovenskych žienmatek" w Trnavie — 70.000 egz. z dodatkami: Listy rodziczom i Veniec.

Katolické missie — miesięcznik w Trnavie.

Kralovna sv. Ružence — mies. w Stankovanach przy Lubochni — 19.600 egz.

Mariánska Kongregacia — dwumies. w Bratislavie — 2000. egz.

Nàsz priateľ — tygodnik w Hliniku nad Hronom — 18000, poczytny na emigracji.

Posol B. Srdca Ježisovho — mies. w Trnavie.

Priateľ dietok, — ilustr. mies. — Kremnica — 11.000 egz.

Putnik (Pielgrzym) — mies. — Trnava — 12.000 egz.

Serafínsky svet — mies. — Kremnica — 75.000 egz. przeważnie do Ameryki wysyłany.

Slovenské kvety — mies. dla młodzieży, Bratislava.

Svätá Rodina — mies. Spiska Kapituła — 16.000 egz.

Tatransky Orol — mies. organ związku Orłów — 9000 egz. z dodatkami, dziś już usamodzielnionemi wydawnictwami: *Orlik* i *Straż Tatier*.

Jan Magiera.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 29 kwietnia 1933.

Stary Testament w nauczaniu religji.[1])

Walka o religję i pisma St. Zakonu trwa już od czasów Chrystusa. Już w pierwszym i drugim wieku spierali się uczeni żydowscy o charakter nadprzyrodzony niektórych pism, zaś pogańscy pisarze naśmiewali się z różnych praktyk i zwyczajów religijnych Izraela, tak że żyd Filon i chrześcijanin Orygenes stawali w ich obronie. Następuje potem okres szczególnego zainteresowania się dla pism St. Zakonu, jakie okazywali Ojcowie Kościoła, z których licznych komentarzy i homilij korzystano w całem średniowieczu chrześcijańskiem. Walka o St. Zakon odżyła znowu w czasie racjonalizmu, który wyeliminował z religji dziejów Izraela zupełnie moment nadprzyrodzony, a dziś w okresie wybujałego powojennego nacjonalizmu i antysemityzmu żąda się usunięcia tych pism całkowicie ze szkoły i kościoła. Wyrazem tychże dążeń jest książka Alfreda Rosenberga p. t. *Der Mythus des XX Jahrhunderts*, która ukazała się w Niemczech. Autor, zwolennik obecnie w Niemczech panujących prądów narodowo-socjalistycznych, widzi jedyne wyjście dla ratowania Niemiec w oczyszczeniu kraju z naleciałości innych plemion i ras, przedewszystkiem rasy żydowskiej; poleca wyhodować czystą rasę nordyjsko-germańską, która jedynie kulturotwórczą się w dziejach okazała. Popiera dalej dążenia do tworzenia nowej religji narodowej, a tem samem odrzuca Kościół katolicki jako instytucję międzynarodową i dlatego, że tak on, jak i Kościół ewangelicki opierają swe nauki na

[1]) Odczyt ten został wygłoszony na walnem zebraniu Diecezjalnego Koła Księży Prefektów w Rybniku dnia 23. II. 1933 r. w obecności J. E. ks. Biskupa St. Adamskiego.

pismach St. Testamentu. Najbardziej obwinia o „zażydzenie" Ewangelję św. Apostoła Pawła. Książka Rosenberga ukazała się po raz pierwszy w r. 1930 i w tym samym roku doczekała się aż trzech wydań, 1932 r. ukazało się wydanie czwarte. Wywołało ono w Niemczech silne protesty także ze strony Kościoła ewangelickiego, który widzi tu wielkie niebezpieczeństwo dla siebie, patrząc jak przedewszystkiem młodsza generacja akademicka rozczytuje się w niem i przyswaja sobie jego zapatrywania. Ci, którzy ongiś, idąc za prądem racjonalizmu, wyeliminowali byli z pisma St. Zakonu i z dziejów Izraela moment nadprzyrodzony i podkopali w ten sposób wiarę w Pismo św., ci sami dziś w obawie o swą egzystencję ostro występują przeciw tym napaściom, starają się wmówić w szersze sfery Kościoła ewangelickiego, że z wyrzuceniem St. Testamentu z liturgji i nauki upada razem i chrześcijaństwo, jak temu daje wyraz prof. uniw. berlińskiego Ernest Sellin w broszurce p. t. *Abschaffung des Alten Testaments?* (1932 r.)

Podobnego aplauzu doznał wśród polskiej młodzieży akademickiej, nastrojonej dziś tak żywo antypatją do żydowstwa, prof. uniwersytetu warszawskiego, Tadeusz Zieliński, znany badacz świata klasycznego, i to swemi odczytami jak i swojem dwutomowem dziełem p. t. *Hellenizm i Judaizm*, które ukazało się w r. 1927. Na zapytanie, czy autor tej książki jest filosemitą czy antysemitą, odpowiada Zieliński: „Otóż postaram się przynajmniej, żeby ta niepotrzebna ciekawość żadnej zadawalającej odpowiedzi nie otrzymała" (t. I str. 39). Jest to jednak raczej zakapturzony antysemityzm, bo jako znawca hellenizmu zastawia się autor Grekiem żyjącym w ostatnim okresie przed Chrystusem i za jego plecami ukryty ciska swe gromy w religję judaizmu, ale również i w religję i pisma St. Zakonu. Dochodzi on do wniosku, że „prawdziwym Starym Zakonem naszego chrześcijaństwa jest religja Hellenów" (t. I str. 3). Dla charakterystyki tegoż przez niego podkreślonego „naszego chrześcijaństwa", naogół osobistego jego nastawienia względem Kościoła katolickiego, wystarczy wskazać na następujące momenty: 1) w roku 1927 brał prof. Zieliński udział w złożeniu hołdu znanemu francuskiemu księdzu-apostacie i mo-

derniście Afredowi Loisy dla uczczenia zasług jego z okazji obchodu jego 70-lecia urodzin.[1]) 2) Fałszywe wprost głosi pojęcie o Trójcy Przenajśw., twierdzi, że niektóre dogmaty naszego Kościoła są przejęte z religij pogańskich, jak naprz. nauka o czyścu wzięta jest z religji helleńskiej (t. I str. 45, 201); 3) w sprawie pism i religji St. Zakonu opiera się tylko na literaturze krytyki liberalnej i to przeważnie niemieckiej, jest zwolennikiem teorji Wellhausena, cytuje z lubością ostatnią broszurę zmarłego asyrjologa berlińskiego Fryderyka Delitzsch'a *Die grosse Täuschung*, z której to zieje straszna nienawiść do St. Testamentu; z autorów katolickich cytuje tylko dwóch, i tylko poto, aby ich ośmieszyć.

Przejdźmy do treści tych ataków, skierowanych przeciw pismom St. Zakonu. Nie chodzi przeciwnikom ich wcale już o to, czy opowiadania biblijne polegają na prawdzie czy nie, — racjonalizm dawno już zachwiał wiarę w nadprzyrodzony charakter i treść Pisma św. Wszyscy przeciwnicy St. Zakonu domagają się bezwzględnego usunięcia jego pism z nauki, z kościoła i szkoły, bo pisma te zawierają jakoby treść niemoralną, gorszą starszych a psują dusze młodych.[2]) A więc 1) niemoralne jakoby jest pojęcie Bóstwa w St. Zakonie; 2) niemoralne jest życie wyróżnianych osób biblijnych; 3) moralność starozakonna jest materjalistyczna, podwójna — inna dla Izraela a inna względem obcych ludów, całe prawo St. Zakonu przeplatane przepisami zabobonnemi i niemoralnemi; 4) to dobre, co zawiera w sobie religja starozakonna, ma ona zawdzięczać wpływom religji babilońskiej, egipskiej, asyryjskiej, helleńskiej i t. d. Dla zilustrowania poszczególnych tych zarzutów podaję niniejszem kilka uwag, wyjętych z książki Zielińskiego.

Gorszy więc tego wielbiciela religji hellenizmu antropomorficzna i antropopatyczna koncepcja bóstwa u autora ksiąg biblijnych, a więc, że Bóg Tory jest gniewny, zawistny, okrutny, nacjonalistyczny, bo opiekuje się wyłącznie Izraelem a innemi narodami tylko rządzi; że jest zmienny w swych zamiarach, że budzi postrach u swych wyznawców zamiast

[1]) Cf. *Revue biblique* 1928 p. 605.
[2]) Sellin, l. c. str. 7.

miłość, jak to jest w religji greckiej. Ciekawym jest komentarz, który Z. daje do *Dt* 7, 2 i 20, 13, gdzie Bóg każe Izraelitom wybić do szczętu miasta kanaanejskie i to bez litości, nakaz, który został bezwzględnie wykonany. Pisze więc (t. I, str. 82): „Nie chodzi mi tu wcale o moralne potępienie tych i wielu innych okrucieństw, które plamią dzieje Izraela... chodzi o to, że te okrucieństwa przypisane są Bogu, że Bóg przez te bluźniercze świadectwa został strącony z tego tronu, z którego jedynie jako najwyższy przedstawiciel idei dobra miał prawo rządzić dążącym ku udoskonaleniu światem". Dalej (w t. II, str. 15): „nie wypominać należy surowo owe okrucieństwa Izraelowi, pamiętając, że należeli oni do grona narodów wschodnich, i że ich sąsiedzi dopuszczali się takich samych, a nawet i większych okrucieństw..., ale jednego będziemy wymagali stanowczo: skoro księgi, w których to wszystko się opisuje, mają mieć dla nas wartość etyczną, wychowawczą — niech ich autor będzie wyższy od przedstawionych przez siebie ludzi". W t. II, str. 61: „Pismo chętnie przypisuje Bogu to, co byłoby zanadto haniebne dla człowieka".

Szczególnie wskazują nieprzyjaciele St. Zakonu jako na nieodpowiednią lekturę, na owe opowiadania biblijne, w których przedstawione są życie i czyny ulubionych postaci, jak patrjarchów i bohaterów ludu izraelskiego, którzy niby mają uchodzić za wzór cnoty i moralności, w rzeczywistości atoli gorszą jakoby tylko swym złym przykładem. Takim jest „kłamliwy Abraham, który handluje w Egipcie wdziękami swej młodej żony, a zamiast jego, tego stręczyciela, karze Jehowa plagami wielkiemi niewinnego faraona, który ją kupił, nie wiedząc że to żona Abrahama" (t. II str. 17). Ofiarowanie Izaaka zestawia Zieliński z legendą helleńską o ofiarowaniu Ifigenji przez Agamemnona. Pisze on: „Nie mówimy tu o jej wartości poetyckiej; nie dziw, że pod tym względem ustęp biblijny jej nie dorówna. Mówimy o znaczeniu jednej i drugiej etycznem. Dla Agamemnona ofiarowanie córki było warunkiem pomyślności wyprawy przeciw Troi, w jego sercu obowiązek króla i wodza toczył walkę z ojcowską miłością — walka była długa, bolesna, ale ów pierwszy obowiązek, surowy nieubłagany, zwyciężył. A co skło-

niło Abrahama do tej strasznej ofiary? Jedynie przykazanie Jehowy: weźmij syna twego jednorodzonego... i tam go ofiarujesz na całopalenie. A więc ślepe posłuszeństwo" (t. II, str. 18). Dalej w szeregu tych biblijnych bohaterów „niemoralnych" maszeruje Jakób jako „potrójny oszust względem szlachetnego brata, zdziecinniałego ojca i bardziej doń podobnego teścia" (t. II str. 18). Dalej mamy „paskarza" Józefa. „Dzięki temu ohydnemu paskarstwu Józefa stali się Egipcjanie niewolnikami, których nadomiar z nakazu Boga później Izraelici przy wyjściu z Egiptu za ich dobroć okradają ze sprzętów i ozdób" (t. II str. 61).

Domagają się też przeciwnicy St. Zakonu wyłączenia jego lektury, gdyż cała moralność izraelicka nosi charakter doczęsny, materjalistyczny. „Wszystko bowiem zaczyna się i kończy w ramach ziemskiego życia: Będziesz miłował ojca i matkę, abyś długo żył i dobrze tobie się działo na ziemi!" (t. I str. 202). „Zaleca się dalej Izraelowi podwójną moralność, jedną w obcowaniu ze swoimi, a drugą w stosunku do innych, nienależących do ludu izraelskiego" (t. II str. 61). Zgodnie z taką moralnością objawia się w niektórych psalmach straszna nienawiść do wroga; i nawet te „perły uczucia poetyckiego", jak się Z. wyraża o psalmach, „te skargi uciemiężonego serca są tak często spaczone dzikiemi, wprost nieludzkiemi złorzeczeniami" (t. II str. 50).

Szpetne i śmieszne, zabobonne mają być dalej różne przepisy prawa Mojżeszowego. O prawie obrzezania Izraelitów Z. tak się wyraża: „Jehowa wybrał dla symbolizacji swego przymierza taką część ciała człowieka, którą nawet dzikusy wstydzą się pokazywać, o której ludzie przyzwoici w świecie kulturalnym wolą nie mówić wcale, a mniej przyzwoici jeżeli i mówią, to dla wywołania sprośnego śmiechu. Nie, bądźmy szczerzy: tym znakiem swego przymierza Jehowa ośmieszył swój lud wśród wszystkich narodów w świecie" (t. I str. 143); „ośmieszył Izraela na wszystkie czasy dlatego, że chciał go ośmieszyć" (t. I str. 144). Rozwodząc się o przepisach rytualnych, mianowicie o dozwolonych i niedozwolonych do spożycia zwierzętach według *Lev.* 11 i *Dt* 14, gdzie czytamy „że wszelkie zwierzę, które ma rozdzielone kopyto a przeżuwa, jeść będziesz... zając też jest

nieczysty, bo i ten przeżuwa, ale kopyta nie dzieli", dodaje Z. z ironją: „że zając nie jest przeżuwaczem, to chyba Jehowa, który go stworzył, mógł wiedzieć" (t. II str. 38) tak samo, że „owady mają nie cztery nogi, lecz sześć" (. I str. 178).

Podałem tu garść głównych zarzutów, które się powszechnie podnosi przeciw Staremu Zakonowi, podałem je ujęte w słowach prof. Zielińskiego, dając tem samem obraz sposobu jego argumentacji, jego tendencji oraz jego nastawienia względem religji objawionej. Zarzuty te nie zawierają nic nowego, ale w dzisiejszej atmosferze niewiary, patrząc jak szczególnie młodzież studjująca z aplauzem przyjmuje wywody swego profesora, nastraja się sceptycznie i nawet wrogo do tego, cośmy kiedyś z największym pietyzmem przyjmowali i zachowali w skarbcu naszej wiary, nie możemy być obojętnymi wobec tych niebezpiecznych objawów. Musimy dać naszej młodzieży, kształcącej się w szkołach średnich, pewne podstawy zdrowego zapatrywania się i na Stary Testament. Że takie informacje koniecznie są potrzebne, zbyteczna chyba się rozwodzić, skoro sam Chrystus Pan określił wyraźnie swój stosunek do St. Zakonu, czy to słowami Ewangelisty św. Mateusza 5, 17: „nie przyszedłem znieść Zakon i proroków, ale aby je wypełnić" lub Ewang. św. Jana 5, 39: „one dają świadectwo o mnie".

Głównym punktem wyjścia obrony religji starozakonnej będzie zawsze m o n o t e i z m izraelski, ten *rocher de bronze* wśród powodzi ogólnego politeizmu starożytnego. Nie jest on bowiem ani własnym wymysłem, dorobkiem Izraela, ani też nie został zapożyczony przez Izraela u sąsiadów. Izrael sam, jak na to wskazują pisma St. Zakonu, był raczej skłonny do politeizmu, ulegał wpływom kultury ludów, z którymi żył w bliższych stosunkach. A ludy te pod względem kulturalnym wyżej stojący od Izraela, były politeistami. Wprawdzie kapłani egipscy i babilońscy oddawaii się spekulacjom monoteistycznym, ale nikt nie myślał usunąć owe liczne bóstwa. Twierdzą niektórzy, że monoteizm jest wynikiem wyższej kultury, otóż w rzeczywistości z postępem kultury nie powstaje monoteizm, ale raczej mnoży się liczba bóstw. Jeżeli więc te ludy wyżej stojące kulturalnie od Izraela nie wydały monoteizmu, tem mniej oczekiwać tego można

było od Izraela. Monoteizm Izraela, jedyna religja swego rodzaju w świecie starożytnym, musi mieć inne źródło swego pochodzenia. Ten moment powinien naszą młodzież pobudzić do zastanowienia się, że tu w grę wchodzi inny niż zwykły ludzki czynnik, t. j. moment nadprzyrodzony, że Bóg sam względem Izraela miał jakiś szczególny plan, który zapomocą tegoż ludu chciał zrealizować. Plan ten właśnie przedstawiają pisma historyczne St. Testamentu. Widzimy, jak niegodnych ludzi wybrał sobie Bóg, darzył ich swemi łaskami, starał się zakorzenić wiarę w ich sercach, wiarę, którą sobie lekceważyli, ale srogo za to musieli pokutować. A właśnie ta pokuta, to rozproszenie ludu żydowskiego po świecie ówczesnym miała znowu służyć celom Opatrzności Boskiej, aby zapłodnić umysły ludzkości tąż wiarą i tak przygotować grunt dla nauki Chrystusowej.

Na początku dziejów Izraela stoją postacie patrjarchów, tak bardzo zniesławionych przez wrogów St. Zakonu. Powinniśmy młodzieży zwrócić na to uwagę, że nie wszystkie postacie występujące w Biblji są Świętymi w naszem pojęciu, że choć autorowie biblijni opisują nam różne szczegóły z ich życia, to nie nato, aby ich stawiać we wszystkiem jako wzory do naśladowania. Głównie podkreślają oni ich żywą wiarę w Boga jedynego, czem się wyróżniali wśród swego pogańskiego otoczenia, i jak Bóg mimo ich uchybień opiekował się nimi. Że sposób ich opowiadania jest nieraz naiwny i może nieodpowiadać naszemu gustowi, należy pamiętać, że sposób ten narracyjny odpowiada zupełnie duchowi wschodniemu, właśnie tu objawia się ten czynnik ludzki, który trzeba wziąć pod uwagę przy czytaniu Pism kanonicznych. A więc wskażemy na to, że patrjarchę Abrahama chciał nam autor księgi Rodzaju przedstawić jako bohatera wiary i miłości względem Boga. Człowiek ma być gotów wszystko ziemskie poświęcić z miłości dla Boga, jak to uczynił Abraham, gdy gotów był ofiarować swego syna Izaaka. Sam P. Jezus powiada: „kto przychodzi do mnie, a nie nienawidzi swego ojca, matkę i swe życie, nie jest mnie godzien". Zresztą Bóg nie dopuścił do ofiarowania człowieka; autor chciał zaznaczyć, że ten tak rozpowszechniony wtedy zwyczaj ofiarowania ludzi nie znalazł aprobaty

u Boga. W historji o Jakóbie chce autor pouczyć, że Jakób nie był godny takiego miłosierdzia, które mu Bóg wyświadczył, za jego przewinienia spadły też liczne i bolesne cierpienia na niego. W opowiadaniach o Józefie należy podkreślić zdanie, które sam wyrzekł do braci swoich: „chcieliście źle postąpić wobec mnie, Bóg atoli skierował wszystko ku dobremu" — i z tego punktu przedstawić szczegóły podane z jego życia. Co do zarzuconego mu „paskarstwa" należy nadmienić, że zarządzeń opisanych nam w Biblji nie trzeba oceniać według naszych pojęć, ale uwzględnić ówczesną politykę, stosowaną przez faraonów Nowego Państwa dla wzmocnienia swej władzy, którą to drogą poszedł i Józef egipski. [1])

Starajmy się, aby w duszach naszej młodzieży ugruntować i wzmacniać wiarę w Pismo św. Nie prowadzi do celu prawić wiele naszym uczniom o inspiracji Pisma św., bo mimo dyrektyw danych przez encykliki ostatnich papieży, Leona XIII i Benedykta XV, dyskusja nad istotą natchnienia jeszcze nie jest ukończona; główny problem tkwi mianowicie w tem, jak i gdzie należy odgraniczyć czynnik boski i ludzki w danych częściach Pisma św., stosunek bowiem jednego czynnika do drugiego nie jest ten sam we wszystkich częściach Pisma św. Prawdą jest wszystko, co jest inspirowane, ale w znaczeniu takiem, jak to pojmuje autor biblijny pod natchnieniem Ducha Św. Odróżnianie elementu formalnego i materjalnego przez naszych egzegetów wskazuje na trudności, na jakie napotykają przy wykładzie Pisma św. Wskazujmy naszej młodzieży raczej na coś konkretnego, na wyniki dzisiejszych odkryć i wykopalisk dokonywanych na Wschodzie. One to bowiem zgodnie z Pismem św. odzwierciedlają nam owe tło historyczno-kulturalne, na którem odgrywały się znane nam zdarzenia historji świętej. Może nawet nie doceniamy należycie, jaką cenną pomoc daje nam w nich Opatrzność Boska do ręki. Już mój ś. p. ks. katecheta, dr. Kotalla, zwykł był mawiać, jak sobie przypominam, „kiedy ludzie milczą, kamienie wo-

[1]) Erman-Ranke, *Aegypten und aegyptisches Leben im Altertum*, Tübingen 1923, str. 114 nn.

łać będą". Właśnie te wykopaliska naprowadziły uczonych na drogę lepszej oceny opowiadań Pisma św. I tak pisze prof. Ungnad: „Okazuje się coraz bardziej, że Stary Testament znał doskonalej środowisko starożytności, niż to można było sobie przedstawić,[1]) lub prof. Iirku: „Ci, którzy przekazali nam owe szczegóły, dotyczące Abrahama, zdaje się wiedzieli więcej o rzeczywistym przebiegu rzeczy, niż to chciały uznać niejednokrotnie badania nad Starym Testamentem z ostatnich dziesięcioleci".[2]) Weźmy np. historję o katastrofie zwanej ogólnie „potopem". Powiedzieć trzeba uczniom, że to nie wymysł autora biblijnego, ale prawdziwa katastrofa, która wywarła na człowieku straszne wrażenie, którą uważano jako karę zesłaną przez Boga na ludzi za grzechy. Wiemy o tem nietylko z Biblji ale i z literatury babilońskiej. Zachował się tu podobny opis potopu jak w Biblji, tylko w zabarwieniu politeistycznem. Dalej dzielą historycy babilońscy dzieje Babilonji na dwie epoki, przed potopem i po potopie. Babilonja zdaje się najbardziej pod tym względem ucierpiała, jak na to wskazują ślady podobnej katastrofy, pozostałe w niższych warstwach miast babilońskich, położonych nad rzeką Eufrat, które odkryli w nowszym czasie uczeni angielscy i amerykańscy.[3])

Wskazują przeciwnicy dalej na niski poziom religijności i moralności Izraela. Powinniśmy wziąć pod uwagę, co św. Paweł pisze w liście do Żydów 1, 1: „Częstokroć i wieloma sposobami mawiał oddawna Bóg do ojców przez proroków. W te dni ostateczne mówił nam przez Syna swego". Ze słów tych Apostoła wynika, że Bóg nie odrazu objawił się w całej pełni światła i prawdy, ale objawiał się stopniowo z uwzględnieniem zdolności pojmowania objawionych prawd przez czynnik ludzki. Z okresów objawienia się Boga wśród Izraela wyróżniają się szczególnie dwa, t. j. okres organizowania się ludu izraelskiego w naród i następnie w państwo, a okres proroków. W pierwszym okresie idzie praca przywódców ludu przeważnie w kierunku wkorzenie-

[1]) *Orient. Lit. Zeitung* 1923, str. 466.

[2]) *Der Alte Orient*, t. 24. str. 2.

[3]) Por. art. P. Dhorme, Le Déluge babylonien, w *Revue Biblique* 1930, str. 481 nn.

nia i utrwalenia wiary w Boga jedynego i prawdziwego. Religja Izraela tego okresu odpowiednio do pojęć ludu ma jakieś zabarwienie materjalne; celem utrwalenia tej wiary przejawia się pewna surowość i bezwzględność, szerząca postrach wśród ludu, dopiero zczasem, przedewszystkiem dzięki pracy proroków, następuje uduchowienie religji i umoralnienie ludu izraelskiego. Bóg Izraela w pierwszym okresie jest w pojęciu ludu Bogiem narodowym w tem znaczeniu, że interesuje się przeważnie losami swego ludu na sposób bóstw pogańskich, chociaż tychże nie uznaje się za bóstwa prawdziwe. Brak Izraelowi zdolności myślenia w sposób spekulatywny, dlatego owe liczne antropomorfizmy i antropopatyzmy w koncepcji Bóstwa. W imieniu tegoż Boga, który nie cierpi obok siebie innych jakichś bogów rzekomych ani tychże wyznawców, prowadzi Izrael ciężkie walki, które istotnie cechuje wschodnia surowość. Uważa on za wskazane, wszędzie i bezwzględnie bronić honoru swego Boga i jego ludu. „Za Jahwe i Gedeona" (*Iud.* 7, 20), pod tem hasłem rusza Izrael przeciw Kanaanitom — a mały Dawid mierząc się z Goliatem-filistynem woła: „Ja idę w imieniu Jahwe, Pana Zastępów, Boga szeregów Izraela, któregoś obraził" (I *Sam.* 17, 45). Pismo św. nie, jak twierdzi Zieliński, „przypisuje Bogu to, co byłoby zanadto haniebne dla człowieka", ale odnosi wszystkie sprawy, wszelkie wydarzenia tak w przyrodzie jak w dziejach ludzkości do ostatecznej przyczynowości, t. j. Boga, bez którego nic się nie dzieje w świecie; i tak np. sprawia Bóg odzienie pierwszym rodzicom i obleka ich, Bóg zamyka arkę za Noem, i t. p.

Mimo pewnych ujemnych cech, które wnosi ówczesny monoteizm Izraela w koncepcję Bóstwa, jest to religja jedyna swego rodzaju, która wymaga nietylko wiary od swych wyznawców, ale i życia moralnego. Na początku dziejów Izraela ogłasza Bóg wśród nadzwyczajnych zjawisk w przyrodzie swoje Dziesięcioro Przykazań. Pewnie, że pogańscy prawodawcy domagali się od swych poddanych także stosowania się do kodeksu moralnego, bo według św. Pawła „zakon wypisany jest w sercach ludzkich" (Rzym. 2). Brak atoli tamże ujęcia pierwszych trzech przykazań, na których

dalsze się opierają. Pełnienie jak i przekroczenie przykazań, według pojęcia Izraela, jest dziełem woli, według pojęć innych ludów ani niewiadomo, czy ktoś dopuścił się jakiegoś wykroczenia, przypisuje się je raczej jak i skutki takiego przekroczenia np. choroby, różnym demonom. Aby się od nich uwolnić, uskutecznia się to odpowiedniemi środkami magicznemi.[1]) Nawet Egipcjanie, którzy posiadali wysokie pojęcie moralne i wierzyli, że zmarły stanie przed sądem Ozyrysa i odpowiadać będzie za swe czyny, owijali mumje swych zmarłych w zwoje papirusowe z tekstem magicznym, aby w ten sposób ochronić ich przed surowym sędzią w Hadesie.[2]) Można powiedzieć, że większą część literatury babilońskiej, hetyckiej, egipskiej stanowią teksty magiczne i różne zaklinania; podobne teksty odkryto w języku greckim z czasów hellenizmu.[3]) Tego zupełnie brak w religji Izraela, religja Izraela każe szukać winy w człowieku, a naprawić zło znaczy skierować wolę ku dobremu.

Dla obrony tejże wiary i moralności służyć miały w religji Izraela liczne przepisy prawa cywilnego i rytualnego. Prawa te są częściowo pokrewne z prawami innych ludów starożytnego Wschodu, ale jak znawcy i nawet sam Zieliński przyznaje, bardziej humanitarne od sąsiednich ludów. Także i przepisy rytualne są wzięte z życia pokrewnych mu lub sąsiadujących z nim plemion, jak to wykazują pewne analogje, ale pozbawione są one wszelkich naleciałości pogańskich i tylko w ten sposób znalazły aprobatę u Boga.[4]) Jako szczególny symbol przymierza, które zawarł Bóg z Izraelem, ma służyć obrzezanie, zwyczaj praktykowany wówczas i u innych ludów, np. Egipcjan, zwyczaj, który atoli u Izraela nabiera znaczenia religijnego. Bóg nie chciał przez to, jak Zieliński ironizuje, lud swój ośmieszyć, ale dał mu do zro-

[1]) Meissner, *Babylonien und Assyrien II* str. 198 nn., szczególnie serję tekstów magicznych p. t. Surpu wyd. przez prof. Zimmerna, *Beiträge zur Kenntnis der Babylonischen Religion.*

[2]) Por. G. Roeder, *Urkunden zur Religion des Alten Ägypten,* Jena 1923, szczegól. rozdział p. t. „Totenbuch" str. 224 nn.

[3]) A. Deissmann, *Licht vom Osten,* Tübingen 1909, np. str. 187 nn. i R. Reitzenstein, *Poimandres,* Leipzig 1904.

[4]) Por. autora artykuł w *Przegl. Teolog.* 1926 str. 70 nn.: *Lev.* XIV, a rytuał hetycko - bab.

zumienia, że za wierność mu zachowaną darzyć go będzie nadzwyczajnem rozmnożeniem, jak to już przyobiecał był jego przodkom, patrjarchom; ród Izraela nie wyginie, bo z niego wyjdzie postać Odkupiciela, Mesjasz. Przepisy te i im podobne, które nam się wydają śmieszne nieraz i naiwne, miały znaczenie ochronne dla Izraela, miały go odgradzać od pogan, ciągle i na każdym kroku przypominać mu jego właściwe posłannictwo: być narodem wybranym i świętym. A jeżeli Izrael ulegał pokusom kanaanizmu, wtenczas popadał w niewolę i udrękę Kanaanitów; wtedy wołał do Boga swego i Bóg wysłuchiwał jego wołania, wybawiał go, dając mu do zrozumienia, że tylko on jest również i jego prawdziwym i jedynym Zbawicielem; to przekonanie miało stanowić fundament, na którym miała się oprzeć później nadzieja mesjańska, uduchowiona przez proroków. Wtedy, gdy niebezpieczeństwo dla religji Izraela stawało się coraz groźniejszem, gdy lud izraelski zaczął „chromać" na dwie strony ku Jahwie i Baalom, jak się wyraża prorok Eljasz, gdy cały stosunek religijno-moralny Izraela do Boga ulegał coraz większemu zmaterjalizowaniu, zjawiają się Prorocy, mężowie bogobojni, powołani łaską Bożą, a nie jacyś derwisze, jak to lubi Zieliński powtarzać za racjonalistami niemieckiemi.

Rozpoczyna się nowy okres w dziejach objawienia Bożego. Główna praca proroków polega na umoralnieniu ludu i uduchowieniu religji Izraela. Ażeby podnieść poziom moralności, trzeba było pogłębić wiarę. Wskazują przeciwnicy St. Zakonu, że religja Izraela to religja bojaźni. Nakaz miłości Boga w *Dt* 6, 4 odnosi się według Zielińskiego tylko do aktu zewnętrznego, „serce nie posłuchało" (I 134). Słowa piękne proroka Izajasza, świadczące o miłości Boga do ludu swego: „izali może zapomnieć niewiasta niemowlęcia swego, aby się nie zlitowała nad synem żywota swego? A choćby ona zapomniała, wszakże ja nie zapomnę ciebie" (49, 15); „Góry się poruszą a pagórki trząść się będą, lecz miłosierdzie moje nie odstąpi od ciebie i przymierze pokoju mego nie zachwieje się" (54, 10) — zna je prof. Zieliński, ale cytuje je zupełnie w innym związku. A jeżeli wskażemy na inne odpowiednie ustępy w psalmach, które budzą w duszy

Izraelity miłość do Boga, Zieliński odpowiada, że to są owoce hellenizacji.

A jak wielce przysłużyli się prorocy dla wyświetlenia natury i doskonałości Boga, o tem świadczy każdy lepszy podręcznik naszej dogmatyki w odnośnym rozdziale. Duchownego charakteru nabiera w nauce proroków i przyszłe królestwo mesjańskie; pozbawiają go form polityczno-narodowych, któremi dotychczas było osłonięte. Dostęp do niego będą mieli i poganie, a więc nie będzie już potrzebny partykularyzm izraelski ale nastanie uniwersalizm mesjański, nastanie królestwo pokoju i zgody: „Przekują miecze swe na lemiesze a włócznie swe na sierpy; nie podniesie naród przeciw narodowi miecza, ani się będą ćwiczyć do bitwy" (Iz. 2, 4); „I będzie mieszkał wilk z barankiem, a lampart z koźlęciem będzie leżał" (Iz. 9, 6). A ten, który panować będzie nad tem królestwem uniwersalnem, to nie zwykły człowiek, choćby tak potężny jak Sargon lub Asurbanipal, którzy wtedy tworzyli uniwersalne państwo asyryjskie oparte na mieczu i gwałcie, ale na nim spocznie „Duch Pański, Duch mądrości i rozumu, Duch rady i mocy, Duch umiejętności i bojaźni Pańskiej" (Iz. 11, 2). „On niemoce nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił. On zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych. Jako baranek na zabicie wiedziony jest, jak owca przed tymi, którą ją strzygą, oniemiał i nie otworzył ust swoich. Takci się Panu upodobało zetrzeć go i niemocą utrapić, aby położywszy ofiarą za grzech duszę swą, ujrzał nasienie swoje, przedłużył dni swoich" (Iz. 53). Postać tego Mesjasza, skreślona w ślicznych obrazach przez proroka Izajasza, która uczniom napewno przypomni obraz naszego Zbawiciela w Ewangeljach św., nie jest zapożyczona z mitologji orjentalnej, naprz. z religji babilońskiej. Że i poganie wyczekiwali czasów zbawienia, w tem nic dziwnego, bo cała ludzkość jęczała pod jarzmem grzechu. Warto zapoznać się z hymnami babilońskiemi, które wyrażają ból duszy z powodu licznych przewinień, ale i tęsknotę za wybawieniem.[1])

[1]) Np. Psalm do bogini Isztar zob. w M. Jastrow, *Die Religion Babyloniens u. Assyriens* t. II, str. 66 nn.

Postać atoli Zbawiciela mitologji babilońskiej, umierającego i znów do życia się budzącego, nosi zanadto zabarwienie wzięte ze świata wegetacyjnego, który umiera i znów się budzi z wiosną do życia. Atoli, co najważniejsze, to brak w tym mesjaniźmie pogańskim owej moralnej idei izraelskiej, że ten Zbawiciel umiera za grzechy ludzkości. Nigdzie też nie bywa ten moment moralny, etyczny tak silnie podkreślany jak w religji izraelskiej, szczególnie w epoce proroków. „Biada narodowi grzesznemu, ludowi obciążonemu nieprawością, nasieniu złośliwych" (Iz. 1, 4). „Cóż mi po mnóstwie ofiar waszych? mówi Pan. Jużem syty całopalenia baranów, krwi cielców i baranków i kozłów nie pragnę" (Iz. 1, 11), „Gdy wyciągniecie ręce wasze, skryję oczy moje przed wami, a gdy rozmnożycie modlitwę, nie wysłucham, bo ręce wasze krwi są pełne. Omyjcie się, czystymi bądźcie, odejmijcie złość uczynków waszych od oczów moich, przestańcie źle czynić" (Iz. 1, 15—16). Zanika w tym okresie i nadzieja wynagrodzenia ziemskiego; doświadczenie bowiem uczy, że cierpi często i doznaje niepowodzenia w tem życiu i człowiek sprawiedliwy, problem, którym zajmują się i mędrcy krajów sąsiednich, ale w jego rozwiązaniu uwidocznia się wielka różnica między nimi a Izraelem. Egipcjanin lub Babilończyk oddaje się rezygnacji, zwątpieniu, materjalizmowi, teologja Izraela zaleca pokorne poddanie się woli Bożej i napełnia nadzieją w życie pozagrobowe, zmartwychwstanie sprawiedliwego.[1])

I inne piękne nauki i prawdy znajdzie w skarbie religji proroków izraelskich każdy, kto bez uprzedzeń zbliży się do ich pism. To stopniowe udoskonalenie religji Izraela, ta celowość, która objawia się już w jej pierwszych fazach rozwoju, która zmierza do czasów mesjańskich, nie występuje w żadnej innej religji. Zieliński oparł się na spaczonej religji późniejszego Judaizmu, którą zestawia z religją Izraela, ale w taki sposób, że wywołuje to u czytelnika wrażenie jakoby jedna i druga warta była potępienia. Co zaś dobrego uwidocznia się w religji Izraela — tak wnioskuje Zieliński —

[1]) Por. księgę Joba, Izajasz 26,14. 19; p. art. „Job" w E. Kalt, *Biblisches Reallexikon*, Paderborn, 1931 t. I; H. Gressmann. *Altorientalische Texte u. Bilder*, Tübingen 1909, str. 92 n. i 195 nn.

to zawdzięcza ona wpływom innych ludów. I to niesłuszna ocena. Już powyżej wskazałem na istotne ważne różnice między religją Izraela a religjami wschodniemi. Przyznać należy, że pewne prawdy w religji Izraela w zetknięciu się z prądami innych wschodnich religij doznały wyraźniejszego ujęcia i rozwiązania, podobnie jak sprecyzowanie dogmatów naszego Kościoła nastąpiło wskutek powstawania herezyj; i znowu jak Kościół nasz przyjął niektóre zwyczaje i obrzędy pogańskie do swej liturgji, przerabiając je oczywiście swym duchem chrześcijańskim, o czem poucza nas prof. Dölger w *Antike und Christentum,* podobnie postąpił i Izrael. Nie trzeba być koniecznie hellenistą, jak prof. Zieliński, aby umieć ocenić piękność utworów greckich; przyznać trzeba, że grecka dusza wrażliwa na piękno, tak gorąco pragnąca dotrzeć do prawdy, przygotowała grunt podatny dla przyjęcia religji chrześcijańskiej. Ale stanowczo trzeba odrzucić taką tezę, jakoby hellenizm był Starym Zakonem dla chrześcijaństwa. Nie Ateny nie Aleksandrja, ale Jeruzalem było źródłem prawdziwem życia religijno-moralnego w okresie przedmesjańskim; z Jeruzalem miało wytrysnąć nowe życie, wyjść z niego duchowe odrodzenie narodów, gdzie Chrystus oddał swe życie dla odkupienia świata, aby wszystkim otworzyć bramy królestwa mesjańskiego, jak to przepowiedział prorok Izajasz (w rozdz. 2):

I stanie się w ostateczne dni,
Że będzie przygotowana góra domu Pańskiego
Na wierzchu gór,
I wywyższy się nad pagórkami,
A zbieżą się do niej wszystkie narody.
I pójdzie wielu ludzi mówiąc:
Pójdźcie a wstąpmy na górę Pańską,
Do Domu Jakóbowego,
A będzie nas uczył dróg swoich
I będziemy chodzili ścieżkami jego;
Albowiem z Syjonu wyjdzie Zakon,
A słowo Pańskie z Jeruzalem.

Ks. Dr. Jelito.

Klasyczny laur Norwida.

(Ciąg dalszy).

III.

Pisząc w przytoczonym na str. 175 ustępie *Promethidiona,* że widzi dziś jeszcze ukochanie Grecji przez artystów w każdej kruszynie marmuru, w każdym ornamencie, w każdej kolumnie, powołuje się Norwid nie na doświadczenie wyniesione z muzeów, lecz na widok jakichś szczątków „na miejscu". Czy tylko w Italji? Raczej i w Grecji, do której wysp dotarł w podróży, odbytej w lecie 1848 z Neapolu i Sycylji na morze Egejskie (Przesmycki, *Pisma C. N.* A_2, str. 849 n.).

Z czasu tej podróży pochodzi *List do Włodzimierza Lubieńskiego* (*Pisma* A, str. 285), pisany z „italskich gruzów" na Sycylji. Zawiera on na początku motyw żalu nad grecką kolumną, na brzegu morskim falą oszkloną, a pod koniec epizod z życia Cycerona, oparty o Plutarcha („której Plutarch, pisząc, nie czuł głębi"), z przeniesieniem go z Rodos na Sycylję. Otóż Plutarch opowiada (*vita Cic.* pocz.), że gdy Cycero, przemawiając na Rodos po grecku, powszechnym okrzykiem słuchaczów uczczony został, zapytał milczącego ponuro Apollonjusza (Molona), czy się jemu nie spodobał: „Mylisz się, jeśli tak sądzisz, rzekł Apollonjusz. Nad tem ja ubolewam, iż ostatni zaszczyt, któryśmy dotąd zatrzymali, nauki i krasomówstwa, ty nam odbierzesz i do Rzymu przeniesiesz". — Z nauczyciela wymowy, Apollonjusza Molona, odwiedzanego na Rodos, gdzie prowadził sławną szkołę wymowy, przez Cycerona i Cezara, zrobił Norwid starego wychodźcę greckiego (Molon urodził się i wychował w karyjskiej Alabandzie), uczącego młódź „mądrości greckich", choć M. pisał „Przeciw filozofom". Tu

konsul rzymski rozmawia z nim pod otwartem niebem, o „sokratejskich rzeczach", a mówi z natchnieniem „wciąż helleńskiem słowem i przydechem (niby akcentem?), bo była rzecz o duchu", mianowicie o śmierci Sokratesa, jeśli tak wolno rozumieć słowa: „rzecz, ostatnim śmiechem — po wychyleniu mętnej okryta trucizny, — jak głazem; na nim słowa te dwa: myśl ojczyzny". Myśl ojczyzny wypełnia, jak wiadomo, rozmowę Platońskiego Sokratesa z Krytonem, ale Norwid umieszcza ją na końcu *Fedona*. Aplauz słuchaczów wyrażony jest uwagą: „ucznie (wychodźcy) się do mówcy garną", a postawa Cycerona określona wierszem: „I stał Rzymianin, siłą namaszczony grecką". Z przypisku autora o treści przemówienia Cycerona dowiadujemy się, „że w piersiach Cycerona filozofja narodowa grecka z językiem państwa rzymskiego się mierzyła", a więc jakoby myśl grecka wypowiedziana została po rzymsku. Tymczasem Grek płacze nad tem, że Rzymianin posiadł nawet sztukę doskonałego mówienia po grecku: „Więc już i słowo... wyssał upiór Roma?" W tej scenie widzi Norwid „jeden z najuroczystszych państwa rzymskiego dramatów", jakoby wirtuozyjne posługiwanie się greką szkodziło coś nietylko stylowi, ale i duchowi rzymskiemu. To też nie rozumiemy, dlaczego „pobieżną" notatkę Plutarcha uznaje za jedną z niewielu szpar w skorupie historji, „tak poważną przepuszczających światłość". Światłość ta ukazuje przecież tylko drobny fakt dobrowolnego hellenizowania się Rzymian — na pożytek kultury i literatury rzymskiej, jak tego dowodzą choćby tylko pisma Cycerona.

Rozczytywał się w jego zlatynizowanych myślach greckich Norwid, jak widać z amerykańskiego listu (z 23 lutego 1854) do Marji Trembickiéj (*Chimera* VIII 374): „Wziąłem w rękę machinalnie jeden z tomów Cycerona, który czytywać lubię — lubiłem (nb. w Rzymie): *de natura deorum*, filozoficzne pogańskie dzieło, ale wiele więcej od większej połowy chrześcijańskiej — nowożytnej filozofji warte, bo mniej frazeologiczne". Tu cytat o Opatrzności, a po nim uwaga: „Cycero poganin pisał to na siedmdziesiąt parę lat przed Zbawicielem" (naprawdę w r. 45—44 przed Chr.). Cycerona uczynił Norwid przedmiotem biesiadnej rozmowy

w polskim domu szlacheckim, we fragmencie p. t. *Teatr bez teatru* (*Pisma Zebr.* t. A str. 414 i n.): Jakiemuś obywatelowi przerywa drugi biesiadnik toast uwagą: „Wstęp jest godny Cycerona", poczem mówca, który spodziewa się, że wnet zjawi się posłaniec z zamówionem winem, porównywa się z wodzem: „Jedną ręką buławę już składa, gdy druga wstręt jej czyni". Tu znów przerywająca uwaga: „Cycero". Obrońca niefortunnego mówcy, czyni delikatny wyrzut gospodarzowi: „żył za czasów, gdy tak nie goszczono", na co inny stwierdza, że „Rzymianie pili i bili". — Ale „czy gdzie dobrze wyłuszczono — o Cyceronie, kiedy, co pijał i jako?", zapytuje kto inny, a gospodarz opowiada, że po zwycięstwie Pompejusza nad Mitrydatem

> wszystko, co żyło w Rzymie i za Rzymem piło.
> Wtedy Cicero także, gdy aż do kropelki
> wychylił puhar, leżąc za Krassusa stołem,
> myślił o czemś (o przyszłym może konsulacie)
> i bawił się zgasłego kadzidła popiołem...

Naprzeciw niego siedział Klodjusz, dalej Katon. Klodjusz dotknął Cycerona pawiem piórem i zapytał, jaką formę triumfu uchwali senat dla Pompejusza? Cycero odpowiedział bardzo dyplomatycznie i sentencjonalnie („Człowiek bowiem — nie mniemam — aby, zwłaszcza w chwili — zwycięstwa znał, co za to powinni mu byli..."), a na to Klodjusz, „swego pióra pawiego promieniem — powietrze gładząc, rzecze":

> Pompejusz z sumieniem?
> Zagadki dwie — prędzejbym odgadł — Katylinę.

Zdaje się, że jest to echo znanych nam z Listów Cycerona skarg na brak poparcia go przez Pompejusza przeciw Klodjuszowi, a potem, po wybuchu wojny domowej, na brak wyraźnego programu i na skrytość i nieufność wobec najwierniejszych przyjaciół, jak właśnie Cycero. — Urywek świadczy o wżyciu się poety w listy Cycerona i przedstawione w nich stosunki.

Do Cycerona zawiodła nas sycylijska podróż Norwida. Z Sycylji popłynął ku Grecji. Jak osobiste powitanie Grecji brzmi wiersz p. t. *Marmur biały* (*Poezje Wybr.* str. 264), „pisany na pokładzie okrętu u Egejskiego morza". Pobrzmiewają w nim echa opowieści Słowackiego (z dedykacji *Balladyny*) o ślepym harfiarzu z wyspy Scio (t. j. Homerze),

który, przyszedłszy na brzeg morza Egejskiego, wziął szum fal za zgiełk słuchaczów i śpiewał pustemu morza brzegowi tak, że „najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal morza Egejskiego utonął". Mając ten obraz w pamięci, pyta Norwid „Grecję piękną", co się stało z Homerem, i pragnie odpowiedzi, danej „chociażby szmerem — fal egejskich, bijących w heksametr o skałę", chociażby „rytmem klasku ich", zapisanym w białe piany. Dalsze pytania dotyczą Fidjasza, Milcjadesa, Temistoklesa, Tucydydesa, Cymona, Arystydesa, Focjona, Sokratesa, a zwrócenie się z niemi do „wdzięcznej" Grecji zawiera ironję, skoro przy każdym z wymienionych mężów pyta się poeta o ich śmierć: Czy Fidjasz „w więzieniu przepadł?" Czy Milcjad przepadł na wojnie? Czy trzej dalsi (przepadli) skazani (na wygnanie)? Wygnanie jest wymienione wyraźnie tylko przy Arystydesie, otrucie przy Focjonie. Katalog wielkich Ateńczyków, zgubionych przez niewdzięcznych rodaków, urywa się pytaniem: „A Sokrat?" Jak on był bliski Norwidowi, wspominaliśmy powyżej. Tu nie potrzebujemy się też zastanawiać nad źródłem katalogu ofiar niewdzięczności ateńskiej (jest to oklepanka, częsta i u Cycerona), bo możemy mieć zaufanie, że Norwid znał dobrze losy wymienionych w nim wielkich Ateńczyków.

Dawniejszy od wymienionych Grek, *Epimenides* z Krety, figuruje w tytule dłuższego poematu (*Poezje Wybr.* str. 342 i n.). o nim samym jest tylko drobna wzmianka na końcu; zato w prozaicznym wstępie przytacza poeta szereg szczegółów z życia tego cudotwórcy (za Diogenesem Laertiosem I 10) i kończy uwagą: „Osoba moralna tego męża ma coś nieledwie ewangelicznego we wszystkiem, cokolwiek o nim wie się dzisiaj". Łączność jego z ewangelją widzi Norwid i w tem, że św. Paweł (ad Tit. 1, 12) cytuje jego wiersz o Kretejczykach, „sprośnych kłamcach, żyjących na kształt bestyj leniwych brzuchach". Przypomniał go sobie, zdaniem Norwida, św. Paweł, płynąc koło Krety do Syrakuzy i Rzymu. Przyszło to do głowy poecie, „kiedy sam w tych okolicach był". Czy na Krecie? Tak przypuszcza p. Przesmycki (Przypisy A_2, 1048), twierdząc, że „żywe i pełne charakteru momenty w opisie ekskursji archeologów robią wrażenie branych z natury"

i przypuszczając, że poeta był może trafem obecny podczas jakichś wykopalisk na Krecie (w r. 1848). Ale związek zdania pozwala „owe okolice" odnosić także do — Syrakuzy i Rzymu, gdzie (zwłaszcza w Rzymie) wspomnienia św. Pawła i lektura listu do Tytusa mogła mu przypomnieć Epimenidesa z Krety i zachęcić do czytania jakiegoś dzieła o wykopaliskach na Krecie z portretami eksploratorów. To dzieło zastąpiłoby mu autopsję. Taka hipoteza jest tem podobniejsza do prawdy, że wiersz wygląda na krytykę książki o wykopaliskach.

Punkt wyjścia rozważań stanowi Byron, którego filhellenizm prowadzi poetę do Grecji. Polemiki prasy na temat szans powstania greckiego przeciął „nowin patetycznych kordon", — „gdy sztandar grecki wiał ku Europie — sławę nową, a śpiewał i działał lord Gordon". Ten, woląc zbójców (t. j. kleftów, jak nazywali się powstańcy) od faryzeuszów, opuścił Anglję i pojechał się bić za wolność Greków. Wtedy to (t. j. ok. r. 1823) zawiązał się też (w Anglji?) Komitet naukowy, by „scientyficzną uczynić po wyspach wycieczkę". Należało do niego siedmiu dziwaków, z których czterech poeta bliżej charakteryzuje (bardzo złośliwie).[1]) Ze sprawozdania z tej ekspedycji archeologicznej pomija Norwid opis Aten i Koryntu, a dąży za nią (więc przy lekturze sprawozdania) na Kretę. Opisawszy wykopaliska, wykonywane z pomocą dwunastu Maniotów, notuje poeta, że w dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy, ukazała się „izba z dziurami ogromnemi — i gmach podziemny wyjrzał, stawiony na skale — groty, mającej w sobie krużganki i sale". Z wnętrza buchnęły wyziewy — „powonienia trumny" i wydobywały się przez

[1]) Są to: Amphipapyron (głowa wyprawy); bezimienny historjograf (nim gdzie dojechali, miał już wszystko w tece); graf Ponej (numizmatyk), trzej jego sekretarze i siódmy „pisarz narodowy, Flamand z rodu". Złośliwość ich charakterystyki i obfitość rysów indywidualnych zdawałaby się wskazywać jakiś stosunek osobisty autora do nich. Możnaby sądzić, że to jakaś ekspedycja z czasów pobytu Norwida w Szkocji i Londynie w r. 1854, z którą Norwid miał coś do czynienia (czy go angażowali na rysownika, malarza w wyprawie?). Nie udało mi się jednak Sprawozdania z ekspedycji na Kretę, wyśmianego przez Norwida, w literaturze archeologicznej zidentyfikować. Nie mogłem tym poszukiwaniom bibljograficznym poświęcić więcej czasu. Od czegóż nasi archeologowie?

cztery dni, jak białe kolumny dymu... I koniec. Resztę znajdziesz w Sprawozdaniu, ozdobionem portretami członków komitetu...

Przechodząc od książki do życia, wspomina poeta, że lubił chadzać w miejsca wykopalisk, naukowo zinweryzowanych i opisanych, niby „w pustkę tę po kaligrafji", i szukał tam ducha. Raz, poszedłszy między „te zwaliska", marzył o filhellenach, zdradzanych przez Grecję, i o cudzie zmartwychwstania. Spostrzegł przy blasku księżyca kształt „jako zmartwychwstałego na marze", i ukląkł, by się pomodlić, czy tylko pomilczeć. Po chwili zmarły wstał, niczemu się nie dziwiąc, i rzekł „akcentem greckich E-umenid: Spocząłem i powracam. Bądź mi pozdrowiony i pożegnany. Mówi ci to Epimenid". I poszedł:

A jam myślał: więc już z tej ruiny
miary, napisy, garnki i otrzaski ćwieka
starego i pogniłe zebrawszy wawrzyny,
nic, nic nie zaniedbano — nic... oprócz człowieka!

Jest to więc poetyczna recenzja (Listami poetyckiemi w stylu *Epistulae* Horacego można nazwać przeważną część poematów Norwida na tematy estetyczne i literackie) Sprawozdania archeologicznego o wykopaliskach na Krecie, szczytująca w zarzucie, że archeologowie zajmują się tylko staremi rupieciami, a ignorują człowieka, choć wykopaliska na Krecie kazałyby wspomnieć przynajmiej o Epimenidesie. Pretensja do archeologów jest dziwna, bo i cóżby na tem zyskała nauka, gdyby odkrywcy groty kretejskiej wygłosili, że jest to ta grota, w której przespał 57 lat Epimenides. Legenda, oplatająca pewne miejsca, może się stać motorem doniosłych odkryć archeologicznych, jak to było w wypadku odkrywcy Troi, Micen i Tirynsu, Schliemana, ale do wykopalisk na Krecie nie mógł prowadzić cień Epimenidesa. Raczej Minosa.

Norwid lubił siadywać na ruinach. W cytowanym już liście amerykańskim do Marji Trembickiej pisał: „Wszędzie... indziej (t. j. Europie) sieroce życie moje podpierałem przynajmniej fundamentami historji i gruzy Rzymu często mi familijne zastępowały uczucia". Echo „gruzów Rzymu" pobrzmiewa w *Ruinach* (trzecim z *Pięciu zarysów* z r. 1849 *Poezje Wybr.* str. 101 i n.). Rozmowa Wiesława z Markiem,

prowadzona na ruinach *Templum Pacis* na temat śmierci i zmartwychwstania narodów, ma taką dekorację:

W świątyni pokoju,
gdzie przez wyłomy sklepień gwiazdy ciekną z nieba,
gdzie bluszcz czarny gronami pełnemi się wiesza,
chodził o nocy Wiesław z Markiem. Głosów rzesza
ogromnych, jak postaci wiele w sądnym stroju,
lub rzesza widm, tu, ówdzie — sterczała głowami.
Niektóre spały — inne niby ramionami
dźwigały się a inne pochylały skronie.
Cicho było — zdaleka czerniał ark Tytusa,
Kolosseum i Forum po przeciwnej stronie,
i oliw sad — Firmament, jak lice Chrystusa,
wypogodzony bardzo, jasny od promieni,
z historycznością onych na dole kamieni
zgadzał się, jako gdy jest tło stosowne z twarzą,
pejzaż z sceną, dla której stanowić ma ramy...

Po skończonej rozmowie idą kamienistą drogą pod łuk Tytusa:

... gdzieniegdzie zdaleka
bielał kolumny odłam, jak wisząca chusta,
lub czernił się na niebios otchłannym przeźroczu:
Szli tak po głazach, kędy wracał Imperator
ze zburzonego miasta świętego — co czytaj
w Tacycie...

Jednak w Tacycie napróżnobyś szukał opisu triumfu Tytusa, odbytego po zburzeniu Jerozolimy. Piąta księga „Historyj" urywa się (z r. 13) na oblężeniu Jerozolimy. Wzmianka o swym triumfie, na którego pamiątkę wzniesiono Łuk Tytusa, znajduje się w czytywanym równie chętnie przez Norwida Swetonjuszu.

Szukanie w ruinach człowieka jest przedmiotem poematu p. t.: *Pompeja*, pisanego ok. r. 1845 (*Poezje Wybr.* 528 i n.). Zwiedzenie *Casa del poeta tragico*, „jakaś półsenna medytacja" u grobu kapłanki Mammii (Przesmycki w Przypisach) i oglądanie wspaniałych konnych posągów Balbusów, prokonsulów herkulańskich, w Muzeum burbońskiem w Neapolu dostarczyły młodemu Norwidowi podniety do tego pierwszego utworu na tle starożytności rzymsko-greckiej.

Opis pompejańskiej ulicy grobów przechodzi w opowieść o przygodzie w chłodnej niszy grobu Mammii. Obok siebie bowiem spostrzegł poeta na ławie jakiegoś sympa-

tycznego siwego męża w stroju rzymskim. Cień, padający w pobliżu, wskazywał, że tam jeszcze ktoś stoi, jakby czekał na coś i wstrzymywał się z usiąściem na ławie. Grzeczna rozmowa z sąsiadem wyjaśniła, że to Balbus, a czekający — to poeta grecki. Zamiast wymienić swe imię, wygłasza *Confiteor* poetyckie, „własne, najgłębsze Norwida, które było od lat młodzieńczych aż po dni schyłek podłożem całej jego natury, całego życia i twórczości" (Przesmycki). Nie zawiera ono nic greckiego, więc je pomijamy, zwracając tylko uwagę na polityczną działalność poety, który, czując swą władzę nad wzburzonym tłumem, „był jako Jowisz". — Takie wyznanie jest przekroczeniem granic, zakreślonych człowiekowi, grecką *hybris*. Po niej musi przyjść upadek. Jakoż przychodzi. Gdy poeta wrócił do domu (owej *Casa del poeta tragico*) z za miasta, gdzie czytał Platona, i spoczął w rozmarzeniu, poczuł nagle na twarzy „gęsto... sypany mak... a zdala piorunów deszcz głuchy... i czucia te, co bolą, gdy przechodzisz w duchy". Teraz poznał, jaki to Jowisz z niego. — Po tych wyznaniach znikł zwolna, „jak w błękit tonący kometa".

I Balbus przeżył w swej działalności politycznej chwilę, w której się czuł Jowiszem, choć tego głośno nie wypowiedział; ale i on przy wybuchu Wezuwjusza wyznał: „Taki to Jowisz ze mnie". Cień Balbusa połączył się w poświacie księżycowej z cieniem poety i obaj znikli: „Tu cicerone sny mi przerwał tkliwe, — mówiąc, że nas czekają osły niecierpliwe". „Nas", to znaczy Norwida i jego towarzyszki przy zwiedzaniu Pompei w pierwszych miesiącach roku 1845, panie Kalergis i Trembicką. Jeśli na pamiątkę tej wycieczki cienie ofiar Wezuwjusza z r. 79 miały im do powiedzenia tylko tyle, że wszelkiej wielkości ludzkiej grozi śmierć, to niewiele. W każdym razie więcej, niż Norwidowi powiedział cień Epimenidesa z Krety.

Jemu samemu więcej objawił cień przywódcy strasznego powstania niewolników italskich, wywołany (w r. 1857) przez *Gladjatorów* Lenartowicza, cień *Spartaka* (A_2 str. 519), w którym po wyczerpującym komentarzu p. Przesmyckiego (Przypisy, str. 1050 i n.) trudno coś dodać ze strony antykwarycznej. — Rolę poety w społeczeństwie ilustruje „grecka"

przypowieść p. t. *Wzroki* (A_2, str. 520 i n.): Dwie greckie rzeczpospolite, czyli poprostu dwa miasta, zbroiły się pokryjomu przeciw sobie. Codzień rozmaite wieści o przeciwniku niepokoiły niewiasty, mężów i młodzieńców, ale ich nie sprawdzano przez wojenny wywiad, bo „żal było kogo wysyłać z falangi" wobec małej liczby kombatantów. Było ich z tej strony nie więcej jak dwieście. Starcy, zebrani w świątyni Fortuny, uchwalili czekać, aż jaki lirnik przyniesie im wiadomości o nieprzyjacielu. Czekano więc na niego u bramy, nad którą „Dedal jeszcze starego zakonu — mistrz, wyrył... lwa z Pentelikonu" (t. j. z marmuru pentelikońskiego). Zjawił on się trzeciego dnia z wiodącym go chłopcem, a gdy go spytano o nieprzyjaciela, doniósł, że lud u niego jest niewolniczy, mężów dziesiątek. Po otrzymaniu tego wywiadu falanga dwustu wyruszyła spiesznie na wroga i przed wieczorem zabiła tysiąc nieprzyjaciół i zdobyła miasto. Rozesłano gońce za lirnikiem, a gdy go znaleziono, zwrócono mu uwagę na pomyłkę w ocenie nieprzyjaciół. — Nie pomyliłem się wcale, odparł starzec, bo gdym w natchnieniu śpiewał przed nimi, „wziąłem to za oklasków dziesiątek":

> Wy, co wzrok macie, w tem zawsze błądzicie,
> że nie stąd tylko na świecie otucha,
> niepomni o tem, że to wy widzicie:
> zrachujcie trupy, ja zliczyłem ducha.

Z historycznych postaci starożytnych najsilniej uderzała wyobraźnię Norwida postać Juljusza Cezara. W wierszu z r. 1849 p. t. *Vendôme* (*Poezje Wybr.* str. 343 i n.) cień jego, „w złotawej chlamidzie" zstępuje po promieniach księżyca do kolumny „z Cezarem drugim świata porzymskiego", z Napoleonem. Juljusz wspomina, że pół wieku przed zjawieniem się Boga na globie on znał wiek swój, świat swój i lud swój, spokrewnił w sobie te trzy siły i trzymał je w ręku, jak trzymał w ręku Galję i „przedświt tyjary, — ktora-ć promieni świętych odmówiła". Napoleon do wzmianki o zamordowaniu Cezara dodaje dziwną uwagę: „Godziny jednej nie przeżyłeś w głodzie, — ani jednego dnia w ducha pragnieniu", a Juljusz jeszcze dziwniej zauważa, że w swym mordercy Marku Brutusie, ukochał człowieka, „co o swej

dobie szatę z ramion zwleka, — do łaźni służąc — ha, do ostatecznej". Tak przedstawia Norwid Swetonjuszów (Caes.) szczegół o pociągnięciu przez Brutusa togi Cezara i o ostatniem westchnieniu Cezara, zwróconem do ukochanego jak syna — mordercy. — Napoleon, nawiązując do epoki Cezara, który był „pół wieku starszy, niźli sam Przedwieczny", podnosi jego młodszość w mierze i mocy czasów, która mu nie pozwoliła czuć mieczy, „gdy się krwią wilgocą", a sam objaśnia znaną sobie Moc. Dzieje się z nią to samo, co z mężami, uczczonymi posągami i łukami triumfalnemi. Zostaje z niej tylko duma, a moc tkwi w ludach, które upomną się o swą krzywdę...

Konkretniejszą wizję Cezara dał Norwid w tragedji historycznej z lat siedmdziesiątych p. t.: *Kleopatra* (pierwotnie: *Kleopatra i Cezar, Chimera* VIII). Z materjału historycznego, (Plutarch, Dio Kassjusz, Swetonjusz, Bellum Alexandrinum Cezara,[1]) opracowanego już przez Szekspira w „Antonjuszu i Kleopatrze", tragedjopis polski niewiele zatrzymał. Ograniczył się bowiem do pierwszego spotkania młodej królowej egipskiej, zaślubionej bratu-dziecku, z pogromcą Pompejusza, ich dziwnej miłości i pożegnania.

Po wkroczeniu centurjonów legij Cezara do pałacu Kleopatry pod Aleksandrją, opuszczonego potajemnie przez królową, oczekują tam posłów nominalnego króla egipskiego Ptolemeusza. Cezar przebywa jeszcze w kąpieli. Gdy posłów wprowadzono, Cezar wchodzi „w stroju powszednim" i staje niedbale przy krześle, a pierwsze jego słowo jest poprawieniem — szyku wyrazów w przedstawieniu posła przez sekretarza. Ten powiedział: „Główny z posłów z w i ę s i ę Achillesem", a Cezar mruknął „na stronie, jakby z półuśmiechem: „s i ę z w i e". — Widocznie Norwid chciał odrazu zaznaczyć gramatyczne zainteresowania Cezara, wyrażone w piśmie *de Analogia,* jak potem (str. 117) wołanie o miecz kazał mu poprzedzić wołaniem o — pisma, by zwrócić uwagę na

[1]) Te i drobniejsze źródła wykazał Dr. Władysław D o b r o w o l s k i w rozprawie: *Rzym i Wschód starożytny w twórczości Norwida,* którą miałem sposobność przejrzeć w rękopisie (bo praca jeszcze nie drukowana), użyczonym mi przez autora. — „Rzecz o tragiźmie Kleopatry C. N." ogłosił Z. F a l k o w s k i w *Przegl. Pow.* 1928, 2 wyd. w Wilnie 1932.

ciągłą troskę wodza o twórczość literacką. W *Promethidionie* wspomniał, że Cezar „dyktował z konia, nie przy biurze" (choć w *Kleopatrze* dyktuje sekretarzowi „O egipskiej potrzebie paragraf jedenasty — księga pierwsza" = *De bello Alexandrino* III 101 prawie przy biurku) i „stąd największym Cezar historykiem", a w *Fulminancie* nie zapomniał (Suet. Caes. 56, 5), że „Cezar w gwałtownym marszu do Hiszpanji — poemat pisał". Motyw ten spotykamy w ustach Cezara i w *Kleopatrze*: „Pisałem i ja rymy, wdzięczna Kleopatro — i wiem, jak się dać pojąć". Wie o tem królowa, skoro go komplementuje: „Ty, którego stylus — równa się zwycięskiego miecza rękojeści", a przy pożegnaniu mówi: „Pisz ty, co wynalazłeś listową rozmowę — lub nadałeś jej życie". [1]) W świetle tylu szczegółów o literackiej działalności Cezara nabiera pełnej treści pierwsza o nim wzmianka w *Kleopatrze:* „Przyjmuje kąpiel, może Kalligion mu czyta". Jakoż sekretarz pojawia się „trzymając miecz pod pachą i zwój papieru w ręku", jakby dla potwierdzenia doniesienia Plutarcha, że w podróży miał Cezar obok siebie sekretarza, by móc dyktować, i żołnierza z mieczem...

Po literacie poznajemy w Cezarze — człowieka. Posłowie egipscy przynieśli mu głowę i miecz jego przeciwnika wojennego, Pompejusza: Precz, woła Cezar. „Darów tych i okiem — Cezar nie tknie, nie może tknąć Rzymianin". „Rzym wcale się nie mści, on karze... Cezar... się nie bije... on walczy tylko". Zakrywszy twarz purpurą, szepce Cezar: „Tak smętny jestem, jak był wielkim Pompejusz", a na zapytanie, co odpowiedzieć posłom, mówi, nie zwracając się do nich: „Rzym pogardził — wódz grozi — a zapłakał Cezar". Taki wyraz znalazło u Cezara doniesienie Plutarcha czy Swetonjusza o łzach Cezara nad głową Pompejusza.

Miejsce, przykryte skórą lwa, na którem leżała głowa Pompejusza, poświęca Cezar Fortunie-Mścicielce (jakby podbicie Egiptu miało być zemstą i karą za śmierć Pompejusza). Na tem miejscu klęka przed nim Kleopatra i ofiaro-

---

[1]) Polega to na niezrozumieniu Suet. Caes. 56, który donosi, że listy do senatu „primus videtur ad paginas et formam memorialis libelli convertisse". Tamże jest wzmianka o posługiwaniu się w listach szyframi.

wując mu wspaniałą perłę ze swego kolczyka, nazywa ją łzą nad zgonem Pompejusza, przyjaciela jej rodziny. Drugą łzę uroniła nad zabitą przez żołnierza łanią ulubioną, która jej wyobrażała egipski lud, jak ów żołnierz wyobraża Rzym. Cezar uważa dumę egipską, głoszoną przez Kleopatrę, za pychę, i przeciwstawia jej politykę Rzymu, który „ma zwyczaj przyznawać ludom ich istotę, — często ją własnych orłów osłaniając piersią". Zadanie konsula takiego ludu nie jest łatwe. To też Cezar posiada tylko „podróżne krzesło, skąd się rozrządzają sprawy, — skórę lwa i purpurę, czasem miecz, albowiem — nawet i miecza wniosków niezawsze on słucha". Nie gromem bowiem działa Rzymianin, lecz „wielką sensu powagą i ciała". Wobec zajaśnienia jutrzenki i rżenia konia Cezar kończy uczoną rozmowę z królową i spiesząc do legjonów, wyprowadza pod ramię Kleopatrę. Na jej uwagę: „Na ramieniu człowieka oparłszy się, czuję — że się oparłam o świat", odpowiada Cezar: „To konsula ramię — opowiadasz tem słowem... nie Juljusza Cezara" i za komplement odwdzięcza się komplementem: „W obydwóch perłach twych zausznic — widzę, jak się zwierciedlą: zorza i świat cały".

W akcie drugim słyszymy już o zwycięstwie Cezara nad wojskami króla egipskiego (wojna aleksandryjska) i wojskami partyjskiemi (pod Zelą, 2 sierpnia 47, *veni, vidi, vici*). Witająca dwornie zwycięzcę królowa słyszy od niego, że na polu bitwy wczora o niej myślał. Zamiast dalszej rozmowy Cezar dyktuje Cynnie list urzędowy do Senatu. Dotyczy on prawa zawierania przez Rzymian małżeństw poza Italją według ustaw, właściwych prowincjom,[1]) a mimo że Cezar uważa jego treść za „niezachwytną dla potocznego sensu", Kleopatra rozumie o co idzie i, poprosiwszy Cezara o ów pergamin, „zlekka ale wybitnie rzuca precz". — „To było tylko *post scriptum*", zauważa Cezar, i odprawiwszy Cynnę, wysłuchuje podziękowania Kleopatry za pamięć o kobietach

[1]) Suet. Caes. 52: Helvius Cinna tr. pl. confessus est habuisse se scriptam paratamque legem, quam Caesar ferre iussiset cum ipse abesset, uti uxores liberorum quaerendorum causa quas et quot vellet ducere liceret.

po prowincjach. Rzucają się one „w prąd żywota pierwej, — niż podobieństwem bywa, by znały co czynią". Dalsza ich charakterystyka przechodzi w obronę miłości, ale nim przeszła w oświadczyny czy wyznanie, odzywają się za oknami okrzyki legjonów, odmaszerowujących z rozkazu Cezara — on sam niby nie wie gdzie? Kleopatra zaprasza go na swój statek (thalam, [1]) niby komnata ślubna), gdzie rozwinie przed nim sferę, odpowiednią piersi jego i czołu... Uroczyste przyjęcie na statku królowej, to jeden punkt święta radosnego, nakazanego całemu ludowi przez królową. Równocześnie odbywa się uroczysty pogrzeb Pompejusza w obecności jego wdowy, Kornelji.

Jesteśmy wreszcie przed statkiem, do którego zbliża się Cezar z Kleopatrą. Rozmawiają o buncie legjonów [2]) (wysłanych do źródeł Nilu) i o Aleksandrze W., wzorze Cezara, który jednak czuje nad nim tę wyższość, że jest — człowiekiem (tamten był synem Zeusa-Ammona). A być człowiekiem w obliczu królowej-kobiety, „jest zarazem kłonić się i brać wieniec". A pokłon to będzie pożegnalny, bo konsul niezadługo musi odjechać do Rzymu. Nim to nastąpi ma jeszcze na prośbę królowej ogłosić, jako pełnomocnik Rzplitej rzymskiej, testament zmarłego króla w związku z zaślubieniem przez Kleopatrę młodszego brata. „Nie z a m n i e ślub ten", woła Cezar, a na uzupełnienie Kleopatry, że za Rzym, wyjaśnia, że za poprzednika króla niedołężność, za brata i męża nicość, a więc za czyjeś winy, czyli nie z winy Cezara. Zaproszenie konsula na owo miejsce, które on poświęcił Fortunie-Mścicielce — i o tejże porze, w której się tam po raz pierwszy spotkali, kończy trzecią rozmowę Rzymianina-człowieka i Egipcjanki-kobiety, która odchodząc, dodaje jeszcze, „że miłość zupełna jest zawsze — szczęsną, dlatego, że jest...".

Do pałacu z aktu pierwszego przybywa Kleopatra „we wielkim stroju weselnym", daje wiernemu rycerzowi hasło dla straży *(Zorza i Perły)* i odchodzi niby na łódkę, by po-

[1]) Suet. Caes. 52: dilexit maxime Cleopatram, cum qua... eadem nave *thalamego* paene Aethiopia tenus Aegyptum penetravit, nisi exercitus sequi recusasset.

[2]) Patrz koniec uwagi poprzedniej.

glądać w gwiazdy. Po jej odejściu kapłan donosi o oślepnięciu egipskiej wieszczki, Szechery, przy śledzeniu na niebie syzygji, pomyślnej dla zaślubin królewskich. Ślepa przybywa do pałacu i przepowiada, że wkrótce Egipt przestanie być krajem i mocarstwem, a stanie się tylko jedną rzeką i jednym korytem. W tej chwili podjeżdża pod pałac gondola Kleopatry, a królowa, wyszedłszy z niej, słyszy, jak Szechera wieści zamordowanie Cezara na Kapitolu.

Akt trzeci (zachowany fragmentarycznie) dzieje się już po śmierci Cezara. Na dworze Kleopatry bawi mściciel Cezara, Antonjusz, którego ona postanawia użyć do zemsty nad Rzymem. Poszedł więc Norwid za wersją Diona Kassjusza (znaną przedtem Horacemu c. I 37,6), że Kleopatra groziła Rzymowi ujarzmieniem, a jako motyw wymyślił zemstę za śmierć Cezara. We wspomnieniu mówi Kleopatra o zejściu się dwóch serc w światach dwóch niknących i sądzi, że Cezar z kobietą „już był jak posąg z cieniem rzuconym na piasku", bo wielkość Rzymu zaciera społeczność, nie znosi człeka. Dlatego stanąwszy przed wielkiem sercem żywego człowieka, zgiął czoło, jak je zgina byk... „by tem raźniej na ostrze rogów wziąć wnętrzności". — Pominął więc Norwid pobyt Kleopatry z Cezarem w Rzymie, nie chciał wiedzieć o ich synu, Cezarjonie (tem mniej o późniejszych dzieciach z Antonjuszem), a Kleopatrę przedstawił jako jakąś predestynowaną admiratorkę i kochankę Cezara, a potem jego mścicielkę.

Charakterystyka Antonjusza, oparta na źródłach (głównie Plut. *vita Antonii*), wypadła doskonale. Tragedja kończy się wyzwoleniem przez niego Hera w nagrodę za wymierzenie mu dwu ciosów w pierś. Ten Her, poeta, filozof i samochwał grecki, mający imię po Platońskim Erze (z 10 księgi Państwa), jest osobistością tak samo fikcyjną, jak Aleksandryjczyk Eukast (i takiego imienia nie znają Grecy).

Prócz Cezara zajmował Norwida Kaligula, którego ofiara, jakiś wygnaniec rzymski, jest bohaterem noweli p. t. *Garstka piasku*. Wspomina o nim także w *Stygmacie*. Tu piętnuje także Nerona, jako profanatora sztuki. Obu tych cesarzy życiorysy czytał u Swetonjusza i Tacyta. Najwięcej uwagi poświęcił Hadrjanowi w *Quidam*, o czem później. Tu

dodajemy tylko, że w *Promethidionie* uznał wpływ Rzymu na nowoczesne prawo i politykę („pofałszowane" Cezary).

Zetknięcie się cesarskiego Rzymu z chrześcijaństwem widzimy w „tragedji w scenie jednej" p. t.: *Słodycz*, (A_2 str. 523 i n.), której rozbiorem kończymy przegląd motywów antycznych w drobniejszych utworach Norwida.

Rzecz dzieje się w willi Veletriusa pod Rzymem (za panowania Nerona Imperatora) i ta willa jest jedynym szczegółem historycznym, opartym o Swetonjusza (August. 6). Opowiada on, że w Velitrae, a raczej obok nich, pokazują jako miejsce wychowania (a może i urodzenia Oktawjana). lokal podobny do spiżarni, do którego wolno wstąpić tylko czystemu. Innych naruszycieli świętości miejsca zdejmuje strach i zgroza. Gdy niedawno nowy posiadacz położył się tam spać, po kilku godzinach został wyrzucony jakąś siłą gwałtowną. — Z nazwy tego lokalu wywiódł Norwid arcykapłana Jowiszowego i senatora Gaiusa Veletriusa. Otrzymuje on od klucznika „świętego Westalek więzienia" raport o zachowaniu się uwięzionej Westalki, Julji Murcji, która „po siedmiu dniach bez jadła przebytych" (widocznie chciano ją głodem zmusić do czegoś), otrzymawszy spuszczony (a więc więzienie było jakimś podziemnym lochem) chleb, podziękowała i kruszynę chleba podała myszy tam przebywającej. — Wśród rozmyślań o tem, który Bóg „Murcję w swojej trzyma pieczy" i rozważań, że „nie rozszerzy swego nad nią panowania", jeśli ją posądzi o wyznanie chrześcijaństwa i każe stracić, bo choćby według Platona zmieniła duszę w kwiat (nb. Plato w Rp. X posyła dusze zmarłych tylko w ciała zwierzęce, nigdy w rośliny), to kwiata nie wzruszy, — każe sobie przynieść i czytać „chóry Arystofana": *Żaby, Osy, Ptaki* i *Niewiasty* (w przypisku sprecyzowane jako „Zgromadzenie kobiet" t. j. *Ekkleziazus-ai*). Z wyboru tej lektury nie można arcykapłana uważać za miłośnika obscaenów, skoro wiemy, że Kwintyljan (inst. 10, 1, 65) w I w. po Chr. poleca starą komedję (głównie Arystofanesa) czytywać przyszłemu mówcy dla wzniosłości i wdzięku jej stylu, przyczem dodaje, że „główną uwagę kieruje na smaganie występków". W oczach starożytnego krytyka z tych właściwie czasów była to więc lektura — budująca.

Polecenie spełnia gramatyk Pamfilius, nazwany tak, jak się zdaje, przez wspomnienie owego gramatyka Pamfilosa z Aleksandrji, który działał około r. 50 po Chr. Ów Pamfilius przypuszcza pochlebczo, że gdyby nie kapłańska godność i senatorstwo, „może mielibyśmy równego Arystofanowi". (Plinius Młodszy, epist, 6, 21 donosi, że w tym czasie napisał w Rzymie komedję arystofanejską niejaki Vergilius Romanus, a więc nawet w tym drobiazgu Norwid jest historyczny). Veletrius nie podejmuje tego tematu, bo go niepokoi pytanie, skąd się bierze ta dziwna siła u chrześcijan. Gramatyk określa ją jako jakąś „słodycz", odmienną od „cnoty", która jest zapałem, iskrą boską. Czytał o niej w życiorysach potraconych chrześcijan i w „płaskiej Odyssei" o Chrystusie. Tak chyba nazywa „Dzieje Apostolskie", jako opowieść o podróżach i przygodach apostołów, głoszących naukę Chrystusa, a nie Ewangelje. Nim przedstawił treść tej lektury, Veletrius zasnął, marząc o męczennikach, rzuconych na pastwę lwom i łagodzących je jakąś siłą. Nagle „w półśnie" zobaczył przed sobą bosego starca w czerwonym płaszczu z mieczem świeżo wyostrzonym i usłyszał, że to on może dać to „znieczulenie", którego nie przesilą katownie. Na co jednak Rzymianin chce tej łaski? „Żebym ją zniweczył", odpowiada Veletrius „rychło i nieprzytomnie". W tej chwili św. Paweł (chyba świeżo ścięty, stąd ten miecz w ręku) oznajmia, a klucznik potwierdza śmierć Murcji. — Dostąpiła łaski Bożej, jak synowie argiwskiej kapłanki u Herodota (I 31.), a śmierć jej w owej grocie pod Velletri napełniła owo miejsce wspomnianą grozą świętości.

Wzmiankę Dziejów apostolskich (XIV 10 n.), że mieszkańcy likaońskiej Listry uznali przybyłych do nich i uzdrawiających chorych zwiastunów Chrystusa (Pawła i Barnabę) za Olimpijczyków, Jowisza i Merkurego, rozprowadził Norwid (w r. 1850) w „legendzie" p. t. *Dwa męczeństwa*. Antyczna jest tu scenerja (grecki rynek z białemi posągami bohaterów, rzucającemi cień na lud, z którego się wysuwają sylwetki inwalidy, uczonego, bogacza, mówcy, pasterza, wszystkie uwypuklone jakimś atrybutem). Działanie słowa Pawłowego na nich opisane jest rysami Platońskiej (np. Symp. p. 218) patografji zakochanych z dodaniem — woni,

która wstała „z takiego Bożego motłochu" w niebo powietrzem jasnem. Paweł, widząc przygotowania do uczczenia go ofiarą, rozdziera płaszcz „płowy" (t. j. spłowiały) i odnosząc swe „dziwy" (t. j. cudy) do Ducha Św., oddala się. Drugie doniesienie Dziejów apostolskich (XIX 24 n.) o niezadowoleniu fabrykantów posążków Diany efeskiej, zagrożonych misją św. Pawła, dało poecie assumpt do przedstawienia „powstania" przeciw apostołowi kupców, żołnierzy, prawników. Zawiedli go oni przed sędziego i domagali się ubiczowania lub ścięcia oskarżonego. W trybunale zasiadł w środku sędzia, a na ławach rotmistrz, mówcy, urzędnicy. I znów gesty sędziego i rotmistrza są równie malownicze, jak charakterystyczne. Paweł, jako obywatel rzymski, odwołuje się do sądu cesarskiego (jak w Dziejach ap. XXV 11, por. XXII 25).

> To mówiąc, płaszcz na ramię gęstym rzucił zwojem
> i trwał pośrodku izby, jak czynim, gdy stojem
> na swych śmieciach — a cichość stała się: a sędzia
> wyglądał jak rzemieślnik, zgubiwszy narzędzia.

Z takim gestem poseł rzymski w Egipcie wypowiedział niegdyś: *Civis Romanus sum!* Norwid gestu tego domyślił się u św. Pawła z jego słów: *Si hominem Romanum et indemnatum licet vobis flagellare?* Scena przed bezimiennym cesarzem skupia się w referacie nauki apostoła i odpowiedzi cesarza: „Treść jego głęboka — i mało, że nie stawam się, jak dziecko nowe". Podobnie w Dziejach apostolskich (XXVI 28 i 31) odezwał się Agryppa. Po owem odezwaniu spodziewalibyśmy się — uniewinnienia oskarżonego. Ale historja wymagała męczeństwa. I Norwid wspomina krótko o więzieniu i ucięciu głowy, a z legendy wyprowadza naukę:

> Więc był Apostoł Paweł pętany jak zwierzę
> i jako Bóg obwołan, a wytrwał przy wierze,
> że człowiekiem był. — Albowiem stało się wiadomo,
> że człowiek zwierząt bogiem, gdy Bóg: *ecce homo*...

Koncept to bardzo norwidowski. Bóg stał się człowiekiem, ale czy przez to człowiek stał się tylko „zwierząt bogiem?" Ojcowie Kościoła (np. św. Grzegorz z Nazjanzu), głosząc obowiązek „postępowanie za Bogiem" i naśladowania go, ukazywali jako cel — stanie się Bogiem. Tymczasem Norwid

za zasługę Pawła uważa, że choć go poganie obwołali swoim Bogiem, on dalej wierzył, że jest człowiekiem... Tak dla efektu czysto retorycznego wyolbrzymił plotkę ciemnych Azjatów o zjawieniu się starych bogów w akt jakiegoś kuszenia apostoła, by uwierzył, że jest bogiem, i nazwał to jego pierwszem męczeństwem, a z prawdziwego męczeństwa przejaskrawił uwięzienie w obraz, że był „pętany jak zwierzę", by móc zestawić zwierzę z człowiekiem, jako jego bogiem, a to jako rzekome następstwo owego *ecce homo*, które przecież było głosem ludzkości pogańskiego sędziego, ukazującego w ubiczowanym Chrystusie człowieka, tak przez ludzi-zbirów potraktowanego...

Uwydatniliśmy na tym jednym przykładzie dziwactwo asocjacyj Norwidowych, by tem większy podziw wyrazić dla plastyczności jego wizyj materjalnych, widniejącej w podniesionych szczegółach opisowych. Nie napróżno domagał się od miłośników antyku wyjścia poza teksty do zabytków starożytnych i częstego ich studjowania. Tę samą plastyczność szczegółów przy rozwiewności myśli zobaczymy w *Quidam*, którego możliwie najobjektywniejszą analizę, polegającą na stwierdzaniu motywów i ich związku, przeprowadzimy w tym celu, by dać filologiczną podstawę do estetycznej oceny tego „dziwnego" poematu.

(Dokończenie nastąpi).

Tadeusz Sinko.

System teokratyczny Stanisława Orzechowskiego.

I. Pobieżny szkic historji teokracji do chwili wystąpienia Orzechowskiego.

Autor słynnego dzieła *Antiquitatum judaicarum,*[1]) historyk z I-go w. po Chr., Józef Tytus Flavius, w ks. 2, 6 Antiquit. contra Apionem (przeciwko Apionowi aleksandryjczykowi) pierwszy użył terminu teokracja,[2]) omawiając ustrój religijno-państwowy narodu żydowskiego. Już grecki sens wyrazu (*θεοκρατία* - rząd, panowanie Boga, *θεός* - Bóg, *κράτος* - władza) wskazuje, że oznacza on boskie rządy na ziemi, czyli taki system polityczny, przy którym polityczna władza pochodzi wprost od Boga i uznana jest za absolutną.[3]) Oto budowa koncepcji, dającej określenie ustrojów teokratycznych, lecz dla należytego sprawdzenia ewolucji tych urządzeń, należy jeszcze wykazać źródło pojęcia teokracji. Leży ono w religijnych uczuciach człowieka. Bóg dla wiernych jest jedynem źródłem prawa i władzy. Nietylko zatem wewnętrzne bytowanie człowieka, ale i zewnętrzne warunki jego egzystencji winny być uporządkowane zgodnie z wolą Bożą. Dla człowieka niewierzącego natomiast człowiek i tylko człowiek jest źródłem władzy.[4]) W toku walki tych dwu kon-

---

[1]) Przekł. J. Lippomana W-wa 1829, tomów 3.

[2]) Albert Hainek, *Realencyklop. für protest. Th. und Kirche,* Leipzig 1901.

[3]) Rudolph Sohn, *Kirchenrecht,* t. 1. s. 634—57, 1892. Karl Riecker, *Grundsötreformierter Kirchenfassung* 1892.

[4]) Herbert Spencer, *Systemat filozofji syntetycznej.* Zasady socjologji (cz. IV rozdz. I).

cepcyj wyłoniła się trzecia kompromisowa, przyznająca obu tym czynnikom, Bogu i suwerenności człowieka, władzę we właściwych im zakresach bytowania ludzkiego.

Ta trojaka forma ujmowania stosunku władzy Najwyższej Istoty do społeczeństwa ludzkiego przejawia się w sposób bardzo niejasny i zamglony w historji rozwoju narodów. Trudno ogromnie wykazać okresy przewagi jednej organizacji nad drugą, zarówno w życiu państw, jak i w teoretycznych rozważaniach myślicieli.

Pierwotny stan urządzeń wszystkich narodów [1]) to teokracja w najróżniejszych przejawiana formach. Stąd naczelną i jedyną władzę nad temi królestwami dzierży Bóg, a reprezentują ją w Jego imieniu i zastępstwo na ziemi mają książęta oraz panujący (tak duchowni jak świeccy).

Najdawniejszą formą teokracji była rodzina, która stanowiła jedyną organizację społeczną, w niej dostrzegamy formę teokracji, na skutek zjednoczenia duchownych i świeckich czynności w osobie ojca (np. u Samoańczyków, Tahityjczyków i Ostjaków, por. Spencer ibid. s. 39). Na tym gruncie krzewić się poczyna, równolegle do rozrostu rodzin, ścisła łączność religji z polityką. Skupianie się rodzin doprowadzało więc do stworzenia gmin wioskowych i tu podwójna funkcja patrjarchy domowego przekształca się w zespolenie władzy świeckiej i duchownej w jednostce. Oto pień politycznych ustrojów stadjów późniejszych, kiedyto na widownię występują już całe państwa.

Epoka późniejsza, w której ustroje państwowe krystalizują się coraz wyraźniej, może być badana w interesujących nas sprawach w sposób mniej chaotyczny, dzięki możności łatwiejszego wyodrębniania poszczególnych krajów. Tu należałoby wymienić takie państwa, jak Babilon (ustrój monarchji despotycznej, w której król jednoczył w sobie władzę duchowną i świecką, pochodzącą wprost od Boga), Egipt (ustrój patrjarchalno-despotyczny, w którym król uważany był nawet za samego Boga), Islam (Bóg stoi na czele wszelkiej władzy z wyjątkiem ustawodawczej i sądowniczej, którą sprawuje prorok), Hindostan (król stwo-

[1]) Ks. Nowodworski, *Encyklop. kośc.* t. XXVII.

rzony przez bogów, ma władzę absolutną), Chiny (rządzone przez cesarza „syna Niebios") i t. d.[1]) Najwyraźniej, rzecz jasna, uwydatnia się ustrój teokratyczny w państwie żydowskiem. Bóg rządzi Izraelem, jak prawdziwy król swojem państwem i to we wszystkich okresach, t. zn. od przymierza z Abrahamem aż do śmierci Zbawiciela. Podstawę teokracji stanowi oczywiście prawo Mojżeszowe,[2]) które określało główne punkty widzialnego królestwa (*Deut.* 17, 14), przedstawiającego królestwo niewidzialne (szeroko o tem rozprawia św. Augustyn w swojem *De civitate Dei*) i wedle którego wola Boga ma być prawem najwyższem, Bóg jest królem ludu, który zrzeka się swej woli. Taki ustrój teokratyczny zanika zupełnie, gdy Izrael zerwał z Jehową, przestępując wyznaczone mu prawa.

Dzieje się to wtedy, kiedy Chrystus zakłada swój Kościół. Kościół Chrystusa, reprezentując królestwo niewidzialne, tworzy zarazem prawa dla całej ludzkości. Oddając „co jest cesarskiego cesarzowi", nie wchodzi Królestwo Chrystusa w czysto świeckie prerogatywy państwa, staje natomiast wyraźnie i stanowczo, jako antyteza do książęcia ciemności, przeciwstawiając się wszystkim tym postanowieniom władzy państwowej, które niezgodne są z prawem Boga. Od Niego bowiem wszelka władza pochodzi. Św. Piotr, jako pierwszy namiestnik Chrystusowy na ziemi, mówi ze swego urzędu: „Bądźcież teby poddani wszelkiej ludzkiej władzy dla Boga"... „Boga się bójcie, króla czcijcie" (I Piotr II, 13, 17). Oto nowe źródło, wspomnianych już powyżej, dwu królestw, występujących następnie w listach apostolskich i u św. Augustyna. W ten sposób teokracja żydowska miała na celu nietylko uświęcenie ludu izraelskiego, ale stała się figurą nowej teokracji, którą jest królestwo Chrystusowe.[3])

W starożytności klasycznej przykłady niektórych państw stwierdzają również wyraźne ustroje teokratyczne, oparte na boskiem pochodzeniu władzy, przez koncepcję supre-

[1]) E. Jarra, *Historja filozofji prawa* rozdz. I.

[2]) Deuteronomium, por. też: Joh. Robertson, *Alte Religion Israels*, s. 210, 236.

[3]) *David.* 7, 13, 14; *Hebr.* 1, 13; *Mt.* 28, 18; *Jan* 18, 36; I *Kor.* 15, 24; *Filip.* 2, 9—11.

macji rządów kościelnych. Naprz. w państwie meksykańskiem, wśród narodów Tahityjskich, Anantyjskich, Jokatańskich i Magańskich obserwujemy zupełną jedność rządów kościelnych i państwowych z poddaniem tych pierwszych ostatnim. [1])

W epoce średniowiecza pojęcie teokracji występuje wyłącznie na platformie wzajemnego stosunku Kościoła do państwa. Działalność Kościoła, objawiająca się w jednoczeniu rozdzielonych narodów oraz w dążeniu do stworzenia Królestwa Bożego na ziemi, przez wpływy bezpośrednie na rządy świeckie, była i polityczną. Harmonijne współdziałanie władzy świeckiej i duchownej (typowym przykładem jest państwo Franków i rządy Karola Wielkiego [2]) ustąpiło zatargom, jakie wybuchły w drugiej połowie XI w. (tu należy przedewszystkiem zatarg o inwestyturę). Wyczerpane długą walką cesarstwo przystało na niekorzystne warunki sejmu Wormackiego (1121), który, zatwierdzając wyłączną przynależność inwestytury do papiestwa, unicestwił zupełnie wzajemną zależność Kościoła i władzy świeckiej, rugując w ten sposób systemy teokratyczne z ustrojów państwowych.

Teoretyczne rozważania o teokracji otwiera św. Augustyn dziełem *De civitate Dei.* Uwydatnia w niem autor ważny podział na dwa miasta: Boże i ziemskie (lib. XI cap. I). Pierwsze, powstałe „z miłości Boga aż do pogardy sobą", jest Królestwem Bożem w wieczności, a na ziemi obejmuje wiernych, posłusznych władzy Boga (lib. XIV cap. XXVIII), stanowiących wspólne królestwo Chrystusowe. Drugie, stworzone „z miłości siebie samego aż do pogardy Boga", obejmuje ludzi niewierzących, którzy podlegają tylko świeckiej władzy. Św. Augustyn oddaje oczywiście Bogu naczelne rządy nad państwami. Wszelka władza kościelna i państwowa winna podlegać autorytetowi Chrystusa (Lib. II cap. XXI, lib. V, cap. XI). [3]) Państwo bez Kościoła obejść się nie może, bo nie dostosowując się do spraw moralności chrześcijańskiej, stałoby się „występną zgrają" (lib. IV cap. IV).

---

[1]) Spencer, *Systemat filozofji syntetycznej,* s. 52, 107.

[2]) Spencer, ibid. s. 47.

[3]) Por. Ks. dr. J. Czuj, *Hierarchja kośc. u św. Augustyna,* roz. 1 s. 16.

Z drugiej strony „państwo normuje sprawy ziemskie zapomocą praw świeckich". Ponieważ jednak członkom Kościoła w pewnych zakresach niezbędne jest korzystanie z dóbr ziemskich, a nawet opieranie się na prawach świeckich, więc państwo jest Kościołowi koniecznie potrzebne. Tak więc w teorji stosunku Kościoła do państwa występuje u św. Augustyna koncepcja równowagi. Obie instytucje są potęgami wzajemnie siebie potrzebującemi.

W późniejszem średniowieczu zwolennikiem zwierzchnictwa władzy duchownej nad świecką staje się obóz kościelny. Kościół, wedle niego, zawiera w sobie ogół pełnomocnictw duchownych i świeckich. Mianowany przez Chrystusa papież „jest dla ludzkości kapłanem i królem, ustawodawcą i sędzią we wszelkich sprawach, on też koronuje najwyższego władcę świeckiego". [1]) Najlepiej może charakteryzują te poglądy słowa, które wypowiada Jewassius von Filberg do cesarza Ottona IV: „Cesarstwo nie jest twojem lecz Chrystusa, nie twojem lecz Piotra, nie od ciebie doszło ono do ciebie, lecz od namiestnika Chrystusa a następcy Piotra". Jest to zarazem podstawa znanej w średniowieczu teorji o stosunku Kościoła do państwa, sformułowanej u Bonifacego VIII w bulli *Unam sanctam* (1302). [2])

Dante Alighieri w swem dziele *De Monarchja* (1310) dowodzi, iż w prowadzeniu człowieka do celu podwójnego, jakiemu jest przeznaczony (szczęśliwość wieczna i ziemska) służą dwie instytucje. Do pierwszego Kościół, do drugiego wiedzie państwo. Dostrzegamy tu uniezależnienie wzajemne obu potęg, co różni się zasadniczo od teorji równowagi św. Augustyna. Dante i cesarza i papieża czyni bezpośrednio podległymi Stwórcy, nigdy jednak nie może władza jedna zależeć od drugiej.

Powstały w XVI wieku odłam radykalny żądał znów bezwzględnego podporządkowania Kościoła państwu (np. Jan z Paradyża, Wilhelm d'Occam, Marsyljusz z Padwy w *Defensorze* s. 1, 5 sqq.). Poglądy te odbiegają jednak od ogólnych teoryj średniowiecza a Occam i Marsyljusz są jedy-

[1]) Hergenröther, *Hist. Kośc.* rozdz. „Kościół a państwo".
[2]) Ibid. t. VIII.

nymi przedstawicielami opozycji, którą ujrzymy na nowo dopiero w reformacji Lutra.

Wybitnym reprezentantem teorji równowagi jest jeszcze św. Tomasz z Akwinu. W przeciwstawieniu do św. Augustyna, opiera on równowagę nie na wzajemnem współdziałaniu, lecz na uniezależnieniu obu instytucyj. Zakres władzy duchownej ogranicza ją ściśle do kompetencyj kościelnych (nauczania praw boskich i rozstrzygania spraw doczesnych ze stanowiska nadprzyrodzonego). Sprawy cywilne podlegać mają wyłącznie prawom świeckim. Koncepcje teokratyczne występują u św. Tomasza w jego stosunku do prawa. Dzieli on, jak wiadomo, prawa na: wieczne (służy jako sprawdzian prawa doczesnego), naturalne (sprawdza postępowanie ludzkie wedle prawa wiecznego), ludzkie, które musi być regulowane zapomocą *vis directiva* (czynnik regulujący) i *vis coactiva* (przymuszający) — prawem naturalnem, stworzonem przez Boga. Ponieważ zaś władza polityczna i rząd są instytucjami prawa ludzkiego, więc i państwo w ten sposób podlega rządom Bożym. W tem tkwi właśnie charakter teokratyczny prawno-państwowych poglądów św. Tomasza.

Poglądy teokratyczne w duchu koncepcji równowagi występują jeszcze u Zwingliusza, wedle którego państwo wykonywać ma zwierzchnią władzę narówni z papieżem w imieniu Boga.

Natomiast koncepcja przewagi Kościoła powraca znowu w sformułowaniach teoretycznych ustroju teokratycznego u Kalwina. Według niego, „teokracja — to władza państwowa, kierowana duchowo przez przewodników kościelnych". [1])

W Polsce w czasie wystąpienia Orzechowskiego obserwujemy wybitny wpływ reformacji na nasze społeczeństwo. Zbyt wygórowane pojęcia szlachty o wolności, a szerokie stosunki z zagranicznym światem kultury humanistycznej nie godziły się z gorliwością wobec katolicyzmu. [2]) Już stąd wnioskować można, że same natury i spaczone temi wpływami charaktery kierowały do wyrażania poglądów pokrew-

---

[1]) Richter, *Geschichte des evang. Kirchenrechts* s. 176.

[2]) L. Kubala, *Stan. Orzechowski i wpływ jego na rozwój i upadek reformacji w Polsce* s. 73.

nych reformatorskim. Dlatego jeszcze przed wystąpieniem Lutra spotykamy pokrewną mu literaturę.[1]) Pomijam przykłady łatwe zawsze do odszukania w jakiejkolwiek rozprawie o dziejach reformacji w Polsce, dość, że roiło się od najnowszych doktryn heretyckich, skwapliwie propagowanych wśród mas. Pierwszymi apostołami Lutra, Kalwina i Zwinglego byli księża, którzy opuściwszy klasztory, pobrali żony.[2]) Szlachta w większości otwarcie zerwała z katolicyzmem, a i w sferach inteligencji stało się wprost modą przystanie do nowych obrządków. „Tak się rozmnożyły rozmaite herezje, że były domy, gdzie każdy inaczej wierzył".[3]) Prawie wszystkie nauki heretyckie rozkwitły już w całej pełni, że wspomnę tylko rozpowszechniane wyznania Lutra, Kalwina, Braci czeskich, Husa, Minchensów, Sakramentanów, Zwinglianów, Menonitów, Konformistów, Antinomistów, Stankarzystów, Unitarjuszy etc.[4])

Z dotychczasowego szkicu można było już zauważyć, jak nieodłącznie zmianom w ustrojach kościelnych towarzyszyły przeobrażenia wśród władz świeckich. W Polsce szczególnie każda nowość religijna wstrząsała podstawami państwa. Toteż każde z wyznań starało się na swoją stronę i korzyść uzależnić króla i rząd, któryby, kierowany wyłącznie temi dyrektywami, sprawował swe funkcje. Stąd w epoce rozkwitu humanizmu w Polsce trudno mówić o wpływach papiestwa na władzę królewską. Wręcz przeciwnie: władza świecka, dążąc do zupełnego uniezależnienia od Rzymu, dochodzi nawet w niektórych punktach do supremacji nad duchowną.[5]) Dążność ta, zwłaszcza silnie zarysowana na Zachodzie, doprowadza tam wkrótce do ustrojów monarchji absolutnej, wcielonej w XVII w. w Ludwika XIV, w XVIII-ym — w Fryderyka, w XIX-ym — w Bismarka, dającej ogromnie silną supremację etatyzmu; u nas

[1]) Krasiński, *Reform in Poland,* Węgierski, *Hist. Slav. reform.* I s. 13.

[2]) Kubala, *Stan. Orzechowski i wpływ jego na rozwój i upadek reformacji w Polsce,* przyp. 24 do rozdz. V.

[3]) Kubala, ibid. s. 56.

[4]) Bielski, *Kronik. polsk.* s. 562.

[5]) Jabczyński, *Prawodawstwo i prawo kośc. w Polsce,* s. 130 sqq.

aspiracje władzy świeckiej, zapoczątkowane silnemi zakusami Kazimierza Jagiellończyka, w czasach wystąpienia Orzechowskiego tracą w swym zapędzie, ustępując parlamentarnej, demokratycznej decentralizacji dyktowanej zdobyczami wolności szlacheckiej, która nie porzuca w pewnych odłamach, rosnących na sile, zasad katolicyzmu.[1])

II. System teokratyczny Orzechowskiego, jego ocena i znaczenie.

Wśród takich stosunków walk religijnych, groźnych wpływów reformatorskich, w czasach niepewności, wichrzeń politycznych, niebezpieczeństw, grożących naszemu Kościołowi z zewnątrz od wyznawców Islamu, a z wewnątrz od zwolenników Lutra, Zwingliego czy Kalwina, w okresie, kiedy fałsz, obłuda, warcholstwo panoszyło się zatrważająco, w takiej chwili nawet wahania się, niepewności samego króla, wobec nowych prądów, staje człowiek, który otwarcie i z niebywałą odwagą rzuca rękawicę „krwią niemiecką opasłej trzodzie", (jak sam nazywa heretyków), „zabłoconym wieprzkom, chlipiącym w korycie u zabrudzonego świniopasa Lutra", j. t. „kacerzom takim, jak Karlostad, Pomeranz, Melanchton, Baltazar, Bucer, Zwingli, Ekolampadius" etc.[2]) Charakterystyczne, że on to właśnie, Stanisław Orzechowski, ksiądz żonaty, typowy przedstawiciel warcholstwa ówczesnej szlachty, wichrzyciel na sejmach, awanturnik oficjalnie buntujący się przeciw celibatowi duchowieństwa, on, wyklęty przez biskupa Dziaduskiego, zwalczający w listach papieża Juljusza III, on właśnie broni najgorliwiej wiary katolickiej, bijąc w kacerzy z odwagą i nienawiścią.

Takim widzimy go odrazu w okresie, kiedy rozpoczyna rzucanie haseł teokratycznych, w okresie powrotu do kraju. Silnie działające wpływy rzymskie nie mogły pozostać we wnętrzu bujnej natury, musiały wybuchnąć i uderzyć w opinję. Nikt inny, tak jak on właśnie, nie potrafił zyskać sobie odrazu tej opinji. Orzechowski reprezentuje najlepiej szlachtę ówczesną, której warcholski charakter uwydatnia się

[1]) T. Grabowski, *Literatura luterska w Polsce.*

[2]) Z przedmowy do *Chimery* w przekł. J. M. Ossolińskiego.

w całej jego naturze. Szlachta ta widzi w nim odrazu gorliwego obrońcę jej interesów, zapalczywego propagatora aspiracyj wolnościowych, który potrafi chwycić za pióro pełne temperamentu, by szerokim potoczystym stylem gorąco stawać w jej sprawie. Dlatego też ten demagog-wichrzyciel w całej niekonsekwencji swego postępowania i nielogiczności swych ciekawych a dziwacznych teoryj i systemów staje się ulubieńcem ówczesnej szlachty i urasta w jej oczach, jako jeden z najbardziej wpływowych apostołów osaczonego przez heretyków katolicyzmu. Właśnie bowiem zapalczywa obrona katolicyzmu i ostra polemika z obozem kacerskim stają się dla Orzechowskiego podstawą do tworzenia śmiałych i oryginalnych w owym czasie, a jakże nieraz naiwnych, koncepcyj teokratycznych.

Pierwszy interesujący nas tu utwór *Fidelis subditus* („wierny poddany"),[1]) chętnie w owych czasach czytany, odrazu zyskuje mu u szlachty mir i popularność;[2]) występują w nim bowiem na jaw demagogiczne tendencje szlacheckie, bardzo silnie rozwijane na tle katolicyzmu; znajdujemy tam nadto jednocześnie zarodek idei teokratycznych, rozwijanych szeroko w pismach późniejszych. *Fidelis subditus* narobił wprawdzie autorowi wiele niepowetowanych szkód, jeżeli idzie o względy dworu królewskiego, ale zato olśnił nim Orzechowski szlachtę i stał się ulubieńcem stanu rycerskiego.[3])

Następna wielka mowa pisana *Oratio reipublicae polonae*[4]) stawia Orzechowskiego odrazu na szczycie sławy, wzbudzając entuzjazm szlachty, zyskując względy prymasa i zadziwiając wymową argumentacji, jak i wspaniałością stylu.

---

[1]) Ks. Januszewski *Stan. Orzechowskiego Fidel. subd. albo o stanie królewskim;* nadto korzystałem z przekł. w rkp. bibl. puławskiej.

[2]) Bolesł. Ulanowski, *Sześć broszur polityczn. z XVI w.;* St. Tarnowski, *Pisarze polityczn. XVI w.* t. I. s. 90—8; Ks. Chodyński, *Dykcjonarz uczonych polaków;* t. II. s. 218; Bentkowski, *Hist. lit. polsk.* t. II s. 80 przyp.

[3]) G. Senger i T. Wierzbowski, *Fidel. subd.* (przekł.) Arch. gł. Warsz. IV, 6, 18. Kubala ibid. (ob. wyż.) s. 5, 7.

[4]) Górski, *Acta Tomiciana.* J. Korzeniowski (wyd.) *Orichoviana — opera inedita epistolae,* vol. I, N. I.

Głośna dalej sprawa małżeńska, którą nie zajmuję się tu zupełnie,[1]) budzi czujność szlachty, a popularność Orzechowskiego wprost wyolbrzymia.

Takiż rozgłos budzą i *Turcyki*,[2]) że nie wspominam innych utworów, pozbawionych teokratycznzch myśli. Już zaraz w pierwszej „turcyce" spotykamy kilka myśli, które zapowiadają wyraźnie przyszłą *Politię* i *Quincunxa*. Upatruje więc autor wybraństwo narodu polskiego w specjalnej łasce Bożej, widzi też łączność między koroną polską a królestwem Bożem w tym sensie, że z chwilą upadku państwa polskiego zginąć też musi i królestwo Chrystusa na ziemi.[3])

Następna interesująca tu nas rozprawa p. t. *Stanislai Orichovii Chimaera sive de Stancari funeste rege Poloniae secta*[4]) jest już obszernem dziełem, w którem Orzechowski staje u szczytu zaciekłości w polemice z heretykiem Stankarem, próbując też zarazem szerzyć swe koncepcje teokratyczne. Pierwsza część utworu zajmuje się przeważnie wyłuszczaniem i zwalczaniem błędów Stankara, druga p. t. „De officio regis" omawia obowiązki królewskie, w cz. trzeciej p. t. „Epilogus coronationis sive de prisca fide retinenda" znajdujemy właściwe ugruntowanie poglądów teokratycznych z groźbą wymierzoną do tych, którzyby nie kierowali się w rządzeniu państwem temi właśnie poglądami.[5]) Dzieło to jakkolwiek różnie podówczas komentowane czytane jednak skwapliwie, znacznie jeszcze umacnia popularność Orzechowskiego.[6]) Można śmiało powiedzieć, że właśnie, dzięki owej

---

[1]) Najlepiej ujęte szczegóły ob. Ks. J. Bukowski, *Dzieje reformacji w Polsce* t. I. s. 20—7—9—40 sqq.

[2]) Korzystałem z przekł. Ks. Zygm. Włyńskiego, *Dzieła... Stan. Orzech.* t. II, oraz z przekł. *Stan. Orzechow. o ruszenie ziemie polskiej przeciw turkom*, Kraków 1543 r. Prof. G. Korbut w swej bibljogr. popełnia błąd, kwestjonując tu autorstwo Orzechowskiego, na co dowody ob. T. Wierzbowski, *Bibljof. zapomn. poet. i proz. polsk.* W-wa 1895, Rembowski, *Hasła i plany wojenne przeciw Turcji*, *Bibl. Warsz.* 1895 r. paźdz. t. IV zesz. 1 s. 22. Tarnowski *Pis. polit. XVI w.* t. I s. 99—106.

[3]) J. M. Ossoliński, *Wiad. Hist. Kryt. do dziej. lit. polsk.* t. II s. 229.

[4]) Korzystam z przekł. Ks. Zygm. Włyńskiego, rkp. bibl. Jagiell. m inw. 2627.

[5]) Z Deuter. rozdz. 28.

[6]) *Epist. ad Orich.* s. 55, wedle Ossolińsk. przyp. 44.

polemice z kacerzami, tak szeroko w opinji propagowane zostały i koncepcje teokratyczne.

Z przyczyny tej łączności czyni prof. Tarnowski autorowi *Chimery* poważny zarzut:[1]) „Że Stankar jako heretyk chciał obalić władzę biskupią, opanować dobra kościelne i szkołę, to nic dziwnego, ale jakim sposobem mógł razem podkopywać władzę królewską i wprowadzać absolutną władzę króla? To jedna ze zwykłych u Orzechowskiego sprzeczności, nad którą zatrzymywać się nie warto". Czyżby nie warto? Uważam, że sprawa o tyle jest ważną, że już tu w *Chimerze* mamy właściwe zapoczątkowanie tych wszystkich koncepcyj, które w rozprawach następnych znajdują tylko swe rozszerzenie. Orzechowski wywodzi mianowicie, że prymas koronuje króla, a stąd ma prawo detronizować go, sądzić i wyklinać, król przysięga przed prymasem; z tych względów z chwilą obalenia władzy prymasa (jak chce Stankar), przestałby istnieć i urząd królewski. Można kwestjonować samą zasadę, z której wychodzi tu autor *Chimery*, ale, jeśli się ją przyjmie, rozumowaniu trudno zarzuty stawiać.

W wywodach swych rozróżnia dalej Orzechowski dwie władze: duchowną i świecką, przytem właśnie w tym świeckim porządku państwowym czyni króla poddanym kapłanowi. Niepodoba się i to prof. Tarnowskiemu, który dowodzi, że w takim stanie rzeczy logika nakazuje koncepcję cezaropapizmu. Oczywiście. Ale przytaczając na obronę przed takim ustrojem państwowym wszystkie modlitwy koronacyjne przy namaszczaniu króla, oddawaniu korony i berła i wskazując tem samem, w jakim stopniu król ma być podległym władzy kościelnej, broni nasz autor porządku Rzeczypospolitej przed absolutyzmem władzy świeckiej, wprowadzanym, zdaniem jego, przez kacerzy. *Chimera* zapoczątkowała wyraźną krystalizację poglądów teokratycznych, które od r. 1562 aż do śmierci autora zamykają się w tych utworach, jakie obecnie pokrótce omówimy. W niej dojrzały po raz pierwszy dotychczas luźnie i chaotycznie rzucane teoryjki religijno-polityczne i od niej datujemy istotne kształtowanie się systemu. Że walka z kacerstwem i chęć zaskarbienia

[1]) *Pis. polit.* t. I s. 267 sqq.

sobie łask szlachty i dostojników Kościoła katolickiego były bezpośrednią podnietą do budowania tych fantastycznych systemów o tem już była mowa, ale też stąd fanatyzm katolicki Orzechowskiego dochodził już do skrajności, przez co nie zna on miary w przesadach. Oto do jakiego poziomu posuwa się np. w *Chimerze* polemika naszego autora ze znienawidzonym Stankarem: „Źle o mnie plugawcze gadałeś, nazywałeś mię popkiem, żonkosiem, zbiegiem od wiary, potwarzyłeś moje małżeństwo, szkalowałeś żonę i jeszcze ostrzyłeś pióro wetować się za mowę na synodzie. Biorąc żonę, podziękowałem za służbę ołtarza. Ty hultaju rozwalasz się na tapczanie ze swoją małpą, a potem śmiesz się do świętych obrządków tykać. Przedrwiwasz sobie zowąc mię gramatykiem i zaraz podajesz, że co gramatyk to osioł. Sameś osioł od stóp do głowy; jeszcześ głupszy od osła. Jak cię porwę za uszy, rozszarpam, podrę cię na nic. Zdechniesz, skoroć ukażę by jeden pazur, nauczę cię co to jest lżyć Orzechowskiego i bluźnić na Matkę jego Kościół święty. Zrzuciłeś z grzbietu Chrystusa, wsadziłeś sobie na kark djabła. Coś za jeden? Skąd się wziąłeś? Co tu porabiasz? Wieszże ktom ja? Orzechowskim, poczciwy rusin, Przemyślanin, szlachcic polski, herbu Oksza. Śmiałym na swoich śmieciach. Tyś przeklętnik boski, ludzki, włoka z całego świata, wygnaniec z Mantui, wycierasz cudze kominy... a pałkaż na twoje przywitanie" etc. etc. (przekł. Ossolińsk.).

W *Chimerze* argumentował jeszcze Orzechowski sporo, żadnej prawie koncepcji nie zostawił bez dowodu, przeważnie z „ksiąg dawnych". *Dyalogi*[1]) pozornie daleko wyraźniej miały argumentować, a zawarcie teoryj w formie dysputy, naśladującej djalogi Platona, niezawodnie było skutkiem tak szeroko zakrojonego zamiaru. Na zamiarach jednak, jak zawsze i tu się u naszego autora kończy. Kiedy groził Stankarowi w najostrzejszych słowach, obelgi te zniósł cierpliwy papier, a Orzechowski sam „nie ruszył się od stolika" (jak stwierdza Ossoliński), kiedy kajał się w pokorze przed

[1]) *Rozmowa albo dyalog około egzekucyej polskiej korony* — najlepsze wydanie wraz z wyd. *Quincunxa*. Ob. Ossolińsk. przyp. XLVIII—IX. ibid. s. 428—73, Kopera spis N. 274, Wierzbowski t. I s. 225.

rzymską władzą i przysięgał dozgonną wierność Kościołowi katolickiemu w kilka dni potem pojął żonę i zrzucił duchowną suknię, wyklęty przez biskupa Dziaduskiego, by potem ją znów nałożyć, gdy żonę śmierć zaskoczyła. Kiedy obiecywał konsekwentnie przeprowadzoną dyskusję w „dyalogach" dyskusji tej właściwie niema. Ewangielik łatwo ustępuje, a osoby, propagujące system autora, od pierwszych niemal słów uzyskują rychłe zwycięstwo. Nie koniec na tem. Triumfujący papieżnik nie zna już granic i wraz z Orzechowskim dochodzi do poglądów, nie zostawiających nic z obozu przeciwnego. Wszystko tam bez wyjątku jest podłe, wrogie nietylko katolicyzmowi, etyce chrześcijańskiej, prostej uczciwości, lecz niebezpiecznie zagrażające rzeczypospolitej. Prostą konsekwencją takiego stanowiska musi być w środkach obronnych zupełne uzależnienie państwa od Kościoła katolickiego. Papieżnik dochodzi zresztą do tego tak łatwo, jak chce, gdyż z paru zaledwie potwierdzeń ewangielika, wyprowadza odrazu szerokie wnioski dla swojej sprawy a nawet buduje geometryczne figury. Przykład poniższy, wyjęty z omawianego utworu, najlepiej może scharakteryzuje sposób rozumowania naszego autora:

Papieżnik: Pytam cię, jeśli Polska jest królestwem?

Ewangielik: Jest.

Papieżnik: Tedy ona ma króla?

Ewangielik: Ma.

Papieżnik: Tedy ma kapłana, który koronuje króla?

Ewangielik: Pewnie że tak.

Papieżnik: Tedy też ma ołtarz, któremu służy kapłan?

Ewangielik: Cóż dalej?

Papieżnik: Postęp wyżej, możeszli; ja nie mogę. Coć się zda?

Ewangielik: Ani pomyślić nic dalej nie mogę.

Papieżnik: Tedy *hic jubet Plato quiescere?*

Ewangielik: Iście tak.

Papieżnik: Polska takowym klinem stoi, a odchyli się ona z tego klinu od kąta którego, upadnie pewnie; ostać się żadną miarą na placu swym inak nie może. Bo nie będzieli tego klina wierzchu dzierżał ołtarz, a u dołu jego, który dół basim zową matematykowie, nie będzieli po prawej stronie dzierżał kapłan

a po lewej **król, aby** tak Polska stanęła:

, siadła Polska". [1])

Takie rozumowanie bardzo już jest zbliżone do tego, które, jako naczelny wywód całej teokracji Orzechowskiego, zobaczymy w *Quincunxie.* Niedostawa tu jeszcze wiary i zamknięcia całej teokracji w Kościele Chrystusowym. — *Dryja* i *klin* mają razem tworzyć *guinek*, z którego dopiero wyrasta *pyramis ex quincunce,* co jednak, jeśli idzie o nazwy przy poszczególnych punktach tych figur, niezupełnie się składa. Nie brak nadto w „dyalogach" objaśnień, dotyczących symbolów wyższości prymasa nad królem; są niemi: miecz i korona. Powtórzenie to niemal dosłowne poglądów z *Chimery.* Poszerzenie teokracji *Chimery* krystalizuje się jeszcze w *Dyalogach* w dwóch zupełnie nowych koncepcjach: 1) Przyrównanie Korony polskiej do Królestwa Bożego, 2) Podział Rzeczypospolitej na stany. Stanowią one niejako zapowiedź doktryn *Polityi,* o czem będzie mowa później.

Prof. Tarnowski za największą wadę „djalogów" poczytuje nakładanie na prymasa obowiązku wtrącania się w każdy niemal szczegół władzy królewskiej i władz świeckich wogóle, dowodząc, że „jeżeli w konfesjonale król jest istotnie pod władzą ostatniego z księży, to w państwie musi być jego poddanym". Zważmy jednak, że jest to jedna z pospolitych u Orzechowskiego skrajności, płynących tylko z powyżej omówionego stosunku do kacerstwa, w czem może dałoby się znaleźć pewne usprawieliwienie. Trudno natomiast bronić naszego autora tam, gdzie dla swojej wygody przeciwstawia się niespodzianie własnym teorjom. Prymas mianowicie, jak nam mówią *Dyalogi,* ustanawia, detronizuje, sądzi i wyklina króla, wyznacza i nakłada mu szerokie obowiązki wobec Kościoła, państwa i poddanych, ale w wypadku gdy o celibat duchownych chodzi, to w tej czysto kościelnej sprawie ulegać ma królowi, dlatego, że jest to po myśli Stanisława Orzechowskiego, żonatego księdza! Wyraźnie o tem wspomina w djal. IV-ym.

Lecz niepodobna nie wspomnieć o wielkich zaletach

[1]) *Orichoviana,* s. 545.

„djalogów", które znajduią swój wyraz właśnie w myślach, związanych z interesującemi nas poglądami. Już te nawet, które wylicza prof. Tarnowski, tj. zapoczątkowanie literatury publicystycznej w języku narodowym, szczerość uczucia patrjotycznego, znakomity wyraz ówczesnej opinji, uwarunkowanie jedności politycznej państwa zachowaniem jedności religijnej, są bezsprzecznie skutkiem chęci zawarcia dotąd luźnie znanych i głoszonych koncepcyj w bardziej określone systemy teokratyczne. A cóż dopiero, jeżeli dodamy, że ów krzyk o powrót do życia przodków, to nawoływanie do czynienia i rządzenia tylko w myśl Kościoła, to kształtowanie korony polskiej na wzór Królestwa Bożego, mogło, chociażby jako forma ostrego napominania, ukrócać, już wtedy silnie rozpanoszoną, swobodę szlachecką!

Właśnie *Qincunx,* [1]) w następnym po djalogach roku napisany, miał w tym kierunku nastroić opinję. I, w tym celu wystosowaną, widzimy w przedmowie szumną zapowiedź, że kto przeczyta „Quincunxa" „pozna wiele rzeczy skrytych a pożytecznych i dopiero sam siebie obaczy i pozna, czem jest, gdzie jest, czem stoi, czem ginie i czem naprawiony być może". Tu śmiało nawiązać możemy do tego miejsca omawianego dzieła, w którem autor dowodzi, że „Quincunx miał być kompasem, drogowskazem, jedynym ratunkiem dla ginącej rzeczypospolitej". Zadanie to ma spełniać system teokraktyczny Orzechowskiego, ostatecznie skrystalizowany w *Quincunxie* wtórym.

Jeszcze w *Dyalogach* i utworach wcześniejszych, jak wiemy, dał Orzechowski trzy podstawy pod fundament królestwa polskiego (ołtarz, kapłan, król). W *Dyalogach*, jako symbol tego fundamentu, stworzył „trzywęglastą figurę" t. zw. „dryję", tu w *Quincunxie* t. zw. „quinek" staje się symbolem już całości podstawy korony polskiej, stworzonej teraz nie z trzech lecz z pięciu składników (kościół, prymas, król, ołtarz i wiara).

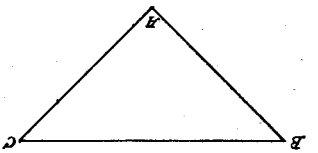

Rys. 1 Dryja.

[1]) „Quincunx to jest wzór korony polskiej na cynku wystawiony, przez Stanisława Orzechowskiego Okrzyca z Przemyskiej ziemi, i za kolędę posłom koronnym do Warszawy na nasze lato roku Pańskiego 1564

Stąd buduje już autor wprost swoją piramidę, jako system państwowy. Wywód jest następujący: „Tę ja figurę“ (t. zn. quinek, ob. rys. 2) „wziąwszy przed się do oka, najduję ją koronie polskiej bardzo być podobną i tak uczynię: wezmę średni punt z tego cynka“ (quinka, ob. rys. 2, p. A) „i podniosę go myślą wzgórę, stanie się wnet piątkątna pyramis, jakoby wieża jaka wysoka, ostrego wierzchu, na kwadracie tako postawiona“ (ob. rys. 3). „Słuchajcież“ — mówi dalej — „jako podobieństwem tego ostrego wierzchu piramida, na czterech kąciech stojącego, rozum człowieczy nam koronę polską wyrazi, i już w imiono Boże wedle tego podobieństwa postępujmy tak: Jeśli Polska królestwem jest, tedy ma króla, bo inak królestwem zwana być nie może. Jeśli ma króla, tedy ma też i kapłana, który polskiego koronuje króla. Jeśliże ma kapłana, tedy też ma i ołtarz, któremu ten służy kapłan, a jeśli ma ołtarz, tedy też ma zakon albo wiarę, którą ten ołtarz w krześcjaństwie stoi, a jeśliże ma wiarę, tedy też przez tę wiarę, jako przez drogę jaką, w Kościele chrześcjańskim i pod zwierzchnością jego królestwo polskie zamknione jest; które to królestwo polskie na królu, na kapłanie, na ołta-

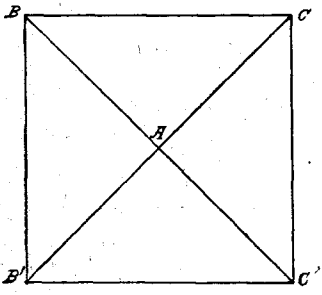

Rys. 2. Quinek.

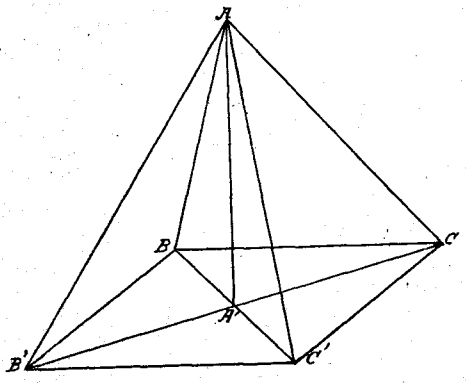

Rys. 3. Pyramis ex quincunce.

posłany“ — tytuł wedle najlepszego ówczesnego wydania z r. MDLXIIII, ob. Uniw. Warsz. 28, 4, 5, 46. Por. też Ossoliński *Wiad. historyczno-krytyczne do dziejów liter. polsk.* cz. I s. 125, St. Tarnowski *Pis. polit.* XVI w. t. I s. 291. Kubala Ludwik *Stan. Orzech. i wpływ jego na rozwój i upadek reformacji w Polsce* w wyd. *Nauka i sztuka* Lwów 1907, s. 73. Z tych trzech najlepszych opracowań *Quincunxa* Ossoliński ustosunkowuje się najbardziej przychylnie do wywodów naszego autora.

Rys. 4. Szkielet ryciny wedle wydania z r. MDLXIIII.

QUINCUNX

Typus Poloniae Regni.

Canon: „Totum euertas ut Regnum: conseqns, fac vollas puctn nil de tato remanebit, sed cuncta tabi oportebit. Rex, sacerdos, ara, fides, non permanebunt in dies. Verma Parcata non regs. Cito sentient terminos. Si Petri clames, sublimi de vertice: dejcias, Pyramidalis Quincúncis: quo nixa stat Polonia, mole sub hac aetherea. Haec mior Polone — rem datur, et licet tibi".

„Rex est, per quem alii, quisque in ordine et gradu suo, numera Dei varia participant; quorum multiplicem varietatem rex queterens omnia providet, in se uno colligit. (Dion. in lib. De Divinis nominibus).

„Fides est sperandarum substantia rerum: argumentum non apparentium. In qua, spe vivit, charitate viget, virtus crucis, mortis sepulturae et resurectionis Christi. (Maxim. ad Canonem)".

„Królestwo polskie jest jedno w Sarmacjej państwo, własnemu królowi swemu, wolnie obranemu z łaski Bożej przez kapłana poddane, ołtarzem krzyża świętego uraczone, uraczone wiarą krześcijańską od Boga oświecone, a w jednym, świętym, powszechnym i apostolskim kościele zawarte i zamknione".

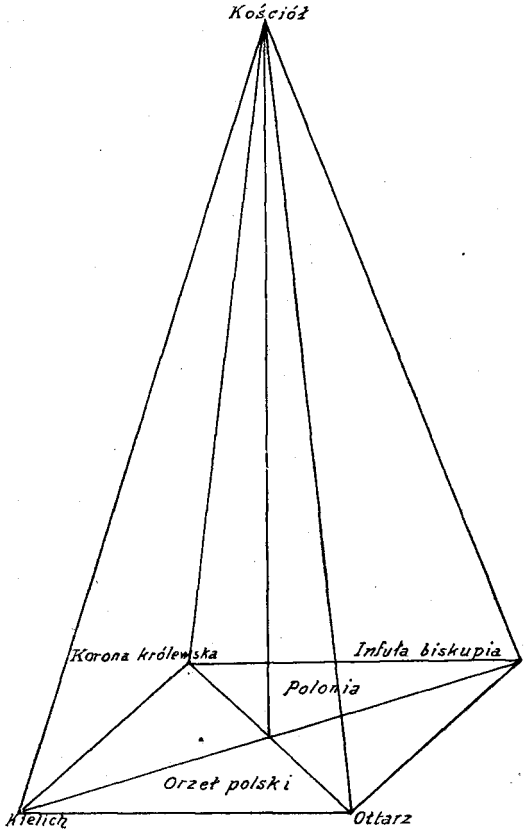

Klucze: Math. XVI: „Tibi dabo clames Regni coelorum: et quodcunque ligaueris super terram, erit ligatum in coelis; et quodcunque solueris super terram, erit solutum et in coelis"...

Joan XXI: „Cum ergo praudissent, dicit Simoni Petro Jesus: Simon Joannis, diligis me plus his; dicit ei: Etiam Domine, tu scis, quia amo te. Dicit ei: Pasce agnos meos". Deuter. XVII: „Qui superbierit, nolens oboedire sacerdotis imperio... ex decreto Judicis morietur homo ille"...

„Arcybiskup Gnieźnieński jest w Polszcze kapłan najwyższy primas królestwa polskiego, posłaniec Stolice Apostolskiey, zwierzchni biskupów polskich, początek rady, ręka i usta Boże Przez którego Pan Bóg króla polakom daje, wolności pospolitej, pokoja i dusznego zbawienia korony polskiey strzeże".

Josue XXII: „Absit a nobis hoc scelus, ut recedamus a Domino et eius vestigia relinquamus extructo altari... ad victimas offerendas praeter altare Domini Dei nostri, quod extructum est ante tabernaculum eius".

Exod. XXVII: „Facies et altare de lignis Sethim, quod habebit quinque cubitos in longitudine et rotide in altitudine: id est, quandum et tres cubitos in altitudine".

rzu, na wierze, jako na jakich czterech węglech, sprawą Boską postawione, zamyka się w jednym, świętym, powszechnym i apostolskim kościele i jest podobne to królestwo niedobytej onej wieży, która ze wszech stron swoich obronna jest przeciwko wszystkim nieprzyjacielom swoim, tak dusznym jak i cielesnym, której wieże nigdy niedobytej twarz albo wzór tą figurą wam wystawię bardzo wzgórę wyniesionemu cynkowi podobną" (ob. rys. 4). Rozumowanie powyższe, unaocznione podanemi rysunkami, a poparte jeszcze ostateczną konkluzją *Quincunxa*, którą tłustym drukiem wypisano na końcu dzieła (s. 285): „Jeśli Polska korona jest królestwem, tedy ma króla, jeśli ma króla, tedy ma kapłana, który tego to koronuje króla. Obróćże się nazad: A nie ma Polska tego kapłana, tedy też Polska nie ma króla, a jeśli Polska nie ma króla, tedy Polska królestwem nie jest", stanowi właściwą podstawę a nawet zawartość całego systemu Orzechowskiego. Można powiedzieć, że autor poto założył podstawę swego systemu na początku *Quincunxa*, by, po szerokich wywodach, do takiej samej dosłownie teorji w konkluzji powrócić.

Wszystkie inne, przeraźliwie rozwlekłe a ustawicznie powtarzające się, wywody obracają się wciąż około powyżej przytoczonej zasady teokratycznej, mają ją wbić w głowy ówczesnej szlachty, szeroko a dobitnie propagować wśród mas, mają je do tej teorji przekonać. Tak. Orzechowskiemu zależy ogromnie na umocnieniu i rozpowszechnieniu systemu. Dlatego uzmysłowił go na cynku, z którego zbudował piramidę. Dziwaczną nazwę, jak sam stwierdza, znalazł u Arystotelesa *in primo libro phisicorum,* gdzie wogóle „są esy, dryje, kwadry, cynki, zezy i inne figury", z których on w ostateczności wybrał cynek, najlepszym bowiem wydał mu się symbolem korony polskiej. (*Quinc.* II, s. 188 sqq.). Sposób budowania swojej piramidy, jako też przyrównanie jej do gmachu rzeczypospolitej uzasadnił wywodem, powyżej zacytowanym. Pozwoliłem sobie podać go wraz z rysunkami, trudno bowiem o bardziej charakterystyczny przykład niespotykanej nawet w ówczesnych czasach naiwności. Zważmy bowiem, że autor wierzy święcie w prawdziwość i „uczoność" swego wywodu, i wiarę tę spopularyzować pragnie

w całem społeczeństwie. A zachęcić potrafi stylem zaiste niezrównanym. Oto więc woła np. we wstępie: „W jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwne mamy, wiatry biją, maszty łómią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ognie niecą, łódź palą, na patrona godzą"... w takich chwilach szału rozwydrzonego kacerstwa zjawia się Orzechowski z rozkazem:... „wszyscy do styru bieżcie, masztu strzeżcie, żagle na tramontanę naciągajcie, na lewo ku Niemcom nie uchodźcie, ku portu styr dzierżcie, oręża na rajtary dobywajcie, patrona brońcie, żeglarza ze snu obudźcie"... i zjawia się nietylko poto, by rzucić szereg ognistych słów. Przeciwnie: Ten „brat z Rusi" przynosi swym ginącym towarzyszom *Quincunx,* który „drogi morskie, gwiazdy niebieskie, wiatry słuszne, porty pewne na tym burzliwym morzu ukazuje polskiej koronie". Orzechowski w najgłębszem przekonaniu, że jego teokratyczny system będzie prawdziwym kompasem dla ginącej łodzi, wystawia rzeczpospolitą na cynku i opiera jej ustrój na pięciu znanych nam składnikach, co sprawia, jego zdaniem, że „jest podobne to królestwo niedobytej onej wieży". Czyż nudne do niemożliwości powtarzania na kilkuset stronach *Quincunxa* o wyższości Kościoła nad państwem i o szczególnej roli duchowieństwa mogło kogokolwiek nawrócić do systemu autora? „Bez kapłana królestwo stać nie może", *Translato enim sacerdotio, transferturet lex* wywodzi Orzechowski w *Quincunxie* wedle Hebr. VII. Król, który ustanawia wszelkie prawa, ma przyjmować koronę z rąk arcybiskupa. „Arcybiskup *pater,* którego *filius* jest król polski. Nie targa się nikt przy synie na ojca pierwej, aniźli wzgardzi synem". Dlatego kapłan staje się obrońcą królewskim przeciw kacerstwu, które, grożąc Kościołowi, grozi jednocześnie państwu. Będąc zwierzchnikiem i koronatorem króla, kapłan jest zarazem bezpośrednim jego sędzią.

Ależ wszystko to czytaliśmy już aż do znużenia w *Chimerze,* gdzie nie poszczędził nam autor dla tej sprawy również kilkuset stron, mieliśmy tego pełno w *Dyalogach,* zostaliśmy tem samem nasyceni po uszy w *Quincunxie I-ym!* I cóż nowego znajdujemy po bezlitosnem nadal nudzeniu w *Quincunxie II-im?* Oto czytamy, że nietylko król, ale cały

wogóle stan świecki winien być przez duchowny sądzony. Przykładem Samuela i Saula przesądza Orzechowski nadto prawo detronizowania królów, jako należące również do duchowieństwa. I analogja taka nie budzi zdziwienia, skoro już „Bóg sam naród polski, na wzór żydowskiego, szczególniej z pośród innych wybrał, polecając papieżowi i Kościołowi katolickiemu szczególną nad nim pieczę" (*Quinc. wł.* s. 216). Całą podwaliną systemu jest Kościół Chrystusowy i na tem polega potęga korony polskiej, iż się cała w tym Kościele zawiera.

Kościół to nietylko duchowieństwo wraz ze swą władzą, nadaną od Chrystusa, ale jego potęga tkwi w nas samych. Jeżeli jest fundamentem królestwa to trwałość jego zależy w równej mierze od potęgi władzy rzymskiej jak i od mocy naszego ducha. Stąd słuszny postulat wglądnięcia we własne sumienia i poprawy życia. W zepsuciu moralnem upatruje Orzechowski przedewszystkiem przyczynę nietrwałości królestw, rządzonych przez kacerzy.

Oto wszystko. I na tych kilka myśli trzeba było aż trzystu zgórą stron! Jeśli zważymy, że poza cytowanym wywodem o piramidzie i powyżej przytoczonem krótkiem streszczeniem, spotykamy w *Quincunxie* gorącą agitację znanych już społeczeństwu ówczesnemu poglądów z wydanych dotąd utworów — to znając pasję propagowania swych idei zrozumiemy Orzechowskiego w globalnych rozmiarach jego dzieł. Inna rzecz, jak to się w skutkach okazało.

Tu zastanówmy się jeszcze pokrótce nad tem, jak zareagowała na poglądy Orzechowskiego opinja jemu współczesna, zważmy też na to, jak wygląda jego system z punktu widzenia abstrakcyjnego. Takie poglądy naszego autora, jak np. warunkowanie istnienia Rzeczypospolitej stosowaniem przepisów Kościoła katolickiego (tak w poczynaniach władz świeckich, jak w życiu każdej jednostki), — postulat zachowywania jedności religijnej w walce z wrogami Kościoła katolickiego, zwalczanie kacerstwa dla konserwowanie jedności politycznej państwa i t. p. mogły jeszcze znaleźć zwolenników: nie w smak natomiast szły niejednemu sposoby dowodzenia i rozwlekłe argumentacje Orzechowskiego. Właśnie te miejsca i te punkty dowodzenia, na które autor szcze-

gólniejszy kładzie nacisk, są najsłabszą stroną dzieła. Zaliczyć tu wypada zarówno rysowanie figur geometycznych, jak naiwne sposoby przyrównywania ich do ustroju Rzeczypospolitej, uzupełniane cytatami z ksiąg świętych. A i sam wreszcie sposób posługiwania się figurami chybiony. Bo najpierw zgóry apodyktycznie wygłasza Orzechowski swe poglądy, a kiedy do dowodu przystępuje to kończy się tylko na wyrysowaniu figur, poczem obserwujemy zabawną argumentację, która buduje na tych figurach ustrój korony polskiej. Argumentacja naszego autora w całej swej świętej... powadze mogła więc razić współczesnych, a nadto, co raziło i mnożyło wrogów *Quincunxa,* to wzmiankowany już przeze mnie nieraz, niebywały fanatyzm autora. Zaślepienie w walce z heretykami, bezgraniczne stąd skrajności w gorliwości katolickiej a przesady w tworzeniu systemów nie mogły nie odrzucać od *Quincunxa* ludzi specjalnie nierozentuzjazmowanych w uczuciach religijnych, jak np. Modrzewski, Myszkowski, Górski czy nawet Kromer. Jak dowodzi Ossoliński „z katolikami, aczkolwiek się za nauką i powagą stolicy Rzymskiej ujmował, zostawał w zatardze o swoje małżeństwo, różnowiercy pienili się z ogniem z gniewu, że z owemi nieścisły, przeciwko nim szermował. Stamtąd dosięgły go pociski Kromera, stąd Modrzewskiego, ze wszystkich stron obrzucano go paszkwilami. Litwa nielitościwie z nim się wetowała. Błazna miano za błazna". Toż twierdzi i Czacki, [1]) konstatując nadto w ówczesnej opinji zarzut jednostronności poglądów teokratycznych. Przykładów możnaby mnożyć wiele, [2]) sam Orzechowski zresztą dowodzi wymownie o oburzeniu opinji jeszcze na *Dyalogi* w *Quincunxie,* a na *Quincunxa* — w swej *Apologji Quincunxa,* gdzie podejmuje próbę obrony.

Apologja Quincunxa, [3]) tłumaczy może poniekąd Orzechowskiego. Rzecz głównie wprawdzie obraca się około obrony paradoksalnych twierdzeń o wolności królestw i niewoli księstw, które ściągnęły oburzenie Litwinów, ale inne punkty listu tłumaczą autora w jego rozbrajająco szczerych

[1]) *O litewskich i polskich prawach* t. II s. 83.
[2]) Ob. u Ossolińsk. t. II przyp. LX i XCV.
[3]) Ob. u Ossolińsk. t. II s. 492 i Orich. vol. I s. 639.

uczuciach. „Niestety ciężko mi to strawić" — pisze m. in. — „że i wy duchowni obrażacie się moją w ojczyzny i waszej sprawie gorliwością, ani chcecie poznawać, żem w obydwóch tych pismach nie miał innego celu, jak wywyższenie waszej dostojności". A gdzieindziej: „Posyłam ci najwielebniejszy ojcze obronę *Quincunxa*... Treść jej ta. Kacerze pomiatają kapłaństwem, gorzej jak śmieciami bądź jakim zmiętoszonym brudem. Prymasostwo opuszczają niżej podnóżka tronu i ledwie go nie pod próg tłoczą, niebaczni, że nie tobie tylko samemu, ale królowi i całemu królestwu przez to uwłóczą. Ja kapłaństwo wynoszę nad chóry anielskie, stawiam po prawicy Boga Ojca a naczelną twoją w Rzeczypospolitej powagę pokazuję być jej duszą i pierwszym żywiołem, źródłem, początkiem królewskiego zaszczytu, rozciągającego się z osoby panującego na cały kraj; szydząc z owych niedowarzonych głów, co targnąć się księżyc od słońca odstrychnąć, rozbratają te dwa dostojeństwa". [1]) A jeszcze dalej: „Oto obalamy ołtarze, niszczymy kościoły, sakramentów nie szanujemy... tak, iż wątpliwem jest, czy wobec wyuzdanego szaleństwa heretyków religja katolicka w Polsce ostać się potrafi" [2]) etc. etc. Cały szereg innych ustępów powtarza właściwie raz jeszcze teokrację *Quincunxa* i w przedługich zdaniach wychwala całe dzieło, jako rzecz Boską, wspaniałą i najdoskonalszą a pełną ducha prorockiego, który oprze się największym zakusom kacerskim i przetrwa wszelkie niebezpieczeństwa. Raz jeszcze możemy zatem stwierdzić, z jak głębokiem przekonaniem wierzy Orzechowski w prawdziwe posłannictwo swego zbawczego dla korony polskiej systemu, stworzonego dla obrony przed zagładą heretycką. Mamy więc w *Apologji* obronę tej szumnej zapowiedzi, w którą zaopatrzony został znany nam wstęp do *Quincunxa*. Nietyle bowiem same teorje zasługują na uwagę w podnoszeniu zalet *Quincunxa*, ile pobudki do ich wygłaszania; ta szczera obawa o losy Kościoła katolickiego i losy Rzeczypospolitej, usilna chęć ratowania ojczyzny!

---

[1]) Ossolińsk. s. 492.

[2]) *Apologję Quincunxa* znajdujemy w całości w *Orichovianach* pod N. 102, mamy nadto fragmenty przekładu u Ossolińsk. w t. II s. 274—287.

Ponieważ ostatnie dzieło Orzechowskiego, odpowiadające najzupełniej poglądom głoszonym w poprzednich p. t. *Politya Królestwa Polskiego*[1]) jest utworem niedokończonym,[2]) przeto, jak słusznie mówi prof. Tarnowski, „wymyka się z pod sądu, ponieważ brak nam rzeczy najważniejszej — konkluzji". Zauważmy więc tylko, iż sam ton utworu odcina go wyraźnie od poprzednich, przez brak polemicznego patosu i nienawiści do kacerstwa. Nie wynika stąd jednak, by i tu nie było sprzeczności, w rodzaju uzależnienia istnienia urzędu królewskiego od wyboru przez prymasa, ustanowionego od Boga, a jednoczesnego zalecania szlachcie, by wybierała biskupów; co tłumaczyć możemy jedynie chęcią pozyskania sobie i jednych i drugich. Spotykamy też i dziwaczne wywody matematyczne. W rozdz. XXX-ym I-ej ks. *Polityi* mówi autor: „A tenci ostateczny jest wierzch królestwa polskiego, pod którym w *Quincunxie* zamknęliśmy dowodnie, jako ja mniemam, królestwo polskie. Ale iż się o tem pisało w *Chimerze,* potem w *Exekucji*" (t. zn. w *Dyalogach*), „nakoniec w *Quincunxie,* przeto tu teraz dowodem zabawiać się nie będę".

Oddychamy z wielką ulgą i prawdziwie wdzięczni jesteśmy autorowi za tą zapowiedź. Cóż, kiedy i tu nie zbywa na dziwacznych wywodach, a Orzechowski oszczędził o tyle czytelników, że dzieła nie dokończył. Zapoznajmy się krótko z paru interesującemi nas poglądami *Polityi.* Stwierdza więc autor m. in. że: „...rzeczpospolita nasza ani monarchją, ani demokracja, ani oligarchja a politja ma być sprawnie zwana; bo to słowo politja nie jest przystojne ża-

[2]) *Politya królestwa polskiego na kształt Arystotelesowych polityk wypisana dla dobra pospolitego przez Stanisława Orzechowskiego roxolana 1566 r.*

[3]) Zamierzał napisać dzieło znacznie większe od *Quincunxa,* co sam stwierdza w liście do Płazy, pisanym w Żurowicach w kwietniu 1566 r. (ob. *Orich.* N. 97, Ossol. II s. 247), w *Apologji Quincunxa* (Ossolińsk. II s. 204) i w przedmowie do samej *Polityi.* Ossoliński i Maciejowski dowodzą, że części te nie istniały. Rękopisów *Polityi* jest kilka (Załuski in programm. liter. s. 19 N. 14; Janocki — catal. ms. bibl. Załusk. s. 62 N. CLXXXIII), co potwierdza rkp. Ak. Um. wyd. wraz z przedrukiem *Ziemianina* (ten ostatni utwór nie jest Orzechowskiego! (przez Żegotę Paulego Kraków 1859, por. też bibl. Zamojsk. w Warszawie N. 454) w bibljografji Estreichera t. III s. 317 podano tu omyłkowo N. 1854).

dnej innej rzeczypospolitej, jedno tej, w której prawo wszystkim rozkazuje". Wypada więc, że królestwo polskie jedynie i wyłącznie uprzywilejowane jest przez Orzechowskiego tem określeniem „politja". W rozdz. następnym (t. zn. VIII-ym) tłumaczy autor dowodami historycznemi, iż miarą zasłużenia Polski na nazwę „politja" jest jej stała wierność dla Stwórcy, a od czasów naznaczonego przez najwyższego kapłana Bolesława Chrobrego (nieodstępne zadośćuczynienia najważniejszemu postulatowi teokracji) — poddanie świeckiej władzy duchowieństwu. Ustrój państwowy „politji polskiej" nie odbiega oczywiście w zasadzie od tego, który widzieliśmy w „Quincunxie wtórym", spotykamy w nim tylko nadto podział na 6 stanów: kapłan, rycerz, kupiec, rzemieślnik, kmieć. Prawem rozkazującem, jak dalej wyjaśnia Orzechowski, są nakazy kościelne a wymienione stany podlegać mają wszystkie kapłanowi i to w ten sposób, że trzy niższe (kupiec, rzemieślnik, kmieć) podlegają bezpośrednio rycerzowi, rycerz królowi, król kapłanowi. W ten sposób każde ognisko domowe związane jest w tym ustroju ze społecznem pewnem prawem teokratycznem i tem zapewne tłumaczy się porównanie królestwa do gospodarstwa (s. 56).

Oparłszy w ten sposób swą *Politję polską* na sześciu stanach i czyniąc ją w teokracji swej poddaną prawu kościelnemu, Orzechowski, podobnie jak w *Quincunxie*, nie poskąpił nam i tu wywodów matematycznych; dla odmiany nie spotykamy tu już tylko rysowanych figur. Zawiły i długi ten wywód rozumiem w ten sposób: Wedle Orzechowskiego, początkiem każdej wielkości geometrycznej jest wielkość nieskończenie mała, wedle autora jakiś punkt, który „ani myślą dzielony być nie może", a więc taki, który dla umysłu ludzkiego jest wielkością niedostępną, a sam w sobie jest początkiem każdej wielkości. I tu następuje upodobnienie. Wielkością lub liczbą wiadomą jest król oraz urząd królewski, natomiast sam on podlegać musi jakiejś innej zwierzchności, ponieważ sam sobie zwierzchnością być nie może. Początkiem urzędu królewskiego, jak w matematyce tym punktem, niedostępnym a niepojętym dla nas, jest tu Bóg. Druga część dowodzenia — to szereg liczb z jednostką na czele. Jak ona jest początkiem każdej liczby i za-

wiera się w każdej liczbie, tak i Bóg, który jest początkiem wszystkiego i wszędzie się zawiera, musi być początkiem władzy królewskiej.

Jak widać, Orzechowski nie umie się wprost opędzić od wywodów matematycznych, co ciekawe jest ogromnie i z tego względu, że znać na nim ogromny wpływ literatury obcej. Już to wogóle oczytania naszemu autorowi nie brak. W *Dyalogach*, *Quincunxie* i *Politji* nietylko figury i nazwy ich wzięte są od Arystotelesa, nietylko dowodzenia szerokie znamionują wybitny wpływ *Physiki* i *Polityk*, nietylko podział hierarchiczny mówi o szerokich wpływach Platona, ale przecież we wszystkich utworach Orzechowskiego roi się od przeróżnych cytat i odnośników zarówno z ksiąg świętych jak z literatury świeckiej wielu okresów. Mimo to oryginalność jego uwidocznia się w niejednem. Poglądy pokrewne teorjom Orzechowskiego były wprawdzie, jak już wiemy, oddawna znane, ale próba sformułowania ich w system, ale bezwzględne sposoby ich wygłaszania, bicie w dzwon alarmu na ratunek i upatrywanie zbawienia w tych właśnie systemach, szczerość w piętnowaniu brudu, fałszu i obłudy, ból prawdziwie cierpiącego serca, grożenie nieodmiennemi prawami Pisma św., setki dowodów historycznych opłakanych skutków niestosowania tych praw, przemawianie do sumień i wskazówki odmiany życia dla ratowania rzeczypospolitej, warunkowanie jej egzystencji jednością religijną, prawem Bożem, wzorowaniem się na Królestwie Chrystusa — wszystko to było nowe, świeże, niespotykane, wszystko też odbić się musiało w opinji donośnem echem. Stąd te powszechnie utarte pochwały dla stylu i talentu Orzechowskiego, bezwzględny poklask dla jego poglądów u kleru katolickiego i u przyjaciół, ześrodkowany w takiej np. opinji Dudycza: „Przyznaję ci wszystkie najwyższe doskonałości, przekonany w gruncie mojego umysłu, że się jeszcze nie narodził, ktoby się mógł z tobą mierzyć",[1]) czy też w opinji Hozyusza o *Chimerze*. A zważmy jeszcze na spopularyzowanie poglądów Orzechowskiego jego sprawą małżeńską, dzięki której nawet w obozie różnowierców mógł mieć pewne względy.

[1]) Ossolińsk. II s. 175.

W każdym razie wpływ naszego *Demostenesa* na ówczesne rozjątrzenie waśni religijnych musiał być ogromny. Z taką siłą, z taką wiarą, z takim zapałem i tak pysznym stylem nie przemawiał nikt dotąd. On pierwszy, „Cycero prawdziwy", uderzył w społeczeństwo, ocknął z letargu duchownych, powołał do życia zdeptany katolicyzm, nauczył odwagi i szczerości w wypowiadaniu przekonań. Znaczenie też pierwszorzędne umocnienia władzy królewskiej przez wskazanie jej Boskiego pochodzenia, w czasach silnie już rozwiniętych wolnościowych tendencyj szlacheckich, jemu również przedewszystkiem przypisać należy.

Nie znaczy to bynajmniej, by Orzechowski propagował rządy despotyczne. Rozumiał on dobrze, że tą drogą nie zaskarbi sobie łask szlachty. Toteż już w *Politji* zaznacza, że Rzeczpospolita nie może być żadną miarą monarchją ani oligarchją. Interesujące, że dopiero w XVI-ym w., kiedy reformacja i kiełkująca swoboda szlachty daje asumpt pewnym wolnościowym aspiracjom, poczyna się i katolicyzm ku nim skłaniać, ale co ciekawsze dla nas, że dzieje się to pod wpływem Orzechowskiego. W tem właśnie dostrzegam znaczenie szczególne jego systemu.

Zauważmy bowiem, że pisarze katoliccy, których poglądy teokratyczne szkicowałem w I-ym rozdziale, solidaryzowali się zawsze z ustrojem monarchji absolutnej. Dodajmy do nich takich jeszcze, jak np. Chryzostom, Waltram z Namenburga, Tomasz Becket, Izydor Polanus, Hugo z Florencji, Leopold de Rehenburg, Piotr Audio etc. Jedynie św. Tomasz nie umiał pogodzić katolicyzmu z despotyzmem. Pierwsi jednak dopiero obszernie Suarez[1]) i Bellarmin[2]) w dobie po wystąpieniu Orzechowskiego, zwrócili uwagę, że władzę można dzielić na: panowanie monarchy lub bezwzględne rządy ludu, i to w takim właśnie pochodzącym od Boga ustroju państwowym. Suarez z samego właśnie systemu teokratycznego wyprowadza taki podział. Biorąc za naczelną zasadę słowa Pisma św.: *Non est potestas nisi a Deo,* wywodzi wogóle początek wszelkiej władzy od Boga

[1]) *Tractatus in legibus ac Deo legislatione.*

[2]) *De summo pontifice capite totius militantis Ecclesiae* 1586.

w ustrojach pierwotnych społeczeństw. Stąd jednak w późniejszem kształtowaniu się państw, można zdaniem jego, wysunąć dwie doktryny: jedną sprzyjającą despotyzmowi, drugą — nieograniczonej wolności ludu. Analogicznie Bellarmin. Obaj teoretycy - katolicy i zwolennicy teokracji, jakkolwiek monarchiści, przyznają jednak wyższość ludu, przez którego pośrednictwo przechodzi władza od Boga na monarchę, który dopiero wówczas staje się panem absolutnym. A już następni pisarze katoliccy, zwolennicy supremacji Kościoła nad państwem, wypowiadają wybitnie republikańskie zasady. Poglądy swe wypowiadają w końcu XVI-go i na początku XVII-go stulecia, a więc po wystąpieniu Orzechowskiego i to w takim czasie, kiedy system naszego autora znany był już wszędzie. A więc np. Wilhelm Rose dowodzi m. in.: „Jeżeli państwo *(respublica)* przyjmuje formę rządu monarchiczną, to król, osiadły z woli ludu, nic bez tej woli poczynać nie powinien. Prawa ludu trwają bez przerwy, dobra publiczne są jego własnością, lud ma moc modyfikowania i ograniczania monarchji, jak mu się tylko podoba, a to ze służącego mu prawa od Boga i od natury.[1]) Jan Boucher mówi w tej sprawie m. in. w ten sposób: „Państwo *(Respublica)* i lud, ustanawiając monarchę, nie zrzekają się bynajmniej swej zwierzchności, owszem — zachowują zawsze swą władzę nad obranym królem. Bóg, lud i król umawiają się wspólnie — król może zmuszać lud do szanowania praw Boga, ale lud ma tąż samą władzę nad królem".[2]) Tego rodzaju poglądom nie byli nawet przeciwni jezuici z Janem Mariana na czele, wedle którego: „Władza królewska pochodzi od ludu, jest zatem od niego zależna. Absolutną żadna władza być nie może, niepodobna bowiem sądzić, aby wszyscy obywatele państwa wyzuli się dobrowolnie z pierwotnie służącego im prawa i oddali władzę jednemu bez zastrzeżeń, bez wyjątków, bez gwarancji żadnej. Przecież widzimy, że w Sparcie, Rzymie i Aragonji lud ustanowił przestrzegaczy swych praw, którzy władzę króla

[1]) *De iusta reipublicae Christianae in reges impios authoritate* 1590 r.
[2]) *De iusta Henrici III abdicatione e Francorum regno* 1581 r.

we właściwych trzymali granicach".[1]) Przykładów takich możnaby mnożyć wiele.

Otóż tego rodzaju poglądy uprzedził w swych teokratycznych systemach Orzechowski, ten najwybitniejszy propagator katolicyzmu epoki humanistycznej. Już w *Chimerze* rozprawia nasz autor o królu, jako obrońcy wolności. Zaznacza przytem, że ustawy Stankara biją przedewszystkiem dlatego w istnienie Rzeczypospolitej, iż godzą w jej wolność. Ale, jak już wspominałem, największą ilość tych poglądów znajdujemy w *Politji*. Czytamy więc tam m. in., że Rzeczpospolita Polska jest ustrojem przeciwnym tyranji, co zawdzięcza postanowionemu przez Boga kapłanowi, który hamuje zachcianki królewskie. Król przez to nie może być despotą, a z drugiej strony, również zawdzięczając temu, nie może królestwo polskie wpaść w rządy motłochu, które Orzechowski nazywa drugim rodzajem tyranji. W tejże *Politji*, jak również w *Quincunxie* i w *Apologji Quincunxa* znajdujemy szerokie wywody o wolności królestw w porównaniu z niewolą księstw. Autor dowodzi, że królestwo jest symbolem wolności, bo ma prymasa, koronującego króla, któremu król składa śluby i od którego władzę przyjmuje. Król obowiązany jest wypełniać śluby, gdyż w przeciwnym razie dostałby upomnienie od prymasa. Poddani lub uciśnieni mogą się więc w każdej chwili zwrócić ze skargą na króla a wskutek tego posiadają najwyższą i prawdziwą wolność. Król nie może ich niesprawiedliwie karać. Natomiast w księstwach panują książęta nieodpowiedzialni przed nikim i „podobają sobie w ucisku poddanych". Poddani znosić muszą wszystkie kaprysy i zachcianki księcia, jego nadużycia i bezprawia, czyli są niewolnikami. Toteż w księstwach istnieje tak wielka tyranja, że nieposzanowanie religji i krzywda względem bliźnich jest zasadą władzy. Wskutek tego natura wszystkich księstw, które praw nie mają, jest taka, że poddani przeciw krzywdom ze strony księcia nie posiadają żadnej obrony. Z tego właśnie wyprowadza Orzechowski pojęcie wolności i niewoli. Księstwo i królestwo są rzeczy prze-

[1]) *De rege et regis institutione* 1599—1603 r.

ciwne, jednej bez drugiej zrozumieć i pojąć nie można. „Bo w jakiż sposób mógłbyś powiedzieć, że wolność jest właściwością księstwa?“ [1]) Więcej jeszcze: *Libertas extra regnum nusquam est.* [2]) etc. etc. Orzechowski źródło wolności królestwa polskiego upatruje w ustroju teokratycznym, gdzie kapłan krępuje monarchę w jego despotycznych zapędach i broni naród od zagłady tyranji. W ten sposób Orzechowski zapoczątkował bezwiednie przyszłe warcholstwo szlacheckie, które, nie słuchając kapłanów, szukało tylko dla siebie przywilejów. Znaczenie systemu teokratycznego Orzechowskiego jest więc, jak widzimy, ogromne. Z jednej strony autor nasz jest w systemach tych zupełnie konsekwentny. Różnowierców nienawidzi całą duszą; to czego nabył w dzieciństwie, a co umocnił ostatecznie w Rzymie, co go podnosiło i porywało — to były zasady katolickie. Najpełniejszym wyrazem tych uczuć stały się u autora *Quincunxa* poglądy teokratyczne. O konieczności jedności religijnej, warunkującej jedność polityczną naszego państwa, pisało wielu (np. Łaski, Modrzewski), ale Orzechowski pierwszy wyraźnie powrócił do katolicyzmu, „jedynego wyznania naszych przodków“, i wysunął je jako konieczny postulat dla króla, jeżeli monarcha nasz dąży do potęgi ojczyzny. Z drugiej strony, znając charakter szlachty, rozumiał dobrze i wyczuwał „brat z Rusi“, że ustrój monarchji absolutnej nie da się długo utrzymać. Dlatego, schlebiając duchowieństwu, wynosi władzę prymasa do najwyższej godności i krępuje nią despotyzm króla, co daje asumpt do budowy całego systemu teokratycznego. W systemie tym pragnie jednak widzieć nadto u władzy szlachtę, a stąd usiłuje zarazem pogodzić katolicyzm z zasadami mniej lub więcej republikańskiemi. Republiką jednak dla Orzechowskiego jest tylko szlachta, której imponował nadto swym fanatyzmem, odwagą, wreszcie wichrzeniem w sprawie małżeńskiej. Niestety tu okazał się nasz autor typowym przedstawicielem warcholstwa tej szlachty, która najsłabszą stronę swego charakteru dała w przyszłości ojczyźnie.

[1]) *Orich.* s. 631.
[2]) Ibid. s. 633.

Mieczysław Skibniewski.

Budowa materji.

I. Świat atomów.

„Wszystko, co widzimy, to tylko pozór, rzeczywistość jest inna".
K. Flammarion.

Rozwój nauk ścisłych w ogólności, a fizyki w szczególności okazuje pewien charakterystyczny rys. Gdy kilkaset lat przed Chrystusem potężny umysł Arystotelesa począł podpatrywać tajniki przyrody, dociekania fizyczne były tylko fragmentem jego prac filozoficznych. Pojęcia fizykalne były pojęciami filozoficznemi. U innych znów (Archimedes) fizyka była wynikiem rozważań czysto geometrycznych, związana była z prawami geometrji i matematyki, lub wreszcie — jak w optyce starożytnej — była zastosowaniem geometrycznych praw prostolinijnego rozchodzenia się światła. W innych dziedzinach fizyki (ciepło, elektryczność) znane były starożytności tylko zjawiska najprostsze, ale zjawiska te wydawały się tak tajemniczemi i osobliwemi, że nie kuszono się prawie o ich wyjaśnienia.

Z biegiem jednak czasu w tym konglomeracie pojęć filozoficznych, geometrycznych i fizykalnych zaczynają się powoli różniczkować poszczególne gałęzie wiedzy a równocześnie i poszczególne działy fizyki. Wiedza fizyczna, oparłszy się o eksperyment, porzuca niepotrzebny wówczas balast scholastyki starożytnej, metody zaś indukcyjnego i dedukcyjnego myślenia wymagają osobnego traktowania matematyki i geometrji, które doskonaląc się odzielnie stają się tylko narzędziem w badaniach fizycznych. Wyodrębniwszy się w ten sposób fizyka różniczkuje się dalej na poszczególne

swe działy. I tak doskonali się mechanika ziemi i niebios (Galileusz, Newton, Keppler), zaczyna się odrębnie rozwijać nauka o cieple, dołącza się tu nowy dział alchemji średniowiecznej, prototypu późniejszej chemji, optyka zagłębia się w zupełnie odrębny świat badań natury światła (teorje falowa i emisyjna), wreszcie najpóźniej powstała, lecz daleko szybciej od innych rozwijająca się nauką o elektryczności i magnetyźmie doprowadziła do całkiem odmiennych koncepcyj i metod badań naukowych. Ogrom poznanych zjawisk i praw pociągnął w ostatnich czasach z konieczności rzeczy specjalizację uczonych w pewnych tylko działach fizyki.

Lecz myliłby się ten, ktoby sądził, że imponujący dzisiejszy rozwój fizyki polega na rozczłonkowaniu się materjału na coraz to drobniejsze działy i fragmenty. Jakgdyby z jednego pnia starożytnej filozofji przyrody wyrosło olbrzymie drzewo z poszczególnemi konarami, gałązkami, listkami i kwiatami, wrażliwemi na zewnętrzne podmuchy. Tak nie jest, bo oto równocześnie z rozczłonkowaniem się działów fizyki daje się zauważyć proces wręcz przeciwny. Poszczególne dziedziny fizyki okazują zrazu pewne analogje, później podobieństwa, później dziwne identyczności, by wreszcie złączyć się jak najściślej ze sobą. Pierwsza ulega temu procesowi nauka o cieple i dziś wiemy, że ciepło jest tylko pewnym rodzajem ruchu, że się więc da w całości sprowadzić do mechaniki i mierzyć centymetrem, gramem i sekundą. A dalej światło okazało zadziwiające podobieństwo do ruchu fal na wodzie lub do zjawisk głosowych. Dziś wiemy, że ów hipotetyczny, geometryczny promień świetlny, to tylko ślad drogi zaburzenia falowego, biegnącego w eterze na podobieństwo fal na wodzie lub że np. barwa to tylko akord tonów świetlnych na podobieństwo akordu tonów muzycznych. Ujawniające się tu i ówdzie analogje pomiędzy napozór całkiem odrębnemi zjawiskami fizycznemi zaczęły się mnożyć i potęgować, tłumaczyć nieprawdopodobieństwa, wyjaśniać sprzeczności. Rozwijająca się w nadzwyczajnie szybkim tempie w ostatnich dziesiątkach lat nauka o elektryczności sprowadziła wszystkie inne działy fizyki do wspólnego mianownika, dzisiejszy nowoczesny podręcznik chemji, optyki, ciepła czy astronomji musi się z konieczności oprzeć na ele-

mentarnych zjawiskach elektryczności. A więc nie drzewo, wyrosłe z jednego pnia, ale potężna rzeka, która rozczłonkowawszy się w liczne ramiona delty wpada do wspólnego morza — albo lepiej potężny, nieuregulowany strumień, który przepuszczony wolą człowieka miljonami drobnych kanalików przez dziejowy filtr naukowych, krytycznych badań i precyzyjnych narzędzi oczyszcza się tam ze swych niepotrzebnych naleciałości, łączy zpowrotem na mocarny nurt kryształowej wody, z której każdy czerpać może dowoli.

Tak więc z wysiłków setek ludzkich pokoleń i genjuszów, z krzesanych mozolną pracą cegiełek powstał olbrzymi gmach fizyki współczesnej. Gmach ten nie jest jednak wykończony. Wiele jeszcze będzie trzeba wykonać w nim przeróbek i niewiadomo czy i kto w nim mieszkać będzie. To jest jednak pewne, że był z planem budowany, że jest jednolitym, że posiada jednolite fundamenta, na jakie tylko stać dzisiejszych budowniczych. A tym fundamentem, o którym niepodobna zapominać stojąc, nawet na najwyższem piętrze, fundamentem, który — jak dotychczas — nie zachwiał się — są w i a d o m o ś c i o b u d o w i e m a t e r j i — będące ową spójnią, łączącą i podtrzymującą nieraz najodleglejsze i napozór odmienne działy fizyki, będące dziś abecadłem dla każdego, kto tylko w tajniki dzisiejszej fizyki dostać się pragnie.

Czy gąbka jest porowatą? Zapewne, wszak pory widać gołem okiem, mogą one nasiąkać wodą. Czy drzewo jest porowatem? Przecież pór nie widać? Tak, ale pod mikroskopem zobaczyć można poszczególne włókna, między któremi muszą być miejsca wolne. Wszak pień dębu, o którym mówimy, że jest twardy i zbity, nad którego rozcięciem mozolić się musi rębacz czy stolarz nad struganiem jest przecież niczem innem, jak arterją komunikacyjną, którą drzewo czerpie soki roślinne z ziemi i doprowadza do ostatniego listeczka na szczycie. A więc drzewo musi być również porowate, choć okiem pór nie widzimy. A czy woda, szkło, żelazo, powietrze są również porowate? Okiem niepodobna osądzić a przez mikroskop zobaczymy w powietrzu cząstki pyłu, w wodzie mikroby lub ciała w niej nierozpuszczalne, w szkle

jego zanieczyszczenia, lecz to, co widzimy, są właśnie domieszki wody, szkła, powietrza, a nie one same. Czyste szkło, woda, powietrze nie da się zbadać nawet najpotężniejszym mikroskopem. Lecz wiemy przecież, że woda, szkło, żelazo pod wpływem ciepła rozszerzają się, pod wpływem zimna kurczą się, nie zmieniając przytem swego ciężaru. Czy można logicznie przypuścić, aby przy kurczeniu się żelaza część masy żelaza wchodziła w drugą? Chyba nie. Jeżeli żelazo się kurczy, to dlatego, że widocznie cząsteczki żelaza zbliżają się ku sobie, musiały więc być przedtem oddalone, innemi słowy w kawałku żelaza muszą być również miejsca wolne, żelazo musi być również porowate, skoro się może kurczyć lub rozszerzać. Wrzucamy do szklanki herbaty kostkę cukru o objętości 10 cm^3. Czy objętość herbaty posłodzonej będzie większa? Niewątpliwie. Ale czy większa o 10 cm^3? Dokładne pomiary stwierdziły, że nie o 10 cm^3 lecz mniej. Innemi słowy cząstki cukru wkręciły się teraz między cząstki wody i wypełniły częściowo istniejące między niemi miejsca wolne. Litr najczystszej wody i litr czystego alkoholu nie dadzą 2 litry mięszaniny, lecz cokolwiek mniej, choć ciężar pozostanie ten sam.

Te i podobne rozważania doprowadzają do wniosku, że nietylko woda, szkło i powietrze, ale każda materja jest porowatą, jest w większej lub mniejszej mierze gąbką.

A więc coś nakształt sieci rybackiej lub może sera szwajcarskiego? Ilościowe prawa chemji, których rozbiór za dalekoby nas tu na tem miejscu zaprowadził, zaprzeczają temu. Że każda materja nietylko jest porowatą, ale ma strukturę ziarnistą, przeczuwali już filozofowie greccy. Dzisiejsza fizyka twierdzi, że każde ciało składa się z drobniutkich cząsteczek, zwanych atomami, które się ze sobą nie stykają, między któremi są miejsca wolne. Spalamy węgiel w piecu. Węgiel składa się z oddzielnych atomów, mających wielkie powinowactwo chemiczne do atomów tlenu, znajdującego się w powietrzu, doprowadzanem do pieca. Lecz atom tlenu jest inny, bo o $^1/_3$ cięższy od atomu węgla. Palenie się węgla jest jego łączeniem się z tlenem, a to łączenie może się

odbyć np. w ten sposób, że jeden atom węgla połączy się z jednym atomem tlenu. A więc i miljon atomów węgla z miljonem atomów tlenu i da miljon cząsteczek tlenku węgla (czadu), a ponieważ ten miljon atomów tlenu jest także o $^1/_3$ cięższy od miljona atomów węgla, więc ten stosunek ciężarowy $1 : 1^1/_3$ musi być zawsze utrzymany (w chemji: prawo stałych stosunków). Gdybyśmy np. 1 gr węgla usiłowali połączyć z $1^2/_3$ gr tlenu, to $^1/_3$ gr tlenu pozostanie niepołączona, nadmiar atomów tlenu nie znajdzie sobie atomów węgla. Lecz możnaby przypuścić — jak jest w rzeczywistości — że jeden atom węgla, w innych warunkach, połączy się z dwoma atomami tlenu, dając inne ciało: dwutlenek węgla, którym orzeźwiamy się pijąc np. wodę sodową. Ale w takim razie ilość tlenu w tem nowem połączeniu (w dwutlenku węgla) musi być na wagę dokładnie dwa razy większa od ilości tlenu w tlenku węgla (w chemji: prawo stosunków wielokrotnych). Inaczej być nie może. Wielokrotnie sprawdzane podstawowe prawa chemji każą z nieprzepartą logiką wnioskować, że świat widzialny składa się z samodzielnych, niepodzielnych i niewidzialnych atomów, które się ze sobą nie stykają. A więc nie sieć rybacka, o której Irlandczyk powiada, że składa się z pewnej ilości dziur, powiązanych nićmi. Trzeba sobie wyobrazić, że z tej sieci wycięto wszystkie łączące nici tak, aby tylko same węzełki pozostały. Jak granitowa skała zdaje się być zdaleka jednolitą i ciągłą — lub lepiej: jak chmura unosząca się w błękitach zdaje się być jednolitą masą, a w rzeczywistości zaś składa się z drobniutkich kropelek wody swobodnie bujających, tak i każda materja, choć twarda i wytrzymała, napozór jest tylko jednolitą, w rzeczywistości to garść piasku lub lepiej: to rój komarów.

Masz w tej chwili, cierpliwy czytelniku, papier tej książki przed sobą położony na drewnianym stole. I usiłują cię przekonać, że ten papier, ten stół składa się z luźnych, nie stykających się ze sobą atomów. Czy to możliwe? Czemu w takim razie ta książka nie rozleci się w kartki, kartki na strzępy, strzępy na litery, a litery nie rozpłyną się w nicość, jakby być musiało, gdyby się składały z luźnych, niczem nie

związanych atomów? I tutaj teorja atomowa żąda odpowiedzi. Dlaczego kropla atramentu trzyma się zanurzonego weń pióra? Dlaczego dwie czyste płytki szklane ściśnięte, przylegają do siebie? Dlaczego ziemia poruszając się z szybkością 30 km na sek. nie odleci od słońca, a księżyc od ziemi? Dlaczego księżyc może na odległość poruszać wody naszych oceanów? Powiadamy, że księżyc przyciąga wodę naszych mórz i jest nawzajem przez ziemię przyciągany. Każda materja jest obdarzona niewytłumaczoną do dziś dnia własnością przyciągania drugiej materji z odległości. Przyciąganie to objawia się w ten sposób, że umożliwia ruch ziemi naokoło słońca, czy też przyczepia atrament do pióra, czy powoduje przyleganie płytek do siebie, czy też wreszcie objawia się spoistością każdego ciała stałego na ziemi. Drobniutkie atomy również tą samą siłą się przyciągają i aczkolwiek siła ta maleje raptownie z odległością, to jednak atomy są w takich odległościach od siebie, że siły te powodują spoistość papieru, twardość i wytrzymałość żelaznego mostu i t. p. Przy przecinaniu deski piłką nie rozdzieramy bynajmniej materji samej, niepodzielnych atomów mechanicznie rozedrzeć się nie da, możemy je tylko oddalić od siebie na takie odległości, aby, praktycznie mówiąc, się nie przyciągały. Istnieje więc w każdej materji niewidzialna siła skupiająca niewidzialne atomy, które się przyciągają, lecz tylko na niewielkie odległości.

A jeżeli tak, to — przyciągając się — dlaczego nie zetkną się tak ze sobą, że miejsc wolnych między nimi nie będzie? Uderzmy ręką w zamknięty fortepian. Odezwie się. Zadrgają wszystkie struny i przez pewien czas dźwięczeć będzie ich pomruk niezadowolenia, że w tak brutalny sposób zmącono ich ciszę. Stalowym młotkiem uderzamy o stalowe kowadło. Młotek jako całość zatrzymał się, znikła jego energja ruchu, lecz nie znikła bez śladu. Atomy na powierzchni kowadła wstrząśnięte masą młotka poruszać się zaczną, zaczną potrącać otaczające inne atomy, a gdy uderzymy młotkiem raz, drugi i dziesiąty i setny, ruch atomów i kowadła i młotka zacznie się rozprzestrzeniać wszerz i wgłąb. Ruchu tego — jak i atomów — zobaczyć niepodobna, lecz

można go wyczuć. Dotknijmy ręką kowadła po pewnym czasie uderzania. Uczujemy wyraźnie ciepło. Oto rozedrgane atomy kowadła, choć maleńkie i niewidzialne, uderzać będą o końce naszych nerwów, które nam doniosą do mózgu wrażenie, że kowadło, że piec, w którym napalono — są ciepłe. To więc, co nazywamy temperaturą, jest w istocie rzeczy ruchem atomów, ciepło, to ich energja ruchu. Na rozpalonej płycie pieca kuchennego stoi naczynie z zimną wodą. Drgające intensywnie atomy płyty uderzają o atomy dna naczynia, a te o cząsteczki wody, powiadamy: woda się „ogrzewa", może się nawet zagotować. „Gorącą" wodę wlewamy do flaszki i wkładamy do zimnego łóżka. Teraz silnie drgające cząsteczki wody wprawiają w ruch cząsteczki naszego ciała, „ogrzewają" je, same przy tem tracąc na energji ruchu: woda się „oziębia".

A ponieważ każde ciało, z którem mamy na ziemi do czynienia da się oziębić, więc ruch atomów musi w niem zawsze istnieć — nawet w normalnej temperaturze, — skoro da się bodaj częściowo zahamować. Stąd wniosek logiczny, że niema ciepła i zimna, lecz jest tylko więcej ciepła lub mniej ciepła. Oziębiać każdego ciała nie można bez końca, przy hamowaniu bowiem ruchu atomów przychodzi wreszcie kres, kiedy atomy się już wcale nie poruszają. Jest to t. zw. temperatura bezwzględnego zera, według powszechnie używanej skali — 273° C. Cieszymy się z uścisku serdecznej dłoni. Lecz to, co czujemy, to czyste złudzenie, rzeczywistość jest inna. We wzajemnym uścisku dłoni doznajemy tylko wrażenia ruchu atomów wzajemnie się uderzających. i gdybyśmy się znaleźli gdzieś w przestrzeniach międzyplanetarnych, zdaleka od wszystkich słońc i gwiazd, skostniałe w temperaturze bezwzględnego zera dłonie nie odczułyby się wzajemnie, nietylko dlatego, że zamarł nerw czuciowy i mózg, ale przedewszystkiem dlatego, że zamarł wieczysty ruch atomów, choć ilość ich i rodzaj nie uległ zmianie, dłoń pozostała dłonią.

Przy tarciu, kuciu, rznięciu i t. p. powstaje ciepło (zamiana pracy mechanicznej na ciepło), lecz możemy sobie wyobrazić i proces odwrotny. Oto kula żelazna, składająca się z atomów, drgających bezładnie na wszystkie strony.

Gdybyśmy mogli w jakiś sposób zawładnąć ruchem atomów tej kuli, by je zwrócić wszystkie w jedną stronę, wówczas cała kula ruszyłaby z miejsca, lecz równocześnie atomy te nie poruszałyby się względem siebie, kula straciłaby całkowicie swą temperaturę, mielibyśmy zamianę ciepła na ruch. Do stalowego walca roboczego lokomotywy kolejowej wpuszczono gorącą i ściśniętą parę wodną. Pod wpływem nieprzeliczonych uderzeń atomów pary drżą ściany walca. I pod tym samym naporem umieszczony w walcu tłok usuwać się zaczyna, wprawia w ruch koła i pociąg cały. Za usuwającym się tłokiem porusza się i para, chaotyczny ruch atomów pary zostaje — bodaj częściowo — zwrócony w jedną stronę, lecz przytem para rozprężając się — oziębia się, kosztem wytworzonego w lokomotywie ciepła otrzymujemy pracę, potrzebną do poruszenia całego pociągu.

Tak więc wszystkie ciała, które nas otaczają i my sami zbudowani jesteśmy z atomów, które się nie stykają, które się przyciągają, a które są w ustawicznym ruchu względem siebie. Ruch ten zależy od temperatury i dzięki temu ruchowi atomy ciała stałego, przyciągając się, nie mogą skupić się na masę ciągłą bez przerw. Od wzajemnego ustosunkowania się ruchu atomów, jako siły rozpierającej z jednej strony i wzajemnego przyciągania jako siły skupiającej z drugiej strony zależy stan skupienia ciał: stały, ciekły i gazowy.

W świątyni Pańskiej zbity tłum ludzi. Patrząc nań gdzieś z pod sklepień chóru zobaczyć możemy każdego zosobna. Widzimy, że porusza się, skłania głowę, klęka. Lecz niesposób mu wyjść z tłoku, lub nawet zmienić miejsce w kościele. Tłum go umiejscowił na pewien okres czasu. Oto obraz budowy ciała stałego, w którem atomy są tak blisko siebie, że silnie się przyciągają. Każdy atom drga w ściśle określonem miejscu, którego sam zmienić nie może, obija się o otaczające i wiążące go atomy. Ciało stałe powiadamy ma określony kształt, jest wytrzymałe jak żelazo, twarde jak diament, sprężyste jak stal, plastyczne jak miedź, kruche jak szkło. Spójność przeważa nad ruchem.

W cokolwiek innem położeniu znajdują się atomy na powierzchni ciała stałego. Wszak przypuścić można, że ten i ów atom drgający i tak sam przez się, pchnięty przypadkowo przez swego sąsiada od dołu może osiągnąć taką energję ruchu, że zdoła pokonać przyciąganie wszystkich swych sąsiadów od dołu, oderwać się i wkręcić między atomy otaczającego go powietrza. Byłoby to parowanie ciał stałych. Wszak nikt się nie dziwi, że mokra bielizna zawieszona na mrozie na strychu naprzód zamarznie, a później wyschnie, że w stolarni czuć swoisty zapach drzewa, a w ślusarni żelaza, że ktoś „znikł jak kamfora" lub że powonienie nasze ujmuje jedną sześciuset miljonową część miligrama merkaptanu w powietrzu. Ciała więc stałe istotnie — choć w wielu wypadkach słabo — parują.

W zamknięty, skłębiony tłum więźniów rzucił ktoś żagiew buntu. Rozpalają się głowy, prężą ramiona. Uśpiona dotychczas ich energja wyzwala się i dąży nazewnątrz, może wspólnym wysiłkiem wyważyć bramy, może nawet obalić mury więzienia. Nieskoordynowany nawet ich ruch wściekłości może mieć zgubne skutki dla otoczenia. Ogrzewa, ktoś kulę żelazną. Ogrzanie, wszak to tylko wzmożenie energji ruchu atomów, wzmożony ruch spowoduje w konsekwencji oddalenie się atomów, powiemy kula zwiększy swą objętość, a jak potworne mogą być przy tem siły rozpierajace, niech tylko przykładem będzie lód, który pod wpływem zmian temperatury kruszy żelazne mosty lub rozsadza granitowe skały.

Lecz biada tym więźniom, gdy wyzwoliwszy się z krępujących ich bram, zapomnieli o tem, że równocześnie każdy ich krok oddala ich od siebie, że wzrastająca ich wzajemna odległość osłabia ich siły. Gdy atomy żelaza pod wpływem ciepła oddalają się od siebie, siła ich wzajemnego przyciągania raptownie maleje, żelazo mięknie, rozpływa się, zamienia się na drugi stan skupienia: ciecz. W cieczy istnieje mniej więcej równowaga między spójnością a ruchem molekularnym. Jeszcze się atomy przyciągają, ale równocześnie za słabo, by utrzymać określony kształt całego ciała, stąd ciecz posiada wprawdzie określoną objętość, lecz przybiera kształt naczynia, w którem jest zawarta. Każdy

atom wykonuje również ruch drgający około pewnego stałego punktu, lecz ruch ten odbywa się na daleko większych przestrzeniach, atom można łatwiej przenieść na inne miejsce w obrębie cieczy: ciecz daje się zamięszać. Atomy na powierzchni cieczy mogą się daleko łatwiej odrywać: ciecze parują szybciej, niż ciała stałe.

Przejdźmy się w letni pogodny wieczór nad wilgotną łąką. Zobaczyć tam możemy chmurę komarów. Chmura ta jako całość może pozostawać w miejscu, choć poszczególne komary przelatywać będą w jej obrębie jakieś nieobliczalne, zygzakowate drogi, mieszając się ustawicznie ze sobą. Oto mamy obraz każdej materji w trzecim stanie skupienia: w stanie gazowym. Gdy w cieczy zwiększymy przez ogrzanie ruch atomów, mogą się one tak oddalić, że już wzajemnie się przyciągać nie będą, ciecz wyparuje, zamieni się na gaz. Tutaj ruch przeważa nad spójnością, każdy atom raz w ruch wprawiony porusza się naoślep po linji prostej, dopóki nie zderzy się z innym, który zwichnie jego drogę i w ten sposób wszystkie atomy poruszając się chaotycznym, zygzakowatym ruchem mięszają się ustawicznie ze sobą. Rój komarów w całem tego słowa znaczeniu z jedną tylko różnicą. Oto rój komarów nie jest otoczony żadnem naczyniem, przypadek czy jakaś inna przyczyna trzyma je chwilowo razem. Gaz wstawiono w próżnię, rozprószyłby się momentalnie, wstawiony w inny gaz (np. w powietrze) zmięszałby się z nim (dyfuzja gazów) lub wreszcie zamknięty w jakiemś naczyniu bombardować będzie swemi atomami ściany otaczającego go naczynia, a my mówimy wówczas, że wywiera ciśnienie na wszystkie ściany naczynia i że przyjmuje dowolną objętość, jaką mu damy. Rój komarów, w którym zniknie przyczyna, wiążąca je chwilowo w wspólną gromadę.

Jesteśmy w tej chwili w domu. Widzimy wokół siebie otaczające nas przedmioty, stół, meble, dywany, ściany. „Lecz to, co widzimy, to pozór, rzeczywistość jest inna. Gdyby oczy nasze posiadały potęgę widzenia rzeczywistości, widziałyby wiry atomiczne nawskróś murów, nawskróś naszych ciał. Nasze oczy cielesne nie widzą tego, co jest.

Patrzeć należy nie zmysłem, lecz umysłem, a nie ufać świadectwu zmysłów: wszak tyleż gwiazd jest ponad naszemi głowami za dnia, co i w nocy. Co widzimy, jest złudne, rzeczywistość jest inna". [1])

Nie dziwmy się jednak, że drogą matematycznych rozumowań obliczono, że w główce szpilki jest nie mniej jak 10000000000000000000 t. j. 10 miljonów biljonów atomów. a atomy te są podzielone jedne od drugich odstępami znacznie większemi, aniżeli ich własne wymiary, i ani atomów, ani odstępów nie możemy dostrzec nawet przez najpotężniejsze mikroskopy. Że gdybyśmy policzyć chcieli atomy zawarte w główce szpilki, wydobywając je myślą miljon co sekundę, musielibyśmy działanie to prowadzić przez 340.000 lat, aby rachunek ukończyć.

Nie dziwmy się dalej, że w lampce radjowej, w której — jak mówimy — jest próżnia, gdyż najlepsze dzisiejsze pompy rozrzedzają powietrze do jednej miljonowej normalnej gęstości — znajduje się jeszcze z górą 3 tysiące biljonów atomów powietrza, które się tam poruszają — mówiąc przeciętnie — z szybkością kuli karabinowej t. j. ponad 800 m. na sek. i że każdy atom w tej lampce ma tyle miejsca, ileby miała cała lampka w objętości kuli ziemskiej.

Nie jest więc przesadzonem twierdzenie, że to, co widzimy, to pozór, rzeczywistość jest inna. Kto umie patrzeć na świat, ten nie wie, co znaczy słowo „nuda". Zrozumie tę opowieść, wedle której student, który zobaczył sławnego profesora i uczonego ze łzami w oczach i na zapytanie, dlaczego płacze, usłyszał odpowiedź: „Bo atomy są tak małe!" Dymiąca herbata, w której rozpuszcza się kostka cukru, palący się papieros lub rój komarów na łące — zjawiska, nad któremi ogół obojętnie lub wręcz lekceważąco przechodzi do porządku dziennego, będą dla niego zjawiskami cudów, jakiemi przyroda w najpierwotniejszych swych dziwach się objawia.

---

[1]) K. Flammarion.

(Dokończenie nastąpi).

Feliks Rapf.

Trzy życia Pawła von Hindenburg.

I.

Zadziwiająca doprawdy rzecz ta potrójna egzystencja najpierw przeciętnego generała pruskiego, potem najpopularniejszego z wodzów niemieckich Wielkiej Wojny i następnie feldmarszałka, a wreszcie prezydenta Republiki niemieckiej. Dziennikarz amerykański, T. R. Ybarra, stara się odmalować nam o ile możności bezstronnie ten długi i dziwny żywot, choć czuje się mimowolny szacunek i podziw dla potężnej indywidualności Hindenburga w całej książce. Podziwowi zresztą trudno się obronić, gdy się pomyśli, że Hindenburg wygrywał bitwy i prowadził jedną z największych wojen świata w wieku, w którym wielu ludzi uważa życie swe za skończone. W 1914 roku, Hindenburg ma 67 lat skończonych i jest już od pewnego czasu na emeryturze.

Niemcy a właściwie legenda Wielkiej Wojny niemiecka zrobiła z niego istnego boga wojny, coś w rodzaju nowoczesnego Wotana germańskiego, i legenda nie była tym razem zbyt daleką od prawdy: Hindenburg pochodził z rodziny, gdzie nie pojmowano innego celu w życiu prócz wojny i uczono się jedynie rzemiosła wojny. Że karność, poczucie pewnego rodzaju obowiązku, szybka decyzja i stanowczość, musiały być pierwszemi „cnotami" takich ludzi, o tem niema dwóch zdań. Dziennikarz amerykański notuje, że gdy raz w gronie dziennikarzy-korespondentów zagranicznych zastanawiano się, dlaczego właśnie Hindenburg, a nie kto inny stał na czele Niemiec podczas wojny i stoi obecnie podczas pokoju, jeden z korespondentów amerykańskich odpowiada na to krótko i węzłowato, określając największy z przymiotów Hindenburga: „Charakter". Ale charakter Hindenburga składa się właśnie z wyżej wyszczególnionych zalet czy „cnót" wojskowych.

Rodzina Beneckendorf von Hindenburg należała do starej szlachty pruskiej, zawsze wrogiej Polsce, choć może niegdyś, w zamierzchłych wiekach, przed zniemczeniem *per fas et nefas* Prus, płynęła w niej i polska krew. Sam Paweł von Hindenburg urodził się w Poznaniu, gdzie ojciec jego stał naówczas ze swym garnizonem. I ojciec jego i dziadek byli żołnierzami, dziadek bił się przeciw wojskom napoleońskim pod Kulmem i pod Waterloo, za ostatnią z tych bitew dostał Krzyż Żelazny. Zaś bardzo stary sługa rodziny, ogrodnik, służył jeszcze za czasów Fryderyka Wielkiego i lubił o tem opowiadać.

Małego Pawła oddano jako zaledwie jedenastoletniego chłopca do Szkoły Kadetów w Wahlstatt, szkoły starego systemu, gdzie uczono jak najmniej wszystkiego, co nie było wojną i taktyką wojenną. Uczy się dobrze i wzdycha do prawdziwej wojny, jedynego rzemiosła godnego rodu von Hindenburg. Nadchodzi wojna Prus z Danją, lecz Paweł jest jeszcze zbyt młodym, aby wziąć w niej udział, czego serdecznie żałuje. Pocieszy się wkrótce: w r. 1866 wybucha wojna z Austrją i tym razem dziewiętnastoletni Paweł von Hindenburg, który jest już podporucznikiem 3-go pułku piechoty Gwardyj Pruskich, wyruszy na front ze swym pułkiem. Był uszczęśliwiony i w swoim żywiole: podług niego wojna była dlań stanem normalnym. Zapewne tak samo myśleli i wszyscy jego koledzy. Piękny temat do rozważania dla pacyfistów, wierzących w pokojowe chęci niemieckie. Młody oficer miał później w ten sposób określić swe wrażenia z tej pierwszej wojny: „Wojna to jakby kuracja dla jakiejś choroby".

Pod Soor, gdzie błąka się jeszcze wspomnienie Fryderyka Wielkiego, młody oficer pierwszy raz styka się oko w oko z Krwawą Panią — Wojną. Ale chodzi tu ledwie o małą potyczkę. Zato w parę dni później rankiem, o świcie, gdy jego pułk przygotowuje śniadanie, wybucha kanonada. Tym razem to już bitwa i wielka bitwa. Paweł Hindenburg prowadzi żołnierzy na armaty i przy zdobytej baterji pada trafiony w kask. Żołnierze myślą, że poległ, lecz on zrywa się z głową skrwawioną, ale szczęśliwy, upojony swym triumfem, i rwie się do bitwy. Traf chce, że znajduje się zaraz potem we wsi, gdzie już płoną domy, gdzie pada śmiertelnie ranny książę Anton von Hohenzollern, a jeden z otaczających go oficerów wręcza młodemu Hindenburgowi złoty chronometr książęcy, aby nie zaginął podczas ogólnego zamętu. Niema co

mówić: już u wstępu do życia młodzieniec zbiera „piękne" wspomnienia!...

Po tej wielkiej bitwie pod Sadową Hindenburg gotów jest iść dalej, chociaż z obandażowaną głową, na którą nie może przez czas jakiś włożyć kasku. Ale Austrja miała dosyć tej wojny, w której wojska Franciszka Józefa zostały pobite na głowę. Dziwne zrządzenia losu: te same wojska miały pół wieku później walczyć obok pruskich pod wodzą Hindenburga.

Był tedy zawarty pokój z wielkim żalem młodego wojaka. Na pociechę dostanie on order Czerwonego Orła, medal IV-tej klasy i przedefiluje wraz ze zwycięską armją w Berlinie przed królem pruskim. A po czterech latach zaledwie znowu powędruje na wojnę, tym razem francusko-pruską. Trzeci pułk Gwardyj Pruskich przeszedł Mozelę w Pont-à-Mousson i wziął udział w najdramatyczniejszych może bitwach tej kampanji pod Gravelotte i w Saint-Privat. Ta ostatnia była krwawa szczególnie i rozpaczliwa. Choć stracona dla Francuzów, mogą się nią pochlubić. Któż zresztą nie zna choćby z obrazów lub opisów tej bitwy? Nawet ranni i umierający walczyli jeszcze do ostatniej kropli krwi, do ostatniego oddechu. Canrobert bronił się z wściekłością i zarazem bronił armji Bezaine'a, dla zamknięcia której w Metz Prusacy musieli otworzyć sobie drogę w Saint-Privat.

Na pamiątkę tej bitwy adjutant-major Paweł von Hindenburg nazwał swego konia „Saint-Privat", pisząc do swej rodziny, że koń ten oddał mu wielkie usługi podczas bitwy w Saint-Privat. Straty niemieckie były poważne: w pułku Hindenburga poległo 36 oficerów i przeszło 1.000 żołnierzy. Lecz w nagrodę za to było wejście do Paryża, potem koronacja Wilhelma I, cesarza Niemiec, na której znajdował się i młody Hindenburg, jako delegat swego pułku. Dziwiło bardzo oficerów pruskich, że cesarz Napoleon zamiast myśleć przedewszystkiem o własnem bezpieczeństwie, znajdował się z wojskiem pod Sedanem.

Hindenburg miał potem kwaterę w Saint-Denis, owej pośmiertnej stolicy królów francuskich, widział stamtąd Komunę, pożar Paryża i wreszcie, syt szczęścia i chwały, defilował po raz drugi przy triumfalnem wejściu wojsk powracających do Berlina. Nie wiedział, że kiedyś powracać tam będzie po podobnej wojnie... pobity.

A potem już tylko pokój, który tak ciąży Hindenburgowi. Ani na lekarstwo wojny. Najpierw bardzo przyzwoite małżeństwo

z córką pewnego pruskiego generała w Szczecinie, z żoną żył dobrze i był do niej szczerze przywiązany, potem wycieczki do Prus Wschodnich i marzenia o walce z Rosją na tym terenie, potem jeszcze spotkania bardzo zaszczytne, bo z Moltke, naówczas już starcem 80-letnim, i księciem Wilhelmem, późniejszym Wilhelmem II. Następnie komendant von Hindenburg wykłada taktykę w Szkole Wojskowej w Berlinie, potem pułkownik von Hindenburg stoi z 91-szym pułkiem w Oldenburgu. Lata biegną. I wreszcie przeszedłszy przez wszystkie stopnie kolejno, generał von Hindenburg, komenderujący IV-tym korpusem armji, kończy swą karjerę i w 64-tym roku życia jest emerytem, święcie przekonanym, że skończył swą życiową i wojskową karjerę. Siedzi sobie spokojnie z żoną w Hanowerze i wspomina dawne dobre czasy. Aż tu nagle... Serajewo, zatarg austrjacko-serbski... wojna!... Stary generał pisze czem prędzej ofiarowując swe usługi. Ale nie ma żadnej odpowiedzi i z goryczą mówi sobie, że już o nim zapomniano, że są inni, młodsi.

Pewnego dnia stary generał powraca do domu z miasta, gdzie załatwiał osobiście drobne domowe sprawunki. Żona czeka na niego z depeszą w ręku. Depesza krótka i pyta tylko czy generał jest gotów wyruszyć w pole. Hindenburg odpowiada natychmiast: „gotów", również telegraficznie. Będzie jeszcze trochę kłopotu z przygotowaniem munduru *feldgrau*, jakiego nie posiada 68-letni generał, ale wszystko załatwia się z błyskawiczną szybkością i pewnego poranku, przed świtem, Hindenburg czeka na dworcu hanowerskim na pociąg, mający go zawieść na miejsce przeznaczenia. Rozpoczyna się drugie życie Pawła von Hindenburg.

II.

„Dymiąc i plując iskrami, pociąg wtoczył się na dworzec nawpół pogrążony w cieniu. Jedna lokomotywa i tylko dwa wagony. Z pociągu wysiadł oficer, ubrany w wojenny mundur niemiecki *feldgrau*, o wyglądzie surowym, sztywnym. Na widok Hindenburga suchym ruchem salutował:

„Generał von Hindenburg?"

„Tak"

„Zostałem mianowany pańskim szefem sztabu. Nazywam się Ludendorff... Erich Ludendorff".

„Hindenburg wsiadł do pociągu, który wyruszył natychmiast w kierunku wschodnim".

Tak opisuje dziennikarz amerykański w swojej książce pierwsze spotkanie dwóch „bogów wojny" niemieckich na dworcu hanowerskim.

Od tej pory złączeni oni są na cały czas wojny i trudno sobie wyobrazić wtedy jednego bez drugiego. Dopiero polityka rozdzieli ich później i doprowadzi do wybuchów nienawiści ze strony Ludendorffa i do dyskretnej, ale głębokiej niechęci Hindenburga. Ale tymczasem, gdy jadą w szary ranek ku przyległym polom bitew, mają jeden cel i jedną duszę.

Armją pruską w Prusach Wschodnich dowodzi naówczas generał Prittwitz, niezdecydowany i cofający się przed armjami rosyjskiemi Rennenkampfa i Samsonowa, które wchodzą na terytorjum pruskie i zagrażają Królewcowi. Hindenburg zajmuje jego miejsce i wkrótce potem słynna bitwa pod Tannenbergiem roznosi sławę Hindenburga, a potrochu i Ludendorffa, po całych Niemczech. Cała armja Samsonowa schwytana w istną pułapkę, rozbita i albo wybita, lub w niewoli. Sam Samsonow zastrzelił się, aby nie przeżyć porażki. Armja Rennenkampfa mogła była uratować sytuację i nawet rozstrzygnąć ją na niekorzyść Niemców, lecz generał rosyjski zapóźno zorjentował się w manewrach niemieckich i zdołał tylko ocalić własny korpus.

To zdecydowane, szybkie jak piorun, zwycięstwo Hindenburga wywarło olbrzymie wrażenie w Niemczech. Na froncie zachodnim Niemcy szli wprawdzie naprzód, ale bez żadnej decydującej bitwy, a bitwa nad Marną, która miała miejsce w parę dni potem, pozostała nierozstrzygniętą i można ją było raczej uważać za porażkę armji niemieckiej niż za zwycięstwo, gdyż zatrzymała ona marsz Niemców na Paryż. Niemcom potrzeba było jakiegoś triumfu śmiałego, zdecydowanego, zupełnego, dokoła którego mogłaby się owinąć, jak bluszcz, legenda, potrzeba było ludowej wyobraźni męża opatrznościowego, którego domagają się zawsze ważne epoki w życiu narodów. Otóż Hindenburg dał właśnie Niemcom zaraz na początku wojny takie pełne zwycięstwo. Nic dziwnego, że stał się ulubieńcem ludowym i został niejako „mianowany" mężem opatrznościowym narodu niemieckiego. Na wstępie do swego drugiego życia zyskał sobie odrazu popu-

larność, której nic dotąd zachwiać nie mogło i która pozwoliła mu stawić czoło nawet hitlerowcom.

Lecz jeżeli lud niemiecki i armja otoczyły aureolą czci i podziwu Hindenburga, inaczej rzeczy się mają ze sztabem von Falkenhayn'a, głównodowodzącego wówczas armji niemieckiej. Hindenburg, świadomy swej mocy moralnej i ufny w swe plany, domaga się za wszelką cenę jaknajwiększej ilości wojsk, podczas gdy Falkenhayn zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że wojna rozstrzygnie się na froncie zachodnim, a nie wschodnim. Hindenburg pragnie najpierw zniszczyć armję rosyjską i obezwładnić Rosję a potem dopiero, skończywszy z jednym przeciwnikiem, rzucić wszystkie siły na front zachodni. Falkenhayn trzyma się zasady, że trzeba pilnować jednako obu frontów, a w każdym razie więcej zachodniego, bo niebezpieczniejszy. *Et haec facienda et illa non omittenda.* Stąd walka między Hindenburgiem i Falkenhaynem, walka cicha, uparta, długa, kończąca się wreszcie triumfem pierwszego. Prawda, że Falkenhayn, jak to rozumie później i sam Hindenburg, musiał liczyć się również ze swoją aljantką Austrją i jej pretensjami, nieraz bardzo niewygodnemi dla sztabu niemieckiego. Dziennikarz amerykański konstatuje z ironją, że właściwie wodzowie niemieccy musieli walczyć na froncie wschodnim i z wrogiem i z ową aljantką.

Zamiast żądanych pułków, Falkenhayn zabiera Hindenburgowi krwawego pomocnika Mackensena, czyniąc go wodzem samodzielnym, współdziałającym z armją austrjacką. Hindenburg jest wściekły i oburzony na Falkenhayna, ale nie przestaje protestować i jednocześnie działać w miarę sił, jakie posiada. Gdyby go słuchano, ach, gdyby go słuchano!... wojna na froncie wschodnim byłaby skończona już w r. 1915.

Tymczasem niepowodzenia i niezdecydowany charakter wojny na zachodzie podkopały nareszcie autorytet Falkenhayna. Wilhelm II pragnie go zamienić innym szefem. A na kogóż może paść wybór, jeżeli nie na Hindenburga, zwycięzcy z pod Tannenberga? Dnia 29 sierpnia 1916 r., na zamku Pless, na Śląsku, Wilhelm II mianuje Hindenburga głównodowodzącym na miejsce von Falkenhayna. Zwyciężony wróg przychodzi uścisnąć rękę starego generała i życzyć mu — może i z odrobiną ironji, bo wie, jakie trudne czeka go zadanie — powodzenia.

Jakoż wkrótce Hindenburg spostrzega, że łatwiej jest dowodzić jedną armją, niż kilkoma i że Falkenhayn miał też słuszność, troszcząc się przedewszystkiem o front zachodni. Po raz pierwszy stary generał zwiedza ten front, widzi wojska niemieckie zmęczone długiem oblężeniem fortecy Verdun i odczuwa jasno, że główne niebezpieczeństwo jest jednak na zachodzie. Ani myśleć tu o nowym Tannenbergu. Przytem po Włochach przybywa aljantom jeszcze jeden sprzymierzeniec: Rumunja. Wprawdzie Falkenhayn i Mackensen zwyciężają tam, ale zająwszy Bukareszt, nie mogą ani zniszczyć wojsk rumuńskich, ani zdobyć Mołdawji. Położenie staje się coraz cięższem. Mimo oporu kanclerza Betmann-Hollweg, Hindenburg popiera zdanie admirała von Tirpitz i innych zwolenników bezwzględnej wojny morskiej, a raczej podmorskiej, mając nadzieję ogłodzić w ten sposób Anglję i zmusić ją do zawarcia pokoju. Liczy się z obawą, że podobna wojna wywoła zbrojne wystąpienie Ameryki, ale ma nadzieję, że zanim Ameryka będzie gotowa do boju, skończy z Anglją. Nadzieja ta nie spełnia się: Francja i Anglja trwają na swych stanowiskach, a wkrótce wojska amerykańskie ukazują się w Europie. Skupienie dowództwa wojsk aljanckich w ręku śmiałego i mądrego wodza, jakim okazuje się Foch, zaczyna przynosić rezultaty. Hindenburg widzi, że zwycięstwo wymyka mu się z rąk, ale ani na chwilę nie traci głowy, ani zimnej krwi. Dziennikarz amerykański notuje, że zarówno w złych, jak w dobrych chwilach wódz niemiecki zachowywał zawsze spokój i równowagę. Wilhelm II, zdenerwowany, ale nie zdający sobie sprawy ze swojej własnej sytuacji, podróżuje gorączkowo z frontu do Berlina, Ludendorff, zrozpaczony, tłumaczy najpierw Hindenburgowi, potem cesarzowi, że pokój jest konieczny, wreszcie porzuca służbę, kanclerz Max von Baden drży o losy państwa i rozmyśla, jakby się można pozbyć Wilhelma, aby nie przeszkadzał w układach, marynarze się buntują, jeden Hindenburg trwa, zawsze spokojny i imponujący, zawsze owinięty w płaszcz swej legendy.

Lecz i on widzi jasno, że sytuacja jest beznadziejna. I straszna walka zaczyna się w duszy starego feldmarszałka; komu powinien właściwie swe służby: cesarzowi czy ojczyźnie? Czy tych dwoje nie stanowią jedno?

Gdyby zapytano o to młodego porucznika Pawła von Hindenburg pod Sadową, gdy z uszanowaniem ściskał w ręku chro-

nometr poległego księcia Antona von Hohenzollern, albo adjutanta-majora z pod Gravelotte i Saint-Privat, albo delegata pułku w Wersalu, gdy Wilhelm I został ogłoszony cesarzem Niemiec, napewno nie wahałby się ani chwili z odpowiedzią. Ale... dziś inne czasy i inni ludzie. *Tempora mutantur.* A i potrzeby narodów też. Hindenburg wybiera Niemcy i poświęca cesarza własnemu losowi. Jego nowy szef sztabu, generał Groener, mniej zdolny, ale bardziej ludzki, zauważa dziennikarz amerykański, współdziała z nim, jak może.

Wkrótce potem Wilhelm II, nieżałowany przez nikogo i opuszczony przez wszystkich idzie na wygnanie, a na czele państwa staje plebejusz Ebert. Hindenburg pyta go tylko, czy gotów jest utrzymać porządek i bronić kraju od anarchji. „Tak", odpowiada Ebert. „W takim razie będę popierać rząd pański", obiecuje Hindenburg.

I dotrzymuje słowa. Wszystko dokoła niego rozprzęga się, on jeden stara się zachować honor armji niemieckiej, odsyłać pułki w możliwym porządku do kraju, załatwiać wszystkie formalności, kończyć wojnę. A gdy wszystko było skończone, feldmarszałek Hindenburg zdjął mundur i wrócił znowu do Hanoweru, tym razem zdawało się na zawsze.

III.

Drugie życie Pawła von Hindenburg było skończone. Do Hanoweru, do domu ofiarowanego zwycięzcy pod Tannenbergiem przez miasto Hanower, powracał stary generał, znowu zmieniony w spokojnego emeryta-cywila, Hanower, jak wiadomo, podczas wojny prusko-austrjackiej stanął po stronie Austrji i Bismarck skorzystał z tego, aby pozbawić go niezawisłości. Toteż, gdy młody porucznik Hindenburg znalazł się po raz pierwszy w tem mieście, żywa tu jeszcze była pamięć niepodległości i niechęć do Prus. Mimo to już wtedy zjednał sobie tam wielu przyjaciół i potem wybrał, jak widzieliśmy powyżej, to miasto, aby tam dokończyć życia na emeryturze. Los wyrwał go stamtąd i oto znowu wracał do owego cichego schronienia, zmęczony, rozczarowany, pobity.

Zaraz po zwycięstwie pod Tannenbergiem, mieszkańcy Hanoweru ofiarowali Hindenburgowi zakupiony za ich składki dom.

Odtąd żona feldmarszałka mieszkała tam stale i nawet podczas krótkich rządów komunistów niemieckich w Hanowerze nikt jej nie niepokoił. Tam też powrócił i sam feldmarszałek i stamtąd śledził wypadki, uważając, że jego zadanie już jest raz na zawsze skończone. W Niemczech tymczasem przewrót coraz większy trwał dalej. Ebert i jego zwolennicy tworzą nową konstytucję w Wejmarze, wszystkie tradycje, któremi i dla których żył Hindenburg, ustępują miejsca nowym, z któremi on, na pierwszy rzut nie ma nic wspólnego. Extremiści domagają się nawet, aby sądzono Hindenburga i Ludendorffa, co zresztą obraca się na ich niekorzyść. Hindenburg raz tylko da znać o swem istnieniu w sposób bardzo rycerski, ofiarując się marszałkowi Foch zamiast cesarza Wilhelma II, któremu grożono — napróżno zresztą — oddaniem go pod sąd aljantów. Poza tem stary bożek wojny nie miesza się zupełnie do życia publicznego. Zaburzenia w Renanji, mordy dokonane na osobach Erzbergera i Waltera Rathenau, zabiegi Ludendorffa, który ma za złe dawnemu szefowi jego spokój, wojna ekonomiczna przeciwko aljantom, a zwłaszcza przeciw Francji, wszystko to przechodzi obok niego. Czasem kpią z niego, ale naogół legenda zrodzona pod Tannenbergiem trwa. W r. 1921 traci swą żonę, którą bardzo kochał i która była mu wierną towarzyszką życia. Poczuł się jeszcze bardziej samotnym i zdawało mu się, że może jedynie oczekiwać śmierci.

Tymczasem... Dnia 28 lutego 1925 r. umarł Ebert, pierwszy prezydent Republiki niemieckiej. Sprawiono mu arcy-uroczysty pogrzeb, ale trzeba było myśleć o zastąpieniu go innym prezydentem. Zaczyna się walka przedwyborcza, zwykła w takich razach. Najwięcej szans zdaje się mieć kandydat demokratyczny dr. Marx. Głosy podzieliły się w sposób następujący:

Jarres (kandydat prawicy)	10.400.000
Braun (socjalista)	7,800.000
Marx (centrum)	3,900.000
Thalmann (komunista)	1,900.000
Hellpach (demokrata)	1,500.000
Held (ludowa partja bawarska)	1,000.000
Ludendorff (Völkisch)	280.000

Lecz socjaliści, centrum i demokraci zgodzili się razem na kandydaturę Marxa, co mogło mu dać 13,000.000 głosów, a zatem triumf zupełny nad kandydatem prawicy. Wówczas pomyślano

o Hindenburgu. Ale czy on się zgodzi? Szefowie prawicy wydelegowali do niego najwymowniejszego ze swych dyplomatów, chytrego dworaka, admirała von Tirpitz. Nie tracąc czasu admirał udał się do Hanoweru i tam pojechał do zacisznego domu na Seelhorstrasse, gdzie mieszkał samotnie Hindenburg. Przy pierwszych słowach admirała, Hindenburg wzruszył ramionami, potem zaczął poprostu obracać w żart propozycję. Miał już dość tego: raz wyciągnęli go stąd, aby go potem obrzucić drwinami i błotem. Zresztą miał 75 lat, co po takim prezydencie? Nie dożyje końca 7 lat prezydentury. I poco mu ten ciężar nowy na jego barki?

Na wszystkie te argumenty admirał, który znał doskonale psychologję Hindenburga, odpowiadał jedynym argumentem, naturalnie zmieniając formę i styl swych przemówień: „Ale to jest święty obowiązek. Obowiązek! Obowiązek!"

Hindenburg mówił coraz mniej, admirał coraz więcej. Opór starego wojaka słabł, „ojciec marynarki niemieckiej", jak nazywano von Tirpitz'a, nacierał coraz żwawiej i wreszcie feldmarszałek rzekł przekonany i zrezygnowany:

„No, to przedstawcie moją kandydaturę. Skoro chodzi tu o mój obowiązek względem kraju, muszę przyjąć tę kandydaturę."

Admirał z zadowoleniem pogładził faworyty i ścisnął serdecznie rękę Hindenburga. Poczem pojechał do Berlina oznajmić „dobrą" nowinę. Kampanja wyborcza była bardzo burzliwa i gwałtowna, ale rezultaty jasne i decydujące:

Hindenburg	14,650.000
Marx	13,750.000
Thalmann	1,900.000

Trzecie życie Pawła von Hindenburg zaczynało się, odmienne zupełnie od dwóch pierwszych. Napozór możnaby było zastosować do niego słowa Turgeniewa, gdy mówi ustami jednego ze swych bohaterów: „I spaliłem to wszystko, przed czem biłem czołem, i uderzyłem czołem przed tem, com palił." Napozór tylko. Bo w gruncie rzeczy Hindenburg pozostał zawsze i niezmiennie tem, czem był: Niemcem. „Deutschland über alles", czyż nie takiem było hasło całego jego życia? I czy nie był mu równie wiernym pod Tannenbergiem, jak przysięgając, że będzie bronić konstytucji wejmarskiej? Był tylko żołnierzem. Mógł służyć, ale nie obalać rządy. „Ubrany po cywilnemu, wyglądał mimo to od stóp do głów, jak żołnierz" pisze o nim korespondent amerykański.

Wkrótce jednak prawica niemiecka zaczęła się niepokoić; Hindenburg zanadto, jej zdaniem, bronił konstytucji. Podczas ciężkich dla Niemiec dni Locarno, które było zręcznym manewrem Stresemanna i zapewniło poważną wygranę moralną i materjalną Niemcom, Hindenburg zrozumiał odrazu grę śmiałą Stresemanna i stanął przy nim wiernie, nie obawiając się krzykaczy. „Deutschland über alles!" Naiwni pacyfiści i literaci francuscy wpadali w rozrzewnienie nad Locarno, ci, którzy patrzyli jasno na rzeczy, przestrzegali. Hindenburg i Stresemann triumfowali dyskretnie i pracowali dalej. Czasami, jak podczas inauguracji pomnika bitwy pod Tannenbergiem, wyrwą się staremu wojakowi słowa szczerości, ale naogół umie doskonale walczyć i działać „za kulisami". Ciosem wielkim dla Hindenburga była śmierć Stresemanna. Toteż, gdy namawiano go, aby ze względu na swój wiek, jechał za konduktem w aucie, stary wojak potrząsnął głową przecząco: „Nie, zawołał. Nie pojadę. Pójdę piechotą. Pójdę za trumną!"

I poszedł ogromny, posępny, za trumną tego drugiego Niemca, dla którego też głównem hasłem było „Deutschland über alles" i który lepiej niż jego generałowie pomógł mu po wojnie straconej pobić aljantów na polu dyplomacji.

Wielu z dawnych przyjaciół odstąpiło Hindenburga. Ale armja zachowała dlań pewien kult i ogół niemiecki zachował mu sympatję i szacunek. Jeśli trzymał się wiernie konstytucji, umiał ocenić ludzi godnych jego zaufania, jak Stresemanna, Brüninga, von Pappen. Jedynem jego kryterjum w takich razach było i jest „Deutschland über alles", reszta mało znaczy. Dla dobra Niemiec Hindenburg gotów jest na wszelkie ofiary. Amerykański dziennikarz konstatuje, że jeżeli położenie polityczne, dyplomatyczne i wogóle światowe Niemiec wróciło do normalnego stanu przed wojną i Niemcy zajęły, jako państwo, dawne stanowisko, choć nie odzyskały strat, jeżeli sprawa odszkodowań ułożyła się pomyślnie dla nich, to winne są tutaj nietylko dyplomacji niemieckiej, lecz i w dużej części poparciu, jakiego umiał zawsze udzielić tej dyplomacji Hindenburg.

W życiu prywatnem pozostał tem czem był, starym żołnierzem, pełnym zamiłowania do prostego trybu życia. Nie lubi występów, ceremonij, fotografów. Znudzony raz naleganiami tych ostatnich zauważył:

„Dobrze, będę wam pozował, ale mogę was upewnić, że nie zmieniłem się od wczoraj".

A jednemu z błagających go o pozowanie malarzowi odpowiada:

„Przez 60 lat nikt mi nigdy nie powiedział, że mam wspaniałą głowę. Miałem przez lata całe dużo czasu, ale żaden artysta nie miał wtedy ochoty mnie malować. A dziś, gdy nie mam chwili wolnej, chcecie wszyscy, abym wam pozował".

Z wielkim trudem przekonano Hindenburga, że musi przemówić przez radjo. Ze znudzoną miną, zły, niezadowolony, przeczytał patetycznym, sztucznym głosem starannie przygotowaną przemowę. Ale operator przejęty ważnością chwili stracił głowę i nie przerwał w porę, tak, że wszyscy Niemcy, słuchający z nabożeństwem przemówienia prezydenta, usłyszeli ku wielkiej ich uciesze wykrzyknik, wygłoszony już naturalnym głosem Hindenburga:

„Chwała Bogu, skończyłem!"

Mimo 85 lat, prezydent Republiki niemieckiej trzyma się doskonale. Rodzina otaczająca go, syn i synowa, czuwają nad nim i starają się oszczędzać mu zbytnich wysiłków; prawie nigdy nie przyjmuje wieczorem i nie bierze udziału w wieczornych bankietach. Ale chętnie wychyla jeszcze wielkie kufle piwa ze starymi kolegami przy sposobności. Zdrowie ma żelazne. I wszystko pozwalało przypuszczać, że kierować będzie jeszcze długo losami Niemiec. Trzecie życie Pawła von Hindenburg nie jest skończone i dziennikarz amerykański nie mógł go opisać. Czy nie przyćmiła się jego gwiazda przez swego rodzaju kapitulację przed hitleryzmem? Ale zapewne i przy tej kapitulacji, jak poprzednio wobec Eberta, mówił sobie: *Deutschland über alles!*

Dr. M. Kasterska.

Kryzys gospodarczy a produkcja wydawnicza w Polsce.

Że między stanem gospodarczym społeczeństwa, między jego bogactwem czy ubóstwem a produkcją wydawniczą wogóle, naukową w szczególności, istnieje ścisły związek, to rzecz znana i oczywista! Obecny bardzo ostry i ogólny kryzys gospodarczy, jaki przeżywamy, odbił się dotkliwie na polskiej produkcji wydawniczej! Dzięki niedawno ogłoszonej urzędowej *Statystyce druków* za lata 1928—1932 możemy skutki kryzysu ująć w dokładne zestawienia i wyciągnąć z nich interesujące ale smutne wnioski.

Statystyka druków, na podstawie której kreślimy nasze uwagi, w szeregu ustalonych tablic podaje zestawienia produkcji wydawnictw nieperjodycznych i czasopism na poszczególne lata; statystyki za r. 1928, 1929 i 1932 zrobiono w Bibljotece Narodowej, za r. 1930 i 1931 w Głównym Urzędzie Statystycznym na podstawie danych dostarczonych przez Bibljotekę Narodową. Wszystkie druki zostały pozestawiane w osobnych tablicach wedle kilku cech druków. Pod względem typu wydawnictwa podzielono na 1) prace naukowe, zaliczając tutaj także podręczniki uniwersyteckie, encyklopedje, słowniki, teksty ustaw, kazania i pamiętniki, 2) na literaturę piękną, 3) podręczniki szkolne szkół średnich i powszechnych, względnie podręczniki służące nauczaniu pozaszkolnemu na tymże poziomie, 4) wydawnictwa popularne, 5) wreszcie t. zw. dokumenty życia społecznego, a więc katalogi, sprawozdania, bilanse, statuty, kalendarze, odezwy i t. d. Osobno rejestruje się mapy, nuty i ilustracje samodzielnie wydawane; ten dział wydawniczy w naszych uwagach pomijamy, ponieważ odgrywa on bardzo podrzędną rolę w produkcji wydawniczej. Prócz typów wydawnictw uwzględniono dokładną ich treść, język, stosunek oryginałów i tłumaczeń; uwzględniono dalej doniosłą cechę, czy druk jest samoistny czy też tylko odbitką z czasopisma lub wydawnictwa t. zw. ciągłego, uwzględniono objętość, nakładców, miejsce druku i wydania, wreszcie wysokość nakładu.

Na podstawie tych danych możemy przedstawić dokładny obraz produkcji wydawniczej polskiej i jej powolnego kurczenia się! Orjentację ułatwia nam tablica I, przedstawiająca ogólne zestawienie wszystkich druków łącznie z podziałem na typy.

TABLICA I.

Rok	Ogółem	Prace naukowe	Literatura piękna	Podręczniki	Wyd. popularno-nauk.	Dokumenty życia społecz
1928	9843	1896	1872	772	1040	4263
1929	12084	2917	1939	845	1245	5138
1930	12274	2530	1617	722	1458	5947
1931	11313	2097	1239	577	1744	5656
1932	9703	2385	1198	536	1296	3198

Z tablicy tej widzimy, że największe nasilenie produkcji wydawniczej w Polsce przypada na r. 1930 i wyraża się sumą 12,274 druków, chociaż prace naukowe, literatura piękna i podręcznikowa najwyższą liczbę osiągła rok wcześniej; r. 1930 zaznacza się już spadkiem, który nie odbija się w ogólnej sumie dzięki dalszemu wzrostowi wydawnictw popularnych, które podniosły się jeszcze w r. 1931 i dokumentów życia społecznego. W r. 1930 prace naukowe w ogólnej produkcji zajmują bardzo poczesne, bo drugie miejsce i stanowią w niej 20·6%, już jednak w przeciągu dwóch lat (między 1929 a 1931) spadły o 818 pozycyj, czyli przeszło o 27%; jeszcze znaczniejszy stosunkowy spadek wykazuje literatura piękna (o 700 pozycyj). W r. 1932 ogólna liczba druków z zakresu nauki wzrosła, jest to jednak wzrost tylko pozorny, wpływa na niego wielkie pomnożenie się odbitek z czasopism; literatura piękna wykazuje dalszy spadek, podobnie i inne grupy, a załamuje się wprost dział dokumentów życia społecznego o 2458 pozycyj, oczywisty dowód kryzysu gospodarczego, zanik reklamy i życia ekonomicznego.

Ogólna suma druków i ich podział wedle typów nie daje nam jeszcze dokładnego pojęcia o sytuacji! Druk drukowi nie równy, są między niemi tomy grube, są i ulotki lub broszury; uwzględniono przeto w statystyce objętość druków, dzieląc je pod tym względem na druki do 4 arkuszy (64 stron) i ponad 4 arkusze, uwzględniono również stosunek prac oryginalnych i tłumaczeń, uwzględniono fakt, czy dany druk jest samoistnym, czy też odbitką, uwzględniono wreszcie wysokość nakładu. Te dane przedstawia nam tablica II.

Z tej tablicy znowu dowiadujemy się, że kryzys objawił się silnym spadkiem tłumaczeń (851 na 607), spadkiem druków samoistnych (11570 na 9879) a wzrostem nadbitek i odbitek, które w r. 1928 stanowiły niespełna 5% druków samoistnych,

a w r. 1931 stanowią już przeszło 15%. Spadek prac samoistnych a wzrost odbitek, który w r. 1932 procentowo był jeszcze silniejszy, jest bardzo charakterystycznym objawem kryzysu, podobnie jak rosnąca dysproporcja między drukami do 4 arkuszy a ponad 4 arkuszy; gdy pierwsze w r. 1928 liczyły tylko 2 razy więcej

TABLICA II.

Rok	Ogólna liczba druków	Prace oryginalne	Tłumaczenia	Druki samoistne	Odbitki i nadbitki	Objętość		Nakład w tysiąc.
						do 4-ch arkuszy	ponad 4 arkusze	
1928	9843	9515	625	9837*	440*	6970	3307	56,435,6
1929	12084	11715	851	11570*	996*	8994	3572	46,931,6
1930	12274	11583	691	11123	1151	8951	3323	77,352,6
1931	11313	10706	607	9879	1434	8547	2766	37,141,7
1932	9703					8067	2636	

*) Z tych cyfr nie wyłączono map, nut i ilustracyj.

pozycyj niż drugie, to w r. 1931 stosunek ten wyraża się już nieco więcej jak 4 : 1, podobnie jest w r. 1932, przy stałym spadku ogólnej liczby druków obu kategoryj. — Ogólna suma nakładu druków wykazuje już nie linję powolnego spadku ale wprost katastrofalnego załamania i to w przeciągu 1 roku, z 77,352,680 w r. 1930 na 37,141.700 w r. 1931 (więcej niż 50%).

Nas interesują przedewszystkiem druki należące do typu prac naukowych i literatury pięknej. Zbadajmy przeto dokładniej sytuację tych dwu działów.

TABLICA III. Prace naukowe.

Rok	Ogółem	oryginalne	Tłumaczenia	Druki samoistne	Odbitki	Objętość		Nakład w tysiąc.
						do 4-ch arkuszy	ponad 4 arkusze	
1928	1869	1811	85	1608	288	1021	875	3,766,2
1929	2917	2762	155	2083	834	1791	1126	4,734,7
1930	2530	2380	150	1619	911	1448	1082	3,292,9
1931	2097	1969	128	1108	989	1288	809	1,972,7

Najbardziej intensywna produkcja wydawnicza naukowa i literacka przypada na r. 1929; jest to rok urodzaju kulturalnego; w roku następnym zaczyna się spadek produkcji, zarówno co do ogólnej ilości druków, jak i co do objętości i nakładu; maleje ilość prac samoistnych o 900 pozycyj, rośnie liczba odbitek z czasopism czterokrotnie, widać z tego, że w czasopismach szuka się jakby paliatywu prac samoistnych; spadek wysokości nakładu prac naukowych jest katastrofalny, zmniejsza się o 2,762.000, egz. podobnie i nakłady literatury pięknej również maleją o 3,000.000 egz. (około 45%).

W literaturze pięknej najważniejsze pozycje zajmuje powieść i poezja. W r. 1928 wydano 925 powieści o nakładzie 3,752.100 egz. (przeciętnie 4.055 egz. na powieść), w r. 1931 897 powieści w nakładzie o 50% mniejszym (1,442.700 egz.); tomików poezji wydano w r. 1928 180, w 1931 209, a więc o 29 więcej, na-

TABLICA IV. Literatura piękna.

Rok	Ogółem	oryginalne	Tłumaczenia	Druki samoistne	Odbitki	Objętość		Nakład w tysiąc.
						do 4-ch arkuszy	ponad 4 arkusze	
1928	1872	1405	467	1864	8	646	1226	6,870,4
1929	1939	1409	530	1930	9	780	1156	6,882,5
1930	1617	1163	454	1609	8	539	1078	5,458,8
1931	1239	886	353	1234	5	535	704	3,931,9

kład ich jednak spadł z 419.300 na 197.300. Przeciętny nakład powieści w r. 1928 wynosi 4055 egz. w r. 1931 już tylko 1600 egz., a więc stał na poziomie minimalnej opłacalności.

Polska jest państwem, posiadającem liczne mniejszości narodowe; interesującą będzie odpowiedź na pytanie, która z grup narodowych odczuła najbardziej skutki kryzysu! Odpowiedzi znajdziemy na następującej tablicy.

TABLICA V.

Rok	ogółem	polski	białoruski	niemiecki	rosyjski	ukraiński	żydowski i hebraj.	inne
1928	10277*	7830	101	220	87	450	1059	530
1929	12566*	9944	70	276	164	391	962	749
1930	12274	9836	71	295	112	410	1021	533
1931	11313	8949	33	220	117	342	1131	521
1932	9703	8126	32	154	77	289	687	311

*) Tu włączono także i mapy, nuty i ilustracje.

Najmniej — rzecz znamienna — z początku ucierpiała, a właściwie raczej wzmogła się mimo kryzysu w r. 1931 produkcja drukarska żydowska, w r. 1921 osiągnęła najwyższą liczbę 1131 pozycyj, w r. 1932 spadła jednak bardzo. Języki polski, ukraiński i niemiecki ucierpiały względnie najmniej (straty 818, 21 i 171 pozycyj); najwięcej ucierpiały inne słowiańskie mniejszości narodowe, jako najmniej odporne, z powodu swej słabości kulturalnej, pozycje piśmiennictwa białoruskiego spadły o 66%, rosyjskie do 70% produkcji r. 1929.

Omawiana statystyka druków przynosi nam również dane, odnoszące się do miejsca druku i wydania. Pierwsze miejsce zajmuje województwo warszawskie z Warszawą; drukuje się tam:

w r. 1928	4314	druków	wydaje	3943	druków,	na	10277
1929	5658	„	„	5680	„	„	12566
1930	6009	„	„	5650	„	„	12274
1931	5631	„	„	5648	„	„	11313
1932	4752	„	„			„	9703

Z tego zestawienia widzimy, że przy niezmienionej liczbie druków wydanych w woj. warszawskiem, a właściwie w Warszawie, spadła liczba druków tam wykonanych; wydawcy drukują poza stolicą, w miastach prowincjonalnych, gdzie koszta druku są mniejsze!

Po stolicy największą produkcję wydawniczą mają województwa lwowskie i krakowskie, po nich idą poznańskie, wileńskie, łódzkie i t. d. Unaocznia sytuację tablica VI.

Z tej tablicy widać, że Warszawa utrzymuje stale swoje pierwszeństwo, traci na wysokości nakładu (spadek o 50%) i na liczbie wydawnictw drukowanych w stolicy, roboty drukarskie z niej uciekają; lwowskie woj. utrzymuje swoje 2-gie miejsce, krakowskie traci trzecie w 1930 na rzecz poznańskiego; olbrzymi wzrost wysokości nakładów druków w woj. poznańskiem tłumaczy się najpierw PWK-ą a powtóre niższym cennikiem drukarskim. Krakowskie, mające wysoki cennik traci na kryzysie najwięcej, inne województwa wykazują straty niższe. Te dane wskazują, że producent-wydawca w okresie kryzysu ogranicza produkcję, a równocześnie szuka tańszej produkcji. Uderzającym jest wreszcie bardzo słaby stan produkcji wydawniczej w wojew. nowogrodzkiem, wołyńskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem.

Tablice nakładców, z których nie dajemy już zestawień, pokazują nam dalsze szczegóły, obrazujące skutki kryzysu. W okresie dobrej konjunktury gospodarczej wzrasta produkcja wydawnicza prywatnych firm nakładowo-wydawniczych, a słabsza jest produkcja rządu i samorządów; z nastaniem kryzysu słabnie inicjatywa prywatna, a rośnie produkcja rządowa i samorządów. W r. 1928 władze państwowe wydały 289 druków, w r. 1931 aż 739, w 1932 tylko 571, samorządy w tych latach 66, 497 i 460, władze kościelne 168, 324 i 245. Podobnie wzrosła w okresie kryzysu produkcja instytucyj przemysłowych, handlowych i innych, w r. 1928 917 druków, w 1931 2482, w 1932 2149; spada natomiast liczba t. zw. własnych nakładów autorów z 576 na 232, a w r. 1932 na 184.

Drugą ogromną dziedzinę produkcji wydawniczej stanowią czasopisma. W przeciwieństwie do produkcji druków nieperjodycznych, produkcja czasopism, jeśli idzie o ich liczbę ogólną, pozornie nie ucierpiała na kryzysie; r. 1231 wykazał

TABLICA VI.

Miejsce druku i wydania	1928				1929				1930				1931				1932
	wydrukowano		wydano		wydrukowano		wydano		wydrukowano		wydano		wydrukowano		wydano		wydruk.
	liczba	nakład*	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba	nakład	liczba
Warszawa	4152	22377,7	3855	16252,5	5455	21359,0	5448	20943,3	5804	46673,8	5827	35160,0	5428	22004,5	5386	21220,8	4752
woj. warszawskie	162	650,2	88	315,8	203	485,6	232	612.5	205	432,3	223	440,8	203	382,1	262	480,5	139
„ łódzkie	414	3498,6	271	2501,0	361	1037,6	314	809,8	507	2349,4	428	1895,7	450	1240,8	414	1052,3	407
„ kieleckie	137	680,2	75	200,1	112	249,2	96	265,2	152	252,2	123	297,3	129	804,2	131	829,9	128
„ lubelskie	296	1119,1	165	566,4	228	555,9	209	534,1	125	404,0	147	450,6	181	172,3	206	266,6	146
„ białostockie	204	1053,6	89	326,4	170	430,3	88	119,1	202	530,2	110	299,5	252	296,9	173	177,9	220
„ wileńskie	827	2493,4	512	1030,5	872	1930,9	728	1496,6	959	2607,1	763	1858,4	867	1223,2	788	1027,5	653
„ nowogrodzkie	7	62,4	5	33.3	15	23,8	31	62,7	20	54,3	36	101,5	21	25,3	24	43,3	20
„ poleskie	149	438,1	102	243,3	101	93,5	65	71,8	148	258,9	132	269,1	131	180,6	124	157,1	81
„ wołyńskie	65	123,3	47	173,8	60	51.4	52	47,2	64	166,7	66	192,2	53	42,9	70	62,3	39
„ poznańskie	934	3962,8	644	1976,0	1534	7680,5	1173	5654,4	1302	7161,2	986	5047,3	1072	3269,7	935	2431,3	935
„ pomorskie	144	1003,3	76	224,9	249	1600,0	167	831.5	135	762,2	91	444,5	114	342,8	93	314,2	126
„ śląskie	200	6846,5	67	254,6	372	1872,7	310	1922,4	218	3479,5	137	1166,4	178	504,0	168	1019,6	149
„ krakowskie	1047	4952,6	646	3086,3	1168	4500,3	874	3421,7	917	2904,0	700	2344,0	915	3042,0	775	2353,2	652
„ lwowskie	1218	6418,8	985	4173,2	1340	4257,8	1206	4004,4	1291	5976,7	1152	4504,3	1133	3337,9	1087	3176,7	1135
„ stanisławowskie	67	258,6	54	163,1	97	165,3	96	164,9	87	128,6	87	253,6	96	153,3	89	149,6	77
„ tarnopolskie	74	140,3	45	62,3	78	176,4	83	79,4	81	92,0	71	123,5	73	85,3	80	95,0	38

*) Nakład zawsze w tysiącach.

TABLICA VII. Rozwój czasopism w Polsce w latach 1922—1931.

Wyszczególnienie	I. VII 1922	I. VII 1923	31. XII 1924	Rok kalendarzowy 1925	1926	1927	1928	1929	1930	1931	1932
Ogółem czasopism w rejestrach	**1255**	**815**	**1122**	**1606**	**1771**	**1975**	**2353**	**2329**	**2349**	**2406**	**2510**
Zachowano w rejestr.	—	—	—	959	1152	1277	1567	1617	1817	1813	
Wciągnięto do rejestr.	—	—	—	647	619	698	786	712	532	593	623
w tem: wznowione	—	—	—	117	43	159	238	162	71	128	
nowozałożone	—	—	—	530	576	539	548	550	461	465	
Usunięto z rejestrów	—	—	—	163	454	494	408	736	512	536	559
Województwa											
M. st. Warszawa	503	291	341	507	549	592	715	756	769	823	
Warszawskie	32	24	32	43	51	60	70	69	61	69	
Łódzkie	94	46	71	108	106	113	121	115	111	117	
Kieleckie	50	34	41	56	69	74	74	86	85	82	
Lubelskie	40	27	45	74	58	63	90	72	65	53	
Białostockie	25	18	28	35	36	52	55	48	44	40	
Wileńskie	14	36	38	64	63	86	100	87	83	85	
Nowogródzkie	3	—	3	5	10	10	14	16	13	12	
Poleskie	4	2	8	19	24	21	35	25	21	26	
Wołyńskie	6	5	15	30	34	39	46	33	40	44	
Poznańskie	152	82	130	176	231	265	321	328	316	308	
Pomorskie	22	37	54	64	78	80	109	108	114	99	
Śląskie	23	8	106	88	107	106	143	153	158	153	
Krakowskie	111	74	81	132	137	151	193	165	166	181	
Lwowskie	162	117	117	186	196	233	226	234	253	265	
Stanisławowskie	4	9	10	14	16	25	30	26	34	37	
Tarnopolskie	—	—	2	5	6	5	11	8	16	12	
Niepodane	10	5	—	—	—	—	—	—	—	—	
Język											
Polski	891	664	908	1300	1439	1584	1866	1928	1972	2016	
Ukraiński	51	35	36	63	70	87	99	86	80	83	
Białoruski	6	9	5	11	14	23	29	15	12	9	
Niemiecki	70	33	86	87	92	98	116	112	106	106	
Żydowski	154	52	66	104	110	139	171	127	122	136	
Hebrajski	23	8	6	15	17	15	24	19	16	13	
Rosyjski	28	7	10	12	18	17	21	11	13	12	
Litewski		3	2	3	3	5	9	8	6	4	
Czeski		—	—	—	1	1	2	2	2	1	
Francuski		3	2	8	4	3	10	13	12	17	
Angielski	32	1	—	2	2	2	5	6	4	5	
Łaciński		—	—	—	—	—	—	1	2	1	
Rumuński		—	—	—	—	—	—	—	1	1	
Esperanto		—	1	1	1	1	1	1	1	2	
Częstość wychodzenia											
Codziennie	174	130	151	162	165	179	213	212	204	210	
2—4 razy tygodn.	67	23	96	110	126	121	135	115	129	126	
Raz tygodniowo	356	200	298	401	434	509	588	497	489	494	
2—3 razy miesięcz.	172	106	166	224	224	252	272	269	270	285	
Raz miesięcznie	278	186	307	503	558	638	826	807	846	878	
Raz na 2 miesiące	12	7	15	17	22	26	36	33	32	52	
Raz na 3 miesiące	17	25	27	59	72	107	134	153	148	160	
Nieregularnie i in.	75	103	60	123	114	139	127	82	123	153	
Częstość wychodzenia nieustalona	104	26	2	7	6	4	22	161	108	48	

jeszcze wzrost, choć nieznaczny. Sytuację przedstawia dokładnie tablica VII.

Z tablicy widzimy, że fluktuacja w produkcji czasopism jest znaczna; rodzą się i giną bardzo szybko, wiele z nich, to tylko efemerydy o motylem życiu. W r. 1929 przestało wychodzić 736 czasopism, czyli bezmała $^1/_3$ ogólnej liczby, w latach 1930 i 1931 skreślono znowu prawie po $^1/_4$, mimo to nowe pisma przeważyły zawieszone i dlatego ogólna suma wciąż jest wysoka i pozornie nie wskazuje na istnienie kryzysu, jedynie pisma żydowskie nieznacznie spadły. Ale wysoka liczba ogółu czasopism tylko pozornie nie mówi o kryzysie, ponieważ tablice nie podają nam ani objętości czasopisma, ani wysokości ich nakładu! Tutaj, jak wiemy z codziennej obserwacji, trudności gospodarcze porobiły ogromne szkody; chwilowo szkody te wymykają się statystyce, ponieważ wydawcy i drukarnie nie podają prawdziwych danych o wysokości nakładu, władze zaś nie mają sposobów przeprowadzenia dokładnej kontroli! Należy również pamiętać, że gazeta i czasopismo w silniejszym stopniu niż książka stało się nieodzownem w życiu współczesnego człowieka; ono mu może zastąpić i rzeczywiście zastępuje często książkę, jest jego jedyną lekturą. Dlatego też w okresie kryzysu jest odporniejsze niż książka. W każdym razie przedstawione wyżej zestawienia wykazują silny spadek produkcji książki, a tem samem świadczą, że współczesny kryzys gospodarczy jest równocześnie niebezpiecznym i ostrym kryzysem kultury. Jego ostrość jeszcze silniej by się zaznaczyła, gdybyśmy posiadali podobną statystykę z rynku księgarskiego, gdybyśmy wiedzieli w jakim stopniu produkcja wydawnicza rozchodzi się i jest sprzedawaną! O ile wierzyć relacjom związków księgarzy i wydawców, to sytuacja jest tutaj podobno już rozpaczliwa. Liczne upadłości firm wydawniczych i księgarskich stwierdzają prawdziwość takiej oceny.

Ks. Stanisław Bednarski T. J.

Przegląd piśmiennictwa.

Wanda Brzeska: Mitropa. Poezje z włóczęgi. Poznań 1932. — Stanisław Helsztyński: Międzyrzecze (Chodzież - Czarnków, - Oborniki). Wielkopolskie sonety regjonalne. Szamotuły 1932. — Tenże: Mnich opactwa Lubińskiego. Ballada liryczna ze zbioru „Nad Wartą, Notecią i Odrą". Szamotuły 1932. Drukarnia Nakładowa Józefa Kawalera. — Wanda Niedziałkowska - Dobaczewska: Nasza dola. Wilno 1932. Nakł. L. Chomiński. — Antoni Waśkowski: Rapsody. Poezyj tom piąty. Miejsce Piastowe 1932. Wydawnictwo Tow. Św. Michała Archanioła. — Marja Czeska-Mączyńska: Macierzyństwo i wiersze różne. Poznań 1932. Nakładem autorki. — Jan Czar: Rwijmy, rwijmy śliczne róże. Katowice 1932. Księgarnia i Drukarnia Katolicka. — Elżbieta Marwegowa: Ugor. s. a. Nakładem autorki. Skł. gł. Wielkopolska Księgarnia Nakładowa K. Rzepeckiego. — Taż: Capri. Poznań 1932. Nakładem autorki. Skł. gł. Księgarnia św. Wojciecha. — Taż: Ulica. Poznań 1932. Nakł. aut. Skł. gł. Księg. św. Wojciecha. — Teresa Elster: Misterja i mozaiki. Warszawa 1933. Skł. gł. Księgarnia „Przegląd Katolicki". — Jerzy Liebert: Kołysanka jodłowa. Warszawa 1932. J. Mortkowicz. — Witold Zechenter: Niebieskie i złote. Poznań 1932. Wydawnictwo Dwutygodnika Literackiego. — Tenże: Linja prosta. Poznań 1932. Wyd. j. w. — Leopold Lewin: Kora pisana. Warszawa 1933. F. Hoesick. — Jalu Kurek: II Śpiewy o Rzeczypospolitej. Kraków 1932. — Mieczysław Lisiewicz: Suita lotnicza. Warszawa 1932. F. Hoesick. — Marjan Piechal: Garść popiołu. Warszawa 1932. Instytut Literacki. — Józef Czechowicz: Ballada z tamtej strony. Warszawa 1932. Wydawnictwo Droga. — Juljan Przyboś: Wgłąb las. Cieszyn 1932. Nakładem Bibljoteki „a. r." — Marjan Czuchnowski: Reporter róż. Kraków 1932. Wydawnictwo Literacko-naukowe. — Marjan Niżyński: Dalmino. Poemat dramatyczny. Część I. Bibljoteka Gazety Literackiej tom II. — Maciej Szukiewicz: Popieluch. Baśń sceniczna w 5 aktach z prologiem. Kraków 1932. Skł. gł. Księgarnia Jagiellońska. — Antoni Waśkowski: Wikinda. Tragedja w 3 aktach. j. w. 1933. Wyd. j. w. — Ewa Szelburg-Zarembina: Sygnały. Warszawa 1933. Skł. gł. Gebethner i Wolff.

Wanda Brzeska, znana dotychczas raczej z prac krytycznych, debiutuje swym zbiorem wrażeń z podróży po środkowej Europie, jako poetka o dojrzałej i wytwornej kulturze literackiej. Wiersze są zwarte, doskonale zbudowane, władanie formą niezawodne. Forma, zawsze dostosowana do przedmiotu, oddaje nastrój opisy-

wanych zjawisk w sposób syntetycznie wykończony. Rozmaitość zastosowanych rodzajów lirycznych bardzo znaczna, od tradycyjnych dystychów, tercyn, sonetów do swobodnej konstrukcji nowoczesnej. Lubowanie się Brzeskiej w kunszcie poetyckim stwarza szereg arcydzieł tego rodzaju jak np. wyszukanie rymowane „Lato w Alpach", gdzie nastrój wydobyty jest przez kontrast motylich dotknięć pióra w króciutkich wierszach początkowych każdej strofy i rozwiedzionej szeroko melodji refrenu:

„Spadł śnieg
na góry
niedaleko.
Kładł ścieg
kontury
białe, lekko.
Uczubił
same szczyty
Hołubił
w aksamity.
W to lato, lato, lato!

Wśród
traw
krwawników
baldachimy.
Cud
zjaw
bez liku:
białe dymy.
Kwieciste
łąk doliny.
Śnieżyste
wysoczyny
W to lato, lato, lato!"

Próba naśladowania romantycznej niemieckiej ballady w „Grodzie Hohenstaufów", dźwięcząca rycerskim rytmem, obok tempa nowoczesności w utworach takich, jak „Charleloi" świadczą dowodnie o bogactwie tonów. Jeśli brak w poezji Brzeskiej bezpośredniości, to wynagradza to doskonałość wykończenia, źródło głębokiej rozkoszy estetycznej. Ale liryki te to nietylko powierzchowna impresja, wywołana tym czy owym wycinkiem rzeczywistości. Poetka posiada w wysokim stopniu zdolność chwytania istoty rzeczy, wbrew swemu melancholijnemu stwierdzeniu, że „w rzeczach nie ma istoty, więc niema istotnych rzeczy". Umie nadewszystko odczuć tajną duszę krajobrazu i najgłębszą treść ducha narodów.

Tematem — reminiscencje historyczne na widok przedmiotów geograficznych — i wpływem na twórczość poważnej pracy naukowej przypomina Brzeską — Helsztyński. Sonety jego, opiewające odcinek ziemi wielkopolskiej, w których nowoczesność przychodzi do głosu niemal że tylko przez rzadkie asonanse, są sonetami przeważnie tylko formalnie. Niekiedy tylko wiersz końcowy zawiera pointę, tak znamienną dla sonetu, jak w zwartym, mocnym utworze p. t. „Karol Gustaw w Czarnkowie", albo „Powstaniec Klemens Kluk". Wrażliwość estetyczna, wyczucie ducha czasów i ludzi przebrzmiałych, nastrój patrjotyzmu, czynią lekturę tego rymowanego „przewodnika regjonalnego" bardzo zajmującą i nasuwają pragnienie poznania dalszych cyklów. Taką rozszerzoną reminiscencją z przeszłości, zbudzoną na widok starożytnej miejscowości, też jest Helsztyńskiego opowieść o „Mnichu z opactwa Lu-

bińskiego", który porzucił klasztor w porywie niewiary i powrócił potem, jak syn marnotrawny do ran Chrystusa. Ujęta nakształt dawnych „powieści poetyckich" w cykl pieśni, przepojona jest nawskroś liryzmem, o akcentach osobistych. Każda z tych pieśni odrębną formą, niekiedy tradycyjną, stanowi całość o jednolitym i konsekwetnie wytrzymanym nastroju, zarówno w rytmice, jak obrazowaniu. Helsztyński okazuje się tu poetą o oryginalnem, wybitnie zarysowanem obliczu własnem. Patos, bujność metafor, splatających się z sobą, zahaczających o siebie nawzajem, zawiła składnia, częsta inwersja, śmiałe nowotwory językowe, bogactwo obrazów i myśli, wreszcie niekiedy pewien brak autokontroli pisarskiej — wszystko to ma coś z siedmnastowiecznego b a r o k u, wszystko to, utrudniające zresztą czasem pochwycenie myśli autora, zostawia wrażenie żywotności i siły. Na uwagę zasługuje słownictwo, czerpiące z zasobu form staropolskich w sposób prawdziwie twórczy. Rzadko spotyka się talent tak wyzwolony z wpływu mód i szkół literackich, o tak wyraźnej osobowości.

Poezją regjonalną w najlepszem znaczeniu są też utwory Wandy N i e d z i a ł k o w s k i e j - D o b a c z e w s k i e j. Poetka — jeden z ciekawszych talentów naszej doby — oddycha „Litwą" (tą polską Litwą, mickiewiczowską!). Jest u niej i poczucie mocy i woli wytrwania na kresowej placówce i obserwacja psychiki i gwary ludu, (klasycznym w tym rodzaju można nazwać wiersz „Ojciec bolszewika") i związanie z przyrodą, prawie zawsze uosobioną, a bardzo często zaludnioną światem fantastycznych strzyg, biesów i upiorów, których ojcem jest może Böcklin, lub Schwind, a matką balladowa romantyczność z przed wieku. Fantazja poetki przywiązała się zwłaszcza do postaci dziecięcego upiora, zjawiającego się w kilku utworach, zresztą nie bez makabrycznego wdzięku. Nie brak i ech nowszych, jak Zegadłowicza, z takiem samem prawie jak u niego dekoracyjnem traktowaniem religijności ludowej. Cykl wierszy religijnych p. t. „Modlitwy grzesznicy", zasługują na uwagę, jako wyraz tendencyj odsuwania na bok zasad etyki w imię bujności i radości życia, w przekonaniu, że Bóg jest niby dobroduszny, wszystko przebaczający staruszek (por. niemal bluźnierczy w tonie wiersz: „To było wiosną, miły, dobry Boże!"). Bo w oczach autorki jest dwojaki Bóg: „łączny" i kościelny. Powrót do Boga Jedynego następuje dopiero wtedy, gdy zawiedzie życie. Ale i wtedy jeszcze wyznaje: „Grzech mój mię nie boli, ale się za mną kwieci purpurowo".

W przeciwieństwie do trojga omówionych poetów brak wyraźnej indywidualności w twórczości A. W a ś k o w s k i e g o, który również zwrócił się ostatnio do tematów historycznych. Świadomie, czy nieświadomie, poeta ten zaliczył się do grona epigonów wielkich mistrzów. W swych „Rapsodach" z całą dobrą wiarą chce uzupełniać Wyspiańskiego, wskrzeszając oktawą pokolei kilku królów polskich i każąc im oglądać wskrzeszoną

Polskę, a ewentualnie nawet patronować jej poczynaniom. W fanfarach brzmiących słów, wiązanych — trzeba to przyznać pięknie, a branych garściami ze Słowackiego — trudno dosłuchać się właściwej myśli autora. Nie można wątpić, że cechuje ją patrjotyzm. Rutyna autora w tworzeniu pięknych wierszy tworzy z tych oktaw wdzięczny materjał do deklamacji obchodowej. W drugiej części zbioru poeta „z hymnu zstępuje do prostej powieści t. j. w tercynach i czterowierszowych zwrotkach „Księgi ubogich" opiewa franciszkańskie „drogi proste". Jest tutaj może bardziej sobą. W całości jego próba obrony „Ducha" (przez duże D) i „przeszłości" wypadła dość blado.

Marja Czeska-Mączyńska nie odznacza się również szczególną oryginalnością uczuć i myśli, ale w każdym razie znać w jej twórczości, że żyje istotnie chlebem powszednim serca, którym się z nami łamie. Wiersze jej, nie stojąc formalnie na wyżynie odpowiadającej jej kulturze duchowej, ujmują przecież szczerością i wdziękiem uczuć prostych, ale stanowiących żywotną i niezawodzącą podstawę życia. Najlepsze są wiersze poświęcone dzieciom, bo najbardziej bezpośrednie. Cykl tytułowy jest bardzo pięknym wyrazem uczuć, związanych z oczekiwanem macierzyństwem. Temat, dość trudny, potraktowany został z dużym umiarem artystycznym, a ideowo ujęty prawdziwie po bożemu.

Od poetów, którzy, jak Brzeska i Helsztyński łączą szczęśliwie pierwiastki paseistyczne z nowoczesnemi, albo tych, którzy, jak Waśkowski i Czeska świadomie unikają kontaktu z nowoczesnością, przejdźmy do tych, co o tej nowoczesności zdają się nic nie wiedzieć i śpiewają bez wysiłku „jak ptak śpiewa". Niezupełnie do ich grona można zaliczyć poetę, ukrywającego się pod pseudonimem Jan Czar. W wierszach jego znać pewien wysiłek artystyczny, choć wymagałyby jeszcze dalszego retuszu. Forma ich niewyszukana, ale naogół w języku, rymie i rytmie zupełnie poprawna. Autor wyraża poprostu proste uczucia, zawsze szlachetne, przeważnie dość banalne. Religijność jego, która wprost lub pośrednio owiewa wszystkie utwory, jest szczera i radosna, to też ogólny nastrój cechuje słodka pogoda. Rzadko brzmią akcenty silniejsze, jak w wierszu „Prowàdź mię Panie", opisującym krainę, do której wchodząc: „lasciate ogni speranza". O wiele lepsze, niż oryginalne utwory Czara, są jego parafrazy psalmów, ułożone, za wzorem Kochanowskiego, wierszem o urozmaiconej rytmice. Rytmika ta zresztą niezawsze dostosowana jest do powagi tekstu, jak np. w Ps. 50 i 53, kiedyindziej jednak brzmi doskonale, jak w Ps. 126 „De profundis", gdzie naśladuje rytmikę średniowiecznej poezji łacińskiej. W porównaniu z parafrazą nieśmiertelnego Jana brzmią psalmy Czara o wiele słabiej, jeśli weźmie się pod uwagę przedział czasu i kultury, ale nie brak im powagi i jędrności mowy; język dzisiejszy i lekkie aluzje do dzisiejszości czynią przekład tych odwiecznych arcydzieł na nowo

żywym i bardzo nadającym się do spopularyzowania. Zapewne też szerokie masy czytelnicze miał autor na myśli, wydając swój zbiór; może on mieć niewątpliwie dodatnie znaczenie dla szerzenia wśród nich kultury literackiej.

Na twórczości Marwegowej ciąży przekleństwo położenia społecznego, umożliwiającego drukowanie tomików poezji własnym nakładem. Gdyby oszczędny księgarz wziął je w swe ręce i okroił do jednej czwartej, niewątpliwie zyskałby na tem i czytelnik i sława autorki. Mimowolna ironja jednego wiersza z pośród licznych utworów: „nie mam nad sobą kontroli ni stróża", oddaje trafnie istotne niedomaganie twórczości Marwegowej. Brak nadewszystko autokontroli, która dopuszcza odstępstwa od przyjętego przeważnie tradycyjnego rymu, rytmu etc. i pozwala na gaffy językowe, kompromitujące podniosłe tematy świadczące, że niema u Marwegowej odczucia waloru słowa. Zaletą autorki jest szczerość, która spowiada się przed czytelnikiem z myśli i uczuć bardzo osobistych, ale przeważnie ciekawych tylko dla niej, nie dla niego. Często słyszymy o „natchnieniu", to też wiele utworów jest owocem tylko tego natchnienia, bez pracy. Egocentryzm, cechujący autorkę wogóle, zaznacza się też w jej stosunku do Boga, sądzę więc, że niełatwo będzie jej złowić choć jedną duszę dla nieba, jak spodziewa się na podstawie symbolicznego znaku, który miała otrzymać. Ostatecznie widać pewien, chociaż powolny, postęp i być może, że zapał pisarski doprowadzi kiedyś do rzeczy bardziej odpowiedzialnych. Wiersz „Ugór" (choć pod znakiem Kasprowiczowskiej „Księgi ubogich"), dowodzi pomysłowości w użyciu symbolistyki, a „Lęk", dość ciekawy okaz autoobserwacji psychofizycznej, bez zbytecznych alegoryj i z wcale nowoczesnemi metaforami, jest dowodem, że poetka przy pracy mogłaby dać więcej niż dała dotychczas.

Wiersze Teresy Elster sprawiają wrażenie jakiegoś nieporozumienia. Wyróżnić w nich można formalnie dwie grupy: jedną tworzą dość interesujące naśladownictwa poezji wschodniej w poprawnych tradycyjnych formach, drugą wiersze wolne, będące niczem innem, jak słownikiem nieudolnych rymów, częste szczerze zabawnych przez swój dobór. Do tej grupy należą niestety wiersze religijne, zapewne, że pełne żarliwego uczucia, nieudolnością jednak formy profanujące tekst modlitw i parafraz Ewangelji. Tembardziej „niestety", że w ulubionej przez autorkę formie dialogu jest pewne zacięcie dramatyczne, narazie coprawda mogące jedynie mieć urok ludowości, jak teksty jasełek. Być może, że brak krytycyzmu, dozwalający na druk tak niedojrzałych utworów, trzeba przypisać pobytowi autorki na Wschodzie i odcięciu od polskiej kultury literackiej.

Przejdźmy zkolei do tych, co tworzą nowoczesność w poezji polskiej. Wielką stratą była dla niej przedwczesna śmierć Jerzego Lieberta, jednego z najgłębszych talentów, zbliżonych do grupy

dawnego „Skamandra". W drugim zkolei swym zbiorze p. t. „Gusła" (1930) wyrósł niespodziewanie na poetę-filozofa, dając cykl świetnych poezyj religijnych ujętych bardzo oryginalnie, przesyconych gorliwością neofity, choć niewolnych od sceptycyzmu. Trzeci i ostatni zbiór, który leży przed nami, podziela zwykły los pośmiertnych wydań. Być może, że autor sam nie byłby drukował niektórych z tych poezyj w tej formie, w jakiej się pojawiły. Na niektórych z nich znać bowiem wpływ warunków, w jakich powstawały: wszak umierający na gruźlicę poeta nie miał niekiedy sił, by dokończyć pisania tekstu. Ale jako dokument tragicznie zamierającego młodego życia są przejmujące. Jest to jedyny może w literaturze polskiej reflektor, odsłaniający przed oczyma zdrowych, z całym realizmem świat duszy skazańców na powolną śmierć. Świadomość tej bliskiej śmierci to ściana, która dzieli gruźlika od świata żywych: toteż widzi on świat ten poprzez uśmiech melancholijnej ironji, jakgdyby już z tamtego brzegu. Obok wierszy, może trochę słabszych w formie (jak na Lieberta!) są też prawdziwe arcydzieła duszy dojrzałej do wieczności. Wiersze „Uczę się ciebie człowieku. Powoli się uczę, powoli..." i „Veni Sancte Spiritus" godne są stanąć w szeregu doskonałych objawień poezji polskiej. Śmierć zabrała liryka najwyższej próby.

Na linji formalnej idącej poprzez Lieberta, możnaby umieścić W. Zechentera, który na własny wyraz się właściwie nie zdobywa. „Niebieskie i złote" — to cykl śpiewnych erotyków, owianych żałobą minionej miłości, miękkich i zacisznych w tonie. W „Linji prostej" poeta zaczyna odczuwać pustkę lat przeżytych „bez celu, bez treści" i szuka czegoś więcej. Ale zdobywa się jedynie na znużony sceptycyzm i oczekiwanie jakiejś nieznanej rewelacji, w międzyczasie pocieszając się miłością, dla której — jak sądzi — „Pan Bóg... poprawia swój dekalog, zmazuje, wykreśla". Oczywiście przy takim niepoważnym stosunku do religji trudno by doczekał się poeta oczekiwanej rewelacji. — Leopold Lewin nie bawi się w metafizykę, ale cieszy się pięknem przyrody, które opisuje w bogatych barwach, zapożyczonych ze świata klejnotów, wplatając subtelne motywy erotyczne. Talent ten ma przed sobą przyszłość; umie patrzeć i zna rzemiosło poetyckie.

Z poetów awangardy J. Kurek wydał powtórnie swe krzepkie „Śpiewy o Rzeczypospolitej", wzorowane na futuryźmie włoskim. Pierwsza część tego wydania aż do strony 30 włącznie, jest to tak zwane przez Niemców „Titelausgabe", a to uwalnia nas poniekąd od nowej recenzji. Szereg nowych poezyj, dodanych na końcu tomiku, nawiązuje w części do starej grupy, opiewając w myśl programu autora ważniejsze sprawy własnego społeczeństwa. Nowością są utwory o treści więcej osobistej, jak piękny „Płacz po zmarłem dziecku", jak „Erotyk" i in. Kurek, talent raczej średni, jest twórcą już skrystalizowanym, wie do czego

dąży i formalnie i ideowo (por. „Poemat o miłości społecznej") i ma niewątpliwą zasługę odwrócenia części młodego pokolenia od szablonu „Skamandra".

Nie wiem, czy w łączności z jego „Manifestem" tworzy Mieczysław Lisiewicz, poeta-lotnik, którego talent dojrzewa i rozwija się szybko. „Suita lotnicza" zawiera utwory pierwszorzędnej jakości, jak świetna „Legenda o miss Elsie Mackay i lotniku Hincliffie", jak niezmiernie sugestywne wiersze, opiewające radości lotu i poczucie triumfu siły i energji.

Hasła społeczno-pozytywne właściwe są M. Piechalowi, poecie o wybitnym zakroju refleksyjnym. Właściwość ta dominuje i w jego „Garści popiołu", cyklu elegij, poświęconych chłopom i robotnikom, którzy zginęli, ratując bibljotekę dzikowską. „Garść popiołu" jest o wiele słabsza od poprzednich tomików tego poety: patos, który w niej dźwięczy, ma tony sztuczne, jeśli nie fałszywe. Świadczy to jednak o różnostronności talentu, że umiał różnicować walor poszczególnych ziarn jednostajnego różańca, jakim uczynił — może dla utrudnienia sobie zadania — swoją trenodję.

Przynależność do „Kwadrygi" łączyła Piechala z Czechowiczem, należącym wraz z Słobodnikiem i Sebyłą do czołowej trójcy poetów tej grupy. Czechowicz — to poeta o niezmiernie plastycznej wizji, nieomal malarskiej, która zajaśniała w pełni w jego poprzednim zbiorze „Dzień jak codzień" (1930). Wydana ostatanio „Ballada z tamtej strony" świadczy o szybkim rozwoju talentu. Odznacza się ten cykl nadewszystko niezmierną umiejętnością operowania nastrojem, wydobytym z melodji wiersza i sugestywnej przeplatanki metafor, pozornie irracjonalnych. Pierwsza triumfuje we wstępnej „Pieśni", w wierszach „Pamięci zniknionego" (t. j. Conrada Korzeniowskiego) „Deszcz w Concarneau", „Przez kresy", druga w utworze „W pejzażu", niezmiernie wytwornym w zestawieniach barw, i w operującym kontrastem ideowym i obrazowym wierszu „Piłsudski". Melancholja samotności, uciszonej i zrezygnowanej, przenika większość utworów, a ciche stwierdzenie: „życie jest snem krótkim" stanowi sens tytułowego utworu, przejmującego spojrzeniem „z tamtej strony (może nie bez wpływu analogicznych liryków Wyspiańskiego, ale bez jego triumfującej siły poczucia nieśmiertelności!). Nie waham się twierdzić, że zbiór Czechowicza jest może najlepszem i najdoskonalszem, przynajmniej pod względem formalnym, z tego co wydał rok ostatni.

Awangardę z pod znaku „Zwrotnicy", a obecnie „a. r." reprezentuje Przybóś nowym tomikiem p. t. „W głąb las"; nawiązując w nim szczęśliwie do niektórych wierszy dawniejszych zbliża się do przyrody. Formalnie ten poeta-muzyk uczynił dalszy krok w wirtuozerji metaforycznej i operowaniu swym zwartym wierszem bez rymu i rytmu. Ideowo trzyma się haseł

„klasowych", jednakże szczery talent i silna indywidualność nie pozwalają mu utonąć bez reszty w ciasnem podwórku marksizmu. Dla czytelnika o jakiem takiem poczuciu przyzwoitości nieznośna jest trwająca wciąż jeszcze maniera operowania brutalnemi wyrazami i obrazami.

Inaczej niż Przyboś, Czuchnowski nie umie wyjść poza zaklęte koło idej, obrazowania i formy naszego rodzimego futuryzmu: miasto, walka klas, płeć — to ciągle powracające tematy, ujęte w formę, która — choć stosowana z talentem i umiejętnością — zaczyna nużyć. Ideologja autora, znana do przesytu z dzienników o kierunku marksowskim, uprawnia autora do nazwania siebie „Reporterem". Z „Różami" jednak, jak chce tytuł, reporterka ta niewiele ma wspólnego.

Przechodzimy do form dramatycznych. „Dalmino" Niżyńskiego — to wyraz niewątpliwego talentu, lirycznego raczej, niż dramatycznego, znającego się jednak z walorem efektów scenicznych. Zawiła i sugestywna symbolistyka wywodzi swój ród z Szaniawskiego i Rybickiego. Czy istotnie niesamowity pogrzeb błazna, ujęty w nastrojowe, płynne wiersze, o wycieniowanej dynamice ma symbolizować upadek i zmartwychwstanie Polski, jak chce jeden z krytyków i, jak się zdaje, literackich przyjaciół autora, możnaby dyskutować. W każdym razie na konto autora trzeba zapisać stworzenie świetnej retoryki w ustach przewodnika chóru błaznów, Ryszarda, określonego w scenarjuszu, jako „patos". Jest to bowiem patos o bardzo szlachetnym dźwięku. Ostateczny sąd o utworze można będzie wydać po ukazaniu się zapowiedzianych dalszych dwóch części trylogji.

Fantazja innego rodzaju cechuje Szukiewicza w jego „Popieluchu". Jest to udramatyzowana bajka, bogato rozwinięta, z rodzaju tych bajek, co to zaczynają się: „Był raz król". Poeta umie wydobyć z tego materjału pełnię poezji. Urozmaiconą fabułę, wijącą się we wdzięcznych meandrach, przybrał w język i wiersz o nieskazitelnej piękności dawnego typu.

„Wikinda" Waśkowskiego jest to dorobiony początek do dawniejszego szkicu dramatycznego „Kapłanka". Stąd nie brak powtarzań się myśli i wyrażeń. Rzecz to słabsza, niż inne prace tego poety. Bez zmiany pozostał brak wykończenia w języku, bez zmiany niesmaczny pomysł z wężem, ukrytym na piersi kapłanki, a pogłębienia historjozoficznego nie widać. Zyskała tylko psychologja bohaterki. Trudno dopatrzyć się różnicy między tym utworem a „tragedjami" epigonów romantyzmu.

Szelburg-Zarembina, powieściopisarka o ciekawem obliczu, choć mętnej symbolistyce, podejmuje w dramacie fantastycznym „Sygnały" zadanie na wielką skalę: obraz powstania, rozwoju i upadku cywilizacji przemysłowej, którą uważa za źródło wszelkiego zła fizycznego i moralnego. Ideologja autorki jest jednak aż nazbyt uproszczona. Znamy ją z enuncjacyj III międzyna-

rodówki. Winnym jest jedynie kapitał, u autorki wcielony szatan, „Wielki Kuglarz", który żre złoto, któremu służą i otumaniony inteligent i „sługa kościoła" i zautomatyzowany robotnik. Przychodzi jednak dzień uświadomienia mas, które zrywają pęta i biorą środki produkcji w swoje ręce. Wszystko będzie już wtedy dobrze. Gorące współczucie autorki dla niedoli mas kazało jej uwierzyć w te popularne skróty myślowe i powtórzyć je bezkrytycznie. Na pozytywny program się nie zdobywa. Artystyczna wartość utworu jest w prostym stosunku do wartości ideologji. Obraz teraźniejszej nędzy malowany jest w silnych, zwartych skrótach, łączących z wielką sztuką realizm ze stylizacją. Obraz to gorzki, by nie powiedzieć wstrząsający, bystro analizujący wiele stron tragicznej współczesności. Gdy jednak przychodzi do syntetycznego przedstawienia związków i przyczyn zła, a tembardziej do programu — rzecz rozpływa się w jaskrawej i prymitywnej symbolistyce. Akt czwarty, końcowy, jest artystycznie najsłabszy. Na podkreślenie zasługuje język i wiersz niezwykle silny, zwarty i jędrny, ostry i trafny, jak lancet w niezawodnej ręce. Nowoczesne zdobycze formalne święcą tu prawdziwy triumf. Kompozycja i budowa widowiska jest dobrze przemyślana, jednak automatyzm symbolów chybi być może efektu scenicznego.

Ciekawem jest, że utwór Ewy Szelburg przypomina społeczne dramaty K. H. Rostworowskiego, w których w podobny sposób przy pomocy zautomatyzowanych symbolów upraszczał zagadnienia. Zestawienie jednak utworu pisarki z temi najsłabszemi dziełami wielkiego twórcy wypada na jej niekorzyść. Rzecz prosta, że nas, patrzących trzeźwo i uznających katolicyzm społeczny, jednostronna ta symplifikacja złożonych zagadnień, nie przekona.

Zofja Ciechanowska.

Prusy wschodnie. Przeszłość i teraźniejszość. Książka zbiorowa pod redakcją Marjana Zawidzkiego. Poznań, nakł. Związku Obrony Kresów Zachodnich, str. XIV+338.

Casimir Smogorzewski: La Pomeranie Polonaise. Paris, Gebethner et Wolff 1932, str. XVI+462.

Rozwijająca się z każdym rokiem pomyślniej literatura nasza w zakresie kwestji bałtyckiej ma ostatnio do zanotowania dwie pozycje dużego znaczenia. Wydana staraniem Związku Obrony Kresów Zachodnich zbiorowa Praca o Prusach Wschodnich wypełnia w piśmiennictwie naszem lukę, która oddawna w dotkliwy sposób dawała się odczuwać. Prusy Wschodnie, kraj bezkresnych lasów i łąk, prymitywnych stosunków społecznych i gospodarczych, feudalnego junkierstwa, przed wojną traktowany z lekceważeniem przez Rzeszę, jako niezwiązany z nią organicznie aneks, po wojnie dzięki olbrzymiemu wysiłkowi propagandy niemieckiej wyniesiony został na czoło zagadnień polityki europejskiej. Od-

cięcie kraju tego od Rzeszy stanowi — podług wykładni Berlina — najkrwawszy cios, jaki wymierzył w Niemcy traktat wersalski; od naprawienia tej krzywdy zawisłe są losy wojny i pokoju w Europie. Propagandzie politycznej spieszy w pomoc nauka, dowodząc, że jest to ziemia rdzennie niemiecka, związana z Rzeszą rozlicznemi węzłami wspólnoty geograficznej, historycznej i gospodarczej, że przeto traktakt wersalski, odcinając Prusy od wielkiej ojczyzny niemieckiej, zniszczył organiczny twór natury i historji, dopuścił się grzechu śmiertelnego przeciwko zasadniczym prawom, obowiązującym w stosunkach pomiędzy państwami i narodami. Twierdzenia te spotykały się ze strony polskiej z niejednokrotną odprawą. Należy przypomnieć zwłaszcza prace St. Srokowskiego, który, opierając się na doskonałej znajomości spraw i stosunków wschodniopruskich, dowiódł, że kraj ten pod względem geograficznym należy do kompleksu państw nadbałtyckich, pod względem historycznym nie był nigdy składową częścią Niemiec lecz ich „kolonją", obecny zaś jego upadek gospodarczy nie pozostaje w przyczynowym związku z istnieniem polskiego Pomorza. Jeszcze poważniejszym, bo dokonanym siłami zbiorowemi dziewięciu specjalistów wysiłkiem w kierunku sparaliżowania propagandy niemieckiej jest omawiane dzieło. Przedstawia ono udatny typ wydawnictwa, które przy niezaprzeczonych walorach badawczych posiada równocześnie piętno aktualności, żywotnością zaś poruszonych zagadnień i staranną szatą zewnętrzną zdolne jest przyciągnąć szerokie rzesze inteligentnego ogółu. Czytelnik, pragnący sobie wyrobić pogląd na przeszłość dziejową Prus Wsch., znajdzie niezmierne bogactwo faktów i sądów w rozprawie W. Sobieskiego, który wbrew jednostronnym tendencjom historjografji niemieckiej stwierdza niezbicie, że kraj ten od samego zarania dziejów znajdował się w promieniu polskiego oddziaływania kościelnego, politycznego i gospodarczo-kulturalnego, że żywioł polski odegrał czynną i wybitną rolę w kształtowaniu się indywidualności Prus Wsch., wpływy zaś polskie odgrywały w nich tak znaczną rolę, że nie zdołał ich zetrzeć wiekowy okres forsownej germanizacji. Jak uderzające świadectwo biegunowych przeciwieństw polityki polskiej a krzyżackiej stanowi np. przytoczony przez autora list Leszka Białego do papieża Honorjusza III z r. 1220, w którym książe krakowski wyrażał zamiar założenia w kraju Prusów nowego miasta z targiem soli i żelaza, „których brak cierpią poganie, aby dla zaspokojenia swych potrzeb przybywając na ten targ, łatwiej mogli słuchać z ust kaznodziejów... słów zbawienia i tem łatwiej przywyknąć do obyczajów chrześcijańskich". Niemniej uderzające zjawiska, świadczące o ścisłej zależności Prus Wsch. od Polski, przytacza autor przy omawianiu wzajemnych stosunków w XVI i XVII w., kiedy Zygmunt August udzielił Albrechtowi przywileju na założenie uniwersytetu w Królewcu, przez komisarzy swych oswobodził stany wschodnio-

pruskie z pod jarzma Hohenzollernów i zyskał taką ingerencję w wewnętrzne sprawy księstwa, że podług historyka niemieckiego elektor brandenburski panujący w Prusach w początkach XVII w. został właściwie „zdegradowany do roli bezwolnego namiestnika Polski". Uzupełnieniem i poparciem wywodów Sobieskiego jest artykuł Srokowskiego o polskich pamiątkach w Prusach Wsch., w którym zasłużony badacz wykazuje, jak wielorakie były wpływy polskie nad Pregołą i jak różnorodne, mimo wysiłków rządu pruskiego, pozostały po nich w dzisiejszej dobie ślady.

W ośrodek najdonioślejszych zagadnień aktualnych wprowadzają nas rozprawy A. Plutyńskiego i E. Rueckera. Pierwszy, analizując przyczyny upadku gospodarczego Prus Wsch., wykracza daleko poza obręb nakreślonych przez propagandę niemiecką wywodów na temat zabójczości odcięcia i zdławienia kraju polskim „korytarzem" i sięga do istotnych przyczyn zła. Jest to w pierwszym rzędzie anormalność współżycia Prus Wsch. z Niemcami, których olbrzymie uprzemysłowienie, nastawione przedewszystkiem w kierunku zachodnim państwa, nie pozostawia prowincji wschodniej innych możliwości gospodarczych, jak rolnictwo, które musi się sztucznie ochraniać wysokiemi cłami, następnie warunki przyrodzone samych Prus Wsch. i przemiany stosunków powojennych, które przyspieszyły zarysowujący się oddawna proces wyludnienia i zubożenia kraju. Ruecker, znany z szeregu świetnych studjów o powojennych Niemczech, przedstawia ewolucję, jakiej uległo zagadnienie Prus Wsch. w dobie obecnej. Traktowane przed wojną jako objekt małego znaczenia, stały się obecnie terenem niesłychanych wysiłków politycznych i wkładów finansowych Rzeszy. Autor tłumaczy to względami w pierwszym rzędzie polityki zagranicznej: Prusy Wsch. stanowią dziś dla Rzeszy niezmiernie ważny pomost w jej ekspansji na Wschód. Obie rozprawy odznaczają się ujmowaniem zagadnienia wschodnio-pruskiego na szerokiem tle problemów politycznych i gospodarczych powojennych Niemiec i Europy i przez to uwypuklają właściwe jego znaczenie w przeciwstawieństwie do wywodów nauki niemieckiej, która sprowadza wszystkie niedomagania dzisiejszego stanu rzeczy do kwestji znienawidzonego „korytarza". Wymienione powyżej prace nie wyczerpują ani w części bogatej zawartości dzieła. Mowa w niem również o zabytkach prehistorycznych Prus Wsch. (Kostrzewski), o sprowadzeniu Zakonu Krzyżackiego (Tymieniecki), o języku polskim w Prusach Wsch. (Nitsch). Wł. Wakar składa wynik swych żmudnych dociekań nad strukturą demograficzną kraju, zaś A. Kotiużyński roztrząsa niezmiernie doniosłą kwestję niemieckiej pomocy gospodarczej dla Prus Wsch. i ukrytych pod nią celów politycznych. Należy wreszcie zaznaczyć, że dzieło wyposażone jest bogato w niezbędny dla tego rodzaju wydawnictw materjał ilustracyj, wykresów i tablic statystycznych.

Poważna, gruntowna, obszerna rzecz p. Kazimierza Smogorzewskiego o Polskiem Pomorzu stanowi niejako uwieńczenie wysiłków publicystycznych głośnego i cenionego pisarza, podjętych w obronie praw polskich do samodzielnego bytowania nad Bałtykiem. W ustawicznych, codziennych zmaganiach z zakusami niemieckiej propagandy rewizjonistycznej zdobył sobie p. S. doskonałą znajomość nietylko samego przedmiotu w najrozleglejszym jego zakresie, ale metod walki przeciwnika oraz psychologji cudzoziemskiego audytorjum, do którego przemawia. Wiedząc doskonale, że najlepszą metodą przekonania obcych jest mówienie całej prawdy, najlepszym środkiem zgnębienia strony przeciwnej przytłoczenie jej przewagą dowodów rzeczowych, unika zarówno twierdzeń sztucznych i naciąganych, jak operowania argumentami natury emocjonalnej, które mogą znaleźć oddźwięki u publiczności polskiej, atoli cudzoziemca pozostawią niewzruszonym. Od pierwszej do ostatniej karty przemawia autor rzeczowym językiem kategoryj historycznych, etno- i geograficznych, politycznych, gospodarczych, buduje wywód praw polskich do Pomorza na nieprzejrzanem bogactwie faktów, zaczerpniętych zarówno z poważnych wydawnictw o charakterze źródłowym jak z zebranych z wielką starannością świadectw publicystycznych i dziennikarskich. Dowiódłszy słuszności polskich praw historycznych do Pomorza, kreśli autor następnie rozwój sprawy dostępu Polski do Bałtyku w dobie wojny i konferencji pokojowej. W następnych rozdziałach mamy stwierdzenie polskiego charakteru Pomorza z punktu widzenia etnografji oraz obalenie geopolitycznych wywodów nauki niemieckiej o absurdalności „korytarza". Zkolei przedstawia p. S. znaczenie Pomorza dla rozwoju gospodarczego państwa polskiego, rozpatruje problem Gdańska i Gdyni, oświetla wysiłek polski w celu rozbudowy sieci komunikacyjnej, łączącej porty polskie z głębią kraju, by na zakończenie zbić tezy niemieckie o ujemnym wpływie polskiego „korytarza" na komunikację pomiędzy Rzeszą a Prusami Wschodniemi oraz upadek gospodarczy tego kraju. W całości przynosi dzieło p. S. takie bogactwo usystematyzowanych faktów i świadectw, że niezależnie od usług, jakie odda ono naszej propagandzie zagranicznej, powinno ono dotrzeć do wszystkich, którym zależy na zapoznaniu się z problemem dostępu Polski do morza nie na podstawie pobieżnych artykułów dziennikarskich, ale z perspektywy prawdziwie naukowej, zarazem zaś tchnącej bezpośrednią znajomością zagadnień politycznych i gospodarczych bieżącej doby. *J. F.*

Ks. Dr. Michał Klepacz: Idea Boga w historjozofji Augusta Cieszkowskiego na tle ówczesnych prądów umysłowych. Kielce 1933. Str. 430, in 8⁰. Cena zł. 15.

Ocenę tej poważnej i pożytecznej książki ułatwiają: Przedsłowie ks. Marjana Morawskiego T. J., Uwagi wstępne autora:

O metodzie i podziale niniejszej pracy oraz końcowy rozdział rozprawy: Ocena ostatecznych wyników badań Cieszkowskiego nad ideą Boga. Praca to niełatwa, jak wogóle niełatwo pisać o idealiźmie pokantowskim i o autorach zależnych w swych zapatrywaniach od niego. A takim właśnie autorem był Cieszkowski. Ks. Klepacz pragnie w swej pracy przedstawić nam naukę o Bogu, przejawiającą się w zapatrywaniach historjozoficznych Cieszkowskiego, owszem będącą ich główną podstawą. Tymczasem „Cieszkowski, jak słusznie zaznacza autor (str. 328), nie układa wcale systematycznej teologji naturalnej czy objawionej. O Bogu mówi przy nadarzającej się okazji, przymioty zaś Boże interesują go o tyle, o ile tłumaczą jego historjozofję". Trzeba więc było zadać sobie trudu niemało, by te rozrzucone myśli zebrać razem i wykazać, jak się one łączą w jeden system. A ponieważ Cieszkowski w swej nauce o istnieniu i naturze Boga nie opiera się jedynie na wywodach filozoficznych, lecz posługuje się obficie także objawieniem chrześcijańskiem, należało baczyć pilnie, by dobrze odróżnić, co tenże czerpie z przyrodzonego, a co z nadprzyrodzonego źródła. Autor, zdaniem naszem, wywiązał się znakomicie z trudnego zadania. Celem ks. Klepacza było nadto podać czytelnikom zapatrywania Cieszkowskiego na istnienie i istotę Boga na tle ówczesnych prądów umysłowych. Uczynił i to bardzo dobrze. Wskutek tego pisze dużo o zależności Cieszkowskiego od różnych systemów filozoficznych, podkreślając wszędzie krytyczność i samodzielność jego myśli, zwłaszcza dążność do „spolszczenia i schrystjanizowania" niemieckiego panteizmu. Dlatego praca ks. Klepacza zawiera niemało danych z historji systemów filozoficznych nietylko nowszych, ale i dawniejszych. Na ich tle uwypukla się lepiej myśl Cieszkowskiego.

Praca, prócz Wstępu, zaznamiającego z obecnym stanem badań nad twórczością Augusta Cieszkowskiego i podającego jego sylwetkę psychologiczną, zawiera cztery części. W pierwszej autor wykazuje, że idea Boga jest ideą centralną historjozofji Cieszkowskiego. W drugiej poucza na tle prądów współczesnych epistemologicznych, jaką metodą poznawczą posługiwał się Cieszkowski w swej filozofji wogóle (metoda dialektyczna, prawo analogji, intuicja, mistycyzm, wiara i objawienie). W trzeciej przedstawia zapatrywania Cieszkowskiego na zagadnienie istnienia Boga, zestawiając je z zapatrywaniami innych filozofów obcych i polskich. W czwartej wprowadza nas w zrozumienie poglądów Cieszkowskiego na istotę Boga i na jego przymioty. Krytykę zapatrywań Cieszkowskiego załączył ks. Klepacz do poszczególnych zagadnień, przez co zyskały one na przejrzystości, a na końcu książki podał już tylko wyniki swych roztrząsań nad ideą Boga u Cieszkowskiego.

Jakież są te wyniki? Istnienie Boga przyjmuje Cieszkowski jako prawdę niewzruszalną. Pewność w tym względzie daje mu

bezpośrednie widzenie Boga, nie gardzi jednak i rozumowemi dowodami, przemawiającemi za tą prawdą. Trudniej określić stanowisko Cieszkowskiego, gdy chodzi o jego naukę o naturze Boga. Sam Cieszkowski odrzuca „potworny panteizm": „Panteizm głosi, że wszystko jest Bogiem, a my zaprawdę powiadamy wam, że wszystko owszem do Boga należy i od Niego zależy". Toteż przeciw Heglowi i Micheletowi broni osobowości Boga. Przeciwstawia się też deizmowi, nazywając go „wodnistą pianką, szeroko przez dwa ubiegłe wieki ubitą i rozbitą, której wszakże co chwila pękająca bańka co chwila też wewnętrzną próżnię zdradza". Sam nazywa swój system „panteizmem personalnym lub personalnością panteistyczną", nie gardziłby też nazwą „panteizmu spinozystycznego" — sądzi jednak, że najlepiej możnaby go nazwać *monopanteizmem*, to znaczy kombinacją monoteizmu i panteizmu, ta bowiem kombinacja najlepiej godzi „imanentność i transcendentność Boga", najlepiej oddaje jego przekonanie, że „Bóg jest wszystkiem i jeszcze czemś więcej". Tak mniemał Cieszkowski. Ponieważ jednak pragnął uzgodnić swoje pojęcia z objawieniem, wolno i trzeba pytać: Czy Cieszkowski był w zgodzie z chrześcijańską ideą Boga?

Na to pytanie odpowiada autor rozprawy: „Twierdzimy stanowczo, że nie". Trzeba powiedzieć, że „Cieszkowskiemu nie udało się pojednać panteizmu z teizmem w tym sensie, aby to był wyższy rodzaj poglądu na Boga, bo faktycznie dwa te systemy połączyć się ze sobą nie dadzą. Stąd, zamiast wszechstronnie uzasadnionego systemu teologicznego, widzieliśmy u niego konglomerat różnych systemów". Cieszkowski nie był jedynym, który starał się o pogodzenie panteizmu niemieckiego z chrześcijaństwem. Starali się o to i inni współcześni polscy filozofowie („chrzcić" Hegla), starała się o to cała jedna szkoła niemiecka (Baader, Günther, Frohschammer). Najwięcej podobieństwa ma pogląd Cieszkowskiego do teorji Krausego, którą tenże zowie p a n e n t e i z m e m. „Czy Cieszkowski znał Krausego?" pyta ks. Klepacz. I odpowiada: „Nie wiemy. Prawdopodobnie tak, gdyż w czasie studjów autora *Prolegomenów*, a więc w czwartym dziesiątku XIX w., Krause był bardzo głośny w Niemczech". Otóż niemałą przysługę odda historji filozofji w Polsce, kto wyjaśni stosunek Cieszkowskiego do Krausego.

Cieszkowski cieszył się bardzo z orzeczeń watykańskich, dotyczących stosunku rozumu do wiary. Otóż te orzeczenia są całkiem przeciwne jego poglądom choćby np. na rolę wiary i rozumu w trzeciej epoce, na zniknięcie Kościoła i tajemnic w epoce Ducha Św. Cieszkowski miał się w życiu i przy śmierci za wiernego syna Kościoła, jak jednak godził rożne swe zapatrywania (np. że Chrystus nie był Bogiem, że niebo, piekło źle są pojęte przez Kościół, że Sakramenta są tylko symbolami i t. d.) z nauką tegoż Kościoła, pozostanie to zagadką psychologiczną. Bawił się

nieraz w teologa, choć nie był fachowcem w tej dziedzinie, w swych interpretacjach wiary uległ mocno wpływom protestanckim i racjonalistycznym, ale widocznie nie bardzo sobie z tego zdawał sprawę, owszem był przekonany, że czyni przysługę Bogu i Kościołowi oraz ludzkości przez syntetyczne łączenie tego, co się niestety połączyć nie da. Dobrze się więc stało, że fachowy filozof i teolog spokojnie i przedmiotowo zabrał się do gruntownego sprostowania niefachowej argumentacji „teologicznej" sympatycznego i uzdolnionego skądinąd autora *Ojczenaszu.*

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Ks. Dr. Michał Krzywicki: Prymat papieski a Kościoły wschodnie w okresie Soboru Efeskiego. Pińsk, Kurja Biskupia 1931, str. IV+138.

Pińska Kurja biskupia, mianowicie jej „Wydział obrządku wschodniego" wydał już kilka cennych publikacyj. Do nich należą Pamiętniki dwóch pierwszych konferencyj unijnych (druk trzeciego Pamiętnika w toku) i książka wyżej wymieniona. Powstała ona w roku 1500-letniego jubileuszu Soboru Efeskiego, a poświęcona została najważniejszemu punktowi kontrowersji między Kościołem katolickim, a Kościołami odłączonemi wschodniemi, t. j. prymatowi biskupów rzymskich.

Oczywiście niema żadnych dogmatycznych uchwał, mających za przedmiot prymat papieski, z epoki Soboru Efeskiego, bo w epoce owej prymat papieży, jak wogóle kwestja ustroju Kościoła, nie był przedmiotem żadnej kontrowersji. Co jednak Kościół wierzył w tej sprawie, wypowiadał ubocznie i okazyjnie przy innych sporach. Tak właśnie było z prymatem rzymskiego biskupa za czasów sporów chrystologicznych w piątem stuleciu. Znaczenie papiestwa w Kościele zaznaczyło się w walce z herezją Nestorjusza, i właśnie autor książki, analizując historję powstania tej herezji i potępienia jej w Efezie, wykazuje co mniemał o swojej władzy papież, co Sobór, poszczególni ówcześni biskupi, cesarze wschodni, nawet sami błędnowiercy, jak Nestorjusz. Rezultat tej analizy doprowadza do stwierdzenia zgodności tych sądów z dzisiejszą nauką katolicką o prymacie.

Dla nauki jako takiej studjum Ks. Dra Krzywickiego nie przynosi rewelacyj po pracach zagranicznych uczonych, dla naszego wszakże piśmiennictwa teologicznego jest cennym nabytkiem. Wykorzystać ją może i powinna nasza akcja unijna na Kresach. Dla apologety katolickiego mają niemałe znaczenie liczne przypiski, w których autor wykazuje jak niedokładnie i świadomie tendencyjnie tłumaczyli dzieje Soboru rosyjscy pisarze prawosławni.

Ks. J. Urban.

Elżbieta Burgerówna: Dziewczęta z bocznej ulicy. Jak sobie dzisiejsze dziewczęta kształtują życie. Z oryg. tłum. J. Rogala. Katowice 1933, Księgarnia Katol. (ul. Marsz. Piłsudskiego 58). Str. 195.

„Dzisiejsza młodzież cierpi. Ale nie dlatego, że nie może iść za swemi popędami z powodu przeszkód ze strony dawnych praw moralności — jak się to zawsze mówi — lecz z tego powodu, że właśnie ludzie dorośli zagadnienie płciowe do tego stopnia uczynili ośrodkiem życia, iż ma się wrażenie, jakoby ono właśnie było tem pierwszem i jedynem zagadnieniem, dla którego człowiek przychodzi na świat i żyje". Tymczasem młodzież jest lepsza i jeśli potrzebuje przestrzeżenia przed złem, to przedewszystkiem żąda skierowania jej wyżej, ku ideałom.

Takie to głębokie prawdy wypowiada ta niezwykła pisarka, E. Burger, która po długoletniej pracy w zawodzie akuszerki wydała przed kilku laty swą głośną książkę „40 lat w służbie bociana" (Por. *Przegląd Powsz.* z czerwca 1931 r., str. 368). Zwróciła się w niej do dziewcząt, stawiając jej przed oczy różne przykłady wzięte z rzeczywistości, a dotyczące głównie rzeczy drażliwszych, z jakiemi zetknęła się w swym zawodzie. Obecna książka już tylko nawiasem wspomina o tych sprawach, a ma na oku ogół dziewcząt, uczących się i zwłaszcza pracujących zawodowo, które w dzisiejszych warunkach tak łatwo mogą być narażone na różne niebezpieczeństwa — z jakich jedne wychodzą zwycięsko, inne padają ofiarą. Trzydzieści kilka takich przykładów, jednego i drugiego rodzaju, podaje autorka, chcąc pouczyć młode czytelniczki i zachęcić do dobrego. Przyda się przeczytać je także starszym, którzy pracują na niwie społecznej i wśród młodzieży żeńskiej.

Tłumaczenie, które porównywaliśmy częściowo z oryginałem (11—20 wyd.), jest wierne i dobre.

Ks. S. Podoleński.

Pod tchnieniem burzy. Życie polskiego chłopca na tle wielkiej tragedji dziejowej skreśliła Siostra. Wydawn. Ks. Jezuitów 1933. Str. 204. 1 ilustr. w rotograwurze.

Do szeregu książek, opisujących wstrząsający dramat zagłady kultury polskiej na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, przybywa z tą książeczką nowy przyczynek. Jest to właściwie historja jednej tylko rodziny, na którą w strasznych, ostatnich latach wojny waliły się jedne po drugich najcięższe ciosy. Bohaterem jest kilkunastoletni chłopiec, który zrazu zmaga się mężnie z przeciwnym losem, a wreszcie, dojrzały już dla nieba i w pełni wyrobiony, przedwcześnie umiera. — Kart tych, skreślonych przez Siostrę zmarłego, dziś zakonnicę, z wielką prostotą i miłością, nie można czytać bez szczerego wzruszenia. Przebija z nich na każdym kroku ścisła prawda, choć skromność kazała rzucić lekką, przejrzystą zresztą, zasłonę na pewne szczegóły i nazwiska. Pokazuje się znowu z tej małej książeczki, ile w tem społeczeństwie kre-

sowem, napozór zepsutem przez zbyt wielki dostatek, było dzielności serc i głębokości umysłów, ogromnego przywiązania do Boga i wierności dla Ojczyzny. Już z tego względu jest ta książeczka cennym dodatkiem do historji naszych kresów a prócz tego będzie ona dla młodych zajmującą a podnoszącą lekturą.

Ks. J. R. T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Księgarni św. Wojciecha, Poznań.

M. Perroy: Na wieczność. Powieść. Str. 187.
Jerzy Marlicz: Bractwo Białego Lamparta. Opowieść kolonjalna. Str. 430.
Ks. Dr. Antoni Polz: Ave, Maris Stella. Czytanki na miesiąc maj. Str. 194.

Nakładem Głównej Księgarni Wojskowej, Warszawa.

Aleksander Kawałkowski: Z dziejów odbudowy Państwa. Szkice. Str. VI + 217. (4.50 zł).
Inż. M. T. Bohatyrew: Jak samemu zbudować półślizgową płaskodenną łódź wiosłową. (Biblj. Sportowa nr. 6). Str. 42 i tabl. (2 zł.).
Krótki Przewodnik po Huculszczyźnie. Zestawił Komitet red. Str. 139 i mapa.

Nakładem różnych.

Stanisław Grabski: Ekonomja Społeczna. Dążenia rozwojowe współczesnego kapitalizmu. Wyd. Zakładu im. Ossolińskich, str. 149.
Ks. prof. E. Górski i sędzia Z. Wolski: Błędnowiercze i anarchistyczne nauki Badaczy Pisma św. Sandomierz 1933, str. 59.
Ks. Gracjan Tretkowski: Krótkie Homilje na niedziele całego roku. Cz. II. Pelplin 1933, str. 256.
Antoni Marczyński: Gaz 303. Powieść. Tom I. Wyd. *Dziennika Poznańskiego*. 1933, str. 174.
Aleksander Kossowski: Protestantyzm w Lublinie i w Lubelskiem w XVI i XVII w. Prace Tow. Przyjaciół nauk w Lublinie, 1933, str. 256.
Antoni Waśkowski: Wikinda. Tragedja w 3 aktach. Miejsce Piastowe. 1933, str. 129.
Encyklika... Rerum Novarum. Przetłum., wstępem i objaśnieniami opatrzył Ks. J. Piwowarczyk. Wyd. 2 uzupełnione. Nakł. „Księgarni Krakowskiej". Kraków 1933, str. 99.
Władysław Tomkiewicz: Jeremi Wiśniowiecki. Warszawa, nakł. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, 1933, str. XVI+406.
Ks. Dr. Kazimierz Dworak: Zarys psychologji empirycznej. Podręcznik szkolny. Kielce 1933. Nakładem autora. Str. 224 (6 zł.).
Ks. Mateusz Jeż: Do nowej Polski. Wiersze. II wyd. powiększone. Kraków. 1933, str. 88.
Ks. Jan Kapica: Kazania, mowy, odezwy. Wyd. przez Koło homil. Kapł. diec. Kat., pod red. ks. dra Emila Szramka. Katowice 1933. str. XVI+379.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Program „państwowego wychowania" etapem walki o przyszłość. — „Legjon Młodych".

Przywykliśmy już do współczesnego zjawiska jawnych lub zamaskowanych dyktatur, pozostających w rękach jednostek, czy raczej stworzonych przez nich partyj. Partje te, stanowiące z początku liczebną mniejszość, ale świadome celu i często zdecydowane na wszystko, rozszerzały stopniowo swe kadry, różnemi sposobami zyskiwały zwolenników, zdobywając po krótszej lub dłuższej ewolucji parlamentarną większość. Większość taka staje się legalnem oparciem i pozwala odnośnym rządom na przeprowadzenie ustrojowych reform w myśl ideologji partji.

Każda jednak dyktatura, nawet sankcjonowana przez większość parlamentarną, budzi w danem społeczeństwie reakcję, podtrzymywaną lub rozniecaną przez polityczną opozycję. Stronnictwa opozycyjne, nie mogąc dojść do skutecznego głosu na terenie parlamentarnym, usunięte poza nawias twórczości ustawodawczej, siłą faktu przenoszą swą aktywność na teren szerszy i pracą agitacyjno-organizacyjną usiłują zabezpieczyć sobie w społeczeństwie widoki na przyszłość.

Równocześnie jednak i partja rządząca, o ile nie chce na terenie polityki przedwcześnie się skończyć, nie może zadowolić się chwilowem wydawaniem ustaw, oraz czasowem gnębieniem i rozbijaniem opozycji, ale w roztropnej trosce o przyszłość musi dążyć do wychowania całego społeczeństwa w swej ideologji. Jest rzeczą oczywistą, iż o wynikach tych jawnych czy ukrytych zmagań zadecyduje głównie pokolenie młode. Ludzi dojrzałych nie przerabia się tak łatwo, młodzież można sobie wychować, by potem jej ramieniem i mózgiem definitywnie zwyciężyć. Stąd ów wyścig w walce

o dusze młodzieży i jej ideowe nastawienie. Tak jest we Włoszech, w Niemczech, w Jugosławji, podobnie i w innych krajach.

Faszyzm nie zadowolił się faktycznem zwycięstwem, osiągniętem przez marsz na Rzym, nie poprzestał na zgnębieniu i rozbiciu opozycji, ale siłą konieczności, musiał pomyśleć o ideowem zabezpieczeniu jutra i dlatego niepodzielnie zawładnął wychowaniem młodych. Awangardziści, członkowie „Balilli", to przyszłość włoskiego faszyzmu, oraz podstawa wygranej na daleką metę. W Jugosławji coraz wyraźniej tę samą rolę powierza się „Sokołowi". Niemiecki hitleryzm nie zadowoli się szturmówkami brązowych koszul, jak faszyzm nie zadowolił się koszulami czarnemi, ale systematycznie dąży i dążyć będzie do zaszczepienia w duszach młodzieży hitlerowskiej ideologji. Zbytecznem byłoby przypominać Bolszewję, w której wychowanie młodzieży jest wyłącznym przywilejem państwa.

Rozważając współczesną rzeczywistość w Polsce, spostrzeżemy niejedną analogję do wyżej naszkicowanych stosunków i pojęć.

Od majowego przewrotu obóz rządzący przeprowadza systematycznie swe cele, realizując stopniowo swą ideologję. Trudności piętrzą się większe może niż gdzieindziej, gdyż w obozie rządzącym brak narodowej więzi, brak żywiołowego elementu, jakim jest dzisiaj nacjonalizm. Brak było nawet silnego stronnictwa, zbrojnego w jedną przewodnią ideę, trzeba je było dopiero dość pracowicie montować, by kult osoby, który jako tako spajał, zastąpić czy uzupełnić kultem mniej więcej sprecyzowanej już ideologji. Od czasu ostatnich wyborów obóz rządzący posiada swą sejmową większość, może więc rządzić legalnie, nie oglądając się zbytnio na opozycję. Opozycję tę zresztą systematycznie rozbijał, oraz osłabiał, zlikwidować jej jednak, pomimo drastycznych posunięć, dotychczas nie zdołał.

Jak w innych krajach, tak samo i u nas w dalszym etapie walki o ustrój i władzę, stronnictwa opozycyjne, unicestwione na terenie parlamentarnym, pozbawione realnego wpływu na teraźniejszość państwową, zwróciły cały swój wysiłek w przyszłość. Bezowocne starcia opozycji na terenie sejmu, ograniczone siłą faktu prawie do bezsilnej demonstracji, zamienić się musiały na gorączkową pracę ideową pośród społeczeństwa, by straciwszy ster w teraźniejszości, móc sięgnąć po niego w bliższej lub dalszej przyszłości. Już tylko normalnym wynikiem ewolucji walki o władzę jest walka o młodzież i jej ideowe nastawienie. Bez obawy pomyłki można chyba stwierdzić, iż start się już odbył, a meta leży w przyszłości.

Obóz rządzący w Polsce, którego sztandarową osobą jest marszałek Piłsudski, organem ustawodawczym: sejmowy klub BBWR, a realizatorem programu: rząd — musiał pomyśleć o rozszerzeniu swych faktycznych podstaw, o wzmocnieniu swych kadr i zabezpieczeniu jutra, o którem przecież zdecyduje pokolenie młodych.

Do umysłów młodych przemawia przedewszystkiem hasło mocne w swej ekspresji a bogate w treść. Takiem hasłem jest dzisiaj, w dobie skrajnego nacjonalizmu, bezwątpienia: naród i jego suwerenne prawa. Otóż faktyczną wyłączność w wyzyskiwaniu tego potężnego hasła rościło sobie w Polsce prawe skrzydło opozycji. Wzmacniając to hasło drugą, niemniej popularną dewizą: antysemityzmu, osiągnęło Stronnictwo Narodowe przemożny wpływ wśród młodzieży, którego wyrazem była szeroko rozgałęziona organizacja Obozu Wielkiej Polski.

Obóz rządzący, choćby ze względu na swą politykę mniejszościową, hasła tego podjąć nie mógł, i dlatego wysunął w swym ideologicznym programie inne hasło: państwowości. Wybitną rolę w opracowaniu tego programu i w konsekwentnem urzeczywistnieniu odegrał i odgrywa minister W. R. i O. P., obecnie premjer p. Jędrzejewicz. W swych programowych mowach podkreślił niedwuznacznie, iż „metodą jego myślenia i sprawdzianem decyzyj jest interes państwowy", iż „naczelnem dobrem społeczeństwa jest państwo, rzeczą najwyższą interes państwowy i wszystkie inne muszą mu się podporządkować", iż „tę a nie inną myśl propagują rządy pomajowe".

Jest rzeczą wprost oczywistą, iż w tym duchu i w funkcji tej ideologji rozegra się w najbliższej przyszłości między obozem pomajowych rządów a opozycją walka o przyszłość czyli o młodzież.

Reforma szkolnictwa niższego i średniego, której początkowe stadja już się urzeczywistniają, jest dziełem rządów pomajowych. W tych zreformowanych szkołach ma być wprowadzony „szczery, głęboki, na uczuciu i wiedzy oparty kult państwowości polskiej, cześć i miłość młodzieży dla wielkich postaci-twórców tej państwowości, oraz szacunek i posłuch dla władzy urzędowej, bo na tem polega wychowanie państwowe". Pragmatyka, moralny i urzędowy wpływ na nauczycielstwo dają gwarancję iż program wychowania państwowego, nawet wbrew ideowym i partyjnym przekonaniom pewnej frakcji nauczycielstwa, redukowanej zresztą powoli do minimum, realizować się będzie. Wyrazem zewnętrznym nowego prądu jest szkolna organizacja: „Przednia Straż", którą popiera rząd i która wobec tego na terenie

szkolnym cieszyć się będzie bezwątpienia szczególnemi względami.

Z punktu widzenia religijnego sformułowaliśmy już pewne zastrzeżenia wobec ideologji „państwowego wychowania", powtarzać ich tutaj nie będziemy.[1]) Tem głębiej zato katolickie społeczeństwo uświadomić sobie musi bezwzględny postulat sumienia, iż program państwowego wychowania nie może dojść do skutku z pominięciem lub ograniczeniem elementów religijnych. Ich głęboki wpływ na wychowanie młodzieży bezwzględnie utrzymany być musi, tak dla dobra dusz, jak i dla dobra narodu i państwa. Wszelkie programy szkolne, usuwające wpływ religji ze szkoły, musiałyby się spotkać z kategorycznym sprzeciwem katolickiego społeczeństwa, nie z jakichś partyjnych pobudek, ale z nakazu sumienia.

Przyznać musimy, iż w chwili obecnej takiego laicyzującego programu niema, owszem, przeciwnie, naczelne czynniki rządowe podkreślają niedwuznacznie doniosłość religji w wychowawczem dziele. Nietylko zasady Konstytucji, ale i w ich duchu wydane przepisy państwowe (okólnik Bartla) zapewniają religji należyte stanowisko w szkole. Zato tem mocniej musimy podkreślić niewątpliwy fakt, iż niektóre czynniki podległe wyzyskują perfidnie zasadę wychowania państwowego do przeszczepiania na teren szkolny swych osobistych a laicyzmem zarażonych przekonań. W chwili obecnej dotyczy to głównie religijnych organizacyj młodzieży szkolnej, które z programem wychowania państwowego zupełnie nie kolidują, a dotychczas cieszyły się pełną swobodą, a nawet opieką. Mnożą się skargi, iż w dość licznych szkołach, a nawet na terenie całych inspektoratów czy kuratorjów szykanuje się organizacje tego rodzaju jak Sodalicje M., Krucjatę Euch., zwłaszcza zaś S. M. P. Przy większem nasileniu mnożących się a autentycznych skarg, trudno będzie uwierzyć, iż chodzi tu wyłącznie o inicjatywę czynników podwładnych. Łączenie zaś ideologji „wychowania państwowego" z zapędami laicyzującemi musiałoby samą tę ideologję skompromitować. Opierając się na istniejących przepisach i zasadach konkordatu, katolicy mają prawo i obowiązek stać na straży poszanowania religji i jej przejawów na terenie szkolnym, mają prawo i obowiązek surowo i otwarcie piętnować wszelkie nadużycia i laicyzacyjne zapędy, tak osób prywatnych, jak i urzędników szkolnych, a czyniąc tak, stoją na gruncie lojalnej państwowości. Katolicy mają najświętsze prawo domagać się od rządu, by poskramiał zapędy owych kuratorów, inspektorów, czy na-

[1]) Zob. „Sprawy Kościoła" luty 1933, str. 249 i nast.

uczycieli, którzy z własnej inicjatywy odważyliby się rzucać w tej czy innej formie posiew laicyzacji, osłabiać lub paraliżować wpływy religji na szkołę. Wolność organizacyj czysto religijnych, w ramach szkolnej ustawy, musi być uszanowana, a wszelkie w tym kierunku nadużycia urzędów podwładnych powinny być karane przez kierownicze czynniki.

Ale jeśli w zakresie szkolnictwa niższego oraz średniego, w związku z programem wychowania państwowego, pojawiły się pewne, sporadyczne zresztą, nadużycia, które słusznie niepokoją społeczeństwo katolickie, to niepokój ten niepomiernie wzrasta, gdy zwrócimy uwagę na nowe prądy nurtujące na uczelniach wyższych.

Wychodząc z założenia, iż „rzeczą najwyższą jest interes państwowy i wszystkie inne muszą mu się podporządkować", rząd ograniczył dotychczasowy samorząd uniwersytetów, a organizacyjne życie akademickiej młodzieży poddał pod ścisłą kontrolę władz centralnych. Widać, iż musiał mieć do tego zarządzenia powody niezwykłej wagi, kiedy pomimo gwałtownego oporu wszystkich uniwersytetów ustawę sforsował i wprowadził w życie. Prawie równocześnie rozwiązano w całej Polsce organizację O. W. P. i uznano ją za nielegalną, a zarządzenie to, jak głosi urzędowy komunikat, umotywowano znowu względem na państwowy interes. Tak więc zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, iż rząd pragnie także w ramach życia uniwersyteckiego przeprowadzić swój program „państwowego wychowania". Konsekwentny plan w walce o przyszłość, czyli o młodzież, rysuje się całkiem jasno.

Ale oto całkiem wyraźnie dowiaduje się społeczeństwo, iż prawo realizowania tego programu na wyższych uczelniach przywłaszcza sobie wcale niedwuznacznie nowa organizacja t. zw. „Legjon Młodych". Organizacja ta wybija się w każdym razie obok „Strzelca" i osłabionej wewnętrznemi niesnaskami „Myśli Mocarstwowej" na plan pierwszy; odbywa swe zloty, kongresy i walne zebrania przy jawnem poparciu czynników rządowych, posiada swe komisje ideowe, organizacyjne i szkolne a w swym tygodniku „Państwo Pracy" ogłasza swe uchwały i rezolucję. Organizacja zatem jawna, nie zakonspirowana, głosząca namiętnie swój program.

I tutaj właśnie tkwi geneza głębokiego niepokoju, bo program „Legjonu Młodych" trudno uznać za program „wychowania państwowego". Jeśliby zaś miało tak być istotnie, to niepokój winien przerodzić się jak najprędzej w zorganizowany sprzeciw całego katolickiego społeczeństwa w Polsce.

„Legjon Młodych" głosi, iż swój byt, swe przebudzenie do czynu, zawdzięcza „idei Józefa Piłsudskiego, idei zawsze polskiej i zawsze młodej, młodym przedewszystkiem zrozumiałej, młodych przedewszystkiem porywającej". W program swej ideowej walki wstawił „Legjon Młodych" „boje o nową ustawę akademicką, którą uznał za pożyteczną i korzystną w ramach możliwości obecnego ustroju"; walczy również o „imię dzisiejszego ministra oświaty", do którego „odnosi się z całkowitem zaufaniem za całokształt pracy przy reformowaniu i uporządkowaniu spraw szkolnych i akademickich". W myśl uchwał powziętych w Warszawie, „Legjon Młodych" jest „organizacją ideowo-wychowawczą, urabiającą światopogląd młodego pokolenia w duchu państwowym, jednocześnie jest zawiązkiem przyszłej partji politycznej, która na podstawie zbudowanego własnego światopoglądu politycznego realizuje swe postulaty"...

Postulatów tych jest dużo; są wśród nich dobre i szlachetne, państwowo-twórcze, ale nie brak i takich, które poprowadziłyby państwo na bezdroża.

Nie mamy zamiaru poddawać szczegółowej analizie całokształtu ideowego programu „Legjonu Młodych", zresztą wątpimy, czy program taki dostatecznie się skrystalizował, nie ulega jednak żadnej wątpliwości, iż istnieją pewne zgubne tezy.

Na ogólnym kongresie „Legjonu M." w Poznaniu (3 maja), w którym wzięło udział 5000 legjonistów i 3000 sympatyków, powiedziano w programowem przemówieniu, iż „Legjon" ma walczyć o nową Polskę, bardzo różną od dzisiejszej, w której zlikwidowanym zostanie ustrój kapitalistyczny, w której człowiek pracy i żołnierz będą naprawdę elitą narodu, w której nie będzie bezrobocia, a współżycie między narodami nie będzie wymagało pacyfikacyj i szubienic, po którą (Polskę) nie sięgnie żadna międzynarodówka, ani czerwona, ani czarna. Dlatego to „Legjon Młodych" musi walczyć z Obozem Wielkiej Polski, gdyż on przedewszystkiem jest zawadą w marszu gigantycznym do nowej Polski, bo swą psychiką zdegenerowanej burżuazji urąga i przeczy polskiej proletarjackiej prawdzie. — Możnaby zresztą zestawić cały wieniec frazesów i haseł, które aż nazbyt żywo przypominają wykrzykniki mówców z za wschodniego kordonu. Wprawdzie „Legjon Młodych" odżegnuje się od komunizmu, uważa się nawet, zwłaszcza na terenach kresowych, za „antykomunistyczną czołówkę", równocześnie jednak na łamach swojego organu (14 maja) wzywa do porozumienia młodzieży polskiej z rosyjską, do urządzenia w murach naszej stolicy, i to już w roku najbliższym, przyjęcia

„dla przywódców najpotężniejszej na świecie organizacji młodzieży: Komsomołu".

Trudno dziś jeszcze powiedzieć, czy i w jakim stopniu ideologja społeczna „Legjonu" jest dotknięta zarazą komunizujących poglądów. Tem jednak baczniej musi opinja katolicka, niemniej jak i sam rząd, śledzić dalszy rozwój programu i czynów.

O ile jednak powtarzający się uparcie zarzut, iż w łonie „Legjonu Młodych" komunizm ma swych ideowych zwolenników, może jeszcze budzić pewne wątpliwości, o tyle jego nastawienie antyklerykalne, powiedzmy wprost antykatolickie musi uderzyć nawet najbardziej bezstronnych.

Pomińmy bratanie się z radykalną frakcją młodzieży francuskiej: *Jeunesse laique et républicaine,* trudno jednak milczeć wobec następujących rezolucyj: „Utożsamianie przez szerokie warstwy społeczne religji z klerem, jako szkodliwe dla pogłębienia duchowego życia religijnego, winno być usunięte z życia polskiego... Rząd polski winien mieć silny wpływ na obsadzanie stanowisk duchownych" (Kraków, rez. 19); „Domagamy się przemożnego wpływu państwa w regulowaniu stosunku z Kościołem" (Chełm Lub.); „Konkordat z r. 1925, to umowa międzynarodowa państwa polskiego, która jest przykrym spadkiem z okresu przedmajowego, obniżającym jego powagę i krępujacym swobodę działania" (Kraków, rez. 3, teza Komendy okręgu).

Komentarz chyba zbyteczny, bo wiadomo, iż antyklerykalizm jest stałym poprzednikiem religijnej walki. Antyklerykalizmem maskuje się stale nastawienie antyreligijne. Zresztą wiemy pozytywnie, iż na zebraniach i wiecach „Legjonu" zbyt często jawią się ataki na kler, na konkordat, nawet na papieża oraz jego zarządzenia, — a zdawkowe wzmianki o religji i jej pogłębianiu przy równoczesnem nanastawieniu antyklerykalnem uważamy na obłudny frazes.

Dziwi nas jedno, iż „Legjon", korzystający z opieki czynników rządowych, zastawiający się autorytetem p. ministra W. R. i O. P. i broniący całokształtu jego zarządzeń, zapomniał o uroczystem oświadczeniu tegoż ministra, dzisiaj premjera, iż „rząd dokłada wszelkich starań, aby konkordat nietylko był wykonany z całą sumiennością, lecz aby jego zasady coraz bardziej przenikały do świadomości prawnej społeczeństwa". Dziwnem zaiste byłoby to „przenikanie", gdyby „Legjon Młodych", stojąc na platformie prorządowej pracy, atakował równocześnie konkordat i jego zasady! Jeszcze dziwniejszym jest fakt, iż w zebraniach „Legjonu", w czasie których padają tak nielojalne wobec państwa słowa, jawią się reprezentanci władz państwowych, jako jawni sympatycy.

Jest rzeczą zupełnie jasną, iż o ileby „Legjon Młodych" trwał nadal w swych antykonkordatowych nastrojach, nie nadawałby się żadną miarą na instrument do przeprowadzenia programu „państwowego wychowania" na wyższych uczelniach, co najwyżej może tylko ten program wobec całego katolickiego społeczeństwa gruntownie skompromitować.

Tymczasem „Legjon młodych" dąży nietylko do organizacyjnej supremacji na uniwersytetach, ale nadto pragnie zjednoczyć pod swym sztandarem wszystkie prorządowe organizacje młodzieży robotniczej oraz wiejskiej, pragnie również rozciągnąć swój wpływ i na szkoły średnie oraz wysuwa wiele mówiący postulat „obsadzania w miarę możności stanowisk wychowania obywatelskiego i instruktorów P. W. przez członków „Legjonu Młodych" (Poznań, sek. szkol. rez. 4).

„Legjon" rozwinął swój sztandar, ale niema na nim krzyża, razi zaś w oczy swoją niepolską czerwienią. Katolicka młodzież nie może z czystem sumieniem stanąć pod takim sztandarem.

Ks. E. Kosibowicz T. J.

Z pogranicza medycyny i etyki.

Higjena społeczna a projekt nowego prawa małżeńskiego. -- Czy zmiana stanowiska Kościoła?

Na przestrzeganie pewnych zasad etycznych zwracał stan lekarski zawsze uwagę, czego dowodem są choćby istniejące wszędzie kodeksy etyki czy deontologji lekarskiej. W ostatnich czasach akcentuje się nadto coraz silniej społeczne obowiązki lekarza, a jakkolwiek ta służba społeczna niezawsze bywa szczęśliwie pojmowana, jak to mieliśmy sposobność zaznaczyć w broszurze *O życie nienarodzonych* (Kraków 1933), niemniej sam fakt wysuwania jej uważać należy za wysoce dodatni. Różnice zdań, o jakie w tych rzeczach nietrudno, mogą dać początek zbawiennej dyskusji, która w wielu wypadkach doprowadzi do porozumienia, w innych zaś pomoże przynajmniej do wyjaśnienia sprawy lub właściwych źródeł nieporozumienia.

Jednym właśnie z takich wypadków, który należałby raczej do ostatniej kategorji, jest artykuł dra med. T. Janiszewskiego, prof. uniw. warszawskiego, p. t. „Projekt nowego prawa małżeńskiego ze stanowiska higjeny społecznej", zamieszczony niedawno w czasop. *Lekarz Polski* (Warszawa 1933 nr. 3, str. 55). Podkreśliwszy, że — na dzisiejszym stopniu kultury — zdrowie społeczeństwa zależy od stanu rodziny, poddaje autor krytycznej, z e s t a n o w i s k a h i g j e n y s p o ł e c z n e j, ocenie projekt prawa małżeńskiego, opracowany przez prof. Lutostańskiego. Znajduje

w nim sporo dodatnich pod tym względem momentów, dotyczących przygotowania i zawarcia małżeństwa, jego trwałości, zabezpieczenia interesów matki i dziecka, poczem kończy wnioskiem, aby projekt ten „jak najprędzej" wprowadzono w życie.

Nie myślimy bynajmniej bronić przekazanego nam z czasów zaborczych ustawodawstwa małżeńskiego, podobnie jak nie chcemy zaprzeczać, że projekt prof. Lutostańskiego zawiera niemało zalet na punkcie higjeny społecznej. Z tem wszystkiem mamy jednak pewne trudności w zgodzeniu się na niektóre poglądy prof. Janiszewskiego i pragniemy je przedłożyć poniżej.

Przedewszystkiem odnosimy wrażenie, że pomiędzy wnioskami a założeniami artykułu zachodzi pewna niewspółmierność. W myśl tych ostatnich spodziewaliśmy się otrzymać zestawienie tych racyj higjeniczno-społecznych, które przemawiają za projektem prof. Lutostańskiego. Tymczasem pierwszy z końcowych „wniosków" mówi o zgodności projektu z Konstytucją R. P. i z Konkordatem, a drugi twierdzi, że „dla katolików wierzących nic nie zmieni się przez tę ustawę". — Jakim jednak sposobem wypływa to z rozważań o „higjenie społecznej"? Możeby powyższe twierdzenia należało zaliczyć do dalszych, osobistych przekonań autora, ale nie do wniosków z artykułu?

Za jedną z wielkich zalet projektu poczytuje dalej autor uznanie rozwodów. Nietylko bowiem, powiada, przestaną one być wtedy przywilejem „ludzi zamożnych", ale na wprowadzeniu ich zyska małżeństwo i rodzina, gdyż miejsce dotychczasowej „fikcyjnej nierozerwalności węzła małżeńskiego" zajmie faktyczna „nienaruszalność wspólnoty małżeńskiej".

Otóż to ostatnie zdanie, które autor powtarza za prof. Lutostańskim, jest bezwątpienia teoretycznie słuszne — „wspólnota" będzie nienaruszalna, bo ilekroć się skończy, tyle razy małżonkowie się rozwiodą — ale czy na tem zyska małżeństwo i rodzina, których dobra autor pragnie? Badając tę sprawę w krajach, które posiadają prawo rozwodowe, wyrobiliśmy sobie przekonanie, że rzecz ma się odwrotnie, gdyż rozwody rosną tam w liczbę, a z niemi mnożą się rozbite ogniska domowe i pozbawione środowiska rodzinnego dzieci; poza tem zaś maleje cyfra urodzeń, obniża się poziom moralny, a sądy, które miały czuwać nad zapobieganiem nadużyciom, stoją bezradne, owszem pomagają złemu. Toteż wielu socjologów i prawników na Zachodzie domaga się zniesienia ustawy rozwodowej i powołuje się w tym celu na społeczny charakter instytucji małżeństwa, oraz zupełnie odrębny od innych charakter umowy małżeńskiej.

Czy więc higjena społeczna rzeczywiście żąda, byśmy nie wierzyli cudzym doświadczeniom i koniecznie sprawdzili je na własnej skórze? Pewien ich przedsmak mamy już zresztą wśród naszych „zamożnych" i autorowi są one zapewne znane. Lecz póki to rozbijanie małżeństwa i rodziny ogranicza się do *obere*

Zehntausend, ogół nie odczuwa jeszcze tego dotkliwie. Co będzie jednak, jeśli, w myśl życzeń autora, dopuści się najszersze warstwy, i tak już podminowane w części akcją lewicy, do tego dzieła zniszczenia? Godzimy się najzupełniej z autorem, że obecnie jest źle, jesteśmy jednak głęboko przekonani, że w razie zrealizowania jego planu będzie jeszcze gorzej. Drogą ratunku może być tylko podniesienie ogólnego poziomu moralnego i poszanowania świętości małżeństwa, poprawa stosunków gospodarczych i społecznych, ale nie rozluźnianie węzłów małżeństwa, których jedność i nierozerwalność jest zastrzeżona prawem natury dla wszystkich bez wyjątku, nietylko dla katolików.

W jednym z wniosków końcowych (3) podnosi autor, że projekt prof. Lutostańskiego chroni małżeństwo, rodzinę i dziecko „daleko skuteczniej od ustaw kanonicznych". — Twierdzenie to opiera się na nieporozumieniu, wynikłem z literalnego zestawienia ze sobą obu kodeksów prawa małżeńskiego, cywilnego i kościelnego. Kiedy bowiem kodeks cywilny jest zarazem streszczeniem i wyrazem całokształtu doktryny o instytucji małżeństwa i rodziny, to prawo kanoniczne jest zaledwie pewną jej częścią i zbiorem bardziej aktualnych przepisów; właściwa zaś nauka o małżeństwie, jego świętości, prawach i obowiązkach rozwinięta jest obszernie dopiero w teologji dogmatycznej i moralnej. Tam więc musi zaglądnąć, kto chce poznać, czy i w jakim stopniu nauka katolicka broni małżeństwa i rodziny. Gdyby autor zadał sobie ten trud, porzuciłby może swe uprzedzenia na tym punkcie do Kościoła kat., tak widoczne w jego artykule. I nie pozwoliłby sobie wtedy na takie, co najmniej uogólnione i niewłaściwe, powiedzenie, że akcja przeciw projektowi prof. Lutostańskiego — prowadzona przecież przez Episkopat Polski, oraz wybitne stanowiskiem i wykształceniem osoby — była obliczona na „małe uświadomienie, ciemnotę, przesądy, zabobony i małą inteligencję sfer, wśród których agitowano".

Trudno jednak dziwić się, że autor zwalcza katolickie, a więc najwznioślejsze pojęcie małżeństwa, skoro — i to jest dla wyjaśnienia jego stanowiska może najważniejszem — wogóle nie uznaje obecnego małżeństwa monogamicznego za formę trwałą współżycia płci. Jest ono, powiada, wprawdzie „dotąd najbardziej odpowiadającą stopniowi naszej kultury" formą, lecz przyszłość może to zmienić. Narazie trzeba więc dbać troskliwie o dzisiejsze małżeństwo i rodzinę — jednakże nie wykluczając „możliwych i wielce prawdopodobnych zmian, jakim te instytucje ulec zczasem mogą".

O tylu więc różnych rzeczach musi pamiętać nieuprzedzony czytelnik, jeśli chce zrozumieć, dlaczego autor jest — „ze stanowiska higjeny społecznej" — tak gorącym zwolennikiem projektu prof. Lutostańskiego.

A teraz inny wypadek. Na kursach eugeniki i poradnictwa przedślubnego dla lekarzy, w latach 1931 i 1932, miał dr. med. L. Lorentowicz, doc. na uniw. warszawskim, wykłady o sposobach zapobiegania ciąży i ostatni referat wydał w osobnej broszurze (Włocławek 1933).

Autor uznaje różne ujemne strony tych praktyk, sądzi wszakże, że w dzisiejszych czasach, wobec trudności warunków i różnych niedociągnięć, należy praktyki te uważać za „celowe, słuszne i pożądane", a lekarzom poleca odnosić się do nich przychylnie. Co nas tu jednak głównie obchodzi, to pogląd autora na stanowisko Kościoła katolickiego w tej sprawie. Na podstawie Encykliki *Casti connubii* z r. 1930 dochodzi on mianowicie do wniosku, że Kościół bezwzględnie nie pozwala stosować środków zapobiegawczych dla wskazań lekarskich, ale „uznaje wskazania społeczne i eugeniczne do zapobiegania ciąży" (str. 42-43). Utwierdza go jeszcze w tem mniemaniu broszura dra A. Zajdlicza „Odkrycie dra Ogino" (Poznań 1932). To „nowe stanowisko Kościoła" wita dr. Lorentowicz z zadowoleniem, ale widząc w niem tylko „uznanie konieczności regulacji urodzeń", orzeka, że „co się tyczy sposobów zapobiegania niepożądanej ciąży, te ostatnie, jak również sama potrzeba zastosowania jakiegokolwiek środka ochronnego, muszą być pozostawione rozważnej decyzji lekarza" (str. 44).

Ponieważ z broszury odnosimy wrażenie, że autor chce traktować rzecz lojalnie i przedmiotowo, przeto pragnęlibyśmy w formie wyjaśnienia sprostować niektóre jego poglądy na stanowisko Kościoła katolickiego w tej sprawie.

Przedewszystkiem Kościół, będący w tym wypadku wykładnikiem prawa przyrodzonego i Bożego, jak z jednej strony nie uprawia żadnej „regulacji urodzeń", tak z drugiej nie nakazywał również mieć jak najwięcej dzieci,[1]) szczególnie w wypadkach grożącego ciężkiego obciążenia dziedzicznego, względnie rzeczywistej niemożności ich utrzymania. Przytoczony przez autora ustęp Encykliki o potrzebie uwzględniania wskazań społecznych i eugenicznych w tej mierze, nie jest więc niczem „nowem", ani żadnem ustępstwem, tylko jest zastosowaniem nowoczesnej terminologji do dawnych zasad. Prawdą natomiast jest, że Kościół zawsze zalecał i zaleca, o ile to jest możliwem, liczne potomstwo; lecz czyniąc to ma na oku względy nadprzyrodzone — szerzenie Królestwa Bożego, oraz przyrodzone — dobro społeczeństwa i państwa, jednostki i rodziny.

Powtóre, autor chce rozróżnić dwie funkcje: na „regulację urodzeń" pozwala Kościół — zaś dobór środków oraz decyzja, czy rzeczywiście zachodzi potrzeba regulacji, „muszą być pozo-

[1]) Zob. artykuł ks. J. Urban: „O zdrowie moralne w naszych rodzinach", *Przegląd Powszechny*, czerwiec 1922.

stawione" lekarzowi. — Otóż takie postawienie zagadnienia jest stanowczo niezgodne z nauką i z etyką katolicką. Obcowanie płciowe, jako akt wolnej woli istoty rozumnej, posiada zarówno samo w sobie, jak w towarzyszących mu okolicznościach przedewszystkiem charakter moralny i dlatego właściwa decyzja należy tu nie do lekarza, tylko do sumienia danego osobnika, który rozstrzygać winien w świetle przepisów moralnych, a te katolikom podaje Kościół katolicki.

Słowa powyższe staną się jeszcze bardziej zrozumiałe, jeśli uprzytomnimy sobie, że stosunek płciowy jest aktem, który ma przez samą naturę wskazaną rację bytu i przeznaczenie; sztuczne przeciwdziałanie, usiłujące temu przeznaczeniu nadać inny kierunek i udaremniający je, jest więc czynem przeciw naturze, a zatem czemś niskiem i poniżającem zarazem. Jedynie zamieszanie pojęć moralnych w czasach obecnych oraz zaniedbania lat ubiegłych w przygotowaniu do stanu małżeńskiego, mogły doprowadzić do tego, by akt spełniony wbrew naturze nazywać „miłością". Moralność katolicka zalicza wprawdzie akt obcowania do objawów miłości i podtrzymujących miłość małżonków, ale zawsze z tem zastrzeżeniem, że odbywa się on podług praw natury; w przeciwnym razie przestaje on być wyrazem miłości, a staje się czemś wręcz przeciwnem, bo zaspokojeniem egoizmu, połączonem pośrednio z poniżeniem i często poważną szkodą dla drugiej strony, zwłaszcza kobiety. Lekarz, pomagający tu, współdziała więc tylko w złem, popełnia czyn moralnie zły — zarówno kiedy decyduje o potrzebie, jak o sposobach.

Ks. St. Podoleński T. J.

Instytut Bałtycki.

Wszechstronne zapoznanie się z sytuacją poszczególnych obszarów kraju, pod względem geograficznym, historycznym, etnograficznym, gospodarczym i politycznym, posiada doniosłe znaczenie zarówno dla naukowych jak i praktycznych celów, w wynikach ich interesowane są nie mniej pewne jednostki i instytucje, jak samo państwo. Ten ostatni wzgląd przybiera na sile, jeśli dotycące obszary znajdują się w stronach z jakichkolwiek przyczyn, politycznie czy militarnie, bardziej eksponowanych. Polska z racji rozpiętości i charakteru swych granic, posiada więcej takich części i dlatego na uznanie i poparcie zasługuje każda poważna placówka naukowa, która obok celów własnych, chce pracą swą przysłużyć się również dobru ogólnemu.

Do rzędu takich placówek należy początkujący, można powiedzieć, ale mający już za sobą niemałe zasługi „Instytut Bałtycki" w Toruniu (ul. Żeglarska 1). Założony z końcem r. 1925 z inicjatywy niewielkiego grona osób, z ks. dcc. Stani-

sławem Kozierowskim na czele, został zarejestrowany w roku następnym, a działalność naukową rozpoczął w r. 1927.[1]) Celem Instytutu, jak powiada par. 2 statutu, jest „badanie stosunków gospodarczych, politycznych, narodowościowych i t. p. wybrzeża bałtyckiego pod kątem widzenia związanych z niemi interesów polskich"; Instytut wyłącza przytem „z zakresu swej działalności przedmioty odnoszące się do polityki partyjnej i religji" (par. 3).

Praca naukowa i związana z nią propagandowa należy więc do właściwego zakresu działania Instytutu Bałt., wspomniane zaś zastrzeżenie: „pod kątem widzenia interesów polskich" — podkreśla jedynie „stosowany" kierunek badań, które powinny rozciągać się przedewszystkiem na zagadnienia, związane z obecnemi zainteresowaniami politycznemi państwa polskiego. Na pierwszy plan prac instytutu wysunięto zebranie źródłowych danych o wszystkich stronach życia samego Pomorza i niektórych terenów Prus Wschodnich. Chodzi tu głównie: 1) o dokładne zbadanie kultury ludowej tych okolic i utrwalenie jej śladów, a przytem o uwydatnienie wspólności tych cech etnograficznych z resztą Polski; 2) o przedstawienie stanu gospodarczego Pomorza i Prus Wschodnich, oraz o wykazanie wzajemnej w tej mierze zależności ich z Polską; 3) o zobrazowanie stanu i potrzeb naszej ekspansji morskiej.

Stosownie do powyższych celów starano się określić środki działania. Należą do nich: 1) Gromadzenie i utrzymywanie w ewidencji materjałów naukowych, odnoszących się do wybrzeża bałtyckiego; stworzenie odpowiedniego księgozbioru i archiwum. 2) Akcja wydawnicza dzieł i rozpraw naukowych, oraz książek o użyteczności powszechnej, służących celom obrony interesów polskich, związanych z Bałtykiem. 3) Działalność prasowa i informacyjna, polegająca o informowaniu o wynikach badań zarówno czynników rządowych, jak organizacyj gospodarczych i obywateli polskich, trudniących się handlem i przemysłem w krajach bałtyckich. 4) Praca naukowa w zakresie spraw, obchodzących Polskę nad Bałtykiem, oraz utrzymywanie potrzebnych do tego pracowni, bibljotek i zbiorów. 5) Urządzanie zebrań dyskusyjnych.

Tak szeroko zakreślony plan działania stawia oczywiście niezwykle wysokie wymagania pod adresem Zarządu i da się wykonać jedynie pod warunkiem odpowiedniego doboru i współpracy znaczniejszej liczby specjalistów w różnych dziedzinach wiedzy. Toteż głównem zadaniem Dyrektora Instytutu — ostatnie kilka lat był nim p. Józef Borowik — jest wyszukiwanie tych specjalistów w poszczególnych ośrodkach nauki polskiej i utrzymywanie z nimi ścisłej łączności; sam zaś Instytut odgrywać musi rolę ośrodka organizacyjnego, który skupia w sobie wszystkie

[1]) Józef Borowik, *Pięć lat pracy Instytutu Bałtyckiego (1927—1932)*. 32, str. 67. Skład główny w Warszawie, Kasa im. Mianowskiego.

wysiłki, daje inicjatywę i plan pracy, gromadzi potrzebne środki, ułatwia badania i publikację ich wyników.

Nic więc dziwnego, że w pierwszych latach miano do pokonania ogromne trudności pod względem organizacyjnym, doboru członków, znalezienia odpowiednich metod pracy, zdobycia potrzebnych funduszów. Ostatnie parę lat wykazało jednak, że wysiłki te nie były bezowocne. Dzięki umiejętnemu kierownictwu znaczenie Instytutu rosło, a liczba współpracowników z kół uniwersyteckich powiększała się ciągle. Na urządzonym w styczniu 1930 r. pięciodniowym kursie pomorzoznawczym wzięło udział 23 prelegentów, przeważnie profesorów uniwersytetów z całego kraju; zorganizowany zaś w maju 1931 r. w Toruniu Zjazd pomorzoznawczy, poświęcony głównie problemom narodowościowym na Pomorzu, ściągnął z całej Polski specjalistów z dziedziny historji, geografji, etnografji, archeologji i antropologji, ekonomji, prawa i polityki, statystyki, językoznawstwa i przyniósł poważny dorobek naukowy.

Rozszerzający się stopniowo zakres prac Instytutu przyczynił się do założenia jego filji w Gdyni. W październiku 1931 r. nastąpiło otwarcie Oddziału gdyńskiego, którego głównem zadaniem jest prowadzenie systematycznych badań nad zagadnieniami morskiej ekspansji polskiej, w ramach t. zw. Działu Polityki Morskiej, mającego pogłębiać wiadomości w dziedzinie zjawisk gospodarczych, związanych z handlem morskim, komunikacją morską i przemysłem portowym. Poza tem urządza Oddział zebrania dyskusyjne na temat polityki morskiej, a od czasu do czasu organizuje systematyczne serje wykładów na poziomie uniwersyteckim, cieszących się wysoką frekwencją słuchaczy.

Z pośród wymienionych poprzednio prac Instytutu zasługuje na osobną wzmiankę jego działalność wydawnicza. Poza drobniejszemi broszurami i komunikatami, zasadniczem wydawnictwem jest *Pamiętnik Instytutu Bałtyckiego,* który wychodzi w trzech serjach: 1) *Balticum* gromadzi prace naukowe na temat regjonalnych zagadnień pobrzeży Bałtyku; 2) *Dominium maris* zawiera publikacje o naszej morskiej ekspansji gospodarczej. 3) *Zjazdy pomorzoznawcze* zawierają referaty naukowe, wypowiedziane na Zjazdach; pierwszy zeszyt poświęcony został zagadnieniu ludnościowemu na Pomorzu. Do r. 1932 wyszło 10 tomów *Pamiętnika,* obejmujących 42 oryginalne rozprawy i 4 monografje. Pomiędzy rzeczami, czekającemi na druk, zaznaczyć wypada *Bibljografję Pomorza* za okres od r. 1918—1932, której przeważna część została już opracowana. [1])

[1]) Instytut wydaje również w celach propagandowych prace w obcych językach. Niedawno naprz. nadesłano nam 13-y tom „Pamiętnika" zawierający pracę prof. W. Sobieskiego: *Der Kampf um die Ostsee* (1933, str. 268). Nawiasem dodajemy, że we Francji wydał K. Smogorzewski *La Pomeranie Polonaise,* (Paris 1932, Gebethner et Wolff; str. 462 z licznemi mapami i ilustracjami (o niej piszemy w dziale recenzyjnym. *Przyp. red.*).

Krótkie powyższe sprawozdanie nie wyczerpuje w całości dokonanych ani zamierzonych prac Instytutu Bałtyckiego, wystarczy jednak do wykazania jego żywotności i znaczenia dla nauki i państwa polskiego. Spodziewać się więc należy, że działalność jego spotka się z należnem uznaniem społeczeństwa i cieszyć się będzie poparciem ze strony kompetentnych czynników, państwowych i samorządowych. Konieczną jest zwłaszcza hojniejsza i stała pomoc materjalna. Posiadane narazie środki nie wystarczają nawet na wydanie gotowych już do druku prac, a tem bardziej nie pozwalają na stworzenie i rozszerzenie własnych warsztatów pracy, organizowanie ankiet i komisyj dla specjalnych badań. Zabezpieczenie bytu i możności działania instytucji, która sama może skoordynować wysiłki uczonych całego kraju i wykorzystać je dla dobra nauki i kraju, leży bezwątpienia w interesie ogólnym.

T.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 31 maja 1933.

Spis rzeczy tomu 198.

Artykuły.

Str.

Prof. Dr. W. Wolter: Kodeks karny z 1932 r. 3
K. Symonolewicz: Powstanie państwa Mandżou-go . . . 24
Prof. T. Grabowski: Próba syntezy nowej nauki o literaturze 50, 198
Prof. A. Tretiak: Walter Scott 68
Z. Falkowski: John Galsworthy 81
Z. Falkowski: Wyżyny poezji Norwida 129
T. Sinko: Klasyczny laur Norwida 154, 288
Ks. S. Podoleński: U schyłku prohibicji w Ameryce . . 180
Dr. W. Czapliński: Kongres w Nikolsburgu 222
Ks. Dr. Jelito: Stary Testament w nauczaniu religji 274
M. Skibniewski: System teokratyczny Stanisława Orzechowskiego 306
F. Rapf: Budowa materji 335
Dr. M. Kasterska: Trzy życia Pawła von Hindenburg . . 346
Ks. St. Bednarski: Kryzys gospodarczy a produkcja wydawnicza w Polsce 358

Przegląd piśmiennictwa.

Nowe powieści. Michał Choromański: Zazdrość i medycyna. — Kaz. Wierzyński: Granice świata. — Józef Witlin: Etapy. — Jarosław Iwaszkiewicz: Panny z Wilka. — Jan Parandowski: Dysk Olimpijski. — Gustaw Morcinek: Chleb na kamieniu. — Artur Prędski: Bełtowski zredukowany. — Tad. Kudliński: Wygnańcy Ewy. — And. Strug: Ostatni film Ewy Evard. — Jerzy Marlicz: Łowcy przygód. — Zofja Rodowicz-Iwanicka: Zgaszony błękit. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 91
Michał Korwin: Tajemna walka. — J. Trebitsch Lincoln: Największy awanturnik XX w. (A. Zahorska) 102
Świat i Życie. Zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury (Ks. S. Bednarski) 105
Kultura pedagogiczna. Rocznik I, zesz. 1. (Ks. S. Bednarski) 107

Str

Bibljoteka Szkoły Powszechnej (Dr. Z. C.) 108
Ks. Paweł Styger: Katakumby Rzymskie (W.) 110
Dawne wiersze ruskie. Przeł. Tad. Łopalewski (J. B.) 110
Wład. Berkan: Ks. Patron Wawrzyniak w moich wspomnieniach (Ks. J. U.) 110
Cyprjana Norwida poezje wybrane z całej odszukanej po dziś spuścizny poety. Ułożył i przypisami opatrzył Miriam (W. Arcimowicz) 235
Zofja Szmydtowa: O misterjach Cyprjana Norwida (W. Arcimowicz) 237
Zygm. Falkowski: Rzecz o tragiźmie Kleopatry C. K. Norwida (W. Arcimowicz) 240
Rocznik Krakowski t. XXIV. — St. Tomkowicz: Pałac biskupi w Krakowie. — Wł. Terlecki: Zamek na Wawelu. (M. N.) 242
Czesław Lechicki: Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze (Ks. S. Bednarski) 243
Ks. prof. Bernard Bartmann: Stworzenie. — Bóg, świat, człowiek. Z niem. oryg. przeł. Ks. Wacław Zajączkowski T. J. — Tenże: Nasza wiara w Opatrzność. Z niem. oryg. przeł. Ks. Arcyb. Piotr Mańkowski (E. Deroski) 246
Ehrle, Kardinal Franz, S. I.: Die Scholastik und ihre Aufgaben in unserer Zeit (Ks. Fr. Kwiatkowski) 247
Bolesław Skirmunt: W służbie Kościoła i Polski. Ks. Dr. Kazimierz Skirmunt (J. U.) 248
Rocznik Tatarski. Tom I. (Ks. J. Krzyszkowski) 249
Johannes Lindworsky S. I.: Erfolgreiche Erziehung. (S) 250
Z Wydawnictw Głównej Księgi Wojskowej (M.) 250
Wanda Brzeska: Mitropa. — Stan. Helsztyński: Międzyrzecze. — Tenże: Mnich opactwa Lubińskiego. — Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska: Nasza dola. — Ant. Waśkowski: Rapsody. — Marja Czeska-Mączyńska: Macierzyństwo i wiersze różne. — Jan Czar: Rwijmy, rwijmy śliczne róże. — Elżb. Marwegowa: Ulgor. — Taż: Capri. — Taż: Ulica. — Teresa Elster: Misterja i mozaiki. — Jerzy Liebert: Kołysanka jodłowa. — Witold Zechentner: Niebieskie i złote. — Tenże: Linja prosta. — Leopold Lewin: Kora pisana. — Jalu Kurek: II Śpiewy o Rzeczypospolitej. — Mieczysław Lisiewicz: Suita lotnicza. — Marjan Piechal: Garść popiołu. — Józef Czechowicz: Ballada z tamtej strony. — Juljan Przyboś: Wgłąb las. — Marjan Czuchnowski: Reporter róż. — Marjan Niżyński: Dalmino. — Maciej Szukiewicz: Popieluch. — Ant. Waśkowski: Wikinda. — Ewa Szelburg-Zarembina: Sygnały. (Dr. Z. Ciechanowska) 366
Prusy Wschodnie. Przeszłość i teraźniejszość. Książka zbiorowa pod redakcją Marjana Zawidzkiego. — Casimir Smogorzewski: La Pomeranie Polonaise. (J. F.) 374
Ks. Dr. Michał Klepacz: Idea Boga w historjozofji Augusta Cieszkowskiego na tle ówczesnych prądów umysłowych (Ks. Fr. Kwiatkowski) 377

Str.

Ks. Dr. Michał Krzywicki: Prymat papieski a Kościoły wschodnie w okresie Soboru Efeskiego (Ks. J. Urban) 380
Elżbieta Burgerówna: Dziewczęta z bocznej ulicy (Ks. St. Podoleński) 381
Pod tchnieniem burzy (Ks. J. R. T. J.) 381
Nadesłane 111, 251, 382

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Jugosławja. — Pasterski list Episkopatu. — Projekt ustawy o wypędzeniu Jezuitów. — Podmuch „Kulturkampfu“ (Ks. E. Kosibowicz) 112
Maj: Od Weimaru do Potsdamu. — Katolicyzm w „Trzeciem Państwie“. — Wejście w życie konkordatu w Badenji (Ks. J. Urban) 254
Czerwiec: Program „państwowego wychowania“ etapem walki o przyszłość. — „Legjon Młodych“. (Ks. E. Kosibowicz) . 383
Kronika gospodarcza. Międzynarodowa konferencja gospodarcza. Poprawa konjunktury. Programy gospodarcze. Nowe ustawy. Nowa taryfa celna. Przesilenie bankowe w Stanach Zjedn. A. P. (Dr. M. J. Ziomek) 120
Z sodalicyjnej pracy wśród męskiej młodzieży polskich szkół średnich (Ks. J. Rostworowski) 263
Bezrobocie w świecie i w Polsce w latach 1921—1931 (Ks. St. Podoleński) 266
Spisz katolicki, (J. Magiera) 270
Z pogranicza medycyny i etyki: Higjena społeczna a projekt nowego prawa małżeńskiego. — Czy zmiana stanowiska Kościoła? (Ks. St. Podoleński) 390
Instytut Bałtycki 394